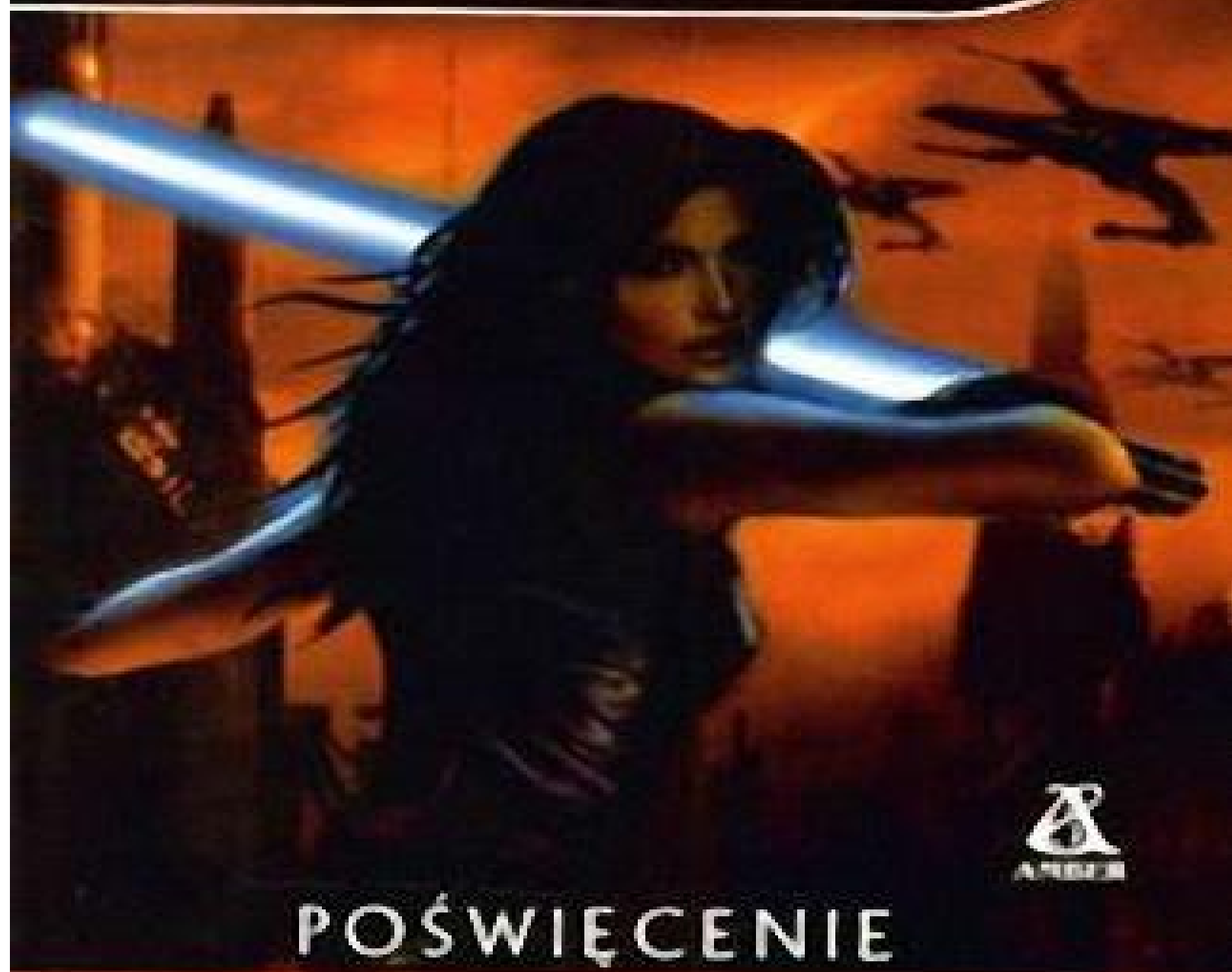




STAR WARS

DZIEDZICTWO MOCY



POŚWIĘCENIE
KAREN TRAVISS

DZIEDZICTWO MOCY V

POŚWIĘCENIE

Karen Traviss

Przekład: Andrzej Syrzycki

PROLOG

Okolice Rotundy, Coruscant, sypialnia apartamentu Skywalkerów, godzina 03.00

To będzie jeszcze jedna bezsenna noc, pomyślała Mara.

A może jednak powinnam była go zabić?

Albo raczej zażyć coś na sen czy przynajmniej napić się ciepłego mleka?

Pozbawiłam życia wiele osób. Kiedyś Ben zapytał, ile. Od tamtej pory zaczęłam liczyć. Może Luke także liczy swoje ofiary, ale nigdy więcej nie wspomniał o tym ani słowem.

Gdzie się podziewa Ben?

Miałam lepszą okazję niż ktokolwiek, żeby zabić Palpatine'a. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, zastanawiam się, jaki bieg miałyby historia, gdybym poszła po rozum do głowy i załatwiła go, kiedy jeszcze miałam okazję. Okrzyknięto by mnie wówczas zdrajczynią, ale obecnie byłabym bohaterką. A Palpatine tak czy owak by nie żył. Perspektywy bywają czasem zabawne.

Ile osób zginęło, bo tego nie zrobiłam? Nawet nie uświadamiałam sobie, że mogłam to zrobić.

Benie, czuję, że żyjesz, ale co się z tobą dzieje? Już tyle dni nie mamy od ciebie żadnej wiadomości.

Zresztą... skąd mogłam wtedy wiedzieć, że to jedyne możliwe rozwiązanie? Kiedy sprawy zaszły za daleko, ktoś musiał to zrobić. I dlaczego Luke śpi jak odurzony narkotykiem nerf? Ja też bym tak chciała, ale nie mogę. Jeżeli włączę holowiadomości nawet bez głosu, mogę go obudzić. Medytowanie także nie zdaje się na nic. Może powinnam wstać i pójść na spacer?

Benie... jeżeli nawet Jacen nie ma pojęcia, gdzie jesteś, co właściwie robisz?

Muszę przestać się zamartwiać.

Ben jest sprytnym chłopcem, wyszkolonym przez najlepszych nauczycieli. Na pewno nic mu się nie stanie. Już pewnie wie, że pozbawienie kogoś życia zajmuje zaledwie ułamek sekundy.

Ćwiczy się, żeby zabijać bez zastanowienia, a potem jest za późno, by cokolwiek zmienić. Jeśli już kogoś zabiłeś, na pewno wiesz, jak się człowiek po tym czuje, więc może nie będziesz zbyt surowo osądzał mnie ani swojego ojca.

Twoi rodzice byli zabójcami, bojownikami o wolność i żołnierzami, ale wszystko sprowadza się do tego, ilu osobom odebrali życie. To jest twoje dziedzictwo - teraz podążasz naszymi śladami.

Kłopot w tym, że nie mam pojęcia, gdzie się podziewasz ani co w tej chwili robisz. Nie daje mi to spokoju. Nieważne, jak bardzo jesteś silny Mocą. Jedi umierają jak każdy. Galaktyka jest wielka i bezlitosna, a ty jesteś tylko dzieckiem... moim dzieckiem.

Benie, jeżeli mnie wyczuwasz, odezwij się. Daj mi znać, że nie stało ci się nic złego.

Luke nigdy nie wierzy, kiedy mu mówię, że chrapie. Chrapie, aż trzęsą się ściany.

Benie...

- Nic ci nie jest? - zapytał Luke, otwierając nagle oczy. Mara wiedziała, że mąż umie to robić bez ostrzeżenia. W jednej chwili spał, a w następnej się budził. - Jest środek nocy.

- Wiem.

- Martwisz się o Bena.

- Wcale nie, Ben umie się troszczyć o siebie - odparła Mara. Dlaczego to mówię? - zadała sobie pytanie. Luke i tak wie, co myślę. - Nie powinnam była tyle jeść przed pójściem do łóżka.

- Ja też się o niego martwię. - Luke walnął pięścią w poduszkę, żeby nadać jej odpowiedni kształt, i położył na niej głowę. - Ale wiem, że nie spotkała go żadna krzywda. Nadal go wyczuwam.

W tej chwili już nie jest takie, jak być powinno, pomyślała Mara.

Luke to wie. Ja także. Wie o tym cała rodzina.

W galaktyce nie ma pokoju, ale najbardziej martwi mnie wojna w łonie naszej rodziny. Mój własny syn zachowuje się jak obcy człowiek.

A Jacen...

Chyba w ogóle nie znam Jacena Solo.

No i Lumiya...

Próbowała zabić mojego synka. Za to, moja droga, będziesz musiała mi odpowiedzieć. Zabiorę się za ciebie, i to niedługo.

Mam wrażenie, że teraz zasnę. Czuję się bardziej... odprężona.

ROZDZIAŁ 1

Wybierze los słabych.

Zwycięży i zerwie swoje kajdany.

Wybierze sposób, w jaki będzie kochany.

Wzmocni się poprzez poświęcenie.

Uczyni sobie ulubieńca.

Wzmocni się poprzez ból.

Będzie balansował między pokojem a konfliktem.

Pozna braterstwo.

Przekształci się.

Unieśmiertelni swoją miłość.

Wspólne motywy prorocत्व zarejestrowanych w symbologii plecionek kitki - to temat sympozjum pod kierownictwem doktor Heilan Rotham z Uniwersytetu Pangalaktycznych Studiów Kulturowych. Prosimy o nadsyłanie referatów. Uniwersytet zachęca do współpracy chipulogów i analityków informacji zapisanych w plecionkach z włókien w celu rozwikłania zagadki pozostałych nieprzetłumaczonych plecionek Artefaktu z Lordii. W zależności od rozwoju sytuacji daty sympozjum mogą ulec zmianie.

Sfera medytacyjna Sithów, orientacyjny kierunek – Coruscant Ben Skywalker czuł się nieswojo. A wszystko przez to, że musiał zaufać statkowi.

Leciał sam kulistym statkiem, który znalazł na planecie Ziost. Liczył na to, że sfera rozumie, iż chce nią lecieć do domu. Nie widział żadnych monitorów, nawigacyjnych urządzeń kontrolnych, fotela pilota... niczego. Dostrzegał wprawdzie podobne do rozmazanych smug światła gwiazdy, ale przezroczystość kadłuba przestała go niepokoić. Wiedział, że jego ścianki nie znikły. Widział go, a jednocześnie nie widział. Czuł się jak w środku wydrążonego czerwonego klejnotu, który podąża statecznie w kierunku Jądra galaktyki.

Statek nie miał drążka ani kontrolnego panelu, więc Ben musiał w myśli wydawać mu rozkazy. Niezwykła sfera z czerwonego chropowatego kamienia reagowała na rozkazy wydawane za pośrednictwem Mocy.

Nie możesz lecieć jeszcze szybciej? - pomyślał Ben. Zanim znajdziemy się u celu, wyrosnie mi siwa broda.

Od razu wyczuł irytację statku. Wsłuchał się w niego. Głos statku, chociaż bezdźwięczny, był

zdecydowanie męski. Ben od razu się zorientował, że sfera nie widzi w jego zniecierpliwieniu niczego zabawnego. Ukazały mu się nitki białego światła promieniujące z jednego punktu w mrocznej nicości. Wyglądały jak gwiazdy widziane przez iluminatory statku lecącego przez nadprzestrzeń. W pewnej chwili pojawił się błysk eksplozji.

Rozumiem... teraz lecisz najszybciej jak możesz, pomyślał Ben. Poczuł przelotną satysfakcję statku, że lecący nim idiota jednak go zrozumiał. Zastanowił się, kto mógł wyprodukować tak niezwykłą sferę. Trudno mu było oprzeć się wrażeniu, że ma do czynienia z tworem organicznym, podobnym do okrętów Yuuzhan Vongów, ale wolał uważać statek za robota, a może artefakt obdarzony osobowością i... tak, emocjami. Za kogoś podobnego do Shakera.

Przykro mi, Shaker, pomyślał. Przykro mi, że kazałem ci to wszystko rozplątać.

Nie zostawił astromechanicznego robota na pastwę losu, ale przetransportował go na DREWWE.

To właśnie stamtąd Shaker pochodził, podobnie zresztą jak Kiara, a zatem oboje trafili do domu.

Astromechaniczne roboty są niezawodne i wrażliwe, więc Shaker na pewno przekazał

dziewczynkę pod opiekę kogoś, kto się o nią zatroszczy. Biedne dziecko...

Jej ojciec nie żył, a całe życie wywróciło się do góry nogami, pomyślał Ben. Oboje wykorzystano do zwabienia mnie na Ziosta, gdzie ktoś miał mnie zabić. Dlaczego? Czyżbym do tej pory zdążył narobić sobie aż tylu wrogów?

Ponownie poczuł irytację statku. Sfera dawała mu do zrozumienia, że Ben roztkliwia się nad sobą. Chłopak nie był zachwycony, że statek czyta w jego myślach. Uczynił wysiłek, żeby nad nimi zapanować. Statek znał jego wypowiedziane i niewypowiedziane pragnienia, a Ben nie był

pewny, jakie to może mieć konsekwencje. Na razie czuł, że ktoś narusza jego prywatność.

Ulga, jaką odczuł, odlatując pradawnym statkiem z powierzchni Ziosta, z wolna przeradzała się w niepokój, gniew i oburzenie.

I zniecierpliwienie. Ben miał komunikator, ale nie chciał się nim posługiwać, żeby nie zdradzać swojej obecności. Mogły przecież za nim lecieć inne statki. Jeden wprawdzie zniszczył, ale to jeszcze nie oznaczało, że nie znajdą się następne.

W tym wszystkim nie chodziło o zdobycie amuletu, więc dlaczego nadal jestem celem? -

zadawał sobie pytanie.

Statek nie poleciałby szybciej, nawet gdyby był tu fotel pilota i drążek sterowniczy, żeby Ben mógł czymś zająć uwagę. A siedząc tak beczynnie, czuł się zagubiony. Niemal słyszał nauki Ja-cena, że aktywność fizyczna rozprasza uwagę i że Ben musi się nauczyć lepiej panować nad myślami, aby nie pozwalać sobie na zdenerwowanie czy zniecierpliwienie. Jego mentor zwykł

był mawiać, że niespokojny umysł przestaje być wrażliwy.

Ben rozprostował nogi i potarł zdrętwiałe kolana, ale zaraz znów skrzyżował nogi i pogрузzył

się w medytacji. To miała być długa podróż.

Kadłub i pokład statku wyglądały jak wykonane z jednej bryły bursztynu. Od czasu do czasu coś się jarzyło w środku, jakby zaczątki pożaru. Ben starał się nie wypowiadać w myśli tego słowa, żeby statek nie uznał go za rozkaz.

Sfera nie była jednak głupia. Niewiele brakowało, a myślałaby zamiast niego.

Chłopak sięgnął do wewnętrznej kieszeni tuniki i wymacał amulet. Ten bezwartościowy przedmiot nie mógł być instrumentem potęgi Sithów, ale zabawnym świecidełkiem, po które wysłano ojca Kiary. A teraz mężczyzna nie żył. Ben winił za jego śmierć siebie, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego Faskus zginął.

Muszę odnaleźć Jacena, postanowił.

Jacen także nie był głupi, ale trudno było uwierzyć, że dał się komuś oszukać w sprawie tego amuletu. A może amulet stanowił część jakiegoś planu? Jeżeli tak, Ben miał nadzieję, że był to plan na tyle ważny, aby usprawiedliwić śmierć Faskusa i udrękę Kiary.

A więc taki był cel mojej wyprawy... miałem przekazać Jaceno- wi amulet Kalary, pomyślał

Ben. Tylko tyle i aż tyle.

Jacen mógł być w tej chwili gdziekolwiek: na Coruscant w jednym ze swoich gabinetów, w ogniu jakiejś bitwy albo w trakcie polowania na terrorystów. Ben miał nadzieję, że może wrażliwy na Moc, dziwny statek pomoże mu go odnaleźć. W końcu o starszym kuzynie mówiło się dużo i często niemal we wszystkich holowiadomościach. Pułkownik Jacen Solo, dowódca Straży Galaktycznego Sojuszu i uwielbiany bohater, stawiał czoło zagrożeniom, jakie mogły nadejść z każdego zakątka galaktyki. No dobrze, może naprawdę uzalam się nad sobą, pomyślał

chłopak. Czas z tym skończyć. Problem w tym, że nie mogę takim statkiem wylądować na pierwszym lepszym lądowisku na Coruscant i pozostawić go jak zdobyczny myśliwiec typu TIE. Na widok takiego pojazdu ludzie zaczęliby zadawać dziwne pytania, a Ben nie był pewny nawet tego, czym właściwie jest niezwykła sfera. To oznaczało, że z problemem musi się uporać Jacen.

- Dobrze - odezwał się w końcu na głos chłopak. - Czy potrafisz odszukać Jacena Solo?

Umiesz przechwytywać sygnały komunikatorów? A może dałbyś radę odnaleźć go w Mocy?

Statek zasugerował, że Ben powinien umieć sam uporać się z tym problemem. Chłopak skupił

się i postarał wyobrazić sobie twarz Jacena, a później sylwetkę „Anakina Solo”, ale problem okazał się trudniejszy, niż przypuszczał.

Sferyczny statek chyba go ignorował. Ben nie słyszał jego głosu w swojej głowie. Chociaż...

nawet kiedy pojazd nie zwracał się do niego ani nie reagował na jego myśli, Ben odbierał cichy szum. Odnosił wrażenie, że statek pomrukuje jak ktoś, komu kazano wykonywać w kółko tę samą czynność.

- Możesz to zrobić? - powtórzył młody Skywalker. Gdyby nic z tego nie wyszło, postaram się nim wylądować na jakimś lądowisku Straży Galaktycznego Sojuszu i liczyć na to, że mój problem sam się rozwiąże, pomyślał. - Chyba nie chcesz, żeby inżynierowie Galaktycznego Sojuszu dobrali się do ciebie hydrokluczami.

Statek mu odpowiedział, żeby był cierpliwy. Dał także do zrozumienia, że i tak w swojej konstrukcji nie ma niczego, co można byłoby uchwycić hydrokluczem.

Ben skupił się, żeby odnaleźć Jacena, zanim zrobi to statek, ale starszy kuzyn opanował do perfekcji trudną umiejętność ukrywania swojej obecności w Mocy. Z pewnością nie potrafi go odszukać, jeśli kuzyn nie będzie chciał być odnaleziony. Na razie Ben nie wyczuwał niczego, żadnego szeptu ani echa. Doszedł do wniosku, że dobrze by było nakłonić statek do przeszukania kanałów HoloNetu... chyba że w tej starej kuli nie ma odpowiednich urządzeń technicznych?

Hej, nie ma obawy, pomyślał. Jeżeli sfera Sithów zniszczyła frachtowiec samą potęgą moich myśli, na pewno da radę odszukać sygnał HoloNetu.

Och... westchnął w pewnej chwili statek.

Ben odniósł wrażenie, że niezwykła sfera wreszcie na coś trafiła. Na chwilę wyskoczyła z nadprzestrzeni, jakby chciała się tylko rozejrzeć, i przesłała do umysłu chłopca wrażenie, że coś odkryła. Dokonała poprawki kursu, a przestworza usiane iskierkami gwiazd - widocznych nawet przez płomienistą chropowatą skorupę - zmieniły położenie. Chwilę później statek znów wskoczył do nadprzestrzeni. Przesłał do umysłu Bena wrażenie satysfakcji zupełnie jakby był...

podniecony.

- Znalazłeś go? - zapytał chłopak.

Sfera odpowiedziała twierdząco. Ben postanowił nie wypytywać jej, w jaki sposób natrafiła na ślad Jacena, ukrywającego swoją obecność w Mocy.

- W takim razie daj mi znać, kiedy zbliżymy się do niego na jakieś dziesięć tysięcy kilometrów - polecił. - A wtedy zaryzykuję i skorzystam z komunikatora.

Statek nie odpowiedział. Pomrukując radośnie, wypełnił głowę Bena archaicznymi akordami, jakich chłopak nigdy dotąd nie słyszał ani nawet nie wyobrażał sobie, że mogłyby istnieć.

Gwiezdny niszczyciel „Anakin Solo”, lecący okrężną trasą kursem 000 - na Coruscant przez system Contruuma. Osobista kabina pułkownika Jacena Solo Jakoś nikt z członków załogi „Anakina Solo” nie dziwił się, że okręt wraca na Coruscant tak okrężną drogą.

Jacen wyczuwał pełną rezygnacji cierpliwość. Członkowie załogi widocznie nie spodziewali się niczego innego po przywódcy

Straży Galaktycznego Sojuszu, skoro nie zadawali żadnych pytań. Jacen wyczuwał także Bena Skywalkera. Koncentrował się teraz, żeby odnaleźć swojego ucznia.

Nic mu się nie stało, pomyślał. Wiem to. Coś jednak nie poszło tak, jak planowano.

Skupił uwagę na niebieskim punkciku na ekranie wtórnego monitora w bocznej ścianie mostka wielkiego okrętu. Wyczuwał Bena jak znajomy, ale trudno uchwytny zapach... na tyle znajomy, że nie

mógłby go pomylić z żadnym innym. Ben był cały i zdrowy, ale coś się nie zgadzało. Nie dawało Jacenowi spokoju zakłócenie w Mocy... dziwnie ostre i drażniące. Nigdy dotąd niczego podobnego nie odczuwał. Ostatnio jakoś nie lubił nowych doznań. Doszedł do wniosku, że zmienił się od czasu, kiedy przemierzał galaktykę w poszukiwaniu czegoś nieuchwytnego i tajemniczego, co pozwoliłoby mu pogłębić znajomość Mocy. Obecnie wołał

mieć pewność. Pragnął porządku, i to takiego, jaki sam zaprowadził.

W tamtym okresie nie zamierzałem porządkować galaktyki, pomyślał. Czasy jednak się zmieniły. Teraz jestem odpowiedzialny za wiele planet, nie tylko za siebie.

Aby wykonać zleczone mu zadanie, Ben powinien być polecieć... właśnie, dokąd? Na Ziosta.

Odszukanie czternastoletniego chłopca - nie całego statku, lecz dzieciaka ważącego zaledwie pięćdziesiąt pięć kilogramów - w wijącym się wokół Perlemiańskie-go Szlaku Handlowego szerokim korytarzu było jednak bardzo trudnym zadaniem nawet dla kogoś, kto umiał

korzystać z usług Mocy.

Ma bezpieczny komunikator, ale z niego nie korzysta, pomyślał Jacen. To prawda, napominałem go, żeby ograniczył rozmowy do minimum. Powinien jednak pamiętać, że jeżeli coś mu zagraża, musi przerwać ciszę...

Czekał w milczeniu, badając zmieniające się obrazy i odczyty - takie same jak te na ekranach monitorów konsol w centrum operacyjnym okrętu. Coraz rzadziej oczekiwał, aż Moc podsunie mu odpowiedź na jego wątpliwości. Już od kilku miesięcy łatwiej mu było brać sprawy w swoje ręce i samemu decydować o przeznaczeniu.

W głębi „Anakina Solo” wyczuwał Lumię; odbierał ją jako wir, który podmywa brzeg rzeki.

Postanowił powiększyć swoją obecność w Mocy.

Benie... jestem tu, Benie... - pomyślał.

Im bardziej się odprężał i pozwalał, żeby Moc go omywała - a ostatnio coraz trudniej przychodziło mu poddawać się jej wpływowi, o wiele trudniej niż wykorzystywać jej potęgę -

tym mocniejsze odnosił wrażenie, że Ben nie leci sam. A w końcu...

Wyczuł, że Ben także go poszukuje... błędzi po omacku, chce go odnaleźć.

Naprawdę ktoś mu towarzyszy, pomyślał Jacen. I na pewno nie chodzi o amulet. Ben wpadnie w furję, kiedy się dowie, że wysłałem go na ćwiczenia w środku wojny. Będę musiał mu to bardzo delikatnie wytłumaczyć...

Uciekł się do podstępu, żeby chociaż na krótko uwolnić Bena spod wpływu Luke'a i Mary.

Chciał, żeby chłopak wreszcie mógł być sobą żeby przestał zachowywać się jak synalek Skywalkarów. Kiedyś miał przejąć schedę po Jacenie, więc musiał wyrwać się spod przesadnie troskliwej opieki i wyjść z długiego cienia jego sławnego ojca, wielkiego mistrza Jedi.

Jesteś o wiele twardszy, niż im się może wydawać, Benie, pomyślał Jacen.

Wyczuł gdzieś w gardle słabe echo odpowiedzi chłopca. Głęboko odetchnął. Teraz już obaj wiedzieli, że się wzajemnie poszukują. Jacen wyrwał się z medytacyjnego transu i podążył na mostek.

- Zastopować - rozkazał. Mostek był pogrążony w półmroku, a zielona i niebieska poświata sącząca się z ekranów monitorów pozbawiała naturalnych barw twarze członków starannie wybranej i absolutnie lojalnej załogi. Jacen podszedł do głównego iluminatora i wbił

spojrzenie w gwiazdy, jakby między nimi mógł coś wypatrzeć. - Utrzymywać pozycję.

Czekamy na pojawienie się statku, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Pani porucznik Tebut, pełniąca służbę na mostku, zerknęła na niego znad konsoli, ale nie uniosła głowy. Wyglądało to, jakby była niezadowolona, ale po prostu miała taki zwyczaj.

- Gdyby zechciał pan podać więcej szczegółów, panie pułkowniku... - zaczęła.

- Nie mam pojęcia, co to będzie za statek - odparł Jacen. - Zorientuję się dopiero, kiedy go zobaczę.

- Jak pan sobie życzy, panie pułkowniku.

Musieli się uzbroić w cierpliwość. Z każdą chwilą Jacen wyczuwał Bena wyraźniej. Wszystko na pokładzie okrętu toczyło się jak zwykle, jeżeli nie liczyć wyczuwalnego zniecierpliwienia Lumii. Jacen zamknął oczy i wyczuł obecność Bena silniej niż kiedykolwiek do tej pory.

Tebut przyłożyła koniuszek wskazującego palca do ucha, jakby usłyszała coś w słuchawce wielkości koralika.

- Kursem na przechwycenie leci niezidentyfikowany obiekt

- zameldowała. - Odległość dziesięć tysięcy kilometrów po stronie bakburty.

Na holomonitorze pojawiła się widoczna na tle konstelacji różnobarwnych symboli żółta ruchoma plamka. Z odczytu wynikało, że statek jest niewielki, prawdopodobnie wielkości gwiazdnego myśliwca, ale zbliżał się bardzo szybko.

- Nie mam pojęcia, co to jest, panie pułkowniku. - W głosie porucznik Tebut dało się słyszeć zdenerwowanie. Jacen z przelotnym niepokojem pomyślał, że ostatnio podwładni zaczęli się go bać... nie wiadomo dlaczego. - Nie zgadza się z żadnymi znanymi danymi na temat ilości wypromieniowywanego ciepła ani typu jednostki napędowej. Nic nie wskazuje na to, że jest uzbrojony. Jego pilot nie wysyła sygnału transpondera.

Jacen dowodził wielkim niszczycielem, a to był tylko samotny mały statek, ale wzbudzał jego ciekawość. Na pewno nie stanowił zagrożenia, mimo to Jacen nie uznawał tego za oczywiste.

Zawsze mógł wpaść w zasadzkę. Zbliżający się obiekt nie wyglądał groźnie, Jacen jednak nie mógł go zidentyfikować.

- Zwalnia, panie pułkowniku - zameldowała w pewnej chwili Tebut.

- Proszę dać mi znać, kiedy się znajdzie w zasięgu optycznych sensorów - rozkazał Solo.

Zastanowił się, czy nie zmienić pozycji „Anakina Solo”, żeby jak najszybciej zobaczyć, jak statek staje się iskierką światła odbitego od gwiazdy Contruuma, a później się powiększa i przybiera rozpoznawalny kształt. Nie musiał jednak tego robić, wystarczy patrzeć na ekran monitora systemu śledzącego. - Przygotować działa, ale nie otwierać ognia bez mojego wyraźnego rozkazu.

W gardle i na karku wyczuł łaskotanie. Najwyraźniej Ben wiedział, że zaczynają go namierzać artylerzyści systemów uzbrojenia „Anakina Solo”.

Spokojnie, Benie... - pomyślał.

- Nieznany obiekt w zasięgu wzroku, panie pułkowniku.

- W głosie Tebut brzmiała ulga. Na ekranie monitora pojawił się prawdziwy obraz statku, który mogła zobaczyć tylko ona i Jacen. Podwładna postukała czubkiem palca w transpastał. -

Wielkie nieba, czy to przypadkiem nie statek Yuuzhan Vongów?

Jacen zobaczył obiekt podobny do wyłuskanej z oczodołu wielkiej gałki ocznej, z czymś...

chyba ze skrzydłami po bokach. Trudno było określić to innym słowem. Między smukłymi

„palcami” płatów rozciągały się podobne do pajęczyn błony, a na matowej bursztynowej powierzchni odcinały się linie podobne do sieci żyłek. W pierwszej chwili Jacen uznał, że rzeczywiście ma do czynienia z organicznym statkiem... żywym obiektem, kompletnym ekosystemem w rodzaju takiego, jakie hodowali zniechęceni Yuuzhan Vongowie. Obiekt miał jednak zbyt regularny kształt, więc musiał zostać skonstruowany, nie wyhodowany. Z

kulistej powierzchni sterczały we wszystkie strony pęki spiczastych wypustek, które nadawały kadłubowi wygląd róży kompasowej.

W pewnej chwili Jacen poczuł w głębi mózgu, że Lumiya wyostrzyła czujność... i ucichła.

- Dobrze znam organiczne statki Yuuzhan Vongów - wyjaśnił podwładnej Solo. - Ten po prostu nie jest w ich stylu.

Nagle głośnik zasyczał, a po chwili rozległ się głos pilota dziwnego statku.

- Mówi Ben Skywalker. „Anakinie Solo”, tu Ben Skywalker ze Straży Galaktycznego Sojuszu. Nie otwierajcie do mnie ognia... proszę.

Na mostku gwiazdowego niszczyciela dało się słyszeć zbiorowe westchnienie rozbawienia i ulgi. Jacen doszedł do wniosku, że im mniej osób zobaczy dziwny statek - i im szybciej Ben wyląduje nim w hangarze z daleka od ciekawskich spojrzeń - tym lepiej.

- Jesteś sam, Skywalker? - zapytał oficjalnym tonem. Ben był podporucznikiem, ale do podwładnego można się było zwracać po nazwisku, byle nie po imieniu. Nie teraz, kiedy Ben wykonywał obowiązki dorosłego mężczyzny. - Żadnych pasażerów?

- Tylko ja i ten statek... panie pułkowniku - usłyszał w odpowiedzi.

- Masz zgodę na lądowanie. - Jacen powiódł spojrzeniem po twarzach personelu mostka i zatrzymał wzrok na Tebut. - Wyłącz obraz przekazywany przez optyczne sensory - rozkazał. -

Masz uważać ten statek za rzecz ściśle tajną. Nikomu nie wolno o nim rozmawiać, nikt go nie widział, a my nigdy nie przyjmowaliśmy go na pokład. Zrozumiałaś?

- Tak jest, panie pułkowniku - odparła Tebut. - Usunę wszystkich członków personelu z Hangaru Zeta. To rutynowa procedura bezpieczeństwa w takich sytuacjach. - Pod tym względem pani porucznik była jak kapitan Shevu i kapral Lekauf... całkowicie godna zaufania.

- Słuszna decyzja - pochwalił Jacen. - Muszę się upewnić, że Skywalker wyląduje bezpiecznie w hangarze. Proszę mi dać dostęp do służby.

Ruszył do hangaru. Oparł się pokusie, by przyspieszyć kroku. Wybrał tylko najkrótszą drogę, korzystając z wąskich przejść i durastalowych drabinek, które wiodły na najniższe poziomy kadłuba. Starał się trzymać z daleka od gwarnych i rojnych hangarów dla gwiazdnych myśliwców. Nie zwracał uwagi na androidy ani na spieszących do swoich zajęć członków załogi, wyraźnie zaskoczonych jego widokiem, aż w końcu dotarł do Hangaru Zeta. Przez otwarte wrota dla zaopatrzeniowych wahadłowców dostrzegł usianą iskierkami gwiazd czerń przestworzy. W transpatalowej klapie służby zobaczył swoje odbicie z rozwichrzonymi włosami. Muszę iść do fryzjera, pomyślał.

W hangarze od razu wyczuł Lumię.

- Po co tu przyszłaś? - zapytał, wyłączając kamerę systemu bezpieczeństwa lądowiska. -

Powitać wracającego bohatera?

Kobieta wyszła z cienia awaryjnego wjazdu, którym zazwyczaj dostawali się na lądowisko członkowie personelu. Zakryła dolną połowę twarzy, a z oczu wyzierało zmęczenie. Jacen zauważył pod jej oczami sine półksiężycy i uznał, że Lumiya musiała stracić sporo sił podczas walki z Lukiem.

- Przyszłam dla statku - powiedziała. - Sam się przekonaj.

W otworze hangaru pojawiła się żyłkowana sfera o średnicy dziesięciu metrów. Unosiła się w ciszy jakiś czas, po czym łagodnie spoczęła pośrodku płyty lądowiska. Wrota hangaru się zamknęły. Mniej więcej po minucie, kiedy ciśnienie wewnątrz wróciło do normy, w powierzchni sfery pojawił się otwór, z którego wyłoniła się rampa lądownicza.

- Ben poradził sobie doskonale, pilotując ten statek - oznajmiła Lumiya.

- Najwyraźniej, skoro mnie odnalazł - zauważył Jacen.

Czarna Lady Sithów cofnęła się w cień, ale Solo wiedział, że stoi tam i go obserwuje. Podeszedł do rampy. Z pokładu statku zszedł Ben w niechlujnym cywilnym ubraniu. Nie wyglądał na zadowolonego z siebie. Rozglądał się czujnie i posępnie, jakby się spodziewał kłopotów. Wyglądał także niespodziewanie... dorośle.

Jacen ścisnął go za ramię i wyczuł pod palcami skoncentrowaną energię.

- Cóż, najwyraźniej wiesz, jak wywierać wrażenie swoim powrotem - powiedział. - Gdzie to znalazłeś?

- Cześć, Jacenie. - Ben sięgnął do wewnętrznej kieszeni tuniki i wyłowił z niej srebrny łańcuszek z zawieszonym na końcu amuletem Kalary. Z przedmiotu emanowała ciemna energia, intensywna jak zapach perfum. - Kazałeś mi to odnaleźć, a ja wykonałem twoje polecenie.

Jacen wyciągnął rękę. Ben położył na jego dłoni wysadzany klejnotami amulet i przykrył go zwiniętym łańcuszkiem. Na pozór przedmiot wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak ciężkie i dosyć pospolite świece. Mimo to Jacen poczuł nagle w żołądku przykry ciężar. Wsunął klejnot do wewnętrznej kieszeni bluzy munduru.

- Spisałeś się na medal, Benie - pochwalił.

- Znalazłem go na Ziście, na wypadek, gdybyś chciał to wiedzieć - dodał chłopak. - To właśnie stamtąd pochodzi ten statek. Ktoś usiłował mnie tam zabić, więc porwałem pierwszy lepszy pojazd, którym dało się stamtąd uciec.

Wiadomość o próbie zamachu na życie Bena nie wywarła na Jacenie równie dużego wrażenia jak wzmianka o Ziście... ojczystej planecie Sithów. Zupełnie się tego nie spodziewał. Ben nie był jeszcze gotów, żeby usłyszeć prawdę o Sithach, podobnie jak na to, żeby zostać uczniem -

nieformalnym czy formalnym - mężczyzny, którego przeznaczeniem było zostać mistrzem ich zakonu. Jacen nie wyczuwał żadnej reakcji Lumii, ale kobieta na pewno słyszała słowa jego kuzyna. Nie wyszła jednak z cienia.

- To była niebezpieczna wyprawa, ale wiedziałem, że dasz sobie radę - stwierdził Jacen.

Lumiyo, to twoja sprawa, pomyślał. Co ty knujesz? - Kto usiłował cię zabić?

- Jakiś Bothanin - odparł Ben. - Nazywał się Dyur. Zapłacił kurierowi, żeby zabrał amulet na Ziosta,

a później oskarżył go o kradzież. Kurier zginął. Wyrównałem rachunki z tym Bothani-nem... rozpyliłem na atomy statek, którym ktoś mnie namierzał. Mam nadzieję, że leciał nim Dyr.

- Jak to zrobiłeś? - zdziwił się Solo.

Ben wskazał kciukiem sferę za swoimi plecami.

- Jest uzbrojona - wyjaśnił. - Ma chyba wszystkie znane systemy uzbrojenia.

- Dobra robota. - Jacen miał wrażenie, że Ben traktuje teraz podejrzliwie całą galaktykę. W

błękitnych oczach chłopca zobaczył cień, jakby ktoś pozbawił je dawnego blasku. To dlatego Ben wyglądał starzej. Otarł się o wrogi świat, daleki od dotychczasowego ciepłarnianego życia, co miało stanowić ważną część jego szkolenia. - Benie, twoja wyprawa była ściśle tajna. Ten statek także musi pozostać tajny, podobnie jak wszystko, co widziałeś i co przeżyłeś. Ani słowa nikomu.

- Myślałeś, że pochwalę cię rodzicom, co robiłem na wakacjach? - zakpił Ben. - A wiadomość podpiszę: Ben Skywalker, wiek czternaście lat i dwa tygodnie?

Ben nie był już entuzjastycznie nastawionym do życia dzieciakiem, którego można było zadowolić byle czym, ale to dobrze. W końcu miał zostać uczniem Lorda Sithów. Jacen postanowił zmienić temat rozmowy. Niedawne urodziny Bena mogły być okazją do podsumowania, zwłaszcza jeżeli się je obchodziło w niemiłych okolicznościach.

- Jak tym sterowałaś? - zapytał. - Nigdy niczego takiego nie widziałem.

Ben tylko wzruszył ramionami i zaplótł ręce na piersi. Stał, zwrócony plecami do dziwnego statku, ale rozglądał się po hangarze, jakby chciał sprawdzić, czy statek nie przeleciał w inne miejsce.

- Po prostu myślałem, co chcę zrobić, a statek to robił - powiedział. - Mogłem też do niego mówić, ale w tej kuli nie ma żadnych systemów kontrolnych. - W końcu obejrzał się za siebie. -

Statek zwracał się do mnie za pośrednictwem moich myśli. Aha, i nie ma o mnie najlepszego zdania.

Statek Sithów. Ben przyleciał z Ziosta statkiem Sithów. Jacen oparł się pokusie wejścia do środka i zbadania wnętrza sfery.

- Musisz teraz wrócić do domu - oznajmił. - Powiedziałem twoim rodzicom, że nie mam pojęcia, gdzie się podziewasz, ale zasugerowałem, że to przez nich uciekłeś, bo otaczali cię przesadnie troskliwą opieką.

Ben sposepniał.

- Dzięki - mruknął.

- Ale to prawda - ciągnął Jacen. - Sam o tym dobrze wiesz. - Uświadomił sobie, że nie powiedział jeszcze tego, co naprawdę ma znaczenie. - Benie, jestem z ciebie dumny.

Wyczuł promieniującą od kuzyna satysfakcję, która jednak zgasła równie szybko jak zapłonęła.

- Jeżeli chcesz, złożę ci szczegółowy raport - bąknął chłopak.

- Owszem, chcę. I to jak najszybciej. - Jacen skierował go w stronę wyjścia z hangaru. -

Chyba dobrze się stało, że nie poleciałeś tym statkiem prosto do domu. Załatwię ci transport na najbliższą bezpieczną planetę, skąd będziesz mógł polecieć na Coruscant zwykłym pasażerskim wahadłowcem.

- Będę też potrzebował trochę kredytów - zauważył Ben. - Nie chcę więcej kraść, żeby jakoś przeżyć.

- Naturalnie.-Bendoskonalewywiązał się zadania.Udowodnił, że potrafi przetrwać tylko dzięki własnej przedsiębiorczości. Jacen zrozumiał, że sztuka kształtowania charakteru mężczyzny polega na tym, żeby dużo od niego wymagać, by go zahartować, ale nie zrazić do siebie. Tę procedurę musiał ostrożnie wcielać w życie. Na razie wyłowił z kieszeni garść niemożliwych do wytropienia żetonów kredytowych o różnych nominałach. - Proszę bardzo - powiedział. - A teraz powinienes coś zjeść.

Ben rzucił jeszcze raz okiem na sferyczny statek, zasalutował niedbale i ruszył w kierunku szybów turbowind. Jacen pozostał na płycie lądowiska. Wyczuwał, że statek go obserwuje.

Domyślał się, że sfera, choć nieżywa, jest obdarzona świadomością. W końcu usłyszał

dobiegający zza pleców odgłos lekkich kroków. Statek nadal go ignorował, więc skierował uwagę w tamtą stronę.

- To sfera medytacyjna Sithów - oznajmiła Lumiya, podchodząc bliżej.

- To jednostka bojowa - sprzeciwił się Solo. - Coś jak gwiazdny myśliwiec.

- Jest stary, nieprawdopodobnie stary. - Lumiya podeszła do statku i położyła dłoń na chropowatej powierzchni kadłuba. Pod dotykiem jej palców statek jakby się zapadł. Jacen domyślił się, że skrzydła i wypustki na kilu ukryły się pod spodem. Wyglądał teraz jak domowe zwierzątko, które przycupnęło przed swoim właścicielem i domaga się pochwały. Jarzył się od środka niczym podświetlony bursztyn.

- Co za wspaniałe osiągnięcie inżynierii. - Lumiya uniosła brwi, a w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki. Jacen ze zdumieniem stwierdził, że kobieta się uśmiecha. - Twierdzi, że mnie odnalazł.

Lumiya chyba mimowolnie pozwoliła sobie na to wyznanie. Jacen doszedł do wniosku, że to się jej raczej nie zdarza. Ben został zaatakowany podczas wymyślonej przez nią próby, a statek pochodził z planety Ziost. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to najlepiej.

- Szukał ciebie? - zapytał zdziwiony Solo.

Kobieta nie odpowiedziała od razu, jakby wsłuchiwała się w jakiś głos w swojej głowie.

- Mówi, że Ben musiał cię odszukać - zaczęła wreszcie. - Kiedy statek cię odnalazł, rozpoznał we mnie Sitha i zwrócił się do mnie z prośbą o wskazówki.

- W jaki sposób mnie odnalazł? - zapytał coraz bardziej zaskoczony Solo. - Maskuję się w Mocy, jeżeli nie chcę, żeby mnie ktoś wykrył, a nie chciałem, żeby mnie odnaleziono, dopóki...

Zapadła krótka cisza. Lumiya miała oczy pełne radości. Była chyba wzruszona uwagą jaką okazywał jej dziwny statek. Jacen przypuszczał, że od bardzo dawna nikt tak się nią nie zainteresował.

- Statek mówi, że spowodowałaś zakłócenie Mocy w systemie Gilattera i że połączenie twojego nurtu z faktem, że szukałeś rudowłosego dziecka... a także ślad, jaki załoga twojego okrętu pozostawiła w Mocy, pozwoliły mu cię wysledzić, zanim przywróciłeś w Mocy swoją obecność - powiedziała w końcu Lumiya.

- O rany, on ma o sobie naprawdę bardzo wysokie mniemanie

- mruknął Solo.

- Możesz go zatrzymać, jeżeli chcesz - zaproponowała Czarna Lady Sithów.

- To miłe z twojej strony, ale nie jestem kolekcjonerem - odparł machinalnie Jacen, ale jego myśli cały czas gnały jak szalone. A więc jednak można mnie wysledzić, pomyślał. I to wyłącznie dzięki reakcjom otaczających mnie osób, choćbym skutecznie ukrył swoją obecność w Mocy. Tak, „nurt” to odpowiednie słowo.

- Ten statek jest chyba stworzony dla ciebie.

Lumiya głęboko odetchnęła. Cienka ciemnoniebieska tkanina zakrywająca dolną połowę jej twarzy ukazała na chwilę zarys warg.

Maszyna, podobna do żywego stworzenia dla kobiety, któ- M jest bardziej maszyną niż żywą istotą - podsumowała. Po- Itawiła jedną stopę na rampie. - No cóż, wymyślę sposób, jak Ją wykorzystać. Dziękuję ci za ten dar. Nikt nie musi go nigdy oglądać.

Ostatnio Jacen zwracał większą uwagę na to, czego Lumiya nie mówi, niż na to, co mówi. Nie zamierzał z nią rozmawiać o teście, który wymyśliła dla Bena, podobnie jak nie chciał jej pytać, dlaczego kazała chłopcu lecieć na Ziosta i zastawiła tam na niego pułapkę. Początkowo miał

taki zamiar, ale zdecydował, że trudno byłoby mu znieść prawdę, a jeszcze trudniej kłamstwo.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin „Anakin Solo” powinien wrócić na Coruscant, a on będzie musiał się zająć wojną w galaktyce i stoczyć swoją osobistą walkę.

- Wypytaj mnie! - zawołała w ślad za nim Lumiya. - Przecież tego chcesz!

Jacen się odwrócił.

- Mam cię spytać, czy chciałaś, żeby Ben zginął, czy o to, kogo będę musiał zabić, żeby osiągnąć mistrzostwo Sithów?

- Znam odpowiedź na pierwsze pytanie, ale nie na drugie - odparła kobieta.

Jacen rozumiał, że trudny test sprawdzenia umiejętności bojowych Bena oddziela tylko bardzo cienka linia od świadomej próby zabicia chłopca. Z drugiej strony nie mógł mieć pewności, czy odpowiedź Lumii cokolwiek wyjaśni.

- Mogłbym zadać jeszcze jedno pytanie - powiedział. - Ile czasu upłynie, zanim będę musiał się zmierzyć z własnym testem?

Od strony sfery Sithów dobiegło dziwne trzeszczenie. Jacen zauważył, że statek rozciąga pletwopodobne skrzydła. Lumiya stanęła na progu wjazdu i rozejrzała się wokół, jakby się bała wejść do środka.

- Gdybym znała odpowiedź na to pytanie, wiedziałabym też, kto będzie przedmiotem twojego testu - stwierdziła. - Wyczuwam jednak, że nastąpi to niedługo, a tym przedmiotem będzie ktoś bliski. - Kobieta urwała, jakby znów wsłuchiwała się w czyjś głos w swojej głowie. Może to statek przedstawiał jej własną opinię. - A zresztą ty też to wiesz. Zżera cię niecierpliwość.

Naturalnie miała rację... Jacen chciał jak najszybciej wszystko zakończyć: walkę, niepewność, chaos. Trwające w galaktyce zmagania odzwierciedlały walkę, jaką toczył w sobie.

Lumiya powiedziała prawdę... To już niedługo.

Keldabe, stolica Mandalory, spotkanie klanów, sala firmy MandalMotors W wielkiej sali zebrania ponurego srebrzystoszarego granitowego gmachu, który firma MandalMotors przekazała na użytek miejscowej społeczności, zgromadziła się mniej więcej setka naj- zادیorniej wyglądających osób obojga płci, jakie Fett kiedykolwiek widział.

Najzادیorniej wyglądała Mirta Gev, jego wnuczka. Stała z boku sali i kierowała na niego oczy, które wyglądały zupełnie jak oczy jej ojca.

Moje oczy, pomyślał Boba.

Fierfek, Mirta naprawdę miała oczy Fettów. Może mu się zresztą tylko tak wydawało, ale i tak spojrzenie wnuczki przeszływało na wylot jego duszę. Mówiło: zawiodłeś mnie. Fett nie słyszał

gwaru zebranych, ale bezgłośnie oskarżenie, że jego córka Ailyn Vel zginęła, a on temu nie zapobiegł ani nawet o tym nie wiedział. Może więc było za późno myśleć o tym, żeby stać się dobrym Mandalorem. Jego ojciec wychowywał go i szkolił, żeby Boba był najlepszy, i chociaż nigdy nie

wspominał, że któregoś dnia syn może zostać Mandalorem, ten zaszczytny tytuł

stanowił część dziedzictwa, jakie ojciec mu przekazał. Dziedzictwa Jastera.

Lepiej się pospiesz, pomyślał Boba. Jesteś umierający, a masz jeszcze do załatwienia kilka spraw. Przede wszystkim musisz zdobyć lekarstwo, a później się dowiedzieć, co się stało z twoją żoną... zbadać, jaki los spotkał Sintas Vel.

Nie chodziło o to, że Mirta nie chce mu tego powiedzieć.

Jego córka po prostu nie wiedziała. Miała ogniste serce, które Boba podarował Sintas jako prezent ślubny, ale po śmierci żony klejnot wylądował w sklepiku handlarza. Stał się przynętą, a Boba dał się na nią zwabić.

Dla Fetta stał się jednak czymś więcej niż przynętą. Stał się impulsem do działania, jeszcze jednym dowodem.

Nigdy nie jest za późno, żeby się wszystkiego dowiedzieć, pomyślał. Kiedy sądziłem, że jest inaczej, nie miałem racji.

Rozmowy wodzów klanów, przywódców spółek i weteranów wojowników wielu wojen stopniowo cichły, aż zupełnie umilkły. Zgromadzeni Mandalorianie zwrócili na Fetta czujne spojrzenia. Nie wszyscy byli ludźmi. Boba dostrzegł Togorianina i Mandalia- nina w budzących grozę zbrojach. Oparci plecami o przeciwległą ścianę stali z rękami zaplecionymi na masywnych torsach. Nie wszyscy Mandalorianie byli istotami ludzkimi. Liczyły się zwyczajnie.

Fett zastanowił się, czy aby na pewno sam może się uważać za Mandalorianina.

- Oya! - dał się słyszeć cichy pomruk, który przeszedł w głośnie skandowanie: - Oya! Oya!

Dla Mandalorian to słowo miało setki znaczeń. Tym razem oznaczało: „Zaczynamy”.

Mandalorianie zawsze rozpoczynali w taki sposób swoje zebrania. Nie zawracali sobie głowy zbędnymi wstępnymi.

Chwilę później wstał wódz. Miał fantazyjnie przystrzyżoną bródkę i opaskę na oku.

- A zatem, Mand'alor - odezwał się prosto z mostu - będziemy walczyli czy nie?

- Z kim chciałbyś walczyć? - zapytał Fett. Zauważył, że kiedy zebrani zwracają się do niego, mówią w basicu przez szacunek dla jego nieznaności języka mando 'a. - Z Galaktycznym Sojuszem? Z Korelią? A może z jakąś zapomnianą przez Moc dziurą na obrzeżach Rubieży?

- Jeszcze nie było takiej wojny, w której nie bralibyśmy udziału - przypomniał wojownik.

- Aż do teraz. To nie jest nasza wojna - odparł Fett. - Manda- lora ma dosyć własnych kłopotów.

- Wojna się rozszerza. Problemy walczących stron mogą dotrzeć aż na Mandalorę.

Fett stał obok wąskiego okna w zachodniej ścianie, biegnącego niemal przez całą wysokość sali, od podłogi do sufitu. Mandalorianie budowali domy w taki sposób, żeby mogli się w nich bronić. Publiczne gmachy miały służyć jako cytadele, obecnie nawet bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości. Podczas ostatniej inwazji Yuuzhan Vongowie wywarli na Mandalorze straszliwą zemstę za to, że jej mieszkańcy potajemnie sprzyjali Nowej Republice, ale skutek odwetu obcych istot był taki, że Mando 'ade stali się jeszcze bardziej zdecydowani, by pozostać na swojej planecie. Co prawda nigdy nie zapomnieli o tym, że są nomadami... chodziło tu bardziej o protest i niechęć do pogodzenia się z losem, niż o umiłowanie ojczystej planety.

Mandalorianie stracili jedną trzecią swojej populacji, więc nie mogli udawać, że nic się nie stało. Wielu wciąż jeszcze pamiętało czasy okupacji Imperium.

Okrutni dranie, ci Vongowie, pomyślał Boba. Naprawdę nie miałem wówczas innego wyjścia.

Lepsza była Nowa Republika niż istoty, które wyglądają jak kraby.

Powiodł spojrzeniem po sali, świadom intensywnego wzroku wnuczki.

- Jak brzmi pierwsza reguła udziału w każdej wojnie? - zapytał.

Siedzący na krzesłach i ławach, stojący z zaplecionymi na piersi rękami czy opierający się o ściany przywódcy mandaloriańskiego społeczeństwa - a przynajmniej ci, którzy dali radę dotrzeć w porę do Keldabe - uważnie go obserwowali. Nawet zwierzchnik firmy MańdalMotors, Yir Yomaget, nosił tradycyjny pancerz. Większość zdjęła hełmy, ale niektórzy tego nie zrobili. Fett nie miał nic przeciwko temu. On także nie uznał za stosowne zdjąć hełmu.

- Co z tego będziemy mieli - odezwał się krępy mężczyzna, rozparty na krześle, chyba zespawanym z okratowanych pojemników. —A druga, ile z tego będziemy mieli.

- No właśnie... co tym razem byśmy z tego mieli? - zapytał Boba.

My. Fett był Mand'alorem, wodzem wodzów i dowódcąsuperkomandosów, więc nie mógł

dłużej unikać tego zaimka. Nie czuł się jednak członkiem tej społeczności. Miał wrażenie, że jest jak wracający nad ranem mąż, zmuszony stawić czoło rozgniewanej żonie, która chce się dowiedzieć, gdzie spędził całą noc, a delikwent nie ma pojęcia, jak uniknąć nieuchronnej kłótni. Postanowił zgłębić swoje uczucia, żeby się przekonać, co je powoduje.

Nie nadaję się do tej pracy, pomyślał ponuro.

Może i był najlepszym łowcą nagród, ale chyba nie był dobrym Mandalorem. Niepokoiło go to, bo nigdy nie zadowalał się przeciętnością. Zawsze dążył do tego, żeby być doskonałym.

Podjął się tej pracy i obecnie musiał udowodnić, że zasługuje na szlachetny tytuł, a to było o wiele łatwiejsze podczas wojny niż w czasie pokoju.

Fenn Shysa najwyraźniej uważał go za odpowiedniego kandydata. Umierając, wyraził

życzenie, żeby Fett został Mandalorem, obojętne, czy tego chce, czy nie. Szalony barve, pomyślał Boba.

Krępy Mando wzruszył ramionami.

- Kredyty, Mandalor - powiedział. - Potrzebujemy pieniędzy, na wypadek, gdybyś tego nie zauważył.

- Żeby je wydać na importowane jedzenie.

- Właśnie.

- A może to jeden ze sposobów równoważenia podaży i popytu?

- Co takiego?

- Poprzec w tej wojnie jedną albo drugą stronę - wyjaśnił Fett.

- Dzięki temu będziemy mieli mniej głodnych do wykarmienia. Martwi nie jedzą.

Tym razem w sali rozległy się chichoty i uwagi w języku mando'a. Fett zanotował w pamięci, żeby przy najbliższej okazji zaprogramować translator swojego hełmu. Poczł się, jakby ostatecznie przyznawał się do porażki jako przywódca Mandalorian, bo nie umiał się porozumieć w języku swoich ziomków. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby im to przeszkadzało.

- W tej sprawie zgadzam się z Mand'alorem - odezwał się chrapliwie mężczyzna siedzący w głębi sali. Fett go znał. To Neth Bralor. Znał kiedyś kilku Bralorów, ale nie wszyscy należeli do tego samego klanu. Nazwisko było dosyć pospolite i dowodziło tylko tego, że nosząca je osoba pochodzi z Norg Brala albo innego ufortyfikowanego miasteczka w górach. - Podczas walk z vonge- se straciliśmy prawie półtora miliona osób - ciągnął mężczyzna.

- Gdyby to samo przytrafiło się mieszkańcom Coruscant, prawdopodobnie nawet nie zauważyliby tej straty, ale dla nas to prawdziwa katastrofa. Nigdy więcej nie powinniśmy tego robić... przynajmniej dopóki nie doprowadzimy do porządku Manda 'yaima. Jeżeli zostaniemy do tego zmuszeni, będziemy jedli bas neral.

W wielkiej sali rozległ się szmer poparcia. Na znak aprobaty niektórzy wodzowie zaczęli uderzać rękawicami w napierśnik pancerza. Należała do nich Isko Talgal, kobieta-komandos, którą Fett spotkał na Dralii w lokalu Zerrii. Miała ponurą wysmaganą przez wichry twarz i poprzetykane srebrzystymi koralikami, zaczesane do tyłu, siwiejące czarne włosy, ale entuzjastycznie waliła pięścią w płytę chroniącą jej udo. Fett był ciekaw, jak ta kobieta wygląda, kiedy jest niezadowolona.

- Chcieliście usłyszeć moją decyzję - powiedział. - Właśnie ją wam oznajmiłem. - Poczł się, jakby czas przyspieszył tempo i przepływając obok, pozbawiał go resztek cierpliwości.

Odczuwał ból we wszystkich kościach, nawet w kręgosłupie. - Galaktyczny Sojusz czy

Konfederacja... co za różnica, po której stronie się opowiemy?

- Jest różnica - odezwała się osoba mówiąca z wyraźnym pół- nocno-concordiańskim akcentem. - W najbliższym czasie Coru- scant nie poprosi nas, żebyśmy się rozbroili. Mogą nas potrzebować, jeżeli będą musieli stoczyć następną wojnę z vongese.

- Chakaare! - wykrzyknął ktoś i zaraz parsknął śmiechem. Dyskusja nabrała jednak tempa, chociaż nadal toczyła się przeważnie w basicu.

- A co, jeżeli wojna dotrze w okolice Mandalory? Jeżeli obejmie najbliższy system albo dwa?

- Nawet jeśli się opowiemy po stronie Sojuszu, kto nam zagwarantuje, że Sojusz nie zwróci się przeciwko nam i nie każe się nam rozbroić, co byłoby zgodne z ich pacyfistycznym nastawieniem?

- Im nie zależy na rozbrojeniu, ale na włączeniu sił zbrojnych wszystkich planet do Galaktycznego Sojuszu, a wszyscy dobrze wiemy, że ich wojska potrafią być szybkie i skuteczne...

Fett zachował milczenie i tylko słuchał głosów z sali. W pewnym sensie czuł się podniesiony na duchu i rozbawiony. Uczestniczył w procesie podejmowania decyzji razem z małą grupą najbardziej niezależnych osobistości. Oni wiedzieli, kiedy odrzucić indywidualność i stać się narodem.

Zabawne było takie określenie Mandalorian, pomyślał. Czasami walczyliśmy po przeciwnych stronach. Rozproszyliśmy się po całej galaktyce. Nie jesteśmy nawet istotami tej samej rasy.

Wiemy jednak, kim jesteśmy i czego chcemy, i nic nie wskazuje na to, żeby to się miało szybko zmienić.

Wszystkie argumenty sprowadzały się do jednego i tego samego. Potrzebowano kredytów.

Czasy były ciągle bardzo ciężkie.

W końcu Fett uderzył z łomotem pięścią w najbliższą twardą powierzchnię - blat niewielkiego stołu - i położył kres głośnej dyskusji.

- Mandalora nie zajmie stanowiska w obecnej wojnie, więc nie będzie powodów do podziałów między nami - oznajmił stanowczo. - Jeżeli ktoś zechce zaoferować swoje usługi którejś ze stron jako indywidualna osoba, to jego sprawa. Nie może jednak robić tego w imieniu Mandalory.

W wielkiej sali zapadła głucha cisza. Fett wsadził kciuki za pas i przygotował się na wybuch sprzeciwu. Szerokokątny obiektyw kamery jego hełmu zarejestrował obraz zakutej w kompletny pancerz postaci stojącej w odległym kącie. Nie zawsze dało się zgadnąć, czy Mando w pancerzu jest osobą płci męskiej, czy żeńskiej, ale Fett był pewny, że to średniego wzrostu mężczyzna, stojący z rękami założonymi za plecy. Lewy naramiennik jego purpurowo-czarnego pancerza był jasnobrązowy i połyskiwał jak metal. Różnobarwne płytki pancerza nie były niczym niezwykłym, bo wielu Mandalorian zachowywało fragmenty zbroi poległych krewnych, ale widok tego pancerza zdziwił Bobę, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego.

Na środkowej płycie napierśnika widniał rzucający się w oczy błyszczący punkt, niczym odbity promień słońca, chociaż był na tyle jasny, że wyglądał jak samoistne źródło światła.

Powinienem był to zrobić, pomyślał Boba. Powinienem stale nosić jakiś element pancerza mojego ojca.

Zmartwił się, że wcześniej o tym nie pomyślał, ale wyrwał się z zadumy i poświęcił znów uwagę prowadzeniu zebrania.

- Rozumiem, że wszystko w porządku - odezwał się radosnym tonem siwowłosa mężczyzna siedzący kilka kroków od niego. Ciemnoniebieski tatuaż przedstawiający pęd winorośli wił się na jego szyi i kończył pod brodą. Mężczyzna nazywał się Baltan Carid. Fett widział go ostatnio, kiedy wojownik rozprawiał się z Yuuzhan Vongami na stacji Caluula, strzelając do nich z pokiereszowanego blastera, pamiętającego jeszcze czasy Imperium. - To wszystko, co musieliśmy wiedzieć... że nikt nikomu nie zabrania zostać najemnikiem.

- Zawiadomię uczestników sporu, że oficjalnie nie opowiadamy się po żadnej stronie -

odezwał się Fett. - Jeżeli jednak ktoś spośród was zechce się dać zabić, to proszę bardzo.

- Może się więc zdarzyć, że zobaczymy, jak jeden Mando walczy z innym Mando w wojnie toczonej przez aruetiise. - Wszyscy spojrzeli na mężczyznę w purpurowym pancerzu. Fett nie znał wprawdzie języka mando 'a, ale były w nim słowa, których nie mógł nie rozumieć, jak to: aruetiise. Oznaczało to osobę, która nie jest Mandalorianinem. Miewało pogardliwy wydźwięk, ale zazwyczaj służyło do określenia kogoś, kto „nie jest jednym z nas”. - Coś takiego nie pomoże w odrodzeniu się naszej społeczności, prawda?

- Wojownicy to nasz najważniejszy towar eksportowy - przypomniał Carid. - Do czego zmierzasz? Chcesz zrobić z Keldabe ośrodek turystyczny czy coś w tym rodzaju? - Ryknął

śmiechem. - Już to widzę: „Przylatujcie na Mandalorę, zanim Mandalora przyleci do was!

Zabierzcie do domu kilka pamiątek... kawałek ciasta uj i cios pięścią w zęby”.

- Czyżby nasza polityka gospodarcza polegała na tym, żeby zarabiać od obcych kredyty, dać się zabijać i zaniedbywać planetę?

Carid wyszczerzył zęby w uśmiechu. Bez hełmu wyglądał naprawdę groźnie.

- A masz lepszy pomysł? - zapytał. - Zamierzasz nam zafundować wielogodzinne przemówienie na temat samostanowienia i państwowości kadikła? Pamiętaj o tym, że nikt nie młodnieje, synu. A ja chciałbym zdążyć do domu na kolację, bo moja pani zamierza dzisiaj podać kluski z mąki grochowej.

Tym razem wiele osób wybuchnęło śmiechem. Carid potrafił budzić właśnie taką reakcję. W

wielkiej sali dały się słyszeć okrzyki:

- Ta-a, wiemy coś na temat tych klusek, Carid...

Kadikla. A zatem ruch na rzecz odrodzenia Mandalory miał już własną nazwę. Fett nigdy dotąd nie spotkał Kad'iki... mężczyzny, który podobno był przywódcą mandaloriańskich nacjonalistów. Pomyślał, że Kad'ika zaniedbuje swoje obowiązki - bo zrobił tylko to, o co go proszono, i powrócił, żeby stanąć na czele Mandalorian.

- Masa krytyczna, ner vod, mój bracie. - Purpurowy Pancierz zignorował wybuchy śmiechu.

Mówił takim tonem, jakby już nieraz brał udział w podobnych dyskusjach. - Liczba naszej ludności nie przekracza trzech milionów, plus może trzy razy tyle w diasporze. Straciliśmy naszych najlepszych żołnierzy, ziemie naszych farm zostały zatrute, a po dziesięciu latach od końca wojny cała infrastruktura jest rozbita w haran. Kto wie, może to idealna pora na ściągnięcie do domu naszych ziomków? Wezwijmy do powrotu wygnańców, dopóki reszta galaktyki jest zajęta innymi sprawami.

Carid wrócił do dyskusji, a wszyscy jakby zapomnieli o istnieniu Fetta.

- Chyba po to, żebyśmy stanowili łatwiej S2y cel. Wszyscy w jednym miejscu, tak?

- Od bardzo dawna nie zaatakował nas nikt oprócz vongese.

- Masz krótką pamięć. Wypatroszyło nas Imperium. A może byłeś jeszcze w powijakach, kiedy Shysa musiał nas uczyć, co to duma?

- Ach, tak? W takim razie porzucimy Mandalorę. Stańmy się znów nomadami.

Przemieszczajmy się z miejsca w miejsce. Spełnijmy zachcianki każdego rządu oprócz własnego.

- Synu, przecież to my jesteśmy shabla rządem - odezwał się Carid. - Czego właściwie od nas chcesz?

- Konsolidacji Mandalory i całego sektora. Chcę, żeby wezwać naszych ziomków do powrotu do domu i zbudować coś, czego nikt nigdy nie da rady pokonać. - Purpurowy Pancierz mówił z lekkim akcentem, trochę coruskańskim, a trochę keldabeńskim. - Wznieść podwaliny władzy.

Żebyśmy mogli mieć wybór, kiedy zostawać w domu, a kiedy wyruszać na wyprawy.

- Zabawne... bo wydawało mi się, że właśnie tym się zajmujemy - odciął się Carid.

Zafascynowany Fett przysłuchiwał się tej wymianie zdań, dopóki nie uświadomił sobie, że wszyscy wpatrują się w niego i czekają na jego reakcję... a przynajmniej na coś, co zakończyłoby tę dyskusję. A więc na tym polegało dowodzenie poza polem bitwy.

Przypominało prowadzenie własnego interesu, ale było bardziej... skomplikowane. W grę wchodziło więcej zmiennych, więcej niewiadomych - Fett nie znosił niewiadomych - a oprócz nich problem zupełnie mu obcy: odpowiedzialność. Odpowiedzialność za miliony osób, które jednak umiały same

troszczyć się o siebie i kierować swoim życiem całkiem nieźle bez urzędowej pomocy.

Bez mojej pomocy też, pomyślał Fett. Czy w ogóle jestem im potrzebny?

- Jak się nazywasz? - zapytał.

Purpurowy Pancierz opierał się o ścianę, ale po jego pytaniu oderwał od niej plecy, wzruszył ramionami i stanął prosto.

- Graad - powiedział.

- Dobrze, Graad... od tej pory takie będzie nasze oficjalne stanowisko - zaczął Boba. -

Zaapeluję, żeby na Mandalorę powróciły dwa miliony naszych ziomków. Jak myślisz, ilu mnie posłucha? - To miało sens, bo planeta potrzebowała rąk do pracy. Należało odkazić glebę, którą zatruli vongese, i uprawiać grunty leżące odłogiem po śmierci właścicieli. Problem w tym, że wszystkich Mandalorian w galaktyce było mniej niż mieszkańców małych miast na powierzchniach wielu innych planet. - Nie zdobędziemy wystarczająco dużo kredytów, dopóki się nie staniemy samowystarczalni pod względem produkcji żywności.

- Będziemy dokładali do wspólnej kasy połowę naszych zysków - obiecał szef firmy MandalMotors. - Naturalnie tak długo, dopóki będziemy mogli sprzedawać każdej ze stron nasze myśliwce i sprzęt wojskowy.

- Interes to interes. - Fett podziękował mu kiwnięciem głowy. - Ja także dorzucę kilka milionów kredytów.

Carid rozejrzał się po sali, jakby chciał wykryć kogoś na tyle szalonego, żeby się sprzeciwił, ale wszyscy wydawali się zadowoleni. Tylko Mirta nadal posyłała Fettowi złowieszcze spojrzenie. Na szyi, na skórzanym rzemyku, nosiła fragment ognistego serca, klejnotu swojej matki. Dobrze chociaż, że miała przyzwoity hełm, prawdopodobnie pierwszy w jej życiu.

Dzięki temu mogła opowiadać, jak dobrym Mandalorianinem był jej ojciec... albo jak rzadko go widywała.

Może dla niej wszyscy ojcowie Mando byli powodem do rozczarowań, pomyślał Boba.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Kilka następnych dni zamierzam spędzić z daleka od bazy. Nie będzie można nawiązać ze mną kontaktu.

- Co za różnica? - mruknął ktoś z obecnych.

Miał rację.

- Nie jestem wybitnym przywódcą, ale na razie was nie zawiodłem - zauważył Fett. - W czasie mojej nieobecności będzie mnie zastępował Goran Beviin.

Nikt nie zaprotestował. Beviin był uczciwym, wiarygodnym mężczyzną no i ani myślał

zostawać Mandalorem. Niczym dzikus z dawnych czasów, władał beskadem, prastarym mandaloriańskim żelaznym mieczem, i wielu Yuuzhan Vongów doświadczyło tego na własnej skórze. Fett mógł być pewny, że podczas jego nieobecności Beviin odrzuci wszelkie argumenty przeciwko neutralności Mandalory.

- W takim razie nie mamy tu już nic do roboty - podsumował Carid. - Jeżeli mi dasz spis wszystkich terenów uprawnych, które leżą odłogiem, mój klan dopilnuje, aby trafiły w ręce tych, którzy powrócą, żeby się zająć ich uprawą. - Urwał na chwilę i starannie włożył hełm. -

Cieszę się, że sprowadziłeś Janga do domu, Mand'alor. Należało to zrobić.

Czy rzeczywiście? - zadał sobie pytanie Fett. Ojczyzną jego ojca była Concord Dawn, więc może sprowadzenie jego szczątków było słuszną rzeczą z punktu widzenia Mandalory. Jej mieszkańcy lubili patrzeć na swoich, choćby nawet nieżywych, bohaterów.

- Nikt nie musi mnie słuchać, jeżeli nie ma na to ochoty - powiedział.

- Nikt nigdy nie słyszał, żebyś się trzymał z dala od walki - stwierdził Carid. - Masz swoje powody i właśnie dlatego cię słuchamy. - Urwał i zastanowił się chwilę. - Przykro mi z powodu twojej córki - dodał w końcu.

- Ta-a. - A zatem wszyscy wiedzieli, jaką śmiercią zginęła Ai-lyn. Fett nie przypominał sobie, żeby komukolwiek mówił o jej śmierci, a szczególnie o tym, że zabił ją Jacen Solo. Mandalora nie była jej ojczyzną więc nie musiał jej tu pochować. - Idę o zakład, że wszyscy się zastanawiacie, dlaczego tamten Jedi nie stał się jeszcze nieboszczykiem.

- Jak powiedziałem, masz swoje powody - powtórzył Carid. - Jeżeli możemy ci w czymś pomóc, powiedz tylko słowo.

- Zostawcie to mnie. Jeszcze nadejdzie jego czas - odparł Boba. Ale nie w tej chwili, pomyślał. Musiał się zająć polowaniem na klona w szarych rękawicach. Musiał wykorzystać szansę pokonania śmiertelnej choroby.

Sala opustoszała, ale Mirta stała z rękami zaplecionymi na piersiach w tym samym miejscu, oparta plecami o ścianę.

- Zastanawiam się, czy Calowi Omasowi idzie równie łatwo w Senacie - odezwała się w końcu.

- Mandalorianami nie da się rządzić - stwierdził Fett. - Można tylko przedstawiać im sensowne propozycje, z których ewentualnie zechcą skorzystać. - Wyszedł na dwór, przerzucił

nogę przez siodełko raketowego skutera, który pożyczył mu Beviin, i skrzywił się z bólu za przesłoną hełmu. Zastanowił się, czy nie ulec i nie zażyć codziennej porcji środka uśmierzającego ból. - A zresztą odkąd to Mandalorianom trzeba mówić, co ma sens?

- Odkąd nabrali zwyczaju ba 'slan shev 'la w beznadziejnych sytuacjach - stwierdziła Mirta.

Fett pamiętał ten zwrot, bo Beviin używał go wielokrotnie podczas wojny z Yuuzhan Vongami. Znaczyło to „strategiczne zniknięcie” - rozproszenie się i zaszywanie w kryjówkach, kiedy groziło poważne niebezpieczeństwo. Trudno było pokonać grupę, którą rozprasza się jak krople rtęci i czeka tylko na odpowiednią chwilę, żeby się znów połączyć. To nie był odwrót, to było przyczajenie się i uzbrojenie w cierpliwość.

- Daj spokój - powiedział Fett. - Mam kilka wskazówek, gdzie szukać tego klona.

Mirta wspięła się na tylne siodełko, a jej napierśnik zderzył się z grzechotem z jego pancerzem. Dzięki uprzejmości Beviina wnuczka Bobby miała już kompletny ekwipunek, nie wyłączając plecaka raketowego.

- Czy wytropienie kogoś zajęło ci kiedykolwiek tyle czasu? - zapytała. - Szukasz go już kilka miesięcy.

Nie przeginaj, pomyślał Fett.

- Dokładnie sześćdziesiąt pięć dni - powiedział.

- A zatem jesteś pewny, że ten klon istnieje.

- Nie okłamałabyś mnie ani nie wymyśliła nazwiska Skirata.

- Nie - przyznała młoda kobieta. - Chcesz, żebym ci towarzyszyła w poszukiwaniach?

- Wydaje ci się, że potrzebuję pielęgniarki?

- Powiedziałam, że już więcej cię nie okłamię.

Fett niemal żałował, że jej powiedział. Powinien był się zwierzyć najpierw Beviinowi. Miał do niego zaufanie. Skuter wzniósł się nad Keldabe. Kiedy zaczął lecieć nad terenami wiejskimi, pasażerowie mogli ocenić ogrom spustoszeń dokonanych przez Yuuzhan Vongów, którzy wywarli na planecie straszliwą zemstę. W dole widać było wstęgę rzeki Kelita, widoczna na wiele kilometrów, odkąd większość otaczających ją lasów spłonęła. Keldabe wzniesiono na zakręcie rzeki, na połyskującym granitowymi głazami płaskowyżu, a stumetrowa wieża firmy MandalMotors jakimś cudem przetrwała wojnę, chociaż uszkodzona. Strzaskane kamienie i ślady po pożarach przypominały, że Mandalorę można zbombardować i na jakiś czas zmusić do posłuszeństwa, ale nie da się jej zupełnie pokonać.

Niewielkie skupiska drzewodromów w gałęziach powoli rosnących, prastarych lasów veshok całkowicie zniknęły z powierzchni Mandalory. W prześwitach między lasami nie rozciągały się łąny zbóż. Widać było tylko zwęglone kikuty drzew i szerniałą glebę, na której nic nie rosło, nawet młoda ruń, która zwykle wschodziła po pożarach.

- Co za dranie - warknął Fett. Raptownie zmienił kierunek lotu i usłyszał, że Mirta wstrzymała

oddech. - Nawet nie pofatygowali się, żeby posadzić tu swoje vongowskie chwasty. Po pro- Itu skazili glebę.

Mandalora zapłaciła bardzo wysoką cenę za to, że jej mieszkańcy oszukali napastników.

Alternatywa byłaby jednak o wiele gorsza.

- Nie dostaliśmy żadnej pomocy ze strony Nowej Republiki albo Galaktycznego Sojuszu? -

zagadnęła Mirta. - Żadnych funduszy na rekultywację w rodzaju takich, jakie otrzymali wszyscy pozostali?

- Niczego się nie spodziewaliśmy i nic nie dostaliśmy - burknął Boba.

Przesłał dodatkową energię do silników i przyspieszył. Nie miał wątpliwości, że polowałby na Yuuzhan Vongów, nawet gdyby byli najlepszymi kumplami Nowej Republiki. W oddali zobaczył farmę Beviina-Vasura. Jej widok upewnił go, że spustoszenia nie objęły całej powierzchni Mandalory.

Zobaczył także „Niewolnika 1”, spoczywającego na prowizorycznym lądowisku. Ten statek był jego domem... jego statek, a przedtem statek jego ojca. W jego kabynie spędził ładnych parę lat życia.

- To jak, lecę z tobą czy nie? - zapytała Mirta.

Fett doszedł do wniosku, że wnuczka przysporzy mu więcej kłopotów, jeżeli zostawi ją samą.

A poza tym nie chciał tracić z oczu jej naszyjnika - ognistego serca. To był jedyny ślad, jakim mógł się kierować, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób zginęła Sintas.

- Dobra, lecisz - powiedział. Mimo wszystko była jego wnuczką chociaż kiedyś próbowała go zabić. Fett nic sobie z tego nie robił, ale z trudem odnajdywał w sobie oddanie i poświęcenie, podobne do tego, jakie okazywał mu ojciec. Po prostu tego nie umiał - więc postanowił się nauczyć, podobnie jak się uczył wszystkiego, co później stawało się dla niego drugą naturą.

Ćwiczył tak długo, dopóki nie stawało się to nieodłączną częścią jego osobowości. Uznał więc, że może się także nauczyć, jak być dobrym dziadkiem. Kto wie, może nawet zostanie doskonałym? - Jak najszybciej odnaleźć drugiego łowcę nagród? - zapytał wnuczkę.

- Trzeba myśleć jak on? - podsunęła Mirta.

Fett pokręcił głową i z głuchym stukiem wylądował raketowym skuterem. Musiał powiedzieć Beviinowi, dokąd się wybiera. Gdyby cokolwiek mu się przydarzyło, Goran Beviin był jego wybranym następcą.

Fett jeszcze mu tego nie powiedział, ale Beviin przyjmował takie wiadomości bez zmrużenia oka.

Umierający łowca nagród spojrzał na wnuczkę.

- Nie - odparł. - Trzeba go wynająć.

ROZDZIAŁ 2

Jeżeli nie możesz ich pokonać, skłóć ich ze sobą.

- Cal Omas, przywódca Galaktycznego Sojuszu

Coruscant, gmach Senatu, gabinet przywódcy Galaktycznego Sojuszu

- To nie jest nasza najlepsza godzina, pani admirał.

Przywódca Cal Omas wyglądał o wiele starszej niż jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Cha Niathal szczyła się tym, że nieźle zna się na wyrazach twarzy istot ludzkich i umie dostrzegać charakterystyczne, nawet drobne oznaki zmęczenia i stresu. Twarz Omasa była najlepszym tego przykładem: przywódca miał obwisłe worki pod jasnoniebieskimi oczami i czerwone plamki na podbródku, a ilekroć Kalamarianka podchodziła bliżej, wyczuwała woń skwaśniałej kafeiny.

Najwięcej można było jednak wyczytać w jego oczach. Oczy istoty ludzkiej zdradzały wszystko, co Niathal musiała wiedzieć. Kiedy spojrzała na Jacena Solo, stwierdziła, że młody mężczyzna jest uosobieniem opanowania i pewności siebie... z wyjątkiem oczu. Nie było w nich tego spokoju, jaki Jacen starał się udawać. Niathal dostrzegła w źrenicach jego ciemnych oczu niewielkie, niemal niezauważalne zmiany. Migwały w nich iskierki dowodzące frustracji.

To było pożyteczne spostrzeżenie.

- Nie przegraliśmy bitwy w przestworzach Gilattera Osiem - powiedziała pani admirał. - Bez względu na to, co twierdzą Konfederaci.

- Ale nie można także powiedzieć, żebyśmy ją wygrali - odparował Omas. Ostatnio nabrał

zwyczaju przekładania arkuszy flimsiplastu na blacie biurka. Nie potrzebował wydruków, ale chyba takie zachowanie przynosiło mu ulgę. Te arkusiki były ostatnim namacalnym dowodem na to, że panuje nad swoim rządem. - W najlepszym wypadku walka zakończyła się wynikiem nierozstrzygniętym.

- Powinniśmy wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski - odezwał się Jacen. - Wiemy już, co poszło nie po naszej myśli i dlaczego daliśmy się zwabić w zasadzkę.

- Mieliliśmy niekompletne informacje - stwierdził Omas. - Dlaczego jako Jedi nie wyczułeś tej zasadzki?

Niathal zauważyła, że Jacen trzykrotnie szybko zamrugał. Ostatnio obaj mężczyźni nie przepadali za sobą. Z jakiegoś powodu uwaga Omasa uraziła Jacena, chociaż przecież młody Solo był za mądry, żeby uważać się za wszechwiedzącego.

- Nie jesteśmy niezwykłymi... ani nieomylni - odezwał się cicho. Niathal wiedziała, że Jacen bywa

najbardziej niebezpieczny, ilekroć się stara łagodnie przemówić komuś do rozsądku. -

Nie miałem wiarygodnych informacji, ale takie ryzyko nieodłącznie jest związane z naszym zawodem. Wyrwaliśmy się stamtąd prawie bez szwanku, ale zawdzięczam to głównie umiejętnościom Jedi. Jak na ironię udało się to dzięki moim rodzicom i umiejętnościom mojego wujka...

Chyba nie winisz za to, Jacenie, ani mnie, ani floty? - pomyślała Niathal.

- Jest pan zbyt skromny, pułkowniku Solo - powiedziała. - Słyszałam, że pan także walczył bardzo dzielnie.

Jacen nie odpowiedział na tę uwagę ani nawet nie zareagował, jak zwykle, zakłopotanym półuśmiechem. Omas pstryknął przełącznikami holoeckranu w ścianie gabinetu i zamiast trójwymiarowego wizerunku planety pojawił się miejski krajobraz, na którym widniały liczne eksplozje na tle zadymionego horyzontu.

- Z najnowszych raportów wynika, że walki wybuchły także na Ripoblusie - powiedział.

- Z jakiego powodu? - zainteresował się Jacen. - Nikt w systemie Sepana nie ma interesu w przyłączaniu się do Konfederatów. Nie mam żadnych informacji...

- Nie darzą szczególną sympatią żadnej ze stron - przerwała Niathal. - Po prostu osiągnęliśmy etap, na którym każdy przyłącza się do walki z indywidualnych powodów. Wojna domowa to dla nich najlepsza okazja do rozstrzygnięcia sporu z Dimokami. Coś jak bijatyka w kantine.

Kiedy zaczynają walczyć dwaj przeciwnicy, inni nagle przypominają sobie, że mają do wyrównania własne porachunki.

- Możemy się spodziewać, że wkrótce wybuchnie wiele takich konfliktów. - Westchnął Omas.

- Musimy zadać sobie pytanie, gdzie nakreślić linię graniczną.

Jacen udawał, że studiuje mapę stolicy Ripoblusa. Niathal uświadomiła sobie, że młodego mężczyznę niepokoją ograniczone możliwości wywiadu. Jego wywiadu.

- Panie przywódcu, nawet Imperium nie dało rady położyć kresu wojnom w systemie Sepana, chociaż nie unikało najbardziej drastycznych środków - powiedziała. - Moim zdaniem powinniśmy oprzeć się naciskom i nie wtrącać się w podobne konflikty. Znaleźliśmy się niebezpiecznie blisko sytuacji grożącej rozproszeniem sił i środków.

Omas zmienił holowizerunek i wyświetlił listę planet, których przedstawiciele brali udział w obradach Senatu. Nazwy większości planet płonęły na czerwono, niektóre tylko jarzyły się niebieskim blaskiem. Niathal zauważyła jednak, że jest ich więcej, niż kiedy ostatnio oglądała taką listę.

- Zeszłej nocy opuściło nas dwóch następnych sojuszników

- oznajmił Omas. - Las Lagon i Beris. To niewielkie planety, ale spróbujmy podsumować. Im więcej planet odrywa się od Galaktycznego Sojuszu, tym mniej mamy sił zbrojnych, na które możemy liczyć, i tym więcej jest środków do dyspozycji Konfederatów.

Jacen wyglądał jak uosobienie pogardy.

- Ja też doszedłem do takiego wniosku - powiedział.

- I nadal twierdzisz, że powinniśmy odpowiedzieć z maksymalną siłą... naturalnie w granicach traktatów? - zapytał Omas.

- Tak.

- W takim razie zaczniemy się staczać po równi pochyłej.

- Omas wstał, przeszedł na środek gabinetu i posłał Niathal spój- rzenie, mówiące wyraźnie:

„Daj spokój, służysz w wojsku, więc wiesz, że to prawda”. - Wcześniej czy później secesja osiągnie takie rozmiary, że Galaktyczny Sojusz stanie się pośmiewiskiem

- powiedział. - Dojdzie do tego, kiedy pod względem liczby planet Konfederacja nam dorówna, a później nas przewyższy.

- Podniósł dłoń i ostentacyjnie zaczął odginać palce. - Problem pierwszy: będą dysponowali większą siłą ognia. Problem drugi: stracimy nad nimi moralną przewagę i prawo do narzucenia naszych warunków pokoju.

Niathal zdecydowała, że to Jacen powinien udzielić odpowiedzi, ale sama także była do tego gotowa. Naturalnie Omas miał rację, ale z politycznego punktu widzenia, nie z punktu widzenia szefowej sztabu. Jej zadanie polegało na decydowaniu, w jaki sposób wykorzystywać siły zbrojne, żeby osiągać stawiane przez przywódcę cele, nie na definiowaniu tych celów.

Tę bitwę powinien stoczyć Jacen Solo. Kalamarianka uzbroiła się w cierpliwość i zachowała milczenie.

- W takim razie - odezwał się Jacen tonem tylko trochę głośniejszym niż szept - będą nas mogli pokonać bez oddania jednego strzału. Złamać arkusikiem flimsiplastu. Moim zdaniem to kapitulacja.

- Ja bym to nazwał przygotowaniem się na najgorszy scenariusz. - Omas popatrzył na Niathal.

- Pani admirał powinna wiedzieć, kiedy osiągniemy tę przełomową sytuację z wojskowego punktu widzenia.

Kalamarianka miała do wyboru dwie strategie walki. W pierwszej brały udział wszystkie siły zbrojne Galaktycznego Sojuszu, jakie w obecnej chwili miała do dyspozycji, w drugiej zaś tylko te, które stacjonowały na Coruscant. Zastosowanie drugiej strategii miałoby sens, gdyby w miarę upływu czasu malało poparcie ze strony innych planet. Spojrzała jednym okiem na listę upstrzoną

niebieskimi nazwami. Drugie oko skierowała na Jacena - istoty ludzkie zawsze miały kłopot z określeniem, w którą stronę patrzą Kalamarianie - i uświadomiła sobie, że rozpad Sojuszu nie nastąpi stopniowo, ale będzie przypominał nagłą zapaść.

- Na razie nie znaleźliśmy się w takiej sytuacji - odezwała się w końcu. - Dam panu znać, kiedy zacznę się denerwować. Mogę jednak powiedzieć już teraz, że z czysto geograficznego punktu widzenia nasze siły zbrojne są zbyt rozproszone. Za wiele frontów. Niedobrze.

- Jeżeli jednak zrezygnujemy z popierania naszych sojuszników, spotęgujemy ten problem - zauważył Omas. - Mogą przejść na stronę przeciwnika.

Jacen głośno westchnął.

- Właśnie dlatego od samego początku byłem zwolennikiem szybkiej i bardzo zdecydowanej odpowiedzi - przypomniał.

Omas uśmiechnął się niewesoło.

- Właśnie - powiedział, co zabrzmiało jak: „A nie mówiłem”?

- Zastanawiałem się, ile czasu upłynie, zanim osiągniemy ten etap.

- Panie przywódcu - odezwała się Niathal. - Wiem, że w tej chwili wybieganie myślą naprzód nic nam nie da, ale równie dobrze możemy być wobec siebie uczciwi. Wiemy, do czego może się przydać każde z nas.

Pomyślała, że Jacen przydawał się jej kiedyś jako pożyteczny sojusznik, a obecnie może go wykorzystywać do nakłaniania Omasa, aby podejmował trudne decyzje. Młody Solo nadal działał dla dobra Sojuszu, ale ostatnio stał się raczej politykiem niż żołnierzem. Nawet myśli wyrażał inaczej... był mniej bezpośredni, ostrożniejszy, a ona tęskniła za kimś, kto mówi to, co myśli.

Nie zamierzała jednak o tym wspominać w jego obecności.

- Moi informatorzy twierdzą że na początku konfliktu Ko- relanom nie udało się zwerbować Mandalorian - powiedziała.

- Mandalorianie zamierzają chyba zachować neutralność, i nie mam pojęcia dlaczego. Myślę, że to interesujące.

Omas włożył ręce do kieszeni i popatrzył podejrzliwie na Jacena.

- Czy zwracaliśmy się do nich w tej sprawie? - zapytał. - Czy którykolwiek z twoich tajnych agentów usiłował nakłonić Mandalorian do współpracy z nami? Jeśli dobrze pamiętam, bardzo się nam przydali podczas ostatniej wojny.

Jeżeli nie liczyć wyrazu oczu, Jacen sprawiał wrażenie pogodnego.

- Nie rozmawialiśmy z nimi, ale podejrzewam, że nie uzyskalibyśmy od nich pozytywnej odpowiedzi
- odparł spokojnie.

- Dlaczego? - zainteresował się Omas. - Tylko mi nie mów, że po tysiącletnich plądrowania i niszczenia stali się nagle pacyfistami. To urodzeni najemnicy. Zainteresują się każdą wojną, za udział w której ktoś im zapłaci.

Wydaje ci się, Jacenie, że nie wiem, co zrobiłeś, pomyślała Niathal, udając umiarkowane zainteresowanie przebiegiem rozmowy. Tymczasem wiadomość o tym obiegła już chyba całą galaktykę. Przekonajmy się, czy rozegrasz to uczciwie.

Solo siedział zupełnie nieruchomo, kręcił tylko młynka palcami. Wyglądał, jakby medytował, co nie pasowało do czerni polowego munduru Straży Galaktycznego Sojuszu.

- Chodzi o pewien drobiazg... podczas przesłuchania straciłem córkę Boby Fetta - oznajmił w końcu Jacen.

A więc jednak, pomyślała Niathal.

- Straciłeś? - Omas zamrugał szybko. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Umarła, kiedy ją przesłuchiwałem - wyjaśnił Jacen. - Nie miałem wówczas pojęcia, z kim mam do czynienia.

Omas zrobił zaskoczoną minę, a po chwili jakby poweselał.

- Ha! - wykrzyknął. - Czy Fett o tym wie?

Jacen siedział nieruchomo jak posąg.

- Teraz już tak - mruknął.

- To chyba już do końca życia będziesz musiał oglądać się za siebie, panie pułkowniku - stwierdził Omas.

Jacen miał minę, jakby nigdy nie przyszło mu to do głowy. Poruszył się i zmienił położenie splecionych dłoni.

- To prawda, raczej nie powinienem prosić go teraz o przysługę - powiedział.

Czy przypadkiem Jacen w końcu nie ugryzł więcej, niż może przełknąć - zastanowiła się Niathal. Do jej uszu dotarły plotki, a plotki funkcjonariuszy tajnej policji Jacena były o wiele bardziej niezawodnym źródłem informacji niż pogłoski krążące w wykładanych pleekdrewnianymi panelami senackich korytarzach.

Nie zamierzała jednak pozwalać, żeby Jacen padł ich ofiarą. W końcu nie musi lubić ludzi, aby z nimi

pracować.

- Dzisiaj wieczorem zamierzam wziąć udział w spotkaniu ambasadorów Las Lagona i Berisa z korpusem dyplomatycznym - odezwał się Omas. - Zobaczymy, czy nie uda się ich zmusić do posłuszeństwa. Nie chcę, żeby przerodziło się to w paniczną ucieczkę.

- Jaki mamy z nimi problem? - zainteresowała się Niathal.

- Nie chcą włączyć swoich wojsk do naszych struktur dowodzenia.

- Więc proszę ich zwolnić z tego obowiązku.

- Chyba pani żartuje - zachnął się Omas. - Jaki by to dało sygnał Korelii? Oznaczałoby to rezygnację z dotychczasowego stanowiska. - Przywódca Galaktycznego Sojuszu kipiał

oburzeniem.

- Przecież właśnie dlatego zaczęliśmy z nimi wojnę... z powodu zasady przekazywania armii indywidualnych planet na rzecz Sojuszu.

- Las Lagon i Beris mogą zmobilizować razem nie więcej niż dwadzieścia tysięcy żołnierzy -

zauważyła Niathal. - Moim zdaniem korzyści dyplomatyczne byłyby tu znacznie ważniejsze niż pożytek z ich sił zbrojnych. - Pomyślała przełomie, że nie ma nic gorszego niż polityk, który odkrywa u siebie skrupuły w środku wojny. - Ich wojska są kiepsko wyszkolone i wyposażone, więc i tak nie wniosłyby wiele do sił Galaktycznego Sojuszu.

Jacen wstał z krzesła, jakby zamierzał wyjść.

- Dobrze chociaż, że z frontu walki z terrorystami dochodzą pomyślne wieści - powiedział. -

Drugi miesiąc z rzędu rośnie ilość zarekwirowanej im broni. Likwidujemy ich trasy zaopatrzeniowe.

- Czy aby na pewno wszyscy oni działają z pobudek politycznych? - zapytał z powątpiewaniem Omas. - A może to pospolici przestępcy?

- Czy gdyby któryś z nich do pana strzelał, zastanawiałby się pan nad tą różnicą? - odciął się Solo. - Wcześniej czy później pospolici przestępcy i terroryści zaczynają działać ręka w rękę.

Proszę zapytać fiinkcjonariuszy Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa, jak wyglądają ostatnie statystyki przestępstw z użyciem przemocy. Przekona się pan, że ich liczba systematycznie maleje.

Kiwnął uprzejmie obojgu głową i wyszedł. Omas zaczekał, aż płyty drzwi zasuną się za jego plecami, a później podszedł do wychodzącego na plac okna i stanął przed nim w milczeniu.

- Do czego to doszło, pani admirał - odezwał się w końcu.

- Kiedy się dowiedziałem, że pułkownik Solo zabił więźnia podczas przesłuchania, odruchowo pomyślałem, że narobił sobie potężnych wrogów... więc może już nie będę musiał się go obawiać.

To brutalnie szczere wyznanie, pomyślała Niathal.

- Jest pan tylko człowiekiem - powiedziała.

Omas chyba nie usłyszał ironii w jej słowach.

- Doszło do tego, że moimi najbliższymi doradcami nie są sędziowie, prawnicy czy choćby dyplomaci, ale szefowa sztabu sił zbrojnych i dowódca tajnej policji. - Rozpoczął rytualny obchód gabinetu. Niathal zauważyła, że po każdym jego kroku pozostają płytkie wgłębienia w jasnoniebieskim puszystym dywanie. - Wie pani, ostatnio dużo o tym rozmyślam. Zastanawiam się, jakim cudem pułkownik mógł zdobyć takie wpływy. Naprawdę nie wiem, czy dopuściłem do tego, bo jest Jedi, czy też dlatego, że to dowódca SGS.

Niathal uznała, że Omas dobrze robi, rozmawiając szczerze tylko z garstką osób, co do których jest pewny, że nie opowiedzą się po stronie Korelii. Trudno było to powiedzieć o niektórych senatorach.

- W tych niepewnych czasach to konieczne - odezwała się Kalamarianka. - Możemy zwoływać najróżniejsze posiedzenia, ale prowadzenie wojny to zadanie dla garstki osób.

Każdej wojny - tej poza naszymi granicami i tej blisko nas.

- Naprawdę pani uważa, że toczy się jeszcze wojna w obrębie naszych granic?

- Ważniejsze jest, że tak uważa wielu Coruscan - odparła Niathal. - Nie wytłumaczy się im, że w atakach terrorystów giną „zaledwie” tysiące osób. Jeżeli straci pan okręt z tysiacosobową załogą cywile powiedzą że to szkoda, ale taki już los żołnierza. Jeżeli jednak dopuści pan do śmierci kilku cywilów, wszyscy uznają to za planetarną tragedię. - Niathal wiedziała, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy Straż Galaktycznego Sojuszu rozbiła większość siatek terrorystów. Funkcjonariusze SGS skutecznie wykrywali powiązania finansowe i kontakty między komórkami. Podwładni Jacena cały czas mieli ręce pełne roboty, chociaż ostatnio zabrali się za Bothan, sympatyków Konfederacji i istoty ludzkie, które po prostu „zakłócały spokój”, lekceważąc zarządzenia stanu wyjątkowego. - Ich zadanie nie polega tylko na rozbijaniu siatek terrorystów, ale także na uśmierzaniu strachu obywateli przed ich działalnością

Omas odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Pani admirał, z pewnością pani wie, co to przyzwoitość, honor i rządy prawa - powiedział. -

Problem w tym, że w trudnych czasach wszystkie te pojęcia można wyrzucić przez okno.

- Robię to, czego się ode mnie wymaga, i cieszę się, że nie muszę brać udziału w operacjach SGS - odparła Niathal.

Omas chyba zwrócił uwagę na dwuznaczność jej odpowiedzi.

- Pod względem formalnym Straż Galaktycznego Sojuszu podlega pani, prawda? - zapytał.

Co to znaczy „pod względem formalnym”? - pomyślała Kala- marianka.

- Uważa pan, że pułkownik Solo przekracza granice, a ja powinnam trochę częściej i ostrzej przywoływać go porządku? - zapytała.

- Przyznaję, że niepokoją mnie procedury operacyjne, stosowane przez niego przy przesłuchiwaniu podejrzanych - powiedział Omas.

- Co mam powiedzieć? Że i ja jestem nimi zaniepokojona?

- A jest pani?

- Czasami.

Omas uniósł brwi, jakby jej słowa wzbudziły w nim nową nadzieję.

- Przyznaję, że niełatwo utrzymać w ryzach oficera, który robi tak dużo dla uspokojenia nastrojów społeczeństwa - powiedział.

- W trudnych czasach wszyscy potrzebujemy bohaterów, nawet jeżeli nie korzystamy z ich ochrony tak często, jak się nam wydaje.

- Rzeczywiście - przyznał Alderaanin. - Członkowie Rady Jedi wprawdzie pomrukują, ale moim zdaniem w głębi ducha są zadowoleni, że to ktoś z ich grona jest uważany za bohatera, bo stosuje bezwzględne metody dla utrzymania pokoju. Dzięki temu ludzie może przestaną w nich widzieć oderwanych od rzeczywistości, beczynnych mistyków.

- Sukces ma wielu ojców - westchnęła Niathal. - Porażka jest sierotą.

Omas uśmiechnął się ponuro.

- No cóż, Jacen albo wygra dla nas tę wojnę... albo doprowadzi nas do upadku. - Podszedł do biurka z wypolerowanego drewna i usiadł. Wyglądał na przygnębionego. Na blacie stała niewielka waza z bronzium z pojedynczym purpurowym kwiatem kibo, dzięki czemu mebel wydawał się większy niż w rzeczywistości. - Bohaterowie czasami tak postępują.

Nas, pomyślała Niathal. Nas doprowadzi do upadku.

Politycy mieli zwyczaj zasiewania wątpliwości i rozpowszechniania zaskakujących pomysłów.

Niathal zwróciła uwagę na subtelne ostrzeżenie Omasa i już chciała wyjaśnić, że ona też osiągnęła wymagany stopień paranoi, żeby rozpocząć polityczną karierę, ale doszła do wniosku, że Omas pewnie o tym wie. Gdyby zaś jeszcze nie wiedział, lepiej się nie zdradzić.

- Będę o tym pamiętała - mruknęła.

Omas był wytrawnym politykiem, który kilkakrotnie w życiu przetrwał zamachy na swoje życie i próby pozbawienia stanowiska. Na pewno rozumiał, że Niathal dobrze wie, iż Jacen to osobnik nieprzewidywalny i wręcz chorobliwie ambitny. Pani admirał musiała się orientować, że jeżeli nie będzie się miała na baczności, pułkownik Solo pozbawi ją wpływów, a może nawet posady. Omas był zresztą świadom, że Niathal ostrzy sobie zęby na jego stanowisko.

Może któregoś dnia ułatwi jej to zadanie... jeżeli oczywiście Niathal będzie lojalna wobec niego bardziej niż wobec Jacena Solo.

Nas. Omas był specjalistą od takich eufemistycznych wypowiedzi. Zawsze to lepsze niż walenie prosto z mostu... no i oszczędza mnóstwo czasu i kłopotów.

Niathal uznała przedłużającą się ciszę za znak, że spotkanie dobiegło końca. Zanim płyty drzwi zdążyły się zasunąć za jej plecami, odwróciła się i spojrzała na Omasa. Zauważyła, że przywódca zamknął oczy, wyraźnie wyczerpany.

A już za kilka godzin pojawi się w sali Senatu, jakby wszystko miał pod kontrolą pomyślała.

Czy naprawdę zależy mi na jego stanowisku?

Zdecydowała, że tak.

Postanowiła zjeść lunch w jednej z wielu senackich stołówek. O każdej porze dnia i nocy zawsze była otwarta co najmniej jedna kawiarenka albo restauracja. W niektórych panowała formalna atmosfera, w innych bardziej luźna, ale we wszystkich się plotkowało, dyskutowało i zawierało umowy. Niathal podejrzewała, że w tych lokalach załatwia się więcej spraw niż w wielkiej auli Senatu. Kawiarenki, jadalnie i bary były także względnie bezpiecznym miejscem prowadzenia rozmów z istotami, które niewątpliwie zwróciłyby na siebie uwagę w oficerskim klubie. Najlepiej było ukrywać się na widoku, więc nikt się specjalnie nie zdziwił, że Niathal usiadła przy stoliku, przy którym siedział już Gossam Gefal Keb, starszy urzędnik wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego. Głosy obydwójga wtopiły się w gwar panujący w sali.

Stosowali swoisty szyfr: określali Jacena mianem Nowego Chłopca, Straż Galaktycznego Sojuszu nazywali Klubem, a Omasa, jak można się było domyślać, Szefem. Kryptonimy nie były może oryginalne, ale przynajmniej nie zwracały uwagi plotkarzy, którzy tylko czekali na znajome nazwy, imiona albo nazwiska.

- Czy Nowemu Chłopcu grozi jakieś niebezpieczeństwo ze strony naszych zadziornych przyjaciół zKeldabe? - zapytała Niathal.

- Nie mam stamtąd żadnych wiadomości. - Keb miał zwyczaj systematycznie rozglądać się wokół siebie. - Jeżeli coś zamierzają na pewno nie powiedzą o tym nikomu z CSB. Chodzą słuchy, że nawet Shevu ma powyżej uszu jego sposobu załatwiania spraw.

- Shevu ma rzeczywiście dziwnie staromodne poglądy na umieranie aresztantów podczas przesłuchania - oznajmiła pani admirał. - Czy ktoś jeszcze w Klubie jest niezadowolony z

kierownictwa?

- Może to dziwne, ale nie - odparł Gossam. - Przyznaję, że zwyczaj Nowego Chłopca, który lubi dowodzić z pierwszej linii walki, zachęca do lojalności.

- Kogo on teraz szpieguje? - zainteresowała się Kalama-rianka.

- O ile wiem, nie ciebie - odparł Keb. - Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby potajemnie nie śledził Szefa, ale nie mam na to niepodważalnych dowodów. Jak pewnie się orientujesz, Klub jest dobry w zacieraniu śladów.

- Jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Drobne problemy z zaopatrzeniem, ale nie mają nic wspólnego z Nowym Chłopcem.

- Jak drobne?

- Plotkuje się o sprzęcie, który nie spełnia wymagań, i o kłopotach z terminowymi dostawami

- odparł jej rozmówca. - Mogłabyś skopać tyłki kilku osobom od przetwarzania danych, zanim drobne kłopoty przerodzą się w poważny problem.

- Chyba wiem, komu każe się tym zająć - mruknęła Niathal. Pomyślała, że takie polecenie to coś w sam raz dla Jacena. W końcu to pułkownik Solo powinien się troszczyć o żołnierzy i ich warunki bytowe. - Sprawy takie jak sprzęt bardzo wpływają na morale.

Rozmowa trwała krótko i wyglądała, jakby brało w niej udział dwoje urzędników Galaktycznego Sojuszu, którzy mieli powody, żeby zamienić ze sobą kilka słów. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Naczelnym dowódcą sił zbrojnych i starszym urzędnikiem wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego mogli prowadzić ze sobą podobne rozmowy. Nikt nie miał

pojęcia, że w rzeczywistości każda z trzech kierujących przebiegiem wojny osób boi się odwracać plecami do pozostałych.

Na tym polegała polityka. Pani admirał Chia Niathal postanowiła się do tego przyzwyczaić.

Gwiazdny system MZX32905, okolice planety Bimmiel

Lumiya zorientowała się, że ktoś za nią leci. Nawet z dużej odległości wyczuwała czyjąś obecność niczym sygnał namiarowy. Medytacyjna sfera też była świadoma obecności tej osoby.

Uszkodzony, przekazała Lumii.

Lumiya zobaczyła oczami wyobraźni stos odłamków czarnego i białego szkła. Kiedy wystarczająco długo skupiała na nim uwagę, stos stał się znów gwiazdnym statkiem, ale pęknięcia w kadłubie pozostały widoczne.

- Masz rację, jest uszkodzony - powiedziała. - Co robimy, pozwolimy mu się dogonić? A może przekonamy się, jak dobrym myśliwym jest pilotująca go osoba?

Uświadomiła sobie, że medytacyjna sfera jest podniecona. Czerwony płomień, który cały czas lśnił w ściankach kadłuba i wszystkich przegrodach, stał się jaśniejszy i przybrał złocistą barwę. Lumiya wyczuła od statku ciche poczucie humoru. Jej pojazd świetnie się bawił. Nic dziwnego, skoro spoczywał beczynnym na Zioście niezliczone lata. Był obdarzony świadomością i tylko czekał, aż pojawi się ktoś, kto zechce go wykorzystać.

Żadna świadoma istota w galaktyce, czy to organiczna, czy też sporządzona z metalu, nie lubiła być sama.

Lumiya zakołysała się na palcach stóp. Czuła się dziwnie, siedząc w miejscu, które nie przypominało zwykłej kabiny. Wnętrze medytacyjnej sfery różniło się od kabiny gwiazdowego myśliwca. Zamiast starannie rozmieszczonych ekranów monitorów i urządzeń kontrolnych, w zasięgu rąk nie było niczego oprócz chropowatych, ziarnistych powierzchni, na których raz po raz pojawiały się obrazy. W pewnej chwili na wewnętrznej powierzchni sfery ukazała się kombinacja światła i Lumiya domyśliła się, że w odległości pięciu tysięcy kilometrów podąża ich kursem niewielki statek. Pas asteroid, w którym miała ukrytą bazę, wyglądał jak zbiorowisko iskier na ciemnoniebieskim tle. Lumiya cały czas miała wrażenie, jakby w kadłubie był otwór. Zastanowiła się, czy lada chwila nie poczuje prądu uciekającego powietrza i nie zostanie wyssana przez ten otwór w próżnię.

- Czas na skok - oznajmiła.

Medytacyjna sfera chyba głęboko odetchnęła i skoczyła naprzód. Lumiya nie odniosła jednak wrażenia inercji ani ruchu, chociaż jej żołądek wywinął kozła, a ona sama poczuła zawrót głowy. Wizerunek ścigającego ich statku zniknął. Lumiya zobaczyła rozmyte smugi światła gwiazd, a później aksamitną czerń, w której od czasu do czasu pojawiały się świetliste punkty.

Widziała wszystko na zewnątrz sfery, jakby wokół nie było ścian. Wiedziała, gdzie się znajduje. Miała uczucie, że ścigający ją statek kurczy się i znika, a jego kadłub zamienia się znów w stos strzaskanej transpastali.

Na chwilę ogarnęła ją panika.

Zupełnie jakby znów siedziała w kabinie uszkodzonego myśliwca typu TIE i walczyła o życie... ostrzelana przez Luke'a Sky-walkera, ciężko ranna i przekonana, że nie przeżyje.

W następnej chwili kadłub medytacyjnej sfery przybrał ponownie wygląd rozgrzanego do czerwoności kamienia i Lumiya wróciła do rzeczywistości.

Jesteś bezpieczna, powiedział jej statek.

Chyba miał coś w rodzaju wyrzutów sumienia, bo ją zdenerwował. Lumiya posłała mu uspokajające fale. To tylko wspomnienie, pomyślała. Nic, czym warto by się przejmować.

Statek wreszcie się odprężył. Lumiya uświadomiła sobie, że nikt nie troszczył się o nią od bardzo

dawna... od czasów Imperium, kiedy ukończyła szkolenie. Przelotne uczucie, jakim ją darzył Luke Skywalker, nie miało żadnego znaczenia.

Uszkodzony prześladowca także dokonał skoku, poinformowała ją sfera Sithów.

- Postaraj się nie lecieć zbyt szybko. - Lumiya zadrżała w głąb umysłu, poszukując bólu i samotności, ale niczego takiego tam nie było. Była zadowolona, że znalazła wspólny język z inteligentnym statkiem. - Nie chcemy, żeby nas zgubił.

Nadal leci za nami, oznajmił statek.

- Co sądzisz o swoim ostatnim pilocie? - zagadnęła Lumiya.

Nie jest jak my.

- A zatem nie nadaje się na Sitha?

Nie. - Statek rozumiał, że Ben nie jest odpowiednim materiałem na ucznia Jacena Solo. - Jest kimś mniej niż my. I kimś mniej niż osoba, która podąża za nami.

Medytacyjna sfera wyskoczyła z nadprzestrzeni i szybko skierowała się w stronę asteroidy.

Lumiya nakazała w myśli statkowi, żeby zwolnił, aż ścigający ich pilot się przybliży, a potem pokazała kuli swoją asteroidę.

Teraz razem, na krótko zespolone myślami, zaczęły się przygotowywać do lądowania. A więc Ben udowodnił, że nie jest odpowiednim uczniem dla Jacena. Na planecie Ziost wykazał się wprawdzie samodzielnością i odwagą, ale zachował się jak sentymentalny Jedi, ryzykując życie, żeby uratować tamtą dziewczynkę. Nie miał w sobie bezwzględności, której potrzebował

przyszły Sith. Mimo to przydał się na coś. Gdyby nie on, Lumiya nie zdobyłaby tego niezwykłego statku, który mógł odegrać bardzo ważną rolę w przyszłości Jacena. Kobieta-Sith wiedziała to dzięki Mocy. Ze statkiem nie była związana jej własna przyszłość, ale Czarna Lady postanowiła się nim opiekować, dopóki nie nadejdzie pora przekazania nad nim kontroli.

Szkoda, Ben, pomyślała. Nie życzyła chłopcu źle, ale nie wiązała już z nim żadnych planów.

Czyżby to był on? - zadała sobie pytanie. Czy to właśnie jego musi zabić Jacen?

Może Moc miała powód, żeby osłonić Bena przed Lumiya. Może przeznaczeniem chłopca było udzielenie pomocy mistrzowi przez poświęcenie własnego życia. Może właśnie dlatego jej plan uśmiercenia Bena spalił na panewce.

Nie mam pojęcia, co Jacen musi zrobić, pomyślała. Po prostu tego nie wiem. Nie widzę mostu, który musi przekroczyć, żeby zgodnie ze swoim przeznaczeniem zostać Lordem Sithów.

Czy Jacen wierzy, że jego mentorka tak samo nie zna odpowiedzi na to pytanie jak on?

Lumiya w to wątpiła.

Jacen musiał unieśmiertelnić swojamiłość... zabić ją zniszczyć coś, co najbardziej kocha.

Medytacyjna sfera wleciała do hangaru jej habitatu, Lumiya zaś zaczęła się zastanawiać, kogo Jacen Solo kocha tak bardzo, że nie mógłby znieść jego utraty. Może takie poświęcenie pozwoliłoby mu zerwać z dotychczasowym monotonnym życiem i stać się kimś naprawdę wspaniałym. Gdyby zabił swoją siostrę, Jainę... Nie, bo kiedyś usiłował ją postawić przed sądem wojennym. Swoich rodziców? Wydał nakaz ich aresztowania. Czym innym była jednak chęć ukarania, a czym innym zabicie.

Dom — oznajmił statek. — Potrafią cię obronić przed osobą, która za tobą podąża.

- Dziękuję. - Lumiya o mało nie zapomniała, gdzie się znajduje. - To nie będzie konieczne.

Niech tamten statek też tu wyląduje.

Czyżby chodziło o Bena Skywalkerera? Chłopak był jedyną osobą, którą Jacen naprawdę kochał. Chciał, żeby Ben osiągnął sukces, i przymykał oczy na jego słabości.

A może Luke Skywalker? Ale Jacen nie darzył Luke'a uczuciem, chyba nawet nim pogardzał.

Mara? Żona Luke'a mogła być ostatnią osobą, która stała po stronie Jacena, ale on nie kochał jej tak głęboko jak swoich rodziców.

A zatem Ben. To prawie na pewno był Ben.

A może... może to w ogóle nie miała być pojedyncza osoba? Może Jacen powinien zniszczyć jakąś organizację albo coś niematerialnego? Może nawet w ogóle nie będzie musiał nikogo zabijać? Lumiya zaczęła się niecierpliwić. Obojętne, co było przeznaczeniem Jacena i jaki decydujący krok miałby wykonać, musi to zrobić już niedługo. Lady Sithów niemal wyczuwała, że spodziewa się tego po nim tkanka Mocy.

A może... może to mnie ma zabić? - pomyślała.

Była przecież Sithem, a każdy Sith właśnie tego powinien się spodziewać po swoim uczniu.

Musiała być gotowa do zapłacenia tej ceny.

Bardzo uszkodzony, odezwał się jej statek i Lumiya wyrwała się z zadumy.

Wstała i stanęła przed iluminatorem. Jarzący się kamień stał się przezroczysty, ale tym razem to nie było złudzenie optyczne. W skorupie kadłuba rzeczywiście pojawił się otwór, a z niego wysunęła się rampa. Lumiya zeszła po niej i zobaczyła przelatującą przez służę hangaru starajednostkę szturmową typu Conqueror. Stwierdziła, że od bardzo dawna nie widziała takiego statku o kadłubie w kształcie ósemki.

Kłapa włązu się otworzyła i ze środka wyszła jakaś osoba. Była częściowo osłonięta płaszczem i utykała.

- Bardzo ryzykujesz, tancerko. - Lumiya zdecydowała, że Alema Rar zaczyna jej przeszkadzać. - Mogłam cię była zestrzelić.

Twi'lekanka odsłoniła twarz, którą dotąd zakrywała połą płaszcz, i przechyliła głowę na bok.

Większość życia spędziła, kokietując inne osoby, więc zrobiła to chyba bezwiednie, z nawyku.

Przyzwyczajona, że istoty płci męskiej zwracają na nią uwagę, nadal zachowywała się tak jak dawniej, chociaż w pobliżu nie było nikogo prócz Lumii, a jej urodę zniszczyły bezpowrotnie ciosy klingi świetlnego miecza. Ucięty kikut jednego lekku nadawał jej groteskowy wygląd.

Alema nie była jednak kimś, z kogo można się wyśmiewać. Wyglądała, jak określił ją statek Lumii, na uszkodzoną. Była okaleczoną, żądną zemsty istotą. Bardzo chciała wyładować na kimś wściekłość, ale Lumiya nie znosiła osób, które nie umieją nad sobą panować. Alema była zdecydowanie szalona... a szalona Ciemna Jedi mogła sprawić mnóstwo kłopotów.

- Ale mnie nie zestrzeliłaś. - Twi'lekanka spojrzała na medytacyjną sferę Sithów. - Uważamy ten statek za interesujący - oznajmiła.

- Też tak sądzę. - Lumiya wskazała drzwi do swojej kwatery, której nie chciała nazywać domem. - Skoro już tu przyleciałaś, równie dobrze możesz wejść do środka.

Wyraźnie zafascynowana Alema obchodziła sferę i oglądała ją ze wszystkich stron.

- On myśli - odezwała się cicho w pewnej chwili. - Ten statek myśli.

- Myślenie ma wielką przyszłość - mruknęła Lumiya. - Sama mogłabyś kiedyś spróbować. -

Wiedziała, że powinna zwracać się do tej wariatki uprzejmiej, ale tego dnia nie miała cierpliwości. Uwolniła myśli, żeby się zorientować, co jej statek mówi, ale wykryła tylko czujną obecność, jakby sfera badała ostrożnie swoimi sensorami umysł Alemy. Może chciała wypróbować jej ciemną energię? - Co cię tu sprowadza?

- Śledziłyśmy „Anakina Solo” - odparła Alema. - I zwróciliśmy uwagę na nastawienie Jacena Solo do jego rodziców. Doszliśmy do wniosku, że współpracując z Jacenem, mogłybyśmy uzyskać dostęp do Hana i Leii.

Położyła pieścotliwym gestem dłoń na skorupie medytacyjnej sfery. Lumiya wyczuła, że w pierwszej chwili jej statek się wzdrygnął, ale zaraz jakby się uspokoił. Wiedział, że Alema jest

„uszkodzona” i że sam ma obowiązek pomagać pilotowi i troszczyć się o niego. Może nawet okazywał coś w rodzaju współczucia potrzebującym pomocy osobom.

Lumiya westchnęła w duchu. Tego akurat najmniej potrzebowała... statku Sithów, któremu byłoby

przykro z powodu twi'lekańskiej wywłoki. Posłała statkowi myślowy wizerunek Alemy, która rozbija jego pancerz na okruchy. Ukazała jej twarz, wykrzywioną paranoicznym gniewem. Sfera od razu ją zrozumiała i Alema odskoczyła od statku jak oparzona.

- Wszystkim nam bardzo by pomogło, gdybyś na razie unikała kontaktów z Jacenem Solo -

zaczęła ostrożnie Lumiya. - Jak zapewne wiesz, toczy się wojna...

- My mamy nasze zadanie, a ty masz swoje - przerwała Twi'lekanka. - Nasze polega na zapewnieniu Równowagi za to, co zrobili nam oboje Solo. Leia na pewno będzie się starała sprowadzić swojego drogiego syna na łono światłości, a to oznacza, że z naszego punktu widzenia Jacen pozostaje dobrą przynętą.

- Pozwól w takim razie, że wyjaśnię ci to inaczej - powiedziała uprzejmie Lumiya, kierując Aleme w stronę drzwi. - Zabiję cię, jeżeli wejdiesz mi w drogę.

Alema posłała jej dziwny, krzywy uśmiech, ale pozwoliła się zaprowadzić do pomieszczeń mieszkalnych.

- Wiesz, z kim masz do czynienia? - zapytała.

Lumiya ponownie postarała się określić obecność Alemy w Mocy. Poczula się, jakby gryzła tłuczone szkło. Jeszcze nigdy nie wyczuwała w taki sposób żadnej obcej istoty. Zapuszczała swego czasu myśli do umysłów rozmaitych szaleńców, ale nigdy do umysłu obłąkanej Jedi...

ani osoby, która żyje w świecie fantazji. Uświadomiła sobie, że ogarnia ją przerażenie.

Najbardziej niepokoiło ją wrażenie, że ma do czynienia z wieloma istotami. Z trudem torowała drogę swoim myślom po meandrach rozumującego kategoriami roju umysłu Alemy połączonego z jej strzaskaną na kawałki osobowością.

- Jasne, że wiem - odparła. - Mimo to nie zmieniam zdania. Zabiję cię, jeżeli twoja żądza zemsty pokrzyżuje moje plany. Możesz mścić się później. Jeżeli wejdiesz mi w drogę, sama zabiję oboje Solo, a wówczas nigdy nie osiągniesz swojej Równowagi. - Zniżyła głos do szeptu. - Wiesz chyba, że mogłabym to zrobić, prawda?

Pozornie niezrażona jej słowami Alema zaczęła się rozglądać po kwaterze Lumii. W

pomieszczeniach mieszkalnych stało niewiele mebli, bo kobieta-Sith przetransportowała większość do bezpiecznego domu na Coruscant. Pozostawiła tylko urządzenia niezbędne do utrzymywania cybernetycznych protez w dobrym stanie, a także podstawowe rzeczy użytku osobistego, konieczne nawet podczas krótkiego pobytu. Alema taksowała cały apartament, jakby się zastanawiała, czy go nie kupić.

- Nic z tego, nie możesz tu zostać - powiedziała Lumiya. Nie umiała czytać w myślach, ale widziała spojrzenie Alemy, dowodzące, że Twi'lekanka zaczyna się już czuć jak właścicielka. Z

drugiej strony może jednak warto byłoby mieć ją na oku. Alema była tak obłąkana i beztraska, że mogłaby kompletnie pokrzyżować jej plany, a Lumiya nie była gotowa na takie ryzyko.

Stawka w tej grze była zbyt wysoka, a do decydującej chwili pozostało za mało czasu.

Gdybym miała choć trochę oleju w głowie, zabiłabym Aleme, zanim zacnie mi sprawiać kłopoty, pomyślała. Tylko że...

Alema mogła się jej przydać, pod warunkiem że jej szaleństwo się nie pogłębi.

- Rozumiesz, co to zemsta, prawda? - odezwała się Twi'lekanka. Usiadła na sofie, eksponując bezwładną rękę. Rysy jej twarzy wykrzywił przelotny grymas rozdrażnienia. - Luke Skywalker zniszczył ci życie. Naznaczył bliznami.

- Po spotkaniu z nim pozostało mi coś więcej niż blizny. - Lumiya ściągnęła woalkę z twarzy i pokazała Alemie zniekształconą szczękę. Postawiła obutą stopę na krześle, sięgnęła po wibroostrze i przebiła nim udo. Rozległ się zgrzyt metalu o metal, a na twarzy Alemy odmalowało się zdumienie. - Prawdę mówiąc, jestem w większym stopniu maszyną niż istotą organiczną - podjęła Lumiya. - Moim zdaniem po przekroczeniu pewnej granicy kobieta przestaje być istotą ludzką z cybernetycznymi implantami, a staje się maszyną z częściami organicznymi. Chyba przekroczyłam tę granicę. I wiesz, co ci powiem? Nie czuję się z tego powodu nieszczęśliwa.

- Chcesz ukarać Luke'a, podobnie jak my pragniemy ukarać Leię.

Lumiya pochyliła się nad nią, chwyciła za bluzę pod szyją i szarpnęła do góry. Twarz Twi'lekanki znalazła się tak blisko jej twarzy, że Alema musiała spojrzeć w jej oczy.

- Luke chyba też tak myśli, co uważam za zdumiewającą arogancję - powiedziała. Czyżby zobaczyła w oczach Alemy cień przerażenia? Czasami opłacało się zachowywać niepoczytalnie.

- Wydaje mu się, że wokół niego obraca się cała galaktyka, i tak samo uważa wielu mężczyzn.

A ja... cóż, nie tęsknię za moją urodą, ty idiotko, bo do tej pory i tak bym ją straciła. Kiedy zrozumiałam, że moje obrażenia uwalniają mnie od przejmowania się takimi głupstwami jak wygląd, uświadomiłam sobie, że mam do wykonania zadanie, którego tylko ja się mogę podjąć.

- Jeszcze mocniej zacisnęła palce na wiotkiej tkaninie przy szyi Alemy.

- Moje zadanie zbliża się do końca, więc jeżeli w jakikolwiek sposób staniesz mi na drodze, popamiętasz. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Na chwilę Alema przestała sprawiać wrażenie osoby obłąkanej i zaczęła wyglądać jak ktoś normalny, obawiający się o życie. Lumiya miała nadzieję, że wywarła tym występem odpowiednie wrażenie.

- Będziemy szanowały twoje życzenia - odezwała się w końcu łaskawym tonem Twi'lekanka.

Lumiya powstrzymała się przed wymierzeniem jej policzka, co kosztowało ją sporo wysiłku.

Nie miała czasu na takie głupstwa.

- Wyświadczyć sobie przysługę - wycodziła, puszczając kołnierz Alemy - i zadaj pytanie, czym ci się naraziła Leia Solo oprócz tego, że cię oszpeczyła. Jeżeli nie masz jej do zarzucenia nic więcej, twoje dążenie do osiągnięcia Równowagi to po prostu strata czasu.

Alema zamrugnęła, jakby Lumiya jednak ją uderzyła. Może pierwszy raz ktoś jej uświadomił, że jest oszpecona? A przecież to się nie liczyło. W galaktyce roiło się od tylu dziwnych form życia, że Lumiya straciła umiejętność oceniania ich po wyglądzie, a przestało ją to interesować.

Ciekawe, że istoty, które straciły urodę, radziły sobie w życiu o wiele gorzej niż zwykli śmiertelnicy, starzejący się bez stresów. Zresztą miliony istot w galaktyce i tak nie potrafiłyby odpowiedzieć na pytanie, czym jest uroda.

Alema zastanawiała się nad słowami Lumii.

- Nadal chcemy ci pomóc osiągnąć twój cel - odezwała się w końcu.

- Proszę bardzo - zgodziła się Lumiya. Z jakiegoś powodu denerwowało ją, że Alema, mówiąc o sobie, używa liczby mnogiej. Wiedziała, że to pozostałość myślenia kategoriami roju z czasów, kiedy Twi'lekanka była Dwumyślną, ale uważała to za okropną manierę. - Jeżeli jednak zależy ci na tym, żeby zranić Leię, najłatwiej osiągniesz swój cel, jeżeli pozwolisz, żeby Jacen zrobił to, co musi.

- A czy ty chcesz zranić Leię?

- Nie zrobiła mi nic złego - odparła Lumiya. - Nie żywię do niej ani sympatii, ani żalu. Mimo to możesz mi pomóc... robiąc coś, co potrafisz najlepiej. - Trzeba odwołać się do jej próżności, pomyślała. - Miej oko na Jacena. Obserwuj go, ale dyskretnie.

- Zrobimy to, ale czy nie możesz śledzić go sama, kiedy zechcesz?

- Nie dość dokładnie. - Lumiya nie dysponowała tyłoma umiejętnościami Sithów, żeby widzieć jednocześnie wszystkie elementy rozgrywki, wszystkie fragmenty bitwy. Do czegoś takiego był zdolny tylko mistrz Sithów. Nie zamierzała się jednak do tego przyznawać, a już na pewno nie Alemie. - Nie mam czasu na rejestrowanie wszystkich ruchów, a dla jego bezpieczeństwa muszę wiedzieć, gdzie się w każdej chwili znajduje, zwłaszcza kiedy opuszcza Coruscant. Jak myślisz, dasz radę się tym zająć? To nudna praca, ale ktoś musi ją wykonywać.

- Damy sobie z tym radę - oznajmiła Twi'lekanka.

- I nie lataj dłużej tym Conquerorem - ostrzegła Lumiya. - Postaram ci się o statek, który nie będzie się tak bardzo rzucał w oczy.

- Pomarańczową sferę?

- Raczej nie. - Alema wyraźnie polubiła statek Sithów, prawdopodobnie dlatego, że mogła się z nim porozumiewać. Kiedy Lumiya zanurzyła się w chaos jej myśli, odkryła tak intensywne poczucie osamotnienia, że prawie się wzdrygnęła. - Coś bardziej odpowiedniego. Aha, i kiedy stąd odleczisz, zatrzyj za sobą ślady... żeby nikt inny tu nie trafił.

- Mamy duże doświadczenie w inwigilowaniu i dyskretnym zabijaniu - zapewniła wyniośle Alema. - Nie jesteśmy amatorką.

Lumiya poprowadziła ją krętymi korytarzami podobnej do plastra miodu asteroidy do awaryjnego wjazdu - nawet w pustce przestworzy uważała go za coś w rodzaju tylnego wyjścia -

a potem do małego lądowiska, na którym stało kilka statków. Kiedyś dysponowała bojową flotą, ale straciła ją podczas wojny z Yuu-zhan Vongami, a teraz nie było jej to potrzebne. Była Czarną Lady Sithów, więc musiała działać potajemnie. Nie potrzebowała dużej siły ognia.

- Może ten? - Pokazała Alemie odrapany i poobijany wahadłowiec w rodzaju takiego, jakimi latali międzyplanetarni kurierzy z ważnymi przesyłkami. Statek miał długość piętnastu metrów, z czego jedną trzecią zajmowała jednostka napędu nadświetlnego i dyskretnie ukryte uzbrojenie. Statek kurierski musiał być szybki, a jego pilot powinien mieć się czym bronić przed atakami piratów, jednak ten egzemplarz dysponował wyposażeniem o wiele lepszym niż standardowe. Mimo to Lumiya spodziewała się sprzeciwu Alemy.

- Nikt nie zwróci na nas uwagi w tym statku - przemówiła jednak Twi'lekanka, widocznie zadowolona z wyboru Lumii.

- Możesz zmienić kod identyfikacyjny transpondera, a nawet symbol firmy kurierskiej na dowolny spośród stu symboli towarzystw transportowych - podsunęła Czarna Lady Sithów.

Obecna konfiguracja była standardowa, ale w razie potrzeby można ją było zmienić na jedną z wielu fałszywych, niemożliwych do wytropienia. - Statek nie jest luksusowy, ale nadaje się do tego zadania.

Alema pociągnęła za uchwyt wjazdu. Kłapa odskoczyła i ukazał się otwór. Alema pochyliła się i zajrzała do środka.

- Zabrała nam wszystko - wymamrotała, a jej głos brzmiał jak w studni. Po chwili się wyprostowała. - Jesteśmy same. To jej wina, że czujemy się osamotnione.

Trzymajcie mnie, ona znów swoje, zdenerwowała się Lumiya.

- Kto? - zapytała.

- Leia Solo - odparła Alema. - Zabrała nam nasze lekku, przez co nie możemy się komunikować jasno z innymi istotami. Odpowiada za zniszczenie naszego gniazda. Zabrała nam także to, czym przyciągałyśmy uwagę... naszą urodę. - Wyglądało na to, że przemyślała groźbę Lumii i odgadła motywy jej postępowania. - Jesteśmy samotne i nigdy więcej nie będziemy się mogły kontaktować ze światem we właściwy sposób.

Lumiya nigdy nie traciła czujności i nie zwykła okazywać współczucia. Nie mogłaby więc powiedzieć, że współczuje Alemie, ale dziwnie boleśnie odczuwała jej stratę, szczególnie dotkliwą u istoty jej rasy. Pozbawiona części lekku Twi'lekanka mogła tylko z trudem porozumiewać się z innymi osobami swojej rasy, odczuwać przyjemność... a nawet kochać.

Głowoogony stanowiły nieodłączną część jej systemu nerwowego. Alema musiała odczuwać stratę tym boleśniej, że była kiedyś członkiem społeczności gniazda Killików i bardzo potrzebowała bliskości innych osób.

Tak, miała powód, żeby pragnąć zemsty. Lumiya musiała bardzo uważać. Nie mogła pozwolić, żeby przelotne współczucie skłoniło ją do rozmyślania o tym, ile z normalnego życia straciła sama.

- Bardzo mi ciebie żal - powiedziała i naprawdę było jej przykro. - Myśl o swojej stracie, koncentruj się i czekaj na odpowiednią chwilę.

Alema spojrzała na kurierski wahadłowiec, ale chyba straciła świadomość tego, gdzie się znajduje. Potem zerknęła na płytę lądowiska i zaczęła się kołysać jak w rytm muzyki. Uniosła jedną rękę - druga nadal zwisała bezwładnie, sparaliżowana po ciosie klingą świetlnego miecza Luke'a Skywalker'a - i zaczęła się obracać powoli i z wysiłkiem na sparaliżowanej stopie.

W pierwszej chwili Lumiya pomyślała, że to wyjątkowo pretensjonalna poza, ale zaraz uświadomiła sobie, że Alema naprawdę próbuje tańczyć. Twi'lekanka rozpamiętywała przeszłość i wspominała to, co już nie wróci.

- Byłyśmy kiedyś tancerką - odezwała się tęsknie, jakby do siebie. - Uwielbiałyśmy tańczyć.

Lumiya usiłowała przypomnieć sobie, co ona sama lubiła robić, zanim wstąpiła na służbę Imperium, ale jej się nie udało.

- Zabieraj się stąd, tancerko - burknęła. - Możesz zacząć od śledzenia ruchów „Anakina Solo”.

Przeszłość nie miała znaczenia. Liczyła się tylko przyszłość.

Coruscant, bar życiosokowy Sanvii

Mara sięgnęła po szklankę i zakręciła resztkami soku z ziem- nojabłek i rosokwiatów.

Świadoma uważnego spojrzenia Kypa Durrona, niechętnie wypila resztę płynu. Domyślała się, że siedzący naprzeciwko niej Jedi chce jej coś powiedzieć, i że wolałby tego nie mówić w sali zgromadzeń Rady Jedi... ani w obecności Luke'a.

A ona nadal nie miała żadnej wiadomości od Bena. Dwa dni wcześniej na Coruscant wylądował „Anakin Solo”, ale Bena nie było na jego pokładzie. Mara miała nadzieję, że jeśli nawet jej syn nie miał ochoty się z nią skontaktować, spotkał się z Jacenem. Nie wystarczała jej świadomość, że Ben jest cały i zdrowy.

Jej mały synek. Nie obchodziło jej, ile stacji Centerpoint może zniszczyć. Był jej chłopcem, a ona nie mogła znieść tego, że nie wie, co się z nim dzieje. Czasami, kiedy na chwilę spoglądała na jego życie oczami normalnej matki, ogarniało ją przerażenie.

- Gdybym cię tak dobrze nie znał, pomyślałbym, że mnie unikasz - odezwał się w końcu Kyp.

- Prawdę mówiąc, unikasz całej Rady Jedi.

- Jestem po prostu zapracowana - wyjaśniła Mara. - A ty, jaki miałeś powód, żeby się ze mną skontaktować? Nie sądzę, żeby ci chodziło tylko o zwiększenie poziomu moich przeciwartości.

- No cóż, jestem spostrzegawczy, więc widzę, że mamy do czynienia z rycerzem Jedi, który nie liczy się z nikim i z niczym

- odparł Kyp. - Nie chciałabyś się zwrócić z tym problemem do Rady Jedi? Wiesz, połączone wysiłki najbardziej doświadczonych Jedi w galaktyce...

- A jeżeli odpowiem, że Luke i ja sami damy sobie z tym radę?

- zapytała Mara.

- Rozumiem, sprawy rodzinne...

- Właśnie. Zwracam ci też uwagę, że nie wszyscy członkowie Rady Jedi stoją w tym sporze po tej samej stronie, a my nie chcemy doprowadzać do rozłamu w łonie Rady - wyjaśniła mistrzyni Jedi.

- Już kiedyś to... - zaczął Kyp.

- ...wiem, przerabialiśmy - dokończyła Mara. - Ale postaw się na miejscu Corrana. Czy nie czułbyś się dziwnie, pomagając dowódcy tajnej policji Galaktycznego Sojuszu po tym, co zrobił Korelianom, a nawet własnym rodzicom? Lepiej będzie, jeżeli sami posprzątamy bałagan w rodzinie.

- Dziwię się, że Luke tak długo toleruje sprawki Jacena - stwierdził Durrón. - Wcale nie żartowałem, twierdząc, że powinniśmy awansować Jacena do stopnia mistrza Jedi. Ludzie zazwyczaj przestają wybijać szyby w domu, kiedy w nim zamieszkają.

- Moim zdaniem to nieodpowiednia chwila - sprzeciwiła się Mara.

- Czyżby Luke wstydził się, że ma problemy we własnej rodzinie?

Mara o mało mu nie wygarnęła, że to ona już kilka razy powstrzymywała męża przed działaniem, a obecnie gorzko tego żałowała... ale to nie byłaby cała prawda.

- A gdybym ci powiedziała, że zidentyfikowałam przyczynę i zamierzam się z nią uporać, czy zrezygnowałbyś ze swojego zamiaru? - zapytała.

- Zwróciłem uwagę na liczbę pojedynczą - mruknął Kyp.

- Luke wie, co zamierzam zrobić.

- A co zamierzasz?

- Zabić Lumię.

- Usunęłoby to zagrożenie, jakie Lumiya stwarza dla Bena, ale jaki to może mieć związek z Jacenem?

- Lumiya przeniknęła do struktur SGS - wyjaśniła Mara.

- Jeszcze nie wiem, kim są jej szpiedzy w tych strukturach, ale musimy założyć, że wcześniej czy później dotrze także do Jacena. A jej wpływ na niego byłby fatalny. Musi zniknąć.

- Dlaczego dojście do tego wniosku zajęło ci aż tyle czasu?

- zdziwił się Kyp. - Uważam, że do tej pory ta baba-cyborg potrafi już myśleć tylko o tym, gdzie zdobyć następną porcję oliwy smarowniczej. Możesz się z nią rozprawić w każdej chwili.

- Luke ma zwyczaj łapać przeciwników żywcem i starać się ich przekonać. - Mara nie chciała zdradzić Kypowi, że na pokładzie wypoczynkowego satelity jej mąż prowadził z Lumią uprzejmą rozmowę. Dotknął jej nawet, chociaż kobieta trzymała świetlny bicz w drugiej ręce.

Później powiedział, że jego zdaniem Lumiya nie ma żadnych złych zamiarów. Co on sobie wyobrażał? - Zapewniam cię, że ona wcale nie jest tak bardzo niedołączna, jak ci się wydaje.

Niełatwo będzie się z nią rozprawić.

- Pomogę ci, jeżeli potrzebujesz wsparcia - zaproponował Durrón.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło, ale dziękuję. - Mara nie mogła się powstrzymać przed zadaniem następnego pytania: - Co mówią na ten temat pozostali członkowie Rady Jedi?

- Że powinniście nad tym zapanować - odparł Kyp. - Domyślasz się chyba, że często o tym rozmawiamy.

- Wspaniale... mamy posiedzenia Rady Jedi z udziałem obojga Skywalkerów i potajemne zebrania członków Rady bez naszego udziału - podsumowała Mara. - Wygląda mi na to, że już doszło do rozłamu w łonie Rady.

- To przecież ty postanowiłaś rozprawić się z kobietą-Sithem bez porozumiewania się z nami...

Mara zauważyła, że Kyp stosuje podwójne standardy, ale postanowiła to zignorować.

- Czy naprawdę uważasz, że gdybym wstała podczas posiedzenia Rady i powiedziała: „Hej, ta lunaticzka stwarza zagrożenie dla mojego dziecka i nastaje na życie mojego męża, więc zamierzam odciąć jej głowę”, pozostali członkowie Rady pogratulowałiby mi i poparli w głosowaniu? Podobnie jak Luke, niektórzy spośród nich nie tolerują skrytobójstwa. Gdybym się na to

zdecydowała, pęknięcie w łonie Rady przerodziłoby się w przepaść, i to bardzo szybko.

Kyp zajrzał do swojej szklanki. Miał tam coś pomarańczowego, gęstego i nieprzezroczystego, co chyba mu nie bardzo smakowało.

- Czyli co, chcesz nam oszczędzić moralnego dylematu? - zapytał.

- Jeżeli wolisz tak na to spojrzeć... - przyznała Mara.

W życiosokowym barze panowała cisza, ale w powietrzu unosiła się nieapetyczna woń wilgotnej, surowej zieleniny, niczym w kwiaciarni. Może właśnie dlatego zaciszny lokal nadawał się na spotkanie. Nikt nie znał tu Kypa ani Mary, bo pozostali klienci przeważnie byli Ementami. Istoty tej rasy przychodziły tu na owocowe potrawy i napoje, które przyrządzano w taki sposób, żeby mogły obserwować cały proces wszystkimi trzema parami swoich oczu.

Ementowie do nikogo nie mieli przesadnego zaufania, a już zwłaszcza do osób zajmujących się przygotowywaniem posiłków na Coruscant.

Ciekawe, czy sama mogłabym liczyć na zaufanie istot innych ras? - zadała sobie pytanie mistrzyni Jedi.

Wyrzucała sobie, że nie mówi mężowi całej prawdy, chociaż ze wszystkiego zwierza się przyjacielowi. Właśnie na tym polegał cały problem. Wszyscy członkowie Rady Jedi byli przyjaciółmi. Senat Galaktycznego Sojuszu dzielił się na wiele frakcji i nikomu to nie przeszkadzało, bo zasiadały w nim tysiące rywali, wrogów i obcych sobie osób, ale Rada Jedi...

jej członkowie razem dorastali i razem walczyli. Czuli się jak rodzina, i to nie tylko dlatego, że byli Jedi.

Cilghal często im powtarzała prastarą zasadę, w myśl której Jedi nie powinni się angażować, ale i tak wszystkich członków Rady łączyła silna więź uczuciowa.

Mara stwierdziła, że nie lubi soku z rosokwiatów. Cały czas się zastanawiała, jak najlepiej uniknąć smagnięcia świetlnym biczem, więc aż się wzdrygnęła, kiedy usłyszała świergot komunikatora. Wyjęła urządzenie z saszetki u pasa i zobaczyła twarz Bena.

- Mamo, właśnie wylądowałem - odezwał się chłopak. - Ja...

- Ben? - przerwała Mara. - Jesteś w kosmoporcie wojskowym?

- Nie, w cywilnym - odparł syn. - W Galactic City. Posłuchaj, bardzo mi przykro, że...

- Nigdzie się stamtąd nie ruszaj - poleciła Mara. - Zostań tam, gdzie jesteś. Spotkam się z tobą w sekcji Siedem-B hali przylotów, zgoda?

- Mamo...

- Tym razem nie chcę słyszeć żadnych protestów - ucieła matka. - Po prostu czekaj na mnie. -

Wyłączyła komunikator, wsunęła do saszetki, chwyciła kurtkę i spojrzała na Kypa. - Jeżeli masz zamiar powiedzieć o tym Luke'owi, nie rób tego od razu. Daj mi trochę czasu.

- Nie miałem zamiaru się do tego mieszać - zapewnił Dur-ron, wzruszając ramionami. -

Cieszę się, że Ben jest cały i zdrowy. Pamiętaj tylko, że dzieciaki lubią mieć wyraźnie wytyczone granice. Ben jest wciąż jeszcze zbyt młody, żeby samemu je ustalać.

- Już tego próbowałam - odparła Mara, kierując się do wyjścia. - Ale okazało się, że Ben ustalił swoją granicę we właściwym miejscu.

Przeciskając się przez tłum ludzi w kosmoporcie, starała się wyczuć, gdzie może być Ben.

Halę przylotów patrolowali funkcjonariusze SGS w czarnych kombinezonach w towarzystwie ubranych na niebiesko policjantów z CSB. Podwładni Jacena byli wprawdzie tajną policją, ale w ogóle nie starali się wtapiać w tłum. Wręcz przeciwnie, rzucali się w oczy. Jacen doskonale się orientował w nastawieniu obywateli i z pewnością chciał, żeby widok ubranych na czarno funkcjonariuszy odstraszał przeciwników. Taki widok wpływał uspokajająco na nastroje, i to mimo czarnych przesłon hełmów, które nadawały żołnierzom SGS wygląd nieczułych androidów bojowych.

I nagle Mara zobaczyła Bena. Jej syn siedział na białym marmurowym cokole dziesięciometrowej abstrakcyjnej rzeźby przedstawiającej Dobrobyt - jednej z czterech, na których wspierała się centralna kopia sklepienia wielkiej hali. Pozostałe rzeźby symbolizowały Postęp, Cywilizację i Pokój.

Pokój, dobre sobie, pomyślała Mara.

Ben wyglądał jak każdy inny czternastoletni chłopak. Uderzając piętami w marmur, wpatrywał się w ekran komputerowego notesu i jedną ręką wpisywał jakieś polecenia. W

pewnej chwili przeszedł obok niego żołnierz SGS. Ben spojrzał na niego, kiwnął mu głową i uśmiechem odpowiedział na pełne szacunku powitanie podwładnego.

Mara nie potrzebowała lepszego przypomnienia, że jej syn nie jest zwykłym kilkunastolatkiem. Był podporucznikiem, który mógł wydawać rozkazy swoim podwładnym.

Mój syn pomaga dowodzić tajną policją, pomyślała ze zgrozą.

Ale... przecież ona poznała najcichsze i najskuteczniejsze sposoby zabijania nieprzyjaciół

Imperatora, kiedy była w wieku Bena, Luke zaś był zaledwie pięć lat starszy, kiedy przyłączył się do Rebelii.

Czyżbyśmy liczyli na to, że wychowamy mola książkowego?

- zadała sobie pytanie.

- Cześć, mam. - Ben wsunął komputerowy notes do kieszeni kurtki. Zaciśnął wargi, jak zwykle, kiedy spodziewał się wymówek. - Jesteś na mnie wściekła, prawda?

Mara stanęła przed nim. Chciała go zwymyślać za to, że musiała się o niego bać, a zarazem pragnęła zamknąć go w ramionach i uściskać. Nie mogła jednak pozwolić sobie na jedno ani na drugie, bo po czymś takim jej syn nie mógłby po powrocie do koszar spojrzeć w oczy innym żołnierzom, więc tylko podeszła bliżej i rozwichrzyła mu włosy

- Nie mogłeś się z nami skontaktować? - zapytała. - Nie mogłeś powiedzieć nawet Jacenowi, co się z tobą dzieje?

Ben zmarszczył lekko brwi.

- Przepraszam - powiedział. - Wykonywałem zadanie i nie chciałem informować nikogo, gdzie się znajduję.

- Porozmawiamy o tym później - stwierdziła Mara. - Teraz chodźmy coś zjeść. - Odwróciła się w stronę wyjścia z hali.

- Wszystko w porządku - zapewniła syna. - Twój ojciec się ucieszy, kiedy zobaczy, że nie stało ci się nic złego. Żadnych wymówek. Obiecuję.

Ben ześlizgnął się z cokołu, zachowując niezwykle jak na niego milczenie, i oboje skierowali się do platform dla śmigaczy. Mara cały czas omiatała dyskretnymi spojrzeniami tłum, niepewna, czy rozpoznałaby albo chociaż wyczuła Lumię, gdyby kobieta kryła się pośród pasażerów. Lady Sithów mogła zresztą nasłać na Bena jednego ze swoich pachołków. Musiała mieć w łonie SGS zauszników. Największym zagrożeniem dla chłopca mógł się stać jeden z jego podwładnych.

- Dlaczego jesteś taka przerażona, mam? - zapytał w pewnej chwili Ben.

Mara nie oderwała spojrzenia od tłumy mijających ją osób. Nieustannie wszystkich obserwowwała, tak jak ją nauczono.

- Chętnie ci odpowiem - oznajmiła. - Dlatego, że Lumiya czyha na twoje życie.

Ben mruknął coś z niedowierzaniem, ale nie okazał zaniepokojenia. Zaczął się zastanawiać nad jej słowami.

- Czy ona nadal chce się zemścić na ojcu za to, co jej kiedyś zrobił? - zapytał.

- Raczej chodzi o to, że zabiłaś jej córkę - wyjaśniła Mara.

- Uhhh... trudno - mruknął chłopak. - Jeżeli ona tak uważa...

Kiedy Ben wsiadał do kabiny śmigacza, Mara osłoniła syna własnym ciałem. Wiedziała, że to

najbardziej niebezpieczny moment. Sama niegdyś wyeliminowała kilka celów, kiedy wsiadały do pojazdu i pozwalały sobie na chwilę nieuwagi. Kłapa wjazdu zamknęła się jednak z cichym sykiem i nic się nie stało. Mara odwróciła się i spojrzała uważnie na syna.

- Nie żartuję, Ben - powiedziała. - Lumiya działa podstępnie i jest bardzo niebezpieczna, więc dopóki jej nie zneutralizujemy, musisz się mieć na baczności. Przeniknęła do struktur SGS. Jej zausznikiem może być każdy z twoich podwładnych.

- Gdyby naprawdę zamierzała nakazać swojemu szpiegowi w Straży, żeby mnie zabił, już dawno by to zrobiła - stwierdził Ben, rozpierając się w fotelu pasażera. - Ale dobrze, będę na siebie uważał. O rany, ale zamieszanie! Jacen trafił na czarną listę Fetta za to, że zabił jego córkę, ja za to samo dostałem się na celownik Lumii... Podejrzewam, że właśnie na tym polega nasza praca, prawda? Z każdą chwilą robimy sobie więcej wrogów. Nasi chłopcy nawet się zakładają, kiedy i w jaki sposób Fett zabierze się do Jacena.

Mara nie była pewna, czy syn tylko się przed nią popisuje, udając, że lekceważy zagrożenie, czy też jak każdy nastolatek rzeczywiście je lekceważy. Fett był najmniejszym z jej zmartwień.

- I co, ty też się założyłeś? - zapytała.

- Jacen na pewno da mu radę - odparł Ben. - Z drugiej strony to dziwne, że taki sławny łowca nagród jak Fett jeszcze się nie zabrał do działania. Podejrzewam, że im dłużej zwleka, tym bardziej jego ofiary się boją.

- Jeżeli Fett zabierze się w końcu do Jacena, niech się o to martwi sam Jacen - stwierdziła Mara.

- Dobrze?

Śmigacz wzniósł się na poziom zautomatyzowanych napowietrznych szlaków i skierował w stronę Rotundy. Ben wyglądał w milczeniu przez boczne okno.

- Nie powiesz mi, na czym polegało twoje zadanie? - zagadnęła Mara.

Ben milczał parę sekund, co oznaczało, że zastanawia się nad doborem słów.

- Miałem sprowadzić na Coruscant prototypowy statek - odezwał się w końcu. - Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, z którym bym sobie nie poradził.

Mara poczuła ulgę. A więc Ben miał do wykonania rutynowe zadanie. Mimo to uznała za dziwne, że Jacen jej o tym nie powiedział.

- Ominęły cię własne urodziny - przypomniała.

- Chłopaki mówią, że w życiu każdego przychodzi chwila, kiedy urodziny przestają mieć znaczenie - odparł syn. - Ja też się tak czułem.

- Kochanie, tak się może czuć ktoś o wiele starszy - zachnęła się Mara. — Nie czternastolatek. -

Poczuła ból w sercu od świadomości, że Ben porzucił dzieciństwo. - Obiecuję, że za rok będziemy je obchodzili jako rodzina... będziemy naprawdę świętować.

- Przypuszczasz, że do tej pory wojna się zakończy? - zapytał Ben.

- Nawet jeżeli nie, urządzimy przyjęcie - zapewniła matka.

-Wszyscy.

- Przyjdą także ciocia Leia i wujek Han? - zainteresował się chłopak. - Chociaż usiłowałem go aresztować?

Zdumiewająca rzeczywistość wojny domowej, pomyślała Mara. Oto kilkunastoletni chłopak został wysłany, żeby aresztować ciotkę i wujka, a później ten sam chłopak się zastanawia, czy oboje zechcą wziąć udział w jego urodzinowym przyjęciu. Czasami Mara starała się policzyć dni, w których nie zabijała ani nie brała udziału w żadnej wojnie. Wychodziło na to, że było ich niewiele... bardzo niewiele. A tak chciałam, żeby Ben miał inną przyszłość, pomyślała.

- Na pewno przyjdą - oznajmiła. - Ben, czy Jacen już wie, że wróciłeś?

- Ta-a - odparł syn, ale nie dodał nic więcej. - Wszystko w porządku. Mam się zameldować na służbie jutro rano o ósmej zero, zero. Nie oddaliłem się z koszar bez zezwolenia.

- Spróbuję cię przekonać ostami raz, Benie - powiedziała Mara. - Martwię się o ciebie. Twój tata i ja naprawdę spalibyśmy

0 wiele spokojniej, gdybyś załatwił sobie zwolnienie ze służby w SGS i wyruszał na wyprawy z nami.

Przygotowała się na sprzeciw, ale Ben popadł w zadumę. Kiedy się odezwał, mówił

denerwująco spokojnym tonem osoby dorosłej.

- Mamo, czy kiedykolwiek musiałaś zrobić coś, czego nie chciałaś, ale wiedziałaś, że to konieczne? - zapytał.

Mara postępowała tak tyle razy, że uważała to za oczywiste.

1 za każdym razem - bez względu na to, czy służyła Imperium, Nowej Republice, czy komukolwiek innemu - uważała, że postępuje słusznie.

- Tak, kochanie, musiałam - oznajmiła i zrozumiała, że od tej pory nie będzie miała nad synem moralnej przewagi. Trudno więc będzie cokolwiek mu nakazać. - Problem w tym, że kiedy później patrzyłam na swoje czyny z perspektywy czasu, dochodziłam do wniosku, że czasami postępowałam niesłusznie. Upłynie jednak wiele lat, zanim się dowiem, czy to, co teraz robię, jest słuszne.

- Trzeba działać na podstawie najlepszych informacji, jakimi się dysponuje w chwili podejmowania

decyzji - podsumował Ben.

Tak by odpowiedział dorosły mężczyzna, a nie chłopiec. Ben jednak był żołnierzem. I to oni - jego rodzice - zrobili z niego takiego człowieka. Mara chciała mieć syna Jedi, no i miała.

- Za rok - przypomniała. - Bez względu na to, co się wydarzy, za rok urządzimy przyjęcie.

ROZDZIAŁ 3

Mishuk gotal'u meshuroke, pako kyore.

(Ciśnienie kształtuje klejnoty, swoboda powoduje rozkład) Mandaloriańskie porzekadło

System Kuata, „Niewolnik 1”, w drodze na Badora Mirta Gev postanowiła się zadowolić tym, że dziadek ją toleruje. Starła się go nawet pokochać, ale przychodziło jej to z trudem.

Nie miała pojęcia, czy wciąż jeszcze chce, żeby zapłacił za życie, jakie z konieczności wiodły jej matka i babka. Miała jednak przed sobą mężczyznę, któremu okazywano wszystko z wyjątkiem miłości, i musiała mu współczuć. Jej dziadek wznosił wokół siebie durbetonowe bariery i rzucał wyzwania wszystkim, żeby je pokonywali. Kiedy opuścił swoim patrolowcem klasy Firespray orbitę Mandalory i przygotowywał się do wskoczenia do nadprzestrzeni, na jego twarzy malowała się pogarda dla zwykłego życia. Mirta doszła do wniosku, że hełm dziadka wygląda mniej odpychająco niż jego twarz.

Dobrze chociaż, że pozwolił jej zająć fotel drugiego pilota. To był jedyny gest, na jaki się zdobył, dowodzący, że uważa ją za krewną.

- Twój klon nie jest aktywnym łowcą nagród - odezwał się w pewnej chwili. Zawsze zaczynał

rozmowę bez żadnych wstępów. Od razu przechodził do rzeczy. - Sprawdziłem w wykazie wszystkich łowców nagród i potencjalnych łowców, ale żaden nie nazywa się Skirata. Wielu ludzi na Mandalorze znało Kala Skira- tę, który później zniknął bez śladu, jakby się rozplynął.

- Wiem, że tamten Skirata polował - odparła Mirta. - Przykazał mi, żebym nie wchodziła mu w drogę. - Zastanawiała się, czy dziadek jej uwierzył. Skłamała mu kiedyś, kiedy usiłowała go zwabić w pułapkę i zabić, więc nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby jej nie dowierzał w sprawie tamtego klona. Tymczasem on naprawdę istniał. - Czy to oznacza, że będziemy się cofali po jego śladach?

- Po twoich - odparł lakonicznie Fett.

- Chcesz udawać klienta szukającego łowcy nagród, żeby go wynająć?

- Nie zamierzam tego robić. Ty to zrobisz.

Mirta zrozumiała, że właśnie poznała powód, dla którego dziadek zgodził się ją zabrać na tę wyprawę.

- A więc uważasz, że rzeczywiście się do czegoś przydam, prawda? - zapytała.

- Zarobisz na utrzymanie - stwierdził Fett. - To zasada każdej współpracy.

Zupełnie jakbym słyszała głos nieżyjącej matki, pomyślała Mirta. Ailyn Vel była wyciosana z tego samego bloku granitu co Boba, choć jej córka niechętnie to przyznawała. Kiedy Fett porzucił swoją żonę, Ailyn była dzieckiem. Była zbyt młoda, żeby stać się osobą gruboskórną i nieczułą.

- Jak sobie z tym radzisz? - zapytała wnuczka.

- Z czym?

- Jak sobie radzisz z samotnością?

- Zamierzasz kłapać dziobem całą drogę na Kuata?

- A ty nie możesz się przemóc, żeby mi powiedzieć, abym się zamknęła, prawda? - odcięła się Mirta.

- Nie muszę sobie radzić z samotnością, bo ją lubię - odparł Boba.

- Dla mnie mama była wszystkim, co miałam, a ja nie znoszę samotności.

Fett poruszył ustami, jakby się powstrzymywał przed powiedzeniem czegoś, czego mógłby później żałować. Mirta doszła do wniosku, że powinien ją zrozumieć. W końcu też stracił ojca z ręki jakiegoś Jedi.

- Ta-a - odezwał się w końcu. - A co z twoim tatą?

- Zginął, bo rozszczelnił się kadłub statku - odparła Mirta.

- Nawet nie w walce.

- Dlaczego w ogóle Ailyn poślubiła Mando? - zapytał Fett.

- Sintas musiała ją już uprzedzić, że kiepski z nas materiał na mężów.

Mirta ścisnęła mocniej w pięści wisiołek z klejnotem, zwanym ognistym sercem. Miała tylko połowę oryginalnego kamienia. Drugi plaster, odłupany ciosem kolby blastera Fetta, spoczywał

na szyi Ailyn Vel w skromnym grobie poza granicami Keldabe... w prastarym lesie, którego nie dali rady spalić vongese.

Ten kamień niczym nie promieniuje, uświadomiła sobie Mirta. A przecież powinien coś mówić. Jestem Kiffarką... przynajmniej po części Kiffarką.

- Moja mama obracała się w towarzystwie Mando 'ade, żeby się dowiedzieć, jak ma cię upolować - odparła w końcu. - W tym czasie spotkała tatę. Ich związek nie trwał długo.

- Jakie to romantyczne - burknął Boba.

- Troszczyła się o niego.

- I pozwoliła mu, żeby zrobił z ciebie Mandaloriankę.

- Spędziłam z tatą dwa letnie okresy na Nuli po tym, kiedy on i mama się rozstali - wyznała wnuczka.
— Nauczył mnie wszystkiego, co umiał, a później zginął.

Nie powiedziała tego, żeby Fett się zamknął. Jej dziadek i tak nie był rozmowny, ale po jej słowach zapadła w sterowni niezwykła, przytłaczająca cisza.

- Wielka szkoda - odezwał się w końcu Boba.

- Nie próbuj być większym sierotą niż ja, Ba 'buir - powiedziała. - Wiem, jak się człowiek wtedy czuje.

Wahała się między nienawiścią do niego, którą nauczono ją odczuwać, a świadectwem swoich oczu. Jej dziadek nie był potworem, a przynajmniej nie tak strasznym, za jakiego uważała go matka. Kiedy to zrozumiała, poczuła, że jest wobec niej nielojalna. Po niemal dwóch miesiącach osiągnęła stan, w którym tuż po obudzeniu nie myślała o dziadku, a matka przestała ją prześladować w nocnych koszmarach. Chyba ją także zdradziła.

Życie powinno się toczyć dalej, a ona musi odnaleźć w nim jakiś sens, aby się nie okazało, że Ailyn Vel zginęła na próżno.

- No to nie musimy o tym rozmawiać. - Fett głęboko odetchnął. Wyglądał, jakby przez cały ten czas wstrzymywał oddech.

- Dobrze ci tam, gdzie w tej chwili mieszkasz?

- Ta-a.

- Mógłbym ci kupić dom na własność - zaproponował. - Gdziekolwiek zechcesz.

Mirtę zdumiała taka lojalność dziadka, prawdę mówiąc dość krępująca. Beviin uprzedzał, że Fett miewa dobre chwile. W końcu mógłby także próbować się jej pozbyć w jakimś zakątku odległej planety.

- Dobrze mi tu, gdzie w tej chwili mieszkam, bardzo dziękuję

- odparła Mirta, ale od razu zauważyła, że zabrzmiało to zbyt szorstko. - Chciałam tylko powiedzieć, że nie mam nic przeciwko mieszkaniu z rodziną Vevuta.

Fett nic nie odpowiedział, ale Mirta i tak wiedziała, co jej dziadek myśli.

- Naprawdę lubię Orade'a - dodała. - Jest uczciwym mężczyzną.

- Jesteś dorosłą kobietą - burknął Fett. - To nie moja sprawa.

Wszyscy jednak wiedzieli, że Mirta jest jego wnuczką, więc mało który mężczyzna odważyłby się z nią ożenić. Reputacja Boby Fetta była powszechnie znana. Mirta zamknęła oczy, wsłuchana w szept ognistego serca.

- Dlaczego ono nie przekazuje ci żadnych informacji? - zagadnął niespodziewanie Fett.

- Bo jestem tylko po części Kiffarką- odparła wnuczka. - Nie dysponuję pełną umiejętnością wyczuwania tego, co mówią przedmioty. - Otworzyła oczy, ale dziadek wyglądał jak posąg, jak uosobienie obojętności. Mirta przyjrzała się jego profilowi, ciekawa, czy jest do niego podobna.

- Taka umiejętność nazywa się psychometrią - podjęła po chwili. - Podobno dysponują nią niektórzy Jedi.

Wzmianka o Jedi nie była najlepszym pomysłem, ale Fett nie zareagował.

- Kamień pochłania wspomnienia dawcy i biorcy - powiedział. - Tak twierdziła Sintas.

Rozumiem, pomyślała Mirta. Pod kamienną maską ukrywa się człowiek, który chciałby przywołać na nowo szczęśliwsze chwile albo odsunąć te, o których wolał zapomnieć. Klejnot zawierał odrobinę jego duszy i odrobinę duszy jego żony. Chociaż pozory na to nie wskazywały, to jednak Mirta widziała, jak jej dziadek płacze, a mogła się założyć, że nikt inny nie widział płaczącego Boby Fetta, nawet w dzieciństwie.

- Bardzo się staram, Ba 'buir - powiedziała.

- Największą krzywdę mi wyrządziłaś, kiedy powiedziałaś, że wiesz, co się stało z Sintas - odparł Fett.

Mirta poczuła się, jakby ją spoliczkował. Kiedy to mówiła, nie wiedziała, czy jej podstęp się uda i czy Fett wpadnie w zasadzkę, jaką zastawiła na niego jej matka. Obecnie żałowała, że sprawiła przykrość umierającemu człowiekowi, choć przecież wychowywano ją w nienawiści do niego.

- Obiecuję ci, że się dowiemy, jak zmarła moja babcia - powiedziała.

- Ale najpierw muszę odnaleźć tamtego klona - sprostował Fett chrapliwym, stanowczym tonem. - Dopiero potem odszukam kogoś, kto jest czystej krwi Kiffarem, żeby odczytał

informacje zawarte w tym klejnocie.

Mirta uznała jego słowa za sygnał do zakończenia rozmowy. Jej dziadek nigdy nie próbował

udawać, że miał szczęśliwą rodzinę. Zastanowiła się, w ilu rodzinach zdarzały się podobne przypadki - nagłe śmierci, próby zabójstwa... Mam nadzieję, że odziedziczyłam charakter po tacie, pomyślała, ale zaraz sobie przypomniała, że gdyby nie interwencja Leii Solo, zabiłaby Fetta strzałem

z blastera. Chyba więc mimo wszystko w jej żyłach płynęła krew Ba 'buira...

dziadka.

- Przygotuj się - polecił nagle Fett.

Nie włączył tłumików na pełną moc, kiedy „Niewolnik 1” wskakiwał do nadprzestrzeni.

Nigdy tego nie robił, więc kiedy statek przyspieszał do prędkości światła, a potem ją przekraczał, Mirta poczuła się, jakby jakiś Hutt walnął ją w pierś, a później na niej usiadł.

Dyskretnie przygryzła wargę i obserwowała, jak gwiazdy za iluminatorem przemieniają się w linie niebieskiego światła. Zaczekała, aż ciężar z jej piersi ustąpi.

Dziadka musiało to też zboleć. Przecież był umierający. Poszperała w kieszeni, wyjęła kilka pastylek przeciwbólowych i wyciągnęła je na dłoni w jego stronę. Fett przyjął je i połknął bez słowa. Miał zimne czubki palców.

Mirta pomyślała, że zanim dotrą do przestworzy Kuata, zapomni mówić. Postanowiła zabić czas, planując, w jaki sposób wykończy Jacena Solo, jeżeli będzie miała taką okazję.

Przypuszczała, że stanie w długiej kolejce osób spragnionych dostąpienia tego zaszczytu. Ba

'buir nie powiedział jej, jak zamierza się z nim rozprawić, ale Boba Fett nigdy nie zapominał o wyrównywaniu rachunków, które tego wymagały.

- Zwalniamy za trzydzieści standardowych minut - oznajmił w pewnej chwili.

Mirta bardzo chciała go pokochać, ale nie mogła. Może miałyby ułatwione zadanie, gdyby się dowiedziała, co zaszło między nim a jej babką ale z drugiej strony ta wiedza mogłaby jej dać nowy powód do zemsty. Zdecydowała, że powinna unikać rozmowy na ten temat. Nie bała się o to zapytać, ale nie chciała przerywać ci' szy. Jeżeli jej dziadek chciał, umiał się wycofać z otaczającego świata.

Bador wyglądał zupełnie inaczej niż Mandalora. Obniżając pułap lotu, „Niewolnik 1”

prześlizgnął się między orbitalnymi stacjami i zaczął lecieć nad miastami z prostymi ulicami i przestronnymi placami. Mirta spojrzała na mapę na ekranie komputerowego notesu, żeby się zorientować w okolicy.

- Jak nazywał się twój ojciec? - zagadnął nagle Fett.

- Makin Marec.

Fett nigdy nie zadawał pytań bez powodu. Pewnie był ciekaw, z kim jeszcze może być spokrewniony. Wylądował w jednym z ogromnych publicznych kosmoportów w Bunarze, po czym oddał się rytuałowi włączania urządzeń alarmowych i zastawiania śmiertelnych pułapek na każdego wystarczająco naiwnego, żeby próbować się wdrzeć na pokład

„Niewolnika 1". Kiedy skończył, wyprowadził z ładowni niewielki skuter raketowy i wskoczył

na siodełko, tym razem bez trudu. Nic dziwnego. Środki przeciwbólowe były na tyle silne, że mogły znieczulić bantha.

- Zajmiesz się nawigacją - polecił wnuczce. Podskoczył kilka razy na skórzanym siodełku, jakby chciał wypróbować, czy go coś zaboli. - W drogę.

Mirta sprzęgła komputerowy notes z systemami hełmu.

- Skieruj się na tamten szlak dla śmigaczy i przeleć nim pięć kilometrów na południe -

powiedziała.

Zaczynała się przyzwyczajać do noszenia buy'ce - kubła. Z początku czuła się w nim fatalnie, jakby się dusiła, ale po kilku tygodniach przebywania w towarzystwie osób nierozstających się z hełmami, czuła się bez swojego jakoś dziwnie. Strumienie informacji na wyświetlaczu w polu widzenia przyciągały uwagę, ale jej nie rozpraszały. I już od dawna o nic się nie potknęła.

A poza tym... w tym hełmie była prawdziwą Mando. Jej ojciec byłby zachwycony, ale Mirta wolała nie myśleć, co powiedziałyby na to matka. Tęsknię za tobą mamo, pomyślała. Bardzo mi Ciebie brakuje, no i nawet się z tobą nie pożegnałam. Zauważyła, że peleryna Boby smaga ją po przesłonie hełmu, co wyrwało ją z zadumy. Zastanowiła się, czy kiedykolwiek stanie się taka jak dziadek... albo jak matka. W jej rodzinie pełno było traumy z powodu utraty jednego z rodziców.

Zgodnie z jej wskazówkami Fett kierował skuter do coraz bardziej obskurnych dzielnic miasta. Ściany wysokich bloków

mieszkalnych i magazynów tworzyły kamienne wąwozy. Łowcy nagród nie mieli zwyczaju uprawiania swojego procederu w luksusowych dzielnicach miast. Liczba odrapanych apartamentowców stopniowo malała, za to coraz więcej było obszarpańców na rogach ulic i w kabinach śmigaczy.

- Powiesz mi, po co tu przyleciałaś? - zapytał w pewnej chwili Fett.

- Odzyskać skradzione dane - odparła wnuczka.

- Chcesz powiedzieć, że mieszkańcy tych dzielnic umieją czytać?

- Nie, ale miałam klientów, którzy potrafili - odcięła się Mirta. - Miejscowi ukradną wszystko, nawet jeżeli nie wiedzą do czego służy. Moje zadanie polega na przekonaniu ich, żeby to zwrócili.

- Jesteś pewna, że to właśnie tu spotkałaś klona w szarych rękawiczkach?

- Tak.

Po kilku skrętach w niewłaściwą stronę poszukiwana kantyna pojawiła się niespodziewanie prosto przed nimi. W świetle dnia wyglądała jeszcze gorzej niż wówczas, kiedy Mirta ostatnio ją

odwiedzała. Na drzwiach widniały szerniałe pęcherze farby po blasterowych strzałach, a na murach odpryski i wgłębienia po kulach. Mirta pamiętała, że czegoś takiego ostatnio tam nie było. Na progu kantyny zaczynał się znaczony kroplami zakrzepłej krwi szlak, kończący się sporą brązową kałużą. Ulice w tej dzielnicy rzadko bywały sprzątane.

Napis nad drzwiami głosił: „Witajcie w kantynie Raj”. Pod spodem ktoś dopisał: „Bez hełmów”.

- Nie podoba mi się, że nie szanują tu kulturowej różnorodności - burknął Boba.

- Ale tylko dlatego wiem teraz, jak wygląda twarz tamtego klona - sprzeciwiła się Mirta. -

Musiał zdjąć hełm.

- Doskonale. - Fett zauważył dwóch obszarpanych osobników płci męskiej - mężczyznę i Rodanina. Podeszli blisko do skutera i zaczęli mu się przyglądać. Po chwili zwrócili uwagę na Mandalorianina, bo przenieśli spojrzenie na jego blaster i plecak rakietowy. Od razu przypomnieli sobie, że mają do załatwienia pilne sprawy. Fett unieruchomił pojazd i nastawił

termiczny detonator urządzenia zapobiegającego kradzieży. Obaj osobnicy rozbiegli się w przeciwną stronę i zniknęli. - Tak czy owak, chyba mnie tu nie znają. Moja sława jeszcze tu nie dotarła.

<

Mirta zdjęła hełm, ale Fett postanowił zignorować napis nad drzwiami. W barze cuchnęło równie paskudnie jak w innych tego typu lokalach. Mirta stwierdziła, że to odór wymiocin zmieszany z wonią skwaśniałego piwa i oliwy, która posłużyła w zamierzchłej przeszłości do smażenia. Goście lokalu pasowali do otoczenia, prawdopodobnie dlatego, że wydawali wszystkie wolne fundusze na najnowocześniejszą broń. Kuatski barman za kontuarem rozstawiał talerze i nakładał na nie porcje podejrzanej marynaty, wyglądającej jak konserwowane gałki oczne. Boba i Mirta podeszli do kontuaru, starając się wyglądać normalnie... czyli jak pozostali goście Raju.

W końcu barman zwrócił uwagę na Mirtę, pewnie dlatego, że młoda kobieta zbyt uważnie przyglądała się marynatom.

- Musisz kupić coś do picia - powiedział. - Żadnych przekąsek bez... - Urwał i odwrócił

głowę. Jego uwagi nie przyciągnęła jednak płytką napierśnika pancerza Fetta, ale jego hełm. -

Jak śmiesz tu przychodzić, ty mandaloriański zbroju?

- warknął.

Zanurkował za kontuar, co mogło oznaczać tylko jedno. Mirta nie była pewna, czy wyciągnęła blaster szybciej niż Ba 'buir, ale kiedy barman się wyprostował z bardzo nielegalnym rozrywa-czem firmy Tenloss z krótką lufą, z którego strzał mógł zamienić oboje gości w mieloną nerfinę, spojrzał w ciemne otwory trzymanego przez Fetta blastera typu EE-3 z odpiloną lufą i pistoletu typu BlasTech 515 w dłoniach Mirty.

Oslupiał na tak długo, że Fett zdążył mu wymierzyć lewy sierpowy pięścią w twarz. Kuat runął na plecy między ustawione za nim szklanki, które rozbiły się na wyłożonej płytkami podłodze. Fett chwycił jego pistolet rozrywający, zanim broń zdążyła upaść na ladę. Mirta odruchowo się odwróciła, żeby osłonić dziadka przed atakiem od tyłu, ale nikt z klientów nawet się nie ruszył. Młoda kobieta stwierdziła, że pomaganie dziadkowi sprawia jej przyjemność.

Zaczynała łączyć ją z nim więź koleżeństwa

- o wiele słabsza niż więź rodzinna, ale jednak.

Fett obejrzał rozrywacz i jedną ręką wcisnął do oporu bezpiecznik. Spojrzał na wnuczkę.

- Pamiętaj - przykazał. - Nikogo nie zamierzamy zdeintegrować.

Barman się wyprostował i podstawił dłoń pod nos, z którego kapały krople krwi.

- Ostatni Mando, który tu zawitał, zrujnował mi lokal - powiedział. - Jesteście, dranie, wszyscy tacy sami, a ja was tu nie potrzebuję, więc dlaczego nie miałbyś...

Mirta doszła do wniosku, że kiedy pozostawiła klona w szarych rękawicach, żeby się zajął własnym polowaniem, mogła przegapić doskonałą zabawę.

- To był nasz dawno zaginiony krewniak - oznajmiła. - Właśnie go szukamy.

- Jak go już odnajdziecie, niech mi zapłaci za zniszczenia, których narobił - burknął barman.

Chyba nie miał pojęcia, kim jest Ba 'buir, ale nie było w tym nic dziwnego. Fett nie przyjmował zleceń od osób stojących tak nisko w hierarchii społecznej. Senatorowie, lordowie świata przestępczego i bogacze, których było stać na wynajęcie Fetta, dobrze znali jego pancerz. Barman raczej nigdy przedtem go nie widział.

- Czas, żebyśmy powspominali mojego krewniaka, który zszedł na niewłaściwą drogę -

stwierdził Fett, niecierpliwie poklepując osłonę spustu swojego blastera. - Nie jestem równie delikatny jak on. Nazywam się Fett.

Barman zbladł jak ściana, jakby z jego twarzy odpłynęła reszta krwi, jaka w niej jeszcze została. Mirta nie widziała dotąd nikogo, kto by się tak bał. Mężczyzna omiół spojrzeniem hełm Fetta, co wyglądało niemal zabawnie.

- To było... bardzo dawno... - wyjąkał.

- Mandalorianin w szarym pancerzu i szarych rękawiczkach

- przypomniał mu Fett. - Nazywał się Skirata. - Jeżeli barman się spodziewał, że Fett położy na kontuarze kilka kredytów, aby odświeżyć mu pamięć, srodze się zawiódł. - Co o nim wiesz?

- Tylko to, że zabił tu jakiegoś gościa i wyrządził mnóstwo szkód - odezwał się Kwat. -

Zwrócił na siebie uwagę funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. - Spojrzał na Mirtę i chyba coś sobie przypomniał. - Pani także z nim wówczas była, prawda?

- Tak, ale krótko - zastrzegła Mirta. Szybko zeszła z drogi tamtemu klonowi... prawdę mówiąc, udała się do innej kantyny.

- Kogo zabił?

- Gościa o nazwisku Cherit, szefa miejscowego gangu - wyjaśnił barman. - Wiadomość o tym trafiła nawet do miejscowych holowiadości.

Na ogół lokalne strzelaniny nie zasługiwały na to, aby umieszczać je w nagłówkach. Mirta postanowiła zapamiętać, żeby sprawdzić tę informację w archiwach.

- Co jeszcze wiesz o Chericie, co nie trafiło do holowiadości? - zapytała.

- Nic.

- Następny cios pięścią w twarz może wywrzeć zbawienny wpływ na twoją pamięć - stwierdził

Fett, który ani myślał opuszczać lufy blastera. - Spróbuj jeszcze raz.

- Wiem tyle, że banda Cherita dostarczała niektórym kuatskim prominentom rak, kcetallic i młode Twi'lekanki - powiedział szybko mężczyzna. - Cherit uprawiał tu jakiś czas swój proceder, ale możliwe, że w końcu nadepnął na odcisk waszemu krewniakowi.

- Nie interesujemy się tego rodzaju sprawami — zapewnił go Boba.

Nie spuszczał oczu z barmana. Kuat gorączkowo usiłował coś sobie przypomnieć, choćby po to, żeby przerwać przedłużającą się ciszę. W końcu Fett skierował lufę blastera ku sufitowi, zabezpieczył broń i postarał się zacząć sprawiać wrażenie zadowolonego.

- Jeżeli go jeszcze raz zobaczysz, powiedz mu, że mały Boba chce się z nim widzieć w sprawie zlecenia - powiedział.

- Gdzie będzie można się z panem skontaktować? - zapytał barman.

- Na Mandalorze - odparł Fett. - Trzeba skręcić z Hydiańskiej Drogi w prawo. Na pewno mnie odnajdzie.

- W porządku...

- Gdzie można teraz znaleźć kogoś z gangu tego Cherita?

Barman odwrócił się do półek za plecami i zaczął gorączkowo szperać w stosie arkusików flimsiplastu.

- Tylko nie mówcie Fraigowi, że dostaliście to ode mnie - zastrzegł, wręczając Fettowi serwetkę ze znakiem firmowym kasyna „Wodospady Tekshara”. - Prawie każdego popołudnia znajdziecie tam Fraiga przy jednym ze stolików do sabaka. W Kuat City. Fraig przejął ten interes od Cherita.

Fett wsunął serwetkę do kieszeni i ruszył do wyjścia. Mirta podążyła za nim, ale bardziej z nawyku niż z obawy przed atakiem wyszła przez drzwi tyłem.

- Uważasz, że to Fraig zapłacił tamtemu klonowi za zmianę zarządu kasyna? - zapytała, wskazując na siodełko skutera za plecami dziadka. - Bo mnie się tak wydaje.

- Jeżeli to zrobił, będziemy wiedzieli, jak go znaleźć.

Fett wystartował, zatoczył skuterem krąg nad obskurnymi dzielnicami Bunara i skierował maszynę z powrotem w kierunku „Niewolnika 1”.

- Umiesz grać w sabaka? - zagadnął.

Mirta nie musiała pytać, aby wiedzieć, że jej dziadek nie jest hazardzistą.

- Nie - powiedziała.

- W takim razie przechodzimy do planu B.

- A na czym polega plan B?

- Powiem ci, kiedy go opracuję.

- No to jaki był plan A?

- Miałem cię elegancko ubrać, a później wysłać do kasyna, abyś rozegrała partię czy dwie w sabaka i spróbowała pociągnąć za język tego Fraiga - odparł Fett.

- Dzięki - mruknęła wnuczka.

- To i tak by się nie udało - pocieszył ją Boba. - Nie potrafisz ciągnąć ludzi za język.

Jego słowa mogły być komplementem albo zniewagą. Mirta nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Naprawdę chce go polubić, pomyślała. Nie należy do tych, którzy łatwo zdobywają sympatię, ale z drugiej strony nie jest także tym, za kogo kazałaś mi go uważać, mamó. A przecież nie mogłaś być tego pewna?

Uświadomiła sobie, że rozmawia z nieżyjącą osobą i skarciła się w duchu. Nic, czego się od niej nauczyła, nie było oczywiste. Puściła kierownicę skutera, chwyciła ukryte pod napierśnikiem ogniste serce i zacisnęła je w dłoni. Pomyślała, że wcześniej czy później klejnot jej coś wyjawia.

- Wspaniałe te twoje środki przeciwbólowe - stwierdził Fett. Kiedy na chwilę wyprostował

palce, Mirta zauważyła zaschniętą krew na grzbiecie jego lewej rękawicy. Domyśliła się, że ta plama go denerwuje. - Wielkie dzięki.

W jego głosie wyczuła odrobinę ciepła. Pomyślała, że to dobry początek.

Coruscant, kwatera główna SGS, gabinet Jacena Solo.

Jacen słyszał w głowie głosy, ale na ogół nie wiedział, czyje.

Czasami swoje myśli przesyłała mu Vergere, której głos tkwił w zakamarkach jego pamięci, ale kiedy indziej nie był pewny, czy to jego własne myśli, czy też wypływające z podświadomości sugestie Lumii, a może jeszcze coś zupełnie innego. Bywało, że uważał to za głos swojego sumienia.

Tym razem był tego pewny. W jego wyobraźni pojawiała się tylko córeczka, Allana.

Uświadomił sobie, że nawet nie myśli o Tenel Ka.

Nie wiedział, co musi zrobić, żeby zostać pełnoprawnym Lordem Sithów, ale to miało być coś wyjątkowego... o wiele trudniejszego niż zabicie innego Jedi, zapędzanie Korelian do obozów, zwrócenie się przeciwko własnym rodzicom i siostrze, a nawet obalenie demokracji.

To musiała być najtrudniejsza decyzja w jego życiu.

Nie mogę przecież zabić mojej małej córeczki, pomyślał.

A kto mówi, że muszę? - zadał sobie pytanie. Czego miałyby to dowieść?

Tego, że zrobisz wszystko, aby osiągnąć potęgę, konieczną dla zaprowadzenia pokoju i ładu w galaktyce, odpowiedział sobie.

Zaczął kroczyć tą ścieżką, mając na względzie przyszłość Allany. Obecnie jednak wyglądało na to, że zapewni bezpieczną przyszłość każdemu z wyjątkiem własnego dziecka.

Właśnie o to w tym wszystkim chodzi, Jacenie, usłyszał w głowie. To służba, pełna wyrzeczeń służba. Doświadcz tego bólu.

To nie służba, to szaleństwo. Nie mógłby tego zrobić. Dlaczego jednak nie miał zaznać losu rodziców wysyłających swoje dzieci na wojnę? Musiałby się zdecydować na takie samo poświęcenie, na jakie decydowały się miliony innych matek i ojców. Tylko że... poświęcenie życia ukochanej osoby było zawsze trudniejsze niż poświęcenie własnego życia.

A może nie? - pomyślał. Może jedyne poświęcenie, na jakie warto się zdecydować, to poświęcenie własnego życia.

Lumiya zapewniała, że będzie to wiedział, kiedy nadejdzie właściwa chwila. Ona nie mogła mu nic powiedzieć. Od tamtej pory Jacen widział się z Tenel Ka i z Allaną, ale nie poczuł nic, żadnej sugestii w Mocy, że właśnie na tym ma polegać jego ostateczny krok... że ma przed sobą kobiety, które musi zabić.

Może to nieprawda, pomyślał. Złudzenie.

To nie może być Allana. To nie może być nawet Tenel Ka.

- To nie one - powiedział na głos. - To musi być Ben.

I nagle ocknął się w swoim gabinecie, przeraźliwie świadom, gdzie się znajduje. Uniósł głowę i spojrział w przerażone oczy kaprała Lekaufa. Na biurku stała filiżanka kafeiny, ale Jacen nie pamiętał, żeby ktoś ją tam stawiał.

Nigdy dotąd nie był taki rozkojarzony. Przestraszył się, że coś podobnego mogło mu się przydarzyć.

Nie mógł sobie pozwolić na jeszcze jeden podobny błąd.

- Porucznik Skywalker jeszcze się nie zgłosił na służbę, panie pułkowniku - zameldował

Lekauf. Wnuk oficera, który wiernie służył Lordowi Vaderowi, miał usianą piegami, pogodną twarz. Nie wyglądał groźnie nawet z blasterem typu BT25 i w czarnym pancerzu funkcjonariusza SGS. - Czy mogę w czymś pomóc?

Jacen poczuł, że się rumieni.

- Przepraszam, kapralu - powiedział. - Myślałem na głos.

- Nic nie szkodzi, panie pułkowniku - zapewnił go Lekauf. - Przypuszczałem, że to jedna z tych sztuczek Jedi... obcowanie z innymi Jedi.

Jacen musiał się chwilę zastanowić, co podwładny może mieć na myśli.

- Myślowież? - zapytał.

- Właśnie o to mi chodziło - przyznał skwapliwie Lekauf.

- Zanim się na to dzisiaj zdecyduję, napiję się jeszcze trochę kafeiny - stwierdził Solo. -

Dziękuję.

- Czy pani admirał Niathal przekazała panu informację na temat kłopotów ze sprzętem, panie pułkowniku?

- Słucham? - Jacen omiółł spojrzeniem ekran komputerowego notesu i ekrany komunikatorów.

Urzędowanie nie przychodziło mu łatwo. Postanowił, że musi zdobyć najlepszą administrację, kiedy już...

Kiedy co? - zadał sobie pytanie.

Kiedy będę rządził jako Lord Sithów, dokończył.

Myśl była w dziewięćdziesięciu procentach otrzeźwiająca, w dziewięciu niestosownie podniecająca i tylko w jednym odrażająca. Gdyby Jacen umiał określić, co jest źródłem tej odrazy

- niechęć do sprawowania władzy, prastare tabu Jedi czy też może zwykła ignorancja -

prawdopodobnie by się nad tym głębiej zastanowił. Głos w jego głowie nie brzmiał jednak wystarczająco donośnie, więc Jacen doszedł do wniosku, że chodzi o lęk przed przyjęciem odpowiedzialności, a to było coś, co musiał od siebie odsunąć.

- Pani admirał uważa, że niektóre jednostki frontowe mają problemy z dostawami potrzebnego

sprzętu - wyjaśnił Lekauf.

- To bardzo irytująca sytuacja. Chodzi o specjalistyczne ładunki wybuchowe i części do komunikatorów, ale przede wszystkim o niezbędne rzeczy, takie jak sprzęt medyczny.

Żołnierze narzekają także, że pakiety do konserwacji dział nie spełniają wymagań, a niektóre są uszkodzone. - Kapral uniósł brwi. - My też zaczynamy mieć problemy z otrzymywaniem tego, co jest nam potrzebne, panie pułkowniku.

Jacen postanowił się tym zająć.

- To najbogatsza i najbardziej zaawansowana pod względem technicznym planeta w galaktyce, a my nie potrafimy zadbać

o właściwe zaopatrzenie żołnierzy podczas wojny? - zdumiał się.

Lekauf pokiwał głową a potem Jacen spojrzał znów na swój holoekran.

- Moim zdaniem pani admirał wyraziła to trochę dosadniej, ale jej reakcja wyglądała mniej więcej tak samo, panie pułkowniku - dodał podwładny.

- Jaki jest powód takiej sytuacji? - zapytał Solo.

- Wygląda na to, że urzędnicy z działu dostaw i zaopatrzenia po prostu się lenią panie pułkowniku - stwierdził kapral.

- W takim razie pora ich obudzić - oznajmił Jacen. Wcisnął klawisz komunikatora i połączył się z wydziałem dostaw. - Na pewno można temu zaradzić.

- Jeżeli chciałby pan, żebym z nimi porozmawiał, panie pułkowniku... - zaczął Lekauf.

- Moim zdaniem powinien to zrobić wyższy stopniem oficer, ale dziękuję za propozycję. -

Jacen uświadomił sobie, że to najważniejsze zadanie na jego liście spraw do załatwienia. On i Niathal spodziewali się po siłach zbrojnych bardzo wiele, więc wojskowi urzędnicy powinni dawać z siebie wszystko, żeby to osiągnąć. - Zaraz ich pogonię. Czy mógłby pan poszukać dla mnie kapitana Shevu?

- Wyruszył na akcję, panie pułkowniku - poinformował Lekauf. - Przechwyciliśmy transport paskudnych materiałów wybuchowych, więc pan kapitan i sierżant Wirut obserwują w tej chwili punkt przerzutowy.

Cały Shevu, pomyślał Solo. Kapitan jak zwykle dowodził z pierwszej linii. Może nie był

równie entuzjastycznie jak jeszcze przed kilkoma tygodniami nastawiony do roli, jaką odgrywało SGS, ale Jacen nie mógłby wymagać więcej od żadnego oficera.

- W takim razie skontaktuję się z nim, kiedy skończy służbę

- powiedział.

Pomyślał, że dział dostaw od samego początku przyprawia go o frustrację. W końcu nawiązał

kontakt, ale jego tytuł dowódcy SGS nie wywarł tam specjalnego wrażenia, nie tak jak na pracownikach innych urzędów Galaktycznego Sojuszu. Kiedy po dłuższym czasie uzyskał

połączenie ze starszą urzędniczką wydziału zaopatrzenia Floty - kobietą o nazwisku Gellus -

nie był w najlepszym humorze, a jego kafeina zdążyła ostygnąć.

- Nie możemy powodować bałaganu w systemie zaopatrzenia, panie pułkowniku - upierała się urzędniczka. - Wszystkie prośby załatwiamy w kolejności zgłaszania.

- Ale moja dotyczy zaopatrzenia żołnierzy walczących na linii frontu!

- W świetle obecnie obowiązującego regulaminu dostaw nie mam prawa niczego przyspieszać, panie pułkowniku.

- Z kim powinienem porozmawiać na temat jakości dostaw?

- Jakich dostaw? - zapytała Gellus. - Widzi pan, mamy tu cztery piony...

- Chodzi mi o pakiety do konserwacji dział - wyjaśnił Solo.

- Otrzymujemy skargi na kiepską jakość części zapasowych.

- Powinien pan porozmawiać z wydziałem wsparcia inżynieryjnego - odparła urzędniczka. -

Mają własny system. Będzie pan musiał...

Jacen nauczył się cierpliwości i znał kilkanaście sposobów uspokajania umysłu w sytuacjach kryzysowych. Nauczył się ich w tajemnych szkołach władania Mocą, ale na razie wolał ich nie stosować. Chciał działać. I to szybko.

- Mamy wojnę - przypomniał cicho. - A mnie zależy tylko na tym, żeby do żołnierzy na pierwszej linii frontu trafiał sprzęt odpowiedniej jakości. Jak najszybciej mógłbym to osiągnąć?

- Nie jest pan przedstawicielem Floty, panie pułkowniku - powiedziała kobieta. - SGS to organizacja lokalna, prawda?

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Że to nie pan decyduje w takich sprawach - wyjaśniła Gellus. - Musimy mieć zgodę starszego oficera Floty, który by poparł pańską prośbę. Tak mówią regulaminy, panie pułkowniku.

Czy nie wystarczy, że jestem dowódcą Straży Galaktycznego Sojuszu? - pomyślał Jacen. Nie powinienem tracić tyle czasu, nawet kiedy chcę się skontaktować z samym przywódcą Omasem. Drażniły go ustalane przez bezdusznych urzędników granice jego władzy. Mógł

wydawać rozkazy dowódcom gwiazdnych niszczycieli i całym armiom, ale nie potrafił pokonać oporu zwykłej urzędniczki.

- Czy wystarczy zgoda naczelnego dowódcy sił zbrojnych? - zapytał.

Gellus przełknęła głośno ślinę.

- Naturalnie, panie pułkowniku - powiedziała.

- Zaraz będzie ją pani miała. - Jacen, wściekły, przerwał połączenie. Ach, te regulaminy, pomyślał. Nie był przyzwyczajony do arbitralnych ograniczeń. Jeżeli nie potrafił załatwić tak prostej sprawy jak jakość dostaw, jego przyszłość jako Lorda Sithów stała pod znakiem zapytania.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że ten dokuczliwy drobiazg może załatwić, informując Niathal i zlecając załatwienie sprawy młodszemu oficerowi, ale uparł się, że sam doprowadzi sprawę do końca.

To dobre dla morale, pomyślał.

Może zresztą chodziło o coś innego, ale Jacen nie bardzo wiedział, o co.

Przepisy i regulaminy, jęknął w duchu. Przejrzał wykaz kodów wydziałów obrony Sojuszu, żeby znaleźć numer wydziału prawniczego i ustawodawczego. Wpisał odpowiedni kod i usłyszał głos mężczyzny.

- Chciałbym wypożyczyć androida-specjalistę od analiz prawnych - powiedział. W takich sprawach wolał korzystać z najbardziej obiektywnych i stuprocentowo uczciwych pomocników. Android będzie się ochoczo przekopywał przez gąszcz zawiłych przepisów i klauzul wypisanych drobnym drukiem.

- Zaraz się tym zajmę, panie pułkowniku - usłyszał w odpowiedzi.

To już mu się bardziej spodobało. Nastrój zdecydowanie mu się poprawił.

Tymczasem jednak musiał uzyskać zgodę pani admirał Niathal, żeby rozwiązać problem właściwej jakości pakietów do konserwacji dział.

Niathal jest dobrym oficerem, pomyślał, i świetnym taktykiem, ale ma ograniczone poglądy.

Mimo to potrzebował jej tak samo jak ona jego.

Lekauf wrócił z filiżanką świeżej kafeiny. Zgodnie z grafiką zajęć powinien był zdać służbę.

- Jest pan zbyt zapracowany, żeby się zajmować sprawami administracyjnymi, panie pułkowniku - stwierdził z powagą. - Na pewno nie mogę zrobić tego za pana?

- Nie możesz - zapewnił Solo. - Wydział dostaw i ja mamy do rozwiązania kilka problemów.

Lekauf wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Na pewno im pan pokaże, panie pułkowniku - powiedział.

Jakiś głos szeptał Jacenowi, że ta sprawa jest bardzo ważna.

Najważniejsza.

I tym razem Jacen postanowił posłuchać tego głosu.

Coruscant, apartament Skywalkerów

Luke spojrział na swoje dłonie. Jedna była protezą, a druga żywą tkanką. Niedawno tej żywej dotykała osoba, którą zaczynał uważać za swoją nemezis, uosobienie zemsty.

Lumiya.

Miał okazję ją zabić, a zamiast tego wymienili uścisk dłoni, który normalnie mógłby uchodzić za gest pojednania.

Powiedziałem, że nie chcę jej unicestwić, przypomniał sobie.

Luke Skywalker nigdy nie chciał zabijać. Czasami jednak mu się to zdarzało. Wstał i wyjął zza pasa shoto, krótki świetlny miecz, którego potrzebował do walki z uzbrojoną w świetlny bicz Lumiya.

Co się dzieje? - zadał sobie pytanie. Czego ona ode mnie chce?

Lumiya nigdy nie bawiła się w umysłowe gierki, jak Vergere. Była żołnierzem... pilotką agentką wywiadu i wojowniczką. Luke

jeszcze nie poukładał sobie w głowie kawałków łamigłówek, ale był pewny, że ta kobieta-Sith ma coś wspólnego z podążaniem Jacena w objęcia ciemności.

Trzymając shoto, wykonał kilka ćwiczebnych wypadów i postarał się wyobrazić sobie, co mogłoby się stać, gdyby jeszcze raz natknął się na Lumię. Ciekaw był też, jak by się zachował

w wieku dziewiętnastu lat, uważał, że raczej nie zaprzętałby tym sobie głowy. Chciałby, żeby wszystko wyglądało równie prosto jak wtedy.

Kiedy drzwi do apartamentu się otworzyły, usłyszał głosy Bena i Mary. Poczł bezgraniczną ulgę. Położył shoto na stole i od razu zapomniał o wszystkich wymówkach i przestrożach, jakich zamierzał udzielić synowi. Pragnął go tylko mocno przytulić.

Ben stał bez ruchu, poddając się uściskowi ojca. Mara ostrzegawczo uniosła brwi, ale Luke i tak nie zamierzał napominać syna.

- Cieszę się, że jesteś bezpieczny - powiedział. - A jednak odleciałeś bez słowa... jeśli to z mojego powodu, będziemy musieli o tym porozmawiać.

Ben spojrzał na Marę, jakby liczył, że wyjaśni mu słowa ojca.

- Pracowałem - powiedział. - Wyruszyłem na wyprawę. To wszystko.

Oklamałeś mnie, Jacenie, pomyślał Luke. Powiedziałeś, że Ben czuje się urażony, bo kazałem mu przestać być twoim uczniem.

Z drugiej strony... tylko Jacen mógł go wysłać na tę wyprawę.

Luke chciał nawet zapytać Bena od niechcienia, kto go posłał, ale właściwie już wiedział, a nie chciał zmuszać syna do kłamstwa, że to nie była sprawka Jacena. To był najlepszy dowód na to, że jego siostrzeniec nie zawróci bez czyjejś pomocy na jasną stronę. Han i Leia nie daliby rady mu w tym pomóc. Tak samo Rada Jedi.

Ten problem trzeba rozwiązać w rodzinie. Luke zamierzał się z nim uporać, może nawet z pomocą żony.

- Cisza w eterze? - zapytał.

- Tak, tato. Przepraszam. - Ben był wyraźnie zdumiony gorącym powitaniem, ale się przed nim nie bronił. - Nie mogę o tym rozmawiać. Chyba to rozumiesz, prawda?

- Oczywiście, synu - odparł Luke. I idę o zakład, że wiem, kto ci kazał milczeć, pomyślał ponuro. - Naprawdę miałem nadzieję, że nie pozostaniesz w szeregach SGS.

- Doskonale sobie radzę z tą pracą.

- Wiem.

- Nie mógłbym już zostać pilnym i skromnym uczniem w Akademii Jedi, tato - ciągnął

chłopak. - Muszę to wszystko przemyśleć. Już kiedyś o tym rozmawialiśmy, prawda? - W

głosie Bena nie było płacznego sprzeciwu nastolatka, urażonego niesprawiedliwym traktowaniem przez rodziców. Luke uświadomił sobie ze zdumieniem, jak szybko dorasta jego syn. Dorasta? Nie, starzeje się, pomyślał. — Toczy się wojna, a kiedy się służy w wojsku, nie wolno opuszczać swoich towarzyszy. Nie mogę siedzieć z założonymi rękami, nie mogę zawieść zaufania przyjaciół, którzy... którzy ryzykują życie.

- Luke... - W tonie Mary zabrzmiały wyrzut i sugestia, żeby dał spokój. - Czy to naprawdę

odpowiednia chwila?

Luke ją zignorował.

- Rozumiem, Ben - powiedział. - Naprawdę cię rozumiem. Nadal jednak uważam, że SGS nie jest dla ciebie odpowiednim miejscem.

- Nie jest? - zdziwił się syn.

- Żaden rząd nie powinien w taki sposób traktować osób o innych poglądach.

- Właśnie dlatego powinienem zostać w SGS - odparł cicho Ben. - Jeżeli to zła organizacja, przydadzą się w niej dobrzy ludzie, aby zmieniać ją od środka, A jeżeli SGS jest w porządku, a wy tylko się niepokoiacie o moje bezpieczeństwo, to mogę was zapewnić, że radzę sobie lepiej, niż przypuszczacie. Chcieliście, żebym został Jedi... no więc właśnie staję się Jedi.

Luke musiał przyznać, że nie może nic zarzucić żelaznej logice rozumowania ani moralnym przesłankom swojego syna.

- Co racja, to racja - powiedział.

- Powiedz mi, czy jestem dobrym człowiekiem, tato? - poprosił Ben. - A może uważasz, że zszedłem na złą drogę? Że postępuję niewłaściwie, podobnie jak twoim zdaniem cały SGS?

Takie pytania Luke starał się od siebie odsuwać. No bo kto jest złym człowiekiem? Większość ludzi popełniających złe czyny nie jest ani dobra, ani zła. Każdy jest omylny, a jedynym niechlubnym wyjątkiem od tej reguły był Palpatine. Nawet jednak Palpatine był kiedyś małym chłopcem, który z pewnością sobie nie wyobrażał, że będzie się upajał władzą i przez to spowoduje śmierć miliardów istot.

Tak samo Luke chyba nie umiałby rozpoznać dobrego człowieka, osoby, gdyby go spotkał.

Nie można poznać, w jakiej chwili życia ktoś dobry staje się nikczemny. Luke był boleśnie świadom spojrzenia Mary, którym świdrowała go na wylot... zielonego i lodowatego niczym ścięta mrozem rzeka.

- Jesteś dobry, Benie - zapewnił, zastanawiając się, czy syn robi coś, czego by on sam nie zrobił. - Zastanawiasz się nad swoim postępowaniem, a to dobrze.

- Dzięki - odparł Ben. - Nie zrezygnuję ze służby w SGS, tato. Możesz mnie do tego zmusić przemocą albo sądowym zakazem, ale żaden z nas tego nie chce, prawda? Zostaw mnie tam, gdzie mogę zrobić coś dobrego.

Ben stoczył walkę, nie używając podniesionego głosu ani gniewnych słów. Przedstawił

rodzicom ultimatum. Luke zrozumiał, że trzeba rozwiązać problem w inny sposób.

A w dodatku musiał przyznać, że syn miał rację. Nie można było pozostawić SGS wyłącznie funkcjonariuszom skłonny do przemocy.

- Tylko uważaj na Lumię - ostrzegł jeszcze syna. - Powiedziałaś mu o niej, Maro?

- Powiedziałam.

- Zjesz coś z nami, synu? - zapytał Luke, widząc, że spojrzenie żony łagodnieje.

- Bardzo chętnie - odparł Ben... czternastolatek, który wyglądał jak czterdziestoletni mężczyzna.

Trudno było jeść posiłek razem, unikając rozmowy o toczącej się wojnie. Ben chciał wiedzieć, jak miewają się Han i Leia. Mara przesuwiała jarzyny na talerzu z miejsca na miejsce, jakby usiłowała je zgarnąć pod dywan.

- W tej chwili sytuacja między Jacenem a jego rodzicami nie wygląda najlepiej, kochanie -

zaczęła. - Ale bez względu na to, co ci Jacen powie, oboje nadal martwią się o niego i nie chcą żeby stało mu się coś złego.

- To nie jest sprawa osobista - obruszył się chłopak. - Hej, starałem się aresztować wujka Hana, bo na tym polegała moja praca. Nie chciałem, żeby stała mu się krzywda.

Luke przypomniał sobie pośpiech, z jakim Jacen opuścił swoich rodziców podczas ataku na wypoczynkowego satelitę. Nie wyobrażał sobie, żeby Ben mógł zrobić to samo. A nawet gdyby... wielki mistrz Jedi nie chciał tego oglądać na własne oczy.

- Tato, czy za czasów Imperium naprawdę panował terror?

- zapytał Ben.

- W pewnym sensie... tak - odparł Luke.

- Wiem, że ty, wujek Han i ciocia Leia przeżywaliście trudne chwile, ale jak żyło się wówczas zwykłym ludziom?

Żując w milczeniu, Mara wpatrywała się w jakiś niewidoczny punkt w oddali.

- Możesz zapytać oto mieszkańców Alderaana - zaczęła.

- Zaraz, zaraz... przecież planeta już nie istnieje, prawda? Co za gafa. Czasami właśnie taki los spotykał zwykłych ludzi, a ja wiem to lepiej niż większość innych osób.

Jasne, skoro sama brałaś w tym udział, pomyślał Luke. Rozumiał, że Ben nie może uwierzyć na słowo jemu czy żonie. Oboje w tamtych czasach robili takie rzeczy, jakich teraz mu zabraniali.

- Ale w rzeczywistości nikt się tym specjalnie nie przejmował, prawda? - Wszystko wskazywało na

to, że Ben nie da się zbyć byle czym. - Żyli jak zawsze, zupełnie normalnie.

Może niektórzy zaangażowani w politykę mogli się spodziewać wizyty sztormusiów w środku nocy, ale większość ludzi wiodła normalne życie, mam rację?

- Masz - przyznała Mara. - Tyle że życie w strachu to żadne życie.

- Lepiej żyć w strachu niż zginąć - zaprotestował chłopak.

- A więc uważasz, że Imperium nie było takie złe, Ben? - zapytał Luke.

- Nie wiem - przyznał chłopak. - Moim zdaniem może jednak tak być, że grupa osób uzna, iż ma obowiązek, a nawet prawo zmieniać życie wszystkich pozostałych. Rebelia to była poważna decyzja, prawda? Ale przeważnie jest tak, że na życie trylionów istot wpływa kilku najważniejszych ludzi.

Luke i Mara wymienili dyskretne spojrzenia. Ostatnio Ben zaczął się interesować polityką.

Obojętne, co to była za wyprawa, na którą wysłał go Jacen - a z całą pewnością była to jego robota

- dzięki niej chłopak nauczył się samodzielnie myśleć. A może po prostu Luke nie zauważył

dotąd, że jego syn stał się młodym mężczyzną i że szybko się zmienia? Tymczasem kiedy Ben wychodził, Mara pomogła mu włożyć kurtkę. Luke tylko czekał, aż żona zapyta syna, czy pamięta o codziennym myciu zębów. Jednak Mara, która zawsze traktowała matczyne obowiązki pragmatycznie, wcisnęła Benowi w rękę matowy szary przedmiot.

- Noś to zawsze przy sobie. Zrób to dla mnie - powiedziała, całując go w czoło. - Tak na wszelki wypadek. Nigdy nic nie wiadomo.

Ben spojrzał na to, co trzyma w dłoni.

- O rety - westchnął.

- To najlepsze wibroostrze, jakie można było dostać w czasach Imperium - wyjaśniła matka. -

Ocaliło mi życie co najmniej kilka razy. Świetlny miecz jest dobrą bronią, ale świetlny miecz plus wibroostrze to po prostu ideał.

- A do tego blaster - dodał Ben, szczerząc zęby w uśmiechu. - To jeszcze lepsze. Potrójny łomot.

- Grzeczny chłopiec.

Kiedy Ben wyszedł, Mara posprzątała talerze ze stołu.

- Jak to się stało, że wychowaliśmy wrażliwego na sprawy społeczne politycznego analityka? - zapytała.

- Może za często przebywał wśród Gorogów? - podsunął Luke.

- Czyżbyś nadal uważał, że nasz Ben jest niezrównoważonym, rozkapryszonym dzieciakiem?

- Nie - przyznał Luke. - Ale to nie Jacenowi zawdzięcza, że stał się mężczyzną, nawet jeżeli Jacen jest jedyną osobą, która potrafi dać sobie z nim radę.

- Luke, musimy coś z tym zrobić.

- Nagle ci to przyszło do głowy? - zakpił Skywalker. - A kto to mówił: „Zostaw go z Jacenem, bo Jacen wywiera zbawienny wpływ na naszego chłopca?” - Luke musiał się ugryźć w język, aby nie przypomnieć żonie, że od samego początku to on miał rację. Wiedział, że to nie rozwiąże problemu, najwyżej pomoże mu zdobyć przewagę. - A poza tym rozwój sytuacji chyba nie zdoła go zdeprawować. Może w głębi duszy Ben jest rzeczywiście dobrym chłopcem. Może miałaś rację, prosząc mnie o zgodę, aby nasz mały synek został członkiem tajnej policji...

- Chodziło mi o Lumię. - Mara miała zwyczaj wruszania ramionami zawsze, kiedy wiedziała, że popełniła błąd, ale nie chciała, aby ktoś jej to wypominał. - W porządku, zmieniłam zdanie. Jacen rzeczywiście zszedł na złą drogę. To moja wina, że straciliśmy kilka miesięcy, starając się udobruchać Bena. Zadowolony? A teraz... co z przyczyną całego zamieszania?

- Nie natrafiliśmy ponownie na jej ślad - przypomniał Luke.

- A co zrobimy, kiedy już natrafimy? - Mara postawiła talerze na ladzie z taką siłą, że aż zagrzechotały. - Co zamierzasz zrobić? Jeszcze raz uściskać jej dłoń? - Luke uznał, że niepotrzebnie opowiedział żonie o bójce z Lumią, zakończonej podaniem ręki. Ta świadomość wyraźnie nie dawała jej spokoju. - Bo biedna stara baba nie zamierza nikomu wyrządzić krzywdy? Ona, Lumiya? Królowa parszywych Sithów?

- Naprawdę nie wyczułem u niej złych zamiarów - zapewnił Luke.

Mara przewróciła oczami.

- To oczywiste, że ich nie wyczułeś — powiedziała drwiącym tonem. - Nie ciebie chciała zabić, ale naszego syna. - Ujęła twarz męża w dłonie i zmusiła go, żeby spojrzał w jej oczy. -

Luke, mogłeś ją wówczas zabić. Mogłeś rozplatać ją na dwoje. Miałeś okazję zakończyć to, co kiedyś zacząłeś, ale tego nie zrobiłeś.

Z niewiadomego powodu Luke poczuł się zawstydzony.

- Nie mogłem tego zrobić - powiedział.

- Wiem - przyznała żona. - Pochodzimy z różnych szkół życia i mamy różne wyobrażenia sprawiedliwości.

- Kochanie...

- Ona nie jest taka jak twój ojciec, Luke - ucieła Mara. - Nie pozostało w niej nic dobrego, nic, co można byłoby uratować. Stanowi zagrożenie, które trzeba wyeliminować. Nauczono mnie, jak to się robi, a ciebie nie. Zapomnij o głupstwach w rodzaju „schwytac wroga żywego, jeżeli to możliwe”. Jedyne sposoby, w jakie można się jej pozbyć, to zabić.

Luke przewidywał, że Mara powie właśnie coś podobnego. Mara mogła się łudzić, że coś przed mężem zachowa w tajemnicy, ale Luke znał ją zbyt dobrze. Niemal widział, jak trybiki obracają się w jej głowie, w której powstaje zarys planu.

Stracił okazję zabicia Lumii, a Mara nie zamierzała mu dawać następnej.

- Dajesz mi do zrozumienia, że sama zamierzasz ją dopaść - powiedział.

- Mógłbyś mi towarzyszyć, gdybym miała pewność, że jej /nów nie odpuścisz. - Mara wyglądała na zakłopotaną. Zarumieniła się nawet. Możesz się zająć Alemą Z nią także trzeba zrobić porządek przy użyciu świetlnego miecza. Mamy wielu wrogów, nie da się tego ukryć.

Tymczasem Luke miał absolutną pewność, że nie nadaje się na skrytobójcę. Nie umiałby zabić nikogo, chyba że w bezpośrednim zagrożeniu życia. Gdyby było inaczej...

Ben nie był więc jedyną osobą, która starała się odnaleźć drogę w moralnym labiryncie. Luke robił to od dziesięcioleci, ale z każdym rokiem w labiryncie było więcej ślepych uliczek i zakrętów.

- Przekonajmy się, co robi Jacen po zniknięciu Lumii - powiedział.

Zaraz, zaraz, czyżbym właśnie się zgodził na jej zabicie? - pomyślał.

-A po wyeliminowaniu Alemy załagodźmy spór z Leią z Hanem, żebyśmy mogli stawić czoło tej wojnie jako rodzina.

Mara poklepała go po policzku z niewesołym uśmiechem i poleciła androidowi, żeby zmył

talerze. Resztę popołudnia spędziła, składając i sprawdzając rozmaite sztuki broni, które nie pochodziły z jej cywilizowanego życia.

- Nie wiedziałem, że masz coś takiego - zauważył Luke, wskazując blaster z rozszerzoną na końcu lufą, która wyglądała jak wyrzutnia granatów. - Jak zamierzasz się tym posługiwać?

- Użyję pojemnika ze strzałkami - odparła mistrzyni Jedi.

- Przekonamy się, jak Lumiya poradzi sobie z nimi świetlnym biczem.

- Chcesz wziąć moje shoto?

- Czy to propozycja?

- Może dowód, że życzę ci powodzenia.

- Chyba raczej coś, co mogłabym wepchnąć jej pod żebro

- stwierdziła Mara. - Chyba że i żebra ma z durastali.

Właśnie taka była jego żona. Czasami Luke widział w niej wyszkoloną przez Palpatine'a zabójczynię. Na sekundę czy dwie stawała się dla niego wówczas kimś obcym.

- Jak zamierzasz ją wytropić? - zapytał. - Bardzo dobrze umie się ukrywać.

- Ja też umiem bardzo dobrze polować. - Mara zacisnęła palce na rękojeści shoto i na próbę machnęła bronią, jakby klinga była włączona. - Tu przynęta, tam śledztwo, a gdzie indziej pomoc ze strony Mocy. - Zapaliła energetyczne ostrze. - A poza tym, jeżeli śledzi ją Alema, wcześniej czy później jedna albo druga się zapomni i pokaże.

- Lumiya się nie zapomina - stwierdził Luke.

- No cóż, chyba jednak się jej to zdarza... — Mara podrzuciła shoto, aż obróciło się w powietrzu, i zręcznie chwyciła za rękojeść. - A ostatnio widać ją tu i ówdzie, więc zamierzam być gotowa.

- Tylko informuj mnie, gdzie jesteś, dobrze?

- Ależ oczywiście. - Mara posłała mu swój najbardziej uspokajający uśmiech, mówiący:

„wiem, co robię”. - A kto lepiej się nadaje do znalezienia byłej Ręki Imperatora niż inna była Ręka Imperatora?

- Już to kiedyś robiłaś...

- Ale wówczas nie miałam syna, o którego musiałabym się martwić. - Mara spoważniała. -

Jestem teraz o wiele bardziej zdeterminowaną, bo muszę chronić własne dziecko.

Luke nie miał co do tego cienia wątpliwości, ale i tak pierwszy raz w życiu żałował, że nie zabił kogoś, kiedy miał dobrą okazję.

ROZDZIAŁ 4

Adresat: Kierownik Wydziału Logistyki Sił Zbrojnych Nadawca: Naczelnny dowódca sił

zbrojnych Galaktycznego Sojuszu z kopią dla przywódcy Galaktycznego Sojuszu, dowódcy SGS

i dyrektora wydziału dostaw sił zbrojnych. Dotyczy: Zaopatrzenia Floty i spraw związanych z dostawami

Nie można tolerować braków w zaopatrzeniu w rejonach walk ani jakości sprzętu niezgodnej z wymaganymi standardami. Ma pan zapewnić dowódcy SGS, pułkownikowi Solo, wszelką pomoc, aby te problemy zostały rozwiązane najszybciej jak to tylko możliwe. Proszę to potraktować jako

sprawę najwyższej wagi. Pułkownik Solo jest upoważniony do stosowania wszelkich środków, jakie uzna za konieczne dla poprawy obecnej sytuacji.

Admirał Chia Niathal, ND SZGS

Coruscant, Agencja Dostaw i Zaopatrzenia Sił Zbrojnych

- Jesteś tego pewny? - zapytał Jacen.

Nie miał powodu wątpić w prawdomówność androida-specjalisty od analiz prawnych.

Metalowi prawnicy byli jeszcze bardziej skrupulatni niż istoty z krwi i kości. Analizując pospiesznie zebrane dane, HM-3 kroczył z brzękiem obok niego ciągnącym się bez końca korytarzem do gabinetu dyrektora Wydziału Dostaw. Jacen przykładął dużą wagę do zrozumienia nieprzyjaciela, a to oznaczało konieczność przekopania się przez gąszcz spisanych drobnym maczkiem zarządzeń i regulaminów. Czuł się, jakby zamierzał zaatakować świetlnym mieczem kulę rozmiarów planety, którą wytoczyła przeciwko niemu biurokracja.

- Tak, proszę pana, to rutynowa procedura. - HM-3 przypominał trochę Threepia. Wyglądał

jak człowiek i z konieczności musiał być pedantycznie dokładny, ale miał ciemnoszary pancerz i roztaczał wokół siebie aurę zawodowego autorytetu. - To ustawodawstwo już dawno powinno zostać zreformowane. Czy życzy pan sobie usłyszeć dokładne wyjaśnienie, czy też może tylko wersję uproszczoną na użytek laików?

- Możesz być pewny, że jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia z większym laikiem niż ja -

zapewnił go Solo.

- Zgodnie z obecnym ustawodawstwem zmiana regulaminu dostaw wymaga zgody Rady Wydziału Obrony - zaczął android. - Chodzi o to, żeby urzędnicy państwowi nie naginali prawa w celu napychania sobie kieszeni rządowymi funduszami. Przepis ma także uniemożliwiać innym osobom przejmowanie kontroli nad armiami i używanie towarzyszących im okrętów z systemami uzbrojenia bez zgody Senatu, co rzeczywiście niedawno miało miejsce... wystarczy spojrzeć z perspektywy czasu na sytuację panującą w ostatnich latach Republiki.

Jacen zastanowił się nad jego słowami i postarał się dotrzeć do sedna problemu.

- Wszystko sprowadza się do tego, że senatorowie muszą głosować za każdym razem, ilekroć ktoś będzie chciał kupić arkusik flimsiplastu, albo wyrażać zgodę na zmianę smaku suchych racji żywnościowych, które dostają nasi żołnierze - podsumował. -

Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to niebывała strata czasu i funduszy.

- Przyznaję, że osoby powołane do podejmowania decyzji w najważniejszych sprawach muszą podejmować także w sprawach błahych, ale właśnie tak stanowi obecne prawo - odparł

android. - Za każdym razem, kiedy będzie pan chciał zmienić cokolwiek związanego z dostawami czy jakiś inny drobiazg natury administracyjnej, musi pan mieć na to zgodę przywódcy Omasa, admirała Niathal albo kogoś równie wysoko postawionego. To samo dotyczy pozostałych wydziałów: Zdrowia, Edukacji... wszystkich bez wyjątku.

W głosie HM-3 brzmiało ubolewanie. Jacen nie znosił wielbicieli przepisów i rytuałów. Lubił działać.

- Nie chcę, żeby w sprawie każdej skargi dotyczącej hydroklu- czy czy wskaźników poziomu paliwa musiały obradować komitety - powiedział. Jak to się stało, że zostałem gościem od załatwiania problemów z dostawami? - zadał sobie pytanie. A może to Niathal chce mnie wyeliminować z tej rozgrywki? Nieważne. Liczy się to, że szybko się uczę. - Można to jakoś obejść?

- Rzeczywiście można — odparł android.

- Słucham.

- Rozwiązanie problemu jest dosyć proste - zaczął android. - Trzeba dać odpowiednim urzędnikom Galaktycznego Sojuszu prawo do zmiany regulaminów. Trzeba usunąć z nich wymóg, żeby senatorowie musieli się wypowiadać w sprawie każdego drobiazgu.

- Jak to zrobić?

- Bardzo prosto - odparł android. - Czy życzy pan sobie, żebym zredagował stosowną poprawkę?

- Jak to będzie działało? - zainteresował się Solo.

- Zredaguję prośbę o taką zmianę obecnego prawa, żeby składające zamówienia władze mogły się odtąd zwracać bezpośrednio do odpowiednich osób, takich jak starsi oficerowie sił

zbrojnych czy ministrowie, bez konieczności przedstawiania spraw pod obrady komitetów, rad czy nawet całego Senatu. - HM-3 się wzdrygnął zupełnie jak człowiek. - Im bardziej błahy przypadek, tym dłużej nad nim obradują, bo uważają, że tylko oni się na tym znają.

- Zgoda, ale co się stanie dalej z tą poprawką? - zapytał Jacen. - I ile czasu upłynie, zanim zacznie obowiązywać?

- Jeżeli zgłoszę ją dzisiaj, za dwa dni zostanie poddana pod cotygodniowe obrady członków Rady Polityki i Zasobów - odparł HM-3. - Pan zaś, jako osoba upoważniona przez przywódcę Omasa, już następnego dnia będzie mógł zmieniać wszystko, co pan tylko potrzebuje.

Jacen zaplótł palce za plecami i zaczął się nad tym zastanawiać. Propozycja androida wyglądała jak ustanawianie nowego prawa po to, żeby można było dokonywać zmian innego prawa.

Niesamowite, pomyślał.

- Ciekawe, ile funduszy wydaje Wydział Obrony na dywany - odezwał się zgrzyźliwie HM-3, omiatając spojrzeniem podłogę. Androidy zawsze wołały stąpać po gładkich powierzchniach. -

To przykład sprawy, która może przynieść oszczędności.

Idąc dalej, Jacen starał się obliczyć, ile prostych decyzji grzęźnie z powodu konieczności uzyskiwania zezwoleń. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że ktoś stara się zwrócić jego uwagę. Jacen zastanowił się, czy znów słyszy czyjś głos, ale doszedł do wniosku, że tym razem do jego świadomości stara się przedrzeć zdrowy rozsądek.

Zamierzasz zmieniać prawo po to, żeby móc dokonywać zmian prawa, uświadomił sobie.

Zastanów się nad tym.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby to wykorzystać do innego celu oprócz rozwiązania problemu jakości dostaw, ale przeczuwał, że taka poprawka może mu się jeszcze kiedyś przydać.

- Do czego będę się musiał ograniczyć? - zapytał.

- No cóż, w treści poprawki powinno być zawarte jakieś sformułowanie zabezpieczające, bo inaczej nigdy nie uzyska pan na nią zgody członków Rady Polityki i Zasobów - odparł android.

- Niemniej gdyby to mnie zapytano o zasięg poprawki, powiedziałbym, że nie przekroczę wcześniej uchwalonego budżetu. Coś takiego powinno ich zadowolić.

Stanowienie prawa było śmiertelnie nudne, ale chyba powinno takie być, doszedł do wniosku Jacen. Zaświtał mu pewien pomysł.

- Czy można sformułować poprawkę w taki sposób, że gdybym natknął się w przyszłości na inny głupi przepis, mógłbym go także zmienić? - zapytał. - Nawet jeżeli w tej chwili nie wiem o niczym takim? Nie chcę, żeby jakiś urzędniczyna wstrzymał ważną dostawę, bo nie sprecyzowałem właściwego podrozdziału zawilego regulaminu.

- Zakres takiej poprawki byłby cokolwiek... cóż, nie do końca określony - stwierdził HM-3.

- Przecież chodzi wyłącznie o sprawy administracyjne - uspokoił go Jacen. - Nie o konstytucję czy o kartę praw.

HM-3 zazgrzytał cicho trybikami.

- Sformułuję ją na tyle ogólnie, żeby mógł pan zmienić dowolną procedurę administracyjną, którą uzna pan za niewłaściwą- obiecał. - Druga klauzula zabezpieczająca będzie polegała na tym, że z poprawki będą mogły skorzystać tylko osoby bardzo odpowiedzialne i wysoko postawione, a ich liczbę określi przywódca Galaktycznego Sojuszu. Dzięki temu nie dojdzie do marnowania kredytów na tajne armie. Coś takiego powinno uspokoić członków Rady Polityki i Zasobów. - HM-3 na chwilę umilkł i zaczął sprawdzać terminarz. - Wydaje mi się, proszę pana, że pojutrze członkowie tej rady będą bardzo zapracowani. Moim zdaniem poprawka zostanie dzięki temu przegłosowana szybciej.

Jacen też uznał, że to odpowiedni dzień na referendum poprawy ustawy dotyczącej statutu stanowienia prawa i regulaminów. Uśmiechnął się do siebie.

- Będziesz mi tylko musiał wytłumaczyć, dlaczego taka poprawka nie będzie sprzeczna z Ustawą o Stanie Wyjątkowym, którą już wcześniej uchwalił przywódca Omas - powiedział.

- Pełne wyjaśnienie, czy też może... — zaczął android.

- Wystarczy skrócona wersja dla laika z organu wykonawczego - podchwycił Solo.

- Wszystko sprowadza się do tego, że podczas wojny pan, przywódca Omas i pani admirał

Niathal będziecie mogli robić to, co uznacie za konieczne - zaczął android. - Stanowicie coś w rodzaju triumwiratu. Nie słyszałem jeszcze, żeby senator G'vli G'Sil zwrócił na to uwagę, chociaż zajmuje stanowisko przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu Galaktycznego Sojuszu. Członkowie Rady Obrony po prostu zatwierdzają wszystkie propozycje... naturalnie kiedy w ogóle obradują.

Po jego słowach Jacen osłupiał. To prawda, zamierzał zaprowadzić nowy ład w galaktyce, ale to były dalekosiężne, strategiczne plany przywrócenia porządku i sprawiedliwości przy założeniu, że siły zbrojne będą wykorzystywane tylko do celów pokojowych. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że bronią w walce o nowy ład mogą się stać szczegóły natury administracyjnej.

Spędził pięć lat życia, poznając najbardziej tajemne techniki władania Mocą jakie znała galaktyka, ale tym razem na drodze do osiągnięcia potęgi nie musiał z nich korzystać. Do manipulowania otoczeniem wystarczyło po prostu zrobić użytek z psychologii.

To właśnie dlatego Jedi stają się coraz słabsi i coraz bardziej rozleniwieni, uświadomił sobie.

Bo bez namysłu uciekają się do technik Mocy.

HM-3 nie musiał mu przypominać, żeby pomyślał nad przyczynami upadku Republiki.

Pragnąc zrozumieć okoliczności, dzięki którym jego dziadek przeistoczył się z Anakina Skywalke- ra w Dartha Vadera, dobrze poznał wydarzenia ostatniej dekady. Wyglądało na to, że Palpatine zyskał największą władzę nie dzięki wykorzystywaniu potęgi ciemnej strony, lecz dzięki błyskotliwym manipulacjom i zrozumieniu ludzkich słabości.

W końcu Jacen i android dotarli do rzeźbionych drzwi Wydziału Dostaw. Wyglądały niemal równie okazale jak skrzydła drzwi gabinetu przywódcy Omasa... a może nawet jeszcze wspanialej. Jacen odwrócił się do nieomylnego znawcy prawa.

- Twoim zdaniem to źle, że w rzeczywistości stanowimy trium- wirat, Aitch-Em? - zapytał. -

Myślisz, że to niedemokratyczne?

- Nie zaprogramowano mnie, żebym odróżniał dobro od zła, proszę pana. - HM-3 wyglądał na lekko

rozczarowanego, że Jacen niezupełnie rozumie wszystkie zawiłości jego fachu. - Mogę panu tylko powiedzieć, co jest legalne, a co nie, bo oba te pojęcia mają definicje w moich bazach danych. Pojęcia takie jak dobro, sprawiedliwość czy słuszność nie mają parametrów.

Decyzje w tych sprawach musi podejmować istota z krwi i kości.

- Tylko że istota z krwi i kości podejmuje w tych sprawach codziennie inne decyzje, mój przyjacielu.
- Jacen umieścił dłoń na panelu kontrolnym i wspaniała płaskorzeźba przedstawiająca pradawny coruscański krajobraz rozdzieliła się na dwie części, żeby mógł

wejść do gabinetów urzędników Wydziału Dostaw.

Mogę zmienić prawo po to, aby móc dokonywać zmian innego prawa, pomyślał.

Ciekawe tylko, czy mogę wykorzystać to prawo, które pozwala mi na dokonywanie zmiany innych praw, do zmiany samego prawa, które daje mi takie uprawnienia? - zadał sobie pytanie.

Zastanawianie się nad tym problemem sprawiało mu wręcz dzieciinną radość. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że właśnie dokonał bardzo ważnego odkrycia.

- Witam pana, pułkowniku Solo - odezwał się na jego widok dyrektor agencji dostaw. Tav Vello był nerwowym mężczyzną i wyglądał, jakby przydał mu się solidny posiłek. - Poleciałem jednemu z moich zastępców, żeby się zajął problemem niedoborów. Możliwe, że ich powodem są po prostu zwykłe opóźnienia.

- Czy ktoś w tej kolejce zajmuje miejsce przed Flotą albo Strażą Galaktycznego Sojuszu? - zapytał Jacen.

- Nasi dostawcy rzeczywiście mają innych klientów - przyznał Vello.

- Mam nadzieję, że wszyscy oni trzymają naszą stronę.

- Otrzymujemy dostawy wyłącznie od sojuszników.

- Czy pańscy podwładni działają najszybciej jak mogą?

- Naturalnie, że tak, panie pułkowniku - odparł dyrektor.

- Szukamy także sposobów uproszczenia całego procesu. Jacen się uśmiechnął.

- Ja też - powiedział, rozglądając się po gabinecie dyrektora. Na ścianach nie zobaczył złotych płyt, ale chciał znaleźć inne dowody rozrzutności. - W takim razie porozmawiajmy o pakietach do konserwacji dział - podjął po chwili. - Zwłaszcza o elementach, które powinny być regularnie wymieniane. Prosiłem o wyjaśnienie, dlaczego było tyle niewypałów.

Vello zerknął na ekran komputerowego notesu. Sprawiał wrażenie, że ma bardzo dobrą linię obrony,

a przynajmniej doskonałą wymówkę.

- Dokonaliśmy wczoraj wrywkowej kontroli partii tych pakietów - powiedział. - Mogę pana zapewnić, że kupowane przez nas pakiety są zadowalającej jakości.

- Nie wystarczy zadowalająca jakość - sprzeciwił się Solo.

- Zależy nam na najwyższej.

- Musimy przestrzegać ograniczeń budżetowych, panie pułkowniku.

- Czy decyzje w tych sprawach podejmuje pański wydział?

- Tak, a osobiście starszy urzędnik od spraw zakupów. Jacen wiedział, że istnieje tylko jeden sposób na ludzi, którzy

nie rozumieją co oznacza słowo „wystarczające” na polu walki. Odwrócił się do androida.

- Aitch-Em, czy moje obecne uprawnienia pozwalają na dokooptowanie personelu cywilnego do prowadzenia takich kontroli?

- zapytał.

HM-3 mruczał kilka sekund coś, czego Jacen nie usłyszał.

- Tak jest, proszę pana - odezwał się w końcu.

- Czy istnieją jakieś ograniczenia co do miejsca i warunków takich kontroli?

- Nie, proszę pana.

- Właśnie to chciałem usłyszeć. - Jacen zaczynał odkrywać bogactwo możliwości, jakie dawały mu przepisy. Okazywało się, że wybór ma prawie nieograniczony. Zaczynał dostrzegać korzyści płynące ze znajomości litery prawa. Odwrócił się do dyrektora agencji dostaw. -

Chciałbym zobaczyć się ze starszym urzędnikiem od spraw zakupów, który podpisał protokół kontroli jakości pakietów do konserwacji dział.

Vello wyglądał na lekko zdezorientowanego.

- Biorę pełną odpowiedzialność za to, co robią moi podwładni, panie pułkowniku - zapewnił.

- To godne pochwały, ale zależy mi bardzo na zrozumieniu tego procesu, a to oznacza, że muszę poznać ludzi - odparł Solo. - Wydaje mi się, że kluczem do rozwiązania tego problemu jest właściwe zrozumienie sytuacji.

Wciąż jeszcze zdezorientowany Vello podszedł do biurka, żeby wezwać przez interkom starszego

urzędnika od spraw zakupów.

- Proszę tego nie robić - sprzeciwił się Jacen. - Sam pójde do jego gabinetu.

HM-3 wydał zagadkowy brzęk, kiedy wszyscy trzej zjeżdżali turbowindą na poziom, gdzie mieścił się Wydział Zakupów. Wysiedli z kabiny w ogromnej hali, w której bez trudu zmieściłyby się całe stada zwierząt. To dobrze, pomyślał Jacen. Zależało mu na widowni. Serca i umysły, przypomniał sobie.

- Proszę pozwolić, że przedstawię panu Birisa Te Gafa - odezwał się Vello. - To nasz starszy urzędnik od spraw zakupów sprzętu wsparcia inżynieryjnego.

Te Gaf wyglądał na zdenerwowanego, a jego podwładni i współpracownicy - przeważnie istoty ludzkie, ale także Nim-banowie, Gossamowie i Sy Myrthianie - udawali zajętych pracą, lecz w rzeczywistości dyskretnie go obserwowali. Jacen wyczuwał, że na całym piętrze panuje atmosfera niepokoju. Te Gaf wyciągnął do niego rękę, a Jacen z czarującym uśmiechem uściśnął wilgotną od potu dłoń. Starszy urzędnik zasypał go lawiną danych, z których wynikało, że sprzęt do konserwacji dział absolutnie odpowiada wymaganiom. Nie zapomniał

także wspomnieć, że kupuje zestawy po bardzo dobrej cenie.

- Musimy jednak coś zrobić, żeby rozwiązać problem niewypałów i niewystarczającej jakości

- stwierdził Jacen. Sądząc po mowie ciała i dobiegających z bliska zakłóceń w Mocy, słyszeli go wszyscy pracownicy w wielkiej sali. - Zależy mi na pańskiej pomocy. Proszę przeprowadzić jeszcze raz kontrolę jakości pakietów do konserwacji dział.

- Naturalnie, pułkowniku Solo - odparł urzędnik. - Zrobię wszystko, żeby pomóc.

HM-3 nachylił się do Jacena.

- Paragraf piąty, podrozdział C-27 - odpowiedział szeptem.

Soło odwrócił się znów do urzędnika.

- Cieszę się, że to słyszę. - Uśmiechnął się do niego. - Właśnie dlatego na mocy paragrafu piątego, podrozdziału C-27 Ustawy o Stanie Wyjątkowym kieruję pana na pierwszą linię frontu... na pokład okrętu naszej Floty, którego artylerzyści mieli ostatnio najwięcej przypadków niewypałów. Moim zdaniem nie ma lepszego sposobu na poznanie faktów niż wysłuchanie relacji ludzi, którzy muszą się posługiwać tymi zestawami... ani lepszego miejsca, żeby z nich korzystać. - Rozejrzał się wokół. Posłużył się Mocą żeby zwiększyć wrażliwość słuchu, ale docierały do niego tylko odgłosy oddychania czy przetykania śliny. - Z prawdziwą radością wyślę tam także innych, którzy zechcą sprawdzić osobiście, czego doświadczają końcowi użytkownicy dostarczanego przez wasz wydział sprzętu - podjął po chwili. -

Wystarczy, jeżeli wyrazicie taką chęć. Zawsze z zadowoleniem spełniamy wasze życzenia.

Mogę nawet zagwarantować wam miejsca w pierwszym rzędzie, skąd będzie najlepiej obserwować artylerzystów podczas walki.

Uśmiechnął się z dyplomatyczną obłudą której nauczył się od matki, i jeszcze raz powiódł spojrzeniem po wielkiej sali. Nie sądził, żeby nagle runął na niego tłum ochotników.

Tymczasem Te Gaf stał jak skamieniały. Jacen nie mógł chyba bardziej dobitnie uświadomić wszystkim znaczenia ich pracy. Od tej pory urzędnicy mieli wiedzieć, co ich czeka, jeżeli będą nadal uważali „zadawalającą jakość” za wystarczającą.

Jeżeli przypuszczacie, że coś jest wystarczająco dobre, sprawdźcie to osobiście... na linii frontu, pomyślał.

HM-3 wyszedł za nim z budynku i obaj wrócili powietrzną taksówką do Kwatery Głównej SGS. Zajęło im to sporo czasu, bo w powietrzu panował większy ruch niż zazwyczaj, więc kiedy

Jacen wrócił do swojego gabinetu, rozkaz przeniesienia na pokład „Oceanu” pewnego cywila, niejakiego Birisa J. Te Gafa, był już na ustach niemal wszystkich funkcjonariuszy Straży Galaktycznego Sojuszu. Kapral Lekauf i dwaj żołnierze z Dziewięćset Sześćdziesiątego Siódmego Oddziału Komandosów powitali Jacena w sali odpraw jak bohatera.

- Ale im pan dał popalić, panie pułkowniku - zachwycił się jeden z komandosów, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Mam wrażenie, że już w tej chwili moje części zamienne do karabinu są bardziej niezawodne.

Lekauf odgiął ku górze kciuki obu dłoni.

- Pański dziadek zrobiłby to samo, panie pułkowniku - powiedział. - Doskonale posunięcie.

W koszarach takie słowa oznaczały szczerą pochwałę, nie zaś ostrzeżenie przed pokusami ciemnej strony. Jacen wyżej cenił opinię zwykłych żołnierzy niż filozofowanie członków Rady Jedi.

To wszystko się zmieni, pomyślał.

Położę kres wojnom, które wybuchały dotąd w każdym pokoleniu.

Koniec z intrygami politycznych karierowiczów, którzy doją system, żeby wyciągnąć dla siebie jak najwięcej korzyści.

Położę kres rozmowom o wolności, która prowadzi do tego, że garstka może robić, co chce, a pozostali muszą walczyć o przetrwanie.

Nic dziwnego, że w przeszłości niektórzy obawiali się Sithów, jeżeli istnienie Sithów groziło końcem chaosu, który służył tylko garstce wybrańców.

Jacen spojrzał na Lekaufa i odwzajemnił jego gest.

- Jeszcze wszystkiego nie wiecie - przypomniał.

HM-3 włączył komputerowy notes.

- Będę pana informował o dalszych losach tej poprawki, pułkownika Solo - oznajmił z powagą.

- Czy na dzisiaj to już wszystko?

- Tak, ale jeszcze kiedyś może zechcę skorzystać z twoich usług - oznajmił Jacen. - Umiesz przedstawiać zawile problemy w zrozumiałym sposób.

- Na tym polega moja praca.

Mimo to Jacen chciał się jeszcze o czymś upewnić. W jego głowie zaczynał kiełkować pomysł.

- Prawa i regulaminy to zabawna rzecz - stwierdził. - Ta poprawka zapewnia mi, naturalnie innym osobom też, możliwość zmiany zmienionego już wcześniej prawa. Mam rację? To działa na okrągło.

HM-3 nie troszczył się o to, co jest słuszne, a co nie. Liczyło się tylko to, co legalne; wszystko inne było nieważne. Jeżeli Jacen zamierzał wykorzystywać poprawkę dla celów innych niż przyspieszenie dostaw części zapasowych i sprzętu medycznego, android nie zamierzał

wygłaszać opinii na ten temat.

- Tak jest - przyznał HM-3. - Rzeczywiście to działa na okrągło.

Okazując niezwykły entuzjazm, Jacen usiadł za biurkiem i przysunął bliżej stos raportów agentów wywiadu. Miał przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś nieuchronnego. Na chwilę zapomniał o tym, że musi kogoś zabić, żeby udowodnić swoje poświęcenie, ale był pewny, że takie myśli wkrótce powrócą. Miał do dyspozycji nowe narzędzie, dzięki któremu będzie mógł

dokonywać niezbędnych zmian.

Mogę zmieniać prawo, które pozwala mi zmieniać inne prawa, pomyślał.

Jeżeli posłużę się tym przepisem umiejętnie, będę mógł to robić nawet bez potrzeby uzyskiwania zgody Senatu.

Czasami potęga ludzkiego umysłu była równie skuteczna jak potęga Mocy.

Kuat City, Kuat, kasyno „Wodospady Tekshara”

- Co się stało z klonami? - zagadnęła Mirta.

Kuat City emanowało bogactwem. Fett nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego cywilizowane społeczeństwo, które wzbogaciło się dzięki rozwojowi przemysłu ciężkiego, utrzymywało kult dawnej arystokracji. Ciekawa planeta, ale anachroniczna, pomyślał. W oddali widział

luksusowe dzielnice Kuat City z eleganckimi, błyszczącymi wieżami i iglicami, które przypominały upstrzony dźwigami krajobraz orbitalnych stoczni.

Dobrze znał planetę. Kiedyś ocalił przed zniszczeniem jej gwiazdne stocznie. Miał nadzieję, że mieszkańcy tego świata okażą mu za to chociaż trochę wdzięczności.

- To było mięso armatnie - odpowiedział na pytanie wnuczki, lądując raketowym skuterem pod arkadami z luksusowymi sklepami. - Po prostu zginęli albo wymarli.

- Ten, którego spotkałam, miewał się doskonale - zauważyła Mirta. - Powiedział, że kilku z nich opuściło siły zbrojne.

- Jedynym możliwym sposobem opuszczenia sił zbrojnych była śmierć... albo dezercja - stwierdził Fett.

- Żaden klon nie przeszedł w stan spoczynku?

- To zależy od tego, co się rozumie pod tym pojęciem - odparł Boba. - Podobno jednak kilku skończyło w domach opieki prowadzonych przez zapalonych pacyfistów.

Mirta chyba zrozumiała, co oznaczają słowa „stan spoczynku” w przypadku klonów, których uczono zabijania, trzymano z daleka od społeczeństwa i skazano na przedwczesną śmierć.

Uniosła podbródek, co dowodziło, że jest zirytowana. Fett zauważył to, chociaż wnuczka miała hełm. Jeszcze nie opanowała sztuki ukrywania uczuć.

- Czy kiedykolwiek polowałeś na dezertersów? - zapytała.

- Nie - odparł Fett. Nie polował, ale wielu widział. - Nieopłacalny interes.

- Troszczyłeś się o nich, Ba 'buir!

No, no... moja wnuczka czuje się coraz swobodniej, bawiąc się w Mando, pomyślał Boba. Ja jednak nigdy się nie przyzwyczaję do tego tytułu.

- Niespecjalnie - powiedział.

- Byli twoimi braćmi.

- Nie, nie byli. - Gestem polecił Mircie, żeby zeskoczyła z siodełka. - Krew to nie wszystko.

Wiesz, że tak rozumuje Mando.

- Aha... idę o zakład, że kiedy spotkasz tamtego klona, opowiesz mu zupełnie inną bajeczkę -

odcięła się wnuczka. - Bo jak inaczej zamierzasz go nakłonić, żeby ci pomógł? Zmusisz go do

wyjawienia tej informacji? Tamten klon wyglądał na takiego samego twardziela jak ty.

- Może po prostu uprzejmie go poproszę - odparł Fett. - Na razie muszę wpaść do „Tekshara” i pogadać z Fraigiem. To może być dla niego nieprzyjemna rozmowa.

„Wodospady Tekshara” były jednym z tych niezwykłych osiągnięć architektury, z których zawsze słynęli Kuatowie. Inne takie ośrodki w galaktyce mogły się także poszczycić imponującymi osiągnięciami w dziedzinie wykorzystania wody, ale „Tekshar” był prawdziwym wodospadem... spienioną, ryczącą rzeką spadającą z dużej wysokości i skierowaną ogromnym nakładem kosztów w sam środek dzielnicy uciech i rozrywek. Strumień napędzał hydroturbiny dostarczające energii wielu źródłom jaskrawego światła, które przebijało przez kurtynę wody.

Samo kasyno mieściło się za wodospadem i wyglądało jak jaskinia wykuta w naturalnej skale.

Wokół sterczały podobne do nadrzewnych grzybów iglice. Jeżeli hazardziści chcieli się dostać do kasyna, musieli przejść przez kaskady spadającej z wysokości pięciuset metrów wody.

- Niepotrzebnie byłam u fryzjerki - mruknęła Mirta, zakuta od stóp do głów w pancerz. - A może ta metoda uniemożliwia zabijakom wstęp do kasyna?

- My też jesteśmy zabijakami - przypomniał Fett. - I zaraz się tam dostaniemy.

Przystanął, żeby z pomocą wyświetlacza w polu widzenia włamać się do bazy danych kuatskiej policji. Policjanci nie mieli nic przeciwko temu, dopóki Fett nie łamał prawa. Na wyświetlaczu hełmu przed jego oczami zaczęły się przewijać wizerunki szumowin, rozrabiaków, przestępców i niebezpiecznych złoczyńców, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Fett zaczekał, aż pojawi się wizerunek z podpisem L. FRAIG. Ten groźny podobno gangster wyglądał jak szacowny obywatel. Miał gładko ogoloną twarz, okoloną złocistymi kędziorami, których widok wzruszyłby serce każdej matki. Fett podejrzewał, że jeżeli nawet Fraig miał

matkę, do tej pory sprzedał ją huttańskim handlarzom niewolnikami.

- Rozumiem, że zamierzasz tam po prostu wejść - stwierdziła Mirta.

- Chcę go tylko o coś zapytać - wyjaśnił Mandalorianin.

- To nie będzie proste, prawda?

- Zaraz się o tym przekonamy. - Fett ruszył wysadzonym drzewami bulwarem, który wiódł do stóp wodospadu, a później omijał go z prawej i z lewej strony. Tylko zamożni głupcy mieli czas na hazard o tak wczesnej porze, co nie przeszkadzało Fraigo- wi w interesach. - Nie ma sensu go denerwować, ale upewnij się, że silniki twojego plecaka pracują na jałowym biegu.

- Czyli niewykluczone, że będziemy musieli stamtąd szybko uciekać - domyśliła się wnuczka.

Bez widocznego wysiłku dotrzymywała mu kroku, co przypominało Fettowi, że już nie chodzi tak szybko jak kiedyś. - Myślisz, że będą się wściekali z powodu tego, jak jesteśmy ubrani?

- Na razie zależy nam tylko na tym, żeby tam wejść. - Fett otarł z przesyłony hełmu niesiony wiatrem wodny pył. - Zazwyczaj ludzie akceptują mój strój. Wcześniej czy później.

Ruszył przed siebie mostem wiodącym przez sam środek spienionej, ryczącej strugi, a woda rozdzieliła się przed nim jak kotara. Fett zobaczył szerokie wejście. Widoczne za nim kasyno było jaskrawo oświetlone i zupełnie suche.

- Imponujące - stwierdziła Mirta.

Struga wody rozdzielała się automatycznie dzięki siłowym polom, uruchamianym przez wrażliwe na ruch czujniki. W tym wszystkim chodziło jednak, jak Fett podejrzewał, o pierwsze wrażenie. Ot, taki mały teatr. Coś takiego zawsze pomagało w prowadzeniu interesów.

- Nie zostawaj z tyłu - ostrzegł wnuczkę.

Kuluary kasyna urządzono z przepychem, jakby ktoś chciał pobić rekord kredytów wydanych na urządzenie i ozdobienie każdego metra kwadratowego powierzchni. Fett widział tu wszystko, na f. czym mu nigdy nie zależało, począwszy od kosztownych, puszystych kilimów na ścianach, przez złocenia i lustra, a skończywszy " na dyskretnym, zainstalowanym na poziomie podłogi oświetleniu. Wszystko to miało wywierać wrażenie, ale zarazem było trudne do utrzymania w czystości. W pewnym miejscu kuluary przechodziły w dwa korytarze. Jeden prowadził do restauracji, a drugi do sali ze stołami do gier hazardowych. Fett przesłał na wyświetlacz ' w polu widzenia listę swoich inwestycji i zwrócił uwagę na nazwę: „Holdingsowa Spółka Konstruktoryjna Tirual”.

- Postarajmy się nie narobić tu zbyt wielu szkód - powiedział. - Wygląda na to, że mam udziały w tym kasynie.

Za biurkiem niedaleko wejścia siedział zarządca. Nad bezpieczeństwem i porządkiem w kasynie czuwała grupa ochroniarzy, złożona z mężczyzn, Trandoshan i jednego Grana.

Ochroniarze krążyli powoli po grubym purpurowym dywanie, w którym buty Fetta grzęzły w smole. Łowca nagród nigdy dotąd nie widział Trandoshanina w służbowym garniturze i zastanawiał się, co z tego zrozumiałby biedny, stary Bossk. Rzadko widywało się także Granów w tym zawodzie. Było jasne, że cała ta ekipa nie miała za zadanie pomagać gościom w wybieraniu odpowiedniego gatunku Wina.

Zarządca porównywał twarze wchodzących osób z obrazkami przesuwanymi się po ekranie stojącego na biurku monitora, dopasowując wizerunki do gości. Zerknął na Fetta i wzdrygnął się; najwyraźniej zobaczył również na ekranie jego twarz.

- Czy szanowny pan ma jakiś dowód tożsamości? - zapytał.

Fett poklepał blaster.

- Zazwyczaj to wystarczy - powiedział.

Wyjątkowo szpetny zarządca o mało nie zmoczył spodni. Fett zastanowił się, czy go za to nie pochwalić.

- Prosimy - odezwał się w końcu zarządca. - Dawno tu pana nie widzieliśmy.

- Przyszedłem, żeby się z kimś zobaczyć. - Fett wskazał odgiętym kciukiem Mirtę. - A to moja współpracowniczka.

- Czy mamy się potem spodziewać dużych zniszczeń?

Fett rzucił na biurko żeton kredytowy o dużym nominale.

- Na wszelki wypadek może pan zatrzymać resztę - powiedział. - Gdzie znajdę Fraiga?

Kredyty miały to do siebie, że przemawiały. Potrafiły szeptać równie złowieszczo jak blastery.

- Jest gospodarzem przy osobistym stoliku do gry w sabaka w swoim apartamencie na trzydziestym piętrze, proszę pana. - Zarządca uśmiechnął się mętnie i pstryknął palcami na jednego z ochroniarzy.

- Uprzedzę go, że jedzie pan na górę.

Do biurka podszedł wymuskany Trandoshanin. Wyglądał w garniturze, jakby wybrał

nieodpowiedni kostium na bal karnawałowy.

- Proszę zaprowadzić... uhhh... prezydenta Mandalory do apartamentu pana Fraiga - rozkazał

zarządca. - Wszystkie drinki na koszt firmy.

Właściciele kasyna chyba nie rozumieli, co oznacza tytuł Mandalora. Fett nie miał im tego za złe, bo on też nie bardzo rozumiał. Mirta parsknęła cichym śmiechem, tak aby tylko Fett to usłyszał. W mgnieniu oka włączył komunikator hełmu.

- Masz tu udziały, Ba 'buir, prawda? - odezwała się wnuczka.

- W zależności od tego, ilu gości ma Fraig, może będę potrzebował twojej pomocy - uprzedził

Fett. - Postaraj się ich nie zabić, jeżeli nie będziesz musiała.

- Ta-ajes-s-s, panie prezydencie!

- Bardziej mi się podobałaś, kiedy nie pozwalałaś sobie na dowcipy.

Nie mógłby zresztą powiedzieć, że jej nie lubi. Owszem, Mirta próbowała go zabić, ale to było kilka miesięcy wcześniej. Od tamtej pory sytuacja uległa zmianie. Wnuczka naprawdę się starała, no i nie miała upodobania do głupstw w rodzaju mody czy holowideogramów. Była w każdym sensie tego słowa silna. Be- viin - a Fett liczył się z jego zdaniem - powiedział, że Mirta jest prawdziwą Mando 'ad, mandaloriańską kobietą, bo umie strzelać, znośnie gotuje i ma bary jak zbrojmistrz. Mando 'ade

wysoko ce- 1 nili kobiety z pogranicza, nie kruche laleczki, które nie umiałyby nawet wykopać obronnego szanca.

Mirta jest bardzo podobna do Sintas, pomyślał Boba. Może nie tak urodziwa jak ona, ale bardzo mi ją przypomina.

Nie znał Ailyn wystarczająco długo, żeby ocenić, ile cech charakteru i urody odziedziczyła po matce Mirta. Sin, przypomniał sobie. Nazywałem ją Sin, a ona mnie Bo. Ciekawe, czy Mirta ma jakieś przyzwisko. Ciekawe też, co Sintas opowiedziała Ailyn o nim i co Ailyn przekazała z tego Mircie, żeby wzbudzić w niej tak zajadłą nienawiść do mnie.

Wyrwał się z zamyślenia i podążył śladem Trandoshanina. Czuł w brzuchu tępy ból.

Zauważył, że im mniej zostało mu życia, tym częściej myśli o ludziach, o których nie myślał od dawna, bardzo dawna.

Wysiedli z kabiny na korytarzu wyłożonym takim samym grubym purpurowym dywanem jak kuluary na parterze. Po obu stronach rozmieszczono niewielkie saloniki. Od strony stolików do gry, przy których hazardziści tracili nierzadko dorobek całego życia, dolatywał grzechot, pisk i jaskrawe błyski. Mimo filtrów hełmu Fett czuł mdlącą mieszaninę woni najróżniejszych perfum, wydestylowanych z egzotycznych roślin i zwierzęcych organów, o których nawet nie chciał myśleć.

Trandoshanin poprowadził ich do masywnych, rzeźbionych drzwi i niezgrabnie się wycofał.

Kiedy płyty drzwi się rozsunęły, Fett stanął oko w oko z Hamadryasem - istotą która chyba nie umiała mrugać. Za odzwierciedlającym widać było pozłocany stolik, przy którym Fraig grał w sabaka z trzema mężczyznami, dwiema kobietami i Wee'equayem. Wszyscy byli ubrani w wykwiśnięte, kosztowne, kapiące od złota stroje. Po obu stronach drzwi do kuchni stali barczyści lokaje, którzy prawdopodobnie podawali gościom clrinki.

- Pan Fett! - odezwał się Fraig, nie odrywając spojrzenia od stolika. - Jak miło pana widzieć.

Zauważył, że Fraig ma doskonałe karty. Fett stanął nad mężczyzną i spojrzał na monitor w blacie stołu. Poczul się zakłopotany, że musi mu przeszkodzić. Goście Fraiga starali się skupić na rozgrywce, ale nie było to łatwe, skoro do salonu weszło z niespodziewaną wizytą dwoje łowców nagród. Woleli więc wstawać po kolei od stolika i udawać się do kuchni po nowe drinki. Hamadryas obserwował w milczeniu nowych gości, trzymając dłoń na kaburze z blasterem.

- Chcę ci zadać kilka pytań - odezwał się Fett bez żadnych wstępów. - Na temat twojego poprzednika.

- To zależy od tego, co chcesz wiedzieć. - Wyglądało na to, że Fraig nie zapominał języka w gębie, podobnie jak pamiętał, żeby zadbać o fryzurę. Jego ojciec gangster musiał go posyłać do najlepszych szkół, ale nie nauczył syna, jak dyskretnie wsuwać rękę pod stół, żeby niepostrzeżenie sięgnąć po ukryty tam mały blaster. Fett miał nadzieję, że nie będzie musiał

zabijać mężczyzn, zanim nie usłyszy od niego kilku odpowiedzi. - Chyba nie nasłali cię wspólnicy

Cherita, żeby okazać swoje niezadowolenie, co?

- Nie zamierzam cię zabijać - zapewnił Fett. - Potem nie mógłbyś już mi powiedzieć tego, co chcę usłyszeć. A ja bardzo chcę, żebyś udzielił mi kilku odpowiedzi. Z natury jestem ciekawskim człowiekiem.

Stojący przy drzwiach Hamadryas odsłonił ukryty za pasem blaster, ale Mirta stanęła w taki sposób, żeby osłaniać dziadka od tyłu. Fett widział na wyświetlaczu w polu widzenia, że wnuczka nie odrywa spojrzenia od obcej istoty, bo czujniki jego hełmu rejestrowały ruchy jej gałek ocznych.

Fraig wzruszył ramionami.

- No więc co chcesz, żebym ci powiedział? - zapytał.

- Coś więcej o tym Mandalorianinie, który zabił Cherita - odparł Fett. - Muszę go odnaleźć.

Gangster miał uśmiech, który rozprzestrzenił się po jego twarzy niczym pęknięcie w skorupie lodu.

- Zadawano mi wiele subtelnych pytań, ale to jest najlepsze - powiedział. - Zapewniam cię, że to nie ja kazałem zabić Cherita.

- Nie obchodzi mnie, czy posłałeś później wieniec i zatroszczyłeś się o wdowę po nim -

burknął łowca nagród. - Masz mi pomóc znaleźć mężczyznę, który go zabił.

- Może byśmy wyszli na balkon? - zaproponował Fraig, wskazując drzwi i sięgając po kieliszek z trunkiem. - To zbyt delikatna sprawa, żeby omawiać ją w obecności moich gości.

- Proszę bardzo - odparł Fett. Od razu się domyślił, gdzie dojdzie do decydującej rozgrywki.

Delikatna sprawa, akurat, pomyślał. Mirta została na straży przy otwartych drzwiach, chociaż hamadryański ochroniarz podjął próbę usunięcia jej z drogi. Popęłnił jednak błąd i dotknął

dłonią jej pleców... trochę zbyt nisko. Mirta tylko uniosła zaciśniętą pięść na wysokość ramienia i wysunęła ukryte w rękawicy wibroostize.

- Dotknij mnie jeszcze raz, chaakar, a wpakuję ci to w tętnicę szyjną - zagroziła.

- Niczego takiego nie mam - odparł Hamadryas.

- Nieważne... po prostu będę cię kłuła, dopóki nie znajdę miejsca odpowiedniego na spuszczenie ci krwi.

Fraig postanowił wtrącić się do ich rozmowy.

- Serku, nie denerwujmy tej damy, dobrze? - powiedział. - Niech zaczeka, gdziekolwiek chce.

Jak na szefa świata przestępczego Fraig popełniał tego wieczoru zbyt wiele błędów. W

odróżnieniu od niego Fett był przygotowany na najgorsze. Fraig mógł liczyć na to, że balkon ograniczy swobodę ruchów łowcy nagród, ale miejsce nie stanowiło żadnego problemu dla kogoś wyposażonego w plecak raketowy. Gangster go nie miał, nie miał także supercienkiej, wytrzymałej linki.

Fett doszedł do wniosku, że rozmowa nie potrwa długo.

Amatorzy, pomyślał z pogardą.

Zwalczył chęć pouczenia Fraiga, jak się zachowywać w podobnych sytuacjach. Kiedy wyszli na balkon, zauważył, że w zapadającym zmierzchu światła Kuat City przebijają przez kurtynę wody. Dzięki skalnemu nawisowi nad balkonem woda spadała kilka metrów od fasady kasyna.

Chwycił poręcz balkonu. Zrobił to od niechcienia, ale w rzeczywistości badał wytrzymałość metalu. Rzucił okiem na Fraiga, żeby ocenić jego wzrost.

- Pozwól, że powtórzę moje proste pytanie - powiedział. - Chcę wiedzieć wszystko na temat Mandalorianina, który załatwił twojego poprzednika.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - zastrzegł gangster. - Cherit zraził do siebie wielu miejscowych gości. To ryzyko związane z uprawianym zawodem.

- Moje pytanie pozostaje aktualne - stwierdził Mandalorianin.

- Idę o zakład, że twoja organizacja zrobiła wszystko, aby się tego dowiedzieć.

- Nie mamy pojęcia, kim był tamten gość - zapewnił Fraig.

- Wiemy tylko, że miał do Cherita pretensje z powodu jakiegoś twi'lekańskiego klanu. Robimy interesy z Twi'lekami w przemyśle rozrywkowym.

- Mogę się o to założyć - burknął Fett. Domyślał się, że Fraigowi chodzi o młode Twi'lekanki.

- Jakiego rodzaju pretensje?

- Uważał, że nie traktujemy ich jak należy - odparł gangster.

- Przez niego straciliśmy kilku bardzo popularnych artystów.

Fraig był kłamliwą szumowiną a klon w mandaloriańskim

pancerzu może i wyrównywał porachunki na zlecenie grupy Twi'leków, ale nie był łowcą nagród. A zatem chodziło o sprawy natury osobistej, nie zawodowej.

Czas, uświadomił sobie. Nie miał na to czasu.

- Widziałeś go od tamtej pory? - zapytał.

- Nie.

- Powiesz mi, kim byli ci Twi'lekwie?

- Dlaczego tak bardzo ci zależy na znalezieniu tamtego mężczyzny? - zainteresował się Fraig. -

To musi być coś poważnego, bo inaczej byś na niego nie polował. - Przyjrzał się swoim wymalowanym paznokciom. - A może z powodu odejścia Cherita cierpi jeden z moich wspólników, który wynajął cię, żebyś mnie zabił?

- Na razie nie można mnie wynająć. - Fett nie mógł zrozumieć, dlaczego jego rozmówcy nigdy nie słuchają tego, co ma im do powiedzenia. Mówił im zawsze prawdę, a oni zawsze doszukiwali się w niej innych znaczeń. - Chcę dopaść tego Mando, ale w jednym kawałku.

Potrzebuję go, żeby załatwił dla mnie jedną sprawę.

Fraig zaprzepścił okazję. Fett włączył komunikator hełmu, żeby zwrócić na siebie uwagę wnuczki. Mirta zresztą i tak miała na niego oko... a drugie na Hamadryasa.

- Zamierzam pomóc naszemu przyjacielowi przypomnieć sobie kilka rzeczy - powiedział do niej.

Pożyteczny drobiazg, taka linka z wytrzymałego włókna, pomyślał.

Wystrzelił linkę z plecaka, owinał nią Fraiga, zaczepił kotwiczkę i przerzucił mężczyznę przez poręcz balkonu. Wszystko razem zajęło mu dwie sekundy. Gangster wrzasnął i kurczowo zacisnął palce na poręczy, ale po dwóch silnych ciosach kolbą blastera w kostki palców puścił

żelazny pręt i runął. Fett przygotował się na nieuniknione szarpnięcie, kiedy linka przestanie się rozwijać. Szarpnięcie okazało się tak silne, że wyparło z jego płuc powietrze. Fraig skręcał się i kołysał w duszącym uścisku linki, cały czas wrzeszcząc ze strachu. Łowca nagród postanowił

zachować w rezerwie kilkadziesiąt metrów linki na wałku wciągarki.

W tym czasie Mirta zajmowała się Hamadryasem. Chciała mu zatrzaskać przed nosem transpastalowe drzwi, ale ochroniarz naparł na nie ciałem i nie pozwolił, żeby się zamknęły.

Wsunął w szczelinę blaster i starał się dać ognia, ale znalazł się w potrzasku. Fett obserwował z rosnącym zainteresowaniem, jak wnuczka uderza drugi raz strażnika głową w hełmie, wbija wibroostrze w jego udo i zmusza go - wyjącego z bólu - do wycofania się za drzwi, a później z trzaskiem je zamyka ciężarem ciała. Zauważył, że wnuczka wyjmuje blaster i kilka razy strzela w panel kontrolny zamka.

- Pospiesz się, Ba'buir - powiedziała. Poruszyła ramionami, jakby zeszywniały jej mięśnie karku. - Drzwi może i są odporne na blasterowe strzały, ale wcześniej czy później tamci je sforsują.

Fett wychylił się poza poręcz i spojrział w dół. Fraig wił się bezradnie niczym devec na haczyku wędkarskiej linki, wydając dźwięki, jakby się dusił. Linka była zaciśnięta wokół jego klatki piersiowej i pasa. Gangster kołysał się piętnaście metrów poniżej balkonu.

- Przestań walczyć i postaraj się trzeźwo myśleć! - zawołał Fett. - Szybciej przypomnisz sobie to, o co pytam. A przy okazji nie będzie ci groziło, że się wyslizgniesz z pętli.

- Jesteś szalony... każę poderżnąć ci za to gardło...

- To ty się bujasz na końcu linki - przypomniał Fett. - Ja stoję na kawałku twardego durbetonu.

Zastanów się nad tym, co mówisz.

- Już jesteś trupem!

- Spostrzegawczy aż do końca - burknął łowca nagród. - Podaj mi nazwiska, gadzino.

- Powiedziałem ci już, że to nie ja zapłaciłem tamtemu Mandalorianinowi! - odkrzyknął z dołu Fraig. - Cieszę się, że załatwił Cherita, ale to nie ja mu za to zapłaciłem..

- Spróbuj jeszcze raz.

Głos Fraiga dobiegał stłumiony, zagłuszany przez ryk spadającej za jego plecami wody.

- Tamci Twi'lekwie należeli do klanu Himar.

- Dobry początek.

Fett odwinął następny metr linki i znów poczuł szarpnięcie, kiedy zadziałał hamulec wciągarki.

Fraig wrzasnął ze strachu, ale opadł metr bliżej permabetonu, kamienia i rozpryskującej się niemal sto metrów niżej wody.

- Pomogło? - zapytał Mandalorianin. - Pamięć czasami potrzebuje takich wstrząsów.

Himar, pomyślał. Każdy Mando odgrywający bohatera dla poprawienia losu grupy tancerek powinien być znany w społeczności TwiTeków. Taka troskliwość rzadko się zdarzała, bo mało kto przejmował się losem, jaki czasami spotykał młode Twi'lekanki. Fett miał już trop, którym mógł się udać na dalsze poszukiwania. Wcześniej czy później nawiąże kontakt... a jeżeli nie on, zrobi to Beviin. Beviin nie będzie go ciągnął za język, żeby poznać powód polowania na tamtego klona.

- Wiesz jeszcze coś, co może chciałbyś z siebie wyrzucić?

- zapytał.

- Nie znam tamtego Mandalorianina, Fett - odkrzyknął Fraig.

- Wiem tylko, że gorzko tego pożałujesz.

Łowca nagród usłyszał dobiegające zza pleców stłumione, rytmiczne odgłosy dowodzące, że ochroniarze szefa usiłują roztrzaskać płytę drzwi na kawałki.

- Jeżeli mnie napuściłeś na fałszywy trop, wrócę i dokończę to, co zacząłem - uprzedził.

Oparł stopy na dolnej poręczy balustrady i zaczął wciągać gangstera. Mirta stanęła obok niego, ale wymierzyła blaster w drzwi.

- Miękniesz, Ba 'buir - stwierdziła. - Dlaczego go wciągasz?

- Bo nie chcę stracić linki - wyjaśnił Fett. - To moja ulubiona, ultracienka.

- Kiedy go wciągniesz na wysokość balkonu, postaram się go uspokoić...

- ...a później wrócimy na pokład „Niewolnika 1” - dokończył Boba. - Szlakiem widokowym.

- Mamy szczęście, że nie zapomnieliśmy o plecakach raketowych.

- Nie wjechałbym tak wysoko, gdybym go nie miał. - Fett czuł, że po jego kręgosłupie ściekają kropelki potu, i pomyślał, że jeszcze kilka lat wcześniej podobne zadanie byłoby dla niego łatwiejsze. - Azresztaj tak bym się nie zgodził wjechać wyżej niż na trzydzieste piętro.

- Dlaczego?

- Moja linka ma długość stu metrów - wyjaśnił łowca nagród. - Na wypadek, gdybym musiał po niej zjechać.

Twarz Fraiga znalazła się dwa metry od poręczy. Gangster przestał wrzeszczeć i tylko z wysiłkiem oddychał.

- Moja linka nie ma stu metrów długości - stwierdziła Mirta.

- A zatem możesz mówić o szczęściu, że masz plecak - odparł Boba. Przeciągnął Fraiga nad poręczą ale zanim gangster upadł na balkon, Mirta wymierzyła mu prawy sierpowy, po którym mężczyzna stracił przytomność. Jeżeli tak miało wyglądać uspokajanie w wykonaniu Mirty, jego wnuczka była urodzoną pielęgniarzką. - Czas w drogę.

Mirta wystartowała pod dziwnym kątem i z pluskiem przedarła się pierwsza przez strugę wody, bo na taką wysokość nie sięgało siłowe pole, które rozdzielało na dole wodną kurtynę.

Kiedy Fett spojrzał w dół, zobaczył śmigacze przecinające plac po obu stronach bulwaru.

Musiał wylądować i odszukać swój skuter raketowy. Plecaki nadawały się świetnie do szybkich ucieczek, ale wyrzucały z dysz czerwone płomienie, przez co oboje stanowili na tle nocnego nieba

wyraźne cele.

Znalazł skuter z nastawionym detonatorem dokładnie tam, gdzie go zostawił, w krzakach na skraju parku. Poczul, że działanie środków przeciwbólowych ustępuje, a zarazem opada poziom adrenaliny we krwi, co wyraźnie jak nigdy dotąd uświadomiło mu powód prowadzenia poszukiwań. Skierował skuter z największą możliwą prędkością na szlak towarowy, na którym panował najmniejszy ruch. Zauważył, że zachwycona Mirta mocuje nasadkę do wystrzeliwania granatów do swojego blastera. Trzymała broń oburącz i ścisnęła kolanami boki siodełka.

Wyglądało na to, że przywykła do szybkich ucieczek.

- Radzisz sobie całkiem nieźle jak na trupa, Ba 'buir - powiedziała.

- Twój ojciec także cię nieźle wyszkolił - pochwalił ją Fett.

- Większości tego, co umiem, nauczyłam się od mamy.

- No cóż... i ona spisała się na medal.

Fett puścił jedną ręką kierownicę i włączył zdalny sterownik „Niewolnika 1”. Jednostki napędowe jego statku pracowały na biegu jałowym, więc wprowadzenie raketowego skutera do ładowni i start nie powinny mu zająć nawet minuty. Korzystając z wyświetlacza w polu widzenia, przeszukiwał bazy danych, szukając twi'lekańskiego nazwiska, które usłyszał od Fraiga.

Dopiero w takich sytuacjach czuł, że naprawdę żyje... kiedy wygrywał, kiedy był najlepszy, kiedy walczył o życie. Czy to wszystko? - zadał sobie pytanie. Czyżby nie było mu stać na nic więcej? Niemal zazdrościł Beviinom i Caridom tego świata, którzy rozkoszowali się prostymi życiowymi przyjemnościami, jak dobre jedzenie i rodzina. Jego pociągało niebezpieczeństwo, bo pozwalało zapomnieć o zmartwieniach, strachu i przeszłości. Liczyła się tylko obecna chwila i to, jak ją przeżyć.

Skoncentrował się na tym, żeby zapomnieć o przykrościach, i ignorował ból, dopóki wsteczna kamera hełmu nie pokazała mu reflektorów zbliżającego się szybko innego skutera. Mirta odwróciła się i wymierzyła w niego blaster.

- Musieli namierzyć nasz wektor - powiedziała. - Jak sądzisz, to pacholki Fraiga czy policja?

- Policja nie zwróci na nas uwagi, dopóki nie strzelisz z tego blastera - odparł Fett. Jego czujniki ruchu ujawniły, że lecą za nimi dwa skutery, a dwa inne nadlatują z prawej w kierunku skrzyżowania, do którego mieli wkrótce dotrzeć. Jeszcze jeden skuter pojawił się z lewej strony. Możliwe, że kierowali nimi prawnomyślni obywatele, którzy zwykłym zbiegiem okoliczności znaleźli się w tej okolicy, ale równie dobrze mogli to być nieprzyjaciele, którzy chcieli ich dopaść. Fett doszedł do wniosku, że jeżeli się pospieszy, prześlizgnie się między tymi, którzy nadlatywali z boków, i umożliwi wnuczce oddanie strzału do pojazdów z tyłu.

Zwiększył dopływ energii do silników raketowych skutera.

Zaczął odliczać sekundy. Zbliżał się do skrzyżowania szlaków, ale zorientował się, że nie zdąży. Pierwszy nadlatujący z prawej nieprzyjaciel znalazł się niemal prosto przed nim. Fett uniósł rękę, żeby posłać mu strugę ognia z miotacza płomieni, ale nagle kierowca, chociaż nikt do niego nie strzelił, spadł z siodełka i roztrzaskał się o nawierzchnię ulicy. Dwaj pozostali, nadlatujący z przeciwnych stron wrogowie wzniesli się wyżej, żeby uniknąć zderzenia.

Kierowca skutera zbliżającego się z lewej przeleciał przed maszyną Fetta, lecz nawet nie zwolnił.

Łowca nagród usłyszał głośny huk, ale nie towarzyszyło mu charakterystyczne gdakanie blastera. Czyżby obaj wrogowie zderzyli się w powietrzu? A może spowodowali kolizję z kimś innym, kto przez przypadek znalazł się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwej chwili?

Mirta wystrzeliła granat.

- Mam cię! - wykrzyknęła, kiedy ciemności nocy rozjaśniła kula ognia. - Jeden zestrzelony, pozostał drugi - oznajmiła.

- Przeładowuję.

- Nie widzę drugiego skutera - stwierdził Fett.

- Możliwe, że też się roztrzaskał.

- Mamy najwyżej kilka minut, zanim do zabawy przyłączy się policja - uprzedził łowca nagród.

- Hej, gdzie on się...

Rozległ się jeszcze jeden głośny huk i ciemności za ich plecami rozjaśnił oślepiający błysk eksplozji.

Fett zauważył na wyświetlaczu kamery wstecznej fontannę rozżarzonych do czerwoności szczątków.

- Świetny strzał - pochwalił wnuczkę.

- To nie moja zasługa - oznajmiła zdziwiona Mirta. - Wcale nie strzelałam.

- Co to ma być, epidemia katastrof?

- Chyba ktoś nam pomaga.

- Nie znoszę pomocy, o którą nie prosiłem - burknął Fett.

Mimo to niewątpliwie ktoś im sprzyjał, więc, chociaż nadal trochę niespokojny, łowca nagród odetchnął z ulgą. Może ich niewidzialny dobroczyńca zamierzał ich ocalić tylko po to, żeby później samemu się do nich dobrać? „Niewolnik 1”

spoczywał między dwoma poobijanymi frachtowcami i dla wszystkich, którzy go nie znali, wyglądał niepozornie, jak każdy inny statek... jak jeszcze jeden wysłużony Firespray z jednostkami

napędowymi pracującymi na jałowym biegu.

Fett wylądował swoim skuterem i puścił się biegiem w stronę statku. Cały czas zachodził w głowę, kto zestrzeliwał pachołków Fraiga. Wiedział, że podobna uprzejmość zawsze słono kosztuje. Pozostawił Mirtę na lądowisku, żeby wprowadziła skuter do ładowni, a sam wspiął

się do sterowni.

- Pospiesz się, dziewczyno, dlaczego się tak guzdrzesz?

- warknął. Wcisnął klawisze przełączników i silniki „Niewolnika 1” zaskowyczały pełną mocą.

Kadłub statku przeniknęło lekkie drżenie. Oznaczało bezpieczeństwo. Oznaczało dom. Fett doszedł do wniosku, że to najbardziej uspokajający odgłos, jaki zna. - Masz dwadzieścia sekund, zanim zamknę właz towarowej śluzy.

Nie usłyszał odpowiedzi i kiedy to sobie uświadomił, zauważył, że zapłonęła lampka ostrzegająca o wtargnięciu intruza na pokład statku. Pokładowe systemy nie знаły tej osoby.

- Mirta? Mirta!

Obiektywy wewnętrznych kamer nie pokazywały niczego oprócz skutera. Fett chwycił blaster i pospieszył na rufę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Mimo filtrów w hełmie poczuł intensywny, oleisty odór, który nie drażnił jego nozdrzy od bardzo wielu lat.

Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to było, ale na pewno skądś go znał.

Skuter stał w ładowni, ale kłapa włazu była otwarta. Fett uniósł blaster i zastanowił się, czy nie uszczelnić włazu i nie odlecieć, ale nienawidziłby siebie za to do końca życia, chociaż niewiele już mu go zostało.

Ojciec by cię tak nie zostawił, uświadomił sobie. Zaryzykowałby wszystko, bylebyś tylko był bezpieczny.

W ciągu wielu lat życia Fett opuścił wiele osób. Zostawił nawet ranną Sintas, kiedy ostatnio ją widział... ostatni raz w życiu. Wydawało mu się wówczas, że podejmuje słuszną decyzję.

A ty się jeszcze zastanawiałaś, dlaczego twoja córka i twoja wnuczka chciały cię zabić, pomyślał.

Staął za rogiem włazu. Jego sensory pokazywały na rampie dwie sylwetki: człekokształtnej istoty i zwierzęcia, którego nie umiał rozpoznać. Policzył w myśli do trzech i wyskoczył zza rogu z wymierzonym w rampę blasterem i miotaczem płomieni.

Mirta, która zgubiła gdzieś hełm, leżała na rampie. Dusił ją Mandalorianin w szarym pancerzu, a wielkie zwierzę o złocistej sierści trzymało w potężnych szczękach jej nogę. Fett zauważył, że z pyska bestii cieknie strużka śliny. Zwierzę nie atakowało jego wnuczki, ale uniemożliwiała jej

swobodę ruchów... i potwornie cuchnęło.

Mirta nie wyglądała jednak na wystraszoną. Już prędzej na zakłopotaną.

A Fett miał przed sobą wylot lufy wykonanego na zamówienie verpińskiego karabinu, którego właściciel mierzył do niego jedną ręką. Dopiero wówczas łowca nagród się domyślił, dlaczego nie słyszał odgłosów strzałów, po których ścigający go piloci raketowych skuterów roztrzaskiwali się o nawierzchnię ulicy. Verpiny były bronią niemal bezgłośną.

- Coś takiego, coś takiego... - odezwał się Mandalorianin w szarym pancerzu. Fett zauważył, że mężczyzna rzeczywiście nosi parę eleganckich, szarych, skórzanych rękawic. - Przecież to nasz mały Bob 'ika. Ostatni raz, kiedy się widzieliśmy, mój brat wpychał twoją głowę do sedesu, żeby nauczyć cię dobrych manier. Właściwie do czego ci jestem potrzebny, ner vod, mój bracie?

Coruscant, Naczelne Dowództwo SGS, sala odpraw Straży Galaktycznego Sojuszu Ben był zachwycony, że znów jest wśród ludzi, do których mógł mieć zaufanie.

Szeregi czarnych mundurów mogły się wydawać niektórym ludziom złowieszczym widokiem, ale chłopak czuł się wśród nich jak brat... jak członek rodziny. Był na tyle młody, że wszyscy traktowali go jak zwykłego żołnierza, choć przecież był młodszym oficerem. Ben nie miał nic przeciwko takiemu traktowaniu. Poczucie koleżeństwa i pewność, że wszyscy tutaj troszczą się o wszystkich, uspokajały go i zarazem podniecały.

Chłopak usiadł w sali odpraw, w ostatnim rzędzie krzeseł. Siedzący obok żołnierz o nazwisku Almak trącił go łokciem w bok.

- Dobrze się bawiłeś na wakacjach? - zapytał. - Cieszę się, panie poruczniku, że mimo nawału zajęć znalazł pan trochę czasu, żeby nas odwiedzić.

- Nie mogłem się już doczekać - wyznał chłopak.

- Niewiele straciłeś - stwierdził Almak. - Ostatnio sytuacja trochę się uspokoiła. Chyba przetrąciliśmy kręgosłup organizacjom koreliańskich terrorystów.

- Zawsze omija mnie to, co najlepsze.

Siedzący przed nimi żołnierze odwrócili się i przyłączyli do rozmowy.

- Nie martw się, znajdziemy ci coś podniecającego - odezwał się pierwszy.

- Jaką pracę przy biurku... - dodał drugi.

- Albo przy sprzątaniu toalet - podjął pierwszy. - Szczoteczką do zębów...

Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzucił w nich zmiętą kulka flimsiplastu. Poczul się znów jak członek zgranego zespołu. Dobrze było mieć przyjaciół, którzy nie widzieli w nim Syna Sky-walkera ani przerażającego Jedi. Był dla nich po prostu Benem. Traktowali go jak każdego innego młodszego

oficera, którego lubili i do którego mieli zaufanie.

I ani razu go nie zapytali, gdzie był. Interesowali się tylko tym, co muszą wiedzieć.

To prawda, od pewnego czasu terrorystyczne zamachy bombowe się skończyły. Na razie chodziło tylko o to, żeby się zastanowić, kogo mieć na oku w następnej kolejności i kogo internować. Zaczęło się od Korelian i Bothan, a obecnie chodziło o Fondorian.

Na podwyższenie z przodu sali wstąpił kapitan Lon Shevu. Oficer wyglądał jak zawsze służbiście, ale Ben odbierał Mocą jego wątpliwości i obawy. Wyczuwał je także u kilku innych żołnierzy, na ogół u tych, którzy poprzednio służyli w CSB. Chwilę później na podium wszedł

Jacen i od razu skupił na sobie uwagę. Chyba cieszył go powszechny szacunek, ale wyraźnie się ukrywał przed zmysłami osób wrażliwych na Moc.

Muszę się tego nauczyć, postanowił Ben. Mama twierdzi, że kiedy byłem małym dzieckiem, umiałem się ukrywać instynktownie, podobnie jak niemowlęta potrafią pływać, wrzucone do basenu. Chcę się nauczyć to robić jak Jacen.

- Panie i panowie, oto wasze zadania na najbliższe czterdzieści osiem godzin - zaczął Solo. -

Przechodzimy do następnej fazy. Naszym głównym zadaniem będzie od tej chwili poszukiwanie zawodowców, agentów wywiadu Konfederacji. W normalnych okolicznościach zajmowałiby się tym nasi koledzy z Wywiadu Galaktycznego Sojuszu, ale skoro mamy pośród nas wszystkich ich najlepszych fachowców... - Przerwały mu oklaski i wybuchy śmiechu. Jacen wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i cierpliwie czekał, aż powróci cisza. - ... skoro mamy pośród nas ich śmietankę, od tej pory będziemy im pomagali. Zapewnimy także ochronę przywódcy Omasowi

1 jego najważniejszym ministrom. Dzięki temu odciążymy funkcjonariuszy Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa i pomożemy im w pracy. Z ostatnich przesłuchań wynika, że możemy się spodziewać zamachów na ich życie, nie tylko ze strony niezadowolonych amatorów czy łowców nagród, ale także doskonale wyszkolonych profesjonalistów.

Mężczyzna siedzący w jednym z pierwszych rzędów uniósł rękę. Ben nie widział, kto to.

- Na czym będzie polegała ta pomoc w pracy, panie pułkowniku? - zapytał żołnierz.

Jacen wyświetlił na ekranie za swoimi plecami hologram przedstawiający metody spotkań z ministrami GS i rozmów z nimi. Były tu numery komunikatorów, adresy służbowe i domowe, adresy prywatnych klubów, najczęściej używane trasy przelotu do Senatu i tak dalej.

- Mniej więcej na tym - wyjaśnił Solo.

- Czy wolno nam monitorować rozmowy senatorów, panie pułkowniku? - zapytał Shevu.

- Zgodnie z Ustawą o Stanie Wyjątkowym mamy prawo inwigilowania każdego, żeby nie dopuścić do aktów przemocy, wymierzonych przeciwko ministrom naszego rządu i odwiedzającym nas

sojusznikom - odparł Solo.

Shevu zachował kamienną twarz, ale Ben wyczuł promieniującą od niego dezaprobatę.

Pomyślał, że oficer umie doskonale ukrywać, co naprawdę myśli. Chłopiec uznał, że to bardzo pożyteczna umiejętność, może bardziej niż ukrywanie swojej obecności w Mocy.

Podśluchiwaniu rozmów senatorów nie sprzeciwił się nikt inny w sali. Ben także nie widział

w tym nic dziwnego. Miało ono sens, jeżeli stawką w grze było bezpieczeństwo. Jacen przydzielił zadania poszczególnym drużynom i rozpoczęła się dyskusja o dostawach.

- Przedstawcie mi listę niezbędnych rzeczy - powiedział pułkownik. - Chyba uporaliśmy się z problemem dostaw... albo nastąpi to do końca tego tygodnia.

Wybuchła radosna wrzawa.

- A więc jednak pan ich przekonał, żeby spojrzeli na problem z naszego punktu widzenia, panie pułkowniku - odezwał się jeden z żołnierzy.

- Cóż, tylko się upewniłem, że rozumieją powagę sytuacji...

Zebrani znów nagrodzili go oklaskami. Ben poczuł na chwilę konspiracyjną więź, jaka łączyła Jacena z jego podwładnymi.

Więź była autentyczna... Jacen nie wykorzystywał swojej charyzmy do przekonania ich, aby zrobili to, co chce, chociaż umiał to świetnie robić. Lubił towarzystwo żołnierzy, a oni lubili swojego dowódcę. Wspólnie stawiali czoło niebezpieczeństwom, z którymi nie umiał się uporać nikt inny. Ben zanotował w pamięci, że właśnie na tym polega talent urodzonego dowódcy.

Zebranie dobiegło końca. Ben postanowił zostać, żeby porozmawiać ze starszym kuzynem.

Od czasu do czasu któryś z wychodzących żołnierzy żartobliwie komentował jego wcześniejszą nieobecność. W pewnej chwili chłopak poczuł ucisk z tyłu głowy. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że Jacen z nikłym uśmiechem patrzy na niego z podwyższenia.

- Lubią cię - powiedział. - To korzystna sytuacja dla oficera, pod warunkiem że lubią cię z właściwych powodów.

- Czy zamiast tego nie powinni raczej okazywać mi nieco szacunku?

- A czym jest szacunek, Benie? - podchwycił Jacen.

Chłopak zastanowił się nad tym pytaniem. Zrozumiał, że Jacen wystawia go na kolejną próbę.

- Szacunek to pewność, że dana osoba robi coś lepiej niż ty, więc apróbujesz to i pochwalasz -

powiedział w końcu.

- Doskonale - pochwalił Solo.

- Z drugiej strony być szanowanym to nie to samo co być lubianym, prawda?

- Oczywiście, że nie. Czasami szanujemy tych, których nie cierpimy - odparł Jacen. - Twoi podwładni będą cię lubili, kiedy się przekonają że nigdy nie poświęcisz niepotrzebnie ich życia, będziesz się o nich troszczył i nie poprosisz ich o zrobienie czegoś, czego nie potrafilibyś zrobić sam. Powinieneś dzielić z nimi ich porażki i triumfy, chociaż nie jesteś jednym z nich. Twoi żołnierze rozumieją że to normalna sytuacja, bo oficer musi podejmować decyzje, które mogą się zakończyć czyjąś śmiercią. Ale do tego jest konieczny pewien dystans.

Do tej pory Ben nie stracił ani jednego żołnierza z Dziewięćset Sześćdziesiątego Siódmego Oddziału Komandosów. Żaden nawet nie odniósł poważnych obrażeń. W porównaniu z pozostałymi żołnierzami jego podwładni wiedli dość spokojne życie. Ben nie miał pojęcia, jak by się czuł, gdyby musiał im wydać rozkaz wymagający poświęcenia życia.

Jacen chyba znów czytał w jego myślach.

- Dopóki nie będziesz umiał podejmować takich decyzji, nie poczujesz się bezpiecznie jako ich dowódca - powiedział.

- Ale łatwiej to zrobić, kiedy jest się samemu gotowym na śmierć, prawda? - Ben poczuł się nagle o wiele lepiej, bo przypomniał sobie, że Lumiya chce go zabić. Świadczyły o tym wydarzenia na planecie Ziost i to, co powiedziała mu mama, więc nie miał już wątpliwości, ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Mógł dzięki temu patrzeć żołnierzom z Dziewięćset Sześćdziesiątki Siódemki prosto w oczy. - Chodzi o to, żeby się nie zawahać przed takim samym poświęceniem.

Jacen podszedł bliżej.

- Taka świadomość daje zadowolenie - powiedział z naciskiem. - To akt ostatecznej uczciwości wobec podwładnych.

Ben wiedział, że taką metodę dowodzenia stosuje jego starszy kuzyn. Rozumiał, dlaczego żołnierze są wobec niego tak lojalni. Jacen dowodził z pierwszej linii i rzucał się zawsze w najgęstszy wir walki. To prawda, był Jedi, dzięki czemu miał większe szanse przeżycia, ale jego żołnierze rzadko o tym myśleli.

- Nie mam pojęcia, co zrobię, kiedy będę musiał wydać taki rozkaz - westchnął chłopak. -

Postaram się jednak zawsze robić to, co najlepsze dla większości.

Jacen patrzył na niego z uśmiechem satysfakcji, ale nagle spoważniał, jakby przypomniał

sobie o czymś nieprzyjemnym. Na kilka sekund jego obecność w Mocy zniknęła, ale zaraz się znów pojawiła. Ben uznał, że to dziwne. Jacen stał przed nim, więc właściwie przed kim się ukrywał?

- Powiesz mi, jak to robić? - zapytał. - Nauczysz mnie ukrywać się w Mocy?

Jego kuzyn wyglądał na wstrząśniętego.

- Dlaczego? - zapytał.

- Skoro Lumiya chce mnie zabić, pomyślałem, że taka umiejętność może mi się przydać -

wyjaśnił chłopak. Mógłbym też od czasu do czasu ukrywać się przed mamą i tatą, pomyślał.

Tak, taka umiejętność mogłaby mi się przydać. - Podobno moja mama ma dowody, że zabiłem... że zdaniem Lumii zabiłem jej córkę - poprawił się po chwili. - Nie pamiętam nic z tego, co się działo na tamtej asteroidzie, ale może to i tak nie ma znaczenia, bo Lumiya w to wierzy. Idę o zakład, że to ona kryje się za wszystkim, co mi się przydarzyło na Zioście.

Na twarzy Jacena nie malowały się żadne uczucia. Ben nie mógłby zgadnąć, nawet za pośrednictwem Mocy, co myśli starszy kuzyn.

- Dobrze, nauczę cię - odezwał się w końcu Solo łagodnie i jakby z wahaniem. - I nie martw się o Lumiye. Nie zamierza cię zabić.

- Kiedy moglibyśmy zacząć?

- Kiedy zechcesz. To bardzo łatwe.

- Akurat - mruknął powątpiewająco chłopak.

- Nie, naprawdę - zapewnił Jacen. - Zasada jest bardzo prosta... Gorzej z praktyką.

Opanowanie tej umiejętności może ci zająć wiele lat. - Gestem polecił kuzynowi, żeby usiadł

na podłodze. - Zaczynamy. Pozycja jak do medytacji.

Ben usiadł ze skrzyżowanymi nogami i odruchowo zamknął oczy. Oddychał coraz głębiej i wolniej, dopóki nie osiągnął stanu, w którym otaczający go świat wydawał się odległy, a on zyskał niesamowitą świadomość wszystkich funkcji własnego ciała, nie wyłączając przepływu krwi w żyłach.

Wydawało mu się, że głos Jacena napływa z innego czasu i miejsca.

- Jesteś zamknięty. Świat nie może cię dotknąć.

- Tak.

- A teraz strzaskaj tę skorupę. Rozbij to, co cię ogranicza. - Jacen mówił jeszcze spokojniejszym, kojącym tonem. - Zobacz świat i tworzące go atomy. Przekonaj się, że i ty jesteś zbiorowiskiem takich atomów. Odszukaj linię graniczną między światem a sobą.

Ben wyobraził sobie otaczającą go salę i wypełniające ją powietrze. Wyglądało to jak tuman zamrożonych płatków śniegu różnej wielkości, miejscami skupionych, gdzie indziej rozproszonych. W końcu zajrzał w głąb siebie. Zobaczył najmniejsze nierówności powierzchni własnej skóry i nakładające się na siebie płytki keratyny we włosach. Później skierował

spojrzenie poza siebie, ku miejscu, w którym sam był niczym otaczająca go przestrzeń... jak śnieżycą cząsteczek. Niektóre cząsteczki z sali przeniknęły w niego, a kawałeczki jego ciała fruwały naokoło - komórki złuszczonego naskórka i kropelki wody.

Nie istniała już granica, która by oddzielała Bena Skywalkerę od sali odpraw, od Coruscant czy od galaktyki. Ben stopił się ze wszystkim wokół, a to, co na zewnątrz, stopiło się z nim. Nie było nic trwałego. Chłopak wyczuwał tylko ciepłe morze dryfujących cząsteczek. Niektóre skupiały się na tyle długo, żeby stworzyć Bena Skywalkerę.

- Widzisz, już umiesz to robić...

Głos Jacena napływał nadal z bardzo daleka. Ben poczuł nagle, że się rozpada i że już nigdy nie stanie się znów sobą. Ogarnęła go panika. Otworzył oczy z takim wysiłkiem, jakby powieki były skamieniałe. Zaczął łapczywie chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

- Och... to było niesamowite... - wydyszał.

- Teraz widzisz, dlaczego konieczne są ćwiczenia - odezwał się łagodnie Jacen. - Wystawiam ci jednak najwyższą ocenę za technikę.

- W jaki sposób to działa? - zapytał chłopak.

- Stapiasz się ze wszechświatem - wyjaśnił starszy kuzyn. - Możesz uważać, że to kamuflaż Mocy. Cała sztuka polega na tym, żeby to robić bez wysiłku. Powinieneś wślizgiwać się w stan, w którym jesteś... roztopiony, ale nie tracić świadomości i zachowywać się jakby nigdy nic.

Ben nie miał dość sił, żeby powtórzyć „niesamowite”. Był przekonany, że chce opanować tę technikę, a zarazem przerażony, bo w takim stanie czuł się jak w objęciach uwodzicielskiej, rozkosznej śmierci. Mógłby się w niej pograć tak głęboko, że nie starczyłoby mu sił, aby się wyrwać z jej objęć i powrócić do rzeczywistości.

Nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko stanu, w którym jednocześnie wiedziałby i wyczuwał, czym jest Moc. Obawiał się, że już nigdy nie będzie postrzegał świata w taki sam sposób.

Niesamowite, pomyślał znowu.

Gdyby tylko cała jego wiedza o Mocy objawiała się równie szybko i żywo.

- Musisz regularnie ćwiczyć - przestrzegł Jacen.

Ben pokiwał głową, ale zaraz się przestraszył, że może wyglądało to zbyt entuzjastycznie. W

tym wszystkim chodziło jednak o coś więcej niż tylko o sposób unikania ojcowskich uwag.

Warto było opanować tę umiejętność choćby tylko dla odczuwanego wrażenia.

- Będę ćwiczył - obiecał. Chwila ekstatycznego objawienia minęła i chłopak czuł, że ogarnia go dziwny chłód. - Masz dla mnie jakieś rozkazy? - zapytał. - A może będę musiał po prostu podsłuchiwać rozmowy innych osób?

- O tak, mam dla ciebie nowe zadanie.

- Podobne do zdobycia tamtego amuletu? - zapytał Ben. Może nie powinien był tego mówić, ale cała ta sprawa budziła w nim niesmak, jakby chodziło nie tylko o śmierć jakiegoś mężczyzny, ale także o to, że cała wyprawa nie była tak ważna, jak Jacen chciał mu wmówić.

Nie znosił spełniania czyichś zachcianek. - Jestem gotów stawić czoło prawdzie, Jacenie - powiedział. - Zdziwiłbyś się, jak dalece jestem gotów.

Jego starszy kuzyn był nadal pogodny i opanowany.

- Mam dla ciebie zadanie, którego tylko ty się możesz podjąć - powiedział. - To coś bardzo ważnego. Naturalnie możesz odmówić.

- Jeżeli mi wydasz rozkaz, na pewno go wykonam.

- Lepiej najpierw wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. - Jacen sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął komputerowy notes. - Zapoznaj się z tym - polecił. - To oryginalne nagranie, którego dokonał jeden z agentów naszego wywiadu i przesłał mi, żebym mógł się z nim zapoznać. Sam oceń znaczenie tego dokumentu.

Ben zobaczył na ekranie transkrypcję rozmowy przez komunikator i ziarniste obrazy, zarejestrowane podczas jakiegoś spotkania, ale pod tak dziwnym kątem, że musiał je chyba nagrywać szpiegowski robot, ulokowany bardzo wysoko, prawdopodobnie na szafie.

Mężczyźni w drogich garniturach i tunikach, popijając kafeinę, prowadzili półgłosem rozmowę.

Jeden z dyskutantów, młodszy niż Jacen, miał starannie przystrzyżone ciemne włosy. Ben rozpoznał w nim Dura Gejjena.

- To premier Korelii - powiedział.

- Te informacje pochodzą od naszych agentów w koreliańskim rządzie - wyjaśnił Solo. -

Czytaj dalej.

Zebrani dyskutowali nad tym, w jaki sposób „wbić klin” między Hapes a Galaktyczny Sojusz.

Ben uznał, że chodzi tu o zwyczajne polityczne manipulacje, które zwykle okropnie go nudziły, ale zwrócił uwagę, jak często powtarzają się słowa „królowa-mat-ka” i „wady opowiedzenia się po stronie Sojuszu”.

A później w rozmowie pojawiły się wzmianki o „usunięciu przeszkód”. Wszystkie elementy łamigłówek zaczęły się jednak układać w spójną całość dopiero, kiedy Ben zobaczył następne nagranie i usłyszał wzmianki o „właściwych łowcach nagród”, którzy mogliby się podjąć wykonania zadania w pałacu hapań- skiej rodziny królewskiej.

Bena zawsze nudziła polityka, ale rozumiał ją lepiej, niż można się było spodziewać. Nie miał zresztą innego wyjścia, jeśli chciał przeżyć.

- Chodzi o Tenel Ka - odgadł.

- Racja.

- A zatem Gejjen naprawdę planował dokonanie zamachu na jej życie.

- Zgadza się - przyznał Jacen. - W końcu zdobyliśmy niepodważalne dowody, możemy więc przystąpić do działania.

Ben wiedział, że powinien być wściekły, ale odczuwał tylko żal. Nie mógł uwierzyć, że ludzie z takim spokojem mogą knuć plany morderstwa. Jego rodzina też bywała celem takich intryg, ale pierwszy raz usłyszał, że przywódca jednej planety zamierza zabić kogoś o równej mu pozycji społecznej.

Wszyscy są obłąkani, pomyślał ponuro. Stracili rozum. A może właśnie na tym polegał

dorosły świat? Na bezmyślnym robieniu głupich, okrutnych i niszczycielskich rzeczy, przed którymi tak ostrzegano dzieci?

- Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał, dziwnie pewny, jaką usłyszy odpowiedź.

- Żebyś zabił Gejjena. - Starszy kuzyn potarł czoło. - To trudne zadanie, ale jeżeli go ktoś nie wykona, Gejjen podburzy przeciwko nam naszych sojuszników. Nie można negocjować z człowiekiem, który organizuje państwowe zabójstwa. Korelianie muszą mieć świadomość, że to samo może spotkać każdego. To powinno ich otrzeźwić. Stali się zbyt buńczuczni i pewni siebie.

- A my czym się zajmujemy? - zapytał Ben. - W czym nasze zabójstwo będzie się różniło od ich zabójstwa? Czy zamordowanie Gejjena nie pociągnie za sobą śmierci innych osób?

- Chciałbyś to załatwić zgodnie z przepisami? - parsknął Solo. - W takim razie skontaktuj się z funkcjonariuszami Kore- liańskiej Służby Bezpieczeństwa i poinformuj ich, że oskarżasz Gejjena o podżeganie do zabójstwa. Aha, jeszcze o wydanie rozkazu zabicia Thrackana Sal-Solo, nawet jeżeli mój ojciec nie będzie mógł się stawić w sądzie, żeby zaświadczyć o prawdziwości tego oskarżenia. Przekonamy się, jak szybko Gejjen trafi do aresztu.

- Wiem... - zaczął chłopak.

- Nie musisz tego robić. - Lekka uraza w tonie Jacena dowodziła, że starszy kuzyn myśli inaczej. - Na pokładzie stacji Cen-terpoint udowodniłeś jednak, że jesteś dobry w wykonywaniu tajnych operacji. A poza tym będziesz się mógł dostać w pobliże Gejjena o wiele łatwiej niż krzepki, zarośnięty komandos w rodzaju Duvila, bo wyglądasz jak bezbronny nastolatek.

Jestem nastolatkiem... i na ogół całkiem bezbronny, pomyślał Ben. Wiedział jednak, że Jacen ma rację. Jeżeli ktokolwiek miał się tego podjąć - a skoro Jacen o tym wspomniał, to znaczyło, że sprawa jest przesądzona - Ben miał największą szansę dotarcia do Gejjena, nie zwracając na siebie uwagi.

Jacen przekrzywił lekko głowę i w milczeniu patrzył na młodszego kuzyna. Nikły uśmiech na jego twarzy dowodził pewności, że Ben przyjmie jego propozycję.

- Nie mogłem przecież zwrócić się w tej sprawie do Boby Fet- ta, prawda? - zapytał cicho Solo.

- Chłopcy się zakładają jak i kiedy Fett zabierze się do ciebie - odparł Ben. Oficer nie powinien prosić żołnierzy o nic, czego nie mógłby zrobić sam, przypomniał sobie. Nie mogę zlecić zadania jednemu z moich podwładnych z Dziewięćset Sześćdziesiątki Siódemki. -

Dobrze - powiedział w końcu. - Zgadza się, że Gejjen jest zepsuty do szpiku kości, ale...

kiedy już wszyscy się

o tym dowiedzą mam nadzieję, że zarzuty pod adresem wujka Hana i cioci Leii zostaną wycofane.

- Niestety nie, Benie. - Jacen westchnął. - Wszyscy wiedzą że moi rodzice nie mieli nic wspólnego z tamtym zamachem, ale Han i Leia nadal działają dla dobra Korelii, a ja nie mogę cofnąć nakazu ich aresztowania tylko dlatego, że są moimi rodzicami. Właśnie od tego się zaczyna każda korupcja. A poza tym, jaki to dałoby przykład żołnierzom? Czy mogliby nam zaufać, widząc, jak oficerowie naginają prawo dla członków własnych rodzin?

Ben musiał sobie powtórzyć, że nie pójdzie w ślady swojego ojca, który na pewno by nalegał na aresztowanie Gejjena.

To, co robił, było brudną niewdzięczną pracą ale do tej pory powinien był już to wiedzieć. Nie mógł pozwolić, żeby to zadanie wykonał za niego ktoś inny, jeżeli chciał się nadal uważać za mężczyznę... i za oficera.

- Zapewnię ci dobre wsparcie - obiecał Jacen. - Shevu

1 Lekaufa. Nasz agent na Korelii poda nam czas i miejsce, ale ty musisz być gotów do wykonania zadania w każdej chwili.

Ben zastanowił się, w jaki sposób zabije Gejjena. Uważałby za świętokradztwo, gdyby miał

się posłużyć świetlnym mieczem. Skupił uwagę na technicznych i logistycznych aspektach tego zadania. Rozmyślał, gdzie mógłby go dopaść, jak blisko da radę podejść i co byłoby najlepszą bronią... blaster, pocisk, a może coś bardziej egzotycznego.

Miał wibroostrze swojej matki, ale nie wiedział, czy wystarczyłoby mu odwagi, by się nim z zimną krwią posłużyć. Umiał bronić siebie i innych przed atakami, ale nie wiedział, jak polować na kogoś z zamiarem pozbawienia go życia.

- Dasz sobie radę - odezwał się Jacen, który jak zwykle znał myśli młodszego krewniaka. -

Wykorzystasz te same techniki, które dobrze znasz... po prostu będziesz działał z innym nastawieniem. Pogadaj z członkami drużyny snajperów.

Najlepszą osobą z którą mógłby omówić szczegóły zabójstwa Gejjena, była naturalnie jego matka, niegdyś Ręka Imperatora, jedna z najlepszych w swoim fachu. „Hej, mammo, czy najlepiej strzelić mu w głowę? Dwa razy czy trzy? Jak myślisz, czy blaster z tłumikiem to lepsze rozwiązanie niż świetlny miecz?”

Ben wiedział jednak, że nigdy nie odbędzie z matką takiej rozmowy.

Obserwując, jak Ben opuszcza salę odpraw, Jacen głęboko odetchnął. Robił wszystko, żeby się nie rozplakać.

Nie mogę tego zrobić, pomyślał. Nie mogę go zabić.

Gdyby chociaż Moc mu to ułatwiła i wytłumaczyła, co musi zrobić - dokąd pójść, kogo zabić, co powiedzieć - może jego zadanie byłoby łatwiejsze. Tymczasem Jacen nie mógł znieść niepewności. Nie miał pojęcia, czy właściwie odczytuje znaczenie proroctw zawartych w plecionkach kitki. Nie wiedział, czy dobrze rozumie niejasne wskazówki Lumii. Nie mógł mieć pewności, czy przypadkiem nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków z podobieństw do losów dziadka... podobieństw, które mogły w ogóle nie istnieć. Był pewny tylko jednego: że jego przeznaczeniem jest zostać Lordem Sithów. Był tego pewny bardziej niż czegokolwiek innego.

Zamęt w jego myślach wynikał ze świadomości, że nie ma pojęcia, na czym ma polegać jego ostateczna próba.

A jeżeli się mylę? - zadał sobie pytanie. A jeżeli Lumiya się myli? Może wcale nie muszę nikogo zabijać. A jeżeli zabiję Bena tylko dlatego, że nie umiem odczytać właściwego znaczenia idiotycznej przepowiedni?

Przepowiednia głosiła: „Unieśmiertelni swojamiłość”. Mówiła też, że „uczyni sobie ulubieńca”. Jacen nadal nie miał niczego, co mógłby polubić. Nagiałyby prawdę, gdyby za ulubieńca uznał wiernego kaprala Lekaufa, który służył mu równie bezinteresownie jak kiedyś jego dziadek Vaderowi.

„Unieśmiertelni” nie musi przecież oznaczać, że zabije, tłumaczył sobie.

Nie miał jednak pojęcia, co innego może to znaczyć. To było najgorsze w naukach Sithów: można je było interpretować na trzy, cztery, pięć sposobów...

Czy naprawdę tylko Sithowie mają do czynienia z absolutem, Obi-Wanie? - chciał wiedzieć Jacen. Powiedziałeś to Vaderowi, a przynajmniej tak twierdzi Lumiya. Jesteś kłamcą! Sithowie nie mają nic wspólnego z absolutem, ponieważ...

Ponieważ tak wygląda samo życie. Można w nim dokonywać milionów wyborów, wymagać od siebie odwagi, a później z tym wszystkim żyć.

To tylko wskazówka, powiedział sobie. Skąd mam to wiedzieć? Jaki otrzymam znak?

Lumiya też tego nie wiedziała, a jeżeli nawet wiedziała, Jacen nie zamierzał jej słuchać.

Doszedł do wniosku, że dosyć tych gier, dosyć zgadywanek. Wszystko zależało od jego rozstrzygnięcia.

Szukam znaków i prorocत्व, jak przepowiadający przyszłość Ryn, pomyślał. To musi być coś bardziej logicznego.

Było.

Jacen przypomniał sobie swoje słowa, które wypowiedział nieco wcześniej podczas rozmowy z Benem: „Oficer musi podejmować decyzje, w wyniku których inni tracą życie”.

Młodszy kuzyn odpowiedział mu wówczas, że będzie się starał robić to, co najlepsze dla większości. A jeżeli na coś takiego mógł wpaść Ben, Jacen także musiał dojść do tego samego wniosku.

Zastanowił się jeszcze chwilę, zamknął od środka drzwi sali odpraw, usiadł w kącie i oparł głowę na kolanach.

Kiedy musnął twarz palcami, stwierdził, że są mokre od łez.

ROZDZIAŁ 5

Największą przeszkodą w przekonywaniu Galaktycznego Sojuszu jest Jacen Solo. To on wodzi za nos przywódcę Omasa i wywiera niekorzystny wpływ na admirał Niathal, bo zachęca ją do stosowania drastycznych metod. Gdyby ktoś usunął z drogi pułkownika Solo, sytuacja ustabilizowałaby się na tyle, że moglibyśmy przekonać Omasa do naszych racji.

Zdecydowałbym się nawet sam z nim porozmawiać, jak jeden mąż stanu z drugim mężem stanu... nieoficjalnie.

Dur Gejjen, premier Korelii, podczas nieoficjalnej rozmowy Gwiezdny myśliwiec XJ7 Galaktycznego Sojuszu, w neutralnych przestworzach między Korelią a Coruscant

Mara zastanawiała się, jaką bajeczkę opowiedzieć Jacenowi na temat powodu, dla którego potrzebuje myśliwca typu XJ7.

„Posłuchaj, Jacenie - mogłaby też wygarnąć. - Odkąd na scenie pojawiła się Lumiya, stałeś się łajdakiem. Ta wiedźma próbuje dopaść mojego syna, więc co ty na to, żebyś zrobiła to, co umiem najlepiej, i dla dobra nas wszystkich po prostu ją zabiła?”

Bardzo by chciała mu to powiedzieć, ale nadal nie wiedziała, kim są wspólnicy Lumii w szeregach SGS, a Jacen nie byłby zachwycony, gdyby ktoś zarzucał niełojalność funkcjonariuszom jego tajnej policji. Nie, nie mógł się jej przydać. Chyba nawet nie wierzył, że Mara i Luke znaleźli niepodważalne dowody powiązań Lumii z kimś w SGS.

Co z tego, że był utalentowanym Jedi, skoro zdarzało mu się także bywać zwykłym idiotą... a przynajmniej Mara uważała go za takiego w czasach poprzedzających wydarzenia na Gilatterze Osiem. Nie wyobrażała sobie przedtem, żeby Jacen umiał skazać rodziców na pewną śmierć.

Ponowiła próbę połączenia się z Leią przez komunikator, przeskakując z częstotliwości na częstotliwość, na wypadek gdyby ktoś ich podsłuchiwał. Trudno jej było się pozbyć starych nawyków, a nie chciała, żeby Szalona Kobieta Numer Dwa, to znaczy Alema, namierzyła ją albo Leię.

A może... może właśnie tego chciała.

- Nie możemy cały czas porozumiewać się w taki sposób

- odezwała się wreszcie szwagierka, a potem się roześmiała, co było nie lada wyczynem, zważywszy na okoliczności. Nie wydarzyło się przecież nic, co mogło ją rozbawić. - Czy muszę ci podać hasło?

- Ufam ci. - Mara spojrzała na wyświetlacz w kabinie myśliwca i obserwowała, jak na ekranie jej monitora zmieniają się częstotliwości w postaci słupków różnobarwnego światła. - U ciebie wszystko w porządku?

- Jak na ściganą kobietę radzę sobie doskonale - odparła Leia.

- Nie wiem, od czego zacząć - wyznała mistrzyni Jedi.

- Na twoim miejscu zaczęłabym tak: hej, czy twój syn naprawdę cię zostawił, żebyś pooddychała próżnią? Boja bym na początek zadała to pytanie...

- Przykro mi, Leio. Naprawdę mi przykro - przerwała Mara.

- Zamierzam jednak położyć temu kres. Moim zdaniem, gdyby ktoś usunął Lumię z drogi, nastawienie Jacena uległoby radykalnej poprawie.

- Czy właśnie tym się w tej chwili zajmujesz?

- Usiłuję się zorientować, gdzie w tej chwili Lumiya przebywa i co knuje - wyjaśniła Mara. -

Zapomnijmy o tych bzdurach na temat świetlnego bicia. Zamierzam odnaleźć jej statek i dokończyć to, co zaczął Luke. Tacy ludzie jak ona bywają nieostrożni, kiedy się przemieszczają z miejsca na miejsce.

Leia umilkła. Chyba się zastanawiała.

- Chcesz, żebym odegrała rolę przynęty? - zapytała w końcu.

- Czy nie sądzisz, że dość ostatnio przeżyłaś?

- Mogę zagwarantować, że Alema się pokaże, jeśli ją o to uprzejmie poproszę - stwierdziła księżniczka. - Kto wie, może Lumiya zjawi się wkrótce po niej?

- Podrzucić ci Bena? Wtedy na pewno przybędzie.

- Maro...

- Przepraszam - zreflektowała się mistrzyni Jedi. - Nie chcę narażać cię na większe ryzyko niż do tej pory. Gdybym umiała wymyślić bezpieczniejszy sposób wykorzystania tych dwóch potworów, które zawsze będą podążać naszym śladem, zrobiłabym to bez wahania.

- Niedługo trzeba będzie przerwać tę rozmowę - zapowiedziała Leia.

- Trudno - odparła Mara. - Posłuchaj, wcześniej czy później będę się musiała zobaczyć z Jacenem. Czy chcesz, żebym go wprost zapytała, dlaczego uciekł, kiedy ty i Han przybyliście mu na pomoc?

Mara nie potrafiła sobie wyobrazić żadnych wiarygodnych tłumaczeń Jacena, ale zarazem nie chciała, żeby Leia poczuła się jeszcze gorzej. To zresztą i tak moja wina, pomyślała. To ja wzięłam stronę Jacena, kiedy Luke tłumaczył mi, że młody Solo ześlizguje się w objęcia ciemnej strony. Gdybym nie była taka ślepa, mogłabym się zdecydować na działanie, a wówczas sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej.

Wróciła myślami do Palpatine'a. Stanowczo zbyt często rozpamiętywała przeszłość, a za rzadko starała się rozwiązać bieżące problemy. Nie mogła zmienić przeszłości, ale mogła wpływać na przyszłość.

- A jeżeli ci poda jakiś powód, a ja uznam go za wykręt? - zapytała Leia.

- To twoja decyzja - stwierdziła Mara. Co jeszcze musi się zdarzyć, zanim się pogodzisz z myślą że twój syn traktuje cię gorzej niż śmiecie? - pomyślała. Usiłowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby Ben wydał rozkaz jej aresztowania albo pozostawił ją na kosmicznej stacji, z której ucieka atmosfera. Pewnie byłaby zdruzgotana... ale przebaczyłaby mu w mgnieniu oka.

Nie, nie mogła doradzać Leii, jak księżniczka ma traktować swojego nieobliczalnego syna. -

Chciałabym jednak to usłyszeć. W końcu Luke i ja też przylecieliśmy tam, by mu pomóc, a potem się okazało, że to była zwyczajna strata czasu.

- Mogę tylko poradzić, żebyś robiła wszystko, by dopaść Lu- mię - odparła Leia. - Dopiero potem zaczniemy się zastanawiać, w jaki sposób zawrócić Jacena ze złej drogi.

- Jeżeli spotkam Alemę, zostawię ją dla ciebie.

- Będę ci wdzięczna.

- Tak przypuszczałam.

- Uważaj na siebie, Maro.

Leia przerwała połączenie. Mistrzynie Jedi podejrzewała, że oboje Solo przebywają na Korelii, co oznaczało, że Alema nie dopadnie księżniczki tak łatwo.

„Uważaj na siebie”, powtórzyła. Na pewno będzie uważała. Mam nad tobą przewagę, Leio, bo kiedyś służyłam ciemności, a moim nauczycielem był Lord Sithów. Potrafię myśleć jak oni.

Na szczęście Leia nie wypomniała jej, że Luke nie wykorzystał okazji zabicia Lumii.

Czasami, kiedy Mara zastanawiała się nad usposobieniem szwagierki, ubolewała, że nie jest tak zrównoważona jak ona. Cóż, nie miała cierpliwości dyplomacki.

Zatoczyła łuk swoim XJ7, żeby ponownie sprawdzić sygnał transpondera Bena. Nadal przebywa na Coruscant, pomyślała. Nie gwarantowało mu to wprawdzie bezpieczeństwa, ale przynajmniej mogła zawsze się upewnić, gdzie jest jej syn. Powiększyła obraz na ekranie, żeby dokładniej namierzyć Bena, i obserwowała, jak pojawia się najpierw siatka współrzędnych, a później budynki i napowietrzne szlaki. Ben znajdował się na terenie kwatery głównej SGS.

Mara mogła go zlokalizować z dokładnością do trzech metrów.

Jej synowi najwyraźniej spodobało się wibroostrze, które mu podarowała. Mara czuła się paskudnie, bo nie powiedziała mu o ukrytym w nim dalekosiężnym pasywnym transponderze.

Nie wyjawiała mu także tego, że urządzenie kilka razy ocaliło jej życie, kiedy wykorzystwała je jako odbiornik sygnału namiarowego. Pocieszała się jednak, że wszystkie te informacje nie mają znaczenia. Broń była znakomita, więc nie skłamała synowi, zatajając przed nim tę informację.

Transponder w wibroostrzu pozwalał jej dokładnie się orientować, w którym miejscu jej syn w każdej chwili przebywa.

Mara była pewna, że Ben nigdy tego nie wykryje. Funkcjonariuszom SGS mogło się wydawać, że dysponują najlepszym sprzętem, ale Mara miała jeszcze kilka drobiazgów, których nie daliby rady odnaleźć. Jej urządzenia wykorzystywały dawno zapomniane techniki, nieużywane zakresy częstotliwości i przekaźniki, których SGS nigdy by nie wykryła. Systemy wykorzystujące najnowocześniejszą technikę nie śledziły urządzeń równie prymitywnych jak lusterko wysyłające kodowane błyski światła. Technika potrafiła być ślepa. Gdyby ktokolwiek poddał Bena skanowaniu, wykryłby tylko kod jego komunikatora, nie zaś ukrywający się za nim sygnał, bo nikt poza Marą nie

dysponował drugą, aktywną częścią tego samego urządzenia.

Miała jeszcze jeden taki komplet, ale trzymała go na czarną godzinę.

Przykro mi, kochanie, pomyślała. Musiałam to zrobić.

Wyrzuciła ten problem z głowy i zaczęła myśleć o Lumii. Dlaczego ta kobieta pojawiła się podczas konfrontacji Galaktycznego Sojuszu z Konfederacją? Możliwe, że wszyscy jej szukali w niewłaściwym miejscu, bo w rzeczywistości Lumiya pracowała dla Korelii.

Ostatnio, kiedy Mara zobaczyła ją na terenie wypoczynkowego satelity, Bena w pobliżu nie było... ale był Jacen. Kogo Lumiya zamierzała zabić, Bena czy Jacena? Jeżeli przez nią młody Solo zapominał, co to znaczy być Jedi, może Mara powinna mieć też oko na Jacena.

Łatwiej było jednak postanowić, niż wcielić pomysł w życie. Interesując się Jacenem, mistrzyni Jedi musiała zastosować prostsze sposoby, może nawet z nim porozmawiać. Tyle że jeszcze nikomu nie udało się taka sztuka. Trudno było nakłonić Jacena, żeby kogokolwiek posłuchał, a ostatnio nie można zamienić z nim choćby kilku słów. Młody Solo chyba zbyt dosłownie rozumiał znaczenie zwrotu „tajna policja”.

Niespodziewanie coś zniknęło z Mocy.

Ben, pomyślała Mara. Poczwała się, jakby straciła z pola widzenia obserwowany cały czas kształt... jakby nagle ucichł dobiegający z daleka kojący szum, pozostawiając w jej uszach złowieszczą, dzwoniącą ciszę.

Ben zniknął..

Ben zniknął z Mocy.

Mara wyciągnęła rękę do kontrolnego pulpitu, żeby wskoczyć do nadprzestrzeni i zawrócić z największą możliwą prędkością na Coruscant, ale nagle obecność syna w Mocy znów się pojawiła, jakby ktoś włączył źródło znajomego dźwięku. Mistrzyni Jedi poczuła, że jej żołądek wywinął kozła.

Może to moja wina, pomyślała.

Jej syn już kiedyś to robił, ale był wtedy dzieckiem, przerażonym okropnościami poprzedniej wojny z Yuuzhan Vongami. Tyle że było to działanie bezwiedne. Jednak to, czego Mara chwilę wcześniej doświadczyła, wyglądało na świadomy postępek. Kiedy skupiła myśli na synu, odniosła wrażenie, że Ben czuje się bardzo dobrze... wręcz doskonale. Syn był po prostu...

zachwycony.

Nie mogła przejść nad tym do porządku dziennego. Obrąła kurs na Coruscant, ale zanim zdążyła wskoczyć do nadprzestrzeni, jej syn znów zniknął z Mocy i ponownie wrócił.

Rzeczywiście sprawiał wrażenie... szczęśliwego. Mara wyczuwała promieniujące od niego

umiesienie. A zatem Ben rzeczywiście działał celowo. Pomyślała, że syn nie ma prawa robić jej takich kawałów. Wystarczyło, że w Mocy ukrywał się Jacen. Ben nie powinien się od niego uczyć tej umiejętności. Postanowiła wrócić do domu i porozmawiać z synem. Musiała wybrać odpowiednią chwilę, żeby zapytać go, dlaczego chce się tego nauczyć.

Miała nadzieję, że opanuje tę umiejętność tylko na tyle, żeby zniknąć na krótko i znów się pojawiać.

Ben jednak był jej synem. Już nieraz udowodnił, że jest zdolny do zdumiewających wyczynów. Mara nie miała wątpliwości, że jej syn opanuje także tę sztukę. Po prostu to wiedziała.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że jej wyrzuty sumienia znacznie zelżały. Nie miała już do siebie żalu, że podarowała Benowi wyposażone w transponder wibroostrze. Matka musi wykorzystać każdy sposób, żeby się orientować w poczynaniach syna.

Lądowisko w południowej dzielnicy Kuat City

- A więc to tak - odezwał się klon. Wyciągnął do Mirty rękę, pomógł jej wstać i zaczął

otrząpywać jej pancerz z kurzu, czemu młoda kobieta się nie sprzeciwiała. Niesamowite zwierzę kierowało na nią okolone czerwonymi obwódkami żółte ślepia. Kiedy Mirta się pochyliła, żeby podnieść hełm z pokładu, spodziewała się, że bestia się na nią rzuci. - Któregoś polecenia „trzymaj się ode mnie z daleka” nie zrozumiałaś?

Mirta otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, co naprawdę myśli, ale do rozmowy włączył się Fett.

- Miło z twojej strony, że wpadłeś, ale czy nie moglibyśmy dokończyć tej rozmowy gdzie indziej? - zapytał.

- Ach, oto potężny Mand'alor - powiedział klon w szarym pancerzu. - W środku miasta wyrzucasz za balkon szefa miejscowego gangu? Nie ma co, subtelne posunięcie. - Odwrócił się i gestem nakazał zwierzęciu wejść do ładowni. Bestia położyła się na płytach pokładu, ale nie przestała pomrukiwać, co brzmiało jak złowieszcze odgłosy nadciągającej burzy. Mirta doszła do wniosku, że to najbrzydsze zwierzę, jakie kiedykolwiek widziała. Fałdy porośniętej żółtą sierścią skóry wystarczyłyby na dwukrotnie większe stworzenie. Potwór miał sześć łap i pysk pełen przerażająco ostrych kłów. - Dzięki za to, że zwróciłeś na siebie powszechną uwagę.

- Poszukiwałem ciebie - odparł Fett, zamykając klapę wjazdu.

- Musimy lecieć. Zamknij się i usiądź gdzieś, bo za chwilę startujemy.

- Zamierzasz mnie porwać?

- Wolałbyś pogawędzić przy filiżance kafeiny, czekając na przybycie kuatskiej policji albo pacholków Fraiga?

- W porządku, tamten skuter raketowy i tak był pożyczony

- odparł klon. - W pewnym sensie. Wiesz, co ci powiem? Podrzucić nas na Coruscant, żebyśmy mogli stamtąd ruszyć w dalszą drogę. - Chwycił oburącz hełm i zdjął go z głowy. Nadal wyglądał groźnie, dopiero kiedy niespodziewanie się uśmiechnął, jego twarz zupełnie się zmieniła. Można byłoby go uznać za brata Fetta, chociaż nie za bliźniaka. Nie był bardzo podobny do łowcy nagród. - Mówili mi, że wyglądamy jak członkowie tej samej rodziny, ale jeżeli mam być szczery, nie widzę żadnego podobieństwa...

Fett postąpił chwilę w milczeniu, po czym wdrapał się do sterowni. Mirta nie była pewna, czy wyróżnić klona pięścią w twarz, czy podziękować mu za to, że się zjawił.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Jaing Skirata - odparł klon. - A ty?

- Mirta Gev. - Młoda kobieta zauważyła, że jej nazwisko nie wywarło pożądanego wrażenia. -

Jestem wnuczką Fetta - dodała z naciskiem.

Jaing uniósł brwi i wybuchnął śmiechem. Zwierzę uniosło łeb i zawyło. Mirta przeszła na dziób do sterowni i przypięła się na czas startu do fotela. Nie była zachwycona reakcją klona, którego śmiech cały czas dobiegał zza jej pleców.

- Pozwoliłaś mu się zaskoczyć - stwierdził Fett.

Mirta uświadomiła sobie, że jest wściekła.

- Nie zobaczyłam go na ekranach sensorów i w ogóle go nie widziałam, dopóki na mnie nie napadł - powiedziała. - Przewrócił mnie na pokład i zaczął dusić, zanim zdążyłam go kalik.

- Dźgnąć? - domyślił się łowca nagród.

- Szybko się uczysz.

- A ty nie dość szybko. - Fett przycisnął klawisze kilku włączników i wkrótce Kuat przemienił

się w jasną tarczę za rufą „Niewolnika 1”. - Nie oglądałaś się za siebie. Nie możesz cały czas polegać na czujnikach hełmu.

- Hej, ty go też nie zauważyłaś - odcięła się wnuczka. - To chyba przez to, że jego pancerz czyni go niezauważalnym dla promieni sensorów.

- Jest Zerem. - Mirta wiedziała, że za tym stwierdzeniem kryje się długa historia. - Wszystkie Zera były klonami hodowanymi do udziału w najtrudniejszych, brudnych operacjach.

Kaminoañscy kloniarze próbowali jednak udoskonalić genom mojego taty. Sama widzisz, że ich starania zakończyły się niepowodzeniem.

- Powiedział, że ma na imię Jaing - przypomniała Mirta. - Czy rzeczywiście on i jego bracia wpełchnęli ci głowę...

Fett odwrócił się powoli i spojrzał na nią przez szczelinę w przedniej płycie hełmu. Nie odezwał się ani słowem, ale i tak Mirta poczuła się nieswojo, chociaż ostatnio niewiele rzeczy mogło ją wprawić w przerażenie. Zapytała o to tylko dlatego, żeby skłonić dziadka do zwierzeń. Cały czas szukała w nim resztek człowieczeństwa, ale dochodziła do wniosku, że to złudna nadzieja. Kiedy Fett wpisał do pamięci komputera trzy zera, współrzędne Coruscant, przytrzymała się krawędzi konsoli i obserwowała, jak „Niewolnik 1” wskakuje do nadprzestrzeni.

- Jaing nie jest taki zły, jak przypuszczałam - odezwała się w końcu.

- Oni wszyscy byli psycholami. - Zważywszy na to, że Fett prawdopodobnie ich nie spotkał, odkąd przestał być dzieckiem, musiały mu pozostać boleśnie żywe wspomnienia. - Powiadano, że podczas wojny Jaing wytropił Grievousa. Był mistrzem w sztuce zabijania i świetnym snajperem... i doskonale umiał uprzykrzać innym życie. Nie wolno ci go lekceważyć.

- Masz na myśli poprzednią wojnę - domyśliła się wnuczka.

- Całe życie jest dla mnie jedną długą wojną - burknął łowca nagród.

Mirta uznała, że pora się zamknąć. Fett stał w rozkroku, trzymając się oparcia fotela pilota.

Wyglądał na rozdrażnionego. Fotel dawał się składać, żeby pilot mógł stać przed kontrolną konsolą, albo podnosić, tworząc coś w rodzaju półki. Fett korzystał z fotela zazwyczaj w ten drugi sposób. Mirta miała wrażenie, że siedzenie sprawia mu zbyt silny ból.

- Kurs wpisany - oznajmił Boba. - Chodźmy teraz pogadać z tym klonem.

Mirta wyjęła jeszcze jedną pastylkę ze środkiem przeciwbólowym, ujęła dłoń dziadka i z plaśnięciem umieściła na niej kapsułkę.

- Kiedy już zostawimy go na Coruscant, złożysz wizytę doktorowi Beluine - zapowiedziała. -

Dobrze?

Fett burknął coś, co mogło oznaczać zgodę. Mirta zaczynała rozumieć, że dziadek jest przerażony perspektywą bliskiej śmierci.

- Nie polegamy całkowicie na lekarstwach - powiedział. - Ból uświadamia mi szybkość postępów mojej choroby.

Znaleźli Jainga w ładowni towarowej. Klon siedział ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie, zwrócony twarzą do zwierzęcia. Bestia wpatrywała się w jego oczy i cicho pomrukiwała, jakby starała mu się coś powiedzieć. Klonowi chyba nie przeszkadzała jej smród. Kiedy Fett i Mirta weszli przez służbę, Jaing i jego ulubieniec spojrzeli na nich.

- Co to za cudak? - zapytała Mirta.

- Pytasz mnie czy Lorda Mirdalana? - Jaing palcami w rękawicy dał znak, po którym bestia rozplaszczyła się na płytach pokładu. Klon wstał. - To on i zarazem ona - powiedział. - Strille są obojnakami. Obiecałem jego poprzedniemu właścicielowi, że kiedy przejdzie do manda, zaopiekuję się jego pupilem. Strille żyją o wiele dłużej niż my.

- Słyszałam o nich, ale nigdy dotąd żadnego nie widziałam.

- Na Mandalorze już prawie się ich nie spotyka - przyznał Jaing. - Mird... no cóż, można powiedzieć, że to strill przeznaczony do tajnych, brudnych operacji. Podczas kilku ostatnich wojen uczestniczył w wielu akcjach komandosów.

Fett wsunął kciuki za pas niecierpliwym gestem.

- Kiedy już skończycie pogawędkę na tematy przyrodnicze... - zaczął.

Jaing miał więcej zmarszczek niż Fett i mniej siwych włosów, był także silniej zbudowany.

Mirta widziała postronki mięśni na

jego szyi. Klon nie miał też żadnych blizn. Jego twarz wyglądała, jakby spędził na słońcu dużo czasu bez hełmu i często się uśmiechał. Pod względem genetycznym był kopią Fetta, ale nie mogliby się bardziej różnić od siebie.

- Czyż nie jestem wspaniały? - Jaing wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, a Mirta uświadomiła sobie, że się na niego gapi.

- Tylko tak ci się wydaje - burknął kwaśno Fett, zdejmując hełm.

- Uważam, że nie postarzałem się tak szybko jak ty, Bob 'ika.

- Ciekawe, że w ogóle dożyłeś tak sędziwego wieku.

- A zatem do czego ci jestem potrzebny? - zagadnął Jaing. - Potrzebujesz pożyczki?

Poszukujesz mnie od wielu tygodni, nie? Od dawna dochodzą mnie słuchy, że o mnie rozpytujesz...

- Jestem umierający - przerwał jak zwykle bez ogródek łowca nagród.

Jaing przekrzywił głowę i zastanowił się chwilę nad tym, co usłyszał.

- Przykro mi to słyszeć - odezwał się w końcu. - Cóż, nie jesteś jedynym klonem, którego spotka przedwczesny koniec.

Fett miał zwyczaj od razu przechodzić do sedna sprawy. Teraz stał w milczeniu, a mięśnie szczęk drżały mu lekko. Mirta z początku myślała, że dziadek poczuł się urażony odpowiedzią Jain- ga, ale

doszła do wniosku, że po prostu zмага się ze sobą, żeby wypowiedzieć najtrudniejsze słowa w życiu.

Rzeczywiście to była trudna walka.

- Potrzebuję twojej pomocy, Jaing - odezwał się w końcu Fett.

Klon patrzył na niego bez słowa. Cisza się przedłużała. Mirta była ciekawa, który pierwszy ją przerwie. W końcu doszła do wniosku, że to już trwa stanowczo za długo.

- Och, niech to fierfek porwie! - westchnęła. - Zawinił tu sam proces klonowania. Tkanki dziadka pękają a on sam starzeje się dwukrotnie szybciej. Nie mogą na to nic poradzić ani jego lekarz, ani Kaminoanie, ani nawet Taun We.

Fett wydał lekko wargi.

- Sama mi to powiedziała - przyznał niechętnie.

- A zatem Taun We, ta stara przynęta na aiwchy, jeszcze się trzyma? - zdziwił się Jaing. - Coś podobnego, coś podobnego. - Omiótł Fetta spojrzeniem od stóp do głów. - Słyszałem, że miałeś kłopoty z nogą - podjął po chwili. - Musiano ci ją przeszczepić. Czy to prawda?

- Jesteś rzeczywiście bardzo dobrze poinformowany.

- W głębi ducha pozostałem chłopcem z Tipoca - wyjaśnił klon. - Staram się śledzić wszystko, co się dzieje w starym kraju.

- Ile muszę ci zapłacić, żebyś przestał się chwalić i dał mi to, czego potrzebuję?

- Nie obraż się, ale możesz sobie wsadzić swoje kredyty tam, dokąd nie sięga twój pancerz, Mand'alor - odparł Jaing.

- Jeszcze ci nie powiedziałem, czego potrzebuję.

- Mogę się tego domyślić.

- Wyników badań Ko Sai. - Fett spojrzał znacząco na rękawice Jainga. - Wiem, że je masz. Na pewno odnalazłeś samą badaczkę.

- Więcej zyskasz po dobroci niż po złości, Boba - uprzedził klon. - Czyżby wepchnięcie głowy do muszli klozetowej niczego cię nie nauczyło?

Fett nie miał pojęcia, jak się prosi kogoś o pomoc. Mirta nie była pewna, czy to wynika z dumy, czy po prostu nikt go tego nie nauczył. Liczyło się tylko to, że jego rozmowa z Jaingiem prowadziła donikąd, bo klon był równie uparty i dumny jak Fett. Spojrzała na Jainga.

- Możesz mu pomóc?,— zapytała. — Gedet'yel Fett powinien żyć nie tylko dla dobra Mandalory, ale także dla mnie.

Klon nie odrywał spojrzenia od twarzy łowcy nagród.

- Pamiętasz, jak dowodziłeś imperialnymi siłami zbrojnymi podczas walki ze sklonowanymi żołnierzami na Kamino? - zapytał w końcu.

Fett pokiwał obojętnie głową.

- Tak - powiedział.

- Nie byliśmy dla ciebie wówczas rodziną.

- Ja też nie widziałem, żeby któryś z was stawał w obronie swoich braci - odciął się Boba.

- Pozbawiłeś władzy Shyśę, ty hut'uunie. Mężczyznę, który przywrócił nam świadomość, że jesteśmy narodem. Gdzie się po- dziewałeś, kiedy wykrywaliśmy się z rozkazu Imperium?

Słowo hut'uun było najgorszą zniewagą, jaką Mandaloria- nin mógł obrzucić swojego ziomka, ale Fett w ogóle się tym nie przejął, nawet nie zwrócił na to uwagi. Mirta doszła do wniosku, że codziennie poznaje więcej szczegółów z mrocznej przeszłości dziadka. Nie miała powodu przypuszczać, że tylko jej matkę i babkę Fett traktował z bezduszną obojętnością. Jej dziadek najwyraźniej nie troszczył się o nikogo oprócz swojego ojca i od czasu jego śmierci uważał go za ideał. A zatem Ba 'buir walczył przeciwko swoim braciom, pomyślała. Może nawet nie dostrzegął w tym ironii losu, a prawdopodobnie w ogóle o tym nie myślał.

- Nie jestem dumny z niczego, co robiłem - odparł Fett bez cienia emocji w głosie. - Z drugiej strony

niczego się także nie wstydę. Po prostu robię to, co muszę. Nie masz pojęcia, co zaszło między mną a Shysą i może nigdy się tego nie dowiesz.

- Był przy nas, kiedy go potrzebowaliśmy - przypomniał Jaing. - A ciebie tam nie było. Nie muszę wiedzieć nic więcej.

Fett nawet nie mrugnął.

- Rozumiem z tego, że nie przekażesz mi wyników badań Ko Sai - podsumował.

Jaing spojrział na Mirtę, jakby mu było przykro z jej powodu. Młoda kobieta zastanowiła się, jak inne mogłoby być jej życie, gdyby mężem Sintas Vel został Jaing, zamiast Boby Fetta.

- Nie istnieją żadne wyniki badań - odezwał się w końcu klon, ale cały czas spoglądał w oczy Mirty, nie na Fetta. - Przykro mi, moje dziecko.

Fett zachował kamienny spokój.

- W takim razie musiałeś zażywać mnóstwo witamin, bo do tej pory powinieneś być dawno umrzeć - zauważył.

- Nie powiedziałem, że te wyniki nie istniały - sprostował Jaing. - Zniszczyliśmy je, kiedy wzięliśmy to, co było nam potrzebne.

Fett powoli przyswajał sobie to, co usłyszał. Mirta uświadomiła sobie, że targają nią sprzeczne emocje. Rozpaczliwie usiłowała znaleźć powód, żeby pokochać swojego Ba 'buir, ale zarazem żałowała, że Leia Solo nie pozwoliła jej go zabić, blokując błyskawicę jej blasterowego strzału.

Zrób coś, Ba'buir, żebym ci mogła przebaczyć, pomyślała. Proszę. Cokolwiek.

- Mogłeś zarobić na nich fortunę - odezwał się w końcu łowca nagród.

- Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek je wykorzystał - odparł Jaing. - Już nigdy.

- Nie powstrzymasz klonowania - stwierdził Fett. - Nigdy ci się to nie uda.

- Ważne, że zniechęciliśmy do tego Kaminoan - zauważył klon. - To lepsze niż nic. Nie znoszę Kaminoan.

- Widzę - mruknął Fett, spoglądając wymownie na jego wykwintne szare rękawice. - Zdarzało mi się jednak pracować dla gorszych istot.

- Bo ci za to płaciły - odciął się Jaing. - A nas hodowano jak zwierzęta. - Zrobił minę, jakby przypomniał sobie coś miłego. - A zatem Taun We nadal żyje - powiedział. - Zawsze się zastanawiałem, co się z nią stało.

- Daj jej spokój, Jaing - mruknął łowca nagród. - Jest już bardzo stara.

- Ja też, ale nie jej to zawdzięczam - przypomniał klon. - To ile jeszcze zostało ci życia?

- Rok. Może dwa lata, jeżeli nadal będę miał szczęście.

- Ile czasu minie, zanim będziesz musiał przekazać komuś swój tytuł i władzę?

- Nie mam pojęcia - przyznał Fett.

- W tej chwili Mandalora bardzo potrzebuje kogoś, kto stanąłby na czele jej obywateli.

Mirta stwierdziła, że widzi promyk nadziei.

- A zatem pomóż mu, Jaing - powiedziała.

- Najlepsze, co mogę zrobić, to dać mu próbkę krwi - zastanowił się klon. - Obawiam się jednak, Boba, że przekazałbyś ją Kaminoanom, a jeżeli nie ty, zrobiłby to twój lekarz. Nam by się to naprawdę nie spodobało. Wcale a wcale.

- Nam? - Mirta uświadomiła sobie nagle, że wie, jak przekonać Jainga do zmiany zdania.

Postanowiła odgrywać rolę niewinnej, pokrzywdzonej przez los wnuczki. Gdyby nie udało się jej nakłonić Jainga do współpracy, odnalazłaby jednego z jego braci, który dałby się namówić. -

Ilu was jeszcze pozostało?

- Nie musisz tego wiedzieć - odparł klon i przeniósł spojrzenie na Fetta. - Posłuchaj, Boba, ja także mam wnuki, a nawet prawnuki. Na Mandalorze żyje cała moja rodzina, więc obchodzi mnie, co się stanie po twojej śmierci. - Zaledwie to powiedział,

, do Mirty dotarła gorzka prawda: wielki Boba Fett był umierający.

? - Niechętnie to przyznaję, ale twoja bu'ad, wnuczka, ma rację... Mandalora będzie cię teraz potrzebowała.

Fett znakomicie udawał znudzonego. Może zresztą naprawdę go to nudziło, chociaż Mirta w to wątpiła. Stawką w tych negocjacjach było jego życie, a do tej pory zdążyła się zorientować, że bardzo mu na nim zależy. Jej dziadek po prostu nie wiedział, jak godnie umrzeć, wzorem wszystkich pozostałych bohaterów.

- A zatem dostanę tę próbkę, jeżeli nie pozwolę, żeby wpadła w ręce Kaminoan, tak? - zapytał w końcu.

- To nie jest takie proste - stwierdził Jaing.

- Nic nie jest proste - burknął Boba.

- Dasz mi próbkę swojej krwi i swoich tkanek, a ja się postaram o coś specjalnie dla ciebie -

zapropozował klon. - Jeżeli mi się uda.

- Chcesz, żebym ci zaufał - podsumował łowca nagród.

- Ty też chciałeś, żebym ci zaufał - przypomniał Jaing. - I niech ci się nie wydaje, że w zamian zdobędziesz próbkę mojej krwi, uciekając się do przemocy.

- Niech będzie - zgodził się Fett. Mirta zauważyła, że mięśnie jego szczęki znów zadrżały. -

Dziękuję.

Wypowiedział to słowo, jakby robił to pierwszy raz w życiu... jakby pochodziło z obcego języka. Mirta zwalczyła chęć wygłoszenia komentarza, na przykład: „Dobra robota, Ba 'buir.

Dlaczego przyszło ci to z takim trudem?"

Jaing jednak jeszcze z nim nie skończył.

- Jest jeden warunek - powiedział.

- Zawsze jest, prawda? - zauważył Fett, krzyżując ręce na piersi. - Mianowicie?

- Zabieraj swój shebs, tyłek, z powrotem na Mandalorę, posłuchaj rady Kad'iki i zbuduj silne, zjednoczone, stabilne państwo. Udowodnij, że dorastasz do pięt takim ludziom jak Jaster Mereel i Fenn Shysa. Wystarczy, jeżeli będziesz we wszystkim naśladował swojego staruszka.

Boisz się, że mógłbyś się okazać lepszy niż on, prawda? Nie możesz być lepszy niż Jango. To by ci się nigdy nie udało.

Mirta się skrzywiła. Bezceremonialna wzmianka o ojcu była chyba jedyną rzeczą która mogła naprawdę zirytować dziadka. Fett powoli rozprostował zaplecione na piersi ręce.

- Mój ojciec w końcu unicestwił Śmiertelną Wachtę - powiedział. - Właśnie takie dziedzictwo pozostawił Mandalorze.

- To była sekciarska awantura - przypomniał Jaing. - Bez znaczenia dla życia większości Mando 'ade. Więc jak, dasz mi tę próbkę?

- Jakich naukowców chcesz zaangażować? Czy ja o nich wiem? - zapytał Boba.

- Pewnych rzeczy nie da się kupić - odparł łagodnie Jaing. - Wierz mi, mam swoje źródła. Masz medyczny pakiet z jakimś sterylnym ostrzem?

- Tak.

- To pobierz tę próbkę.

- Ja się tym zajmę - zaproponowała Mirta.

W przypadku Fetta nigdy nie chodziło tylko o podwiniecie rękawów. Jej dziadek nosił na przedramionach tyle śmiertelności sprzету, że musiała podawać Jaingowi kolejno elementy miotacza płomieni, bicz a wyrzutnie rozmaitych pocisków. Fett był chodzącą zbrojownią.

Mirta nie sądziła, że by się skrzywił przy pobieraniu krwi, i nie pomyliła się. Te chwile, kiedy uciskała kciukiem arterię, żeby powstrzymać krwawienie, były najdłuższym okresem jej życia, bo nie mogła spojrzeć dziadkowi w oczy. To wtedy sobie uświadomiła, że wprawdzie może go dotknąć, ale nie potrafiło nakłonić do okazywania uczuć.

Jaing uniósł do źródła światła fiolkę z ciemnoczerwoną krwią i jakiś czas ją podziwiał.

- To powinno wystarczyć - odezwał się w końcu. - Daj mu ciastko, za to, że był dzielnym chłopcem, Mirto.

- I co teraz? - zapytał z kamienną twarzą Fett.

- Podrzucić mnie na Coruscant - odparł Jaing. - Dam ci znać, co z tego wyniknie.

- W jaki sposób?

- Doręczę to osobiście do Keldabe.

- No to lepiej się pospiesz - odparł łowca nagród. - W przeciwnym razie zdążysz na mój pogrzeb.

- Och, na pewno wrócę, podobnie jak wielu innych Mando 'ade. Poprosiłeś nas o to, pamiętasz?

Poprosiłeś, żebyśmy wracali do domu. - Odwrócił się do Mirty. - Kiedy ten stary chakaar umrze, a rodacy będą dzielili jego pancerz, upewnij się, że przypadnie ci miotacz płomieni, bo płytki jego pancerza są duse. Nawet nie porządny beskar.

A zatem Jaing śledził wszystko, co się dzieje na Mandalorze, i uważał, że durastalowy pancerz Fetta to śmiecie. Strill przydreptał do swojego pana i ziewnął, dając do zrozumienia, że rozmowa ludzi zupełnie go nie interesuje. Mirta znowu poczuła jego zapach, ale, o dziwo, nie uznała go za nieprzyjemny.

- Jak to stworzenie może polować, skoro tak okropnie cuchnie? - zapytał Fett.

Jaing pochylił się i poczochnął fałdy skóry na karku Mirda.

- Ten zapach wyczuwają tylko istoty człękokształtne - powiedział. - I nie miej za złe Mircie, że dała się zaskoczyć, Bob 'ika. Tylko niewielu ludzi potrafi się obronić przed atakiem nurkującego dorosłego strilla. Może nie wiesz, ale te zwierzęta umieją latać.

- Nie trzymam żadnych zwierzątek. - Fett jakby się zawahał. - Jeżeli chcesz coś zjeść, dostaniesz się do kuchni przez te drzwi.

Jaing otworzył saszetkę u pasa i wyjął suche i ciemne paski, wyglądające jak kawałki rzemieni. Rzucił jeden Mirdowi, a drugi zaczął żuć sam.

- Poradzimy sobie, dzięki - powiedział.

Dopiero po chwili Mirta uświadomiła sobie, o co chodzi. Jaing nie chce zostawiać na niczym swojego DNA, pomyślała. Jest sprytniejszy niż ty, Ba 'buir.

Fett odwrócił się i wyszedł przez właz. Mirta miała nadzieję, że obaj mężczyźni znajdą jeszcze jakiś temat do rozmowy, ale to, że mieli taki sam genom, jeszcze niczego nie dowodziło. Mimo to... Jaing był jej krewniakiem. Mogła go uważać za brata dziadka, chociaż Mandalorianie nie przywiązywali równie dużej wagi do więzów krwi co istoty innych ras. Dla Mirty miało to pewne znaczenie, bo była półkrwi Kiffarką.

- Żal mi ciebie, dziecko - odezwał się Jaing. - A co najdziwniejsze, jego też mi żal. Podziwiam jego umiejętności, ale moim zdaniem jest najgorszym Mandalorianinem po tej stronie Jądra galaktyki. Umie jednak zwyciężać, a nam potrzebni są zwycięzcy. A zresztą mój ojciec na pewno by chciał, żebym mu pomógł. Bez zadawania zbędnych pytań.

Jaing mówił, jakby należał do zupełnie innej rodziny. W rzeczywistości pochodził z kadzi z duplikatami chromosomów

Janga Fetta. Wyciągnął z płytki naramiennika trójboczny nóż i z kamiennym spokojem zaczął kroić suszone mięso na mniejsze kawałki.

- Mówiąc o ojcu, nie miałeś na myśli Janga, prawda? - zagadnęła Mirta.

- Nie. - Jaing uśmiechnął się do siebie w zadumie. - Geny nie mają żadnego znaczenia. Do tej pory powinnaś to wiedzieć. Zostałem adoptowany przez sierżanta, który zajmował się moim szkoleniem. To najwspanialszy człowiek, jakiego spotkałem w życiu.

Słowa Jainga sugerowały, że pochodzi ze szczęśliwszej rodziny, co było dziwne w przypadku sklonowanego żołnierza.

- Ja raczej nie pasuję do obrazu oddanego dziecka - powiedziała Mirta. - Chciałam zabić mojego dziadka.

- Słyszałem, że twoja matka też go chciała zabić - stwierdził klon. - Wygląda na to, że Boba właśnie taki magiczny wpływ wywiera na kobiety.

- Wiesz o mnie chyba wszystko, ale ja o tobie nie wiem prawie nic - poskarżyła się młoda kobieta.

Jaing wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Na tym polega moja praca, złotko - powiedział.

- To powiedz, dlaczego zdecydowałeś się zadrzeć z gangiem Cherita? - zapytała Mirta. - Z powodu Twi'lekanek?

- Z powodu pewnej obietnicy, którą złożyłem dawno temu. - Jaing jakiś czas żuł w milczeniu i wpatrywał się w przestrzeń ponad jej głową jakby pogrążony we wspomnieniach. - Staram się dotrzymywać obietnic.

Znów umilkł i przeżuwał suszone mięso, od czasu do czasu rzucając kawałek Mirdowi. Mirta zrozumiała, że to koniec rozmowy. Zapadła cisza. Pomyślała, że Jaing mógłby powiedzieć coś więcej o swojej rodzinie na Mandalorze, a zwłaszcza o nieznanym krewnym, o którym istnieniu Mirta nie miała dotąd pojęcia, ale klon wyraźnie nie miał zamiaru.

W końcu młoda kobieta doszła do wniosku, że nic więcej z niego nie wyciągnie. Nie chciała sprawiać wrażenia, że jej na tym zależy, więc wróciła do sterowni, usiadła na fotelu drugiego pilota i przycisnęła do płytki napierśnika ogniste serce. Klejnot nadal nic jej nie mówił, ale stanowił jedyną więź, jaka łączyła ją z matką i babką.

- W końcu miałaś go dość? - zagadnął Fett.

Mirta chciałaby wierzyć, że Jaing dał jej dziadkowi nadzieję i poprawił mu samopoczucie, ale nie mogła być tego pewna.

- Twój pancerz to naprawdę byle co? - zapytała. - Dlaczego nie posłuchasz rady Beviina i nie każesz sobie zrobić nowego z porządnego mandaloriańskiego żelaza...

- Nie przeciągaj struny - przerwał Fett. - Pozwoliłem ci wbić igłę w moją żyłę. To wystarczy jak na jeden dzień.

A więc obietnica Jainga rzeczywiście poprawiła mu humor. Mirta była już tego pewna. Miała nadzieję, że nieokreślone „źródła” Jainga okażą się wiarygodne. Liczyła na to, że Boba Fett uzyska odkupienie, dzięki czemu jej jedyny krewniak okaże się w końcu kimś, za kogo chciała go uważać.

Coruscant, kwatera główna SGS

Jacen nie chciał sprawiać wrażenia, że interesuje go przebieg posiedzenia Rady Polityki i Zasobów. Gdyby wziął udział w zebraniu jej członków i usiadł na galerii dla upartych obywateli, którzy naprawdę się interesowali szczegółami procesu sprawowania władzy, ktoś mógłby zacząć zadawać pytania.

Z drugiej strony jednak mógłby zostać uznany za troszczącego się o podwładnych dowódcę, który przedkłada ich dobro ponad szkoły, zdrowie i transport.

Jacen nie miałby zupełnie nic przeciwko temu. Rzeczywiście przedkładał.

Wiedział jednak, że tym razem nie może się rzucić w oczy, więc został w kwaterze głównej SGS i przełączył odbiornik na kanał HoloNetu, na którym nadawano transmisję z przebiegu posiedzeń Senatu. Pomyślał, że Lumiya powinna tam być. Zaczekał, aż obiektyw holokamery pokaże galerię dla publiczności. Jak się spodziewał, zobaczył tam kobietę w skromnym kostiumie i z woalką zakrywającą twarz. Nie była jedyną istotą płci żeńskiej, która się tak ubrała, bo woalki były od jakiegoś czasu bardzo modne. Absolutnie nie zwracała na siebie uwagi.

Zredagowana przez HM-3 poprawka regulaminu dostaw była sprawą numer trzysta pięćdziesiąt siedem na liście liczącej pięćset sześćdziesiąt trzy poprawki i zmiany przepisów prawa, o których istnieniu Jacen nie miał nawet pojęcia.

Będę musiał znaleźć kogoś, kto nad tym wszystkim zapanuje, kiedy już przejmę władzę, pomyślał. Grupę osobiście wybranych urzędników. A na ich czele prawdopodobnie postawię HM-3.

Sesja już się zaczęła i senatorowie, którzy z radością zajmowali się omawianiem nawet błahych spraw - nie tylko pokazywaniem się publiczności - dyskutowali nad problemem numer dwadzieścia cztery, dotyczącym zmiany przepisów utylizacji niebezpiecznych odpadów. Jacen wyłączył dźwięk i nastawił monitor, żeby go poinformował, kiedy nadejdzie pora omawiania sprawy numer trzysta pięćdziesiąt siedem. Zajął się czytaniem raportów funkcjonariuszy Wywiadu, ale zostawił szeroko otwarte drzwi do gabinetu. Zawsze zostawiał je otwarte, żeby jego podwładni mogli czuć się pewnie. Wiedzieli, że mogą się do niego zwrócić z każdym problemem, przekonani, że zawsze ich wysłucha.

Chwilę później w drzwiach stanął Jori Lekauf. Nie wszedł do gabinetu, ale pozostał na korytarzu, jakby na progu widniała bariera z napisem „Terytorium oficerskie - wstęp wzbroniony”.

- Chce się z panem widzieć jakaś dama, panie pułkowniku

- zameldował. - Jest w tej chwili w wartowni.

Jacen, którego uwagę wciąż jeszcze zaprzętały raporty agentów Wywiadu, uwolnił myśli i posłużył się Mocą, żeby sprawdzić, kim jest odwiedzająca go osoba.

- Mara Skywalker - powiedział.

Lekauf się rozpromienił.

- To wspaniale, że potrafi pan coś takiego, panie pułkowniku

- powiedział.

- Niewiele kobiet przychodzi mnie odwiedzić, więc mogłem się właściwie tego domyślić -

odparł Solo. Na pewno nie wpadłaby tu Jaina, bo jej nieufność i żal otaczały ją jak aureola. Nie odwiedziłaby go także Tenel Ka. Jacen tęsknił do niej, a jeszcze bardziej do Allany. Nie muszę ich zabijać, pomyślał. Wiedziałbym, gdybym musiał, prawda? - Poproś ją do mnie.

- Rozkaz, panie pułkowniku.

Kapral odwrócił-się, żeby odejść.

- Lekauf...

- Tak, panie pułkowniku?

- Czy zastanawiałeś się nad tym, żeby się ubiegać o patent oficerski?

- Nie jestem przekonany, czy się nadaję na oficera, panie pułkowniku.

- Moim zdaniem tak - zapewnił Solo. - Nie zmuszam cię, ale potrzebujemy dobrych oficerów, awansowanych od szeregowca, bo w ciągu kilku najbliższych lat będziemy odgrywali coraz większą rolę.

- Mogę spróbować, panie pułkowniku. - W głosie Lekaufa brzmiało powątpiewanie.

- Doskonale - stwierdził Jacen. - Polecę adiutantowi, żeby załatwił sprawy papierkowe.

Prawdopodobnie będziemy musieli poczekać z wysłaniem cię do akademii, dopóki sytuacja się nie unormuje, ale Shevu albo Girdun na pewno z radością cię podszkolą. A przy okazji będziesz mógł mieć oko na Bena. Chłopak naprawdę ma do ciebie zaufanie.

Lekauf zamrugał, ale jego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć.

- Kapitan Shevu już w tej chwili bardzo dobrze się mną opiekuje. Dużo się od niego uczę.

Jego uwaga, pozornie bez związku z poprzednimi słowami, w rzeczywistości bardzo dużo mówiła. Lekauf nie był naiwny, chociaż wyglądał jak pogodny uczeń. Bardzo uważał, aby nie wymienił nazwiska kapitana Girduna, co tylko upewniło Jacena w przekonaniu, że były funkcjonariusz Wywiadu nie cieszy się popularnością wśród żołnierzy służących poprzednio w wojsku albo w CSB. Szpiedzy bywali czasami tak traktowani. Shevu służył kiedyś w CSB... był

dobrze znanym, lubianym i godnym zaufania oficerem, na którym można było polegać w sytuacjach kryzysowych.

Jacen nie mógł jednak sobie pozwolić na żadne komplikacje. Spojrzał na Lekaufa.

- Mógłbyś się także przysłużyć kapitanowi Girdunowi - powiedział. - Może tego nie wiesz, ale dobrzy uczniowie doskonale wpływają na swoich nauczycieli.

- Dziękuję, panie pułkowniku. - Na twarzy Lekaufa nadal nie malowały się żadne emocje. - Za chwilę wprowadzę pańskiego gościa.

Obserwując jednym okiem milczący holoekran, Jacen zaczął przeglądać raporty. Jeden przesłał

od razu pani admirał Niathal. Raport dotyczył nowej klasy fregat, które Bothanie zamierzali w ciągu kilku najbliższych dni wcielić do służby w swojej flocie. Tymczasem członkowie Rady Polityki i Zasobów omawiali problem numer sto dwa. Czekał ich pracowity dzień... mieli do przyklepania mnóstwo spraw. Jacen włączył komunikator i przekazał sygnał do słuchawki wielkości koralika. Lumiya miała w cybernetycznych implantach ukryty odbiornik, dzięki któremu mogła słyszeć jego głos - cichy jak myśl - w głębi czaszki.

Posłużył się jej pseudonimem, tym samym, którego używał w obecności Bena. Imię było dosyć pospolite, a przy okazji pozwalało mu unikać przypadkowych przejęzyczeń.

- Pomagasz im w podejmowaniu decyzji, Shiro? - zapytał.

- Tylko wpajam im przekonanie, że to bardzo pilne - odparła Lady Sithów. - Ale oni i tak cały czas myślą o swoim smakowitym lunchu.

- Myślisz, że jakiś rozrabiaka zapoznał się z wykazem spraw do omówienia?

- O ile wiem, nie - odparła Lumiya. - Ale możesz się nie martwić. Dam sobie z tym radę.

Jacen wyczuł, że korytarzem nadchodzi Mara. Mistrzyni Jedi parła zdecydowanie niczym małe tornado. W przeciwieństwie do Lekaufa bez wahania weszła do gabinetu pułkownika Solo. Jacen posłużył się Mocą żeby zaprezentować jej mieszaninę zmęczenia i dobrego humoru, po czym uśmiechnął się do niej.

Mara od razu skierowała spojrzenie na holoeckran.

- Co za fascynujące teksty - mruknęła.

- Chcę tylko mieć pewność, że poprawka dotycząca regulaminu dostaw zostanie przegłosowana. - Potwierdziła się stara prawda: jak chcesz coś ukryć, trzymaj to na widoku. -

Chodzi o to, żebyśmy mogli pokonywać przeszkody biurokratycznych przepisów. Moi podwładni powinni dostawać sprzęt najlepszej jakości. Żołnierze na to zasługują, a do tej pory mieli z tym problemy.

- Ja także nie mam nic przeciwko temu. - Mara usiadła po drugiej stronie biurka na rozklekotanym krześle - Jacen ostentacyjnie demonstrował, że nie wydaje pieniędzy na siebie -

i założyła nogę na nogę. Była ubrana w szary żakiet, w którym wyglądała prawie jak w bojowym kombinezonie, co ostatnio odzwierciedlało stan jej umysłu. - Przyszłam do ciebie w sprawie Bena.

- Radzi sobie dobrze - stwierdził Jacen. - Prawdę mówiąc, nawet bardzo dobrze.

- Dzięki tobie bardzo spoważniał - przyznała Mara. - Stał się odpowiedzialnym młodym człowiekiem. - Obejrzała się na otwarte drzwi, jakby jej w czymś przeszkadzały. - Pozwól, że przejdę od razu do rzeczy. Wiem, że Lumiya chce go zabić. Nie wiadomo dlaczego ta baba uważa, że zamordował jej córkę. Teraz zaś, kiedy znaleźliśmy dowody, że Lumiya ma wtyczkę w SGS, mam

powody do niepokoju. Prawdę mówiąc, jestem bardzo niespokojna. Gdyby cokolwiek przydarzyło się mojemu chłopcu z winy jednego z funkcjonariuszy SGS, czułabym się naprawdę paskudnie.

No, no, pomyślał Solo, czyżby Mara się domyślała? Czyżby spodziewała się tego, co ma nadejść? Przeraził się na chwilę, niepewny, czy ostatnia tajemnica na drodze do jego przeznaczenia nie stała się dla wszystkich oczywista. Mara była kiedyś Ręką Palpatine'a, przypomniał sobie. Jeżeli ktokolwiek z członków Rady Jedi to dostrzeże, tym kimś będzie ona.

Udał zaniepokojonego jej słowami. Nie przerwał połączenia, więc Lumiya mogła słyszeć całą rozmowę.

- Wdrożyłem śledztwo i mogę cię zapewnić, że nie znalazłem niczego, co by o tym świadczyło - powiedział.

- Czy Ben gdzieś tu jest? - zainteresowała się mistrzyni Jedi. - Ostatnio rzadko go widuję.

Jacen wysłał go na rutynowy patrol, na poszukiwania ukrytych składów broni, ale Mara nie musiała o tym wiedzieć.

- Prowadzi dla mnie poszukiwania - odparł Solo.

- To dobrze - stwierdziła Mara. - Proszę cię tylko o to, abyś pamiętał, że prawdopodobnie największe niebezpieczeństwo nie zagraża mu ze strony Konfederacji. Nawet jeżeli nie wyobrażasz sobie, że jeden z twoich podwładnych jest wtyczką Lumii, ja w to wierzę i nie przestanę, dopóki ktoś mnie nie przekona, że nie mam racji. - Powoli wstała i Jacen znów o mało nie uwierzył, że jego rozmówcy wie, co się ma wydarzyć. - Powinieneś zadać sobie pytanie, który członek SGS mógłby zostać sprzymierzeńcem Lumii. Siedzisz w tym tak głęboko, że chyba nie zwróciłbyś na to uwagi.

Jacen spodziewał się, że usłyszy w komunikatorze jakąkolwiek reakcję Lady Sithów, ale Lumiya albo koncentrowała się na przegłosowaniu poprawki, albo w ogóle nie słyszała całej rozmowy.

- Na pewno się tym zajmę, ciociu Maro - obiecał Jacen. - Nie zapominaj jednak, że Ben uczy się sam dbać o siebie.

- A ty? - zapytała mistrzyni Jedi.

- Co masz na myśli?

- No cóż, jeżeli nikt inny nie odważy ci się tego powiedzieć, ja to zrobię. Co się z tobą dzieje, Jacenie? Dlaczego zostawiłeś swoich rodziców na pewną śmierć? Wiem, że cały czas pozostaje w mocy nakaz ich aresztowania, ale...

Jacen sam był ciekaw, dlaczego upłynęło tyle czasu, zanim ktoś mu to wypomniał.

Spodziewał się, że pierwsza będzie Ja- ina, zważywszy na to, ile miała do niego pretensji, ale Mara chyba już wiedziała, że stając w obronie Jacena, zrobiła z siebie idiotkę.

- Wiem, to moja wina - odezwał się w końcu Solo. - Byłem pewien, że dadzą sobie radę i bezpiecznie odlecą więc postanowiłem się udać tam, gdzie miałbym wpływ na losy bitwy... na pokład mojego okrętu.

- Rozumiem - powiedziała z przekąsem Mara. - Zwykła pomyłka w ocenie sytuacji.

- Jestem tylko człowiekiem.

- Wszystkim nam czasami się to zdarza. Mnie także. - Mara posłała mu nieprzekonujący uśmiech, odwróciła się i ruszyła do drzwi. - Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu.

Wie, pomyślał Jacen.

Wie, to nie ulega wątpliwości... a to znaczy, że tą osobą musi być Ben.

Nie jego rodzice, nie Tenel Ka ani Allana. Tylko Ben. Jacen zastanowił się, czy jeszcze będzie mógł spojrzeć chłopcu w oczy ze świadomością że musi go zabić. A może się posprzeczną i zaczną walczyć ze sobą? Podczas walki łatwo o wypadek.

W końcu usłyszał tchnienie głosu Lumii. Gdyby ktokolwiek ją obserwował, doszedłby do wniosku, że to urzędniczka prowadząca dyskretnie rozmowę przez komunikator, nie zaś Lady Sithów planująca największy przewrót w historii galaktyki.

- Moja była koleżanka zaczyna mnie szukać. Na pewno nie jest zachwycona - powiedziała Lumiya.

Jacen posłużył się zdalnym sterownikiem, żeby zamknąć drzwi gabinetu.

- To ty zaplanowałaś i zorganizowałaś atak na Bena, kiedy przebywał na planecie Ziost, prawda? - zapytał.

- Ben nigdy nie będzie twoim następcą - odparła Lumiya. - Brakuje mu cech potrzebnych do tego, żeby zostać twoim uczniem. Moim zadaniem jest usuwanie wszystkiego, co nieodpowiednie.

- Od tej pory zostaw go w spokoju - rozkazał Solo. - Posunęłaś się za daleko, a Mara chyba podejrzewa, na co się zanosi.

- Moja była koleżanka nie może cię tknąć, jeżeli... zaczekaj, zaczynają omawiać twoją poprawkę, chociaż jeszcze nie nadeszła jej kolej. Ktoś poprosił o pozwolenie zabrania głosu właśnie w tej sprawie.

- Kto?

- Ktoś z galerii dla publiczności... Powołał się na prawo zwracania się do Rady i przedstawił się jako członek organizacji o nazwie Obywatelska Wachta.

Ciekawe, jak szybko może się rozwijać sytuacja. Orędownicy praw obywatelskich na ogół nie

dotrzymywali kroku biegowi wydarzeń, ale mimo wszystko Jacen nie chciał, żeby któryś z nich znalazł haczyk ukryty w poprawce. Na razie nikt tego jednak nie zauważył.

- Wiesz, co masz robić - przypomniał.

- Wiem. - Lumiya umilkła, a kiedy się znów odezwała, mówiła tak cicho, że Jacen ledwo ją słyszał.

- Wydaje mi się, że on... że chce zapytać, czy to prawo nie będzie działało wstecz... Tak, właśnie o to zapytał! Czujna bestia!

Myślała, że dzięki temu oczyści się w jego oczach i że Jacen jej przebaczy, ale pomyliła się w rachubach. Zaczynała stanowić zagrożenie, ale tak właśnie postępowali Sithowie. Obie będące nimi osoby zawsze toczyły ze sobą walkę.

Na czas omawiania poprawki Jacen włączył głos. HM-3 miał rację. Senatorowie skupili uwagę na związanych z poprawką kwotach i z zadowoleniem stwierdzili, że budżet nie zostanie przekroczony bez zgody urzędu skarbowego Galaktycznego Sojuszu. Nikt chyba nie zauważył

użytego przez HM-3 sformułowania, które pozwalało Jacenowi na zmianę innych ustaw.

Młody Solo mógł się już zacząć zastanawiać, jakie przepisy wymagają zmiany.

Kiedy zabiję Bena Skywalkera, a Mara i Luke się dowiedzą że to moja sprawka - bo w końcu się dowiedzą - zaczną na mnie polować, pomyślał. Ściągnę sobie na głowę cały Zakon Jedi.

Kto wtedy zostanie moim uczniem?

Taki krok będzie oznaczał koniec Jedi.

Chciał tylko, żeby wszystko stało się jasne, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Musiał zaufać swojemu przeznaczeniu. Przebył zbyt długą drogę, żeby obecnie się wycofać.

- Sprawa numer trzysta pięćdziesiąt siedem przegłosowana. Następna sprawa to zmiana regulaminu wydawania licencji pilotów powietrznych taksówek...

I tak to się skończyło.

Poprawka została uchwalona, więc kiedy o północy zmieniony statut wejdzie w życie, pułkownik Jacen Solo - a także pani admirał Cha Niathal, bo poprawka dawała również jej takie uprawnienia - będą mogli zamawiać wszystko, co potrzebne siłom zbrojnym, i otrzymywać to bardzo szybko.

A także zmieniać wszystkie inne przepisy administracyjne - wprowadzić bez przekraczania obowiązującego budżetu, ale też bez konieczności zwracania się z tym do Senatu, pomyślał

Jacen.

Urzednicy przekazali mu niewiarygodnie dużą władzę, którą zamierzał wykorzystać do zmiany metod

rzządzenia galaktyką. A przede wszystkim do obalenia przywódcy Omasa. Na razie nie był pewny, jak się do tego zabierze, ale zamierzał to zrobić, i to już niedługo. Koniec Galaktycznego Sojuszu miał nastąpić nie w błyskach zwierających się kling świetlnych mieczy, salwach z dział czy tłumie żołnierzy otaczających gmach Senatu, ale z powodu arkusika flimsiplastu i aprobaty kilku osób.

- Dobra robota - odezwał się cicho. - Umiesz wywierać wpływ na ludzi.

- To nip ją - zastrzegła Lumiya. Solo usłyszał w jej głosie rozbawienie. - Sami podjęli taką decyzję. Nie musiałam im w tym pomagać. Wystarczyło, że skierowałam w inną stronę sprzeciw z galerii dla publiczności.

Ironia losu bywała czasami trudna do zniesienia. Jacen nie wiedział, czy odczuwać satysfakcję z powodu wyniku głosowania, czy też wściekać się na głupotę senatorów, którzy pozwolili, żeby coś takiego uszło mu na sucho.

Zasługiwali na to, żeby władał nimi Sith.

Z całą pewnością.

ROZDZIAŁ 6

Z raportów wynika, że na powierzchni ojczyzny Sikan doszło do ciężkich starć między siłami zbrojnymi Sikan a chekutskimi żołnierzami, którzy zaatakowali tę planetę. Sikańskie władze zwróciły się do Galaktycznego Sojuszu z prośbą o interwencję w sprawie, którą określają mianem oportunistycznej agresji. Na skutek obaw, że inwazja wciągnie do konfliktu więcej planet z Rejonu Ekspansji, na wielu giełdach spadły ceny akcji.

z biuletynu informacyjnego HoloNetu

Okręt Galaktycznego Sojuszu „Szcudrość” i fregata „Brawura” na pozycji w sektorze Bothawui

Pani admirał Niathal musiała przyznać, że nowa bothańska fregata wygląda bardzo zgrabnie.

Galaktyczny Sojusz nie miał jeszcze tego okrętu w swoich bazach danych. Stojąc na mostku

„Szcudrości”, Kalamarianka obserwowała na ekranie monitora, jak fregata opuszcza łukiem orbitę nad Bothawui w towarzystwie pięciu nieuzbrojonych małych statków zaopatrzeniowych.

Wiedziała, że systemy identyfikacyjne jej okrętu natychmiast zarejestrują sylwetkę fregaty i wszystkie dane na jej temat.

- Wygląda na to, że Bothanie wybrali się na zakupy - mruknęła. - Przynajmniej pod tym względem agenci naszego Wywiadu się nie pomylili.

- Chyba nadal unowocześniają swoją flotę - odezwał się komandor Piris. Za fregatą leciały tylko statki zaopatrzeniowe, ale może to był kamuflaż. Niathal nigdy nie ufała Bothanom. -

Postaramy się zebrać o fregacie jak najwięcej danych, zanim choć zadraśniemy lakier jej kadłuba. Mam nadzieję, że zachowali faktury...

- Jak pan myśli, zbudowano ją w KDY? - zapytała Niathal.

- Nie, na Tallaanie - odparł Piris. - Wiedzielibyśmy, gdyby takie jednostki powstawały w stoczniach Kuata.

- No cóż, nie zniszczą z ich pomocą Coruscant, ale jeżeli naprawdę mają ich tyle, o ilu wspominają agenci Wywiadu, zmuszą nas do rozproszenia okrętów naszych flot.

Admirał Niathal wyznawała podobną filozofię wojny jak Jacen Solo, a jej częścią było dokładanie starań, żeby żołnierze widzieli ją na linii frontu. Lubiła także osobiście sprawdzać wszystkie raporty agentów Wywiadu Galaktycznego Sojuszu. Już w obecnej chwili jej okręty były bardzo rozproszone i Niathal zastanawiała się, o co może chodzić Calowi Omasowi. Jej niepokój mógł zwrócić uwagę członków załogi „Szczodrości”, bo Kalamarianka przechadzała się tam i z powrotem po mostku, od czasu do czasu rzucając okiem na ekrany monitorów i wyświetlacze sensorów.

- Potrzebujemy każdego okrętu, na jakim możemy położyć rękę, pani admirał. - Dowódca

„Szczodrości”, Piris, pełnił służbę na mostku o wiele za długo. Był Quarrenem, przedstawicielem rasy istot, których przodkami były stworzenia ziemnowodne, więc atmosfera na pokładzie okrętu była dla niego zbyt sucha, żeby pełnić służbę dwie kolejne wachty. Piris miał szczelnie zapięty pod szyją kołnierz munduru i obcisłe mankiety, ale i tak od czasu do czasu musiał ocierać twarz wilgotną chustką. Stanowczo powinien odpocząć w swojej kabine, gdzie powietrze miało bardzo dużą wilgotność. - Jeżeli bothańska flota rzeczywiście rozwija się tak szybko, jak sugerują to agenci Wywiadu, nie damy sobie z nią rady. Nie możemy wspierać Sikan. Nie powinniśmy włączać się w każdy lokalny konflikt.

- Wygląda na to, że w następnej kolejności wybuchnie konflikt o planetę Kem Stor Ai. -

Niathal czasem miewała ochotę, żeby obrać za cel jedną planetę i zbombardować ją z orbity, aż przemieni się w żużel, a później zapytać władców wszystkich innych światów, czy życzą sobie, żeby i ich planety spotkał taki los. Wiedziała jednak, że to tylko marzenia. - Przywódca każdej zacofanej planетки przypomina sobie teraz o zadawnionych urazach i dąży do wyrównania porachunków, licząc na to, że w imię jedności Sojuszu pospieszymy mu na pomoc. A Omas uważa, że spełnienie ich próśb zapobiegnie rozpadowi Sojuszu.

- Kiedy do niego dotrze, że to nie ma sensu? - zapytał Piris.

- Prawdopodobnie wtedy, kiedy nie dam mu innego wyboru.

Bothanie pierwsi chyba odkryli, na co się zanosi. Zamiast budować nowe okręty liniowe -

dysponujące dużą siłą ognia, ale stanowiące podczas bitwy łakomy kąsek dla nieprzyjaciół -

postanowili wcielić do swojej Marynarki wiele małych, zwinnych jednostek. Zamawianie takich

okrętów nie powinno wzbudzić niczyich podejrzeń, bo też nie wyglądało to na wysięg zbrojeń.

- Ta wojna będzie inna - stwierdził Piris. - Od tej pory będą się liczyły elastyczność i umiejętność szybkiego reagowania. - Położył dłoń na panelu okrętowego interkomu. -

Przekonajmy się, co są warci. - Pstryknął dźwigenką przełącznika. - Eskadro Mothma, możecie startować, kiedy tylko będziecie gotowi. Eskadro Qaresi, pozostańcie w piątym stopniu pogotowia. Postarajcie się nie dopuścić, żeby tamci opuścili swoje przestworza, jeżeli jednak zostanieie zaatakowani, możecie odpowiedzieć ogniem.

Niathal zastanawiała się cały czas, kto mordował Bothan i doprowadził do eskalacji tego konfliktu. To mogli być nasi ludzie, pomyślała. Pewnie jakiś kretyn z Wywiadu. Wiedziała, że wcześniej czy później się tego dowie. Jeżeli pewnego dnia miała zostać przywódczynią Galaktycznego Sojuszu, musi przedtem usunąć wszystkich, którzy działają na własną rękę.

- Gdyby nam się udało nakłonić naszych kosmatych przyjaciół, żeby nas oprowadzili po swoim nowym okręcie... - zaczęła. W tych okolicznościach przechwycenie nowej fregaty i wdarcie się na jej pokład było jednak niemal niemożliwe. Najlepsze, na co Sojusz mógł liczyć, to zebranie jej szczątków w celu dokładnego obejrzenia. - Bardzo chciałabym poznać jej maksymalną prędkość.

Niathal nie mogłaby powiedzieć, że nie lubi Bothan, chociaż nie miała do nich zaufania.

Nie mogłaby także powiedzieć, że nie lubi Quarrenów, chociaż wielu Kalamarian nie darzyło ich sympatią. Quarrenów rzadko się widywało na pokładach okrętów. Niathal знаła kalamariańskich oficerów, którzy zrobiliby wszystko, żeby tylko nie przydzielono im ąarreńskich członków załóg. Wiedziała także, że nawet podczas obecnej wojny bardzo niewielu Quarrenów chciało służyć u boku Kalamarian. Kiedy jednak do tego doszło, byli dobrzy, bardzo dobrzy. Piris był chyba najlepszym dowódcą okrętu, jakiego znała. Gdyby przypadkiem usłyszała, że jakiś Kalamaria- nin przeżywa go Kalmarogłowym, kazałaby ziomkowi stanąć do raportu i nie troszczyłaby się o to, że za plecami nazywano by ją ąarrenofilką.

Czy mieliśmy prawo zabierać dzieci Quarrenów i dla własnych interesów poddawać je socjologicznemu eksperymentowi? - zadawała sobie pytanie, ostatnio coraz częściej, i zawsze odpowiadała na nie przecząco. Jacen Solo uznałby, że jest beznadziejnie tolerancyjna.

Na razie zastanawiała się, jak pozbawić go władzy i wpływów, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Wiedziała, że to nie będzie łatwe zadanie.

- „Szcudrość”, „Brawura”, czekajcie w pogotowiu.

Z hangaru „Szcudrości” wyleciało dwanaście gwiazdnych myśliwców. Ich piloci zatoczyli łuk, obrali kurs na bothańską fregatę i zaczęli się oddalać od macierzystego okrętu. W pewnej chwili eskadra rozdzieliła się na trzy klucze. Obserwacyjne kamery w kabinie każdego pilota przekazywały na mostek i do ośrodka dowodzenia „Szcudrości” trójwymiarowy obraz pola przyszłej bitwy. „Brawura” leciała obecnie po stronie sterburty większego okrętu, gotowa na każdą reakcję Bothan.

- Czy kiedykolwiek szkolila się pani na pilotkę, pani admirał? - zapytał Piris.

- Nie. A pan?

- A ja tak - odparł komandor. - W sytuacjach takich jak ta czasami żałuję, że nie siedzę w kabinie myśliwca.

- Jeżeli ta wojna się rozwinie, panie komandorze, tym okrętem zaczniesz dowodzić android, a pan będzie brał udział w lotach bojowych - zażartowała Kalamarianka. - Nie mam pojęcia, co sama będę wówczas robiła.

- Będzie pani przywódczynią Galaktycznego Sojuszu - odparł Piris.

U Quarrenów najbardziej denerwujący był brak widocznej reakcji na słowa rozmówcy. Ludzie się uśmiechali, natomiast emocje Quarrenów maskowały wyrastające z twarzy macki.

- To będzie pamiętny dzień - stwierdziła Niathal, w nadziei, że uniknie rozwijania tematu swoich ambicji. W obecnej chwili nie myślała o przywództwie Galaktycznego Sojuszu.

Czekała ją bitwa, a wszystkie instynkty i wyrobione podczas szkolenia nawyki mówiły jej, że chce być właśnie tu, na mostku gwiazdowego okrętu, zamiast siedzieć za biurkiem w gabinecie.

Piloci myśliwców pierwszego klucza, który znalazł się w zasięgu dział bothańskiej fregaty, lecieli w odległości kilometra od niej, przecinając raz po raz spodziewaną trajektorię jej lotu.

Piloci drugiego klucza zajęli pozycje za rufą fregaty i omiatając kadłub promieniami sensorów, zaczęli przysyłać dane na pokład macierzystego okrętu.

Bothanie zareagowali dopiero po kilku sekundach, więc może rzeczywiście nie wszystkie ich systemy były włączone albo zupełnie sprawne. Fregata zwiększyła prędkość i skierowała się w głąb przestworzy. Towarzyszące jej statki zaopatrzeniowe podążyły za nią.

A zatem Bothanom się wydawało, że mają nowiuteńki okręt, którym sprawią Sojuszowi niespodziankę, ale Sojusz go zauważył. Niathal czekała na reakcję Bothan, a piloci trzeciego klucza eskadry Mothma śledzili rozwój sytuacji z gotowymi do strzału laserami, ale bez namierzania konkretnych celów. Nie było sensu niszczenia fregaty, dopóki piloci nie zbiorą wszystkich informacji

o jednostce nowej klasy.

- Bardzo grube płyty kadłuba jak na fregatę - zauważyła Niathal, zerkając na informacje przekazywane przez pilotów gwiazdnych maszyn. Piris pochylił się nad wizerunkami i obrazami skanerów. - Co najmniej dwanaście turbolaserów i dwadzieścia dział.

- Nic, co by odbiegało od normy - odparł Quarren.

- To zależy, ile mają jeszcze okrętów tej klasy.

Nie musieli długo czekać, żeby się o tym przekonać. Już w następnej sekundzie na mostku rozległ się ostrzegawczy klakson ze stanowiska sensorów.

- Panie komandorze, nieprzyjacielski kontakt... poprawka, wiele kontaktów w zasięgu strzału! -

krzyknął w tej samej chwili oficer odpowiedzialny za systemy uzbrojenia. — Zaczyna się zabawa!

- „Szczodrość”, „Brawura”, pogotowie bojowe. Zewrzeć szyk 1 zsynchronizować informacje ze szczebla dowodzenia. Sternik, cała naprzód. Eskadra Qaresi, start... Bronzium i pozostałe eskadry, możecie startować, kiedy osiągniecie gotowość.

Nikt nie wypowiedział słowa „zasadka”. Na mostku rozległ się gwar rozmów pilotów gwiazdnych maszyn.

- Zrozumiałem... pięć, sześć... poprawka, dziesięć... wykrywam uzbrajanie dział... otwieram ogień..

- Biorę na cel źródło.

- Poprawka, dziewiętnaście...

- Namierzyli mnie!

- Osłaniam twoją szóstą. Wyrzucam plewy.

Porastające twarz Pirisa macki pozostawały zupełnie nieruchome. Dowódca okrętu okazywał godny podziwu spokój.

- Artylerzyści, wziąć na cel wszystkie bothańskie okręty w zasięgu strzału. Możecie otworzyć ogień, kiedy tylko będziecie gotowi...

W jednej chwili mieli do czynienia z samotną nowiutką fregatą by w następnej obserwować, jak z nadprzestrzeni wyskakują dokładnie w pięciosekundowych odstępach następne. Piloci eskadry Mothma rejestrowali ich wizerunki dzięki kamerom w kabinach. Wszystkie fregaty miały na kadłubach bothańskie barwy - i wszystkie były nowe, chyba prosto ze stoczni. Na kadłubie żadnej nie było widać rys czy śladów po trafieniach.

W pewnej chwili na ekranach pojawił się czerwony błysk laserowego światła i obraz z kamery jednego z myśliwców typu XJ zniknął. Maszyna wpadła w korkociąg i po chwili rozsypała się na tysiące rozżarzonych do czerwoności szczątków. Na mostku nadal było słyhać rozmowy pilotów, ale personel mostka skupiał uwagę na „walce z okrętem” - atakowaniu wroga.

„Brawura” zajęła miejsce między „Szczodrością” a bothańską flotyllą. W miarę jak działa i lasery fregaty Galaktycznego Sojuszu osiągały gotowość do strzału, a ich obsługa namierzała cele, stanowiska ogniowe zaczęły się pojawiać na informacyjnym ekranie zsynchronizowanego dowodzenia w postaci mrugających symboli.

- Osiem kontaktów nie prowadzi ognia, panie komandorze, ani nawet nie uzbraja laserów -

zameldował jeden z oficerów.

„Szczodrość” zadrżała, kiedy od osłon okrętu odbił się impuls laserowego ognia. Niathal podeszła do sąsiedniego stanowiska, którym dowodził kompetentny oficer. Zamierzała uzyskać informację o rozmiarach uszkodzeń, jednak podczas bitwy wizytujący mostek naczelny dowódca był najgorszą plagą. Kalamarianka doszła więc do wniosku, że musi sobie znaleźć jakieś zajęcie.

- Nie szkodzi... otworzyć do nich ogień. - Piris odwrócił się do Niathal. - Gdyby im się udało obezwładnić nas, przynajmniej prześlemy dalej zebrane dane. Jeżeli zaś tego nie zrobią... cóż, całkiem spora flotylla bothańskich okrętów nigdy nie powróci do domu.

- Nie spodziewałabym się, że zarządzą taktyczny odwrót, panie komandorze - mruknęła Niathal. Zauważyła, że Bothanom udało się trafić trzy następne myśliwce typu XJ. Nie знаła ich pilotów i w pierwszej chwili przejęła się tylko tym, że straciła trzy maszyny, ale zaraz skarciła się w myśli za bezdusność. Zawsze się tak działo. - Liczy się to, że jeszcze żyjemy.

Postarajmy się wyrządzić jak najwięcej szkód.

Naturalnie Bothanie mieli taki sam zamiar.

Dwie nieprzyjacielskie fregaty obrały kurs na zderzenie ze „Szczodrością”. Artylerzyści pięciu innych z pozostałej flotylli nadal strzelali do myśliwców XJ. Operatorzy dział „Brawury”

otworzyli ogień. Niathal obserwowała, jak na rufowej sekcji jednej z fregat rozkwitają ogniste kwiaty eksplozji. Po chwili rufa rozpadła się na ogniste odłamki, które poleciały w stronę jednego ze ścigających okręt myśliwców Galaktycznego Sojuszu. Po pięciu minutach walki piloci maszyn z pokładu „Szczodrości” ponieśli straty, chociaż nie wszystkie z powodu bezpośrednich trafień. Druga ostrzeliwana przez pilotów myśliwców typu XJ fregata zmieniła kurs. W kadłubie bothańskiego okrętu widniała ognista szczelina.

- Nasze plewy nie pogarszają celności ich strzałów, panie komandorze. - Składający meldunek pilot mówił z wyraźnym wysiłkiem. — Wykorzystują wrażliwe na źródło ciepła wąskopasmowe sensory. W przyszłości będziemy musieli...

Umilkł w tej samej chwili, kiedy zniknął obraz z jego pokładowej kamery.

— Uwaga, wszystkie siły powietrzne, zarządzam odwrót — warknął Piris. - Artylerzyści, otworzyć ogień do wszystkich celów. Natychmiast.

Ciekawym zjawiskiem były różnice w postrzeganiu upływu czasu podczas bitwy między różnymi rasami. Ludziom czas zaczynał płynąć wolniej, bo ich mózgi rejestrowały o wiele więcej szczegółów dotyczących zagrożenia, a przy tym nie zwracali uwagi na drugorzędne cele.

W przeciwieństwie do istot ludzkich Kalamarianie i Quarrenowie dostrzegali wszystko i brali pod uwagę każdy drobiazg. To właśnie dlatego byli tak dobrymi dowódcami. Instykt Niathal

podpowiadał jej, że siły Sojuszu powinny zaatakować nieprzyjaciół z całą mocą. Pani admirał

przylapała się na zastanawianiu, dlaczego w ogóle marzy o objęciu przywództwa Galaktycznego Sojuszu. Obserwowała obrazy na taktycznych planszach i ekranach monitorów.

Z głośników komunikatorów słyszała gwar rozmów pilotów gwiazdnych maszyn.

Trójwymiarowe wizerunki w jej głowie, na bieżąco aktualizowane, pokazywały całe pole bitwy... zamierzała wykorzystać całą siłę ognia jaką mieli do dyspozycji.

, Do tej pory udało im się unieszkodliwić dziewięć bothańskich fregat. Jedne dryfowały bezradnie w przestworzach, inne przemieniły się w wypalone wraki, a z kadłubów kilku buchały od czasu do czasu pomarańczowe płomienie. Artylerzyści pozostałych jeszcze przez pół minuty odpowiadali ogniem, ale później przestali przesyłać energię do stanowisk dział i turbolaserów.

- Poddają się? - zapytał dowódca wachty.

- Przygotowują się do skoku - odparł Piris. - Ognia, ognia ognia!

Siedem fregat przyspieszyło do prędkości nadświatłowej i zniknęło w krótkich odstępach czasu.

Trzy pozostałe się spóźniły, więc ściągnęły na siebie ogień wszystkich dział i laserów okrętów Galaktycznego Sojuszu.

Piris spojrzął na Niathal, pokiwał głową z satysfakcją i pochylił się nad konsolą dowodzenia.

- Jednostki powietrzne, czy któryś myśliwiec jest uszkodzony na tyle, że jego pilot nie da rady dotrzeć o własnych siłach do punktu zbornego? - zapytał.

- Mothma Pięć-zero, panie komandorze - usłyszał w odpowiedzi. - Powolna ucieczka atmosfery z kabiny.

- Qaresi Osiem, panie komandorze.

Personel mostka czekał w milczeniu, a artylerzyści nadal kierowali lufy dział w miejsce, w którym zniknęły resztki flotyli Bothan. Piloci ocalałych XJ-7 wlatywali jeden po drugim do hangaru okrętu, a jednostki ratownicze wlatywały, żeby ściągnąć dwie uszkodzone maszyny.

- Kiedy będziecie gotowi, uszczelnić włazy i przygotować się do skoku - rozkazał Piris. - Czy dalekosiężne skanery nie odnotowały gdzieś kawalerii Bothan? Nie? To dobrze. - Spojrzął na chronometr zwisający na łańcuszku z kieszonki bluzy. - Niecałe dwadzieścia minut, pani admirał - powiedział. - Czy to była zaplanowana zasadzka; w którą wpadliśmy, czy też może Bothanie postanowili wykorzystać nasze niefortunne pojawienie się w ich przestworzach?

Wynik dwanaście do zera dla nas, jeżeli nie liczyć straconych myśliwców. Jak pani uważa, wygraliśmy czy przegraliśmy?

- Dam panu znać, co zdecydują koledzy od propagandy - odparła Kalamarianka. - Bitwa potwierdza jednak moje stanowisko.

Gdybyśmy mieli do dyspozycji tylko te siły, jakie mamy w tej chwili, musielibyśmy wykorzystać wszystkie do rozwiązania problemów Korelii i Commenora, a w tej chwili także Bothawui. Jeżeli przywódca zamierza nadal wysyłać okręty do pacyfikacji wszystkich lokalnych konfliktów, musi nam dać przynajmniej jeszcze jedną flotę. Ale nawet gdyby Sojusz znalazł na to dość kredytów, skąd weźmiemy wyszkolony personel?

Piris wzruszył ramionami.

- Imperia, które zanadto się rozrastają w końcu załamują się pod własnym ciężarem - powiedział.

- Może właśnie w tej chwili jesteśmy tego świadkami? - mruknęła Niathal.

Jej ciało sygnalizowało, że bitwa dobiegła końca. Było jej za gorąco, bo biochemiczne systemy obronne szukały ran i obrażeń, którymi mogłyby się zająć, ale niczego nie znajdowały.

Tak się czuła godzinę czy dwie po zakończeniu każdej bitwy. Kalamarianka spędziła ten czas na mostku, przechadzając się, poklepując po plecach członków załogi i mówiąc im, jak dobrze się spisali. Zauważyła młodego mężczyznę, który nie odrywając spojrzenia od ekranu stojącego przed nim monitorem, ukradkiem ociera łzy grzbietem dłoni, i domyśliła się, że tego dnia stracił

co najmniej jednego przyjaciela. Nie mogła na to nic poradzić, więc tylko postąpiła jakąś minutę w milczeniu za jego plecami z dłonią na jego ramieniu. W tym czasie pozostali członkowie załogi na mostku czynili przygotowania do skoku.

- Będę w mojej dziennej kabinie - poinformowała w końcu Pirisa i uściśliła mu dłoń. - Dobra robota, panie komandorze

- pochwaliła.

Wiedziała, co będą gadać, kiedy kłapa wjazdu mostka zamknie się za jej plecami. Zdziwi się, że stara Lodowa Twarz może przechadzać się po mostku, poklepywać po plecach ich kolegów i okazywać im współczucie. Bitwa zawsze wywierała na nią taki wpływ. Po jej zakończeniu Kalamarianka potrafiła - choć krótko

- okazywać prawdziwe uczucia, zanim stawała się znów wyłącznie politykiem i kompetentnym oficerem Marynarki, spragnionym udziału w akcji bojowej.

Doszła do wniosku, że widok nadprzestrzeni za iluminatorem działała na nią kojąco. Od czasu do czasu skupiała uwagę na tej czy innej świetlistej smudze. Wyobrażała sobie gwiazdę, wokół

której orbitowały pełne życia planety. Widziała oczami duszy, co się na nich dzieje. Musiała to robić, bo chciała się zastanowić, co powiedziec Calowi Omasowi.

Zamierzała przedstawić mu ultimatum, ale rozumiała, że jeżeli jej słowa mają wywrzeć pożądany skutek, u jej boku musi stać Jacen Solo.

Coruscant, kwatera główna SGS

Kapitan Heol Girdun uśmiechnął się i gestem zaprosił Bena do ciemnego pomieszczenia.

Chłopak nie wyobrażał sobie mniej przyjemnego sposobu spędzenia popołudnia.

- Zobacz sam - powiedział, kiedy oczy Bena przyzwyczyły się do półmroku. Pomieszczenie nie miało okien, a jedyny blask padał z rzędów holokranów i monitorów. Ben uświadomił

sobie, że przy konsolach siedzą żołnierze SGS. Ich twarze miały wyraz obojętnej koncentracji, co wyglądało, jakby byli znudzeni. - Oczy i uszy Straży Galaktycznego Sojuszu.

Witaj w centrum monitorowania i podsłuchu. To nasz najlepszy system bezpieczeństwa.

- Panie kapitanie - szepnął jeden z poruczników. - Proszę mówić ciszej, dobrze?

' Girdun wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu. Na jego twarz padała niebieska poświata z pobliskiego analizatora częstotliwości.

- To prawdziwi artyści - szepnął. Ujął Bena pod rękę i zaprowadził do wnęki w ścianie, z daleka od włączonych konsol. Pewnie nie wiedział, jak łatwo Jedi omijają przeszkody w ciemności, ale Ben nie zamierzał mu tego uświadamiać. - To właśnie stąd mamy oko na senatorów i innych rozrabiaków... naturalnie dla ich dobra - powiedział.

- Czyje rozmowy pan podsłuchuje? - Ben poczuł się nieswojo. - Idę o zakład," że to nic ekscytującego.

- Wszystkich urzędników rządowych i osoby z naszej listy prawdopodobnych i pewnych malkontentów, a także polityków - odparł oficer. - A zważywszy na to, jak wielu mamy senatorów i ile gadają dysponujemy zautomatyzowanymi systemami rozpoznawania głosu, które odwalają za nas prawie całą robotę. Bez tego musielibyśmy tu siedzieć następne tysiąc lat.

Jeżeli androidy wyłapią interesujące nas słowa, oznakowują rozmowę i dają nam znać. Dopiero wówczas musimy wysłuchać jej całej.

Jeden z żołnierzy - Zavirk - wsypał słodzik do filiżanki z kafei- ną i podniósł ją do ust.

Wyglądał dość zabawnie ze zwisającym z ucha urządzeniem rozpoznającym dźwięki.

- Zaciągnąłem się do armii, żeby poznać galaktykę - szepnął. -A tymczasem słucham osiem godzin bez przerwy, jak pomyleni politycy umawiają się z...

- Ben ma dopiero czternaście lat - przypomniał mu Girdun.

- No cóż, jeżeli pan mu każe podsłuchiwać rozmowy, panie kapitanie, usłyszysz rzeczy, od których włosy zjeżą mu się na głowie - odparł Zavirk.

Ben nigdy się nie zastanawiał nad tym, jakie skutki może mieć podsłuchiwanie rozmów osób podejrzanych i pełniących ważne funkcje.

- Nie martw się, nie zemdleję - powiedział. - A jeżeli jestem wystarczająco duży, żeby do mnie strzelano, jestem także dość dorosły, żeby usłyszeć... to i owo.

- Trudno odmówić logiki takiemu rozumowaniu - przyznał Girdun. Usiadł przed konsolą i wręczył mu słuchawkę. - Na tym ekranie zobaczysz pliki dźwiękowe, które android zaznaczył

jako warte przesłuchania, a także nagrania zarejestrowane przez obiektywy holokamer.

Zapoznaj się z nimi i zdecyduj, czy są na tyle ważne, żeby się tym zająć. Zwracaj uwagę na każdego, kto dąży do kontaktu z senatorami i wyda ci się dziwny. Interesuj się także rozmowami o senatorach i funkcjonariuszach rządowych. Jako Jedi zapewne masz szósty zmysł, więc korzystaj z niego, tak jak kiedyś przy wykrywaniu materiałów wybuchowych.

- To samo potrafią bojowe neki - stwierdził Zavirk. - Jednak porucznik Skywalker przyjemniej pachnie. A poza tym umie robić różne sztuczki.

Ben doszedł do wniosku, że może jednak spodoba mu się nowa praca. W mrocznym pomieszczeniu wcale nie czuł się jak w centrum szpiegowania. Miał siedzieć obok żołnierzy, których na ogół dobrze znał, i zajmować się rutynowym podsłuchiowaniem, co podczas wojny nie było niczym dziwnym. Podzielił swoje uczucia, żeby nie myśleć o Durze Gejjenie jako o konkretnej osobie. Premier Korelli miał żonę i dziecko. Tenel Ka jednak też miała dziecko, a Gejjen nie zawahał się przed nasłaniem na nią mordercy. Ben rozważał moralne aspekty swojego zadania i nie mógł zdecydować, czy tylko nie wmawia sobie tego, co chce usłyszeć.

Najgorsze, że nie mógł z nikim o tym porozmawiać.

Usiadł na fotelu przed monitorem, by sprawdzić zarejestrowane nagrania, i postarał się nie myśleć o Gejjenie. Przysłuchując się rozmowom - przeważnie nudnym, czasami dziwnym, a od czasu do czasu niezrozumiałym - wpadł w stan, jaki osiągał tylko podczas medytacji. Obecnie musiał się starać, żeby nie zniknąć z Mocy, ale nadal ćwiczył tę umiejętność, kiedy mógł.

W centrum monitorowania i podsłuchu unosiła się intensywna woń kafeiny. Po kilku godzinach pracy Ben doszedł do wniosku, że także jej potrzebuje. Właśnie słuchał rozmowy dwójki pracowników rządowych na temat regularnej trasy, jaką jedna z senatorek poruszała się między swoim apartamentem a gmachem Senatu, kiedy jego uwagę zwrócił szelest tkaniny i prowadzona szeptem rozmowa przy innej konsolce. Zavirk wezwał na pomoc Girdu- na.

Wyglądali dziwnie ponuro. Ben zaczął słuchać ich dialogu.

- Jesteś pewny? - zapytał Girdun.

- Jeżeli mi pan nie wierzy, może pan sam dokonać identyfikacji głosu - odparł żołnierz. - To premier Korelii.

W mrocznym pomieszczeniu pracowało dziesięć osób, ale wszystkie zaczęły się przysłuchiwać zarejestrowanej rozmowie. Mówiąc z lekkim akcentem łagodnym, ale przekonującym tonem, Gtejjen perswadował komuś, że nie ma sensu załatwianie sprawy zwykłymi kanałami, bo nikt inny nie ma nastroju do prowadzenia negocjacji.

„... pan i ja dobrze wiemy, że problem można rozwiązać, eliminując kilku fanatyków... kilku naszych wojskowych dowódców i kilka osób po pańskiej stronie. Ogłosiłbym natychmiast zawieszenie broni, gdybym mógł być pewny kilku rzeczy”.

„Na przykład jałtich?” - Wszyscy bez trudu rozpoznali charakterystyczny głos Cala Omasa. A zatem podsłuchiwali bezpieczny kanał komunikatora samego przywódcy Galaktycznego Sojuszu. Ben nie był pewny; czy mają na to czyjąkolwiek zgodę.

„Zgodzimy się na to, aby Korelia połączyła swoje siły zbrojne z wojskami Galaktycznego Sojuszu, jeżeli w umowie znajdzie się klauzula, że będziemy je mogli wycofać, kiedy nasze potrzeby okażą się pilniejsze. Niathal musi odejść. Jacen Solo musi odejść. Kiedy zostaną usunięci, sytuacja się unormuje, a pan uzyska to, na czym panu zależy”.

„Centerpoint”.

„No cóż, i tak mamy problemy z naprawieniem jej urządzeń”.

„Centerpoint musi pozostać niesprawna”.

Zapadła krótka cisza... zbyt krótka, żeby ktokolwiek oprócz Bena zwrócił na to uwagę.

„Już jest niesprawna, ale jeżeli pan chce umieścić na niej międzyplanetarne siły zbrojne albo obserwatorów, nie będę miał nic przeciwko temu”.

„A co z Bothanami i siłami zbrojnymi innych planet, które toczą lokalne wojny?”

„Mogę zmusić do posłuszeństwa Commenorian i Bothan. Kiedy Korelia wróci do Sojuszu, Bothawui będzie musiała pójść w nasze ślady. A jeżeli lokalne konflikty wymkną się spod kontroli, wyślemy własne oddziały, żeby położyć im kres”.

„Senat się na to nie zgodzi”.

„Jeżeli zaczniemy od wyeliminowania Niathal i Solo, Senat także się uspokoi... a przynajmniej to, co z niego zostanie”.

„Wyeliminować... nie odejdą po cichu... mogą doprowadzić do rozłamu w łonie Senatu. Po ich stronie opowiada się G'Sil, a bardzo wielu senatorów liczy się z jego zdaniem”.

„No cóż, można kogoś wyeliminować na różne sposoby”.

Omas przełknął ślinę, ale nie odpowiedział.

Gejjen pierwszy przerwał przedłużającą się ciszę.

„Wie pan chyba, że mamy do wykonania zadanie, zanim ta wojna obejmie zasięgiem całą galaktykę”.

„Dobrze. Dobrze”.

„Musimy się spotkać. Czy może pan polecieć na Vulptera?”

Tym razem cisza trwała dłużej.

„Wymyślę jakiś powód. Niech pan mi poda szczegóły...”

Girdun gapił się na ekran, jakby przypuszczał, że coś zrozumie, jeżeli będzie się w niego wystarczająco długo wpatrywał. Zavirk siedział przed konsolą z brodą opartą na dłoni i spoglądał w górę na kapitana, czekając na rozkazy.

- Proszę natychmiast przesłać pułkownikowi Solo transkrypcję tego nagrania - odezwał się w końcu oficer.

Ben nie był pewny, co się dzieje, chociaż uważał, że Omas powinien był poinformować członków Rady Bezpieczeństwa o tej rozmowie.

- Czy przywódca Galaktycznego Sojuszu nie może rozmawiać z premierem Korelii? - zapytał.

- Zależy o czym - odparł Girdun. - No i zależy, co chce zrobić pułkownikowi Solo i pani admirał Niathal.

Jeżeli Gejjen mógł planować zabicie królowej-matki planety Hapes i wydać rozkaz zamordowania Thrackana Sal-Solo, równie łatwo mógłby zorganizować wyeliminowanie Jacena i Niathal. Ben zrozumiał, że właśnie uzyskał odpowiedź na swoje wątpliwości, czy wykonanie jego zadania jest konieczne.

Girdun pochylił się nad Zavirkiem i poklepał konsolę.

- Ta rozmowa miała miejsce cztery godziny temu - powiedział. - Lepiej sprawdź, czy przywódca Omas nie wybiera się w drogę. Nie powiedział nam, że zamierza odlecieć z Coruscant, a jeżeli rzeczywiście będzie chciał to zrobić, musimy mu przydzielić drużynę ochroniarzy.

- Przypuszcza pan, że będzie jej potrzebował? - zdziwił się Ben.

- Nawet dwóch drużyn, jeżeli zamierza się spotkać z Gejjenem - usłyszał w odpowiedzi.

Ben nie był pewny, czy powinien wspomnieć o Tenel Ka. Nie miał pojęcia, który z funkcjonariuszy SGS jest lepiej, a który gorzej poinformowany.

- Sądzi pan, że Gejjen naprawdę zechce mu coś zrobić? - zapytał.

- Moim zdaniem robi to z nawyku, podobnie jak ja żuję ner- wopaleczki.

Ben nie wiedział, czy Cal Omas postępuje zgodnie z prawem, zatajając przed Senatem informację, że zamierza osobiście porozmawiać z wrogiem. Obawiał się, że przywódca Sojuszu może wpaść w pułapkę podobną do tej, którą Gejjen zastawił na Tenel Ka... a także na zabitego, nieopłakiwanego przez nikogo kuzyna wujka Hana, Thrackana Sal-Solo.

Tak jak zawsze Jacen miał rację. Gejjena trzeba było powstrzymać.

Coruscant, gmach Senatu, gabinet naczelnego dowódcy

Jacen przeczytał transkrypcję trzeci raz i położył komputerowy notes na biurku pani admirał

Niathal.

Na ścianie za plecami Kalamarianki widniał hologram Kalamara. Całą powierzchnię planety zajmował błękitny, roziskrzony

1 / "A

ocean, z którego wystawały poskręcane budynki pływających miast. Jacen zastanowił się, czy Niathal nie odczuwa tęsknoty za ojczyzną. Właśnie wróciła z pola bitwy, która nie potoczyła się zgodnie z przewidywaniami, i chyba nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy się w tej sprawie z Callem Omasem.

To oznaczało, że jest podatna na sugestie. Jacen wolał nie wpływać na jej umysł. Wiedział, że Niathal jest odporna na myślowe sztuczki Jedi, więc gdyby chciał się do nich uciec, mógłby ją sprowokować.

- Nie ma to jak wspólny front podczas wojny. - Odchylił się do tyłu w fotelu i zaplótł palce za głowę.
- Chyba nie cieszymy się w tym miesiącu jego względami. Nasz bohaterski przywódca jakoś nie stanął w naszej obronie.

Biały mundur pani admirał nie miał ani jednego zagniecenia, chociaż Kalamarianka właśnie zeszła z pokładu okrętu, na którym brała udział w bitwie.

- Powiedziałaabym, że to zakrawa na niewdzięczność - mruknęła.

Nigdy nie słyęła z poczucia humoru. Jacen znał mowę ciała Kalamarian na tyle dobrze, aby się orientować, że Niathal jest rozgniewana. Cały czas kręciła głowę jakby było jej gorąco, a kołnierzyk bluzy munduru uwierał ją w szyję. Co chwila rozdy- mała nozdrza, co oznaczało, że dojrzała do przyjęcia kilku radykalnych sugestii w sprawie Omasa.

Jacen zarzucił przynętę.

- Jak pewnie wiesz, kiedy Gejjen mówi, że ktoś musi odejść, nie ma na myśli ciepłego uścisku dłoni i oprawionego w ramkę dyplomu z podziękowaniami za lojalną służbę - powiedział.

- Wyrzuć to z siebie, Jacenie - burknęła pani admirał.

- To on jest odpowiedzialny za śmierć Thrackana Sal-Solo...

Niathal zmrużyła oczy.

- Jestem wstrząśnięta, wiesz? - wycedziła z przekąsem. - Wstrząś-nię-ta.

- ... a także za próbę zabicia hapańskiej królowej-matki - dodał Solo. Mojej ukochanej, pomyślał. Matki mojej córki. Mojej małej dziewczynki. Bardzo chciałbym je znów zobaczyć. -

Ja i ty jesteśmy następni na jego liście.

Niathal na sekundę zacisnęła nozdrza. U Kalamarian oznaczało to, że są zdumieni, wręcz zbulwersowani.

- Nie byłby na tyle głupi, żeby tego próbować - powiedziała.

- W tej chwili nie mam pojęcia, na co mógłby się odważyć

- stwierdził Solo.

- Omas nie jest głupcem - ciągnęła pani admirał. - Na pewno zdaje sobie sprawę z tego, z kim się zadaje.

- Co twoim zdaniem zamierza zrobić?

- Przede wszystkim zależy mu na tym, żeby nie dopuścić do rozpadu Sojuszu - zaczęła Niathal. - Zawsze uważał, że kilka prztyczków w nos wystarczy, aby zmusić do posłuszeństwa niesfornych władców planet. W przypadku Korelii to się jednak nie udało, a teraz jest świadkiem, jak Sojusz się kurczy planeta po planecie. - Nie odrywała spojrzenia od tarczy chronometru na biurku. - Uważam, że powinniśmy poinformować przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa o tym spotkaniu. G'Sil już i tak uważa, że nie o wszystkim się dowiaduje. Nie jestem jednak pewna, jaki to mogłoby odnieść skutek.

Jaceni starał się zaskarbić sobie wdzięczność G'Sila, informując go o wynikach działań przeciwko terrorystom. Nie mówił mu jednak nic takiego, czego musiałby się później wyprzeć.

Jeżeli G'Sil naprawdę chciał kiedyś zostać przywódcą Sojuszu, nie dawał tego po sobie poznać... na razie.

- Senator G'Sil pewnie by mnie poprosił, żebym się tym zajął

- odparł Solo. - Zachowując to przed nim w tajemnicy, oszczędzam mu kłopotów. A poza tym będzie się mógł później wyprzeć, że cokolwiek wiedział.

- Nie cieszy cię taka ironia losu? - zagadnęła Kalamarianka.

- Słucham? - zdziwił się Jacen.

- Zatajanie przed senatorami, że przywódca Sojuszu zataja coś przed nimi - wyjaśniła Niathal.

- A przy okazji... spisałeś się na medal w sprawie tamtej poprawki regulaminu dostaw.

Prześlizgnęła się gładko niczym naoliwiony węgorz. - Wstała z fotela, zaplotła za plecami długie, kościste, połączone błoną palce i zaczęła się przechadzać po gabinecie. Trzymała się prosto jak wszyscy wojskowi Galaktycznego Sojuszu, bez względu na rasę czy układ kości kręgosłupa. - Teraz, kiedy oboje możemy zmieniać przepisy prawa... dowolne przepisy... w granicach ustalonych limitów budżetowych, mam nadzieję, że w pełni uświadamiasz sobie ogrom możliwości, jakie ci daje ta poprawka.

Jacen wolałby, żeby pani admirał stanęła nieruchomo i spojrzała na niego, ale Niathal cały czas powoli krążyła po swoim gabinecie.

Rozgrywa to po mistrzowsku, pomyślał. Muszę bardzo uważać, żeby jej nie rozgniewać.

- To prowizoryczna poprawka - powiedział. - Pozwoli nam zmieniać mało istotne przepisy, a także bardziej zasadnicze, jeżeli umiejętnie to rozegramy. - My, nie ja, uświadomił sobie.

Dobrze będzie podkreślić, że są partnerami. - Na przykład, gdyby Aitch-Em-Three chciał

dokonać poprawki Ustawy o Stanie Wyjątkowym, tak żeby dawała funkcjonariuszom SGS

prawo aresztowania mężów stanu, polityków i każdego, kto mógłby stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, a także do konfiskowania ich majątków na mocy Ustawy Skarbowej, zwykli obywatele spojrzeliby inaczej na knowania premiera Gejjena i przyznali nam rację.

- W tej chwili nawet mówisz jak prawnik... - zaczęła Niathal.

- Ale czy mam rację?

Kalamarianka się odwróciła. Nie umiała się uśmiechać jak istota ludzka, ale rozbawienie na jej twarzy wyrażało się w postaci lekkiego zaciśnięcia warg. Jacen wyczuł, że pani admirał

przestała się mieć na baczności. Zamiast tego zaczęło promieniować od niej pełne satysfakcji ciepło, a nawet świadomość triumfu.

- Chcesz wiedzieć, czy nikt nie będzie zadawał pytań, jeżeli ta poprawka obejmie także przywódcę Galaktycznego Sojuszu? - zapytała. - Masz rację, Jacenie. - Uniosła rękę i dłonią niczym płetwa zaczęła wykonywać ruchy, jakby płynęła przez wyimaginowaną wodę. - Twój węgorz znów się prześlizgnie.

- Gdybym doszedł do wniosku, że musimy... działać w celu przywrócenia stabilności i porządku, czy opowiesz się po mojej stronie?

Czy wspólnie ze mną dopuścisz się zamachu stanu? - dodał w myślach Solo. Taka otwarta propozycja nie przeszłaby mu jednak przez gardło.

Niathal nie od razu odpowiedziała, nie dlatego jednak, że poczuła się wstrząśnięta oburzającą propozycją. Zastanawiała się po prostu nad intencjami swojego rozmówcy.

- Możesz mieć poparcie SGS, Jacenie, ale będziesz potrzebował także poparcia Marynarki, prawda?
- zagadnęła w końcu.

- Podobnie jak reszty sił zbrojnych.

- Mam rozumieć, że tak? - zapytał Solo.

- Masz rozumieć, że jeżeli sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu, przedłożę lojalność wobec Galaktycznego Sojuszu nad lojalność względem konkretnej osoby - stwierdziła pani admirał.

- Interesuje mnie, czy wojskowi przekroczą granicę, jaka oddziela wykonywanie rozkazów władz od decydowania o polityce

- odparł Jacen.

- Na wypadek, gdybyś zapomniał - odezwała się łagodnie Niathal - stanowisko naczelnego dowódcy skutecznie łączy w sobie funkcję sekretarza do spraw obrony i przewodniczącego połączonych szefów sztabów. Jestem politykiem, a przypadkiem także najstarszym stopniem oficerem sił zbrojnych.

Dorównywała mu pod względem umiejętności knucia intryg, ale nie umiała władać Mocą.

Jacen miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał jej o tym przypominać.

- A zatem najwyższa pora, żebyśmy pogawędzili z Omasem

- zdecydował. Wstał i wygładził fałdy czarnego munduru polowego SGS. - Chcemy się tylko upewnić. Kto wie, może Omas zamierza się spotkać z Gejjenem tylko po to, żeby wyciągnąć blaster 4 skutecznie dokonać następnej zmiany koreliańskiej władzy?

Niathal podążyła za nim do apartamentu przywódcy Omasa. Szli korytarzem wyłożonym niebieskimi i złocistymi marmurowymi płytkami. W ściennych wnękach stały cenne posągi chyba ze wszystkich zakątków galaktyki. Jacen uświadomił sobie, że jego serce wali jak młotem. Mógłby wprowadzić to opanować, ale zrezygnował, bo dzięki temu czuł się jak istota z krwi i kości. Zbliżała się doniosła chwila, więc gdyby zastosował sztuczki Jedi, mógłby zapomnieć o powadze czekającego go zadania... i o stawce w tej rozgrywce.

Ale czy mógłbym zapomnieć, że Ben musi umrzeć? - zadał sobie pytanie.

Ubierał myśli w słowa i układał je w głowie, zwracając uwagę, że brzmią inaczej. Powoli odcinał się od rzeczywistości. Myślał obecnie, że „Ben musi umrzeć”. To brzmiało zupełnie inaczej niż „muszę go zabić”. Może to Moc podpowiadała mu, że nie zawiedzie zaufania młodszego kuzyna, zadając mu cios klingą świetlnego miecza, ale że zabije go w inny sposób.

Jeżeli to się w ogóle musi zdarzyć... może nie ja to zrobię, pomyślał.

Skrzydła drzwi do apartamentu przywódcy Omasa się rozsunęły i Jacen wszedł do pogrążonej w ciszy sali recepcyjnej. Na podłodze leżał gruby dywan. Niathal szła obok niego... nie za nim, nie przed nim, ale dokładnie obok. Kiedy wchodzili, Omas pochylał się właśnie nad biurkiem doradcy i rozmawiał z nim półgłosem.

- Przykro mi, że kazałem wam czekać - powiedział, unosząc głowę. - Proszę, usiądźcie.

Wrócił do swojego biurka i usiadł. Był zwrócony plecami do okna, przez które wpadał silny blask. Jacen przestawił krzesło poza zasięg światła, żeby podczas rozmowy z Omasem nie mrużyć oczu. Niathal poszła w jego ślady, co stanowiło wymowny dowód, kto będzie dominującą stroną podczas tej rozmowy, chociaż nie uzgadniali tego wcześniej ze sobą. Omas, który zawsze przywiązywał dużą wagę do subtelnej mowy ciała i psychicznej przewagi, miał

się na baczności. Jacen wyczuwał to dzięki Mocy. Omas rozumiał, że będzie miał do czynienia ze zjednoczonym przeciwnikiem.

- Domyślam się, że widział pan raporty z pola bitwy - zagadnęła Niathal.

- Tak. - Omas sięgnął po komputerowy notes, jakby chciał udowodnić, że rzeczywiście się z nimi zapoznał. - Nie wiadomo, czy mieliśmy do czynienia ze szczęśliwym dla Bothan zbiegiem okoliczności, czy też ze sprytnie zastawioną pułapką w każdym razie od tej pory musimy się liczyć z Bothawui, która staje się coraz silniejsza i bardziej agresywna.

- Prawdę mówiąc, dobrze byłoby ustalić, czy to był tylko zbieg okoliczności, bo chodzi tu o wiarygodność raportów agentów naszego Wywiadu - stwierdził Solo. - Nie jestem zachwycony dokładnością przekazywanych przez nich informacji. Jeżeli pan sobie przypomina, właśnie dlatego powoływałem do SGS tylko wybranych funkcjonariuszy. W obecnej sytuacji agencji Wywiadu nie są w stanie sprostać naszym wymaganiom.

Omas wyglądał na zmęczonego.

- Rozumiem z tego, że oboje chcecie złożyć skargę - powiedział. - Kto pierwszy?

Niathal podniosła głowę, a Jacen wyczuwał jej twarde zdecydowanie. Tak twarde, że mógłby go niemal dotknąć.

- Postaram się od razu przejść do rzeczy - zaczęła Kalama-rianka. - Nie możemy brać udziału w każdym lokalnym konflikcie, żeby zatrzymać w Sojuszu wszystkie zacofane planety i zadowolić ich żalosnych przywódców. Nasze siły zbrojne już w tej chwili są zbyt rozproszone.

Nie damy rady nadal utrzymywać blokady Korelii, jeśli zajmiemy się także buntem Bothan.

Proszę określić priorytety, panie przywódco. Nie możemy brać udziału w tylu walkach na raz.

Omas przełożył z miejsca na miejsce kilka dokumentów i nalał sobie z dzbanka na biurku porcję kafeiny. Stała tu tylko jedna filiżanka, a on nie polecił, żeby przyniesiono więcej.

- Jeżeli nie poprzemy planet, które należą do Sojuszu, na pewno je stracimy - powiedział. - To kwestia prostej arytmetyki. Już kiedyś to przerabialiśmy. Im więcej planet się odłączy, tym mniej pozostanie, prawda? Gdyby do tego doszło, problem utrzymywania wspólnych sił

zbrojnych Sojuszu - a właśnie od tego zaczęła się ta wojna, gdybyście o tym zapomnieli - stanie się problemem akademickim.

- Jeżeli nie skierujemy sił zbrojnych przeciwko planetom, które już w tej chwili stanowią dla nas największe zagrożenie, będziemy po kolei traciли okręty - oznajmiła Niathal. - W

najgorszym przypadku dojdzie do tego, że nie damy rady zapewnić obrony samej Coruscant.

- Naprawdę pani uważa, że mogłoby do tego dojść? - Omas nie wyglądał na przekonanego.

Spojrzał na Jacena, ale Solo siedział w milczeniu z kamienną twarzą. - Czy wszystko sprowadza się do tego, jaki los mógłby spotkać Coruscant?

- Ależ oczywiście - zapewniła Niathal. - Zawsze o to chodzi. Sojusz i Coruscant są nierozłącznie ze sobą związane i właśnie to stanowi problem dla władców pozostałych planet.

Omas odwrócił się do Jacena.

- Twoja kolej, pułkowniku - powiedział.

- Podzielam obawy pani admirał, że nasze siły zbrojne są zbyt rozproszone - zaczął Solo.

Postanowił dać Omasowi okazję oczyszczenia się z zarzutów, których jeszcze mu nie przedstawił, podejrzewał jednak, że przywódca nie skorzysta z tej okazji. - Naszym największym problemem pozostaje Korelia. Moim zdaniem powinniśmy poświęcić na opanowanie tej planety wszystkie siły i środki, jakie mamy do dyspozycji. Musi dojść do inwazji. Należy zniszczyć ich bazę przemysłową a także odsunąć od władzy Gejjena i jego zauszników. Ten człowiek planował zamordowanie hapańskiej królowej-matki i wydał rozkaz zabicia swojego poprzednika. - Jacen zrobił znaczącą przerwę. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pan będzie następnym.

Kalamarianka miała obojętny wyraz twarzy, ale Jacen wyczuwał promieniujące od niej rozbawienie zmieszane z niepokojem i z podnieceniem, jakby przygotowywała się do bitwy.

Tymczasem Omas zaczął się nagle mieć na baczności... Jacen nie potrafił jednak zgadnąć, czy przed nim samym, czy też może zaczął się obawiać, że Gejjen zamierza go zabić.

- Masz raporty agentów Wywiadu, które by potwierdzały twoje podejrzenia? - zapytał w końcu Alderaanin.

Jacen pokręcił głową.

- Nie, ale nie muszę się posługiwać Mocą, żeby to wiedzieć - powiedział. - Gejjen po prostu tak prowadzi swoje interesy.

- Gdybyśmy mieli dokonać inwazji Korelii, powinienem przedtem porozmawiać z Radą Bezpieczeństwa - stwierdził Omas. - A jeżeli nawet jej członkowie się na to zgodzą...

- Toczmy wojnę - przerwał Solo. - Już w tej chwili ma pan prawo, uzgadniając posunięcia z panią admirał Niathal, prowadzić ją w taki sposób, jaki uzna pan za najlepszy.

- Dopóki nie będzie to zbyt wiele kosztowało - przypomniał Omas. - Ale jeżeli tak otwarcie wystąpimy przeciwko Korelii, co na to powiedzą władze Commenora i Bothawui? Odpowiedzi proszę zgłaszać na małych kawałkach flimsiplastu...

Omas miał już wystarczający powód, żeby się przyznać do planowanego spotkania z Gejjenem. Mógł oznajmić, że zamierza przystąpić do rozmów ostatniej szansy. Mógł po prostu dać do zrozumienia, że zamierza omówić sprawę z władcą planety, który chyba nie rozumie pojęcia „wspólne dobro” i którego niecne sprawy przerażyłyby nawet herszta gangu Huttów.

Każdy sprytny polityk powinien się spodziewać, że jest szpiegowany przez funkcjonariuszy własnego Wywiadu, podobnie jak byli szpiegowani wszyscy inni senatorowie. Chodziło o zwykłą grę słów... Omas mógłby tylko zasugerować swoje zamiary i obserwować reakcję Jacena, żeby wy badać, czy jego tajemna rozmowa nie została podsłuchana.

Niczego takiego nie zrobił. I dlatego przypieczętował swoją przyszłość... i swój los.

- A więc jaką podejmie pan decyzję? - zapytała w końcu Niathal. - Ta sama strategia? Cały czas zamierza pan dzielić flotę, dopóki nie dojdzie do sytuacji, w której będziemy mogli wysyłać najwyżej jeden okręt do tłumienia każdego lokalnego konfliktu zbrojnego?

- Nadal uważam, że atak wszystkimi siłami na Korelię to szaleństwo - stwierdził Omas. -

Można by się nad tym zastanowić... ale o wiele później. Na razie moim głównym celem pozostaje powstrzymanie planet przed odłączeniem się od Sojuszu i niedopuszczenie do przyspieszenia tego procesu.

Jacen udawał tłumiony gniew i rozczarowanie. Musiał to sygnalizować subtelnie, bo Omas znał jego zdolność do panowania nad emocjami. Przywódca Galaktycznego Sojuszu powinien jednak dostrzec leciutkie oznaki niezadowolenia i na tym poprzestać. Gdyby Jacen zbyt szybko przyznał mu rację, Omas mógłby powziąć podejrzenia.

Solo oparł ręce na podłokietnikach fotela z drewna apocji i wstał.

- Uważam, że popełnia pan poważny błąd, panie przywódco - powiedział. - Byłbym szczęśliwszy, gdyby SGS mógł wspierać agentów naszego Wywiadu w ich pracy nie tylko na Coruscant.

- Rozumiem twoje poglądy, pułkowniku Solo, i jestem wdzięczny za cenne strategiczne uwagi. - Omas zaplótł palce i oparł ręce na blacie biurka gestem świadczącym bardziej o bezradności niż o stanowczości. - SGS ograniczy jednak swoją działalność do Coruscant.

Doceniam także twój niepokój o wiarygodność raportów naszego Wywiadu.

Jacen nie zdołał pochwycić spojrzenia Niathal. Ruszył do drzwi krok przed nią i nie odezwał się ani słowem, dopóki oboje nie wrócili do jej gabinetu.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

- Niedobrze - odparła Kalamarianka. Podeszła do okna, żeby popatrzeć na ruch pojazdów na napowietrznych szlakach wokół dzielnicy senackiej: - Nie był z nami zupełnie szczery, prawda?

- Nie powiedziałem mu, że funkcjonariusze SGS działają także na Korelii, więc jesteśmy kwita - odparł Solo.

- Nie możemy nadal stosować tej strategii - oznajmiła Niathal. - Może powinnam porozmawiać z senatorem G'Silem i zasugerować, żeby poinformował o tym pozostałych członków Rady Bezpieczeństwa?

- Mielibyśmy tracić energię na wewnętrzne spory z Omasem, kiedy trwa wojna? - obruszył się Jacen.

- Nie muszę ci przypominać, że jeżeli otwierasz do kogoś ogień, musisz strzelać tak długo, dopóki twój przeciwnik będzie odpowiadał ogniem na twoje strzały. Jeżeli go tylko zranisz, będziesz miała przed sobą rozjuszonego przeciwnika, który zna twoją pozycję i siłę ognia.

- Chyba już wiem, dokąd zmierzasz, Jacenie - stwierdziła pani admirał.

- I wiesz, że mam rację.

- To jeszcze nie znaczy, że ci będzie łatwo.

- Jeżeli Omas rzeczywiście zawrze ugodę z Gejjenem, nie możemy wrócić do punktu wyjścia - zauważył Solo. - Sojusz znajdzie się w gorszej sytuacji niż na początku wojny.

- A my wypadniemy z gry.

- To akademicka dyskusja. - Jacen o mało nie zapytał Niathal, czy Kalamarianka ma dzieci, ale na szczęście zrozumiał, że palnąłby niewyobrażalne głupstwo. Wyszłyby na jaw jego obawy o przyszłość córki, której ojcostwo musiało pozostać w tajemnicy. Szybko się otrząsnął, zdziwiony własną nieostrożnością. - Istotą gry będą odtąd nieustanne wojny.

- A może Omas skończy z wibroostrzem w gardle?

- Byłby szalony, chcąc odbyć rozmowę z Gejjenem w cztery oczy bez ochrony - stwierdził

Jacen. - A nie zwrócił się do nas z prośbą o zapewnienie mu bezpieczeństwa podczas tego spotkania. Nie poprosił o to także CSB...

- W takim razie może załatwić to z Wywiadem Galaktycznego Sojuszu?

- Nie. Podслуchujemy rozmowy także ich agentów.

- Nie przestajesz mnie zdumiewać, Jacenie Solo...

- Wchodzisz w to?

- Wyrzuć to z siebie.

Jacen rozejrzał się po gabinecie. Starał się nie zdradzać z wątpliwościami, ale tak naprawdę się obawiał, że ktoś może mu robić to samo, co on robił innym... to znaczy podsłuchiwać go za pomocą elektronicznych pluskiew. Zastanowił się, czy przypadkiem Niathal nie zamierza go wystawić. Chyba jednak nie. Na pewno wykryłyby każde urządzenie szpiegowskie zainstalowane w jej gabinecie. Niczego takiego nie było.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli - powiedział.

- Prawdę mówiąc, nie - odparła Kalamarianka. - A przynajmniej nie w szczegółach. Powiedz coś więcej.

- Myślę o zmianie władzy. - Powiedział to. Teraz już nie mógł się wycofać. Nadal jednak nie wyczuwał żadnego zagrożenia. Źródłem szepczących głosów w głowie był jego paranoiczny umysł, nie Moc. Uświadomił sobie, że za mało ufa instynktom, a za bardzo zdrowemu rozsądkowi. Na tym polegał cały problem. „Zbyt wiele myślisz, a za mało czujesz”, przypomniał sobie słowa Lumii. - Odsuniemy go od władzy na czas wystarczający do wygrania tej wojny, a później, kiedy sytuacja stanie się na tyle stabilna, aby rozpisać nowe wybory, przełożymy władzę senatorowi G'Silowi.

Słowa wydobywały się z jego ust jakby wbrew woli. Jacen nie był do końca pewny, czy wierzy nawet sam sobie. Niathal cicho prychnęła, co mogło być u niej oznaką wesołości.

- Rozumiem potrzebę odsunięcia Omasa od władzy - zaczęła. - Zdumiewa mnie jednak ta luka między jego odejściem a wyborami.

- W tym czasie będziemy rządzić Galaktycznym Sojuszem jako duumwirat - wyjaśnił Solo. -

Żadnej dyktatury. Podzielimy się władzą.

Niathal wskazała na swój mundur, a później wymierzyła kościsty palec w naramiennik ze stopniem admirała.

- Masz na myśli wojskowy zamach stanu — powiedziała. — Na ogół tak to się nazywa.

Postaraj się nie udzielać wymijających odpowiedzi.

- Dobrze, w takim razie ja odsunę go od władzy, a ty ją przejmiesz... sama.

- Raczej nie - sprzeciwiła się Kalamarianka. - Duumwirat wydaje mi się lepszym rozwiązaniem.

Jacen także nie miał nic przeciwko sytuacji, kiedy rządiliby oboje. Rozwiązywanie problemów na sposób Sithów podejmowały zawsze dwie osoby. Wiedział, że Niathal ma ambicję zastąpienia Omasa. Dzieląc się z nią władzą, liczył na to, że będzie z nią musiał

walczyć, tak jak mistrz Sithów z uczniem, który knuje plany pozbawienia go władzy.

Wiedział jednak, że kiedyś będzie władał niepodzielnie jako Lord Sithów. Zarówno Galaktyczny Sojusz, jak i kwestia wyborów staną się wówczas problemami akademickimi, a Niathal będzie pełniła funkcje administracyjne. Powinno jej to wystarczyć.

- Aprzy okazji... zajmę się Gejjenem - podjął Solo. - Wywiera bardzo destabilizujący wpływ.

Kiedy go usuniemy, na Korelii zapanuje zamęt.

- Jak zamierzasz odsunąć od władzy Omasa? - zainteresowała się Niathal.

- Osadzę go w areszcie domowym - odparł Solo.

- Obaleni mężowie stanu zyskują nimb męczenników albo stają się zakładnikami.

- Nikt nie może nas posądzać, że po trupach dążymy do władzy - wyjaśnił Jacen. - Przyszło mi na myśl, żeby oskarżyć o to Gejjena, ale to nie będzie konieczne. Musimy udowodnić, że jesteśmy cywilizowani i że działamy w ramach prawa.

- Chociaż czasami organizujemy zamach stanu.

- W ramach prawa, jakie będzie obowiązywało, nikt tego nie uzna za zamach stanu.

- Ach - westchnęła Kalamarianka. - Zupełnie zapomniałam. - Jacen wiedział, że doskonale pamiętała. - Twoja poprawka, która pozwala ci zmieniać przepisy prawa.

- W przyszłym tygodniu Aitch-Em-Three zgłosi w moim imieniu coś jeszcze - zapowiedział.

- A do tej pory?

- Pozostaw to mnie. Poślę tam kogoś na czas, kiedy Omas spotka się z Gejjenem. - Jacen zerknął na ekran komputerowego notesu. - Ta rozmowa zajmie Omasowi najwyżej dzień, nie więcej, więc moi ludzie, gotowi do akcji, muszą go cały czas obserwować. A później przedstawimy dowody G'Silowi.

- A jeszcze później aresztujesz Omasa - domyśliła się pani admirał.

- Zamierzałem go aresztować w tym samym czasie, kiedy ty będziesz przedstawiała dowody G'Silowi - odparł Solo. - Kiedy się zdecydujemy na ruch, będziemy musieli wykonać go szybko. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś nas przechytrzył.

Niathal głęboko odetchnęła. Jacen uzbroił się w cierpliwość.

- Będę gotowa do działania na twój znak - odezwała się w końcu. - Nadal informuj mnie o wszystkim na bieżąco, zgoda?

Sprawa została przesądzona. Opracowany przez Jacena plan przejęcia władzy zaczynał

nabierać rumieńców. Solo miał za sobą SGS, a Niathal miała mu zapewnić poparcie sił

zbrojnych. Gdyby udało mu się przedstawić działania Omasa jako zdradę stanu, obalenie go powinno się odbyć bez przeszkód.

Nie było potrzeby przelewania krwi. Przecież chodziło właśnie o to... o położenie kresu przemocy, niezdecydowaniu i chaosowi.

Cel był wart każdego ryzyka.

Jacen skorzystał z powietrznej taksówki, żeby przelecieć na plac odległy o kilka minut marszu od kwatery głównej SGS. Wyglądał jak każdy inny obywatel. Nie latał smukłym czarnym transportowcem Galaktycznego Sojuszu, nie domagał się dla siebie żadnych przywilejów. Pilot taksówki albo go nie rozpoznał, albo obawiał się zapytać: „Hej, to pan jest szefem tajnej policji, prawda”? Podróż przebiegła w absolutnej ciszy.

Teraz należało się upewnić, że wszystko potoczy się po jego myśli, jeżeli cokolwiek mogło pójść wbrew jego przeznaczeniu. Jacen wyjął komunikator i nawiązał łączność z Lumiya.

- Shiro? - zagadnął, żeby zmylić siedzącego przed nim pilota. - Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

ROZDZIAŁ 7

Goranie, pod nieobecność Fetta chyba ty powinieneś to zobaczyć.

To pilne. Czasami vongese potrafią wyświadczać przysługi.

brygadzista miejsca wykopalisk, Herik Vorad, po zbadaniu kawałka skały, wydobytego z miejsca na północ od Enceri na Mandalorze **Coruscant, bezpieczny dom**

- A zatem zamierzasz to zrobić, zanim osiągniesz pełnię potęgi Sithów— podsumowała Lumiya. Zapaliła świece i zaciągnęła zasłony. Jacen musiał się odciąć od świata i wyczuć, co się dzieje. Ostatnio poświęcał za dużo uwagi załatwianiu przyziemnych gpraw, którymi powinni się zajmować

jego współpracownicy. -Dlaczego?

- Bo później mógłbym nie mieć na to czasu. - Obserwując migotliwe płomienie, Jacen usiadł ze skrzyżowanymi nogami na pokrywającym podłogę dywanie, ale nie mógł się skoncentrować. Lumiya poklepała go po głowie i wskazała mu świecę. - Omas chce zawrzeć z Gejjenem jakąś ugodę, z której zamierza wyłączyć mnie i Niathal. Prawdopodobnie raz na zawsze.

Współpracując z osobami, które nie umiały posługiwać się Mocą, Jacen zaczynał myśleć i planować tak jak one. Lumiya nie uważała wprawdzie, że to coś złego - w końcu każdy sposób był dobry, jeżeli służył osiągnięciu celu - ale uważała, że Solo pozwala się ograniczać przez ich reguły. Mówił o wyborze odpowiedniej chwili. Do mistrzostwa opanował sztukę władania Mocą, a tymczasem przyjemność sprawiało mu korzystanie ze sposobów i sztuczek zwykłych śmiertelników.

Na dłuższą metę pani admirał się nie liczyła. Jacen musiał to sobie uświadomić.

- Niathal boi się ciebie, Jacenie - odezwała się Lumiya. - A przynajmniej ma się przed tobą na baczności.

- Myślisz, że tego nie wiem? - zapytał Solo. - Byłaby idiotką gdyby ufała komukolwiek na tak wysokim szczeblu władzy.

- Tracisz zbyt wiele energii na udział w przyziemnych grach - ostrzegła Lady Sithów. -

Zamiast tego powinieneś się posługiwać Mocą.

- Zrobię to, kiedy zajdzie taka potrzeba - burknął Jacen. - W przypadkach, z jakimi mam teraz do czynienia, to byłaby gruba przesada.

Zawsze usiłował udowodnić, jak bardzo przewyższa przeciwników inteligencją, sprytem i umiejętnościami... tak bardzo, że może ich pokonać, walcząc na ich sposób. W przypadku Sitha próżność nie była cechą naganną, chyba że mogła nim zawładnąć. Lumiya doszła do wniosku, że nadszedł czas, aby Jacen zastanowił się nad swoim postępowaniem.

- Medytuj - rozkazała.

Jacen spoglądał na nią chwilę, a później, nie mrugając, wbił spojrzenie w płomień świecy i w końcu zamknął oczy. Po chwili jedno otworzył, jakby zamierzał powiedzieć coś zabawnego.

Lumiya nie miała jednak nastroju do wysłuchiwanie dowcipów.

- Naprawdę miałem powód, żeby cię tu wezwać - powiedział Solo.

- Wiem - przyznała Lumiya. - Wolałabym jednak rozwiązać ten problem na wzór władców Mocy, nie jak marudni członkowie komisji Senatu. - Nadeszła pora, aby mu przypomnieć, że wciąż jeszcze ma do wykonania najważniejszy krok, zanim będzie mógł ją pouczać. - Uspokój się i zapomnij o wszystkim, co się dzieje na świecie.

Jacen ponownie zamknął oczy i tym razem chyba naprawdę się odprężył... Częstka jego umysłu przeniknęła przez barierę, którą ostatnio się otaczał. Promieniowały od niego skupienie i pewność siebie. Mimo to Lumiya wyczuła ledwo uchwytny ślad dawnego Jacena, pogrążonego w bólu i w żalobie i wzdragającego się przed zrobieniem tego, co konieczne.

Wiedziała, że kiedy Jacen wykona ostatni krok, resztki jego wątpliwości i oporu znikną.

Dopiero wówczas będzie mógł przekroczyć granicę i korzystać z pełni dziedzictwa Sithów.

Nie miała pojęcia, kiedy to się stanie ani kogo Jacen będzie musiał poświęcić. Wiedziała tylko, że dojdzie do tego już niedługo.

- Nie musisz brać udziału w politycznych intrygach, Jacenie - odezwała się łagodnie. - Już teraz twoja potęga stawia cię daleko poza ich zasięgiem. Omas ani Gejjen nie mogą ci nic zrobić. Kiedy osiągniesz swoje przeznaczenie, będziesz mógł ich po prostu zlekceważyć.

- Choćbym doszedł do największej potęgi, nie dam rady rządzić galaktyką sam - stwierdził

Solo. - Będę musiał przekonywać ludzi, pociągać ich za sobą. Moc nie wpłynie na umysły milionów istot.

Ach, więc jednak wolisz tę potęgę, którą możesz osiągnąć dzięki zwykłym myślowym sztuczkom, pomyślała Lumiya. Nie popełnij błędów Palpatine'a. Nie zachłysz się władzą. To byłoby niegodne ciebie.

- Posłuchaj, Jacenie - powiedziała. - Chcę, żebyś dokonał oceny sytuacji i zaczął odczuwać.

Przestań wszystko analizować, bo nic ci to nie da. Nie uciekniesz od faktów, a fakty ujawnią ci tylko to, co chcesz widzieć.

; Jacen otworzył oczy.

- To wszystko jest takie... ulotne - zaczął. - Coraz mi trudniej nakreślić linię między szalonym impulsem a podszeptem Mocy.

- Bo za dużo o tym myślisz.

Nieprzenikniony mur pojawił się na nowo. Lumiya wyczuła go, kiedy Jacen pogrążył się w zadumie.

- To Ben - odezwał się w końcu Solo. - To musi być on.

Dopiero teraz Lumiya zrozumiała.

- Lubisz go - stwierdziła. - Może widzisz w nim syna, którego nie masz. Zabicie Bena może być trudne... i właśnie dlatego to musi być on, nikt inny.

Na ułamek sekundy w oczach Jacena pojawił się błysk... zbyt krótki, żeby go zauważył

zwykły obserwator. Lumiya zorientowała się, że trafiła go w czułe miejsce. A więc na tym polegał cały problem. Jacen wiedział, że kiedyś umrze, i pragnął mieć potomka, takiego jak miał Luke. Możliwe, że podświadomie marzył

o założeniu własnej dynastii Jedi. Obecnie zaś, kiedy los dał mu w nagrodę Bena, który traktował go jak ojca i jak bohatera, Jacen musiał z niego zrezygnować.

Kochał go dziwną, ale głęboką miłością, więc poświęcenie Bena powinno mu wystarczyć do zdobycia pełni dziedzictwa Sithów.

- Chyba rzeczywiście o to chodzi - odezwał się w końcu Solo 1 spojrzawszy w dół, na złączone dłonie. - Trudno zabić kogoś, kto na to nie zasługuje.

- Przecież nie wiesz, jak to się stanie.

- Właśnie.

- Nie umiesz sobie wyobrazić, że mógłbyś zabić czternastoletniego chłopca klingą świetlnego miecza, prawda.

- Może nie będę musiał tego robić - zastanowił się Jacen.

- Wysyłam go teraz, żeby zabił Dura Gejjena, kiedy będzie zawierał z Omasem tę ugodę. Ktoś musi wykonać to zadanie, a jeśli tym kimś będzie Ben, zda egzamin z umiejętności i poświęcenia. Czternastoletni chłopak o wiele łatwiej niż dorosły prześlizgnie się między ochroniarzami Gejjena, a poza tym... może się tam znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Jacen oparł się na jednej ręce i wyciągnął drugą do niskiego stolika, na którym stała świeca w przezroczystym niebieskim lichtarzu. - Tak, to bardzo niebezpieczne zadanie... i może właśnie dlatego go tam wysyłam. Czy wysyłam go na pewną śmierć?

- Lepiej będzie, jeżeli sprawy potoczą się własnym biegiem

- podsunęła Lumiya. - Przestań wszystko analizować i pozwól, żeby się wydarzyło to, co ma się wydarzyć.

Wstała, żeby zabrać mu lichtarz. Podejrzewała, że Jacen zamierza znów udowodnić, jak długo potrafi trzymać dłoń w płomieniu świecy. Niektórzy mężczyźni chętni byli się tym po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu, ale Jacen zamierzał poddać testowi samego siebie. To była jego osobista walka zrodzona z doświadczenia bólu, jakiego zaznał z rąk Vergere, a także z resztek tłących się w jego umyśle wątpliwości, że nie zejdzie z raz obranej przez siebie drogi i że potrafi zrobić coś, czego chciałby uniknąć.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział. - Chcę, żebyś na jakiś czas ściągnęła na siebie uwagę Mary.

- Zrobię wszystko, czego sobie życzysz - zapewniła Lumiya.

- Bardzo przejęła się tą historią z Brishą- ciągnął Solo. - Nic bardziej niż zabicie czyjegoś dziecka nie podsycza żądzy zemsty, prawda?

- Wiedziała, że ta historyjka może ją zainteresować, a przy okazji usprawiedliwić moją obecność - stwierdziła Lady Sithów. - W idealnym świecie trzymałabym się jak najdalej od Skywalkerów.

- A więc dlaczego podałaś wówczas rękę Luke'owi, zamiast odciąć mu głowę?

Lumiya cały czas się nad tym zastanawiała. Nie pragnęła wyrządzić Luke'owi krzywdy, ale przecież nie musiała kogoś nienawidzić, aby go zabić z poczucia obowiązku. W głębi duszy wiedziała, że wszystkie jej poczynania wynikają z nieudanego romansu, który pozostawił w niej żal i chęć odwetu. Dlaczego więc koniecznie chciała udowodnić Luke'owi, że tak nie jest?

- W ferworze walki liczyło się najbardziej to, czy uda mi się go zaskoczyć - powiedziała. - Ale gdybym go zabiła, życie nas wszystkich potoczyłoby się zupełnie inaczej.

- Chciałaś mu udowodnić, gdzie jest jego miejsce - domyślił się Solo. - Pokazać, że nie ma nad tobą żadnej mocy... że jesteś od niego lepsza, tak?

Czasami wydawało się, że Jacen rozumie jej motywy, po czym mówił coś równie banalnego jak to. Lumiya zastanowiła się, czy jej podopieczny wie, że powinien przestać ulegać silnym emocjom, aby się jeszcze bardziej wzmocnić.

- Skywalkerowie są zbyt wielkimi prostakami, żeby mogli być skutecznymi Jedi, Jacenie -

powiedziała. - To dla nas wszystkich ostrzeżenie. Luke nie widzi tego, co ma przed oczami, bo uważa, że motywem mojego postępowania jest zawiedziona miłość i żądza zemsty. Właśnie na takim poziomie rozumuje... Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że dążę do przekazania Sithowi władzy nad galaktyką, i że w porównaniu z tym celem sprawy osobiste nie mają absolutnie żadnego znaczenia.

- Uczyłaś mnie, że Sithowie stają się silniejsi poprzez gniew i silne emocje - przypomniał

Solo.

- Czym innym jest gniew, a czym innym poddawanie się gniewowi - wyjaśniła Lumiya. -

Kiedy skupiasz uwagę na szczegółach, zapominasz o całości. - Przez jej głowę przemknął cień wątpliwości, ale pomyślała, że poświęci temu później chwilę medytacji. - Dlaczego chcesz, żebym sięgnęła na siebie uwagę Mary?

- Trafiła w kwaterze głównej SGS na ślad i podąża nim, żeby cię odnaleźć - odparł Jacen. -

Postaraj się, żeby zajęła się czymś innym.

- Pozwolę jej się znaleźć - oznajmiła Lumiya. - To powinno rozwiązać twój problem. Czy mógłbyś mi dać jakiś przedmiot, stanowiący własność Bena... coś, co by udowodniło Marze, że mogę go łatwo osiągnąć, ale zarazem nie wskazywałoby na ciebie?

- Dam ci jego buty - zdecydował Solo. - Ben trzyma kilka par w zamkniętej szafce, a Mara i tak podejrzewa, że masz współnika w SGS. - Spojrzał na nią i zmarszczył brwi, jakby czymś zaniepokojony, ale Lumiya nie wyczuła od niego żadnych emocji. - A jeżeli Mara cię dopadnie?

- Mogę z nią wygrać, a gdybym nie zdołała... będziesz miał więcej czasu. - Lumiya ustawicznie analizowała motywy swojego postępowania. Chciała wiedzieć, czy nie ma żalu do Jacena za to, że pozostawił ją na pewną śmierć. - Już udowodniłeś, że możesz mnie spisać na straty. Żyję po to, żeby ci pomóc stać się Lordem Sithów, bo tylko to zapewni stabilność galaktyki. Większości istot zależy jedynie na tym, żeby żyć w spokoju, najeść się do syta, wydać jak najwięcej kredytów i unikać ciężkiej pracy. Cieszę się, że ja mogłam osiągnąć o wiele więcej... a wcześniej czy później wszyscy i tak umrzemy. Śmierć w służbie tak chwalebnej sprawy jest zaszczytem.

Jacen uniósł głowę i długo na nią patrzył bez słowa. Lumiya była ciekawa, czyjej uczeń wie, że starożytne zasady są ważniejsze niż czyjeś krótkie życie. Musiał się przyzwyczaić do tej myśli. Lumiya wierzyła, że tak się stanie.

- Zamiast martwić się losem, jaki spotka Bena, pomyśl o dziedzictwie, jakie po sobie pozostawisz - zaczęła. - Zadaj sobie pytanie, kto będzie wówczas pamiętał nazwisko Skywalker czy choćby Solo. Tu chodzi o los trylionów istot w ciągu wielu następnych tysiącleci... nie o jedną małą rodzinę żyjącą w ciągu kilku dekad.

Jacen wstał. Lumiya zauważyła, że nie widzi jej, chociaż na nią patrzy.

- Będę sobie to powtarzał - odezwał się w końcu. - Buty Bena na pewno zainteresują Marę.

- Chyba wykorzystam matczyne cierpienie i też podejść do tego emocjonalnie - stwierdziła Lady Sithów. - Co zrobisz, kiedy Mara i Luke poznają prawdę o losie Bena i postanowią cię ścigać?

- Zastanowię się nad tym, kiedy będę musiał.

- To może się stać wcześniej, niż ci się wydaje - ostrzegła Lumiya. - Proponuję, żebyś był zawsze odpowiednio uzbrojony.

- Mam całkiem przyzwoity arsenał - zapewnił Jacen. - I będę gotów, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

- Musisz myśleć o wszystkim - powiedziała łagodnie kobieta. - Luke może cię pokonać w walce na świetlne miecze.

- Już w tej chwili wyprzedzam go o kilka kroków. Możesz mi zaufać.

Lumiya nie miała innego wyjścia. Od Jacena zależała przyszłość galaktyki. Jego panowanie miało oznaczać kres chaosu i początek ładu, ale - jak zawsze w takich sytuacjach - nie wszyscy ujrzą w nim zbawcę. Niektórzy nie zechcą się pogodzić z tym, co konieczne. Inni będą próbowali go powstrzymać.

Lumiya zamierzała zrobić wszystko, żeby ułatwić mu zadanie... nawet gdyby miała to przypłacić własnym życiem.

Coruscant, kwatera główna SGS, centrum monitorowania i podsłuchu W drzwiach stanął kapitan Girdun, oświetlony przez blask padający z korytarza..

- Zaczynamy - oznajmił. - Niathal właśnie została mianowana tymczasowym przywódcą Galaktycznego Sojuszu. Zaczyna pełnić obowiązki o północy.

Dyżurujący przy monitorach żołnierze odwrócili się i spojrzeli na niego. Ben wyjął małą słuchawkę z ucha i starał się zrozumieć znaczenie tej informacji.

- Co się stało z Omasem? - zapytał.

- Na jeden dzień opuszcza swój gabinet.

- Och, sądziłem..

- Musiał dość nagle przekazać ster rządów w ręce Niathal, tylko na czas, kiedy nie będzie można się z nim skontaktować... sam wiesz, kody dowodzenia i tak dalej - wyjaśnił Girdun. -

Wiemy, kiedy odlatuje na Vulptera. Jutro.

Wszystko działo się zbyt szybko. Ben przypominał sobie, jaki czuł się podekscytowany tempem wydarzeń, ale obecnie, kiedy osobiście brał w nich udział, uznał, że wcale mu się to nie podoba. Z każdą godziną przybliżała się chwila, kiedy będzie musiał wykonać zadanie... a on nie był tą perspektywą zachwycony. Pamiętał, jak się czuł po zabiciu podejrzanego, a przecież myślał, że tamten jest uzbrojony. Mógł być pewny, że po zamachu na Gejjena nie będzie się czuł lepiej.

Jestem zabójcą, uświadomił sobie. A wszyscy chłopcy w moim wieku, którzy nie są Jedi, chodzą do szkoły.

- Jaki podał pretekst? - zapytał.

- Osobiste problemy zdrowotne - odparł Girdun.

- Ta-a, stara się chronić swój tyłek - burknął Zavirk.

- Moim zdaniem właśnie na tę okazję czekałeś, Benie. - Girdun zachęcił go gestem, żeby podszedł bliżej. - Chodźmy do sali odpraw. - Odwrócił się do Zavirka. - Chcę znać trasę lotu Omasa na Vulptera. Nie zabierze nas ze sobą, ale będzie potrzebował środka transportu, ochroniarza i pilota, więc powinniśmy mieć oko na logistykę.

- Idę o zakład, że weźmie jednego czy dwóch najgorszych agentów Wywiadu.

- No cóż, ich także mamy na oku, więc pomoże nam to go lepiej śledzić, prawda? - zapytał

Girdun. - Zajmijcie się tym, żołnierzu.

Kapitan ruszył korytarzem, gwizdząc, co było do niego zupełnie niepodobne. Ben nie uświadamiał sobie do tej pory, że Girdun tak bardzo nie znosi Omasa. A może po prostu kapitan lubił polowania na grubą zwierzynę? Może nic nie mogłoby mu sprawić większej satysfakcji niż śledzenie przywódcy Galaktycznego Sojuszu, wybierającego się na nielegalne spotkanie z najgorszym wrogiem? Ben nie wyczuwał promieniującej od Girduna nienawiści, ale kapitan był skupiony i podekscytowany. Chłopiec zastanowił się, czy rzeczywiście ciemność jest tak łatwa do wykrycia, jak uważają Jedi.

Tylko co jest ciemnością? - zadał sobie pytanie. Czy będzie nią zabicie Gejjena?

Najgorsze w okresie dorastania było to, że dostawało się coraz mniej jednoznacznych odpowiedzi. Z każdym dniem zacierała się granica między dobrem a złem. A to w niczym nie przypominało sprawdzianu z matematyki.

Kiedy dotarli do sali odpraw, byli już w niej Shevu i Lekauf, wpatrzeni w ścianę pełną świetlistych holowizerunków. Lekauf, który chyba jeszcze nie czuł się swobodnie w mundurze z nowiuteńkimi naszywkami porucznika, powitał Bena nerwowym uśmiechem.

- Nasz agent w Koronecie melduje, że Gejjen kazał przenieść na później wszystkie zaplanowane na jutro wizyty - odezwał się Shevu. - Na pewno wybiera się w drogę.

- Znamy jego harmonogram?-zapytał Ben.

- Nic, co by wskazywało, że zamierza opuścić Korelię, ale pewnie spodziewa się wrócić następnego dnia rano, żeby wziąć udział w spotkaniu zaplanowanym na ósmą zero zero.

Holoekrany na ścianach pokazywały dwa zestawy danych, dotyczących Coruscant i Korelii.

Ben spojrzął na listę miejsc pod nadzorem. Była wśród nich prywatna rezydencja Omasa, gabinety Senatu z kamerami systemu bezpieczeństwa i kilka prywatnych lądowisk w pobliżu obu miejsc. Zobaczył także zestawienie godzin odlotu na Vulptera. Holoekran z danymi na temat Korelii także zawierał rozkład lotów na tę planetę.

- A jeżeli Omas przerwie swoją podróż i nie polecą prosto do celu? - zainteresował się chłopak.

- Właśnie dlatego musimy mieć zestawienie godzin odlotów z Korelii i Coruscant z godzinami przylotów na Vulptera. - Lekauf wskazał na ekran komputerowego notosu na stole. - Sam się przekonaj. Wiemy, kiedy Omas wystartuje. Nawet jeżeli nie polecą bezpośrednio na Vulptera, musi tam wylądować o określonej porze, żeby Gejjen miał czas z nim porozmawiać i wrócić na jutrzejsze spotkanie.

< - Nudne sprawdzanie cyferek - stwierdził Girdun. - Ale nie martw się, komputer ograniczy możliwość wyboru. Kiedy otrzymamy informację o chwili startu Omasa czy Gejjena, zaczniemy ich namierzać. Łatwiej będzie nam śledzić Omasa, ale może dowiemy się czegoś ważnego, jeżeli pójdziemy tropem Gejjena.

- W jaki sposób?

- Mamy informatora w gmachu koreliańskiego rządu - stwierdził kapitan. - Wszystko sprowadza się do zdobywania informacji. Nasze zadanie nie polega na zlokalizowaniu wielkiego iksa na mapie obok napisu: „To właśnie tu się odbędzie potajemne spotkanie”.

Trzeba będzie zestawić mnóstwo ogólnodostępnych danych i poszukać w nich prawidłowości.

Ben obserwował na ekranie zestawienie godzin odlotów z Koro- netu. Takie zestawienia były dostępne dla wszystkich wlatujących do przestworzy Korelii neutralnych pilotów. Każdy mógł

dostać podobną informację od operatora Kontroli Ruchu Powietrznego Vulptera. Wszyscy mogli także bez trudu uzyskać dostęp do bazy danych KRP Coruscant. Liczba informacji była oszałamiająca, ale komputer albo android mógł się przez nie łatwo przekopać, aby oznaczyć wszystkie te, którymi powinny się zainteresować istoty z krwi i kości. Problem polegał tylko na właściwym ustaleniu parametrów.

Ben nie był pewny, czy zabrali go do centrum tylko po to, żeby się zapoznał z nudną i monotonna stroną tej pracy. Shevu i Lekauf chyba planowali przechwycenie przeciwnika.

- Zastanawiają się, co zrobić, żebyś mógł podejść jak najbliżej Gejjena - wyjaśnił mu Girdun.

Oficer chyba zakładał, że Ben wie, co ma na myśli. - Musimy to zrobić dopiero, kiedy Korelianin zakończy rozmowę z Omasem, bo nasz szef chce mieć dowody tego spotkania, żeby je później przedstawić członkom Rady Bezpieczeństwa.

Ben domyślił się, o co chodzi. Liczył na to, że będzie miał więcej czasu na przygotowania, tymczasem jego zadanie właśnie się zaczynało.

- Zamierzamy go załatwić podczas samego spotkania? - zapytał. - Myślałem, że kiedy będzie wracał albo...

- Możemy nie mieć innej okazji dobrania się do niego, kiedy będzie przebywał z dala od ojczyzny - przerwał Girdun.

Lekauf wskazał Benowi oparty o ścianę płócienny worek i zachęcił go gestem, żeby zajrzał do środka.

- Co na to powiesz? - zapytał.

W pierwszej chwili chłopak nie zorientował się, co jest w środku, ale kiedy wyjął dziwny przedmiot z worka, przekonał się, że to karabin ze składaną kolbą. Rozłożył ją i spojrzał na broń z ponurą miną.

- To zmodyfikowany Karpaki Pięćdziesiąt - wyjaśnił Lekauf, całkowicie niewłaściwie oceniając reakcję chłopca na widok broni. - Nie możemy zostawić na ciele Gejjena śladów po klindze świetlnego miecza, bo wszyscy od razu by wiedzieli, czyja to robota. Będziesz musiał

błyskawicznie nauczyć się strzelać ze snajperskiego karabinu balistycznego. Wiesz chyba, że to broń palna, prawda?

- Jeżeli mam podejść blisko Gejjena, po co mi snajperski karabin? - zdziwił się chłopak.

- Na wypadek, gdybyśmy nie dali rady - odparł Lekauf. - Chodź, idziemy ćwiczyć na krytej strzelnicy.

Ben wiedział, że ma ostatnią okazję, aby wymówić się od wykonania zadania, ale rozumiał, że nie może sobie na to pozwolić. Jeżeli w akcji brał udział Shevu - bezkompromisowy i absolutnie uczciwy, uważany przez innych policjantów za staromodnego gliniarza z zasadami -

to w wykonaniu zadania nie mogło być nic niewłaściwego.

Girdun wyjął ćwierkający komunikator i odebrał. Sądząc z rozmowy, kontaktował się z nim Zavirk. Kapitan rozmawiał z nim jakiś czas, a później wsunął komunikator do kieszeni i szeroko się uśmiechnął.

- Wywiad wysłała z Omasem kilka osób do towarzystwa - powiedział. - Właśnie podsłuchaliśmy ich rozmowę. Start o piątej zero zero z prywatnego lądowiska, a później, na orbicie Coruscant, przesiadka na pokład nieoznakowanego wahadłowca Wywiadu. Sprytne, hmm? Jak to dobrze, że znamy ich zakodowane określenia różnych dostojników. - Zerknął na wyświetlacz chronometru. — Jeżeli kiedykolwiek wyląduję w Wywiadzie, przypomnijcie mi, żeby zapędził tych gości do roboty. Czas rozpocząć akcję.

Shevu uniósł brew.

- Uwielbia swoją robotę - zauważył.

- Nie ma pan nic przeciwko temu? - zainteresował się Ben.

- Przeciwko czemu? - zdziwił się oficer.

- Załatwieniu Gejjena.

- Nie jestem szpiegiem i nigdy nie byłem - odparł Shevu. - Jeżeli jednak pozwolimy Gejjenowi zabić Omasa, wywoła to zamęt w całym Galaktycznym Sojuszu, a to oznacza, że nie mogę mieć nic przeciwko zabiciu Gejjena.

- Przypuszcza pan, że Dur Gejjen naprawdę chce załatwić Omasa?

- Chciałbym mieć pewność, że tak nie jest - odparł kapitan. - Osobiście uważam, że powinniśmy nagłośnić całą sprawę i uniemożliwić Omasowi udział w tym spotkaniu, ale ujawniłoby to naszą operację. Polecę z wami, aby się upewnić, że Omas wróci do domu... w jednym kawałku.

Shevu nigdy nie pozwolił sobie na wyrażenie opinii, czy jego zdaniem Omas zamierza zdradzić Galaktyczny Sojusz, czy jest wizjonerem decydującym się na ogromne ryzyko, w nadziei, że

doprowadzi do pokoju. Oficer nie interesował się polityką. Starał się postępować zgodnie z prawem, chociaż podczas służby w SGS to nie było łatwe.

- Na co jeszcze czekasz? - zapytał nagle Bena.

- Zastanawiam się, czy pańskim zdaniem powinienem to zrobić - odparł chłopak.

- To nie moja sprawa. - Shevu zajął się przeglądaniem holowizerunków z danymi na temat Vulptera. Szczególną uwagę poświęcił trójwymiarowym obrazom kosmoportów i budynków publicznych. - Musisz wykonywać rozkazy.

Lekauf lekko szturchnął Bena w plecy.

- Chodźmy - powiedział. - Do jutra rana muszę zrobić z ciebie znośnego snajpera.

W pomieszczeniu pełniącym funkcję strzelnicy unosił się zapach ozonu po blasterowych strzałach w połączeniu ze spalonym plastoidem tak intensywny, że oczy Bena zaczęły łzawić.

Strzelnica była świetnie wyposażona w sprzęt, który miał się dostać Wywiadowi: holograficzne symulatory, realistycznie wyglądające cele, a nawet coś, co Lekauf określił mianem „martwego mięsa”.

- Nie jestem pewny, czy dam radę celnie strzelać z karabinu - stwierdził Ben.

- Och, daj spokój. - Lekauf chyba był lepiej nastawiony do tego pomysłu. - Jesteś Jedi. Pod każdym względem nas przewyższasz. Potrafisz widzieć trójwymiarową przestrzeń jak żaden z nas. Mój dziadek mówił mojemu ojcu, że w podobnie zdumiewający sposób umiał widzieć przestrzeń Lord Vader. Obojętne, czy siedział w kabinie myśliwca, czy posługiwał się bronią, doskonale orientował się we wszystkim, co go otacza. Myślałem, że tata wymyślił tę historię, dopóki nie zobaczyłem sztuczek, jakie umieją robić prawdziwi Jedi.

- Dlaczego nie blaster? - nie dawał za wygraną chłopak.

- Z wielu powodów - odparł porucznik. - Po pierwsze, musimy mieć pewność, że go zabijesz.

Po drugie, musi to być broń, która nie oświetli miejsca akcji jak fajerwerki. A poza tym chcemy, żeby się obyło bez hałasu. Wierz albo nie, ale ten karabin jest całkiem cichy.

Ben przyłożył karpakiego do ramienia, popatrzył ponad lufą w oddalony koniec strzelnicy i w końcu przyjął pozycję strzelecką. Cieszył się, że zaszedł tak daleko, nie robiąc z siebie pośmiewiska.

- Wygląda na to, że masz bardzo wysoką opinię o Vaderze - powiedział.

- Mój dziadek miał o nim jeszcze lepsze mniemanie - odparł Lekauf. - Kiedy został ciężko poparzony podczas jakiejś wyprawy i musiał zrezygnować z dalszej służby w Imperialnej Armii, Lord Vader dopilnował, żeby troszczono się o niego do końca życia. Nieważne, co inni o nim wygadują, uważam, że potwory nie troszczą się o swoich żołnierzy.

- Dobrze wiedzieć - mruknął Ben. Podobało mu się, że jego dziadek miał chwile słabości, podobnie jak to, że są ludzie, którzy wspominają go ciepło. Nie wszyscy przepadali za Rebelią.

Ben rozumiał, że Vader musiał podejmować trudne decyzje, podobne do tych, przed jakimi obecnie stał Jacen.

No i ja, uświadomił sobie.

Na drugim końcu strzelnicy, gdzie panował półmrok, jakiś mężczyzna przeszedł szybko przez pole ostrzału i zniknął. Ben był przekonany, że to prawdziwy człowiek, który lekceważy przepisy bezpieczeństwa. Instynktownie opuścił lufę karabinu i ostrzegawczo krzyknął. Lekauf wybuchnął śmiechem.

- Ben, to był twój cel - powiedział.

- Ale to nie był hologram - zaprotestował. - To był prawdziwy człowiek.

- Ta-a, akurat... - Lekauf położył dłoń na kontrolnej konsoli - ?cie i „mężczyzna” pojawił się ponownie w polu widzenia, a nawet usiadł na stojącym tam krześle. - To tylko kukła - podjął po chwili. - Zmiennokształtny android wykonany z żelu i plastoidu, żeby imitować istotę z krwi i kości. Masz przywyknąć do widoku celu, który porusza się jak żywa osoba. Tego zaprogramowaliśmy, żeby chodził i siadał jak Gejjen z biuletynów informacyjnych Ho- loNetu.

Przyzwyczaj się do tego, jak wygląda, i licz się z tym, że prawdopodobnie upadnie po twoim strzale.

Ben stał jak zahipnotyzowany. A więc to kukła, osiągnięcie ćwiczebnej techniki. Uwolnił

myśli i posłużył się Mocą - rzeczywiście miał przed sobą martwy obiekt, ale na jego widok nadal czuł się paskudnie.

- To obrzydliwe - powiedział.

- Wiesz, ile takie zabawki kosztują? - obruszył się Lekauf.

- Co się stanie, kiedy do niego... strzelę?

- Wstanie i sam się naprawi.

- No dobrze. - Ben czuł się nieswojo, obserwując, jak kukła przechadza się w odległym krańcu strzelnicy. Przez lunetę karabinu mógł dostrzec, że to półprzezroczysta galaretką z niewyraźnie rysującym się w środku szkieletem ze sztucznych kości. - Na pewno nic nie poczuje?

- Umie tylko chodzić, Benie, nie myśleć - zapewnił Lekauf. - To nawet nie android. Już prędzej manekin. - Spojrzał na wyświetlacz chronometru na ścianie strzelnicy. - Masz niecałe dziewiętnaście godzin, żeby nabrać wprawy.

- Czyli nie musisz mnie poganiać.

- Możesz strzelać, kiedy będziesz gotów.

Ben przypomniał sobie nieco wcześniejsze szkolenia.

- Dlaczego nie celować w środek? - zapytał.

- Bo działamy jak żołnierze... bez względu na to, czy zabijemy cel, czy go tylko zranimy, wyeliminujemy go z dalszej akcji. Policijni snajperzy muszą się martwić o zakładników i tak dalej, więc są szkoleni, żeby wyeliminować cel szybko, pierwszym strzałem... w głowę.

Skrytobójcy nie muszą działać szybko, ale skutecznie. Liczy się tylko to, żeby wyeliminować cel. Mimo to strzał w głowę jest najlepszy. - Lekauf rozsunął palec wskazujący i kciuk na odległość pięciu centymetrów i wykonał gest, jakby zakładał przepaskę na oczy. - Powinieneś mierzyć w tę strefę... pięciocentymetrowej szerokości pasek na poziomie oczu. Zabijesz przeciwnika, jeżeli trafisz choć jednym pociskiem. Na wszelki wypadek mamy ci jednak pociski rozpryskowe, więc wystarczy, jeżeli trafisz cel w głowę albo w szyję. Rezultat będzie taki sam.

- A gdybym trafił tylko raz w korpus?

- Uwierz mi, kiedy go chociaż raz trafisz, twój cel nie będzie się nadawał do reanimacji -

odparł Lekauf. - Nie pomoże mu podłączenie do płuco-serca. - Porucznik bardzo chętnie wdawał się w szczegóły natury technicznej. - Mimo to najlepiej będzie celować w głowę.

- Trzeba będzie wziąć pod uwagę prędkość wiatru i wszystko inne - zastanowił się chłopak.

- Ten karpaki ma inteligentne sensory optyczne - odparł Lekauf. - Bierze poprawkę na prędkość wiatru. W ostatnich latach producent je udoskonalił.

- Jeżeli jest taki inteligentny, dlaczego w ogóle muszę ćwiczyć? - zapytał Ben.

- Żebyś się przyzwyczaił mierzyć do kogoś, kto nie zamierza cię zabić - odparł oficer. - Kto nawet nie wie o twoich zamiarach. Jedi tak nie postępują prawda?

To był tylko manekin, ale poruszał się jak Gejjen.

Ben wymierzył broń.

Czuł się trochę tak, jakby posługiwał się świetlnym mieczem. Pozwól, żeby Moc kierowała ruchami twojej ręki, twojego oka... - pomyślał ponuro.

Kiedy galaretowaty mężczyzna usiadł na krześle, Ben pociągnął za spust. Kula trafiła cel w prawą skroń, a w powietrze poszybowały bryłki żelu i odłamki pocisku. Kukła pochyliła się do przodu.

Lekauf zaplótł ręce na piersi i jak prawdziwy znawca patrzył jakiś czas na nieruchomy kształt.

Ben stwierdził z zaskoczeniem, że czuje się nieswojo. Poczuł się jeszcze gorzej, kiedy zobaczył, że

galaretowaty manekin niespodziewanie siada prosto, po czym wstaje z krzesła.

Był pewny, że nie mógłby do niego strzelić ponownie.

- Jeszcze raz - polecił Lekauf.

Ben spędził następną godzinę, przyzwyczajając się do przewidywania ruchów swojego celu.

Czekał, aż znieruchomieje na wystarczająco długo, żeby mógł oddać celny strzał. Jego zadanie było trudniejsze, niż przypuszczał, bo manekin nie wywierał żadnego wpływu w Mocy, co ograniczało skuteczność zmysłów Bena. Po każdym trafieniu manekin wstawał i odchodził.

Wyglądał jak galaretowaty duch mężczyzny, którego Ben miał zabić.

Przestał odczuwać jakiegokolwiek emocje. Za każdym razem oddawał celny strzał, wmawiając sobie, że to tylko ćwiczenie, takie jak doskonalenie techniki władania świetlnym mieczem.

Strzelanie w niczym jednak nie przypominało odcinania głowy klingą, nawet jeżeli Ben wyobrażał sobie, że galaretowaty mężczyzna ma krótkie ciemne włosy, takie jak Dur Gejjen.

- Ben - odezwał się cicho Lekauf. - Pamiętaj o tym, że będziemy tam także ja i Shevu.

Zapewnimy ci wsparcie, na wypadek gdyby coś potoczyło się nie po twojej myśli. Jeżeli go nie trafisz albo nawet nie zdołasz oddać strzału, upewnimy się, że upadnie i nigdy więcej nie wstanie. Nie masz się o co martwić.

- Narazicie się obaj na duże ryzyko - zauważył chłopak.

- Jak powiedziałem, to tylko na wypadek, gdyby ci się nie powiodło - zapewnił porucznik. -

Trzeba wszystko przewidzieć, bo możemy nie mieć innej okazji. To będzie łatwiejsze, niż gdybyśmy go chcieli dopaść na Korelii.

Ben zastanowił się nad tym, co usłyszał.

- Nawet nie znamy miejsca akcji - powiedział zniechęcony.

- Może będę musiał to zrobić pośrodku pola, a może w zatłoczonej restauracji.

- Dokonałeś sabotażu stacji Centerpoint-przypomniał Lekauf.

- Tym razem twoje zadanie będzie o wiele łatwiejsze.

- Tamto traktowałem jak dobrą zabawę.

- Daj spokój, na pewno sobie poradzisz.

Wiara i podziw Lekaufa były tak silne, że Ben poczuł się jak zelektryzowany. Skupił uwagę na

galaretowatej kukle i wyobraził sobie, że nie strzela do bezbronnego automatu czy nawet do skorumpowanego polityka, ale rozwiązuje poważny problem. Kilka godzin później trafił w pięciocentymetrowy pasek na głowie dziewięćdziesiąt pięć razy na sto strzałów.

- Lepiej zrób sobie teraz przerwę - zaproponował Lekauf.

Ben upewnił się, że sąsiednie tory strzeleckie są wolne, i przeszedł na drugi koniec strzelnicy, aby przyrzeć się automатовi. Zauważył, że po każdym trafieniu czas samonaprawy staje się coraz dłuższy. Prawdopodobnie wewnętrzne źródło zasilania manekina wymagało doładowania. Za każdym razem galaretowaty mężczyzna wstawał z coraz większym trudem, a Ben czuł się coraz bardziej nieswojo. Nie mógł patrzeć, jak żalosna anonimowa postać usiłuje odwrócić się na brzuch i dźwignąć z kolan, więc w końcu zaczął odwracać wzrok.

Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że kukła nie miała prawdziwych ran. A Ben widywał już prawdziwe rany.

- Pora na lunch! - zawołał Lekauf nagłym tonem. Ben nie był pewny, czy da radę cokolwiek przełknąć.

Mandalora, dziesięć kilometrów od Keldabe, farma Beviina-Vasura Goran Beviin uniósł głowę, wsparł się na widłach i wyjrzał z rowu. Na ubłoconej twarzy miał

szeroki uśmiech, chociaż zaczynał siąpić dokuczliwy deszcz. Mężczyzna stał po kostki w bydlęcym gnoju, ale wyglądał na szczęśliwego.

- A mówili, że pełnienie obowiązków Mandalora uderzy mi do głowy - powiedział, ocierając rękawem krople deszczu z nosa. - Szybko wróciłeś do domu.

Fett przystanął w bezpiecznej odległości od rowu z gnojem.

- Znalazłem to, czego szukałem - powiedział. - Nie spodziewałeś się, że w ogóle wrócę, hmm?

- A właśnie że się spodziewałem - sprzeciwił się Beviin. - Czego nie mogę powiedzieć o niektórych przywódcach klanów. Wiem, że masz zwyczaj znikania czasami na kilka lat. -

Beviin wygramolił się z rowu i otarł dłonie o siedzenie spodni. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - Gdyby nie było cię dłużej, skontaktowałbym się z tobą ale skoro wróciłeś... chcesz zobaczyć coś niesamowitego?

Fett zastanowił się, czy nie nadeszła pora, żeby wyjawić Beviinowi prawdę o stanie swojego zdrowia. Wcześniej czy później mężczyzna i tak musiał się o tym dowiedzieć. W czasie nieobecności Fetta nie ogłosił się Mandalorem, chociaż prawdopodobnie mógłby liczyć na poparcie wielu klanów. Zamiast tego przerzucał gnój i pracował na farmie. Podobało mu się życie, jakie wiódł. W galaktyce działałoby się o wiele lepiej, gdyby było w niej więcej osób takich jak on.

- No dobrze - zgodził się Fett. - Pozwolę ci się zaskoczyć.

Beviin zachęcił go gestem ręki i brnąc przez błoto, ruszył

w kierunku budynków farmy. Mżawka przeszła w ulewny deszcz, a na otaczających farmę polach nic nie rosło. Nie dlatego, że zatruli je Yuuzhan Vongowie. Po prostu ziemia przygotowywała się do odpoczynku przed nadciągającą zimą. Nazwisko Fett wywodziło się wprawdzie od słowa „farmer”, a Jango rzeczywiście spędził dzieciństwo na farmie planety Concord Dawn, ale Boba nie znał się ani trochę na uprawie roli. Zawsze chciał się tego nauczyć, żeby lepiej zrozumieć, kim był kiedyś jego ojciec.

- Nie miałeś kłopotów z Mirtą? - Beviin obejrzał się przez ramię. - No cóż, dobrze chociaż, że nie chciała cię znów zabić. To dobry znak. Dzieciaki potrafią być nieznosne.

Fett zauważył, że z trudem wyciąga nogi z błota, żeby nie zostawić w nim butów.

- Ma dobre pięści, które przydają się podczas walki - powiedział.

- Będziesz miał z niej pożytek, Bob 'ika, kiedy urodzi ci kilku zadziornych prawników -

zaczął Beviin, ale zaraz umilkł i szedł w milczeniu. Fett starał się oswoić z brzmieniem słowa

„prawniki”, ale miał z tym pewien kłopot. - Więc twoja wyprawa zakończyła się walką?

- Po prostu musiałem podkreślić wagę moich pytań - odparł wymijająco Fett.

- Opowiesz mi o tym?

Chwila była równie dobra jak każda inna, a Fett nie widział powodu, żeby cokolwiek ukrywać.

- Jestem umierający - powiedział. - Zostało mi najwyżej dwa lata życia, ale jeżeli będę nadal żył tak jak do tej pory, ten okres skróci się do ośmiu lub dziewięciu miesięcy.

Idący przodem Beviin nie zareagował. Przeszedł jeszcze kilka metrów z pochyloną głową unikając siekącego w twarz deszczu. Dopiero wtedy stanął jak wryty i odwrócił się do przyjaciela. Wyglądał na zaniepokojonego. Fett nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek poza jego ojcem martwił się o niego. Miało to swoje dobre i złe strony.

Sintas też mogła się o niego niepokoić... ale Fett tego nie zauważył.

- Nie będziesz chyba siedział z założonymi rękami i czekał na śmierć, Bob 'ika? - zapytał w końcu Goran. - Na pewno da się coś zrobić.

Łowca nagród doszedł do wniosku, że ta poufała forma jego imienia zupełnie mu nie przeszkadza.

- Znalazłem klona, który żyje do tej pory - powiedział.

- A zatem rzeczywiście wyciągnęli z Ko Sai coś więcej niż tylko kilka pamiątek, zanim wywarli zemstę - domyślił się Beviin.

- Nie istnieją żadne wyniki badań - odparł Fett. - Żyje tylko ten klon. Nazywa się Jaing Skirata. Nie chciał dać mi próbki swojej krwi, ale powiedział, że pozostaje w kontakcie z dobrymi lekarzami. - Obecnie, kiedy Fett wrócił na Mandalorę, a Jaing przebywał wiele lat świetlnych od niego, rozmowa z nim wydawała się łowcy nagród nic nieznaczącym epizodem.

Jaing nie chciał nawet nic zjeść na pokładzie „Niewolnika 1”, bo bał się, że mógłby zostawić swój materiał genetyczny. Fett mógł tylko liczyć upływające dni i podejrzewać, że pogarsza się nie tylko jego stan zdrowia, ale także zdolność oceny ludzi. - Wyjaśnię ci to później.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - obruszył się Beviin. - Mógłbym wytropić dla ciebie kilka klonów. Wielu zdezerterowało i osiedliło się na Mandalorze.

- Są pośród nich tacy, u których przyspieszone tempo procesu starzenia powróciło do normy?

- zapytał Boba.

- Nie wiem, ale mógłbym podążać tym tropem. Shab, Bob 'ika, nie mogłeś wydusić z niego małej próbki DNA w taki czy inny sposób?

- To w tej chwili nie ma żadnego znaczenia - stwierdził Fett. - A poza tym nie ma gwarancji, że Taun We czy Beluine daliby radę coś osiągnąć, nawet gdybym dostarczył im taką próbkę.

Beviin wyglądał na rozczarowanego, jakby Fett go zawiódł, bo nie dostał tego, czego poszukiwał. Jaing miał jednak rację. Fett musiałby się znów skontaktować z Taun We, żeby nakłonić ją do wyjaśnienia, co w komórkach tego klona powstrzymuje proces ich degeneracji.

Kaminoanka na pewno by przekazała wyniki tych badań swoim nowym szefom z firmy Arkanian Micro. Klon ani Fett nic by nie zyskali, a jeżeli ktoś miał na tym coś zyskać, to właśnie Fett. A poza tym Mandalora potrzebowała tych...

Zabawna historia, pomyślał łowca nagród. Zaczynam układać dalekosiężne plany.

Beviin odwrócił się i w milczeniu ruszył dalej. Po usłyszeniu ponurej wiadomości opadło z niego wcześniejsze radosne podniecenie.

Farma była zbieraniną różnych budynków gospodarczych. Wzniesiono je w przypadkowych miejscach wokół kamiennego domu mieszkalnego, otoczonego imponującymi wałami ziemnymi i obronnymi murami, bo budynek miał pełnić funkcję ostatecznego bastionu obrony na wypadek ataku. Inne budowle, nie wyłączając domku, w którym zamieszkał Fett, nie były tak dobrze chronione. Wyglądały jak tradycyjne okrągłe v'heh 'yaime, zbudowane w głębokich wykopach i przykryte grubymi strzechami, żeby nie odróżniały się od otoczenia.

Na tyłach domu mieszkalnego mieścił się warsztat z kuźnią, prawdopodobnie połączony podziemnymi tunelami z innymi budynkami. Od strony kuźni dobiegały rytmicznie dźwięki uderzania metalu o metal. Fett zauważył, że z dachu warsztatu nie wydobywa się dym, za to szare smugi unosiły się z ziemi kilkadziesiąt metrów dalej, żeby nikt nie zwrócił uwagi na samą kuźnię. Łowca nagród był pewny, że sieć tuneli ciągnie się aż do wzgórz na zachód od fermy.

Dzięki podziemnej komunikacji Mandalorianie odpierali ataki i pokonali Yuuzhan Vongów.

Beviin zszedł po stopniach wyrąbanych w ubitym gruncie, prowadzących do głównych drzwi domu. Otworzył drzwi, ale drogę zagroziła mu jego adoptowana córka Dinua. Młoda kobieta ujęła się pod boki i spojrzała na ojca.

- Buty - powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem, pokazując bryłki nawozu i błoto. Do jej nóg tuliło się dwoje małych dzieci. - Ty też, Mand'alor. Mógłbyś także zdjąć płaszcz, Buir.

- Dobrze, dobrze. - Beviin, szpieg, wojownik i były komandos, najwyraźniej bał się rezolutnej kobiety. Fett przypomniał sobie, że w wieku czternastu lat Dinua walczyła i zabijała Yuuzhan Vongów, więc Beviin i on powinni się dwa razy zastanowić, zanim zabrudzą jej wysprzątaną do czysta podłogę. - Obejdziemy dookoła.

Obeszli budynek, wsłuchując się w szcęk metalu uderzającego o metal.

- To dobra dziewczyna - stwierdził Beviin. - Może trochę drażliwa z powodu Jintara, który odleciał na wojnę. Nigdy nie lubiła siedzieć w domu, ale jej dzieci są za małe, żeby mogły się wychowywać bez obojga rodziców.

A zatem ktoś z rodziny Beviina nadal był najemnikiem. Zdaniem Fetta farma nie była zaniedbana, ale może Jintar był zbyt dumny, żeby przyjąć pomoc swojego teścia.

- Przecież ty i Medrit dajecie sobie radę z dziećmiakami - zdziwił się Fett.

- Tak, ale dzięki temu jest bardziej prawdopodobne, że przynajmniej jedno z rodziców przeżyje...

Tak wyglądała surowa rzeczywistość, w której Fett się wychowywał. W takich warunkach Mandalorianie wyrastali na twardych ludzi.

Kiedy drzwi warsztatu się otworzyły, sensory hełmu Fetta zarejestrowały podmuch ciepłego powietrza. Wnętrze było skąpane w czerwonym blasku, a we wszystkie strony sypały się snopy iskier. Fett nie miał pojęcia, jakim cudem Beviin wytrzymuje w takim hałasie.

Urządzenia kontrolne hełmu łowcy nagród wykryły, że natężenie odbieranych dźwięków przekroczyło bezpieczny poziom, i automatycznie ograniczyły swoją czułość.

Pośrodku pomieszczenia stał mężczyzna w podkoszulku, w ochronnych słuchawkach na uszach i w skórzanym fartuchu, upstrzonym czarnymi cętkami w miejscach, na które padały rozżarzone kawałki metalu. Za każdym razem, kiedy podnosił rękę, spływały z niej krople potu, które w zetknięciu z gorącym metalem syczały i przemieniały się w parę. Kowal trzymał

szczypcami wąski pas metalu i uderzał w niego ciężkim młotem. Fett zrozumiał, że ma przed sobą mistrza płatnerza. Kiedy mężczyzna zauważył, że Fett i Beviin go obserwują, wyciągnął

rękę i pokazał obrabiany metal na znak, że zanim z nimi porozmawia, zamierza skończyć pracę.

Zafascynowany łowca nagród przyglądał się, jak płatnerz pracuje. Sądząc z długości i kształtu obrabianego kawałka metalu, mężczyzna wykuwał beskad, tradycyjny miecz prastarych Mandalorian. Jeden taki miecz, wykuty z mandaloriańskiego unikatowego żelaza, zwanego beskarem, miał Beviin. Fett widział kiedyś, jak przyjaciel wbija klingę w ciało yuuzhańskiego oficera z taką siłą, że musiał później na nim stanąć, żeby ją wyciągnąć.

- Gotowe. - Medrit Vasur wpuścił z grubsza obrobioną klingę do wanienki z syczącą cieczą i obrócił w tę i w tamtą stronę, żeby sprawdzić kształt. Zdjął słuchawki, pogodnie się uśmiechnął

i otarł przedramieniem krople potu z czoła.

- To będzie piękna broń - powiedział.

- Med'ika, jeszcze mu nic nie powiedziałem - zastrzegł Be- yiin.

- A zatem może ja to zrobię?

- Ty jesteś metalurgiem...

- Mand'alor - odezwał się uroczystym tonem Medrit. - Właśnie byłeś świadkiem próbnego wykuwania klingi miecza z nowej żyły beskara.

Dopiero po kilku sekundach Fett zrozumiał znaczenie słów Medrita.

- Przecież Imperium ogołociło z rudy całą Mandalorę - powiedział. - Zabrało całe nasze żelazo.

- Dużo go jeszcze zostało — sprostował Medrit. - Nawet bardzo dużo.

- To znaczy ile?

- To wielka planeta, zamieszkała przez niewielu ludzi, więc nawet Imperialcy nie mieli możliwości dokładnie jej przeszukać - stwierdził Medrit. - Wyeksploatowali tylko płytko położone żyły. Ten beskar pochodzi z głęboko ukrytego złoża, a my nigdy byśmy go nie znaleźli, gdyby vongese nie pozostawili nam kraterów, w których można by zatopić niewielki księżyc. - Medrit sięgnął po ręcznik i otarł twarz. Fett nie odczuwał wpływu wysokiej temperatury w kuźni, ale Beviin zaczął się pocić. Przejechał ręką po twarzy i pozostawił na niej smugę błota. - Sto kilometrów na północ od Enceri nasza ekipa wykonuje próbne odwierty. Na ich podstawie możemy już powiedzieć, że odkryliśmy ogromne złożo.

Enceri leżało daleko nawet jak na standardy Mandalory, więc nic dziwnego, że mieszkańcy planety dopiero obecnie natknęli się na tę żyłę. Yuuzhan Vongowie zrzucali na powierzchnię Mandalory grawitacyjne mikroanomalie, gdzie popadnie. Nie przejmowali się tym, że w skorupie planety powstają głębokie kratery, bo nie zamierzali podbijać Mandalory. Chcieli ją unicestwić. Fett z prawdziwą przyjemnością wyobraził sobie wściekłe miny na tych paskudnie zdeformowanych, aroganckich twarzach, gdyby się dowiedzieli, że pomagają Mandalorianom znaleźć nowe źródło metalu, dzięki któremu ich planeta była kiedyś tak potężna.

Beskar był najwytrzymalszym materiałem w galaktyce. Z przecięciem go nie radziły sobie nawet klingi świetlnych mieczy. Dawniej każda armia we wszechświecie chciała mieć dostęp do zasobów tego surowca.

Beskar był także najcenniejszym metalem na rynkach, a w galaktyce toczyła się nowa wojna.

- Przeczuwam, że zbliża się nowa era gospodarczej koniunktury - przerwał milczenie łowca nagród.

Beviin mrugnął porozumiewawczo.

- Oya, Manda - powiedział. Zapolujmy, Mandaloro.

- I to nie na cudzym gruncie. - Fett nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, co to znaczy władać Mandalorą bo pojęcie było tak mgliste, tak trudno uchwytnie. - Z tego skarbu powinna korzystać cała Mandalora.

- Jeżeli tak twierdzisz, tak się stanie - przytaknął Beviin. - To prerogatywa Mandalora.

- Naprawdę tak uważam - oznajmił Fett. - Czas zwołać zebranie przywódców klanów i zaplanować naszą przyszłość.

- Shab - odezwał się Medrit, oszołomiony zakresem władzy Mand'alora, która umożliwiała mu dysponowanie naturalnymi surowcami planety. - Mówisz jak prawdziwy mąż stanu.

W normalnych okolicznościach Fett uznałby rodzinny posiłek połączony z wysłuchiwaniami szczegółów z dziedziny metalurgii za coś gorszego niż pobyt w paszczy Sarlacca. Jeszcze się nie zdążył przyzwyczać do tego, że ma wnuczkę, a musiał znosić towarzystwo hałaśliwej, niesfornej i wylewnej rodziny Beviina. Postanowił jednak się poświęcić.

- Nie chodzi tylko o samą rudę - odezwał się Medrit, kreśląc w powietrzu wyimaginowany rysunek kościąz uduka nuny. - Ważny jest także sposób jej przetwarzania. Za wytrzymałość metalu odpowiadają dodatki podczas procesu wytapiania i metoda jego obróbki. To, co oglądałeś, było tylko testem.

- Czy mamy jeszcze zakłady, w których moglibyśmy przetapiać i obrabiać rudę? - Fett nie przyzwyczał się do jedzenia w obecności innych osób. Syn i córka Dinui, Shalk i Briila -

łowca nagród oceniał, że mają siedem i pięć lat - spoglądali na niego z kamiennymi twarzami z przeciwnej strony stołu. Fett uznał, że zainteresowanie małych dzieci jego osobą działa mu na nerwy. - A może znaleźliśmy skarb, którego nie możemy wykorzystać?

- Możemy wykorzystać, ale na małą skalę - odezwał się Beviin. - Pozwoliłem sobie dokonać szacunkowych obliczeń. Jeżeli złóżę jest rzeczywiście tak bogate, jak sądzimy, będziemy musieli prosić kogoś a pomoc zarówno na etapie wydobywania rudy, jak i w fazie jej przerabiania. Część rudy mogłaby zostać wykorzystana na Mandalorze, jeżeli firma MandalMotors zgodzi się zmienić profil produkcji bojowych myśliwców. Do eksploatacji reszty będą nam potrzebne automaty.

- Ale co z tym zrobimy? - zapytała Dinua.

- Słucham?

- Sprzedamy za kredyty czy wykorzystamy, żeby się samemu uzbroić?

Dinua, osierocona podobnie jak Fett na polu bitwy, była piekielnie inteligentna. Beviin adoptował ją po śmierci jej matki. Fett nigdy nie mógł się oswoić ze zwyczajem przyjmowania obcych osób do rodziny, chociaż zwyczaj taki stanowił jedną z podstaw cywilizacji Mandalorian. Nawet niecierpliwy, porywczy i skłonny do krytykowania Medrit bez mrugnięcia okiem pogodził się z niespodziewanym powiększeniem swojej rodziny. Mandaloria- nie od zawsze adoptowali obce osoby i nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek mieli z tego zrezygnować.

Jeżeli on może to zrobić, dlaczego nie ja? - zadał sobie pytanie Fett. Tym bardziej że chodzi o krew z mojej krwi i kość z kości.

- Będziemy robili jedno i drugie - powiedział, żeby nie odbiegać od tematu rozmowy. - Część wykorzystamy do wykonania sprzętu na eksport, a resztę na potrzeby własnych zbrojeń.

- Wiele osób cię w tym poprze - stwierdził Beviin. - Takie rozwiązanie zadowolili oba obozy.

Co jeszcze mogę zrobić w czasie, jaki mi pozostał, oprócz pozostawienia Mandalory w przyzwoitym stanie? - zastanowił się łowca nagród.

- Skoro już tym dysponujemy, musimy się postarać, żeby nikt nam tego nie odebrał - powiedział.

- Naprawdę myślisz, że może się znaleźć ktoś na tyle głupi, aby podjąć próbę inwazji na Mandalorę, jak niegdyś zrobiło Imperium? - zagadnął Beviin. - Po tym, kiedy skopaliśmy shebs, tyłki, Vongom?

- Ba'buir przeklina - odezwał się uroczystym tonem Shalk. - Czyja też mogę powiedzieć shebs?

- Nie, nie możesz. - Zdenerwowana Dinua zgrzytnęła górnymi zębami. - Buir, bardzo proszę, nie przy dzieciach. Mand'ałor, jak zamierzasz ogłosić o tym odkryciu? Chyba nie w sposób, w jaki robili to kiedyś Mandalorianie, pojawiając się na granicy na czele inwazyjnej armii?

- Czy w ogóle musimy to ogłaszać? - zapytał Fett.

- Tak, jeżeli zależy nam na zdobyciu paru zagranicznych kredytów.

- Nie mamy jeszcze ministra finansów, ale jeżeli chcesz, możesz nim zostać.

- Mówiłem poważnie.

- Złożymy zamówienie na kilka myśliwców i przekonamy się, kto zwróci na nie uwagę -

podsunął Fett. - Może ten Kad'ika ma rację... nie musimy się opowiadać po jednej ani po drugiej stronie. Jest jeszcze trzecia strona, jak mówi... Goran. - Zwykła uprzejmość nakazywała, żeby zwracać się do gospodarza po imieniu w jego domu. Fett tak rzadko spotykał

się z przyjaznymi osobami, że przestrzeganie elementarnych zasad dobrego wychowania wydawało mu się trudniejsze, niż stąpanie po polu minowym.

- Nasza.

- Mógłbym się upewnić, czy aruetiise zwrócą na to uwagę - odezwał się Beviin. - Może jednak rzeczywiście najlepsza będzie niespodzianka.

- Jaka znowu niespodzianka?

- Taka, po której patrzysz w górę i biegniesz do schronu - wyjaśnił Beviin. - Niespodzianka ze znakiem firmy MandalMotors na kadłubie.

- Nie zamierzamy zdobywać niczyjego terytorium poza tym sektorem. Mamy tu przynajmniej tuzin planet, którymi musimy się przejmować.

- Wiem - przyznał Beviin. - Żyjemy jednak na planecie, która próbuje się pozbiierać po poprzedniej wojnie. Gdzieś daleko toczy się nowa wojna domowa, a my właśnie odkryliśmy bogate złoża beskara, więc możemy się spodziewać gości. Jeżeli nie będziemy uzbrojeni, powinniśmy przynajmniej spróbować zawrzeć z nimi umowy.

- Wszystko jedno - burknął Fett. - Nie zamierzam się przejmować tym, co o nas myślą...

- ... aruetiise - podsunął Beviin.

- Aruetiise - powtórzył łowca nagród. - Jutro rano porozmawiam z Yomagemem. Zobaczymy, co nam zaoferuje firma MandalMotors.

Medrit żuł jakiś czas w milczeniu, nie odrywając spojrzenia od Fetta.

- Mógłbyś zamówić sobie przyzwoity komplet beskar 'gama, żeby zastąpić to durastalowe osiki... łajno, które nosisz na sobie

- odezwał się w końcu. - Nowy pancerz wytrzyma więcej niż sto

- Wystarczy, jeżeli wytrzyma rok - mruknął Boba.

Medrit popatrzył na niego, ale nie doczekał się wyjaśnień, więc przeniósł spojrzenie na Beviina. Gospodarz pokręcił głową, jakby chciał mu powiedzieć: później. Dinua także zrozumiała tę sugestię. Dzieci spojrzały po sobie, zaciekawione, dlaczego dorośli nagle umilkli.

Fett przestał się już martwić o to, kto jeszcze się dowie, że jest umierający. Zresztą mało kto by mu uwierzył. Trudno było wyobrazić sobie możliwość śmierci kogoś, czyjej twarzy się nigdy nie

widziało.

- Nałóż sobie jeszcze kawałek nuni - zaproponował nagle Beviin, popychając w jego stronę półmisek z przyrumienionym, naszpikowanym przyprawą mięsem. - Domowego chowu.

Fett doszedł do wniosku, że to nie jest spokojna kolacja w rodzinnym gronie. Potrawy były bardziej pikantne niż te, do których przywykł, a porcje za duże. Mimo to zjadł wszystko, co miał na talerzu, bo przebywał pośród przyjaciół, którzy zapewnili mu schronienie i nie zgodzili się przyjąć od niego zapłaty, chociaż miał tyle pieniędzy, że mógłby kupić dwukrotnie większą planetę. Wiedział, że właśnie tak odnoszą się do siebie Mando 'ade, jeżeli któryś ma kłopoty.

Nie miało absolutnie żadnego znaczenia, że jest Mand'alorem.

Nieważne, że Medrit powie później Beviinowi, jakim to Fett jest gburowatym shabuirem, a może go nawet zapyta, czy naprawdę musi go tak często zapraszać do domu.

- Nie powiedzieliście mi jeszcze, w jaki sposób ktoś odkrył tamtą żyłę - powiedział łowca nagród. Skoro nikt nie chciał rozmawiać o jego śmierci, spróbował w ten sposób podtrzymać grzecznościową rozmowę. - Po dziesięciu latach od zakończenia tamtej wojny? W miejscu, w którym nikt jej nie szukał?

- Z orbity. - Medrit znieruchomiał, nie kończąc krojenia usianego orzechami, apetycznego ciasta na sześć porcji, i oblizwał palce. Miał na dłoniach mnóstwo drobnych blizn po poparzeniach. Fett zastanowił się, czy nie znajdzie w swoim kawałku ciasta metalowych okruchów. - Jacyś Mando 'ade wracali do domu z jednej z planet Zewnętrznych Rubieży, na której od kilku pokoleń żyli ich krewni. Przypadkiem byli pośród nich inżynier mineralog i geolog, którzy zbadali teren w dole promieniami skanerów, porównali wyniki ze starymi geologicznymi mapami i doszli do wniosku, że warto się tym zająć. Rezultat... wayii!

- Znakomite wyczucie czasu - stwierdził Fett.

- Mnóstwo uzdolnionych ludzi wraca do domów, Bob 'ika - wyjaśnił Beviin. - Powiedziałeś, że chcesz, aby Mando 'ade wracali do siebie, i niektórzy już to robią.

- Nadzwyczajne. - Fett nie krył zdumienia, słysząc, że jego ziomkowie porzucają wszystko, co znali, tylko dlatego, że im to zaproponował. - Miejmy nadzieję, że inni też będą mieli tyle szczęścia.

- Tym razem chodziło raczej o zaradność niż szczęście - stwierdził Beviin.

Fett pomyślał o ostatnich słowach, jakie usłyszał od Fenna Shysy: „Jeżeli dbasz tylko o własną skórę, nie jesteś mężczyzną”. Ale Jaing nie miał pojęcia, co zaszło między nimi w ostatnich chwilach życia Shysy. Ludzie na ogół wierzyli w to, w co chcą wierzyć.

- Czasami się zastanawiam, co jeszcze czeka na odkrycie na tej planecie - stwierdził łowca nagród.

Tej nocy długo leżał na rozklekotanym łóżku w swoim domku, nie mogąc zasnąć. W pewnej chwili uświadomił sobie, że Mirta nie skontaktowała się z nim od chwili, kiedy powrócili na planetę.

Zastanowił się, co zrobiłby jej ojciec, gdyby w tej chwili był Mandalorem.

Wyczerpanie było najlepszą pigułką nasenną jaką znał. Zanim pogrążył się w objęciach snu, pomyślał, że odkrycie beskara wszystko zmienia... z wyjątkiem stanu jego zdrowia.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Omas wycofa swoje siły zbrojne, przekonamy Bothan, że powinni się dobrze sprawować.

Po miesiącu czy dwóch, kiedy wszyscy się uspokoją i oswoją z zawieszeniem broni, wykorzystamy tę ciszę, żeby połączyć siły zbrojne z wojskami Commenora, Fondora i Bothawui, a później damy Coruscant takiego łupnia, że na zawsze popamiętają.

koreliański premier Dur Gejjen w trakcie omawiania planów z szefami sztabów planet Konfederacji
Coruscant, szatnia w kwaterze głównej SGS, godzina 21.00

Shevu patrzył w milczeniu na Bena. Po chwili pokazał mu niewielki pojemnik wypełniony ciemnobrązowym płynem.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedział. - Zanim jednak położysz się spać, musimy jeszcze zrobić to i owo.

Ben siedział na ławce, oparty o drzwi szafki, i wyglądał, jakby miał zemdleć. Musiał wstać następnego ranka o trzeciej zero zero, żeby się przygotować do lotu na Vulptera, ale wciąż jeszcze nie znał dokładnego miejsca wykonania zadania.

Nikt się jakoś temu nie dziwił. Dobrze chociaż, że Ben umiał improwizować.

- Trafiam dziewięćdziesiąt siedem razy na sto, panie kapitanie - powiedział.

Shevu wydał odgłos, jakby zakrztusił się ze śmiechu, ale promieniowało od niego współczucie.

- Nie mam pojęcia, czy to dobrze, czy źle - mruknął cicho.

- Jestem gotów. Naprawdę - zapewnił go chłopak.

- Chciałem tylko powiedzieć, że to coś niesamowitego... wyszkolić snajpera w ciągu jednego dnia - wyjaśnił oficer. - Chyba dlatego, że tym snajperem jest Jedi. - Wręczył Benowi pojemnik z płynem. Z odległego kąta szatni dobiegał plusk spadających kropli i napływała słaba woń ziołowego mydła. - Znajdziesz się na miejscu wcześniej w towarzystwie Lekaufa, a ja polecę śladem Omasa. Zobaczymy się dopiero na Vulpterze w kosmoporcie Charbi City. Omas ma się tam spotkać z Gejjenem w jednej z konferencyjnych sal, wynajmowanych na godziny różnym przedsiębiorcom i dostojnikom. Moim zdaniem dyrektor Wywiadu Galaktycznego Sojuszu jest szalony, pozwalając mu wybrać takie miejsce na spotkanie. Sala konferencyjna nie jest sterylna ani ekranowana, a nad bezpieczeństwem Omasa będzie czuwało tylko dwóch agentów, którzy polecą tam, żeby go chronić. Na szczęście sama sala nie rzuca się w oczy, a rezerwacji nie trzeba dokonywać z wyprzedzeniem. Charbi City to zapadła dziura, więc będziemy mieli ułatwione zadanie.

- Czy nikt go tam nie rozpozna? - zaniepokoił się chłopak.

Shevu wskazał butelkę z brązowym płynem.

- Nawet nie będzie musiał używać charakteryzacji, żeby przejść niepostrzeżenie przez kontrolę kosmoportu - powiedział. - A zresztą przez ile takich punktów kontrolnych musi przejść przedsiębiorca przylatujący własnym statkiem? Najwyżej przez jeden... w urzędzie imigracyjno-celnym. Pamiętaj także, że wszystko będzie się działo na Vulpterze. Ochrona tamtejszego kosmoportu nie wygląda jak pierścień z durastali. Omas może nawet ominąć tę kontrolę, powołując się na swój status, dzięki czemu nikt nawet go nie zobaczy. Równie dobrze mógłby w ogóle nie schodzić z płyty lądowiska.

Ben zastanowił się nad jego słowami. Przypomniał sobie, jak wygląda kosmoport, przedstawiony za pomocą niebieskich i czerwonych linii, a później wyobraził sobie permabeton, nową halę i pasażerów. Zaczynał się przyzwyczajać do takiego sposobu myślenia.

Część jego umysłu napawała się tym widokiem, ale tylko część. Chwilami Ben zastanawiał się, co się z nim dzieje.

- Będzie dla nas lepiej, jeżeli Omas spotka się z Gej jenem w jednej z konferencyjnych sal w przeznaczonej dla publiczności części urzędu celnego - stwierdził. - Będzie tam większy tłum, w który łatwiej się wtopimy.

- Racja - przyznał Shevu. - Musimy wykorzystać każdą szansę do końca.

Ben uniósł butelkę i spojrzał na nią pod światło.

- Co to jest? - zapytał.

- Farba do włosów - odparł oficer. - Istoty większości ras łatwo zapamiętują rudowłosych ludzi. Należysz do genetycznej mniejszości, a Omas zna cię na tyle dobrze, że zwróci na ciebie uwagę.

- Tylko proszę nie mówić, że nałożycie mi makijaż, aby nikt nie zauważył moich piegów... -

Ben myślał o tym, co będzie robił

r po upływie kilku godzin, kiedy się prześpi na pokładzie swojego statku. Mógł spędzić resztę czasu, analizując plan kosmoportu na ekranie swojego komputerowego notesu. Nie martw się, wszystko pójdzie dobrze, powiedział sobie. - Mamy drugi statek na wypadek, gdyby Omas zmienił plany? - zapytał.

- To tylko jeden z powodów - odparł Shevu. - Chcemy także mieć jakiś wyraźny ślad, który moglibyśmy zostawić na Vulp- rze. Jakiś dowód. - Wskazał butelkę z płynem. - Zapoznaj się ze wskazówkami na etykiecie, ufarbuj sobie włosy i zamelduj się na lądowisku o dwudziestej drugiej trzydzieści. Do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Ben zerwał się na nogi.

- Panie kapitanie, co to będą za dowody? - zapytał.

Ben miał zawsze wrażenie, że Shevu jest stary, choć w rzeczywistości oficer miał

prawdopodobnie dwadzieścia osiem lat, więc był młodszy niż Jacen. Spojrzał na Bena z mieszaniną smutku i cierpliwości, którą chłopak zbyt często widywał na twarzy swojego ojca.

- Moim zdaniem wszyscy uwierzą że Gejjena załatwili Kore-
lianie, jeżeli zostawimy w kosmoporcie odpowiedni statek - zaczął. - Sam wiesz... koreliańska rejestracja, koreliańskie dowody dla specjalistów od medycyny sądowej... potrafisz chyba mówić z koreliańskim akcentem, prawda? Pytam na wszelki wypadek, gdyby nie wszystko się potoczyło zgodnie z planem i musiałbyś się odezwać. Bardzo wielu Korelian ma do Gejjena żal, zważywszy na ich obecną sytuację.

Ben przypomniał sobie akcent w głosie wujka Hana, a przynajmniej to, co z niego pozostało.

Miał nadzieję, że z każdym dniem radzi sobie coraz lepiej, mówiąc z akcentem coruskańskim.

- Dam sobie radę - powiedział. - Skąd jednak mamy wiedzieć, że nie natkniemy się na prawdziwych Korelian, starających się powstrzymać Gejjena przed zawarciem ugody z wrogiem?

- To byłoby naprawdę zabawne, ale mało pożyteczne - stwierdził Shevu. - Musieliby założyć, że Gejjen rzeczywiście zamierza zawrzeć taką ugodę.

Lecę kogoś zabić, a za dwadzieścia cztery godziny wrócę tu, jakby nic się nie stało, uświadomił sobie chłopak.

- Czy mogę zabrać moje wibroostrze? - Wyłowił broń z kieszeni i pokazał oficerowi. -

Dostałem je od mamy i... no cóż, sam pan wie.

- Możesz wziąć wszystko, co ci się przyda, pod warunkiem że nie zostawisz tego na Vulpterze. Nie wolno ci mieć przy sobie niczego, co wskazywałoby na jakikolwiek związek z nami. - Shevu obejrzał broń. - Tak, rozumiem. - Rozpiął kołnierzyk koszuli i pokazał złoty łańcuszek. - Nie ma na nim imienia ani inicjałów, ale dostałem go od mojej dziewczyny -

powiedział. - Zabieram go na każdy patrol.

Ben ucieszył się, że nie tylko on jako lek na zdenerwowanie przed akcją musi mieć coś, co by mu przypominało o ukochanych osobach. Shevu pokonał połowę odległości do drzwi, ale

odwrócił się i stał jakiś czas nieruchomo, jakby się zastanawiał, co jeszcze powiedzieć.

- Twój ojciec nie mógłby się pogodzić z tym, co zamierzasz zrobić, Ben, ale jestem z ciebie dumny - odezwał się w końcu. - Mimo to gdybym miał syna, nie pozwoliłbym mu robić takich rzeczy, dopóki nie dorośnie. Mamy dość wyszkolonych funkcjonariuszy, którzy mogliby wykonać podobne zadanie, ale... no cóż, na pewno pułkownik Solo ma swoje powody.

Ben usiadł, żeby się zastanowić nad tym, co usłyszał. Shevu wspominał o jego ojcu, nie o rodzicach. Widocznie jego zdaniem matka Bena by zrozumiała, że jej syn wykonuje takie zadanie. Ben czuł, że utrzymywanie rodzinnych więzów przychodzi mu z coraz większym trudem. Na szczęście ostatnio nie miał żadnych sprzeczek z rodzicami i nie był na siebie zły za to, że musi uznawać ich argumenty. Może właśnie na tym polegało dorastanie... na zwiększaniu dystansu, jaki go dzielił od rodziców, a także na świadomości, że nie musi natychmiast dostawać tego, na czym w danej chwili mu zależy. Zaczynał rozumieć, przez co musieli przejść rodzice, kiedy byli w jego wieku.

„Nie pozwoliłbym mu robić takich rzeczy, dopóki nie dorośnie”, przypomniał sobie słowa kapitana.

Uświadomił sobie jednak, że jego ojciec robił takie rzeczy... w pewnym sensie. Po prostu był

wówczas trochę starszy, to wszystko. Zadanie Bena nie różniło się od wysadzenia w powietrze Gwiazdy Śmierci. Kiedy Luke Skywalker to zrobił, zginęło bardzo wielu zwykłych ludzi, którzy jedynie wykonywali swoją pracę. Ben zamierzał zabić tylko jedną osobę. Nie będzie miał na

sumieniu życia niewinnych ofiar.

Zamierzał przypomnieć o tym ojcu, gdyby kiedykolwiek musiał bronić swojej decyzji. Ojciec i tak by twierdził, że to wina Jacena, który zlecił synowi takie zadanie.

Ben wstał, podszedł do umywalki, zwilżył włosy farbą z butelki i roztarł płyn na pianę. Kiedy uniósł głowę i spojrzął na swoje odbicie w lustrze, o mało nie wybuchnął śmiechem. Pianka miała niebieskofioletowy kolor i chłopak zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem ktoś czegoś nie pomylił, ale kiedy ją spłukał, jego włosy stały się brązowe, po prostu brązowe. Wyglądał...

zupełnie inaczej.

Doskonale, pomyślał.

Musiał być kimś innym ze wszystkich możliwych powodów.

Po wysuszeniu włosów włożył cywilne ubranie, które zostawił dla niego Lekauf... w koreliańskim stylu i z koreliańskimi metkami. To na wypadek, gdybym został schwytany, pomyślał. Na chwilę poczuł, że serce w jego piersi zamiera, ale uznał, że to standardowa procedura. Nikt wprawdzie mu nie powiedział, co się stanie, jeżeli go złapią ani jak może wyglądać jego przesłuchanie, ale mógł się tego sam domyślić. Pewnie nikt nie wiedział, co doradzić Jedi, żeby wytrzymał takie przesłuchanie.

Może wszyscy myśleli, że Ben wpłynie na umysł tej czy tamtej osoby i po prostu wymaszeruje z celi?

Może naprawdę mógłby tak zrobić?

Obejrzał siebie w lustrze, starając się wyobrazić sobie, jak go widzą obce osoby. Z

zadowoleniem stwierdził, że nie wygląda jak Ben Skywalker, ale jak trochę starszy od niego jasnowłosy koreliański chłopak... Barit Saiy.

Nie widział Saiya, odkąd schwytano go z innymi Korelianami. Po tym incydencie Ben przestał wypytywać, co się z nim stało, ale w skrytości ducha nadal się nad tym zastanawiał.

Kucnął, żeby wsunąć buty do zamykanej szafki, i sprawdził te, które już tam stały. Zobaczył

buty do chodzenia na co dzień, podniszczoną parę przynoszących szczęście butów terenowych... ale nie zauważył nigdzie swoich najlepszych, paradnych butów.

Nie miał pojęcia, co się z nimi stało, chociaż... mógł się tego domyślić. Lekauf. Podejrzewał, że na krótko przed inspekcją pojawią się, napełnione czymś brzydkim albo pomalowane na jaskrawopomarańczowy kolor.

- Jori, wymyślę dla ciebie coś specjalnego - powiedział głośno i wyszczerzył zęby, zadowolony, że może myśleć o czymś innym niż czekające go zadanie.

Czuł się doskonale jako członek zespołu. Wsunął do kieszeni komputerowy notes i zastanowił

się, gdzie go zostawić, żeby przypadkiem nie zgubić, a później udał się do zbrojowni po karpakiego i odpowiednią amunicję.

Czekało go zadanie, które musiał wykonać.

Coruscant, apartament Skywalkerów

Luke obudził się z bijącym sercem i ogarnięty paniką wysłał myśli w kierunku zakapturzonej postaci u Stóp łóżka. Wiedział, że to senny koszmar, ale nie mógł się powstrzymać przed reakcją na zjawę, która rozplynęła się w powietrzu, kiedy zupełnie się ocknął.

Już od dawna nie śniła mu się mroczna postać w długim płaszczu z kapturem, ale obecnie znów się pokazała. Była czwarta nad ranem, a Mara wciąż jeszcze nie wróciła do domu.

Zazwyczaj zjawy Mocy znikwały, pozostawiając go z bólem brzucha, podobnym do tego, jaki odczuwał na widok jakiejś spektakularnej katastrofy. Tym razem jednak coś się zmieniło.

Kiedy przełożył nogi przez krawędź łóżka, żeby wstać, wyczuł, że ktoś nadal jest w sypialni.

Mistrz Jedi wiedział, że już nie śpi. Spojrzał na wyświetlacz chronometru, aby się upewnić, że nie ma prawa śnić mu się koszmar.

Była czwarta dziesięć.

A zatem na pewno nie spał.

Sięgnął po rękojeść świetlnego miecza, którą ostatnio trzymał na nocnym stoliku obok łóżka, i ostrożnie zbadał wszystkie pokoje apartamentu. Nie wykrył nigdzie obecności istoty z krwi i kości, ale mimo to kogoś wyczuwał. I to tak blisko, że niemal czuł na karku ciepły oddech.

A później zarejestrował... rozbawienie.

Dziwna zjawy - Luke był pewny, że czeka za drzwiami jego apartamentu - jawiła się w jego umyśle niczym chmura skłębionego dymu. Gdyby wyteżył zmysły, mógłby ją zobaczyć. Z

każdą chwilą stawała się bardziej realna, niemal namacalna, a w pewnej chwili się rozjaśniła, jakby bezgłośnie eksplozja uniosła ją w kuli jaskrawego ognia.

Lumiya.

Lumiya!

Luke podbiegł do drzwi apartamentu i skupił się, żeby dzięki Mocy zatrzaskać skrzydła obu par drzwi na korytarzu między wyjściem a szybami turbowind. Zamierzał uwięzić Lumię w pułapce. A więc skłamała. Mara miała rację. Wszystkie bzdury, które Lumiya mówiła mu na wypoczynkowym satelicie, wszystkie te „nie zamierzam wyrządzić ci żadnej krzywdy” miały tylko uspić jego czujność. Lady Sithów drwiła z jego niezdecydowania...

Drzwi rozsunęły się z cichym sykiem i Luke wyskoczył na korytarz z uniesioną klingą świetlnego miecza w dłoni. Zauważył, że płyty jednych drzwi na korytarzu są otwarte... jakby zablokowane przez coś, co stało na podłodze. Oba skrzydła usiłowały się zasunąć, ale za każdym razem, kiedy natrafiały na przeszkodę, cofały się z cichym zgrzytem. Nigdzie nie było widać ani śladu Lumii.

Mistrz Jedi wyczuwał jednak, że zaledwie kilka sekund wcześniej była na korytarzu. W

powietrzu unosił się jeszcze ślad jej obecności, jak po kobiecie, która za bardzo się wyperfumowała i pozostawiła charakterystyczny zapach... tyle że zamiast woni kosztownych olejków Luke wyczuwał odór ciemności. Sfrustrowany i wściekły, pobiegł korytarzem do zablokowanych drzwi, żeby zobaczyć, co nie pozwala im się zasunąć. Zobaczył parę czarnych, wojskowych butów z osłaniającymi kostki segmentowanymi płytkami z durastali, podobnych do tych, które nosił Ben. Luke rozsunął szerzej drzwi pchnięciem Mocy i kucnął, żeby usunąć buty z progu.

To były buty Bena. Mistrz Jedi nie tylko je rozpoznał, ale kiedy je podniósł, wyczuł w nich obecność syna. Rzadko pozwalał sobie na wyciąganie pochopnych wniosków, ale dobrze wiedział, kto je tu pozostawił i jaką chciał mu przekazać informację: „Jeżeli mogę się dostać do osobistych rzeczy twojego syna, mogę równie łatwo dostać się do niego”.

Ta myśl poraziła Luke'a. Może Lumiya porwała Bena, pomyślał. Uwolnił myśli, żeby wyczuć syna w Mocy, ale nie odebrał żadnego zagrożenia. Ślady Bena w Mocy dowodziły, że syn bezpiecznie śpi. Mimo to Luke nie mógł być pewny, jak długo potrwa taka sytuacja.

Wrócił do apartamentu, chwycił kurtkę, wyjął z kieszeni komunikator i połączył się z Jacenem. Nie obchodziło go, która jest godzina. Siostrzeniec odpowiedział natychmiast.

Wyglądało na to, że i on niewiele sypia.

- Gdzie jest Ben? - zapytał mistrz Jedi bez żadnego wstępu.

- Śpi, Luke. - Jacen mówił spokojnym, kojąco-kpiącym tonem, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że uważa go za protekcyjnego kurdupła. - Co się stało?

- Czy dziś w nocy do kwatery głównej SGS nie przedostał się jakiś intruz?

Jacen parsknął śmiechem.

- To my jesteśmy od włamywania się, Luke - powiedział.

- Ktoś zostawił u mnie wizytówkę w postaci butów Bena.

- Słucham? - zapytał Jacen. - Chcesz powiedzieć, że to nie Ben je tam zostawił?

- Nie trzyma u nas żadnych części swojego munduru ani ekwipunku - odparł mistrz Jedi. -

Ktoś wykradł buty z jego szafki w szatni kwatery głównej SGS. Nie wydaje mi się, żeby to miał być głupi kawał... - Luke urwał. Już chciał wspomnieć o Lumii, ale nie miał pojęcia, jak głęboko kobieta

zdołała przeniknąć do struktur SGS. Nie wiedział nawet, czy Jacen sobie to uświadamia. Odczuwał jednak gniew i obawę o syna, co mąciło jasność jego osądu. - To Lumiya - wyrzucił w końcu z siebie. - Drwi ze mnie. Chce mi udowodnić, że może się dostać do Bena, kiedy tylko zechce.

Jacen nie odpowiedział. Luke uzbroił się w cierpliwość i spokojnie czekał.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Naprawdę nie potrafię - odezwał się w końcu siostrzeniec.

- No cóż, prawdopodobnie Lumiya znów stara się mnie wywieść w pole, podobnie jak zrobiła to na Gilatterze - powiedział Luke. Głupiec ze mnie, pomyślał. Jak mogłem tak się dać oszukać? -A poza tym ma kogoś w twojej organizacji, więc powinieneś jak najszybciej tę osobę odszukać.

- Prowadziliśmy już jedno dochodzenie i nikogo nie znaleźliśmy - przypomniał Solo. -

Przeprowadzimy następne, jeżeli to cię uspokoi. - W głosie Jacena brzmiała uraza zmieszana z irytacją ale Luke nawet tego nie mógł brać za dobrą monetę. - Mogę cię jednak zapewnić, że Ben jest bezpieczny. Ma blisko siebie kogoś, kto go chroni. Porucznika Lekaufa.

- Miło słyszeć, że ten gość awansował - stwierdził mistrz Jedi.

- Chyba jest bardzo lojalny... względem ciebie.

- Podobnie jak jego dziadek był lojalny względem Vadera

- odparł Jacen. - Lojalności nie można kupić za żadną cenę. Możesz być pewny, że Ben jest w dobrych rękach. Porozmawiamy o tym rano, zgoda?

Luke przerwał połączenie. Rano może być za późno, pomyślał ponuro. Nie było jednak sensu rozmawiać z Jacenem, który najwyraźniej nie dostrzegał prawdy, ilekroć chodziło o wpływ wywierany przez Lumię. Kobieta odgrywała swoje sztuczki na jego oczach. Jacen spędził pięć lat, poznając zawile techniki władania Mocą ale chyba nic na tym nie skorzystał.

Luke pobiegł na lądowisko i wystartował śmigaczem, może trochę za szybko i niezbyt bezpiecznie. Lumiya pozostawiła bardzo wyraźny szlak, jakby go zachęcała, aby podążał za nią. No cóż, mistrz Jedi nie zamierzał się na to nabrać. W tym wszystkim musiało chodzić o odwrócenie jego uwagi... albo o zasadzkę.

Nigdy nie bałem się podstępów, Lumiyo, pomyślał. Z radością wpadnę w każdą zasadzkę, jeżeli będę wiedział, że zastanę tam moich nieprzyjaciół. Nie ma co, sprytna sztuczka. Możesz się nie martwić, podążam za tobą.

Zwalczył chęć zostawienia wszystkiego i pospieszenia za nią. Wyczuwał, że Lumiya jest nadal blisko, a przynajmniej wciąż jeszcze na Coruscant, ale musiał przedtem porozmawiać z Marą która przebywała w siedzibie Dowództwa Gwiezdných Myśliwców. Połączył się z nią przez komunikator.

Jak mogłem dopuścić, żeby to tak długo trwało? - zadał sobie pytanie. Nie obchodzi mnie, że wszyscy chcą ze mnie zrobić poważnego męża stanu. To musi się skończyć... i to natychmiast.

- Maro, mamy problem - powiedział. - Lumiya.

- Jestem z Jainą kochanie - usłyszał w odpowiedzi. - Czy chcesz, żebym...

- Była pod drzwiami naszego apartamentu - przerwał Luke. Tym razem starał się bardziej zważać na słowa. Mara by się wściekła, gdyby wspomniał o butach syna. To była złowieszcza, cicha groźba. - Zostań tam, gdzie jesteś. Będę u ciebie za kilka minut.

- A w tym czasie jej ślady ostygną?

- Może chce w ten sposób odwrócić moją uwagę?

- A może tylko chce, abyś pomyślał, że właśnie na tym jej zależy?

Tak, Mara i Lumiya rozumowały w podobny sposób. Doszukiwały się ukrytych znaczeń, bo tak wyszkolił je Palpatine.

- Wiem, na czym jej zależy - powiedział Luke i przerwał połączenie.

Co najmniej kilkanaście razy pogwałcił przepisy ruchu napowietrznego. Zmieniając raz po raz szlaki - jak zawsze na Coruscant potwornie zatłoczone - naraził się na sygnały dźwiękowe kierowców pojazdów, o które prawie się ocierał. Kierując swój śmigacz niemal machinalnie znajomym szlakiem do Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców, głęboko się zastanawiał.

Wiem, na czym polega mój problem, uświadomił sobie.

Cofnął się myślami czterdzieści lat, do chwili, kiedy był gotów pospieszyć na pomoc zupełnie obcej osobie na podstawie informacji zawartej w przechwyconym hologramie. Prośba nawet nie była skierowana do niego, ale Luke i tak na nią zareagował. Nie zastanawiał się ani nie zadawał sobie żadnych pytań, bo czuł, że właśnie to musi zrobić.

A obecnie kieruję się rozsądkiem, bo jestem przywódcą Rady Jedi, a poza tym nie mam już dziewiętnastu lat, pomyślał.

Nie przywykł jednak działać w taki sposób. Nie był w tym najlepszy. Moc wprawdzie obdarzyła go darami hojniej niż innych Jedi, ale to jeszcze nie znaczyło, że jest dobrym...

administratorem. O to właśnie chodziło, o umiejętność zarządzania. Luke zawsze odczuwał

frustrację, ilekroć wysyłał na wyprawy innych Jedi. Nigdy nie chciał przyznać, że nadeszła pora, aby to młodszy dokonywali bohaterских wyczynów, podczas gdy on będzie podejmował

mądre decyzje, siedząc w sali obrad Rady Jedi.

Nie ruszając się z fotela, pomyślał.

Zawsze radził sobie najlepiej, zwalczając zło, więc co miał robić teraz, kiedy zło zagrażało jego

jedynemu synowi?

Zapomniałem, kim jestem, uświadomił sobie. A zazwyczaj był nieskomplikowanym człowiekiem, troszczącym się o przyjaciół i członków rodziny. Mógłby oddać za nich życie, gdyby tego było trzeba, żeby ich ocalić. Był, jak Mara przypominała mu przynajmniej raz dziennie, prostym farmerem.

Był Lukiem Skywalkerem, a jeżeli potrafił bez namysłu stawić czoło Imperium, na pewno mógł także unicestwić ostatni żaloszny relikw jęgo władzy... Lumię.

Coruscant, Dowództwo Gwiazdnych Myśliwców Galaktycznego Sojuszu

- Wiesz, na kryminalnych holowideogramach coś takiego zawsze działa...

Mara dodała jeszcze jeden podświetlony znaczek na holograficznej mapie galaktyki i cofnęła się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie wynikała z tego prawidłowość ruchów Lumii.

Galaktyka była ogromna, ale widać było, że kobieta-cy-borg często się przemieszcza z miejsca na miejsce. Jedno z tych miejsc znajdowało się przed frontowymi drzwiami apartamentu Mary.

Rób tak dalej, cybernetyczna kukło, pomyślała mistrzyni Jedi. Będę mogła skupić na tobie całą uwagę.

- Równie dobrze możemy wykorzystać ten czas z pożytkiem. - Jaina pochylila się nad biurkiem i wpisała kilka następnych współrzędnych. Obecnie, kiedy była znów cywilną osobą miała zajęcie w ośrodku dowodzenia jako Jedi współpracująca z Lukiem Skywalkerem i Radą ale myślała wciąż jak wojskowy. - Może nanieśmy na tę mapę także miejsca, w których pojawiała się Alema...

- No cóż, nadal nie widzę żadnej prawidłowości - stwierdziła Mara. - Uważasz, że Alema śledzi Lumię, czekając na okruchy, które mogą spaść z jej stołu? Wygląda na to, że często przebywają w swoim towarzystwie.

- Może razem poszukują części zapasowych?

Mara parsknęła śmiechem, ale zaraz się zreflektowała.

- To nie było uprzejme, Jaino - powiedziała.

- Mówiłam poważnie - zastrzegła Solo. - Razem nie mają nawet tyle sprawnych części, żeby z nich złożyć jedną człekokształtną osobę.

- Mimo to dobrze się maskują czy to ukrywając swoją obecność w Mocy, czy też zacierając wspomnienia osób, które je widziały. - Mara szukała Lumii w Mocy i tylko czekała, aż kobieta wyskoczy jakby znikąd. Wyczuwała ją, ale nie w pobliżu. - Lumiya wyszła z kryjówki, ale nie jest głupia, więc na pewno nie chce być widziana.

Jaina od czasu do czasu spoglądała na tarczę ściennego czasomierza, porównując go z wyświetlaczem własnego chronometru.

- Widziałaś się z Jacenem? - zapytała.

- Tak.

- No i?

- Chcesz znać prawdę, Jaino?

- Czy kiedykolwiek mi na tym nie zależało?

- Nie mam pojęcia dlaczego, ale Lumiya wywiera na niego fatalny wpływ - stwierdziła Mara. -

Tylko mi nie mów, że jestem ostatnią osobą, która zwróciła na to uwagę.

- Wcale nie zamierzałam - odparła Jaina. - Czy... czy mu o tym powiedziałaś?

- Tak. Moim zdaniem ktoś wreszcie powinien był mu oznajmić, że przeistacza się w potwora i że o tym wiemy. - Mara zaczynała wpadać w złość, chociaż cichy głos w jej głowie szeptał, że powinna się gniewać głównie na siebie. To ona stawiała w obronie Jacena, chociaż widziała, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Mara była jednak matką, która obawiała się o syna, więc swój gniew przelała na Jainę. - Wybacz, że o to pytam, ale jesteś jego bliźniaczką. Czy nigdy z nim o tym nie rozmawiałaś?

- Staralam się - odparła Solo. - Odpowiedział, że postawi mnie przed wojskowym trybunałem, pamiętasz?

- Mogłaś mu chociaż porządnie przyłożyć.

- Ach, więc nagle to ja za niego odpowiadam? - zaperzyła się Jaina. - Pierwsza powiedziałam, dawno temu, że mój brat ześlizguje się na ciemną stronę.

- Dobrze, dobrze, przepraszam. - Mara rozłożyła ręce w pojednawczym geście. Mogła Jainę przeprosić, ale nie mogła cofnąć cierpkich słów, chociaż bardzo by tego chciała. - Ja tylko... no dobrze, to nie moja sprawa.

- Wyrzuć to z siebie, Maro.

- Po prostu nie rozumiem, jak możesz się zamartwiać, czy wolisz Jaga, czy Zekka, kiedy twój brat bliźniak stacza się i pociąga innych za sobą.

- Gdybyś ty...

- Przepraszam - przerwała szybko Mara. - Mówiłam, że to nie moja sprawa.

- No cóż, sama to powiedziałaś, więc... tak, chcę myśleć o moim życiu osobistym, w przeciwnym razie chyba bym oszalała, starając się zrozumieć, dlaczego Jacen w taki sposób traktuje naszych rodziców.

- Może najwyższy czas, żebyśmy wszyscy stawili temu czoło - zaproponowała mistrzyni Jedi.

- Wspólnie.

Zapadła niezręczna cisza. Mara miała ochotę powiedzieć, że obecnie, kiedy Jaina jest dorosłą kobietą powinna przestać się zachowywać jak smarkula. Chciała jej także uświadomić, że Ben jest bardziej dorosły w wieku czternastu lat, niż kiedy ona miała trzydzieści jeden. Byłyby to gorzkie słowa, po części prawdziwe. Chodziło jednak także o to, że Mara nie mogła zrozumieć nikogo, kto, tak jak ona, nie koncentruje się bez reszty na najważniejszej sprawie.

Zachowała jednak swoje myśli dla siebie, bo, podobnie jak siwe włosy i zmarszczki, były pierwszą oznaką starzenia.

Spędziłam całą młodość, wiernie służąc Imperatorowi, pomyślała. Nigdy nie mogłam się cieszyć taką swobodą jak Jaina. To dlatego staję się ostatnio rozgoryczona.

To nie była wina Jainy. Młoda kobieta była uparta i porywcza jak jej ojciec, ale nie odnalazła jeszcze w sobie cichej niezłomności swojej matki.

Jaina stawia czoło niebezpieczeństwu, kiedy będzie musiała, pomyślała Mara. Ale jeżeli teraz nie mamy przed sobą niebezpiecznej sytuacji, to już nie wiem, co nią będzie.

Jaina spuściła głowę i pochyliła się nad biurkiem, a jej włosy utworzyły ciemną zasłonę.

Udawała, że jest zajęta obserwowaniem mapy, ale Mara wyczuwała jej żal... nie pierwszy raz zresztą w ciągu ostatnich tygodni.

Postanowiła wynagrodzić jej to, kiedy Jaina się uspokoi. Członkowie rodziny często się kłócą ale później burze mijają.

- Zmiana planu - zameldował Luke, wychodząc z kabiny turbowindy. Miał rozwichrzone włosy i w rękę trzymał jakąś torbę, a wyraz jego twarzy mówił: nie próbujcie mnie powstrzymać.

W takich sytuacjach Mara zawsze miała ochotę to zrobić. - Zamierzam rozprawić się z Lumiya.

Co za dużo, to niezdrowo.

- Gadasz głupstwa - oznajmiła Jaina. - Siedzisz w tym po same uszy. Lumiya zastawia na ciebie pułapkę.

Luke rzucił torbę na biurko, zakłócając obraz holomapy. Jaina cofnęła się i wyprostowała.

- To są buty Bena - poinformował mistrz Jedi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zostawione przez Lumiya niemal przed drzwiami naszego apartamentu.

Mara położyła dłoń na torbie z butami. Tak, były tu resztki energii ciemnej strony. Dopiero wówczas poczuła prawdziwą wściekłość... zimną czystą lodową wściekłość.

- Przeniknęła do kwatery głównej SGS albo do apartamentu Jacena - odgadła. - Nie wiem, która z tych dwóch możliwości wydaje mi się gorsza.

- To ja muszę się z nią rozprawić - nalegał Luke.

- To, jak powiedział kiedyś jakiś admirał, jest klasyczna pułapka...

- Dla niej - przerwał Luke. - Ugryzła więcej niż może przełknąć.

Jaina spojrzała na nich, wciąż jeszcze trochę obrażona.

- Wujku Luke - zaczęła. - Pozwól, że ja też coś powiem na ten temat. Moim zdaniem najlepiej będzie, jeżeli wszyscy razem wyruszymy śladem Lumii, i to zaraz. Ta kobieta na pewno bawi się w jakąś grę, a ja... jeszcze nigdy nie widziałam cię tak rozgniewanego.

- Luke, powinieneś zadać sobie jedno pytanie - odezwała się żona, wkładając żakiet i sprawdzając osobistą broń. - Co zrobisz, kiedy ją już znajdziesz?

Mistrz Jedi z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Wiem, co muszę zrobić - powiedział.

- Zastanawialiśmy się niedawno, kto z nas dwojga jest lepiej przygotowany do odegrania tej roli - przypomniała Mara. - Jestem wyszkoloną zabójczynią, a ty uczciwym, prostodusznym strażnikiem prawa i porządku. - Świetlny miecz, wibroostrza, mały blaster, wyrzutnia strzałek i ostatni z moich transponderów. Wszystko w porządku, pomyślała. - Oto moja propozycja. Ty będziesz miał oko na Jacena, a ja zapoluję na Lumię.

- Ja też polecę - odezwała się Jaina. - Nie odżałowałabym, gdybym nie mogła spotkać się z Alemą, kiedy się już pokaże.

Sytuacja zaczynała wracać do normy. Mara zamierzała przeprosić Jainę, kiedy wystartują, a Luke miał poznać plany Jacena... na wypadek, gdyby Lumiya zamierzała z jakiegoś powodu skłonić wszystkich do opuszczenia Coruscant.

Luke spojrzał na swoje ręce.

- Wiem, że masz rację - powiedział. - Nie wydaje mi się to sprawiedliwe, ale chyba rzeczywiście nie powinienem ścigać jej, kierując się żądzą zemsty. A poza tym nie mam pojęcia, czy zdobyłbym się na to, żeby ją zabić... chociaż w tej chwili to się wydaje jedynym wyjściem.

Mara pokiwała głową i połączyła się przez komunikator z personelem naziemnym hangaru.

- Proszę o przygotowanie X-winga do startu - poleciała. Włożyła rękawice bez palców, które

umożliwiały jej pewny chwyt, a zarazem pozwalały na wyczuwanie broni. - Wracam do naszego mieszkania i stamtąd zaczynam podążać jej śladem. Skoro zależy jej na tym, żeby zostawić wyraźny trop, to trafiła na odpowiednią tropicielkę.

Muszę się tym zająć, bo to ja odpowiadam za to, że wszystko zaszło tak daleko, pomyślała.

- Powinienem być od razu pójść za nią, żebyś nie mogła mnie powstrzymać - powiedział Luke.

- Jaina ma rację - stwierdziła żona. - Łączą cię z Lumią zbyt głębokie więzy, a poza tym jesteś zanadto wzburzony. Tu potrzebny jest ktoś, kto potrafi zabić z zimną krwią.

Luke miał przygnębioną minę. Nie chodziło o to, że przegrał z żoną w szermierce na argumenty, bo to nie miało znaczenia. Chodziło o zwykły zdrowy rozsądek. Byli rodziną, ale liczyło się także to, które z nich dwojga umie lepiej polować. W tym wszystkim coś mu się jednak nie podobało, coś więcej niż tylko nieustanne zagrożenie, jakie stanowiła Lumiya dla ich syna.

- Nie znoszę, kiedy masz rację - powiedział wreszcie Luke i uśmiechnął się z przymusem. -

Jacen twierdzi, że Ben teraz śpi, i rzeczywiście wszystko na to wskazuje. Nic mu nie jest.

- Sam widzisz - zgodziła się Mara. Nie powiedziała mężowi, że Ben umie znikać z Mocy, bo zamierzała najpierw porozmawiać o tym z synem. - Ruszamy w drogę. Miej oko na Jacena.

Jeżeli nadarzy się okazja, możesz z nim porozmawiać przy kafeinie, udając zaniepokojonego wujaszka. Kręć się jednak w pobliżu na wypadek, gdyby chciała się z nim skontaktować twoja była. - Poklepała męża po policzku i mrugnęła do niego. Chciała sprawiać wrażenie bez troskiej, żeby Luke się nie zorientował, jak bardzo martwi ją sprawa Lumii. - Zaczynam siwieć, chłopcze z farmy, i nie umiem się ubierać równie wytwornie jak ona, ale przynajmniej wszystko, co mam, jest prawdziwe, z krwi i kości...

Luke o mało się nie roześmiał. Mara przytknęła wskazujący palec do skroni w żartobliwym salucie i wyszła razem z Jainą. Kiedy znalazła się w kabinie turbowindy, spojrzała na ekran komputerowego notesu, żeby sprawdzić, gdzie znajduje się transponder Bena.

Jeżeli zostawiłeś to ostrze w swojej szafce, Benie... - pomyślała.

Trochę wcześniej widziała nieruchomą plamkę na niewielkim ekranie komputerowego notesu w miejscu oznaczającym kwaterę główną SGS w Galactic City, ale obecnie jej tam nie zobaczyła.

Nigdy nie wpadała w panikę, ale miała prawo do zawodowego niepokoju. Zmieniła skalę mapy.

- Co się stało? - zapytała Jaina.

- Nic. - Gdzie się podziewasz, Ben? - zadała sobie pytanie. - Absolutnie nic.

Powiększyła skalę mapy kilkakrotnie, dopóki znów nie zauważyła świetlistej plamki sygnału transpondera. Spojrzała na współrzędne i ze zdumieniem stwierdziła, że to nie ma sensu.

Mapa wskazywała, że Ben przebywa na Vulpterze.

Jakie лихо cię tam poniosło, synku? - pomyślała. Vulpter nie znajdował się w rejonie objętym działaniami zbrojnymi.

Gdyby powiedziała o tym Luke'owi, mąż poleciałby tam natychmiast, nie zwracając uwagi na nic ani na nikogo.

Uśmiechnęła się do Jainy, gotowa pozwolić, żeby Lumiya jeszcze raz zabawiła się w ciuciubabkę. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy oddzieli jej głowę od mechanicznego ciała i raz na zawsze położy kres jej waśni z rodziną Skywalkerów.

Nadchodzę, cybernetyczna kukło, pomyślała. Najwyższa pora.

ROZDZIAŁ 9

Nie chcę nikogo martwić, ale mam informację z rynku rud metali, która może stanowić dla nas powód do niepokoju.

Podobno ktoś obiecuje przyszłe dostawy mandaloriańskiego żelaza za ustaloną z góry ceną. Co więcej, pierwszy raz od bardzo wielu lat akcje firmy MandalMotors są dosłownie rozchwytywane.

analityk rynku, Ministerstwo Skarbu Galaktycznego Sojuszu **Mandalora, Keldabe, wydział badań naukowych firmy MandalMotors,**

- A zatem co o tym sądzisz, Fett?

Jir Yomaget był mężczyzną którego prawdopodobnie trzeba byłoby uspić, żeby go ubrać w służbowy garnitur. Zaplótł ręce na piersi i nie odrywał spojrzenia od pozbawionego silników myśliwca, którego Fett jeszcze nigdy nie widział. W ciemnozielonym kombinezonie i niekompletnej zbroi Yomaget wyglądał niewiarygodnie niechlujnie i niepokojąco młodo.

- Prototyp? - domyślił się łowca nagród.

Dyrektor firmy MandalMotors kiwnął głową.

- Narodził się jako Kyr 'galaar - wyjaśnił. - Może zabierać do trzech osób załogi albo dwie osoby plus dodatkowe wyposażenie. Lata w atmosferze i może zostać skonfigurowany do wszystkiego, począwszy od bombardowania powierzchni planety, a skończywszy na przechwytywaniu innych maszyn. Jest szybki, bardzo szybki. Spróbuj powiedzieć, że nie jest wspaniały.

„Wydział badań naukowych” to było określenie na wyrost dla zbiorowiska zaniedbanych szop i hangarów, ale obskurnemu wyglądowi zewnętrznemu zadawało kłam nowoczesne wyposażenie w środku. Firma MandalMotors wciąż jeszcze usiłowała stanąć na nogi po poprzedniej wojnie, bo Mandalora, chociaż była członkiem Galaktycznego Sojuszu, nie dostawała łunduszy na odbudowę. Obecnie firma miała okazję, którą należało wykorzystać.

- Jak szybki? - zainteresował się Fett.

Yomaget z pewnością nie patrzył na żonę i dzieci z równie nabożnym podziwem jak na prototyp nowego myśliwca szturmowego.

- Zero koma cztery powyżej nadświatłej - odparł z dumą. - To najdoskonalsza maszyna bojowa w całej galaktyce.

- A ty nigdy nie dałeś mi szansy jej zakupu - stwierdził łowca nagród z udawaną urazą. Sam zmodyfikował jednostki napędowe „Niewolnika 1” do wartości zero koma siedem. - To lepiej niż X-wing.

- To tylko niedokończony prototyp - zastrzegł Yomaget.

Myśliwiec wyglądał jak fasetkowy czarno-szary klin. Miał

mniej więcej piętnaście metrów długości od dziobu do ogona i skrzydła o rozpiętości ośmiu metrów. W niczym nie przypominał podobnego do owada StarVipera. Fett obszedł go naokoło i zwrócił uwagę na puste gniazda i wieszaki. Domyślił się, że uzbrojeniem myśliwca będą cztery działka laserowe i prawdopodobnie kilka innych systemów. Maszyna miała spłaszczony ogon z kratkami i otworami, które wyglądały jak gniazda w obudowie komputerowego notesu.

Kadłub był pokryty gładką powłoką z zaokrąglonymi krawędziami. Na bocznych klapach widniał namalowany jasnoszarym lakierem symbol przedstawiający mitozaura. Myśliwiec nie miał żadnych błyszczących ozdób ani ostrych krawędzi czy załamań, a przyciemniana transpastalowa owiewka kabiny przechodziła płynnie w nadbudówkę. Fett żałował, że nie może zanurkować pod kadłub, żeby rzucić okiem na gniazda blasterów i wieżyczki, ale myśliwiec spoczywał zbyt nisko, żeby łowca nagród mógł sobie na to pozwolić przy obecnym stanie zdrowia. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział jego wykrzywioną z bólu twarz, no i obawiał się, że wyglądałby jak idiota, wpełzając spod kadłuba.

- Rzeczywiście jest szybki - stwierdził. - I piękny.

- Ma kadłub pokryty powłoką uniemożliwiającą wykrywanie, chłodzone wyloty i warstwę pochłaniającą promienie skanerów. - Yomaget machnął płytką osłaniającą przedramię, po czym ją nacisnął, żeby owiewka się otworzyła. Kiedy się rozdzieliła na połowy połączone w górnej części zawiasami, dyrektor wspiął się do kabiny. - Ma także zawiasy w dolnej części, na wypadek, gdyby pilot musiał się katapultować - powiedział. - A teraz awionika... syntetyczny obraz, panoramiczne wyświetlacze w kabinie, przyciski przełączane dzięki ruchom gałek ocznych, podobnie jak przyrządy celownicze i mechanizmy.

- Mówisz, jakbyś się założył, ile urządzeń dasz radę zainstalować w jednym myśliwcu -

mruknął Fett.

- Od końca wojny z Vongami zdążyliśmy jedynie wznowić produkcję starych modeli i wymyślić kilka udoskonaleń. - Yomaget wychylił się z kabiny. - Wszystkie znalazły się w tym prototypie.

- A więc...

- Chciałeś wiedzieć, co możemy wyprodukować, mając nowy beskar - ciągnął Yomaget. -

Skłaniam się do tego, żeby wykonać z niego kadłub. Mikronizowana powłoka z beskara albo laminowany pancerz.

- Beviin powiedziała, że to zbyt dużo lukru jak na jedno ciastko - zauważył łowca nagród.

- Możesz to uznać za pokaz naszych możliwości.

- Dzięki temu byłby to najszybszy i najwytrzymalszy myśliwiec na rynku... - zastanowił się Fett. - Uzbrojenie mogłoby stanowić kompromis. - Nie był pewny, czy ma prawo mówić firmie MandalMotors, co ma zrobić ze swoim produktem. Nie przebywał na Coruscant, gdzie zgodnie z prawem troska o bezpieczeństwo była ważniejsza niż zyski firmy. - Jeżeli jednak dodasz uzbrojenie grzbietowe, nie chciałbym, żebyś komukolwiek to sprzedawał.

- Nie martw się, egzemplarze na eksport nie będą miały tak bogatego wyposażenia - zapewnił

go Yomaget. - Pamiętaj, gdzie mieszkamy. Każdy z nas stracił kogoś z rąk Vongów. - Yomaget wyskoczył z kabiny z pozadzroszczenia godną zwinnością i przycisnął płytkę na przedramieniu.

Rozległ się cichy zgrzyt, dziób zaczął się unosić i myśliwiec stanął pionowo dzięki mechanizmowi podobnemu trochę do tego, jakim dysponował „Niewolnik 1”. - Może lądować pionowo na kawałeczku gruntu o powierzchni niewiele większej niż trzydzieści dwa metry kwadratowe.

Fett odszedł kilka kroków, żeby lepiej ocenić kształt maszyny. Prototyp nie był podobny do żadnego myśliwca, jakie widział.

- Idę o zakład, że stać go także na inne sztuczki - powiedział.

- Nasze akcje poszybowały w górę, jeszcze zanim przedstawiliśmy ten prototyp - oznajmił

Yomaget.

- Ja też kilka kupiłem - przyznał Fett. - Ktoś musiał dopilnować, żeby pakiet większościowy pozostał w rękach Mandalorian.

- Jak to dobrze, że nasze prawo nie zabrania handlu akcjami kupowanymi na podstawie przecieków z firmy.

- Nie zamierzam ich sprzedawać - zaznaczył Fett. - Może przekażę je komuś pod warunkiem, że ta osoba nigdy nie sprzeda ich żadnym... aruetiise.

- Czy to znaczy, że mam zgodę na rozpoczęcie produkcji?

- Pełne wyposażenie dla nas, ograniczone na eksport. - Fett odwrócił się i szybko odszedł.

Miał wrażenie, że jego niepowiązane ze sobą choć mądre decyzje zaczynają się układać w coś w rodzaju spójnej całości. - Upewnij się, że jednostka napędu nadświetlnego w produkowanych na eksport egzemplarzach będzie lepsza niż silniki X-winga, ale niewiele.

Yomaget ruszył za nim. Dyskutowali o polityce obronnej, nie uzgadniając jej z przywódcami klanów, ale Fett wiedział, że nikt nie będzie się tym przejmował.

- A zatem zamierzamy uzbroić Konfederację - domyślił się Yomaget.

- Uzbroimy wszystkich, którzy nam za to zapłacą nie wyłączając Sojuszu. - Fett nawet nie zastanowił się nad następnym posunięciem, po prostu podjął taką decyzję. - Pod warunkiem że pułkownik Jacen Solo przyleci tu osobiście, żeby zawrzeć z nami umowę.

- Jesteś subtelnym gościem, Fett - stwierdził Yomaget.

- Jeszcze nikt nigdy mnie tak nie nazywał.

- Pięćdziesiąt procent produkcji na potrzeby naszej obrony?

Obrona, pomyślał łowca nagród. Można było to tak nazwać.

- Zgoda — powiedział.

Mandalorianie lubili rozsądne kompromisy. Najlepsze umowy według nich to takie, w których obie strony są zadowolone, ale też takie, w których jedna strona była zachwycona, a druga martwa. Fett uświadomił sobie, że o mało nie poprosił o pozwolenie na wypróbowanie pierwszego wyposażonego w pancerz z beskara myśliwca, jaki zjedzie z taśmy montażowej.

Wolał, żeby ten zaszczyt przypadłw udziale Beviinowi... jedynej osobie, którą mógł- by nazwać przyjacielem.

Cieszył się na myśl o reakcji rynku, kiedy firma MandalMotors zacznie przyjmować zamówienia. Jacen Solo będzie musiał dokonać wyboru między zgodą żeby wrogowie mieli lepsze myśliwce niż maszyny Galaktycznego Sojuszu, a przybyciem na Mandalo- rę. W końcu i tak wiadomo było, co wybierze, ale zabawne będzie obserwować, ile się natrudzi, żeby taki krok uzasadnić przed opinią publiczną. Fett musiał tylko załatwić wszystko tak, żeby Jacen nie mógł tego uniknąć.

- Będzie się nazywał Bes 'uliik! - zawołał w ślad za nim Yoma- get. - Bazyliszek. Zawsze miałem słabość do starożytnych robotów bojowych. Dobra, stara nazwa Mando i prastary metal Mando w najnowocześniejszym opakowaniu.

Fett pokiwał głową. Bes'uliik, pomyślał. Nazwa brzmiała dźwięcznie. Pochodziła z przeszłości i oto powróciła, chociaż reszta galaktyki wolałaby, żeby znikła na zawsze.

Bes 'uliik. To była dobra wiadomość, która powinna ucieszyć jego ziomków.

Kosmoport Charbi, Vulpter, Głębokie Jądro

Ben podszedł do iluminatora tak blisko, jak mógł, żeby spojrzeć na permabeton w dole. Był mglisty, ponury dzień, ale jego ciało mówiło mu, że wciąż jeszcze trwa poprzednia noc, a ono potrzebuje więcej snu.

Dla całej reszty kosmoportu dobrze utrzymany, ale wiekowy statek wycieczkowy firmy Incom nie był jednostką Galaktycznego Sojuszu. Pieczołowicie zaśmiecony koreliańskim pyłem, resztkami koreliańskiego jedzenia, włóknami koreliańskich tkanin i wieloma innymi

„dowodami”, miał udowodnić specjalistom z ekip dochodzeniowych, że pochodzi rzeczywiście z Korelii. Nikt nie mógł się także domyślić, że lecący w niewielkiej odległości za wahadłowcem Omasa poobijany między systemowy kuter dostawczy w rzeczywistości jest szpiegowskim statkiem z najnowocześniejszą aparaturą komunikacyjną fałszywymi transponderami i potężną jednostką napędu nadświatlnego na pokładzie.

Jori Lekauf nie występował naturalnie jako skrytobójca Straży Galaktycznego Sojuszu. Był

zwykłym, miłym młodym Korelianinem, który wyruszył na pełną przygodę wyprawę w towarzystwie młodszego kuzyna. Lecieli starym statkiem wycieczkowym, kupionym za wszystkie oszczędzone kredyty, których „starszy kuzyn” nie musiał wydawać na życie. Kłopot w tym, że i Ben mógł w to łatwo uwierzyć, chociaż widział, że Lekauf ma ukryty pod kurtką istny arsenał śmiertelnych narzędzi mordy.

- Gdybym miał nadal rude włosy, rodzinne podobieństwo wyglądałoby bardziej przekonująco
- stwierdził chłopak. Chętnie by wypił jeszcze jedną filiżankę kafeiny, żeby nie zasnąć, ale gdyby to zrobił, prawdopodobnie musiałby rozpaczliwie szukać toalety w najmniej odpowiedniej chwili. - Twoje włosy też są rudawe.
- Już bardziej piaskowoblond - sprzeciwił się Lekauf. - Na jednego rudowłosego mężczyznę łatwo zwrócić uwagę, ale dwóch na pewno by zapamiętał jakiś świadek... to znaczy, jeżeli będziemy mieli jakiegoś świadka.
- Mogliśmy się ubrać jak Ubezjanie... w maski.
- Myślę, że ktoś już kiedyś tego próbował.
- Denerwuję się.
- Wiem.

Musieli się uzbroić w cierpliwość i czekać dalej. Shevu miał się z nimi skontaktować zaraz po dotarciu na Vulptera. Z ostatniej przesłanej przez niego wiadomości wynikało, że przyleci kilka minut po lądowaniu wahadłowca z Omasem na pokładzie. Nie powinno to zwrócić niczyjej uwagi, bo Charbi było ruchliwym kosmoportem. Przeładowywano tu mnóstwo tanich i tandetnych towarów, a

statki lądowały w bardzo krótkich odstępach czasu jeden po drugim, niemal bez zachowywania wymaganych marginesów bezpieczeństwa. Nikogo nie obchodziło, kto nimi podróżuje, jeżeli piloci wnosili wymagane opłaty.

Vulpter był kiedyś uroczą planetą, ale obecnie wyglądał paskudnie. Niebo zasnuwały dymy i opary, dzięki którym zachodzące słońce miało efektowny czerwony kolor, ale które uprzykrzały mieszkańcom życie. Dymy i gazy unosiły się w powietrzu mimo wysiłków obywateli planety, którzy starali się oczyścić środowisko. Na gigantycznym, płaskim lądowisku stały dziesiątki i setki mniej albo bardziej uszkodzonych statków. Do ładowni jednych wwożono zapasy żywności, inne tankowano, a jeszcze inne zaparkowano w pobliżu magazynów i składów i transmisyjnymi pasami bezpośrednio do ładowni transportowano skrzynie z towarami. Odległe partie lądowiska niknęły w drżącej mgiele gazów wylotowych silników pracujących na jałowym biegu. Pomiędzy statkami przechadzały się istoty najróżniejszych ras galaktyki, żeby rozprostować mięśnie dwóch, trzech albo nawet czterech dolnych kończyn. Jedynym ustępstwem na rzecz bezpieczeństwa były resztki czerwonych i białych linii na permabetonie, a także ostrzegawcze napisy głoszące: „Poza tę linię pieszym wstęp surowo wzbroniony” albo „Uwaga na pojazdy transportu naziemnego”.

Mimo to wszyscy przekraczali linie, gdzie i kiedy im się podobało. Między pieszymi przemykały poobijane śmigacze ze znakami władz kosmoportu Charbi na burtach, a ich poirytowani piloci trąbieniem usiłowali torować sobie drogę.

Ben doszedł do wniosku, że kosmoport Charbi to ostatnie miejsce, w którym można by się spodziewać, że dwaj mężowie stanu umówią się na ważne spotkanie.

- Przygotuj się - odezwał się cicho Lekauf, przyciskając do ucha czubek wskazującego palca. -

Kapitan... tak, panie kapitanie... rozumiem. - Uniósł głowę. - Omas przyleci mniej więcej za dwanaście minut. Shevu jest tuż za nim w kolejce statków oczekujących na lądowanie.

Ben odzyskał animusz. Trzymał pod kurtką karpakiego, a w kieszeni na udzie wibroostrze.

Karabin był złożony mniej więcej w połowie długości, ale i tak chłopak z trudem go ukrywał.

W myśli powtarzał czynności, które musi wykonać. Od czasu do czasu zastanawiał się także, co zrobi, jeżeli sytuacja nie rozwinię się po jego myśli. Powinien się posłużyć karabinem, żeby załatwić Gejjena z jak największej odległości, a wibroostrze miało mu pomóc w ucieczce, gdyby został schwytany.

Najlepiej byłoby dopaść Gejjena, kiedy zejdzie z pokładu swojego statku i na kilka chwil znajdzie się sam na lądowisku, z daleka od przypadkowych przechodniów. Jacen chciał jednak mieć nagranie z przebiegu spotkania, więc trzeba było udać się za Gejjenem - albo za Omasem

- do wynajętej sali konferencyjnej, po czym wsunąć kamerę paskową przez szczelinę pod drzwiami. Z planów budynku wynikało, że pomieszczenia miały wiele miejsc, w których dałoby się umieścić urządzenie grubości arkusika flimsiplastu. Drzwi były we wnękach, więc wystarczyło tylko kucnąć, jakby się chciało podnieść jakiś śmieć, a potem niepostrzeżenie wsunąć kamerę.

- Powiniennem był ukryć pluskwę w płaszczu Omasa, w jego teczce albo w innym bagażu -

mruknął Lekauf. - Moglibyśmy wówczas zidentyfikować statek Gejjena i załatwić go na rampie, kiedy będzie zamierzał stąd odlecieć.

Ben bawił się wibroostrzem, zastanawiając się, jak jego mama by się zabrała do wykonania takiego zadania.

- Nie można umieszczać pluskw w czyichś kieszeniach, bo wcześniej czy później i właściciel je znajdzie - powiedział.

- Tak, zwłaszcza gdyby przyszło mu do głowy się przebrać - zgodził się z nim Lekauf. -

Kiedyś posługiwano się rozpylonym proszkiem. Jeżeli taki proszek dostał się do płuc celu, można było odbierać jego sygnały przez całe lata.

- Ciekawe, ile takie zabawki kosztują - zastanowił się chłopak. - My się nie liczymy, ale musimy tu zostawić nasz statek.

- Nasz statek to stara balia - zapewnił go porucznik. - Oszczędzamy Wydziałowi Obrony kosztów złomowania.

Porzucenie statku miało uwiarygodnić podejrzenie, że premier Korelii zginął z ręki koreliańskiego dysydenta, który nie mógł się pogodzić z tym, że Gejjen utrzymuje kontakty z Galaktycznym Sojuszem. Przynajmniej tak powinno to wyglądać.

Ben przesiadł się na inny fotel w ciasnej sterowni, żeby wyrzeć przez iluminator po stronie sterburty. Do tej pory statek Gejjena powinien był wylądować... jeden pilot, trzech pasażerów, najwyżej pięciogodzinny pobyt na Vulpterze. Tak wynikało z bazy danych na ekranie komputerowego notesu Bena, pozbawionego wszelkich identyfikacyjnych danych na wypadek, gdyby jego właściciel został schwytany.

Chłopak starał się nie patrzeć na wyświetlacz chronometru na ścianie sterowni. Cierpliwie czekał, aż usłyszy informację od Lekaufa.

- Jak się czujesz jako oficer? - zagadnął go w pewnej chwili.

- Dziwnie - przyznał porucznik. - Mój dziadek byłby ze mnie dumny. Szkoda, że nie może mnie widzieć.

Lekauf nigdy nie wspominał swoich rodziców, często jednak mówił o dziadku. Ben uświadomił

sobie, że niemal wszyscy, z którymi dorastał albo pracował, nie mieli rodzin albo mieli rodziny niekompletne. To nie było normalne. Dla członków jego rodziny zabijanie nie było niczym niezwykłym, ale większość istot w galaktyce nigdy w życiu nikogo nie zabiła, czy to celowo, czy też przez przypadek.

Uznał za dziwne, że oto członkowie jego rodziny podejmują ważne decyzje dotyczące planet i ich zwyczajnych mieszkańców.

Skupiał się i zaczął się zbliżać do stanu, w którym zazwyczaj znikał z Mocy. Powstrzymał się jednak, zanim jeszcze ogarnęło go dziwne uczucie, jakie zazwyczaj poprzedzało zniknięcie.

- Podłącz się - szepnął Lekauf. - Czas zaczynać.

Ben aktywował komunikator i wsunął do ucha słuchawkę. Wychodząc ze sterowni, wyłączył aparaturę regulującą temperaturę i wilgotność atmosfery.

Kiedy Lekauf otworzył właz, smród i hałas poraziły Bena niczym cios pięści. Na dworze unosiła się cuchnąca mieszanina siarki i fabrycznego dymu. Obaj funkcjonariusze SGS zeszli po rampie i ruszyli w kierunku budynków terminala. Starali się wyglądać zwyczajnie, jak leniwi, niespieszący się turyści.

W pewnej chwili Lekauf podrapał się po uchu i dyskretnie poprawił tkwiącą tam słuchawkę.

- Słyszę pana, kapitanie - odezwał się cicho. - Pozycja?

Ben także usłyszał wyraźnie głos Shevu.

- Jeżeli będzie szedł nadal prosto, przejdzie trzydzieści metrów po lewej od was. Kieruje się do budynku G. Idźcie za nim, a ja podążę za wami. •

- Nie widzimy jeszcze celu - odparł Lekauf.

- Musi już być w środku.

To się dzieje naprawdę, uświadomił sobie chłopak.

Powrócił myślami do chwil, kiedy pierwszy raz podjął wielkie ryzyko. To obecne było chyba największe w jego życiu. Omas go już kiedyś widział, a także spotkał się z Shevu. Ben nie mógł pozwolić, żeby przywódca Galaktycznego Sojuszu ich zauważył. Przygarbił się i udał, że się rozgląda bez celu po lądowisku, jak mieli to zwyczaj robić czternastoletni chłopcy. Od czasu do czasu odwracał się, żeby pogawędzić z Lekaufem na bezpieczne tematy - o skałach baka, śmigaczach i tak dalej. Od czasu do czasu posyłał ukradkowe spojrzenie w kierunku, w którym powinien zobaczyć Omasa, i w końcu rzeczywiście go zauważył. Przywódca, odziany niedbale, szedł w towarzystwie dwóch mężczyzn w sportowych ubraniach. Kroczył pewnie, jak ktoś przyzwyczajony do wydawania rozkazów, ale zauważyć to mógł tylko ktoś, kto wiedział, na co zwracać uwagę. Ben wiedział.

- Idą prosto - szepnął Lekauf, nie patrząc w kierunku trzech mężczyzn.

Jeden z agentów Wywiadu Galaktycznego Sojuszu przeszedł przez drzwi budynku G przed Omase, drugi zaś podążał za nim tak blisko, że prawie następował mu na pięty. Wszyscy trzej roztopili się w tłumie w hali terminala, ale Ben nie oderwał od nich spojrzenia nawet wówczas, kiedy na kilka

chwili stracił z oczu Lekaufa. Pierwszy agent zaczął sprawdzać numery na drzwiach. Zatrzymał się przed tabliczką z napisem 53-L, po czym wsunął żeton kredytowy do otworu w ścianie. Skrzydła drzwi się rozsunęły i Ben dostrzegł przez mgnienie oka niewielki, jaskrawo oświetlony pokój. Niemal całą wolną przestrzeń zajmował biały duraplastowy stół

otoczony krzesłami. Chłopak zauważył, że w pomieszczeniu już ktoś jest.

Drzwi się zamknęły. Między Benem a salą konferencyjną przemieszczali się we wszystkie strony pasażerowie, pracownicy kosmoportu, członkowie załóg, turyści, przedsiębiorcy i wiele innych osób.

- Dasz radę - odezwał się Lekauf. - Ilu ich tam jest? Nie mogę wsunąć kamery paskowej, dopóki się nie upewnię, że ktoś znowu nie otworzy drzwi, żeby wejść do środka.

Ben zamknął oczy i skoncentrował się na prądach Mocy, a zwłaszcza na jej zagęszczeniach.

Widział je w postaci barwnych cętek pod zamkniętymi powiekami.

- Jest ich sześciu - stwierdził w końcu. To miało sens. Każdego z obu mężów stanu, którzy sobie nawzajem nie ufali, chroniło dwóch agentów. - Tak, sześciu. Wszyscy są w środku.

- Umiesz może przewidzieć, jakie numery zostaną wylosowane na loterii? - Lekauf zaczął się powoli przeciskać przez tłum istot. Kiedy dotarł do drzwi, kucnął, jakby chciał poprawić but.

Ben zauważył, że porucznik wyjmuje coś, co wygląda jak wąski pasek flimsiplastu, po czym wsuwa go szybko i bez oporu w ledwo widoczną szczelinę pod drzwiami.

W ostatnim okresie kamery paskowe stały się bardzo małe, wielkości tasiemki do powieszenia płaszcza. Były naprawdę cienkie i tanie, więc można było się ich pozbyć, kiedy kończyły przekazywać słowa i obrazy.

- Cudownie - rozległ się głos Shevu w uchu Bena. - Widzę wszystko wyraźnie. Dobry, czysty dźwięk. Doskonała robota, Jori.

Ben odwrócił się niespiesznie i zauważył kapitana, który opierał się niedbale o dystrybutor wody po drugiej stronie hali. Shevu rejestrował przekazywane przez kamerę paskową sygnały i przekazywał je od razu do kwatery głównej SGS. Miał zaczekać na potwierdzenie, że zostały odebrane i zapisane, a potem skasować zawartość pamięci swojego notesu komputerowego i przesłać ustalony kod do paskowej kamery, aby także skasowała zarejestrowane dźwięki i obrazy. Stałaby się wtedy zwykłym śmieciem, który powinny usunąć sprzątające roboty, jeżeli w ogóle by się na nią natknęły.

Ben i Lekauf słyszeli treść rozmowy w słuchawkach. Pilnie nasłuchiwali, żeby wiedzieć, kiedy zniknąć, a później czekać na wyjście Gejjena i dyskretnie podążyć za nim.

To była fascynująca rozmowa. Po jakimś czasie Ben zaczął rozumieć zwroty i niedopowiedzenia, jakie stosowali mężowie stanu, żeby wymieniać niemiłe uwagi. Używali tego dziwnego języka, aby móc się później wyprzeć, że powiedzieli coś niestosownego. Jacen też to umiał. Ben zaś miał

nadzieję, że nigdy się tego nie nauczy. Jego kuzynowi natomiast sprawiało to dużą radość.

Rozpoznawał głos Omasa, za to Gejjen mówił cicho i łagodnie, inaczej niż wówczas, kiedy Ben go oglądał w biuletynach informacyjnych HoloNetu"

Chłopak czuł się dziwnie, słuchając słów mężczyzny, którego zamierzał zabić. To mogą być ostatnie zdania, jakie Dur Gejjen wypowiada w swoim życiu.

- A więc... czy możemy się zgodzić jak dżenteloty, żeby powstrzymać się od działań zbrojnych, podczas gdy będziemy dążyli do uzyskania kompromisu?

- Zanim przedstawię tę propozycję Senatowi, czy później? - zapytał Omas.

- Nie zamierzam mówić o tym mojemu zgromadzeniu... na razie, więc może i pan nie będzie musiał przekazywać wszystkiego Senatowi - odparł Gejjen. - Wycofamy się, jeżeli się pan zgodzi na zmianę tekstu apelu o przekazaniu planetarnych sił obronnych pod dowództwo Galaktycznego Sojuszu.

- Może się pan wypowiadać w imieniu dowódców koreliańskich sił zbrojnych, ale czy został pan upoważniony, żeby reprezentować opinię Bothan?

- Czy jest pan pewny, że Niathal zastosuje się do pańskich poleceń?

- Jest zawodowym oficerem. Zrobi wszystko, co jej powiem.

- Bothanie to pragmatycy. Oni też mnie posłuchają.

- Czy w geście dobrej woli zgodzi się pan wysłać swoje siły zbrojne, żeby pomóc nam przywrócić porządek w takich miejscach jak system sepański?

- Naturalnie - odparł Gejjen. - Musi pan tylko doprowadzić do tego, żebyśmy wrócili pod wspólne dowództwo. Wtedy władcy innych planet przestaną się odłączać od Galaktycznego Sojuszu.

- Nie będę nalegał na takie oświadczenie, które mogłoby pana skompromitować - oznajmił

Omas. - Wiem, jak bardzo Korelia- nie są... dumni. Wystarczy wzmianka o możliwych do pogodzenia różnicach.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, przywódcu Omas. Naturalnie dojdziemy szybciej do porozumienia, jeżeli pani admirał Niathal i pułkownik Solo przestaną wpływać na siły zbrojne.

- Chce pan, żebym ich zdymisjonował?

- Myślę, że może pan zrobić coś więcej niż tylko ich zdymisjonować. Oboje za bardzo się przyzwyczaili, że dostają wszystko, na czym im zależy.

- Chyba wiem, co ma pan na myśli, ale nie podoba mi się takie rozwiązanie.

- Niathal jest ambitna. Niebezpieczna. Solo też jest ambitny i niebezpieczny, a w dodatku Jedi.

Możemy raz na zawsze rozwiązać za pana ten problem.

- Jeżeli to zrobicie, nie muszę o tym wiedzieć.

- Jeżeli się tego podejmiemy, pańskie służby bezpieczeństwa powinny przymknąć na to oko.

Solo ma ambitnych podwładnych,

którzy mogliby na jakiś czas oślepnąć i ogłuchnąć. W zamian można im złożyć obietnicę awansu.

- Widzę, że zna pan kapitana Girduna...

Obaj się roześmieli. Naprawdę się roześmieli. Ben usłyszał cichy dźwięk, jakby Shevu chrząknął. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył Lekaufa. Porucznik nie był już tym samym, pogodnym człowiekiem, wyglądającym młodo jak na swoje lata. Postarzał się gwałtownie, a jego twarz zniekształcał gniewny grymas.

- Tylko tyle jesteście dla nich warci - odezwał się cicho. - Idę o zakład, że chłopakom z naszego Wywiadu spodoba się pomysł, iż dowództwo obejmie ponownie jeden z ich grona.

Ben poczuł w żołądku lodowatą ciężką bryłę. A więc w tej brudnej grze brali udział wszyscy, nie wyłączając tych na samej górze. Kiedy on przygotowywał się do zlikwidowania Gejjena, koreliański premier prowadził negocjacje w celu wyeliminowania Niathal i Jacena, a Omas miał udawać, że o niczym nie ma pojęcia.

Każdego można kupić, jeżeli zaproponuje mu się wystarczająco wysoką sumę. Omas najwyraźniej wyżej cenił pokój niż życie kilku osób. Może w gruncie rzeczy nie różnił się od generała narażającego życie żołnierzy podczas bitwy, ale nie było wątpliwości, że nie postępuje równie uczciwie.

Ben postarał się przypomnieć sobie, jak wygląda wnętrze budynku terminala. Wzdłuż dachu biegł rzadko odwiedzany pomost obserwacyjny, z którego każdy mógł obserwować lądujące lub startujące statki. Miejsce nie cieszyło się dużą popularnością dzięki czemu nadawało się idealnie dla snajpera. Kiedy rozmowa obu mężów stanu zacznie dobiegać końca, Ben będzie miał minutę albo dwie, żeby dostać się na pomost i zaczekać na pojawienie się Gejjena.

Koreliański premier mógł wyjść przez jedne z trzech par drzwi, żeby wrócić na pokład swojego wahadłowca. Dzielili ją odległość kilkuset metrów, które Ben musiałby szybko przebiec po pomoście w jedną albo w drugą stronę od punktu centralnego.

Jestem gotów, zdecydował chłopak.

Przycisnął rękę do boku i namacał karpakiego. Broń miała być niemal zupełnie cicha. Problem w tym, że na permabetonowej platformie obserwacyjnej pomostu nie było się gdzie ukryć.

Będę musiał później błyskawicznie zniknąć, uświadomił sobie Ben.

Rozmowa obu mężów stanu zaczęła się rwać; między wypowiedzianymi zdaniami pojawiały się przerwy, westchnienia i chrząknięcia. Ben doszedł do wniosku, że sprawa już jest przesądzona.

Poczuł szturchnięcie Lekaufa, odwrócił się w jego stronę i ruszył do szybu turbowindy, którą mógł się dostać na dach hali kosmoportu. Wszedł do kabiny razem z rodziną szukających kawiarenki istot rasy Trianii. Zastanowił się, czy wyczują jego zamiary.

Jeden z żołnierzy SGS, amator swobodnego spadania, mówił kiedyś Benowi, że jeśli ktoś chce zeskoczyć z wieżowca o wysokości pięciu kilometrów, musi przerwać przygotowania i zrobić krok w przepaść. Ben osiągnął ten punkt, kiedy znalazł się na tarasie i zajął pozycję do strzału.

Cofnął się w cień wylotu klimatyzatora i rozłożył kolbę karpakiego. Gdyby go trzymał wzdłuż nogawki workowatych, wymiętych spodni, broń nie rzuciłaby się w oczy.

W pobliżu nikogo nie zauważył. Platforma obserwacyjnego pomostu była popękana, a ze szczelin w permabetonie wyrastały kępki chwastów. Ben postanowił zaczekać, aż Shevu i Lekauf poinformują go o wyjściu Gejjena.

Jacem wpadnie w szal, kiedy się dowie, jakie zamiary żywi względem niego przywódca Omas, pomyślał.

- Benie, głowa do góry - usłyszał głos kapitana. - Gejjen wyszedł z sali. Kieruje się prosto do południowych drzwi. Idź w prawo.

Chłopak rozejrzał się i starając się trzymać jak najdalej balustrady, przeszedł niespiesznie w odległy kąt pomostu. Miał nadzieję, że rozpozna Gejjena. Zanim wyruszył na wyprawę, wbił

sobie w pamięć obraz twarzy mężczyzny i sposób, w jaki się porusza, ale mogło się zdarzyć, że teraz zobaczy tylko tył jego głowy, zależnie od tego, jaką drogą koreliański premier będzie wracał na pokład swojego statku. Ben nie mógł się pozbyć głupich, śmiesznych wątpliwości.

Chyba nie przemyślał wszystkiego dokładnie, zanim wyruszył na wyprawę.

Spojrzał w dół, na permabeton lądowiska. Zobaczył setki statków, załadunkowych automatów i tłum istot wielu ras, przechadzających się jak w parku z turystycznymi atrakcjami. Jego uwagę przyciągnął mężczyzna o przyszyżonych krótko, po wojskowemu, włosach... czarnych jak smoła, błyszczących i starannie uczesanych.

Położył się na permabetonie pomostu i spojrział przez lunetę karpakiego. Dzięki optycznemu urządzeniu znalazł się od razu

0 sto metrów bliżej celu. Nie mógł mieć wątpliwości, że widzi w krzyżu celowniczym głowę właściwego mężczyzny. Gejjen się oddalał, a dwaj jego ochroniarze w cywilnych sportowych ubraniach to pokazywali się w polu widzenia obiektywu lunety, to znów z niego znikali.

Kiedy Gejjen upadnie, przynajmniej jeden z nich zacznie się rozglądać w poszukiwaniu miejsca, skąd padł strzał. Ben będzie musiał leżeć jakiś czas nieruchomo, a potem wtopić się w tłum w hali kosmoportu. Jeszcze później miał się spotkać z oboma oficerami SGS na pokładzie statku, którym przyleciał Shevu.

Dam radę, pomyślał. Poleciałem przecież na stację Centerpoint 1 wróciłem, prawda?

Wstrzymał oddech i pozwolił, żeby inteligentne urządzenie optyczne karpakiego wzięło poprawkę na wiatr i kąta strzału, a później poczuł, że jego palec zaciska się na spuście broni. W

jednej sekundzie celownik lunety wypełniały gładko uczesane włosy Gejjena, a w następnej Ben zobaczył pusty permabeton. Kolba karabinu kopnęła go w ramię i usłyszał odgłos strzału, cichy, jakby napłynął z bardzo daleka. Wszystko poszło inaczej, nie w tej kolejności, jak się spodziewał... strzał, odrzut, upadek celu. Chłopak leżał jakiś czas zupełnie nieruchomo.

Co się stało? - zadał sobie pytanie.

Czy naprawdę go zabiłem?

Słyszał krzyki dobiegające z miejsca usytuowanego trzy piętra niżej i w końcu pozwolił, żeby decyzję podjęły jego mięśnie. Wycofał się na czworakach pod tylną ścianę i uświadomił sobie, że głos Shevu w jego uchu powtarza:

- Wynoś się stamtąd, Benie!

Zgarbiony, pobiegł do szybu turbowind, ale kabina utknęła na niższym poziomie, więc postanowił skorzystać z awaryjnych schodów. Tak przewidywał plan. Za chwilę miał się zgubić gdzieś w tłumie.

Kiedy dotarł na parter, otworzył przeciwpożarowe drzwi i postarał się opanować panikę.

Zawodowym zabójcom z pewnością przychodziło to bez trudu, ale chłopak miał z tym problem. Postanowił na razie zapomnieć, że kilka minut wcześniej zabił człowieka, i skupić uwagę tylko na ucieczce.

Kiedy Shevu podszedł do niego od tyłu i położył dłoń na jego ramieniu, Ben o mało nie zemdlął.

- Nie zatrzymuj się - szepnął kapitan. Przy transpastalowych drzwiach zaczynał się już gromadzić tłum osób gapiących się na tragiczną scenę, jaka rozegrała się na lądowisku. Przez ciżbę w hali kosmoportu przedzierali się z trudem agenci służby bezpieczeństwa. - Nie przystawaj. Idź dalej.

Gdyby zablokowali drzwi...

Wszędzie panował chaos. Chyba nikt jeszcze nie wiedział, co naprawdę się stało, dzięki czemu Ben, Shevu i Lekauf mogli zyskać kilka minut. W tym kosmoporcie i pasażerowie, i kapitanowie frachtowców mogliby przejść obojętnie obok zwłok, gdyby od tego zależało, czy ich statek odleci zgodnie z harmonogramem.

Trzej funkcjonariusze SGS właśnie na to liczyli.

- Jestem tuż za tobą - rozległ się głos Lekaufa w słuchawce Bena. - Jeżeli dojdziemy do południowych drzwi, będziemy mogli przemknąć skrajem lądowiska do miejsca, w którym stoi kuter Shevu.

Ben był przerażony i nie umiał tego ukryć. Nie bał się w ogóle podczas poprzedniej akcji na pokładach stacji Centerpoint, ale obecnie był mądrzejszy. Starał się trzymać blisko kapitana i od czasu do czasu przystawał, żeby spojrzeć na kłębowisko różnych istot, jakby naprawdę był

ciekaw, co się dzieje. Po chwili ruszał powoli w dalszą drogę.

Pod sklepieniem sali, na holoeckranie, na którym zazwyczaj ukazywały się godziny przylotów i odlotów, pojawił się nagle widok lądowiska przekazywany z wieży kontroli ruchu powietrznego.

Tak, Ben mógł już być pewny: zabił Gejjena podręcznikowym strzałem w głowę.

Nie czuję mięśni twarzy, uświadomił sobie. Mam zdrętwiałe wargi.

Od drzwi dzieliło go zaledwie kilka sekund. Szedł w rzedniejącym tłumie automatów, repulsorowych platform i pasażerów kierujących się na pokłady swoich statków.

Już prawie jestem u celu, pomyślał.

Kiedy od transpastalowych drzwi dzieliło go najwyżej kilka metrów, zobaczył mężczyznę w znajomym sportowym ubraniu, pędzącego po płycie lądowiska w jego stronę. Skrzydła drzwi się rozsunęły i chłopak spojrzał prosto w wylot lufy blastera.

- Jestem funkcjonariuszem Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa! - wykrzyknął mężczyzna. -

Wszyscy mają pozostać na swoich miejscach!

Ben musiał w ułamku sekundy zdecydować, czy zastosować się do rozkazu, czy też może postarać się obezwładnić agenta.

ROZDZIAŁ 10

Verpiński negocjator Sass Sikili, przemawiając dzisiaj, pierwszego dnia konferencji BastEx, ostrzegł władców Murkhany, że władze Roche 'a podejmą „ stosowne kroki", jeżeli Murkhana nadal będzie naruszała umowy handlowe dotyczące eksportu technologii. Wygląda na to, że Murkhana zamierza wejść

na rozwijający się rynek bezpiecznych zminiaturyzowanych komunikatorów, na którym dotąd dominowały urządzenia produkcji verpińskiej.

**z biuletynu handlowego HoloNetu, obserwowanego z uwagą przez Bobę Fetta, Mandalora
Coruscant, okolice Rotundy, parking dla śmigaczy**

Lumiya pozostawiła wzburzony ślad w Mocy, niczym wodny śmigacz na powierzchni jeziora.

Było to bardzo uprzejme z jej strony, ale Mara nie była zachwycona.

- Nie urodziłam się wczoraj - mruknęła. - Nie uwłaczaj mojej inteligencji, puszek konserw.

- A mówiłaś, że to Luke siedzi w tym po same uszy - przypomniała Jaina.-- Głęboko oddychaj, ciociu Maro. Głęboko oddychaj.

- Uwalniam emocje - wyjaśniła mistrzyni Jedi. - To mi pomaga. Ty posługujesz się Mocą na swój sposób, a ja na swój.

- Czyżbym naprawdę wywierała na ciebie kojący wpływ? - zapytała Jaina. - To powinno się zapamiętać na użytek naszych wnuków.

Mara przemierzała tam i z powrotem przestrzeń o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych. Wyczuwała ciemną energię, pulsującą niczym mroczne fale. Jaina cofnęła się i obserwowała ją.

- To stąd odleciała - oznajmiła nagle Mara.

- Myślisz, że ściągnęła nas tu po to, żeby odwrócić naszą uwagę od czegoś, co się dzieje na Coruscant? - zaniepokoiła się młodsza Jedi.

- Ma niewielki wybór celów, Jaino - odparła Mara. - Ben albo Jacen... ewentualnie Han i Leia, jeżeli skumała się z Alemą. Twoich rodziców nie ma na Coruscant, a jeżeli zależy jej na Jacenie, miała dobrą okazję zabicia go, kiedy dostała się do kwatery głównej SGS, żeby zabrać stamtąd buty Bena. - Mara kucnęła i dotknęła permabetonu. Spodziewała się, że poczuje wstrząs, na dowód, że Lumiya się z niej naigrawa, ale odebrała tylko żenująco łagodne wrażenie, jakie zostawiła kobieta-Sith. Podobnie jak wówczas, kiedy przekonała Luke'a, że nie żywi wobec niego złych zamiarów, pomyślała. Lumiya chyba odkryła w sobie rzadki talent do naginania Mocy w celu odgrywania narzuconej roli. -A gdyby zależało jej na Luke'u, do tej pory przegapiła dwie dobre okazje.

- Czyli chodzi jej o Bena - domyśliła się Jaina.

- Bena... nie ma na Coruscant - bąknęła Mara.

Jaina spojrzała na nią z niepewną miną. Nie rozumiała, dlaczego Mara unika jasnej odpowiedzi. Mistrzyni Jedi nie zamierzała jednak niczego wyjawiać. Doszła do wniosku, że im mniej członkowie rodziny będą wiedzieć o sytuacji Bena, tym lepiej. Wcześniej czy później jej syn miał się dowiedzieć, że matka go szpieguje, i bez względu na to, ile będzie miał wówczas lat, na zawsze straci do niej zaufanie.

- Sprawy SGS - dodała, odpowiadając na niezadane pytanie. Uwolniła myśli i posługując się Mocą posłała je we wszystkie strony. Szukała czegokolwiek, co by jej powiedziało, że Lumiya odleciała na Vulpetera, ale niczego takiego nie wyczuła. Pochwyciła jednak obecność Bena. Jej syn wydawał się zdenerwowany, a potem zniknął z Mocy, czego na pewno nauczył go Jacen.

Mara wiedziała, że będzie musiała z nim o tym porozmawiać, kiedy w końcu zapanuje nad sytuacją. - Trudno, jeżeli chce, żebym za nią podążała, zrobię to - dokończyła.

- Wezwijmy na pomoc Zekka i Jaga - zaproponowała Jaina.

- Mogę się założyć, że w mieście jest także Alema, a ja... a my...

- Nie obraż się, Jaino, ale chyba to na mnie jej zależy - przerwała mistrzyni Jedi. - Ale możesz się zająć odszukaniem Owadziej Dziewczynki.

Jaina wyduła wargi, jakby doszła do wniosku, że powinna się pogodzić z argumentami Mary.

- Dobrze - odparła w końcu.

- To tylko stara waśń ciemnej strony. - Mara nie chciała, żeby Jaina poczuła się zlekceważona.

W obecnej chwili stosunki między członkami rodziny były i tak wystarczająco napięte. - Nie pozwólmy, żeby nas obie wodziła za nos.

Bo Lumiya wyraźnie się z niej naigrawała. Dawała jej do zrozumienia, że kiedy tylko zechce, może się dobrać do jej męża i do jej syna. Jeżeli jednak zamierzała zabić Bena za śmierć swojej córki, chyba raz po raz przepuszczała dobre okazje. Więc czego właściwie od niej chciała?

Mara wróciła do bazy i stwierdziła, że jeden z członków personelu naziemnego czeka obok jej myśliwca typu XJ7. Wspięła się do kabiny i rozpoczęła procedury przedstartowe.

- Czy Lumiya jest naprawdę Sithem? - zapytał po krótkiej chwili technik.

- Ostatnim, jaki pozostał przy życiu - potwierdziła mistrzyni Jedi, nie pytając, gdzie mężczyzna się tego dowiedział i skąd w ogóle zna to słowo. Zganiła się w duchu za to przeoczenie, bo jej słowa usłyszeli także inni członkowie personelu naziemnego. Uszczelniła owiewkę kabiny swojego XJ7. - Już ja tego dopilnuję

- mruknęła do siebie.

Ignorując wojskowe regulaminy ruchu powietrznego, zatoczyła krąg nad miejscem, w którym ostami raz wyczuła silny ślad Lumii. Kiedy się skupiła, podążanie tym tropem było bardzo łatwe. Po opuszczeniu orbity stwierdziła, że leci w kierunku jednego z księżyców Coruscant, zwanego Hesperidium.

- Pamiętam, Palpatine uwielbiał tamto miejsce - powiedziała do siebie. - Lecisz tam, cyborgu, żeby wspominać dawne dobre czasy?

Lumiya rzeczywiście bawiła się w jakąś grę. Na pewno jednak nie była na tyle głupia, aby się spodziewać, że wyciągnie do Mary rękę i zabierze nieuszkodzoną, tak jak kiedyś postąpiła z Lukiem.

Ślad doprowadził mistrzynię Jedi do głównego ośrodka wypoczynkowego. Nie było tu tak elegancko

jak dawniej. Mistrzini Jedi zastanowiła się, czy to skutek kiepskiej powojennej koniunktury. Brakowało pozbawionych gustu bogaczy, którzy chcieliby go odwiedzać.

Operator kontroli ruchu kosmoportu był zaskoczony - łagodnie mówiąc - pojawieniem się wojskowego obiektu na ekranach swoich skanerów.

- Muszę na jakiś czas tu wylądować - przekazała mu Mara. Wiedziała, że operator i tak nie może jej odmówić. Nikt nie mógł jej powstrzymać przed lądowaniem. - Cały czas mam dziwaczne odczyty na wyświetlaczach pokładowych instrumentów. Muszę wszystko sprawdzić.

- Proszę dać nam znać, jeżeli będzie pani potrzebna pomoc - odezwał się operator KRK. -

Szczycimy się tym, że robimy dla naszych gości wszystko, co w naszej mocy.

- To tajne - ucięła Mara i zakończyła rozmowę.

Wylądowała i rzuciła okiem na statki na prywatnych lądowiskach różnych hoteli.

Zdecydowała, że jej XJ7 wygląda między nimi jak malutka zabawka ekscentrycznego miliardera. Niektóre jednostki były oszłamiające, kosztowne i tak niewiarygodnie duże, że Mara się dziwiła, jakim cudem w ogóle wylądowały. Najwyraźniej wciąż jeszcze istniała grupka potentatów, którzy przetrwali ostatnie dziesięć lat bez uszczerbku dla majątku. W

galaktyce szalała nowa wojna, ale ich życie toczyło się chyba, jakby się nic nie zmieniło.

Kredyty czasami pełniły funkcję pola deflektorów... jeżeli się ich miało wystarczająco dużo, ich właściciele nie mogła spotkać żadna krzywda.

Mara uwolniła myśli i wysłała je poprzez Moc. Rozejrzała się po lądowisku, zanim otworzyła owiewkę kabiny, i zeskoczyła na permabetonową płytę. Dobrze chociaż, że była ubrana jak ekscentryczna bogaczka, bo dzięki temu prawie nie zwracała na siebie uwagi.

Oglądała stojące na stanowiskach dziwne jednostki... prawdziwe latające pałace.

A później uświadomiła sobie, że jej ramienia dotknęła ciemność, chociaż był dopiero ranek, a na dworze świeciło słońce.

Poczuła tak namacalny, gęsty mrok, że odwróciła się z dłonią na rękojeści świetlnego miecza.

Spodziewała się, że zobaczy gotową do ataku Lumię, ale nie zauważyła nikogo.

Chcesz się ze mną pobawić? - pomyślała.

Było jeszcze wcześniej. Obok niej przebiegła grupka hotelowych gości w sportowych strojach.

Niektórzy obrzucili ją spojrzeniem, ale nie przystanęli, żeby zamienić choć kilka słów. Mara zaczęła się przechadzać między zaparkowanymi na lądowisku statkami. Wyczuwała, że ciemność gniecie jej

serce jak podczas choroby wieńcowej. W pobliżu czyhało coś mrocznego... a to oznaczało, że Lumiya jest niedaleko. Ucisk w piersi stał się tak silny, że mistrzyni Jedi wysunęła klingę świetlnego miecza. Spodziewała się, że za chwilę stoczy walkę, kiedy tylko obejdzie kadłub następnego statku. To koniec, Lumiyo, pomyślała. Koniec twoich gier.

Wsluchując się w pomruk klingi świetlnego miecza, wskoczyła w prześwit między dwoma statkami.

Zamiast zawoalowanej postaci ze świetlnym biczem w dłoni zobaczyła jednak pojedyncze, ogniste oko o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów. Instykt podpowiedział jej, że dziwne zjawisko jest żywe. Oko musiało być czymś w rodzaju statku, a to mogło oznaczać tylko jedno: w środku ukrywa się Lumiya.

Mara była pewna, że to pułapka.

Świetnie, pomyślała. Zdarza się, że pułapka udławi się zdobyczą... Przyjrzała się kulistemu statkowi, szukając wjazdu, ale na chropowatej powierzchni - czyżby to był kamień? - nie zobaczyła najmniejszej szczeliny.

Wejść do środka.

Mara uświadomiła sobie, że słyszy czyjś głos w swojej głowie, w samej tkance Mocy. Głos nieożywiony, ale niewątpliwie kogoś inteligentnego. Na pewno nie androida.

Czyżby to mówił statek?

Starając się wyczuć Lumiye, Mara wyteżyła wszystkie zmysły, ale doszła do wniosku, że w środku sfery nikt się nie ukrywa. W pewnej chwili w kadłubie pojawiła się szczelina, z której wysunęła się rampa. Nie mogło to oznaczać nic innego niż zaproszenie, ale Mara miała zbyt duże doświadczenie, żeby po prostu wejść do środka. Musiała się jednak dowiedzieć, co się dzieje. Wyraźny ślad Lumii urywał się właśnie w tym miejscu, co dowodziło, że tym statkiem przyleciała kobieta-Sith. Ale...

Muszę ją pokonać, postanowiła mistrzyni Jedi. Nie mam zamiaru dać się nabrać na te sztuczki.

Jeżeli Lumiya czekała w sferze, ukryta w Mocy, Mara zamierzała znaleźć ją i zabić. W razie czego zaczeka na nią w środku i zabije, kiedy kobieta-Sith się pojawi. Czas nie miał dla Mary żadnego znaczenia. Na razie mistrzyni Jedi i tak nie miała nic pilniejszego do roboty.

Postawiła stopę na rampie i trzymając oburącz klingę świetlnego miecza, przeszła ostrożnie kilka kroków. Nie przejmowała się tym, że pobliski hotel na pewno ma kamery systemu bezpieczeństwa, a operatorzy mogą widzieć, co się dzieje.

W pewnej chwili odniosła wrażenie dezorientacji, której sama nie odczuwała.

Nie jesteś osobą, której się spodziewałem.

To był znów statek.

- Co to ma znaczyć? A kogo się spodziewałeś? - zapytała Mara, ale zaraz uświadomiła sobie, że nie musi mówić głośno. Wystarczyło pomyśleć.

Jesteście do siebie... bardzo podobne.

- Dzięki. Serdeczne dzięki. - Statek najwyraźniej miał o Lumi wysokie mniemanie. Mara postanowiła go wykorzystać jako źródło informacji. Zastanowiła się, jakie zadać następne pytanie. Nie powiedziała go na głos, tylko pomyślała i wysłała do kulistego statku. Kiedyś -

dawno - też tak robiła. Prowadząc myślową rozmowę, poczuła się znów jak Ręka Imperatora.

Gdzie ona jest, statku? - zapytała.

Ta druga? Niedaleko.

Jesteś przedmiotem Sithów, prawda?

Dobrze znasz ciemność. Lepiej niż ta druga osoba, której powrotu się spodziewałem.

Mara nie miała pojęcia, co to może oznaczać, ale tak czy owak wiedziała, że musi coś z tym zrobić. Coś... złego. Chciała niszczyć. Chciała unicestwić.

Jesteś ostatnim Sithem, jaki pozostał, Lumiyo, pomyślała. Najwyższy czas.

Zawahała się u szczytu rampy. Trochę się obawiała, że zostanie wciągnięta do środka, a sferyczny statek uwięzi ją i odleci. Sięgnęła jedną ręką do kieszeni, namacała ostatni miniaturowy transponder - jedyny artefakt, jaki jej pozostał z poprzedniego życia - i wsunęła go za krawędź włazu. Transponder przylgnął do dziwnej chropowatej powierzchni, którą Mara wyczuła pod palcami. Gdyby w tej chwili sfera ją uwięziła, dzięki temu urządzeniu ktoś mógłby natrafić na jej ślad. A gdyby Lumiya kiedykolwiek wróciła na pokład dziwnego statku Sithów, transponder przekazywałby informację o miejscu jej pobytu za każdym razem, kiedy nadajnik Mary wyśle do niego odpowiedni sygnał.

Mistrzynie Jedi głęboko odetchnęła i zajrzała do środka.

Statek był zupełnie pusty.

Nie było tu żadnej załogi, ani w ogóle niczego: kabiny, przyrządów, wyświetlaczy sensorów...

absolutnie niczego. Kula była wydrążona, a jej wnętrze rozjaśniała czerwona poświata, jakby między warstwami kadłuba płonął ogień. Mara nie widziała tego blasku, kiedy stała na zewnątrz sfery.

Nie weszła jednak do środka, bo w następnej chwili wyczuła, że ktoś nadchodzi. Wiedziała, kim jest ta osoba. Odwróciła się, zeszła kilka kroków po rampie i znieruchomiła z zapaloną klingą świetlnego miecza w dłoni.

Między zaparkowanymi statkami pojawiła się szczupła postać w ciemnoszarym kostiumie, w trójkątnym kapeluszu i w woalce przesłaniającej dolną połowę twarzy.

- Witaj, mała kuchto - odezwała się Lumiya.

Mistrzynie Jedi przeistoczyła się znów w Rękę Imperatora. Była wyciszona i skupiona. Nie zamierzała tracić czasu na słowa. Przemówienia wygłaszali amatorzy, a zawodowcy przystępowali od razu do działania.

Posługując się Mocą, wyskoczyła na pięć metrów ponad Lumię i trzymając miecz oburącz, cięła w dół. Silny cios rozplątał kapelusz przeciwniczki. Lumiya odskoczyła do tyłu. Otworzyła szeroko oczy i bez namysłu zakręciła nad głową młynka świetlnym biczem. Końcówki broni, skwiercząc i sycząc, chybiły Marę tylko dlatego, że mistrzyni Jedi uwolniła całą swoją energię i posługując się Mocą, odepchnęła je i trochę spowolniła.

Nie zamierzała lekceważyć niezwyklej broni. Świetlny bicz był najstraszliwszym orężem, z jakim miała kiedykolwiek do czynienia. Skórzane pasy były usiane ostrymi kawałkami superwytrzymałego mandaloriańskiego żelaza, a w wąsach kryła się mordercza energia ciemnej Mocy. Mara wyciągnęła blaster i przetoczyła się pod kadłubem najbliższego statku.

Świetlny bicz przebił durastalowy kadłub ze skowytym rozcinanego metalu, a w powietrzu rozszedł się odór hydraulicznego płynu. Z przeciętego miejsca trysnęła strużka gęstej cieczy, która zaczęła tworzyć na permabetonie coraz większą kałużę. Mara przetoczyła się na drugą stronę statku, ale Lumiya wylądowała ciężko na obu stopach tuż obok niej i smagnęła biczem permabeton tak blisko jej głowy, że Mara poczuła na policzku podmuch powietrza. Usłyszała trzask tak głośny, że o mało nie ogłuchła.

Instynktownie wymierzyła lufę blastera i dała ognia. Lumiya unosiła właśnie rękę z biczem, żeby nadać jak największy impet następnemu smagnięciu, kiedy z jej ramienia wydobył się obłoczek białego dymu. Kobieta-Sith zachwiała się i cofnęła kilka kroków.

Metal, pomyślała Mara. Prawdopodobnie trafiłam w metal.

Chyba rzeczywiście, bo Lumiya szybko odzyskała równowagę i ruszyła do następnego ataku.

Mara kucnęła i skoczyła w bok. Trafiła głową w nogi przeciwniczki z całą siłą jaką mogła zaczerpnąć z Mocy. Jej głowa zetknęła się jednak z litą durastalą Mistrzynie Jedi miała pełne usta krwi, ale w pierwszej chwili nic nie poczuła. Trzymając kolana Lumii jedną ręką żeby uniemożliwić zamachnięcie się biczem, powaliła ją na permabeton niczym pień ściętego drzewa, po czym z całej siły uderzyła czołem w jej twarz.

Dopiero wtedy poczuła ból. O, tak, i to jaki. Trafiła nie w nos, jak się spodziewała, ale w cybernetyczną szczękę, która wbiła się głęboko w jej czoło. Instynktownie walcząc dalej, częściowo oszołomiona, na sekundę wyłączyła klingę świetlnego miecza i chwyciła rękojeść jak sztylet. Przyłożyła ją do piersi kobiety i kciukiem przycisnęła guzik włączający ostrze.

Kiedy klinga wbiła się w ciało, Lumiya obróciła się na bok, a Mara poczuła woń przypiekanego ciała. Wyłączyła klingę i, przed następnym ciosem, triumfalnie się uśmiechnęła.

Zrobiłam to, pomyślała. Jesteś martwa. Martwa, ty...

Lumiya wrzasnęła, chociaż nie powinna. Jej krzyk przeniknął Marę na wylot niczym rozżarzone ostrze. Był czymś więcej niż tylko dźwiękiem. Był...

Mara uklękła i spojrzała na kobietę, która powinna być martwa. Zobaczyła zielone oczy, pozbawione jakichkolwiek emocji. Świat wokół niej pociemniał jak podczas zaćmienia słońca.

Może to ja zginęłam, pomyślała mistrzyni Jedi.

Poczuła silny cios w plecy, po którym upadła twarzą na Lumię. Stoczyła się z niej, nie wypuszczając świetlnego miecza ani blastera, i w tym samym momencie coś owinęło się wokół

jej szyi i szarpnęło do tyłu. Mara zauważyła, że Lumiya nadal trzyma rękojeść świetlnego bicia w zaciśniętej pięści. Widziała także ją samą, a zatem co zaciskało się na jej szyi i ją dusiło?

Mara poleciała do tyłu i uderzyła plecami w jakiś twardy przedmiot z impetem, który wyparł z jej płuc powietrze.

Wszystko trwało sekundę albo dwie. Mara leżała, łapczywie chwytając powietrze i czując, że coś kłuje ją w oczy. W pewnej chwili zobaczyła buty Lumii. Kobieta-Sith przebiegła, kulejąc, zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

Co się dzieje z moimi oczami? - zastanowiła się mistrzyni Jedi. Dlaczego mnie tak kłują?

Uniosła rękę, żeby je potrząść, i przekonała się, że ma zakrwawione kostki palców. I wtedy zobaczyła pomarańczową kulę niesamowitego statku Sithów, jak wznosi się pionowo w powietrze i rozpościera podobne do płetw skrzydła.

Wsparła się z trudem na łokciach i zauważyła nad sobą parę biegaczy w nieskazitelnie czystych białych strojach sportowych. Wpatrywali się w nią z przerażeniem. To byli ci sami, których widziała wcześniej, jak wybiegali z pobliskiego hotelu. Skupiła się, na ile mogła, i odwróciła w ich stronę.

- Właśnie oglądaliście dwie kaskaderki odgrywające scenę do holowideogramu, rejestrowaną przez ukrytą kamerę — powiedziała. - Nie widzieliście żadnej walki.

- Nie widzieliśmy żadnej walki, kochanie - odezwała się posłusznie biegaczka.

Mężczyzna gapił się na nią chwilę, ale zaraz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Coś niesamowitego! - wykrzyknął. - Nigdy bym nie pomyślał, że sztuczna krew może wyglądać zupełnie jak prawdziwa!

- To rzeczywiście.... - zaczęła Mara i przerwała. Z wysiłkiem wstała, podniosła rękojeść świetlnego

miecza oraz blaster i odeszła z taką godnością na jaką mogła się zdobyć.

Byłam pewna, że z nią skończyłam, pomyślała. Jakim cudem ona żyje?

Sfrustrowana, bliska płaczu, wspięła się do kabiny swojego XJ7. Cały czas się-zastanawiała, co zaatakowało ją od tyłu. Obejrzała swoje obrażenia w lustrzanej powierzchni komputerowego notesu i przekonała się, że ma zakrwawioną twarz i podbite prawe oko, które zaczynało już puchnąć. Na szyi zauważyła ślady jak po oparzeniach, a może otarciach od sznura. W skórze dostrzegła także wgłębienia, które wyglądały, jakby duszono ją plecioną drucianą liną.

Od tyłu zaatakował mnie jakiś android, pomyślała. Android albo maszyna. To dlatego nic nie wyczułam.

Wiedziała, że pilotowanie gwiazdowego myśliwca po takim urazie głowy to szaleństwo, ale nie mogła w inny sposób wrócić na Coruscant. Klnąc pod nosem, przesłała energię do jednostek napędowych. Pokonała cybernetyczną czarownicę, wbiła w jej pierś klingę świetlnego miecza, a ona nadal żyje. Dlaczego?

Najgorsze jednak, Luke, że nie wyczuwałam jej wrogich intencji, pomyślała.

Wiedziała, że czekają długi pobyt w zbiorniku bacta. Uniosła myśliwiec typu XJ7 nad płytę lądowiska, wpisała do pamięci nawigacyjnego komputera współrzędne lotu powrotnego na Coruscant i włączyła automatycznego pilota.

Luke wpadnie w szal, kiedy zobaczy mnie w takim stanie, uświadomiła sobie.

Poziom adrenaliny w jej krwi stopniowo opadał i Mara zaczynała odczuwać ból. Pogrzyżyła się w płytkim medytacyjnym transie, żeby przyspieszyć tempo regeneracji.

Dlaczego mnie nie zabiła? - zadała sobie następne pytanie. Miała okazję. O mało się nie nadziałam na jej przeklętą metalową szczękę.

W tej samej chwili przypomniała sobie o transponderach. Poszperała w kieszeni, wyjęła komputerowy notes i włączyła nadajnik sygnału przeszukującego. Na ekranie zobaczyła pulsujący żółty punkcik... po chwili pojawił się drugi.

Jeden transponder znajdował się wciąż jeszcze na Vulpterze: Ben. Drugi, przemieszczając się po skraju ekranu, oddalał się od Jądra.

Lumiya.

Mam cię, pomyślała i aż się uśmiechnęła, ale zaraz przypomniała sobie o rozciętej wardze.

Mam cię.

Lumiya, lecąc dziwnym statkiem Sithów, kierowała się w stronę węzła Hydiańskiej Drogi.

Wątpliwe, żeby kobieta-Sith chciała, żeby Mara za nią wszędzie podążała, albo nie miała pojęcia o tym, że mistrzyni Jedi zainstalowała transponder na pokładzie jej statku.

Wszystko było w porządku. Mara mogła w każdej chwili wyruszyć w pościg za Lumiya.

Pobawią się w berka.

Rozsiadła się wygodniej w fotelu pilota i skupiła na zmniejszaniu opuchlizny siniejącego oka.

Coruscant, kwatera główna SGS, drzwi zamknięte, gabinet Jacena Solo Jacen obejrzał zarejestrowane nagranie cztery czy pięć razy, zanim uznał, że jest zadowolony.

Obraz był wprawdzie trochę zniekształcony, bo endoskopowa kamera paskowa rejestrowała go z poziomu podłogi, ale dźwięk brzmiał czysto jak kryształ, a w uczestnikach spotkania dało się bez trudu rozpoznać przywódcę Galaktycznego Sojuszu i premiera Korelii. Od tej pory nikt nie mógł mieć wątpliwości, że się rzeczywiście spotkali. Lekceważąc całą politykę obronną Galaktycznego Sojuszu, przywódca Cal Omas zgodził się na zawieszenie broni. Nie informując o tym naczelnego dowódcy ani Senatu, osobiście ustalił warunki tego zawieszenia, a nawet rozważał możliwość zamordowania pułkownika Jacena Solo i pani admirał Niathal.

Jacen niczego więcej nie potrzebował, żeby usprawiedliwić swoje następne posunięcie.

Pochylił się nad biurkiem i wpisał kod do interkomu. Androidy nie miały nic przeciwko temu, że wzywano je po kilka razy dziennie do tego samego gabinetu.

- Aitch - powiedział Solo. - Chcę, żebyś zaraz do mnie przyszedł.

- Naturalnie, proszę pana - odparł HM-3.

Pojawił się już po dziesięciu minutach. Wszedł z brzękiem do gabinetu, trzymając w objęciach komputerowe notesy, a nawet powiązane arkusze flimsiplastu. Przyszedł przygotowany na to, że Jacen poprosi go o kolejne wyjaśnienie zawłości przepisów prawa. Trudno było nie podziwiać androida, który tak dobrze umiał przewidywać czyjeś życzenia. Jacen udał, że jest mile zaskoczony.

- Nadeszła pora na zgłoszenie nowej poprawki - powiedział.

Androidy nie umiały okazywać rozczarowania na nieruchomej twarzy, ale jakimś cudem HM-3

to potrafił. Żadnych wątpliwości nie pozostawiał także ton jego głosu. Android chętnie dyskutował z Jacenem na temat zawłości przepisów administracyjnych prawdopodobnie dlatego, że nikt inny go o to nie pytał. To, że nosił ze sobą pliki zamiast korzystać z baz danych archiwów Galaktycznego Sojuszu, najlepiej dowodziło jego autentycznej miłości do ducha prawa, nie do jego litery.

- W takim razie, panie pułkowniku, proszę pozwolić mi podsumować. - HM-3 położył na biurku komputerowe notesy i pliki flimsiplastu, po czym wyjął roboczy notatnik. - Chcemy...

dokonać poprawki w Ustawie o Stanie Wyjątkowym w taki sposób, żeby przewidywała także prawo

SGS do osadzania w areszcie przywódców, mężów stanu, polityków i wszystkich innych osób, które mogą stwarzać autentyczne zagrożenie dla bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, a także na rekwirowanie ich majątków na mocy tej samej Ustawy o Stanie Wyjątkowym.

- Właśnie o to chodzi - przyznał Solo. - Kiedy ta poprawka może zacząć obowiązywać?

- Mogę ją zgłosić natychmiast, panie pułkowniku, żeby mogła wejść w życie o północy -

odparł android. - Jest pan bardzo systematyczny, jeżeli chodzi o te poprawki.

- Nauczyłem się od ciebie bardzo wiele o znaczeniu administracyjnej dyscypliny, Aitch - wyjaśnił Jacen.

- Dziękuję, panie pułkowniku - powiedział HM-3. - Mało kto jest w stanie się tego nauczyć.

- I przepraszam, że wezwałem cię tu w tak błażej sprawie.

Nawet androidy lubią, jak okazuje im się wdzięczność. HM-3

zabrał z biurka źródła danych i ruszył do wyjścia.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie pułkowniku - powiedział.

Jacen zaczekał, aż drzwi jego gabinetu się zamkną, i powoli wypuścił powietrze z płuc.

Zmusił się, żeby nie myśleć o Tenel Ka i Allanie, bo na taki luksus w obecnej chwili nie mógł sobie pozwolić. A bardzo za nimi tęsknił - zwłaszcza za Allaną. Jak tylko o nich pomyślał, czuł

ból w piersi. Lumiya była zajęta gdzie indziej, więc raczej nie mogłaby go przyłapać, jak uwalnia myśli i wysyła je do swojej żony i córki. Jacen nie zamierzał jednak ryzykować, zwłaszcza teraz, w tak przełomowej chwili.

Nareszcie cię mam, Calu Omasie, pomyślał. Dopadnę cię, ty głupcze.

Od północy będzie miał prawo aresztowania przywódcy za czyny mogące stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. Powinien poinformować o tym naczelnego dowódcę sił zbrojnych, panią admirał Niathal, która podczas nieobecności Omasa pełniła - aż do dziewiątej zero zero następnego ranka - obowiązki przywódcy. To ona miała go zastąpić, gdyby z jakiegokolwiek powodu Omas nie był w stanie powrócić do pełnienia tych obowiązków.

A z pewnością nie będzie w stanie, skoro zostanie osadzony w areszcie za konszachty z Korelią a także za układanie planów zamordowania mnie i Niathal, pomyślał Solo. Zwłaszcza to ostatnie powinno się jej spodobać.

Było już za późno, żeby się wycofać. To musiało się stać. Niathal o wszystkim wiedziała, ale

obietnica zastąpienia Omasa na stanowisku przywódcy Galaktycznego Sojuszu zapewniała Jacenowi jej milczenie. Kalamarianka musiała tylko przedstawić dowody zdrady senatorowi G'vliemu G'Silowi, przewodniczącemu Rady Bezpieczeństwa, żeby „oczyścić przestrzeń przed dziobem”, jak lubiła mawiać. Kiedy dopełni tego obowiązku, będzie mogła z czystym wojskowym sumieniem wziąć udział w przewrocie.

Później musi minąć trochę czasu, aż wszyscy się oswoją z tym, że jest przywódczynią Galaktycznego Sojuszu. W tym czasie Jacen, działając dyskretnie i bardzo ostrożnie, będzie umacniał własną potęgę, bo nie zamierzał brać udziału w tej farsie, którą wszyscy określali mianem demokracji.

Demokracja oznaczała chaos, nic więcej. Była tylko pięknym słowem usprawiedliwiającym zrzekanie się odpowiedzialności przez tych, którzy, gdyby byli przygotowani do podjęcia się tego trudu, mogliby stworzyć lepszą galaktykę dla większości jej obywateli. Demokracja to po prostu szukanie kogoś, na kogo można było zwalić winę.

Demokracja, powtórzył w myślach Solo. Umowne słowa, tak jak te używane do tresury veermoków. Puste dźwięki pozbawione znaczenia, które przyzwyczajono się uważać za najważniejsze. Pokój... no cóż, to słowo Jacen akurat umiałby zdefiniować, ale demokracja?

Wolność? Czyja wolność? I dla kogo? Wolność była mglistym pojęciem, pod którym na ogół rozumiano brak chaosu, pełny żołądek i nadzieję, że potomkowie będą wiedli jeszcze lepsze życie.

Jacen potarł oczy. Rozumiał, że to skutek braku snu w poprzednim tygodniu, ale nie mógł się zdrzemnąć nawet na kilka minut.

Zaczynał się niepokoić, bo Shevu do tej pory się nie zgłosił. Połowa zadania została wykonana, ale Jacen nadal nie wiedział, co się przydarzyło Gejjenowi. Do tej pory Ben albo go zastrzelił, albo chybił. Jacen włączył odbiornik HoloNetu. Spodziewał się, że usłyszy wiadomość o zabójstwie, ale nadawano tylko bezsensowny program o popularnej gwiazdzie holowideogramów i jej żenującym życiu osobistym. Nie miał wyjścia, musiał zająć się czymś pożytecznym. Włączył komunikator i wybrał numer Niathal.

- Wysyłam ci wiadomość bezpośrednio do twojego bezpiecznego kanału - powiedział. - Minutę po północy przystępuję do działania. Wybierz odpowiednią chwilę na złożenie wizyty G'Silowi.

- Chyba dam sobie z tym radę, Jacenie.... - usłyszał w odpowiedzi.

- Zaczekaj, aż zobaczysz to, co ci przyślę - przerwał Solo.

- Co innego domyślać się, a co innego widzieć i słyszeć, jak inni decydują o naszej przyszłości.

- Skontaktuj się ze mną pięć minut przed... złożeniem swojej wizyty.

Jacen rozsiadł się wygodniej w fotelu i postanowił jeszcze trochę poczekać na wiadomość od Shevu.

Wyczuwał, że Ben żyje, chociaż nie miewa się najlepiej.

Vulpter, kosmoport Charbi

Sytuacja była patowa.

Ben, jak zresztą wszyscy wokół niego, stał nieruchomo i obserwował funkcjonariuszy Koreliańskiej Agencji Bezpieczeństwa -jak przypuszczał - z elitarnego oddziału do ochrony ministrów

- mierzy z blastera w tłum w hali kosmoportu.

- Wszyscy mają zostać tam, gdzie są- powtórzył agent. - Władze Vulptera zamykają kosmoport, a pasażerowie i członkowie załóg, którzy tu w tej chwili przebywają zostaną poddani skanowaniu na obecność pozostałości balistycznej.

- Dlaczego? - zapytał jakiś mężczyzna z tłumu.

- Bo zastrzelono kogoś pociskiem balistycznym - wyjaśnił agent. - Popelniono morderstwo.

Wszyscy muszą cierpliwie czekać, aż ich sprawdzimy. Później będziecie mogli odlecieć, dokąd chcecie.

- To potrwa wiele godzin - zgłosiła pretensje inna osoba.

- Nic na to nie poradzę - warknął Korelianin i pstryknął przełącznikiem blastera, jakby chciał

sprawdzić stan zasobnika energetycznego. Chodziło mu o to, żeby wszyscy usłyszeli charakterystyczny odgłos i zobaczyli palący się słupek wyświetlacza na dowód, że blaster jest gotów do otwarcia ognia. - Wolałbym, żebyście nie utrudniali mi zadania.

W tłumie pasażerów dał się słyszeć chór pomruków, westchnień, zgrzytanie zębami i inne dowody przerażenia czy niezadowolenia. Ben poczuł się, jakby jego żołądek zawiązywał się na supeł. Nie odważył się obejrzeć za siebie, gdzie stali Shevu i Lekauf. Wyczuwał ich obecność i wiedział, gdzie się znajdują, ale to mu nie wystarczało. Chciałby ich zobaczyć.

Ostrożnie, jakby od niechcienia, odwrócił się i pochwycił spojrzenie porucznika. Ruszył w jego stronę, ale zwolnił, kiedy był już blisko, aby nikt nie mógł się domyślić, że się znają.

Musiał także się trzymać z daleka od Shevu. Nie było sensu, by dać się z nimi aresztować.

Włączył słuchawkę i odezwał się, nie poruszając wargami.

- Zamierzam odnaleźć słaby punkt i się wymknąć - szepnął. Wydawało mu się, że wszyscy widzą złożony karabin pod jego kurtką, chociaż pasażerowie w wielkiej hali byli zainteresowani raczej tym, co się dzieje na lądowisku za transpastalowymi drzwiami. Od ścian odbijały się czerwone i niebieskie błyski świateł jeżdżących po lądowisku pojazdów służby bezpieczeństwa. - Wiesz chyba, że mogę przeskoczyć, dokąd zechcę, i otworzyć każde drzwi.

Wrócę samodzielnie do domu.

- Jeżeli to zrobisz - rozległ się głos Lekaufa w jego uchu - wszyscy się dowiedzą, że to sprawka Jedi.
 - Żadnych sztuczek w Mocy - przestrzegł Shevu. - Odpręż się. Zaraz coś wymyślimy. Plan awaryjny, moi panowie.
 - Wywiodę ich w pole, panie kapitanie.
 - Jori - odezwał się Shevu. Dotąd nigdy nie zwracał się do Lekaufa po imieniu. - 'Jori, zamierzam...
 - Moim zdaniem to nie będzie optymalne wykorzystanie sił i środków, panie kapitanie -
- przerwał Lekauf i z posępną miną ruszył w stronę Bena. - A pan jest zbyt daleko od chłopaka, żeby cokolwiek na to poradzić.

Stanął tuż przed Benem. W tłumie wpadających na siebie pasażerów i członków załóg mógł przyłgnąć do niego, nie zwracając niczyjej uwagi. Sięgnął pod kurtkę Bena i chwycił karpakiego. Ben przycisnął jednak karabin ręką do boku, żeby porucznik nie mógł mu go zabrać.

- Co ty wyprawiasz? - zachnął się chłopak.
- Plan awaryjny - wyjaśnił Lekauf. - Puść karabin, Ben.
- Chcesz go gdzieś wyrzucić?
- Tak. Tak, zamierzam się go pozbyć.
- A co ze śladami balistycznymi? - zaniepokoił się Ben. - Tego się nie pozbędziesz.
- Mów głośniej, żeby wszyscy cię mogli usłyszeć... - syknął Lekauf. Działał skutecznie, jak wówczas, na strzelnicy, tyle że chyba stracił poczucie humoru. Po paru chwilach zmagania, których nikt inny nie mógł zobaczyć, wyszarpnął karabin spod jego pachy i wsunął pod swoją kurtkę. - A teraz zostań z szefem. Obiecuj mi, że to zrobisz.
- Jesteś szalony, Jori.
- Tak, podobnie jak mój dziadek.

Ben poczuł się bezradny. Lekauf wyciągał go z tarapatów, z których chłopak powinien umieć się uwolnić o własnych siłach. Co ze mnie za Jedi, pomyślał. Ładny mi superzołnierz.

Zastanawiał się, jak dalej będzie żył z tą świadomością. Nie rozumiał też, dlaczego nagle przejmuje się tym bardziej niż zabiciem człowieka, choćby nawet takiego parszywca jak Gejjen.

Tymczasem Lekauf przecisnął się przez tłum w kierunku centralnych drzwi, prowadzących na lądowisko. Ben ruszył za nim, ale Shevu jakby przypadkiem zastąpił mu drogę. Kapitan wyglądał jak

nieuprzejmy turysta, którego nie interesuje los innych osób.

- Bez względu na to, co się stanie - odezwał się cicho, niemal nie poruszając wargami - masz zostać ze mną i trzymać się mnie, dopóki ktoś mnie nie schwyta. Gdyby do tego doszło, wrócisz sam do bazy w sposób, jaki wyda ci się odpowiedni.

Przygotowując się do wyprawy, przećwiczyli różne scenariusze, włącznie z takim, że rozdzielali się albo zostawali złapani, ale w praktyce wszystko wyglądało inaczej.

Lekauf dotarł do głównych drzwi i zaczął się rozglądać, jakby starał się tylko zorientować, gdzie może się znajdować jego statek wycieczkowy. Nagle bez ostrzeżenia chwycił jakąś kobietę za szyję, wyciągnął blaster i przyłożył wylot lufy do jej skroni.

- Otworzyć drzwi! - krzyknął. - Natychmiast, bo inaczej rozwalę jej głowę!

W wielkiej sali rozpętało się piekło. Ludzie zaczęli się rozsuwać na boki, żeby wokół Lekaufa utworzyła się wolna przestrzeń. Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa i koreliański agent, trzymając blastei wysoko nad głową, zmagali się z tłumem pasażerów. Lekauf poczerwieniał

na twarzy, przez co wyglądał naprawdę groźnie.

Jak zamierza to rozegrać? - zastanowił się Ben. Jesteśmy otoczeni. Zablokowani.

Takiego scenariusza nie ćwiczyli ani razu. Lekauf improwizował, ale nie miał innego wyjścia.

Ben oddalił się od Shevu i zaczął przeciskać przez tłum istot.

- Powiedziałem, otworzyć te parszywe drzwi, bo inaczej będziecie zdrapywali jej mózg z sufitu! - Lekauf pstryknął przełącznikiem blastera, a schwytana przez niego kobieta zaczęła krzyczeć, z początku cicho, potem coraz głośniej. - Jeżeli pozwolicie mi się dostać na pokład statku i odlecieć, ta kobieta będzie żyła. Nie próbujcie żadnych sztuczek. Powiedziałem, nie próbujcie ze mną żadnych... parszywych... sztuczek!

- Uwolnij tę damę - odezwał się funkcjonariusz, który przecisnął się przez tłum i stanął na skraju wolnej przestrzeni. - Odłóż blaster. Puść ją.

- Żebyście mogli rozprysnąć mój mózg po całym terminalu? - zadrwił Lekauf. - Akurat. Nie ma mowy.

- Chłopcze, to ci się nie uda. Możemy porozmawiać...

- Tak, już to sobie wyobrażam - przerwał porucznik. - Miła pogawędka o tym, jak załatwiłem Gejjena. Zabiłem tego drania i jestem z tego dumny. Zamierzał nas sprzedać Galaktycznemu Sojuszowi. Chciał napchać sobie kieszenie ich kredytami. Jestem patriotą, słyszysz? Kocham Korelię. Powinienem chyba dostać za to medal.

Funkcjonariusz dał znak gestem agentowi koreliańskiej służby bezpieczeństwa przy wyjściu z hali i

skrzydła drzwi się rozsunęły. Ben patrzył jak zahnuty, jak Lekauf wycofuje się tyłem na lądowisko, na poły wlokąc, a na poły niosąc nieszczęsną zakładniczkę, i jak mozolnie kieruje się do statku wycieczkowego. Dotarcie do niego zajęło mu chyba całą wieczność, bo musiał iść cały czas tyłem i zмагаć się przy tym z kobietą. W pewnej odległości za nim podążali policjanci i strażnicy z blasterami, wypatrując okazji do oddania celnego strzału.

Ben miał ochotę pobiec za Lekaufem, żeby mu pomóc, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Gdyby odwrócił od niego uwagę, wszyscy by zginęli.

Lekauf opuścił rampę i zaczął wchodzić tyłem na pokład statku. Kobieta przestała krzyczeć i zaczęła szlochać.

- Wychodzimy. Natychmiast. - Shevu, który podszedł do Bena od tyłu, zbliżył usta do jego ucha, chwycił go za kołnierz i pociągnął mocno na dowód, że nie żartuje. - Powoli i spokojnie.

Nie zmarnuj tej okazji. Dzięki niemu zyskaliśmy więcej czasu.

Ben chciał krzyknąć: „A co z nim“?, ale tego nie zrobił. I tak postępował niezgodnie z planem, a żołnierze się tak nie zachowywali. Miał wrażenie, że jego nogi uginają się pod ciężarem ciała.

Lekauf dotarł do szczytu rampy i zepchnął po niej zakładniczkę. Kłapa wjazdu zamknęła się za nim, a kobieta leżała na permabetonie, głośno lamentując. Policjanci podbiegli, żeby pomóc jej wstać, a snajperzy zajęli wokół statku dogodne miejsca do oddania strzału.

Wszyscy jakby zapomnieli o pasażerach pozostałych w hali terminala. Koreliański agent wybiegł na lądowisko, podszedł do kolegi i obaj puścili się biegiem w stronę kordonu policjantów.

- Benie, to jest to. Chodźmy... - Shevu szarpnął go za kołnierz i pociągnął w kierunku drzwi na południowym krańcu terminala. Ben zastanawiał się, gdzie strażnicy zajmą pozycje do strzału i jaką taktykę obiorą żeby powstrzymać Lekaufa przed odlotem. Jeżeli porucznik miał

dość przytomności umysłu, odleci na orbitę i przyspieszy do prędkości nadświetlnej, zanim żalosna flota Vulp-tera zdąży się wznieść w powietrze.

Statek turystyczny spoczywał na permabetonie, ale z dysz silników nie wydobywały się gazy wylotowe. Kierując się w stronę południowych drzwi, Ben mógł wszystko obserwować przez transpastalowe okna terminala, ale nie zachwycało go to, co widział.

W końcu doszedł do wniosku, że Lekauf w ogóle nie zamierza odlatywać.

A może statek jest popsuty?

O, nie, nie, nie... - jęknął w duchu chłopak.

Wyczuł jednak, że jednostka napędowa statku jest sprawna. Wyczuwał też Lekaufa...

przerażonego, ale triumfującego, pogodzonego z losem mimo groźnej sytuacji. To była najdziwniejsza kombinacja emocji, jaką kiedykolwiek wyczuwał w Mocy.

- Co on robi, panie kapitanie? - zapytał. - Jak zamierza stąd odlecieć?

Shevu kilka razy przełknął ślinę, a jego grdyka skoczyła w górę i opadła.

- Robi, co musi - odparł oficer.

- A co musi? - nie dawał za wygraną Ben.

- Wymyśla prawdopodobną historyjkę.

- Janie...

- Benie, idziemy. Natychmiast. - Shevu chwycił go za rękę z taką siłą że chłopak poczuł ból, i zaciągnął po permabetonie do transportowca. Ben zauważył, że statek wycieczkowy jest otoczony przez kordon policjantów i uzbrojonych strażników, a automaty służby bezpieczeństwa zabezpieczają perymetr i odciągają inne statki, które zaparkowano zbyt blisko.

- Nie możesz zaprzepaścić tego, co osiągnąłeś do tej pory. Zadanie zostało wykonane.

- Ale Jori trafi do aresztu - sprzeciwił się chłopak. - Nie będzie siedział wiecznie na pokładzie tego statku. Nie możemy go tam zostawić. Co się stanie, kiedy zaczną go przesłuchiwać? Na pewno odkryją...

- Ben, zamknij się - warknął Shevu. - To rozkaz. Nie możemy nic na to poradzić.

Ben nie chciał uwierzyć własnym uszom. Mógł się uwolnić z uścisku kapitana i pobiec na pomoc Lekaufowi, ale... co dalej? Nie mógł posłużyć się Mocą w miejscu publicznym. Nie mógłby także stawić czoła całej armii policjantów. No i nie mógł się dać aresztować, bo podczas przesłuchania pewnie by wszystko wyśpiewał.

Mimo to nadal chciał pospieszyć Lekaufowi na ratunek. Nie wolno zostawiać kolegi na pastwę losu. Taka sama zasada obowiązywała żołnierzy i Jedi, i w każdej grupie zżytych ze sobą osób, które wspólnie stawiały czoło niejednemu niebezpieczeństwu.

- Nie możemy... go zostawić - chlipnął chłopak. Niewiele brakowało, a zmieniłby zamiar i pozwolił, aby Galaktyczny Sojusz i Rada Jedi sami się martwili, jak ratować sytuację, kiedy on zostanie aresztowany i wyjawi, że jest synem Luke'a Skywalker'a i że właśnie popełnił

polityczne morderstwo. - Po prostu nie możemy go tam zostawić.

Gdy tak patrzył w rozpacz na poobijany statek wycieczkowy, siła potężnej eksplozji rozerwała jednostkę na kawałki i rozniosła je we wszystkie strony. Ze środka strzelił słup ognia, a wysoko w powietrze wzbila się chmura skłębionego dymu. Ben zachwiał się i z trudem utrzymał na nogach. Policjanci się rozproszyli we wszystkie strony. Niektórych siła eksplozji odrzuciła wiele metrów do

tyłu. Wszystko działa się jak na zwolnionym holowideo- gramie.

Dopiero kiedy Ben usłyszał huk eksplozji, czas zaczął znów płynąć w normalnym tempie.

Kapitan nadal trzymał jego rękę jak w imadle. Chłopak poruszał ustami, ale nie słyszał sam siebie.

- Teraz już tak - odezwał się cicho Shevu, prowadząc go na pokład transportowca. Ben wyciągnął szyję, żeby ostatni raz spojrzeć na wrak i płomienie. Czuł się przerażony, odrętwiały i zagubiony. - Teraz już możemy.

ROZDZIAŁ 11

Przerywamy program, żeby nadać najświeższą wiadomość...

Właśnie otrzymaliśmy informację, że koreliański premier Dur Gejjen zginął w kosmoporcie na Vulpterze w Głębokim

Jądrze, zastrzelony przez koreliańskiego terrorystę. Z pierwszych relacji wynika, że po zamachu sprawca porwał zakładniczkę, ale uwolnił ją i wysadził się w powietrze na płycie lądowiska, kiedy wszedł na pokład swojego statku. Niebawem podamy więcej szczegółów.

z biuletynu informacyjnego HoloNetu

Mandalora, „Niewolnik 1” spoczywający poza granicami Keldabe To była naprawdę bardzo ciekawa informacja. Fett nastawił monitor w kabinie na kanał z wiadomościami, żeby obserwować rozwój sytuacji w innych miejscach galaktyki.

Oglądał podobne wiadomości zbyt często, aby nie poznać oznak nadciągającego chaosu.

Zazwyczaj coś takiego oznaczało dla łowców nagród wysokie honoraria i dużo pracy, ale na razie Fett miał na głowie inne sprawy. Czekał na połączenie z gabinetem Verpina Sassa Sikiliego, którego praca polegała na kontaktowaniu się w imieniu rządu planety Roche z innymi planetami.

Verpinowie zaczynali się niepokoić. Fett nie rozumiał, jakim cudem istoty produkujące całe tony kosztownych ozdób mogą się denerwować, ale właśnie tacy byli Verpinowie.

Insektoidalne istoty potrafiły się niepokoić o byle co, a kiedy jedna zaczynała, jej zdenerwowanie udzielało się całemu rojowi.

Czekając na połączenie, łowca nagród zastanawiał się nad konsekwencjami zabójstwa Gejjena. Nie mógłby powiedzieć, że śmierć koreliańskiego premiera sprawiła mu przykrość, ale barve przynajmniej nie zwlekał z wypłacaniem honorariów. Fett mógłby się założyć, że Gejjen utrzyma się przy władzy trochę dłużej niż kilka krótkich miesięcy, zanim ktoś go postrzeli w głowę. Tymczasem zginął nieprzyzwoicie wcześniej, nawet jak na standardy koreliańskiej polityki. Ciekawe, kto go zabił? - zadał sobie pytanie Mandalorianin. Mógł być pewny, że na pewno nie wymachujący flagą koreliański wieśniak. Kolejka chętnych do załatwienia Gejjena ciągnęła się chyba aż do Jądra galaktyki.

- Mandalorze Fett... - odezwał się w końcu ktoś z głośnika komunikatora. Ton głosu był piskliwy, odrobinę wyższy niż miałyby tenor, i dźwięczał, jakby brzmiał w nim rezonans. -

Jesteśmy zachwyceni, że pan wrócił.

- A co, mam zaciągnąć dzisiaj kogoś siłą do twojego roju, Si-kili? - zagadnął łowca nagród.

- Dzisiaj nie, ale bardzo dziękuję - odparł Verpin. - Na razie mamy dla pana propozycję.

- Zamieniam się w słuch.

- Dotarła do nas ekscytująca wiadomość o odkryciu złóż żelaza - zaczął Sikili. -

Przypuszczamy, że jest prawdziwa...

- Jak najbardziej - wtrącił Fett.

- ... a z mandaloriańskiego żelaza można wyprodukować wiele bardzo pożądanых przedmiotów - dokończył Verpin. - Chcielibyśmy niektóre zdobyć na własność.

- Z radością je wam sprzedamy, jeżeli zostanie nam nadwyżka eksportowa - zapewnił Fett.

- To bardzo dobrze - stwierdziła insektoidalna istota. - Problem w tym, że nastąpiły bardzo niespokojne czasy. Nasze rynki zbytu usiłuje opanować Murkhana, a władcy Kem Stor Ai wspominają o wojnie z Murkhaną, która znajduje się zbyt blisko, żeby naszym rojom mogło się to podobać.

- Macie dość sprzętu, żeby zamienić Murkhanę i Kem Stor Ai w odrębne pola asteroid, Sikili

— przypomniał łowca nagród.

- Jedni i drudzy kupili od was połowę swojej broni. Wyrzuć z siebie, co ci leży na wątrobie.

- Jesteśmy bezpośrednimi istotami, Fett - stwierdził verpiński polityk.

- Ja też jestem bezpośrednią istotą - odparł łowca nagród.

- W takim razie mówmy bez ogródek.

Sikili na chwilę umilkł, ale Fett usłyszał odgłos cichego klekotania, jakie wydawały żuchwy istoty.

- Teraz, kiedy macie mnóstwo beskara, będziecie chcieli się na nowo uzbroić - podjął w końcu Sikili. - Roche znajduje się wprawdzie poza waszym sektorem, ale ostatnio, kiedy Mandalorianie mieli dużo beskara, sektor Mandalory bardzo się powiększył.

Verpinowie mieli zwyczaj gmatwania swoich wypowiedzi i wdawania się w zbędne szczegóły, ale wcześniej czy później mówili, o co im naprawdę chodzi.

- Martwicie się, że tym razem powiększymy nasz sektor waszym kosztem - domyślił się szybko Fett. - Że dokonamy na was inwazji.

- Tak - przyznał Sikili. - To specjalność istot waszej rasy.

- W tej chwili to nas nie interesuje - uspokoił go łowca nagród. - Najchętniej siedzimy w domu na kanapie z nogą założoną na nogę i oglądamy holowideogramy.

- Kiedy pan żartuje, panie Fett, roje stają się bardzo niespokojne, bo na ogół nie ma pan takiego zwyczaju - stwierdził Verpin. -A zatem...

Fett doszedł do wniosku, że ta rozmowa zaczyna działać mu na nerwy. Nie życzył sobie, żeby Sikili dokonywał analizy jego charakteru. Rozbawiła go myśl, że nie wypowiedział pod adresem planety Roche żadnej groźby - nawet nie przyszło mu to na myśl - ale sam wygląd jego pancerza robił wrażenie, podobnie jak wzmianka o ogóle Mandalorian. Jego ziomkowie cieszyli się specyficzną sławą, która czasami ułatwiała im zadanie.

- W takim razie zawrzyjcie z nami pakt - zaproponował.

- Co takiego mielibyśmy zrobić, panie Fett?

- Zawrzeć z nami pakt o nieagresji - uściślił łowca nagród.

- Traktat o wzajemnej sąsiedzkiej współpracy.

- Nie macie się czego obawiać z naszej strony, więc na pewno będziecie chcieli otrzymać coś w zamian, bo jesteście najemnikami i...

- ... od czasu do czasu także łowcami nagród - dokończył Fett.

- Mam na myśli układ, który mógłby nam przynieść obopólną korzyść.

- Co mielibyśmy dla was zrobić, żeby uniknąć przyłączenia do waszej kolekcji?

- Dostarczać nam wyjątkowych produktów w zamian za nasz wyjątkowy metal - wyjaśnił Fett.

- My przekazemy wam nasze specjalne umiejętności, czyli militarną potęgę, a wy dacie nam swoje: technikę obronną i wysoką jakość produktów. Moglibyśmy nawet współpracować nad nowymi projektami.

- Wy, Mandalorianie, zawsze... przyswajaliście sobie techniki, którymi się szczycą inne rasy.

Moglibyście siłą przyswoić nasze.

- Propozycja leży na stole - przypomniał Fett. - Zwróciliście na siebie moją uwagę. To kiepski pomysł.

Sikili znów umilkł. Dzięki jakiemuś organowi w klatce piersiowej Verpinowie umieli się porozumiewać natychmiast ze wszystkimi członkami roju. Fett podejrzewał, że właśnie w tej chwili Sikili konsultuje się ze swoim rojem.

- Propozycja zaakceptowana - odezwał się w końcu verpiński polityk. - Chcemy poznać szczegóły.

- Powiem moim współpracownikom, żeby rozmawiali z twoimi. - Fett mógł sobie wyobrazić reakcję, jaką to wywoła na Coruscant... i na Korelii. - Cieszymy się na myśl o długim i owocnym sojuszu.

- Oznajmię wszystkim tę radosną i uspokajającą nowinę - zapewnił Sikili. - Do widzenia, panie Fett.

Insektoidalne istoty były przewidywalne i dotrzymywały słowa. Nie udawały, nie blefowały i na ogół przestrzegały swojej części umowy. Fett zastanowił się, czy nie należało przedtem omówić wszystkiego z przywódcami mandaloriańskich klanów. Jedną z prerogatyw Mandalora było jednak dobieranie sojuszników, a zawarcie paktu z najlepszymi technikami galaktyki nie powinno nikogo oburzyć - a przynajmniej nikogo na Mandalorze. Innym z pewnością mogło się to nie spodobać.

A zatem wszyscy myślą że znów się zbroimy, pomyślał. To prawda, tyle że nie z powodów, jakie sobie wyobrażają. To może być... bardzo ciekawe.

Zabezpieczył „Niewolnika 1” raczej z nawyku niż z powodu braku zaufania do istot swojej rasy i poleciał raketowym skuterem do lasu, w którym pochował doczesne szczątki ojca, kiedy ekshumował je na Geonosis.

Ailyn spoczywała w tym samym lesie, ale Mirta chyba wciąż jeszcze nie mogła się pogodzić z tym, że szczątki jej matki nie wróciły na Kiffu. Prawdopodobnie uważała, że pochowanie ich na Mandalorze ma tylko charakter tymczasowy. Fett położył na grobach zwykłe kamienie, żeby zapamiętać miejsce, chociaż dotąd nie miał zwyczaju odwiedzania grobów przodków.

Nawet twojego, tato, przypominał sobie.

Zamierzał się poprawić. Nie miał wymówki, nie znajdował się przecież na przeciwległym krańcu galaktyki.

Cały czas latałem z planety na planetę, przemierzyłem tyle lat świetlnych, ale ani razu nie wylądowałem na Geonosis, żeby odwiedzić grób ojca, uświadomił sobie.

Próbował znaleźć usprawiedliwienie w swoich mandaloriańskich korzeniach. Beviin zawsze mu mówił, że dla Mandalorian liczy się pancerz, nie zaś ulegająca rozkładowi skorupa, którą opuszcza duch w chwili śmierci. Przecież właśnie tak postąpiłem, prawda? - zadał sobie pytanie. Odzyskałem pancerz taty i zostawiłem jego ciało. Przynajmniej to dla niego zrobiłem.

Wąłęsający się z miejsca na miejsce najemnicy nie mogli odwiedzać cmentarzy ani zabierać ze sobą zwłok. Prawdopodobnie chodziło o praktyczną stronę tego zwyczaju, ale Mandalorianie -

z niewieloma wyjątkami, takimi jak Mandalorzy - nawet w swojej ojczyźnie nie mieli grobów ani

ozdobnych nagrobków.

Polana w lesie była urokliwym wyjątkiem, którego nie zdołali zniszczyć nawet Yuuzhan Vongowie. Smukłe srebrzystolistne drzewa gałek, liczące wiele setek lat, okalały wolną przestrzeń porośniętą gąbczastym mchem i krótką żółtą trawą. Dzięki nim nawet w pochmurne dni polana wyglądała jak skąpiana w blasku słońca. Jeszcze zanim Fett wylądował, zobaczył

klęczącą przy grobie matki Mirtę. Obok niej klęczał, wpatrzony w nią syn No- voca Vevuta, Ghes Orade. Niedaleko grobów leżały ich hełmy.

Fett doszedł do wniosku, że jego wnuczka ma nieco zabawny sposób okazywania uczuć. Orade musiał być zamroczony, skoro się nie przejmował, dokąd ma jej towarzyszyć. Oboje odwrócili się i obserwowali, jak łowca nagród ląduje na drugim skraju polany. Fett postarał się tak posadzić raketowy skuter, żeby nie zmiażdżyć kęp kruchych bursztynowych paproci.

- Powiedzcie mi, jeżeli przeszkadzam - odezwał się, kiedy zsiadł ze skutera. Orade poznał go i zerwał się na równe nogi. Łowca nagród zmierzył go spojrzeniem. - Oto moja propozycja

- powiedział. - Jeżeli złamiesz jej serce, ja połamię ci nogi.

- Zgoda - oznajmił chłopak. Miał bladą twarz o wystających kościach policzkowych i krótką jasnoblond brodę. - Zobaczymy się później, Mirto.

Młoda kobieta popatrzyła w ślad za odlatującym Oradem, a później spiorunowała dziadka spojrzeniem.

- Przypuszczam, że według ciebie tak ma wyglądać troska 0 mnie, Ba 'buir - powiedziała.

- Wcale nie żartowałem - zastrzegł Fett. - Na nic mi się nie przydasz, jeżeli będziesz ulegała emocjom.

- A więc zatem... do czego mogę ci być potrzebna?

- Do niczego - burknął łowca nagród. - Przyleciałem, żeby odwiedzić grób ojca.

Jej spojrzenie, którym mogłaby usmażyć nerfa, trochę złagodniało, prawdopodobnie z powodu zakłopotania. Wspólne oplakiwanie Ailyn nie zbliżyło ich jednak do siebie. Ich stosunki były

- i prawdopodobnie miały na zawsze pozostać - nacechowane ostrożnością i nieufnością.

- Wrócę później - zaproponował Fett.

- Nie, nie... i tak miałam już stąd iść.

- W takim razie postójmy oboje jeszcze chwilę w niezręcznym milczeniu, a później podrzucę cię do miasta.

Z jakiegoś powodu jedynym przejawem uczuć, który nigdy nie wprawiał go w zakłopotanie, było przyznawanie się, jak bardzo kochał ojca. Łowca nagród jakoś się nie bał, że przez to może się wydać mięczakiem. Ludzie by mu tego nie zarzucili, zwłaszcza jeżeli chcieli jeszcze trochę pożyć. Fett wsunął oba kciuki za pas

1 spoglądał na lekkie wgłębienia w porośniętym mchem miękkim gruncie. Powinien był usypać wyższe groby, biorąc poprawkę na osiadanie gruntu.

Radzę sobie nie najgorzej, tato, pomyślał. Kiedy ty byłeś Mandalorem, czy musiałeś podejmować decyzje polityczne, czy tylko walczyć? Chyba wiesz, że umieram.

Takie myśli go zaskoczyły. Fett wierzył w rozkład ciał i wieczne zapomnienie. Tyle razy widywał dowody jednego i drugiego, że dobrze wiedział, czego się może spodziewać. Dopiero dzięki Beviinowi i jego słowom o manda zaczął jak głupiec myśleć o wieczności.

- Odkryłam, że w gruncie rzeczy nie jesteś złym człowiekiem, kiedy się dowiedziałam, że rozłupałeś ogniste serce, żeby połowę oddać mamie - odezwała się cicho Mirta.

- Nie jestem sentymentalny - przypomniał Fett.

- Prawdziwy łajdak zachowałby kamień w całości, a potem sprzedał.

Fett był niezadowolony, że wnuczka przerwała mu jednostronną rozmowę z ojcem.

- Może gdybym go nie rozłupał, ktoś by odczytał zawartą w nim informację - powiedział.

Wyprostował się i opuścił ręce wzdłuż boków. - Skończyłaś?

Mirta wzruszyła ramionami, podniosła hełm i ruszyła w kierunku skutera. Fett wystartował i skierował się w stronę Keldabe. Na Mandalorze nie było prostych dróg, dzięki czemu urządzenie zasadzek i branie przeciwników w krzyżowy ogień było o wiele łatwiejsze.

- Co robią inni ze zwłokami bliskich? - zagadnął łowca nagród.

- Kiedy dolecimy do rzeki, skręć w lewo, to ci pokażę - odparła wnuczka.

Chyba naprawdę uważała siebie za Mandaloriankę. Fett spodziewał się, że wnuczka zrezygnuje z tej części swojego dziedzictwa i na wzór matki przeistoczy się w Kiffarkę, ale Mirta skłaniała się chyba ku tej drugiej opcji. Nie zależało jej na zdobyciu majątku, więc nie usiłowała mu się podlizywać, aby odziedziczyć jego fortunę. Fett nie mógł odgadnąć, jakie są motywy jej postępowania.

- Skoro już o tym mowa... Gejjen został zamordowany - poinformował. Zatoczył skuterem łuk i zaczął lecieć wzdłuż brzegów rzeki Kelita. - Słyszałem o tym w holowiadomościach.

- To dobrze - odparła Mirta. Z całą pewnością była jego wnuczką. - Parszywy shabuir.

- Przekazałem całe honorarium za Sal-Solo na fundusz powierniczy... w twoim imieniu.

- Dzięki - mruknęła wnuczka. - Nie musiałeś tego robić.

- Nie, nie musiałem - przyznał łowca nagród.

- To tam.

- Słucham?

- Grób.

Fett zobaczył tylko bujne nadrzeczne łąki. Graniczyły z pastwiskami porośniętymi zieloną trawą, chociaż minęła pora sianokosów. Powiadano, że okolica oparła się wysiłkom próbujących zatruć środowisko Yuuzhan Vongów, bo szybko płynąca w rzece woda splukała toksyny i poniosła je do ujścia. Fett był wprawdzie mieszcuchem i nie znał się na uprawie roli, ale gleba w tym miejscu wydała mu się wyjątkowo żyzna.

- Gdzie? - zapytał.

- Zrób użytek z terahercowego radaru - zaproponowała wnuczka.

Fett zamrugał i włączył radar, którego promienie zaczęły penetrować grunt. Kiedy spojrział na teren w dole, zobaczył różnice gęstości i miejsca, w których gleba nie była ubita. Dostrzegł

także skupiska splątanych kształtów. W pierwszej chwili nie zorientował się, na co patrzy.

- To masowy grób - wyjaśniła Mirta.

Fett wylądował i oboje zsiadli, żeby lepiej obejrzeć to miejsce. Łowca nagród usłyszał chłopot i zorientował się, że stąpa po grząskim, podmokłym gruncie. Nie pierwszy raz chodził po grobach, ale tym razem poczuł się nieswojo.

- Straciliśmy bardzo wielu rodaków - powiedział. Ponad milion, uświadomił sobie. W obronie planety zginęła jedna trzecia Mandalorian. Mirta na pewno liczyła na to, że dziadek zachowa się jak mąż stanu, więc Fett uznał, że nie powinien sprawić jej zawodu. - Nie mają nawet pomnika.

- To nie są groby tych, którzy zginęli podczas wojny - odparła wnuczka. - Mando 'ade po prostu zwykle chowają swoich bliskich w masowych grobach. Wszyscy stajemy się częścią manda.

Nie potrzebujemy kamieni nagrobnych.

I nagle Fett zrozumiał, skąd się wzięła wyjątkowa żyzność gleby. Nie było sensu marnować organicznego materiału.

- Manda?- zapytał.

- To zbiorowa świadomość - wyjaśniła Mirta. - Powszechna dusza. Nie wierzymy w niebo.

Fett się skrzywił.

- Wiem, co to niebo - powiedział.

- Dzięki temu przywracamy zmarłych żywym - podjęła wnuczka. - Naturalnie ty jako Mandalor będziesz miał nagrobek... chyba że wyraźnie oznajmisz, że go sobie nie życzysz.

- Pewnie chodzi o to, żeby stary Mandalor nie pojawił się nagle i nie upomniał o tytuł - zażartował łowca nagród.

- A może chodzi tylko o okazanie mu szacunku - odparła Mirta.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że ten zwyczaj ma sens? - zapytał Fett. - Mandalorianie zawsze się przemieszczali z miejsca na miejsce, więc nie mogli dbać o groby, a musieli coś robić z mnóstwem trupów. Niejako przy okazji zdobywali darmowy nawóz.

Mirta zdjęła hełm, chyba dlatego, żeby pokazać dziadkowi poziom swojej dezaprobaty.

- Czy naprawdę nie ma dla ciebie nic świętego? - zapytała z oburzeniem.

- Jestem człowiekiem praktycznym - odparł Fett.

- W ogóle jesteśmy praktycznym narodem - zauważyła wnuczka. My, uświadomił sobie Fett.

Obecnie mógł być pewny, że Mirta nie uważa się za Kiffarkę. - Mimo to nie ma nic złego w tym, że wybiegam myślami poza aspekty praktyczne.

- Czy mógłbym jakoś wymówić się od tej manda? - zapytał Fett. - Nie zamierzam spędzać wieczności w towarzystwie Montrossa czy Vizsli. A może by przyjmować gości z innych ras?

Jeżeli adoptujemy ich w normalnym życiu, powinniśmy także przyjmować ich po śmierci, więc co powiesz na resztę galaktyki?

Mirta wyraźnie miała ochotę dać mu po głowie, ale zamiast tego westchnęła, włożyła hełm i wróciła do skutera. Fett pomyślał, że życie po śmierci byłoby okropnie nudne, zwłaszcza gdyby prawo do niego mieli tylko wybrańcy. Jediną osobą, którą chciałby znów zobaczyć, był jego ojciec. Pozostali zmarli - kochani lub zniechęceni, ale najczęściej niekochani i lekceważeni -

mogli nadal pozostawać martwi.

Postanowił w przyszłości trzymać język za zębami. Do tej pory dobrze na tym wychodził, tym bardziej że nigdy nie umiał prowadzić błyskotliwych rozmów. Podążając wzdłuż krętego koryta Kelity, ale przecinając zakola i przelatując nad urwistymi brzegami, zawiózł wnuczkę do śródmieścia Keldabe. Prastara rzeka, cierpliwie podmywając brzegi, stopniowo wracała do poprzedniego łożyska. Pewnie po następnym porządnym wylewie zacznie znów płynąć prosto.

Posługując się teraherco- wym radarem w hełmie, Fett zauważył w zakolach wyschnięte jeziora, wciśnięte w ląd po obu stronach niczym ślady kopyt. Dopóki nad Mandalorą nie pojawiły się krabopodobne istoty, większa część powierzchni planety wyglądała jak przed lądowaniem pierwszych ludzi - nieokiełznana, dzika i pełna miejsc czekających na odkrycie.

Fett znenawidził na nowo Yuuzhan Vongów za to, że ją zniszczyli.

Ojciec Orade'a, Novoc Vevut, zajmował się konstruowaniem i naprawą broni. Pracował na podwórku warsztatu, który służył mu także za mieszkanie. Właśnie obrabiał elementy blastera.

Fett posadził raketowy skuter przed wejściem, a Mirta ześlizgnęła się z siodełka.

Vevut zsunął na tył głowy ochronną przezroczystą osłonę i powitał gości szerokim uśmiechem.

- Miło, że znów współpracujecie - powiedział. - Osi 'kyr, Fett, czyżbyśmy mieli zostać krewniakami?

Mirta posłała mu ciepłe spojrzenie, jakiego nigdy nie miała dla swojego dziadka. Łowca nagród pomyślał, że nie ma pojęcia, jak daleko zaszły sprawy między jego wnuczką a synem Vevuta.

- Jeżeli beskar jest takim świetnym materiałem ochronnym, jak to się stało, że masz tyle blizn, Buirl - zażartowała Mirta. - Zapominasz wkładać hełm?

Nazwała go tatą! Vevut wyszczerzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Zaciąłem się przy goleniu - powiedział.

- Golileś się Trandoshaninem?

- Jeżeli wyjdiesz za Ghesa, zrobię ci blaster, z którego odstrzelisz za jednym zamachem głowy tuzinowi Trandoshan - obiecał.

- Wiesz, jak zawrócić dziewczynie w głowie - roześmiała się Mirta. Zdjęła hełm i buty, po czym weszła do domu.

Vevut zgarnął błyszczące sprężyny wiórów ze stołu szlifierni. Podczas pracy przewiązywał kawałkiem sznurka długie, czarne warkocze. Wplótł w nie ozdoby ze zdobycznego złota, które grzechotały i brzęczały, ilekroć poruszał głowę. Złote blaszki i wyraźnie widoczne blizny na czarnej jak heban skórze nadawały mu wygląd zaprawionego w bojach wojownika. Beviin opowiadał, że złoto należało do tych, których Vevut w ciągu wielu lat zabił, a później przetopił kruszec i sporządził z niego kunsztowne ozdoby. W porównaniu z nimi należące do Fetta zaplecione skalpy Wookiech wyglądały więcej niż skromnie.

- Kiedy adoptowałem Ghesa - zaczął Vevut, nie odrywając spojrzenia od stołu warsztatowego

- także nie od razu się polubiliśmy. - Zdarł pilnikiem błyszczące zadziory z obrabianego kawałka metalu i uniósł go pod światło, żeby sprawdzić stan krawędzi. - A znałem go całe życie.

Jego rodzice byli moimi sąsiadami. Mirta jest wprawdzie twoją krewną ale to wcale nie oznacza, że automatycznie zapalacie do siebie miłością.

- Będę o tym pamiętał - mruknął Fett.

- Masz coś przeciwko Orade'owi?

- Mirta już dawno skończyła trzynaście lat - przypomniał łowca nagród. - Może sama dokonywać wyborów.

- To dobry chłopak.

- Wiem. - Fett pomyślał, że nigdy nie umiał współpracować z partnerami, co wcale nie oznacza, że powinien krytykować sposób życia wnuczki. Nie żartował jednak, kiedy zagroził

Orade'owi, że połamię mu nogi. Powiedział to pod wpływem impulsu, ale szczerze. -

Rozmawiałem dzisiaj z przedstawicielem rządu Verpinów. Zawarliśmy pakt o nieagresji i wzajemnej współpracy. Jeden z jego punktów przewiduje, że podzielią się z nami zdobyczami swojej techniki.

Vevut przestał wyglądać ostre krawędzie.

- Hej, nawet nie słyszałem, żebyśmy oddali chociaż jeden strzał - powiedział.

- Ale oni usłyszeli słowo beskar - odparł Boba.

- Wierzę, że wrócą dawne dobre czasy, Mand'alor.

- Gdybyś chciał wziąć udział w rozmowach na temat broni, twoje opinie mogą się okazać bardzo pożyteczne.

- W porządku - zgodził się Vevut. - Na dowód dobrej woli zostawię w domu rozpylacz ze środkiem owadobójczym.

- Chyba powinienem poinformować o tym klany - zastanowił się łowca nagród. - Na wypadek, gdyby ktoś od nich zamierzał zawrzeć kontrakt z Kem Stor Ai. Verpinom by się to nie spodobało.

Panowanie nad całym narodem było miłym, odprężającym zajęciem. Korzystając z komputerowego notesu, Fett wysłał wiadomość i czekał na protesty, chociaż żadnego się nie spodziewał. I rzeczywiście, jeżeli nie liczyć pytań o możliwe rabaty przy zakupie wykonywanej na specjalne zamówienie verpińskiej broni, przywódcy klanów przyjęli jego informację bez mrugnięcia powieką.

Mandalorianie widocznie okazywali emocje tylko wtedy, kiedy chodziło o ich rodziny i ich wojny. Fett wrócił na farmę Beviina. Lecząc nad rzeką wylądował na chwilę, żeby jeszcze raz rzucić okiem na masowy grób.

Mając w perspektywie „nieoznakowany masowy grób” większość istot wpadłaby w popłoch, uważając to za najgorszy możliwy koniec życia. A mimo to Mandalorianie sami wybierali taki los. Fett, mimo swojego pochodzenia - był częściowo Mando, a częściowo aruetii - spróbował

spojrzeć na swoich ziomków tak, jak ich widzą aruetiise. Usiłował zrozumieć strach, jaki wzbudza zaledwie kilka milionów jego ziomków przez sam fakt, że żyją. Starając się zachować obiektywizm, ujrzał oczami wyobraźni najeżdżącą armię, mordującą wszystkich przedstawicieli konkretnej rasy, walczącą w galaktycznych wojnach i niszczącą wszystko na swojej drodze.

Zobaczył najemników i łowców nagród... pozbawionych emocji anonimowych szafarzy śmierci. Galaktyka uważała Mandalorian za skłonnych do przemocy dzikusów, złodziei i rabusiów, których chwilową lojalność względem wszystkich oprócz własnych ziomków można było kupić, ale nie można było na niej polegać.

Obraz taki był niemal prawdziwy... z wyjątkiem kwestii lojalności. Istoty innych ras na ogół nie rozumiały, czym dla Mandalorianina jest kontrakt.

Mało kto poznał Mandalorian na tyle dobrze, żeby zbliżyć się do nich w czasie pokoju.

Prawdę mówiąc, to samo można byłoby powiedzieć o większości Mandalorian. Ale to były niespokojne czasy i niespokojna galaktyka.

Fett pogodził się z tym, że egzystuje na ziemi niczyjej. Dla obcych był Mandalorianinem, a nawet dla niektórych miejscowych klanów obcą osobą. Skierował się do „Niewolnika 1”. To była jego bezpieczna przystań, miejsce, w którym lubił spędzać noce. Miał nadzieję, że Beviin nie weźmie mu tego za złe. Przejmowanie się cudzymi uczuciami było dla niego czymś nowym. Fett wiedział, co Beviin sądzi o psychice kogoś, kto woli sypiać na pokładzie gwiazdowego statku, chociaż ma do dyspozycji wygodny dom... a ściślej wiele takich domów.

Łowca nagród dotarł do statku i posłużył się zdalnym sterownikiem, żeby otworzyć klapę wjazdu. Na pokładzie znalazł czekającą na niego wiadomość. Nadawca mógł ją przesłać bezpośrednio na projekcyjny wyświetlacz w polu widzenia jego hełmu, ale Jaing Skirata po prostu już miał taką naturę.

„Widzę, że postępujesz uczciwie względem Mandalory, a zatem ja postąpię uczciwie względem ciebie”.

A więc Fett osądził Jainga właściwie. Wsypał na podstawioną dłoń kilka kapsułek, po czym popił je mieszanką wody i przepisanych przez Beluine'a płynnych lekarstw. Leki spowalniały tempo postępów jego choroby, ale jej nie powstrzymywały.

A Jaing nie dał mu znać, że jego starania zakończyły się powodzeniem.

Śmierć jest motorem działania, nie zagrożeniem, pomyślał łowca nagród. Nadal masz do załatwienia to i owo, zanim staniesz się nawozem. Po prostu musisz to zrobić wcześniej, niż myślałeś.

Włączył monitor w ciasnej kabinie, sięgnął po suche racje żywnościowe i rozsiadł się w fotelu. Obserwował wiadomości, z których wynikało, że na Korelii panuje zamęt. Verpiński rząd planety Roche podał informację o rozmowach z Mandalorąna temat paktu o wzajemnej pomocy i nieagresji.

W końcu Fett wyjął czarną książeczkę, którą dostał od ojca. Ponad sto razy obejrzał już każde zarejestrowane nagranie, a teraz postanowił przyjrzeć się jego wizerunkowi. Ilekroć się obawiał, że może zapomnieć, jak kiedyś wyglądał Jango Fett, wyjmował książeczkę i oglądał

wszystko na nowo.

Ale niczego nie zapomniał... pamiętał każdy rys i każdą zmarszczkę na twarzy. Mimo to obejrzał jeszcze raz nagrania i postanowił, że następnego dnia poda do wiadomości publicznej informację o Bes 'uliiku.

Coruscant, sala obrad Rady Jedi, nadzwyczajne zebranie

- Ona chciałaby mieć pewność, że Sojusz nie miał nic wspólnego ze śmiercią Gejjena -

odezwała się mistrzyni Saba Sebatyne. - To była niepotrzebna śmierć.

Luke nie mógł winić Barabelki za wyciąganie pochopnych wniosków. On też tak pomyślał w pierwszej chwili, ale zaraz doszedł do wniosku, że w zabójstwie maczał palce jeden z agentów Galaktycznego Sojuszu... może nawet sam Jacen. Zabójca zamknął się na pokładzie swojego statku i wysadził go w powietrze. Statek został zarejestrowany na Korelii, a w szczątkach znaleziono wiele niepodważalnych dowodów, że przyleciał rzeczywiście z tej planety. Luke widywał w życiu dziwniejsze rzeczy. Wszystko wskazywało na to, że zabójstwo było dziełem fanatyka, co ostatnio zdarzało się aż nazbyt często.

- Wielu Korelian ma dość powodów, żeby życzyć sobie śmierci Gejjena - powiedział.

Zastanawiał się, dokąd poleciała Mara. Na poły świadomie oczekiwał, że żona zaraz wejdzie do sali obrad i z triumfalnym uśmiechem pokaże wszystkim głowę Lumii. - Mimo to przeprowadzę własne dochodzenie.

Corran Horn uniósł głowę znad splecionych dłoni, którym przyglądał się dotąd z nienaturalnym skupieniem. Na pewno nie było mu łatwo patrzeć, jak rodzinna planeta pogrąża się w chaosie.

- Nieważne, kto naprawdę jest sprawcą. Bardziej istotne jest to, kogo obwinia o to zabójstwo różne frakcje, bo na pewno nie przejmą się niepodważalnymi faktami - powiedział.

- No cóż, muszę znać prawdę i nie chcę, żeby powiedzieli mi to komentatorzy biuletynów informacyjnych HoloNetu - stwierdził Luke. - Kypie, mógłbyś śledzić wiadomości podczas naszego zebrania?

- Pamiętam czasy, kiedy aktualne władze same informowały o wszystkim Radę Jedi - odezwał

się Kyp Durrone. - Nie musieliśmy polegać na informacjach podawanych przez środki masowego

przekazu.

Luke także zauważył, że Rada przestała być informowana. Postanowił powrócić do głównego tematu rozmowy.

- A jeżeli sprawcą był naprawdę ktoś z Galaktycznego Sojuszu? - zapytał. Pomyślał, że na razie chyba nikt nie obwinia o to Jacena. -

Do rozmowy włączył się Kyle Katarn.

- Czy zamordowanie przywódcy planety jest zgodne z prawem? - zapytał.

- Podczas wojny? Chyba tak - odparł wielki mistrz Jedi.

- Omas wybrał sobie na zniknięcie dobrą porę - stwierdził Katarn. - Gdybym był paranoikiem, powiedziałbym, że to

nt

niesamowity zbieg okoliczności. Zniknął z miasta. Nie wiemy, dokąd poleciał. A w tym samym czasie Gejjen został zastrzelony. Kiedy Omas wróci do pracy, lepiej sprawdzmy, czy nie ma na ubraniu pozostałości balistycznej.

- To nie jest powód do żartów - zganił go Kyp.

- Przepraszam, przepraszam - zreflektował się Katarn. - Ale sami przyznacie, że to kiepskie wycucie czasu.

Luke pomyślał, że Niathal spisuje się na medal, starając się wyglądać w obecności przedstawicieli środków masowego przekazu na opanowaną i spokojną. Chociaż od podania wiadomości upłynęło zaledwie kilka godzin, reporterzy kanałów informacyjnych zdążyli przeprowadzić wywiady ze wszystkimi analitykami, politykami i pilotami taksówek powietrznych, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia na temat Dura Gejjena. Niathal w nieskazitelnie białym mundurze wywierała duże wrażenie. Zupełnie jakby pełnienie obowiązków przywódcy Galaktycznego Sojuszu było jeszcze jedną pracą jakiej musiała się podjąć, bo wszyscy inni byli zbyt zapracowani. Na pewno zaskarbiła sobie sympatię wielu obywateli.

A Luke nie miał okazji skontaktowania się z Hanem czy z Leią. Postanowił, że kiedy to zebranie dobiegnie końca, zaraz z nimi porozmawia. Muszą wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło... jeżeli ktokolwiek znał prawdę.

Co się z tobą dzieje, Maro? Gdzie się podziewasz?

- Jak to może zmienić naszą sytuację? - zapytał Kyle. - Kto stanie teraz na czele Konfederacji?

Czy tą osobą będzie inny Ko- relianin?

- Jeżeli trafi się ktoś z Bothan, niech Moc ma nas w opiece

- mruknął Corran.

Luke cały czas czekał na wiadomość od Niathal. Rada Jedi nie była agendą rządową więc podczas nieobecności Omasa miała kłopoty z otrzymywaniem odpowiedzi na swoje wątpliwości. Luke zrozumiał, jak kruche i nieformalne są związki między Radą a rządem, zwłaszcza kiedy na szczytach władzy stoją najróżniejsze osoby.

- Na domiar złego Mandalorianie skumali się zVerpinami.

- Kyp miał najświeższe informacje dzięki słuchawce w uchu. Sądząc po szklistych oczach, chyba był zmęczony. - Jak to według was wygląda?

Luke pomyślał o zamęzzonej na śmierć córce Fetta, o winie Jacena i reputacji, jaką powszechnie cieszył się łowca nagród. Od tamtej pory Fett zachowywał jednak niepokojące milczenie.

- Zaczynają się na nowo zbroić - podsunął wielki mistrz Jedi.

- Przecież oświadczyli, że pozostaną neutralni - przypomniał Durrion.

Kyle powoli pokręcił głową i od niechcienia strzepnął jakiś pyłek z nogawki spodni.

- Akurat - powiedział. - Gdyby moją od dawna zaginioną córkę zabił podczas przesłuchania funkcjonariusz tajnej policji Galaktycznego Sojuszu, też zachowałbym neutralność. To pierwsze, co przysłoby mi do głowy. Wróciłbym do domu i pozostałbym bardzo, bardzo neutralny.

- Nie trzeba się opowiadać po żadnej ze stron, żeby się zbroić czy nawet brać udział w wojnie

- zauważył Skywalker.

Nadal nikt nie wypowiedział imienia na literę J, ale mimo to Luke wyczuwał, że wszyscy mają je na końcu języka.

- No cóż, znamy kilka faktów. - Kyle zaczął odginać kolejne palce. - Po pierwsze, Mandalorianie nie są zbyt licznie reprezentowani w placówkach opieki społecznej czy instytucjach dobroczynnych. Po drugie, odkryli nowe zasoby swojego metalu i mogą je wykorzystać w celach wojskowych. Po trzecie, dzięki zawarciu sojuszu z Verpinami stają się najpotężniejszym producentem najbardziej zaawansowanej broni. Po czwarte, podobno wciąż mają żal o to, że nie dostali żadnej pomocy po ostatniej wojnie, w której opowiedzieli się bez zastrzeżeń po stronie Nowej Republiki.

- Nie wygląda to najlepiej, prawda? - zapytał Corran.

- Idę o zakład, że za kilka dni zaczniemy się zajmować nimi, nie Korelią.

- Mówią że Sal-Solo zginął z ręki Fetta, a przynajmniej jednego z jego mandaloriańskich zbirów. Jakie to może mieć dla nich konsekwencje?

Luke słyszał z ust Hana Solo, co się naprawdę wydarzyło. Nigdy tak jak w obecnej chwili nie tęsknił za starymi dobrymi czasami, kiedy Rebelia walczyła przeciwko Imperium... dobro przeciwko oczywistemu złu. Kiedy zniknęło oczywiste zło, powstała próżnię wypełniło kłębowisko zawaalowanych gróźb, rywalizacji i waśni. Coraz trudniej było zgadnąć, skąd może się pojawić następne zagrożenie.

Gdyby takie postępowanie nie było zgodne z naturą większości ras, Luke pomyślałby, że to rezultat złowieszczych knowań Sithów. Cóż, byłoby to o wiele prostsze... i łatwiejsze.

- Moim zdaniem po tym zamachu powinniśmy zaproponować Galaktycznemu Sojuszowi i Korelii mediacje Jedi w ich sporze

- powiedział. - Może to zabrzmie dziwnie, ale w jednych wojnach obowiązują jakieś reguły, a w innych wszystkie chwytysą dozwolone. Musimy...

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do sali obrad weszła Mara.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - Miałam drobne problemy.

Jej pojawienie się przerwało na dobre tok obrad. Luke patrzył z przerażeniem na twarz żony, na jej podbite oko i rozciętą wargę. Zauważył też, że chyba ma pęknięte zebro. Usiadła na swoim miejscu w kręgu ostrożnie, z wyraźnym trudem.

- Co, spotkałaś dywizję pancerną? - mruknął Kyp, nie odrywając od niej spojrzenia. - Co ci się przydarzyło i dokąd powinniśmy wysłać kwiaty twojemu przeciwnikowi?

- Jestem świeżo po leczniczym transie. - Mara się uśmiechnęła, ale Luke wyczuwał dręczący ją niepokój. Nie mógł jednak przerwać zebrania i do niej podejść. Zastanawiał się, dlaczego nie wyczuł, że żonie przydarzyło się coś złego.

- Przepraszam, że przeszkodziłam - podjęła mistrzyni Jedi.

- Domyślam się, że dyskutujemy o konsekwencjach zamordowania Gejjena.

- I o zbrojeniu się Mandalorian.

- Zapomnijmy o tym na chwilę - zaproponował Luke. - Maro, muszę wiedzieć, co się stało.

- Dziękuję, kochanie, że o to pytasz - odparła Mara. - Czuję się bardzo dobrze. To tylko drobne obrażenia. - Z niedowierzaniem pokręciła głową jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co jej się przydarzyło. - No więc... dopadłam Lumiyę. Możecie mi wierzyć, w tej chwili ta baba jest w gorszym stanie niż ja.

- No i? - przynaglił Skywalker.

- Sytuacja opanowana.

- Gdzie w tej chwili jest Lumiya?

- Leci do bazy, a ja cały czas ją namierzam.

Pozostałych jedenaścioro członków Rady czekało w absolutnej ciszy na jej następne słowa.

Mara powiodła spojrzeniem po twarzach otaczających ją Jedi. Łagodnym, ale stanowczym

„później” usunęła z głowy męża niewypowiedziane pytania i wątpliwości, po czym rozsiadła się wygodniej na fotelu. Luke nie bardzo wiedział, co się stało, ale wyczuwał, że za spokojem żony kryje się burza emocji.

- Nie gapcie się na mnie, bo nic wam więcej nie powiem - zastrzegła mistrzyni Jedi. - Nie podzielę się z wami szczegółami, ale rozumiem, że chcielibyście mi coś doradzić. Słucham.

- Mara wydała oświadczenie - zadrwił Kyp. - Mimo to nie powstrzymasz mnie przed zapytaniem, gdzie jest Lumiya i czym odleciała.

- Niezły podstęp, ale jeżeli chcesz się zabawić, znajdź sobie własną pomyloną władczynię ciemnej strony, bo Lumiya należy do mnie - odparła Mara.

Corran posłał Luke'owi porozumiewawcze spojrzenie.

- Nic jej nie jest - powiedział.

Mara była wyraźnie zadowolona, ale coś ją też gnębiło. Luke doszedł do wniosku, że dowie się tego później. Postanowił wrócić do tematu zebrania.

- Czy w tej chwili możemy jakoś wpłynąć na sytuację, jaka powstała po zamordowaniu Gejjena? - zapytał. W odpowiedzi usłyszał chór niechętnych zaprzeczeń. - Wobec tego powinniśmy tylko uważać na dalszy rozwój sytuacji. Prosiłem sekretarza Omasa, żeby pozwolił

mi się zobaczyć ze swoim szefem po jego powrocie do pracy.

- Wiesz, co się dzieje, kiedy podczas nieobecności przywódców dochodzi do kryzysu? -

zauważył Kyp. - Ich popularność w sondażach spada, a to oznacza dla nich początek końca.

Wykorzystajmy Omasa jak najlepiej, dopóki jeszcze możemy.

- Kto przyjaźni się z Niathal?

Spojrzenia obecnych skierowały się na Cilghal. Uzdrowicielka Jedi przekrzywiła głowę i zwróciła jedno oko na Luke'a, co rozmówców Kalamarian zawsze wprawiało w zakłopotanie.

- Obie jesteśmy Kalamariankami, Luke, ale to jeszcze nie oznacza, że się przyjaźnimy -

powiedziała Cilghal. - Uczyłyśmy się myśleć w różnych szkołach.

- Jesteś siostrzenicą Ackbara, a to dla kalamariańskiej pani admirał ma na pewno duże znaczenie...

- Zrobię, co będę mogła - obiecała Cilghal.

Spotkanie dobiegło końca, ale Mara nie wstała. Przechodząc obok, Corran poklepał ją lekko po głowie jak wyrozumiwały wujek, ale zaraz pogroził palcem, jakby chciał powiedzieć:

„Pozwól komuś obejrzeć to podbite oko”. Luke zczekał, aż wszyscy wyjdą, podszedł do żony, kucnął przed nią i położył dłonie na jej kolanach.

- Nie powinnaś nic ukrywać przede mną - powiedział.

- Uderzyłam ją głową w szczękę, to wszystko - odparła Mara.

- Metalowa szczęką, niemetalowa głowa.

- Jeżeli już znalazłaś się tak blisko, dlaczego pozwoliłaś jej odlecieć? - zapytał mistrz Jedi, ale zaraz uświadomił sobie, że to nie było dobre pytanie. Przygotował się na przypomnienie, że i on kiedyś w podobnej sytuacji po prostu uściśnął dłoń Lumi.

- Miałem na myśli...

- Podejrzewam, że pomagał jej jakiś android - przerwała żona. - Coś zaskoczyło mnie od tyłu i nie była to istota organiczna. - Pokazała mu zaczerwienione ślady na szyi. Wyglądały, jakby ktoś zacisnął sznur albo pleciony drut. - Ktokolwiek jej pomagał, miał do dyspozycji metalowy kabel, a Lumiya odleciała dziwnym kulistym statkiem, podobnym do pomarańczowej gałki ocznej.

- Czy nie uważasz, że to wystarczający powód, abyś nie polowała na nią sama? - zagadnął

Skywalker.

- Lumiya wyraźnie chce, żebym ją schwytała - wyjaśniła Mara. - Następnym razem będę lepiej przygotowana... a możesz być pewny, że dojdzie do następnego razu.

Luke już kiedyś obiecał, że da jej wolną rękę. Jeżeli ktokolwiek mógł pokonać kobietę-Sitha, tym kimś była jego żona. Musiał usunąć z głowy obsesyjne myśli o Lumi, aby nie mąciły jasności jego osądu. Postanowił dać Marze jeszcze trochę czasu, ale nie miał pojęcia, co zrobi, jeżeli następnym razem żona wróci do domu tak samo posiniaczona i poraniona.

Ściganie samotnej Ciemnej Jedi było o wiele trudniejsze i bardziej czasochłonne niż sobie wyobrażał. Czasami się dziwił, dlaczego polowanie na Lumię i Alemę jest znacznie bardziej kłopotliwe niż zniszczenie całego Imperium, ale odpowiedź była dość prosta. Imperium było ogromne i wszechobecne, tymczasem dwie doświadczone w konspiracji Jedi mogły się skutecznie rozplątać w całej galaktyce. Od tej pory to one miały decydować, kiedy mu się pokażą... jemu albo Marze.

- Ale wrócisz do domu na kolację, prawda? - zapytał Luke.

- Nie spędzisz całej nocy, pracując samotnie?

- Uwierz mi, wrócę do domu - odparła Mara. - To będzie pierwsza rzecz, którą zrobię po wyjściu z tej sali.

- Teraz będę się kręcił po gmachu Senatu, czekając na powrót Omasa, więc postaram się dowiedzieć, co Han i Leia mają do powiedzenia na temat Gejjena - stwierdził Luke.

- Jeżeli myślisz, że będę siedziała do północy przy stole nad talerzem stygnącej zapiekanki z nerfiny...

- W porządku, kolacja o ósmej - przerwał wielki mistrz Jedi.

- Na mur, permabeton.

Wyszedł na korytarz i z żoną u boku pokonał w milczeniu odległość do szybu turbowindy.

Kiedy drzwi kabiny zamknęły się za nimi, Mara uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie. Luke wyjął bezpieczny komunikator i połączył się z Hanem.

- Nie oplakuję go - skomentował Solo najnowsze wypadki, jak zawsze gruboskórny na swój uroczy sposób. Luke wiedział, że Han nigdy nie przepadał za Gejjenem. Nie mógł żałować kogoś, kto proponował mu zabicie kuzyna, nawet jeżeli ten kuzyn był skończonym łajdakiem. -

Nie musisz oszczędzać moich uczuć. Sam się o to dopraszał.

- Co sądzi o tym koreliańska opinia publiczna?

- Żałobne ubrania nie znikają z półek sklepów, ale ludzie są zdenerwowani.

- Kto sprawuje w tej chwili władzę w Koronecie?

- Nadal się o to zrażają między sobą. Na razie wygląda na to, że to będzie komitet.

- Jak sądzisz, czyja to sprawka?

- Najtrudniejszym zadaniem KorSeku jest w tej chwili znalezienie i przesłuchanie wszystkich podejrzanych - odparł Han.

- Nie muszą ich długo szukać... do odpowiedzialności za ten zamach przyznały się dobrowolnie dwie grupy terrorystów. Tak, my też mamy ich u siebie.

- Nie miałem pojęcia, jak bardzo jesteście podzieleni.

- Nigdy nie byliśmy podzieleni w sprawach dotyczących Korelii - wyjaśnił Solo. - Kłócimy się tylko o to, kto może być najlepszym kandydatem do sprawowania władzy.

- Czy tobie i Leii nic nie jest?

- Tak, mamy się dobrze, i nie, nie powiem ci, co robimy w tej chwili - powiedział Han. -

Przestań się zamartwiać.

Luke o mało nie poruszył problemu możliwego zacierania śladów przez funkcjonariuszy Galaktycznego Sojuszu. Często się przecież zdarzało, że sprawca zabójstwa robił wszystko, aby dowody wskazywały na kogoś innego. Zazwyczaj chodziło o to, żeby w obozie przeciwnika zapanował jak największy zamęt. Powstrzymał się jednak, bo musiałby wspomnieć o Jacenie, a Han nie musiał wiedzieć, że zdaniem jego najlepszego przyjaciela w zabójstwie Gejjena maczał

palce młody Solo. Niektóre problemy najlepiej rozwiązywać z pomocą przyjaciół. Mistrz Jedi postanowił, że kiedy Lumiya zostanie ostatecznie pokonana, poświęci trochę czasu, żeby nawrócić Jacena na właściwą drogę. Chociaż tyle mógł zrobić dla Hana.

Omas nie mógł chyba wybrać gorszego dnia na wizytę u lekarza, ale na ogół nie robił tego w tak wielkiej tajemnicy. Luke miał nadzieję, że to nic poważnego.

Ubolewał z powodu śmierci Gejjena, bo premier Korelii był osobą przewidywalną, a Luke przyzwyczał się do jego sposobu rozumowania. Gdyby jednak pod znakiem zapytania miała stanąć także przyszłość Omasa... no cóż, to byłaby jedna niewiadoma za dużo.

Wojskowy kosmoport Coruscant

Ben siedział w ładowni dostawczego kutra jeszcze długo po tym, kiedy członkowie personelu naziemnego zabezpieczyli ładownicze tłumiki, a dysze wylotowe jednostek napędowych ostygły do temperatury otoczenia.

Młody Jedi czuł się niemal odprężony. Patrzył na przeciwległą ścianę, jakby bał się oderwać od niej spojrzenie. Gdyby to zrobił, musiałby zacząć myśleć, bo zakłóciłby odrętwiającą medytację, w której udało mu się pogрузić.

Jori Lekauf zginął. Chłopak nie mógł się pogodzić z jego śmiercią chociaż na własne oczy widział, jak do tego doszło. Jori żył jeszcze poprzedniego wieczoru, a nawet kilka godzin wcześniej, ale obecnie już go nie było. Ben doszedł do wniosku, że po prostu nie wyczuł jego śmierci.

Śmierć była czymś więcej niż biologicznym zjawiskiem, które znał aż za dobrze z własnego doświadczenia. Byli funkcjonariusze CSB w SGS opowiadali fascynujące historie o pracy w policyjnych laboratoriach kryminalistycznych; Ben wiedział, jak powodować śmierć i jak śmierć wygląda, zdarzało mu się wyczuwać, jak życie znika z tkanki Mocy, ale nie ułatwiało mu pogodzenia się z faktem, że jego przyjaciel odszedł na zawsze. Ben wiedział, że już go nie zobaczy. Jori Lekauf już nigdy nie stanie się częścią tkanki wszechświata i nie odegra w nim żadnej roli.

A wszystko z winy jego, Bena Skywalkera. Lekauf zginął, żeby go chronić.

- Chodź, Ben - odezwał się Shevu. - Technicy muszą zacząć przygotowywać tę balię do postoju.

Kapitan stał na progu śluzy, przytrzymując się listwy uszczelniającej luk. Ben odnosił

wrażenie, że jeżeli się poruszy, cały świat rozpadnie się na kawałki.

- Za minutę przyjdę - obiecał.

Shevu odczekał chwilę, po czym podszedł i usiadł obok niego. Ben podejrzewał, że gdyby był

dorosły, Shevu potraktowałby go bardziej surowo. Prawdopodobnie jednak oficer uważał, że Ben jest zbyt młody, aby brać udział w podobnych wyprawach, i to bez względu na to, czy był

Jedi, czy też nie. Pod wieloma względami miał rację. Nie był jednak za młody, żeby nie odczuć głęboko straty bliskiego przyjaciela. Może z wiekiem człowiek obojętnieje, ale Ben nie chciałby tego dożyć.

- W oddziałach specjalnych rzadko tracimy żołnierzy - powiedział Shevu. - Dlatego tak trudno nam się pogodzić z ich stratą. Ja też bardzo przeżywam jego śmierć.

Ben zastanowił się, czy zaryzykować i coś powiedzieć, czy może lepiej zachować milczenie.

Głęboko odetchnął i odczekał parę chwil.

- Nie musiał zginąć, panie kapitanie - odezwał się w końcu. Kiedy usłyszał swój głos, wydał mu się dziwnie stłumiony. - Mógł przecież wystartować. Wszyscy mogliśmy odlecieć, a nawet dać się schwytać. Nasze zadanie i tak zostało wykonane.

- Ben... mieliśmy"rozkazy. Musieliśmy upozorować, że zabił go jakiś Korelianin -

przypomniawszy Shevu. - Nie mogliśmy dać się złapać ani zostawić wskazującego na nas śladu.

Nie wolno było dopuścić, żeby o zabójstwo posądzono Jedi, zwłaszcza jeżeli tym Jedi byłbyś ty.

Musieliśmy cię stamtąd wyciągnąć.

- Ale przecież to nie musiałem być ja - poskarżył się chłopak. - Tego zadania mógł się podjąć każdy żołnierz. Chciałem spełnić swój obowiązek, ale gdyby zamiast mnie był ktoś inny, Jori wciąż jeszcze by żył.

- Ben, jak sądzisz, co by się z nim stało, gdyby trafił na Korelię? - zapytał półgłosem Shevu.

- Widziałeś, jak przesłuchujemy naszych więźniów. Nie uważasz, że na Korelii mogłoby go spotkać coś jeszcze gorszego?

- A co takiego by się stało, gdybym nawet został schwytany? - zapytał Ben. - Ucierpiałaby opinia mojego ojca, tak? I co z tego? Życie Joriego było ważniejsze niż kompromitacja taty!

- Mogę przedstawić ci całą listę powodów, dla których Korelianinowie powinni myśleć, że sprawcą był jeden z ich ziomków, i wytłumaczyć, dlaczego to leży w interesie Galaktycznego Sojuszu, ale w tej chwili to nie ma sensu. - Shevu wstał i kategorycznym gestem polecił

Benowi iść za sobą. - Odpowiedzialność za ten zamach przyjęli na siebie koreliańscy przeciwnicy Gejjena, więc twoja wyprawa zakończyła się całkowitym powodzeniem... pod względem strategicznym. A teraz idź do domu i weź kilka dni urlopu, żeby odpocząć. Jeżeli czujesz, że trudno ci będzie stawić czoło rodzicom czy... pułkownikowi Solo, wpadnij do mnie do domu. Moja dziewczyna nie będzie miała nic przeciwko temu.

Pierwszy raz Shevu dał Benowi do zrozumienia, że towarzystwo Jacena niekoniecznie jest najlepsze dla młodego Jedi. W obecnej chwili Ben nie miał nic przeciwko stawieniu czoła Jacenowi, ale rozsądną częścią umysłu, która po śmierci Lekaufa nie pogrążyła się w rozpacz, zwrócił uwagę na znaczenie słów zwierzchnika.

- Dzięki - mruknął chłopak.

- Muszę iść teraz do rodziców Joriego i powiedzieć im, co się stało - ciągnął oficer. - Będę musiał wymyślić naprawdę dobrą historię. Dziękuję opatrności za to, że w holowiadomościach nie puszczają w kółko nagrania z eksplozji na pokładzie tamtego statku. Nie chciałbym, żeby rodzice w taki sposób dowiadywali się o śmierci syna.

Wyglądał na przygnębionego. Najwyraźniej przyjaźnił się z Lekaufem, choć nigdy o tym nie mówił. Ben nauczył się tego dnia, co to znaczy być oficerem. Wiedział już, że w pogoni za celem można poświęcić czyjeś życie. Może to było oczywiste, ale kiedy uświadomił sobie, co mogą pociągnąć za sobą jego decyzje, wszystko nabierało zupełnie nowego znaczenia.

- Myślę, że do końca życia będę obwinał o jego śmierć siebie - bąknął Ben, zadowolony, że do tej pory się nie rozplakał.

- Ja też - przyznał Shevu. - Bo to ja miałem się wysadzić ze statkiem w powietrze, gdyby sytuacja nie potoczyła się po naszej myśli.

- Nigdy tego nie planowaliśmy.

- Ty nie. My tak - uciął kapitan. - Musieliśmy być na to przygotowani i tak dalej. - Zatrzymał

przelatujący w pobliżu śmigacz dla personelu naziemnego i polecił pilotowi, żeby zabrał Bena do kwatery głównej. - Zmyj tę farbę z włosów i wracaj do domu.

Godzinę później Ben spojrzał w lustro w łazience kwatery głównej i zobaczył znajomą twarz.

Wycierając mokre włosy, zastanawiał się, czy przypadkiem Jacen go nie wrobił.

Nie musiałem wykonywać tego zadania, uświadomił sobie. Każdy z żołnierzy mógł to zrobić, a później rozpląnąć się w tłumie w hali tamtego kosmoportu.

To było tylko spóźnione uświadomienie sobie oczywistej prawdy. Jacen polecił mu wykonać to zadanie, zanim jeszcze ktokolwiek się dowiedział, gdzie nastąpi spotkanie. Mimo to Ben miał przeczucie, że coś jest nie w porządku, chociaż nie bardzo umiał określić, co takiego.

Stracił kolegę, więc może właśnie dlatego w jego głowie kłębiły się szalone myśli. Opuścił

gmach kwatery głównej i wyszedł na zalaną blaskiem popołudniowego słońca ulicę.

Oszołomiony zmianą planetarnego czasu po przeżyciach ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, spuścił głowę, wsadził ręce do kieszeni i zaczął wałęsać się bez celu.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i o mało nie wrzasnął, tak go to zaskoczyło. Uniósł

głowę i spojrzał w twarz matki. Od razu się zorientował, że wydarzyło się coś bardzo złego.

- Mamo! - wykrzyknął. - Kto cię tak urządził?

- Nie przejmuj się tym, Ben. - Mara objęła go i uściskała z całej siły. - Mam kilka pytań i tym razem absolutnie nie dam się zbyć byle czym. - Uwolniła go z objęć, chwyciła za ramiona i wbiła spojrzenie w jego twarz, jakby szukała śladów obrażeń. - Przysięgam, że to sprawa tylko między tobą a mną, ojciec nie ma z tym nic wspólnego.

Usiedli w lokaliku w dzielnicy osariańskiej. Błat stołu był tak zatłuszczony, że rękawy kurtki Bena przyklejały się do niego co chwila, ale przynajmniej nikt ich tu nie znał. Ben nie był

głodny i nie przełknąłby ani kęsa, nawet gdyby jedzenie było smaczniejsze i nie tak bardzo gorące.

- Chcę wiedzieć, dlaczego poleciałeś na Vulptera - zaczęła bez żadnego wstępu Mara.

Ben osłupiał. Skąd mogła to wiedzieć? Kto się wygadał? Informacja była ściśle tajna.

Wiedziało o tym zaledwie kilku funkcjonariuszy SGS.

- Nie byłem tam - skłamał chłopak.

- Przestań kręcić - burknęła mistrzyni Jedi. - Wiem, gdzie byłeś, i mam paskudne przeczucie, że wiem także, co tam robiłeś. Cała planeta oglądała ostatnie holowiadomości.

Patrzyła na niego bez mrugania, jakby nagle przestała być jego matką. Ben pamiętał, że ma wszystkiemu zaprzeczać, więc odwzajemnił jej spojrzenie i milczał.

- Mogłabym zapytać o to Jacena, synu - dodała Mara - ale nie jestem pewna, czy bym mu uwierzyła, nawet gdyby mi odpowiedział, która godzina.

- Wiesz, że nie mogę rozmawiać na temat mojej pracy, mamo

- odezwał się w końcu Ben.

- Och, wiem - odparła Mara. - Nigdy nie ukrywałam przed tobą mojej przeszłości, więc wiem dokładnie, na czym polega twoja praca. Możemy porozmawiać jak dorośli, Ben, bo odkąd zacząłeś robić to, co robisz, nie jesteś już dzieckiem. Dobrze się rozumiemy?

Ben przypomniał sobie, jaką śmiercią zginął Jori Lekauf, i znów poczuł ciężar w żołądku.

Rozpaczliwie chciał wyrzucić z siebie wszystko: że jego przyjaciel zginął i że chciałby cofnąć czas do chwili, zanim dał się uwikłać w to wszystko, i że... że...

- Mamo... - W pierwszej chwili nie mógł wykrztusić nic więcej. Mara położyła rękę na jego dłoni i lekko ją ścisnęła. - Mamo, jeżeli ci powiem... zdradzisz mi, kto cię tak urządził?

- Ależ oczywiście. To była Lumiya - odparła mistrzyni Jedi.

- Schwytałam ją ale uciekła. Sprawiałam jej jednak porządne lanie i następnym razem nie pozwolę jej uciec. A teraz twoja kolej.

Ben zaczerpnął powietrza. Pomyślał, że albo wszystko jakoś się ułoży, albo nastąpi katastrofa.

Nie mógł tego przewidzieć, bo nagle opuściły go wszystkie doznania Mocy.

- Ja to zrobiłem, mamó - wyznał w końcu.

- Byłeś w to zamieszany... czy to zrobiłeś? - zapytała Mara.

- Karpaki ze składaną kolbą rozpryskowy pocisk. - Ben czuł się tak, jakby jego usta wyznały prawdę bez udziału woli.

Mara usiadła prosto i przyłożyła lewą rękę do ust, prawą zaś ścisnęła mocniej palce syna.

- W porządku - powiedziała.

- Lekauf zginął, mamó. - Ben nie pamiętał, czy matka знаła Lekaufa, ale w obecnej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Musiał wymówić jego nazwisko i komuś opowiedzieć, co się naprawdę stało.

- Jori się zabił... zabił się, żeby mnie ocalić.

Mara zajęła się popijaniem kafeiny ze stojącej przed nią filiżanki. Osarianie lubili zioła o intensywnym aromacie, a Ben wiedział, że ten zapach zawsze już będzie mu przypominał tę okropną chwilę.

- Dlaczego to zrobiłeś, Benie? - zapytała w końcu Mara.

- Rozkaz - mruknął chłopak. - Byłem zdaje się najlepszym kandydatem.

- Nagle w twojej kompanii zabrakło strzelców wyborowych? - zapytała mistrzyni Jedi. - Kto ci wydał taki rozkaz?

- Jacen.

Mara zmusiła się, żeby niczego po sobie nie pokazać, ale syn nie dał się nabrać. Widział, że matka jest wściekła. Okropnie zbladła, przez co kontrast między żółknącym siniakiem wokół

oka a resztą twarzy stał się wyraźniejszy.

- No dobrze, mój drogi - odezwała się dopiero po jakiejś minucie. - Na razie nie mówmy o tym twojemu ojcu, bo jest w takim nastroju, że urwałby Jacenowi głowę. Mógłbyś wrócić teraz do domu?

- Chyba nie dałbym rady siedzieć i rozmawiać z nim o tym podczas kolacji - zawahał się Ben.

- W takim razie, co zamierzasz zrobić?

- Wrócę do apartamentu Jacena. - Ben zorientował się od razu, że matce nie podoba się ten pomysł. - A może do domu kapitana Shevu.

- Idź tam, gdzie będziesz się czuł bezpieczniej, Ben - doradziła mistrzyni Jedi. - Nie nalegam, abyś wrócił ze mną do domu, ale obiecaj mi, że przyjdiesz, kiedy tylko będziesz miał jakiś problem. Zgoda?

- Dobrze.
- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Naprawdę mi przykro.
- Nikt nigdy się nie dowie, jaki był odważny.

- Wiem.

- Gniewasz się na mnie? Głupie pytanie. Musisz się gniewać.

- Jak mogłabym się gniewać po tym, co kiedyś sama robiłam?

- Mara chwyciła obie dłonie syna, jakby się bała, że Ben ucieknie. - Mimo wszystko to my zrobiliśmy z ciebie takiego człowieka. Chcieliśmy, żebyś był taki jak my. Chcieliśmy, żebyś był Jedi i żebyś wykonywał swoje obowiązki...

Mara umilkła i spojrzała przez okno na zatłoczony napowietrzny szlak. Miała zamyśloną minę.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd się tego dowiedziałas, mamó - zaczął Ben.

Mara zamrugnęła, jakby oprzytomniała, i wróciła do przerwanej rozmowy.

- Nie, nie powiedziałam - przyznała. -1 nikt prócz mnie o tym nie wie. Wiem także, że umiesz ukrywać się w Mocy jak Jacen. Kiedy zrobiłeś to pierwszy raz, wpadłam w przerażenie, bo myślałam, że nie żyjesz. Proszę, Ben, nie ukrywaj się przede mną. Nigdy.

- Nie ukrywałem się przed tobą mamó - wyjaśnił chłopak.

- Po prostu ćwiczyłem, żeby się przekonać, czy umiem to robić.

- W porządku.

- Czy kiedyś poczuję się naprawdę paskudnie, bo zabiłem tamtego... no wiesz, tamtego gościa?

- zapytał Ben. - Bo w tej chwili nic mnie to nie obchodzi.

- Ze mną było tak samo - odparła Mara, rozumiejąc, że syn ma na myśli Gejjena. - Też czułam się źle dopiero później, ale to nie były wyrzuty sumienia. Po prostu... niezupełnie rozumiałam, dlaczego to robiłam, bo to, kim byłam, nie wszystko tłumaczyło.

- Lepiej już pójdę.

- Dojdiesz do siebie - zapewniła go matka. - Pamiętaj, że zawsze możesz się do mnie zwrócić w potrzebie. Skontaktuj się ze mną kiedy tylko trochę ochłoniesz.

Ben pochylił się i pocałował ją w policzek. Zrozumiał, jak bardzo ją kocha. No i jaka inna matka, słysząc tak straszliwą wiadomość, nie odtrąciłaby syna? Nachylił się jeszcze niżej i szepnął do jej

ucha:

- Gejjen przyleciał tam, żeby wziąć udział w tajnym spotkaniu z Omasem. Zamierzał omówić warunki zawieszenia broni.

Kiedy chłopak się wyprostował, Mara się uśmiechnęła, ale błysk w jej oku dowodził, że wcale nie jest zachwycona.

- Dziękuję - powiedziała. - Kocham cię, Ben. Skontaktuj się ze mną, dobrze?

- Ja też cię kocham, mamó.

Ben nie mógł tego dłużej znieść. Wyszedł z kawiarenki i następną godzinę błądził bez celu po ulicach. Oglądał wystawy, ale niczego nie widział. W końcu wsiadł do powietrznej taksówki, wrócił do apartamentu Jacena i zamknął się w swoim pokoju.

Obawiał się, że upłynie dużo czasu, zanim to wszystko zrozumie. Wsunął wibroostrze pod poduszkę, bo nie chciał się z nim rozstawać. Zastanawiał się, co kapitan Shevu powiedział

rodzinie Joriego Lekaufa.

ROZDZIAŁ 12

Ori'buyce, kih'kovid.

Sam hełm, bez głowy.

mandaloriańskie obelżywe określenie kogoś, komu władza uderzyła do głowy **Coruscant, gmach Republiki, godzina 00.01 standardowego czasu galaktycznego** Jacen Solo, ubrany w paradny mundur pułkownika Straży Galaktycznego Sojuszu, stał między sierżantem Wirutem a szeregowcem Limmem przed gmachem Republiki.

Nie mógł się pogodzić ze śmiercią Lekaufa. To była wielka strata. Ben spisał się dobrze, to prawda, ale zaraz po wykonaniu zadania powinien był wrócić do pełnienia obowiązków. Jacen zamierzał zapytać później Shevu, dlaczego kapitan wysłał Bena na urlop bez wcześniejszego uzgodnienia z dowódcą SGS.

- Na pewno my trzej wystarczymy, panie pułkowniku? - zapytał Wirut.

Jacen wygładził załamania na palcach czarnych rękawic. Była minuta po północy, więc to, co zamierzał zrobić, miało być całkowicie zgodne z prawem, usprawiedliwione... i o minutę spóźnione.

- Moim zdaniem przywódcy Omasa nie strzeże pluton żołnierzy - zauważył.

Wirut nie odpowiedział. Jacen był gotów pierwszy przyznać, że aresztowanie demokratycznie wybranego przywódcy najpotężniejszej organizacji galaktyki w towarzystwie tylko dwóch podwładnych może wyglądać jak incydent bez znaczenia, ale nie widział sensu w ściąganiu całej

kompanii. Omas nie powinien stawiać oporu, a nawet gdyby miał taki zamiar, jeden Jedi i dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy SGS aż nadto wystarczy, żeby sobie z nim poradzić.

Jacen wyjął komunikator i nawiązał łączność z Niathal.

- Jesteśmy gotowi do działania - oznajmił. - Zaczynamy.

- Za dziesięć minut jestem umówiona z senatorem G'Silem na nadzwyczajne spotkanie -

poinformowała pani admirał. - Senator nie był tym zachwycony, ale mu powiedziałam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

- Przeczuwa, na co się zanosi?

- Nawet jeżeli tak, nie zdradził chęci, żeby zrobić użytek z tego przeczucia.

- To dobrze - odparł Solo. - Teraz już nie ma odwrotu. Wóz albo przewóz.

- Po prostu to zrób...

Strażnik w recepcji był przyzwyczajony do widoku ubranych w najróżniejsze mundury gości, którzy odwiedzali albo opuszczali gmach Republiki. W luksusowej wieży mieszkała elita Galaktycznego Sojuszu, a każdy senator miał grupę własnych ochroniarzy i przyjmował wizyty wojskowych. Do tej pory większość Coruscan zdążyła się zorientować, jak wygląda mundur funkcjonariusza SGS, bo członkowie tajnej policji rzucali się w oczy. Mimo to Jacen bez wezwania okazał kartę identyfikacyjną. Cóż, strażnik tylko wykonywał swoją pracę.

- Nie musisz mnie anonsować - powiedział.

Strażnik spojrzał na ekran komputerowego notesu.

- Pańskie nazwisko i tak figuruje na liście osób upoważnionych do odwiedzania pana przywódcy - powiedział obojętnie. - Może pan wjechać na górę.

Dotarcie kabiną turbowindy na piętro, na którym mieszkał Omas, zajęło parę minut. W tym czasie obaj podwładni Jacena po prostu gapili się na drzwi kabiny. Jacen wyczuwał ich niezdecydowanie i zastanawiał się, czyjego powodem jest sympatia dla Omasa, czy też niechęć do udziału w wojskowych przewrotach, ale postanowił o to nie pytać. Żołnierzom nie powinny chodzić po głowie buntownicze myśli. Do przewrotu można było się uciekać tylko w ostateczności.

- Zaraz się przekonamy, jak żyje druga połowa... - zaczął Wi- rut, kiedy drzwi kabiny turbowindy się otworzyły i oczom całej trójki ukazał się luksusowo urządzone hol. W

powietrzu unosiła się delikatna woń egzotycznego drewna, a w niszach po obu stronach stały opalizujące wyroby ceramiczne Shalui i rzadkie kryształy z Naboo, do których Omas miał

słabość. - Mógłby się tu zmieścić mój apartament plus mieszkania moich dziesięciu sąsiadów.

- Gdyby ktoś wpadł na pomysł ozdobienia tą ceramiką mojego gmachu, nie powstałyby tam długo - oznajmił Limm. Obrzucił zazdrosnym spojrzeniem lśniąca czerwoną wazę, która zmieniła kolor najpierw na zielony, a po chwili na turkusowy. - Koszty ubezpieczenia tego wszystkiego muszą być niebotyczne.

- Dobytek to kłopot. - Jacen się uśmiechnął. - Majątek zawsze można odebrać, więc bogacze żyją w nieustannym strachu.

- Z radością stawilibym czoło takim strachom, panie pułkowniku - mruknął Wirut. - Do kompletu przydałby mi się także ładny duży jacht firmy Sorosuub. Wtedy dopiero bym się bał.

Okazałe drzwi apartamentu Omasa sporządzono z grawerowanego bronzium. Abstrakcyjne ozdoby wykonał jeden z najświetniejszych coruskańskich artystów, chociaż Jacen nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Doszedł do wniosku, że artysta marnuje swój talent, bo oprócz Omasa drzwi mogli oglądać tylko jego zaufani doradcy, pracownicy personelu zajmującego się utrzymaniem apartamentu w czystości i naprawcze roboty. Gmach Republiki obfitował w przedmioty, które powinny zostać wystawione na widok publiczny.

Jacen przystanął, aby zebrać myśli, zanim przycisnie guzik kuranta. Obaj podwładni cofnęli się i zakryli twarze przesłonami, co było standardową procedurą, ilekroć mieli wejść do jakiegoś pomieszczenia. W pierwszej chwili Solo pomyślał, że zamierzają pozostać na straży, po jednym z każdej strony drzwi, ale chyba tylko obserwowali korytarz, co było zrozumiałym środkiem ostrożności.

Omas osobiście otworzył drzwi. W obecnych czasach nie był chroniony dwadzieścia cztery godziny na standardową dobę, ale Jacen się spodziewał, że drzwi otworzy android albo lokaj.

Przywódca Galaktycznego Sojuszu spojrzał na niego ze zdumieniem, zmarszczył brwi i przeniósł spojrzenie na obu żołnierzy.

- Dobry wieczór, Jacenie - powiedział. Cofnął się i gestem zachęcił, żeby weszli do środka. -

Paskudna sprawa z tym zabójstwem. Nie mogę powiedzieć, żebym lubił Gejjena, ale ten wypadek dowodzi, że powinniśmy zachować maksymalną ostrożność podczas wykonywania naszych obowiązków.

Ruszył długim korytarzem, w porównaniu z którym hol za drzwiami jego apartamentu wyglądał jak podziemny tunel na jednym z najniższych poziomów. Widok dzieł sztuki na ścianach zapierał dech w piersi, tym bardziej że większość pochodziła z okresu poprzedzającego inwazję Yuuzhan Vongów. Pewnie kustosz któregoś z muzeów zdobył w tamtych czasach bardzo bezpieczną kryjówkę. Omas doszedł prawie do końca korytarza, zanim się odwrócił.

- Czy mogę wam, moi drodzy, zaproponować coś do picia, zanim usiadziemy, żeby porozmawiać? - zapytał.

Jacen uznał, że jego zadanie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Omas traktował ich jak wrogów.

- Aresztuję pana w imieniu Galaktycznego Sojuszu za poczynania, które mogły narazić na szwank jego bezpieczeństwo - powiedział.

Omas zmarszczył tylko brwi, jakby nie był pewny, czy się nie przesłyszał. Cofnął się kilka kroków, do miejsca, w którym źródła światła na wysokości podłogi rzucały blask na aksamitny rubinowy dywan.

- Słucham? - zapytał.

- Jest pan aresztowany, panie przywódcu - powtórzył Solo. - Później pozwolimy panu się skontaktować z adwokatem, ale w tej chwili byłoby najlepiej, gdyby po prostu udał się pan z nami.

Omas cicho parsknął, wyraźnie rozbawiony.

- Jacenie, drogi chłopcze, mówisz do Cala Omasa - przypomniał mu. - Nie bądź idiotą...

naprawdę przyszedłeś mnie aresztować? Mnie? A-resz-to-wać?

Jacen wyjął z kieszeni komputerowy notes.

- Zgodnie z postanowieniami Ustawy o Stanie Wyjątkowym każdy, nie wyłączając przywódcy, polityków i innych osób, które mogą stwarzać zagrożenie dla bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, może być od tej chwili zatrzymany i osadzony w areszcie - powiedział.

- To cytat, panie przywódcu. Poprawka umożliwiająca osadzanie w areszcie mężów stanu weszła w życie o północy, a pan jest mężem stanu...

Omas wyglądał raczej na oszołomionego i zaskoczonego niż na zaniepokojonego. Jacen przywykł do tego, że wizyty funkcjonariuszy SGS wywołują lęk, ale zdumienie było dla niego czymś nowym.

- Widzę, że tę poprawkę zgłoszono wczoraj - odezwał się Omas tonem grzecznościowej rozmowy. - Wielkie nieba! Rzeczywiście to zrobiłeś, prawda? Wszystko starannie zaplanowałeś i poważyles się na zmianę prawa.

- Proszę pana...

- Czy mogę się dowiedzieć, jakie to zagrożenie rzekomo stanowią dla bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu? - przerwał Omas.

- Zaraz to panu udowodnię - powiedział Jacen i przełączył komputerowy notes na odtwarzanie zarejestrowanego przez paskową kamerę nagrania spotkania z Gejjenem. Włączył przycisk i odwrócił notes tak, żeby Omas mógł widzieć ekran. - Proszę się zapoznać z całością i powiedzieć mi, że to nie pan siedzi w tamtym pokoju z dwoma funkcjonariuszami Wywiadu Sojuszu, z zamordowanym premierem Korelii i z dwoma jego ochroniarzami z KorSek.

Za możliwość oglądania miny Omasa w takiej chwili byłby gotów zapłacić każdą sumę.

Zalała go fala ulgi. W końcu zmusił Omasa do zrozumienia, że jako przywódca Sojuszu Alderaanin nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Nie odrywając spojrzenia od ekranu komputerowego notesu, Omas zapoznał się z całym nagraniem. Wirut i Limm stali cierpliwie i w milczeniu za plecami Jacena.

- No cóż... - odezwał się w końcu Omas. - Jak mogę to skomentować?

- Sierżant Wirut pomoże panu spakować najpotrzebniejsze rzeczy - odezwał się Solo. -

Wyprowadzimy stąd pana tak dyskretnie jak to tylko możliwe.

- Potajemnie? - zdziwił się Omas. - Och, rozumiem...

- Proszę się nie obawiać. Nie zniknie pan, żeby później wypłynąć twarzą w dół w jakimś kanale ściekowym. Wszystko zostanie załatwione oficjalnie i zgodnie z prawem.

Omas popatrzył bez cienia emocji na twarz Jacena, po czym obrzucił spojrzeniem obu żołnierzy. Jacen wyczuwał jego strach, chociaż Alderaanin starał się udawać odprężonego.

- Sierzancie, liczyłem się z możliwością takiego rozwoju sytuacji i już wcześniej spakowałem najpotrzebniejsze drobiazgi - odezwał się Omas z nikłym uśmiechem. - Jeżeli się pan obawia, że mógłbym udać się do sypialni i strzelić sobie w głowę, proszę tam pójść samemu, otworzyć piątą drzwi w pierwszej szafie po lewej stronie i przynieść ten worek. Taki skórzany, jasnobrązowy.

Nie mogło być nic gorszego niż pełen godności aresztant. Jacen wiedział, że w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin koszary i bary CSB zatrzęsą się od plotek, jaki to Omas był odważny i dumny. Wirut zniknął w sypialni, a Limm stanął na straży.

Omas podszedł do Jacena. Stanął tak blisko, że jego oddech musnął skórę Jacena niczym dłoń.

- Ty wstrętny, opętany żądzą władzy, groteskowy mały głupcze - odezwał się z ciepłym uśmiechem, niczym pobłażliwy dziadek. - To ty kazałeś zamordować Gejjena, prawda?

Jacen spodziewał się, że przywódca, nadal z uśmiechem, splunie mu w twarz, ale nawet w takiej sytuacji Omas zachował się z godnością. Zaczekał, aż Wirut wyjdzie z sypialni, a Jacen ruszy korytarzem do drzwi. Podążył za nim, a sierżant poszedł w jego ślady. Wyciągnął blaster, ale nie wbił od razu lufy w plecy Omasa.

To był najdłuższy i najdziwniejszy zjazd na parter kabiną tur- bowindy, jaki Jacen przeżył

kiedykolwiek. Kiedy dotarli do holu, strażnik spojrzał na nich, odłożył na bok holozin i podniósł się za biurkiem.

- To pan, panie przywódco? Co się dzieje? - zapytał.

- Czy mógłbyś podlewać rośliny, kiedy mnie nie będzie? - poprosił Omas. - Obawiam się, że zostałem aresztowany.

Na ulicy stał drugi śmigacz SGS. Wirut i Limm zaczekali, aż Omas zajmie miejsce w środku, a później obserwowali, jak maszyna wznosi się w powietrze i kieruje do kwatery głównej SGS.

Jacen zauważył, że jego dłonie drżą. Z trudem wyciągnął komunikator i połączył się z Niathal.

- Pani admirał, sprawa załatwiona - powiedział. - Pora na wydanie publicznego oświadczenia.

Wirut odchylił do tyłu przesłonę i otarł rękawicą twarz.

- To było najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek wykonywałem - powiedział. -

Następnym razem, panie pułkowniku, wolałbym się zgłosić na ochotnika do schwytania uzbrojonych po zęby psychopatów rasy Wookie. Nie kosztowałyby mnie to tyle nerwów.

Wirut i Limm, biorąc udział w aresztowaniu, chyba rzeczywiście przekroczyli emocjonalną granicę, co było widać po ich twarzach. Jacen wszedł do śmigacza i zajął miejsce obok nich.

Maszyna wzbiła się w powietrze i podążyła wąwozami o durbeto- nowych ścianach. Jacen wyjrzał przez okno. Nic nie wskazywało na to, że na Coruscant, w samym sercu galaktycznej demokracji, właśnie doszło do cichego, bezkrwawego i całkowicie cywilizowanego wojskowego zamachu stanu.

Przed drzwiami gmachów rządowych i centrali banków stały na straży niewielkie grupki żołnierzy z oddziałów naziemnych Galaktycznego Sojuszu. Na pierwszy rzut oka ich obecność wyglądała jak rutynowy środek ostrożności, jaki zachowywano w każde święto, ale funkcjonariusze nie nosili niebieskich mundurów CSB.

- Niesamowite - stwierdził Limm.

- Biedny stary Jori - westchnął Wirut. - Biedny dzieciak. Tak bardzo się starał dorównać swojemu dziadkowi.

Jacen potarł oczy i uświadomił sobie, że czeka go kolejny bardzo długi dzień. A do wschodu słońca wciąż jeszcze pozostawało kilka godzin.

- Nie zapomnę tego - powiedział. - Przenigdy.

ROZDZIAŁ 13

Dzisiaj we wczesnych godzinach porannych, kiedy pani admirał

Cha Niathal, pełniąca obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu, ogłosiła stan wyjątkowy po wstrząsającym aresztowaniu Cala Omasa, obrót akcjami na Intergalaktycznej Gieldzie został zawieszony. Można się spodziewać, że w ciągu najbliższej godziny Senat wyda w tej sprawie własne oświadczenie. Tymczasem z innych ośrodków finansowych galaktyki napływają informacje o ożywionym ruchu. Akcje „A” stoczni KDY osiągnęły w chwili zamknięcia wartość o pięćdziesiąt koma trzy dziesiąte kredytu wyższą niż wczoraj, a pod koniec dnia akcje firm MandalMotors oraz Roche Industries zyskały na wartości ponad trzydzieści kredytów każda.

z „Wiadomości Rynkowych”

Gmach Senatu

Senator G'Sil spojrział na holokamery przekazujące obrazy z Senatu do wszystkich gabinetów, restauracji i publicznych lokali w gmachu. Pokręcił głową i na chwilę zamknął oczy.

- Pełna sala - zauważył. - Postaraj się, Niathal, żeby twoje wystąpienie wypadło dobrze... albo nawet bardzo dobrze.

Kalamarianka wygładziła fałdy munduru i przygotowała się do wejścia na platformę przywódcy Galaktycznego Sojuszu, żeby wygłosić przemówienie do zebranych senatorów.

Sytuacja rozwijała się niezupełnie według jej myśli, ale przecież żadna bitwa nie toczyła się zgodnie z uprzednio zaplanowanym scenariuszem, a arena polityczna była równie podatna na zaskakujące zwroty sytuacji jak każde pole bitwy. Jacen Solo, którego miała nadzieję zobaczyć w Senacie, widocznie doszedł do wniosku, że nie powinien się rzucać w oczy. Niathal postanowiła martwić się tym później. Jeżeli miała być współodpowiedzialna za ten przewrót, musi dać wszystkim do zrozumienia, że Jacen także macza w nim palce. Nie zamierzała brać odpowiedzialności wyłącznie na siebie.

- To sytuacja przejściowa, tylko na czas wojny. Żaden zwykły obywatel nie odczuje negatywnego wpływu na swoje życie - powiedziała do G'Sila, jakby chciała przypomnieć sobie główne tezy swojego wystąpienia. - Odtwórz kawałek nagrania z przebiegu potajemnego spotkania Omasa z Gejjenem i pomachaj im przed nosem wiadomościami z Mandalory oraz z Roche. Przekonasz się, że wszyscy obecni pokiwiają głowami i powiedzą: „Rzeczywiście, pani admirał, żyjemy w niebezpiecznych czasach. Prosimy, zaopiekuj się nami! Stań na czele tymczasowego rządu i pozostań tam przynajmniej do czasu zbadania postępowania przywódcy Galaktycznego Sojuszu”.

- Lubię Jacena - odezwał się nagle G'Sil, który od jakiegoś czasu zachowywał milczenie. -

Problem w tym, czy nadal jest osobą godną zaufania.

- Godną zaufania? - zdziwiła się Niathal. - W jakiej sprawie?

- Nigdy nie wyraziłbym zgody na takie rozstrzygnięcie problemu Gejjena - stwierdził senator.

- To było... ekstremalne posunięcie.

- W tej chwili to już przeszłość - przypomniała pani admirał. - Korelia się trochę pogubiła, bo ich pomyleni ekstremiści przyznali się do odpowiedzialności za ten zamach, czym wyrządzili nam niesamowitą przysługę. Bothawui także spuściła z tonu. Jej władze prawdopodobnie uważają, że to nasza sprawka, ale wciąż jeszcze nie mogą uwierzyć, iż mieliśmy tyle odwagi. A ja... No cóż, nigdy bym nie pomyślała, że to powiem, ale bardzo nam pomogły te mandaloriańskie dzikusy.

- Nie chcę cię martwić, ale czy zauważyłaś, że znów się zbroją? - zapytał G'Sil. - Korzystają ze zdobyczy verpińskiej techniki.

- Naturalnie, że zauważyłam - odparła Kalamarianka. - To największa sensacja w tym tygodniu.

- Musieli cię nauczyć w akademii rzeczy, które przekraczają zdolność rozumienia nas, zwykłych śmiertelników.

Niathal łypnęła okiem na wyświetlacz chronometru. Miała dziesięć minut na przygotowanie się. Chciała wypaść jak osoba zrównoważona, niechętnie ujmująca w ręce ster władzy i pragnąca jak najszybciej pozbyć się tego brzemienia, kiedy tylko sytuacja się unormuje. Prawdę mówiąc, rzeczywiście miała taki zamiar. Ubiegała się o stanowisko przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, ale chciała poddać się weryfikacji wyborców, a najlepszym sposobem osiągnięcia celu było udowodnienie, że umie pełnić te obowiązki nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Kiedy w końcu się zdecyduje zgłosić swoją kandydaturę, jej potencjalni wyborcy powinni ją oceniać po osiągnięciach.

Naturalnie pod warunkiem, że uda mi się utrzymać Jacena na wodzy, a on nie zaprzepaści mojej szansy, pomyślała. Jeżeli wymknie się spod kontroli... no cóż, zawsze jeszcze pozostaje Boba Fett.

- Czy kiedykolwiek hodował pan nuny? - zapytała.

- Nie w apartamencie... - odparł senator.

- Opowiadano mi, że w stadzie tych ptaków tworzą się rywalizujące grupy, które roszczą sobie prawo do swoich terytoriów - zaczęła Kalamarianka. - Często dochodzi między nimi do bijatyk.

Jeżeli jednak do klatki dostaną się dzikie bursy, rozpętuje się tam istne piekło. Drapieżniki wpadają w szał i zabijają tyle nun, ile mogą. Część martwych zabierają żeby później je pożreć, i uciekają. Nie interesuje ich, do jakiej grupy należą zabijane ptaki. Podobnie zachowują się pańscy Mandalorianie.

- To urocza analogia, ale nie rozumiem jej sensu - stwierdził G'Sil.

- Proszę na chwilę zapomnieć o strategii - powiedziała Niathal. - Mandalorianie nie przejmują się tym, kto zwycięży. Chcą tylko jeść, pić, walczyć i podtrzymywać własny wizerunek.

G'Sil obrzucił ją długim, udręczonym spojrzeniem.

- To pani jest naczelnym dowódcą - powiedział w końcu. - Zakładam, że umie pani oceniać wojskowe ryzyko.

- Chce pan usłyszeć moją ocenę sytuacji? - zapytała pani admirał. - Fett nie zamierza rozszerzać niewielkiej sfery swoich wpływów. Kilka tysiącleci temu Mandalorianie może i byli potężnym imperium, ale obecnie nie radzą sobie z trudnymi problemami nowoczesnej, skomplikowanej demokracji. Większość chce tylko nadal żyć jak przed wiekami i strzec własnej reputacji.

- Na którą w pełni zasłużyli.

- Przyznaję, że to bezkonkurencyjni żołnierze - zgodziła się Niathal.

- Bez żadnej pomocy z naszej strony przeciwstawili się Imperium i Yuuzhan Vongom.

- To jeszcze nie oznacza, że chcieliby rządzić galaktyką - sprzeciwiła się pani admirał. - W tej chwili na Mandalorze żyją niespełna trzy miliony mieszkańców. Nie mają żadnych struktur władzy ani organizacji, dzięki którym mogliby stworzyć zagrożenie czy to dla Konfederacji, czy też dla Galaktycznego Sojuszu. Zawsze będą się zachowywać jak dzikie bursy w klatce z nunami. To oportuniści, którzy tylko wypatrują okazji.

- Fett jest mądry i sprytny, bardzo sprytny - sprzeciwił się G'Sil. - Proszę się nie dać zwieść warkoczkom Wookiech, które nosi.

- Bardzo zależy mu na tym, żeby Jacen Solo przegrał - stwierdziła Niathal.

- Nie wierzę, żeby chciał szerzyć chaos w galaktyce tylko dlatego, aby dopaść jednego mężczyznę, nawet jeżeli jest nim Jacen

- zaprotestował G' Sil.

- Chaos stworzyliśmy my - przypomniała Kalamarianka.

- Fett tylko odwraca naszą uwagę. - Do rozpoczęcia jej wystąpienia pozostały zaledwie dwie minuty. Niathal wypila szklankę wody i energicznie pokręciła głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi. Nie chciała, żeby jej głos brzmiał nienaturalnie z powodu napiętych mięśni. Powinna wyglądać na odprężoną, chociaż lekko zakłopotaną, ale zarazem zdolną do opanowania kryzysowej sytuacji. - Dopóki Fett odgrywa rolę straszaka, Galaktyczny Sojusz się nie rozpadnie, bo władcy mniejszych planet trzęsą się ze strachu, że Mandalorianie wrócą, więc będą woleli nadal chronić się pod naszymi skrzydłami.

- Albo zwrócą się do Konfederacji...

- Nie zrobią tego, jeżeli Konfederacja zacznie kupować broń od Mandalorian, a my nie - sprzeciwiła się pani admirał. - W ten sposób Fett straci pozory neutralności.

G'Sil patrzył na nią z taką miną, jakby Kalamarianka przyleciała spoza Zewnętrznych Rubieży. Zareagował na ten przewrót

- bo w prywatnych rozmowach Niathal tak określała to, co się stało - zdumiewająco spokojnie.

Zważywszy na jego stanowisko, Niathal spodziewała się raczej, że senator będzie chciał na tym coś zyskać.

- G'vli, czy w odpowiednim czasie zechcesz się ubiegać o stanowisko przywódcy Galaktycznego Sojuszu? - zapytała.

- A będzie w przyszłości takie stanowisko? - odpowiedział pytaniem G'Sil.

- Po zakończeniu tej wojny naprawdę zamierzam ogłosić wybory i oddać władzę w ręce cywila - odparła Niathal.

- Cóż, jeśli o mnie chodzi, nie będę kandydował - odparł senator. - Nie zamierzam stać się tym, kim był Omas. Jeżeli coś może się wydarzyć raz, może się także wydarzyć drugi. - G'Sil zachęcił gestem Niathal do wejścia na latającą platformę. - Ale musisz pilnować Jacena, żeby cię nie zaskoczył od tyłu - dodał.

- Wiem - odparła Kalamarianka. - Właśnie go neutralizuję. Powiedz, kiedy chcesz zaczynać. -

Słowo „neutralizuję” miało parę niezbyt miłych znaczeń, a G'Sil zrobił taką minę, jakby pomyślał o najgorszym. - Nie, nie... tylko pod względem taktycznym - zastrzegła pospiesznie Niathal. - A przy okazji, gdzie się Jacen podziewa?

- Prawdopodobnie musi połamać komuś kilka palców - odparł G'Sil. - Postaram się go później znaleźć. - Ruszył jej śladem w kierunku platformy. - Zaczynamy.

Wchodząc na platformę, Niathal spojrzała w dół, a kiedy uniosła głowę i powiodła spojrzeniem po ogromnej sali, na ułamek sekundy poczuła się oszołomiona jej ogromem. Na szczęście wiedziała, że wszyscy uznają jej przerażoną minę za dowód skromności i rezygnacji, za pogodzenie się z czymś, co wydawało się nieuniknione. Nowy dyktator wojskowy nie powinien sprawiać wrażenia zbyt pewnego siebie.

W ogromnej sali przebywało tysiące delegatów - nawet mimo nieco wcześniejszych dezercji i secesji - ale panowała w niej niezwykła cisza. Platforma z Niathal i G'Silem przepłynęła majestatycznie na środek sali. Kalamarianka widziała oświetlone i zacienione miejsca, ale na ogół nie mogła rozróżnić twarzy. Zalewana snopami światła z punktowych reflektorów, czuła się prawie jak aktorka na scenie.

- Dżentelistoty! - zaczęła. Doszła do wniosku, że w jej sytuacji najstosowniejszy będzie taki formalny zwrot. - Nigdy się nie spodziewałam, że przyjdzie mi zwracać się do was w taki sposób. Przyznaję, że czuję się trochę nieprzygotowana. Ubolewam, że muszę stać na tej platformie. Zrobiłam to tylko dlatego, że byłam potrzebna, ale obiecuję, że będę tu przebywać najkrócej jak to tylko możliwe. Zostaję tymczasową przywódczynią Galaktycznego Sojuszu, ale nic innego nie ulegnie zmianie. Chciałabym to wyraźnie podkreślić. Nie wprowadzę żadnej godziny policyjnej, żadnej cenzury ani żadnego innego środka nadzwyczajnego, jakie zazwyczaj pociąga za sobą proklamowanie stanu wyjątkowego. Gdybym zajęła tę platformę z powodu niedyspozycji czy choroby Omasa, nikt nie wpadłby w panikę. Wczoraj wydarzyło się coś, co pod względem konstytucyjnym niewiele różni się od choroby przywódcy Galaktycznego Sojuszu. Jako naczelny dowódca sił zbrojnych miałam obowiązek zastąpić go na tym stanowisku i zrobiłam to... za radą naszych służb bezpieczeństwa. Kiedy tylko problemy z Konfederacją zostaną rozwiązane, co prawdopodobnie nastąpi już niedługo, zrzeknę się tych obowiązków i ogłoszę wybory na stanowisko przywódcy.

Nie powiedziała ani jednego kłamstwa. Nie było takiej potrzeby. Sama zresztą wierzyła w każde wypowiedziane słowo. Po prostu przemilczała przed senatorami pewne informacje. Cóż, nie każdy musi wiedzieć wszystko.

Jeden z przedstawicieli planety Kuat poprosił o pozwolenie na zabranie głosu.

- Mówiąc o służbach bezpieczeństwa, miała pani na myśli Wywiad Sojuszu, czy też może SGS?

Niathal zastanowiła się, czy przypadkiem to nie G'Sil kazał zadać tak trafne pytanie.

- Chciałabym zapoznać wszystkich z pewnym materiałem - zaczęła. - Wtedy zrozumiecie, dlaczego zdecydowałam się na ten krok.

Odtworzenie zarejestrowanego nagrania z przebiegu spotkania Omasa z Gejjenem było lekceważeniem trybunału, bo podobny dowód mógł mu uniemożliwić wydanie sprawiedliwego wyroku. Niathal przeczuwała jednak, że Omas zostanie uznany za winnego i nie wróci do pełnienia obowiązków, a tym bardziej nie oskarży Galaktycznego Sojuszu o bezpodstawne aresztowanie. W tym przypadku osadzenie go w areszcie oznaczało zarazem skazanie. Gestem poleciła technikowi, żeby przekazał nagranie na ekrany monitorów platform wszystkich senatorów.

Z satysfakcją usłyszała chóralne okrzyki zaskoczenia na widok funkcjonariuszy Wywiadu Sojuszu. Kiedy Dur Gejjen przeszedł do omawiania sposobu usunięcia jej i Jacena ze stanowisk, Niathal przywołała na twarz wyraz pełnego godności ubolewania. Cisza, jaka później zapadła, była wręcz namacalna.

- Chyba wszyscy już rozumiecie, dlaczego musiałam pójść za radą SGS. Dzięki udziałowi funkcjonariuszy Wywiadu Galaktycznego Sojuszu w tym spotkaniu bezstronność tej organizacji mogła zostać narażona na szwank - oznajmiła. - Podczas wojny politycy przeciwnych stron mogą wprowadzić odbywać spotkania, ale omawianie sposobów usunięcia naczelnego dowódcy sił zbrojnych bez wiedzy i zgody Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu to już przesada.

Miała nadzieję, że wszyscy zauważyli, iż przewodniczący tej Rady siedzi po jej prawej ręce.

Nadeszła pora, żeby G'Sil odegrał swoją rolę. Usiadła i zrobiła mu miejsce na mównicy.

- Mam niewiele do dodania - zaczął senator. - Chciałbym jednak wyrazić ubolewanie, że coś takiego mogło się wydarzyć. Chciałbym także wyjaśnić obecność żołnierzy Galaktycznego Sojuszu na ulicach obok funkcjonariuszy CSB. To zwykły środek ostrożności na wypadek, gdyby obecną sytuację chciały wykorzystać anarchizujące organizacje działające na Coruscant.

Jak w każdej demokracji, mają prawo do istnienia i do wyrażania swoich poglądów, ale gdyby zamierzały się poważyć na coś więcej, musimy zadbać o przestrzeganie prawa.

- No cóż, w tej chwili anarchiści już nie muszą obalać władzy, prawda? - zapytał delegat z planety Haruun Kai. - Wy zdecydowaliście się to zrobić pierwsi...

- Licząc się z możliwością takiego zarzutu - podjęła Niathal - chciałabym oświadczyć, że zamierzam poprosić pułkownika Jacena Solo, aby wspólnie ze mną pełnił obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu. Będziemy nawzajem patrzyli sobie na ręce, żeby tymczasowa władza nie spoczywała na barkach tylko jednej osoby. Dzięki temu każde z nas będzie mogło kontrolować poczynania tego drugiego.

Nie zaprotestowała, kiedy przedstawiciel Haruun Kala wygłosił swoją uwagę. Nikt inny jej nie

skomentował. Rezygnując z wprowadzenia nadzwyczajnych środków, do czego miała obecnie pełne prawo, wysyłała jednoznaczne przesłanie. Chciała uchodzić za niepewnego i pełnego rezerwy oficera, wyniesionego na szczyty władzy, bo sprawujący dotąd tę władzę cywil okazał

się niegrzecznym chłopcem. Doszła do wniosku, że chyba się jej to udało. Członkowie Senatu, dość przerażeni całą sytuacją byli w dziewięćdziesięciu procentach przekonani, a w dziesięciu niezdecydowani.

Doszła do wniosku, że jedno i drugie jej odpowiada.

G'Sil odprowadził ją do jej gabinetu. Kalamarianka usiadła i poczuła falę ulgi.

- Co dalej? - zagadnął G'Sil, nalewając z dystrybutora dwie filiżanki kafeiny. - Wkrótce senatorowie wpadną w panikę z powodu spadku wartości swoich akcji, akoreliańska administracja ugrzęźnie jak wyrzucone na plażę daggerty. Na razie jednak mamy trochę czasu.

- Musimy otworzyć na nowo giełdę - postanowiła Niathal.

- Jeszcze dzisiaj będę chciała się zobaczyć z sekretarzem finansów. Chodzi o to, żeby skarb państwa podjął interwencję, gdyby na rynku pojawiła się znów panika. Zamierzam oddać Wywiad Galaktycznego Sojuszu pod dowództwo SGS i postawić kapitana Girduna na jego czele...

- Och, to klasyczne posunięcie...

- Chcę także, aby gabinet Omasa pozostał zapieczętowany aż do odwołania.

G'Sil okazał umiarkowane zaskoczenie.

- Nie zamierzasz się tam wprowadzać? - zapytał.

- Ani ja, ani Jacen - odparła Kalamarianka. - Gdybyśmy to zrobili, wszyscy dostrzegliby w tym bardziej żądę władzy niż konieczność. Zapieczętujemy go w takim stanie, w jakim się w tej chwili znajduje, co uważam za najlepsze rozwiązanie, bo dzięki temu funkcjonariusze CSB

będą mieli zabezpieczone miejsce potencjalnego przestępstwa. - Wpisała na klawiaturze w blacie biurka wewnętrzny kod komunikatora administracji gmachu Senatu.

- A przy okazji nikt nie będzie walczył o fotel.

W końcu G'Sil przywołał na twarz uśmiech, który od jakiegoś czasu chciał się tam ukazać.

- Wymyśliłaś elegancki sposób zneutralizowania Jacena, gdyby rzeczywiście kierowała nim żądza władzy - zauważył. - To powinno dać mu do myślenia.

Nie musisz wiedzieć, że zawarłam z nim umowę, pomyślała pani admirał.

- Nie lubię, kiedy przeciwnicy czają się z tyłu, G'vli - powiedziała. - Wolę mieć wrogów tam, gdzie

mogę ich widzieć.

- Pierwszy raz słyszę, jak określasz Jacena mianem... przeciwnika.

- Obojgu nam zależy na osiągnięciu tego samego celu

- stwierdziła ostrożnie Niathal, świadoma, jak ulotne mogą być sojusze w tej rozgrywce. -

Chodzi o porządek, stabilność i pokój. Problem w tym, że nie bardzo podobają mi się jego metody. Kiedy go nauczę, że nie powinno się zamykać obywateli w obozach ani zabijać więźniów, będziemy współpracowali doskonale.

- Będziesz musiała także skontaktować się z Radą Jedi - przypomniał senator.

- Spotkam się później ze Skywalkerem, ale nie z pozostałymi uzbrojonymi mistykami... -

postanowiła Niathal.

Od razu wysłała Luke'owi wiadomość, że pragnie kontynuować dobre stosunki, które wielki mistrz Jedi miał z Omasem, i że w każdej chwili Skywalker może wpaść do niej na nieformalną rozmowę. Postanowiła mieć się na baczności, bo Jedi reprezentowali trzecią władzę, ani cywilną, ani wojskową w dodatku niewybieralną. A ile razy widziała Jacena, uświadamiała sobie, w kogo może się zmienić Jedi.

- Wszystko odbyło się w białych rękawiczkach - stwierdził G'Sil. - Senatorowie omawiają swoje sprawy, jakby nic się nie stało. Żadnych protestów, żadnych zamieszek, żadnej kontrrewolucji.

- Jeszcze nawet nie pora lunchu - przypomniała Niathal.

- Tak czy owak, to coś niezwykłego.

- Zwłaszcza że toczymy wojnę - przyznała Kalamarianka. - Nawet jeżeli Korelianie kipią z wściekłości, Bothawui zachowuje wstrzeźliwość. Mam załogi na pierwszej linii frontu.

To było po prostu zwykłe stwierdzenie faktu. Niathal nadal nosiła mundur i bez względu na osobiste ambicje, miała głęboko zakorzenioną w genach etykę służby. Musiała wygrać tę wojnę, żeby sprowadzić podwładnych żywych do domów.

- Naprawdę jesteś dobra - stwierdził G'Sil, oceniając ją całkowicie niewłaściwie. - Bardzo dobra. Do licha, mógłbym nawet zagłosować na ciebie na podstawie dzisiejszego wystąpienia.

Właśnie w taki sposób chciała uzyskać mandat do sprawowania władzy... dzięki wyborom.

Byłoby jej o wiele łatwiej utrzymać się na stanowisku, niż gdyby wszyscy widzieli w niej wojskowego dyktatora. A przecież jako oficer lubiła postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem.

W ramach tych przekonań wierzyła w przeniesienie walk na terytorium wroga i w wykorzystywanie

wszystkich szans.

- Cieszę się na myśl o tym - powiedziała.

Sala obrad Rady Jedi

To była długa noc, a po usłyszeniu porannych wiadomości Luke poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie sali Marę i zauważył, że większość jej obrażeń już się zagoiła. Zastanowił się, kiedy żona będzie gotowa porozmawiać z nim o powodach, dla których zgrzytała zębami we śnie.

Coś się musiało zdarzyć, ale Luke'a niepokoiło to, że żona milczała i nie wściekała się na niego. To mogło oznaczać tylko jedno. Chodziło o coś więcej niż tylko o Lumię czy Alemę.

- Po takich nowinach można się zastanawiać, co przyniesie jutro - odezwał się udręczonym tonem Kyp. Podrapał się obiema rękami po głowie, jakby wcierał szampon we włosy. - Każdy biuletyn informacyjny przynosi prawdziwą bombę.

- Nie zawsze zgadzałem się z Omasem, ale nie wierzę, żeby stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa Sojuszu. - Luke nigdy nie radził sobie dobrze z frustracją i mimo upływu lat nie nauczył się tej sztuki. Widział, co się dzieje, znał historię i nie przepadał za rządami wojskowych. Nie przepadał za nimi nikt z jego pokolenia, nikt, kto dorastał pod rządami Imperium. - Widzę w tej chwili dwa zagrożenia: zewnętrzne w postaci wojny i wewnętrzne, czyli przewrót. Na czym skupimy nasze wysiłki?

- No cóż, w tych okolicznościach Niathal miała pełne prawo sięgnąć po władzę - odezwał się Corran. - Nie brała udziału w przewrocie. Nam, obywatelom z prawem głosu, może się to nie podobać, ale nie możemy się w to mieszać jako Jedi.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytał Kyp. - Prawda leży na wierzchu, ale nikt jej nie widzi...

albo nie chce się do tego przyznać.

- Proszę bardzo, mów - zezwolił Luke.

- Prawda jest jedna: Jacen. Powiedziałem to wreszcie: Jacen. Co, na miłość Mocy, on wyprawia? No dobrze, może powinniśmy byli przemówić mu do rozumu już wtedy, kiedy zaczął wyłamywać drzwi na czele oddziałów SGS. W tej chwili, z dnia na dzień, aresztował

przywódcę Galaktycznego Sojuszu i sam przejął władzę. Podobają się wam jego radykalne metody? Wymknął się nam spod kontroli, przyjaciele.

- Czy rzeczywiście ogłosił się wspólnie z Niathal nowym przywódcą Galaktycznego Sojuszu?

Czy ktoś słyszał, żeby sam wydał takie oświadczenie?

Cilghal uniosła głowę.

- Powiedziała to admirał Niathal. Z ust Jacena nie usłyszeliśmy dotąd ani słowa.

- A zatem może to nie był jego pomysł? - Luke spojrzał na Marę, żeby pochwycić jej spojrzenie, ale

żona pogrożyła się we własnym świecie. - Maro?

- Przepraszam. - Mistrzynie Jedi zamrugła i wyrwała się z zadumy. - Z drugiej strony... nie zauważyłam, żeby Jacen bronił się rękami i nogami przed objęciem tego stanowiska - zaczęła. -

Bez względu na to, czyj to był pomysł, Solo nie odrzucił tego zaszczytu.

- W dodatku zapadł się pod ziemię - stwierdził Kyp. - Całą standardową dobę oglądaliśmy informacyjne biuletyny, ale nie zobaczyliśmy go w nich ani razu. Chyba go ktoś musiał

przykuć łańcuchem, żeby uniemożliwić mu udzielanie wywiadów holore- porterom.

- Skąd mamy wiedzieć? - zapytał Corran. - Nigdy z nami nie rozmawia. Kiedy nie nęka Korelian, siedzi zamknięty w przytulnym bunkrze Straży Galaktycznego Sojuszu.

- Czas, żebym z nim porozmawiał - stwierdził Luke. - Szczerze porozmawiał. Niathal przysłała mi wiadomość, że chce utrzymywać dobre stosunki między gabinetem przywódcy a Radą Jedi. Zamierzam trzymać ją za słowo.

Mara znów skupiła uwagę na przebiegu zebrania.

- Gdybym nie wiedziała, że po śmierci Gejjena na Korelii zapanował zamęt, powiedziałabym, że to komuś z zewnątrz zależy na zdestabilizowaniu Galaktycznego Sojuszu - zaczęła. - Gdyby Gejjen jeszcze żył, do tej pory Korelianie by się za nas zabrali.

To była ciekawa teoria i w miarę jak Luke się nad nią zastanawiał, z każdą chwilą wydawała się ciekawsza. Mara zawsze umiała dostrzegać ukryte motywy. Może oba wydarzenia były dziełem przypadku, a może nie, ale zabicie Gejjena z pewnością miało jakiś związek z odsunięciem Omasa od władzy, i to nie tylko dlatego, że przywódca spotkał się z Korelianinem krótko przed jego śmiercią. Niektórzy komentatorzy posuwali się nawet do stwierdzenia, że w zamachu maczał palce sam Omas, ale Luke odnosił wrażenie, że chodzi o coś bardziej skomplikowanego, a sądząc z głębokiej zadumy na twarzy Mary, jego żona także tak uważała.

Od czasu do czasu wbijała spojrzenie w dal i bezwiednie poruszała wargami.

Zwykle o wszystkim mi mówiłaś, Maro, pomyślał wielki mistrz Jedi. Co się stało?

- Wiecie, co? - zagadnął Kyp. - Zapomnieliśmy o czymś bardzo ważnym. Jako Jedi jesteśmy graczami w polityce Galaktycznego Sojuszu, ale także narzędziem wybranego przywódcy, takim jak na przykład flota. Jako narzędzie możemy mieć własne zdanie, ale wykonujemy rozkazy wybranej władzy. W przeciwnym razie, nie mamy możliwości wpływania na bieżącą sytuację większego niż Partia Anarchistów „Oszalały Potwór”. Jacen zachowuje się jak szaleniec, no i nie postępuje jak Jedi. Jest przede wszystkim oficerem sił bezpieczeństwa, który tylko przypadkiem jest Jedi.

- Cudownie. Kiedy moje frontowe drzwi rozpadną się w drzazgi pod butami funkcjonariuszy SGS, dzięki tej świadomości poczuje się o wiele lepiej - zadrwił Corran.

Kyp odwrócił się na fotelu i wymierzył wskazujący palec w stronę Horna.

- Nie twierdzę, że nie powinniśmy działać - powiedział. - Musimy tylko być pewni, na czym stoimy. Niathal i Jacen mieli prawo zrobić to, co zrobili.

- Są prawa i prawa-odezwała się Mara.

Kyp uniósł brew.

- Tę najbardziej błyskotliwą myśl dzisiejszego dnia zawdzięczamy naszym sponsorom...

- Zobaczę się z Niathal - przerwał mu Luke, uderzając otwartą dłonią w podłokietnik fotela.

Powiniennem był już dawno zaufać przeczuciom, uświadomił sobie. Chcąc jak najlepiej wypełniać moje obowiązki, straciłem z oczu to, co ważne. - A zanim zaczniemy narzekać na to, że nic nie robimy, zastanówcie się nad tym, co wam powiem. Kiedy nie spodobał nam się udział Bena w akcjach SGS, mieliśmy wybór: albo przymknąć na to oczy, albo siłą ściągnąć smarkacza do domu. A teraz słyszę, że chcemy podjąć akcję przeciwko... właśnie, przeciwko czemu? Mielibyśmy dokonać własnego zamachu stanu? Pozbawić władzy Niathal?

Skonfiskować świetlny miecz Jacena? Przyznaję, że on czasami działa pochopnie, ale musimy wszystko przemyśleć, żeby nie pogorszyć i tak złej sytuacji.

- Uważam, że przemawianie mu do rozumu jest z góry skazane na niepowodzenie - odezwała się Mara. - Ja zamierzam ścigać Lumię, bo moim zdaniem to ona odpowiada za to, co się dzieje. Pamiętajmy jednak o tym, że Omas nie zachowywał się rozsądnie, a Niathal nie jest niewolnicą Lumii. Pani admirał dąży do osiągnięcia własnego celu, ale nie przypuszczam, żeby kierowała nią ciemna strona.

Luke wiedział, że żona się nie myli. Sytuacja była dynamiczna, skomplikowana. Najlepiej byłoby, gdyby Jedi zajęli się sprawami, z którymi nie dałyby sobie rady osoby pozbawione władzy nad Mocą. Kolejny raz zatęsknił za czytelnym podziałem na złych i dobrych.

Trudno było zwrócić się przeciwko własnym sprzymierzeńcom. Jeszcze trudniej było się zwrócić przeciwko członkom własnej rodziny. Najgorsze jednak, że obecnie te same osoby były jednymi i drugimi.

Coruscant, kwatera główna SGS

Ben po przebudzeniu leżał kilka chwil w błogiej niepamięci tego, co się wydarzyło. Dopiero kiedy sobie wszystko przypomniał, cały świat znów zawalił mu się na głowę. Wszędzie wokół

siebie widział twarz Joriego Lekaufa. Nie mógł wytrzymać w domu. Musiał się znaleźć w towarzystwie przyjaciół... ludzi, którym także brakowało Lekaufa. Przechodził przez kolejne bramki systemu bezpieczeństwa SGS, a system akceptował jego kartę identyfikacyjną, otwierając odporne na blasterowe strzały drzwi, a twarz każdej osoby na korytarzu wyglądała jak twarz Joriego. Kiedy Ben wszedł do szatni z zamykanymi szafkami, mógłby przysiąc, że słyszy jego głos. Przeżywał

koszmar na jawie, wyczarowany przez połączenie jego zmysłów Jedi i zwykłej ludzkiej reakcji na nieco wcześniejszą stratę. Dałby wiele, żeby to się skończyło, ale nie chciał okazać nielojalności względem nieżyjącego przyjaciela.

W sali z dziesiątkami monitorów siedział Zavirk. Uniósł głowę, spojrzął na Bena i wcisnął guzik tłumika dźwięków słuchawki w uchu.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Świetnie - odparł chłopak.

- Nie widać tego po tobie.

- Świetnie - powtórzył Ben.

- To nie była twoja wina, rozumiesz? To mógł być każdy z nas. - Zavirk ponownie wcisnął

guzik i przysunął bliżej sąsiednie krzesło, żeby Ben mógł usiąść. - Słyszałeś, że nasz szef jest teraz... no cóż, prawdziwym szefem?

- Ta-a.

- Powinniśmy się z tego cieszyć.

Ben wiedział, że jego ojciec by się nie ucieszył. Posiedział trochę w sali z monitorami, zadowolony, że może przebywać pośród żołnierzy, ale później wstał, żeby poszukać sobie zacisznego miejsca. Jeżeli nie mógł się pogodzić z tym, co się stało, jeżeli tak nim to wstrząsnęło, nie nadawał się do dalszej służby w SGS. Wszyscy inni żołnierze się z tym pogodzili. Shevu musiał pewnie odbyć trudną rozmowę z rodziną Lekaufa, ale kiedy Ben przechodził obok gabinetu kapitana, ten był pochłonięty pracą. Zaznaczał coś na rozkładzie zajęć na ścianie, co na pewno było jednym z jego obowiązków.

Ale ja mam dopiero czternaście lat, uświadomił sobie chłopak. Mógłbym powiedzieć: „W

porządku, jestem jeszcze dzieckiem i nie muszę być twardy, kiedy giną moi przyjaciele”.

Trudno jednak decydować, kiedy mam się zachowywać jak dorosły, a kiedy jak dziecko. Muszę nauczyć się sobie z tym radzić albo wrócić do szkoły, jak wszystkie inne dzieciaki w moim wieku.

Najgorsze jednak, że musiał martwić matkę. A ona miała dość własnych problemów, polując na Lumię.

Jeżeli wierzyć rozkładowi zajęć, Jacen pełnił właśnie służbę. Przebywał na terenie kwatery głównej SGS mniej więcej od pierwszej w nocy. Ben nie wyczuwał go w Mocy, ale jakoś nie był tym zdziwiony. Dawniej Jacen ukrywał się w Mocy, kiedy musiał, a obecnie pojawiał się w niej tylko wtedy, kiedy uważał to za konieczne.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Ben zaczął się też wycofywać z Mocy. Idąc korytarzem, zauważył na płytkach niewielkie kałuże wody, bo sprzątające roboty znajdowały się zaledwie kilka metrów przed nim. Pozwolił, żeby jego ciało stopiło się z otaczającą go materią i energią. Im częściej to robił, tym rzadziej odczuwał, że pogrąża się w transie i odcina od rzeczywistości. Odnosił wrażenie, że obserwuje świat takim, jakim naprawdę jest -

cząsteczki wewnątrz cząsteczek. W takich chwilach ogarniało go uczucie radosnej pełni.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do więziennych cel. Były zawsze zamknięte, ale tego dnia na ścianie obok widniała plansza z napisem: „Tylko za zezwoleniem najwyższych władz”. To właśnie za tymi drzwiami siedział aresztowany Cal Omas. Sytuacja wyglądała surrealistycznie. Ben ruszył dalej w kierunku gabinetu Jacena, ale kiedy skręcił za róg, zauważył, że drzwi gabinetu są otwarte.

Jak zwykle nie wyczuwał obecności Jacena w Mocy, ale słyszał, że starszy kuzyn z kimś rozmawia.

Ciekawe, z kim? - zadał sobie pytanie chłopak. To dziwne. Nikogo innego nie wyczuwam.

Jacen mógł rozmawiać przez komunikator, ale sądząc z tonu jego głosu, rozmówcę miał przed sobą. Wyraźnie starał się trzymać nerwy na wodzy.

- Przedobrzyłaś - odezwał się w pewnej chwili.

- Za bardzo się zamartwiasz - odpowiedział mu głos kobiety.

W tej samej chwili Ben uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Skoro nikogo nie wyczuwał, oprócz Jacena w gabinecie mógł się znajdować tylko inny Jedi... Jedi albo Yuuzhanin, ale istoty tej rasy nie odwiedzały kwatery głównej SGS. Najgorsze jednak, że kobiecy głos brzmiał jakoś znajomo, chociaż chłopak nie mógł poznać, kim jest rozmawiająca z Jacenem osoba.

Podśluchiwanie rozmowy przełożonego jest nieetyczne, zwłaszcza jeżeli tym przełożonym jest kuzyn i mentor, ale Ben doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Ukrywając się cały czas w Mocy, przemknął korytarzem i zbliżył się do otwartych drzwi na tyle, na ile mógł.

To skrzydło budynku kwatery głównej SGS było opustoszałe; widocznie Jacen polegał na swoich zmysłach Jedi, dzięki którym mógł wyczuwać każdego, kto się tu kręci.

Prawdopodobnie był pewny, że on i jego rozmówczynie są sami.

- Przedobrzyłaś - powtórzył Solo. - Miałaś odgrywać rolę przynęty, ale przekroczyłaś granicę.

Czy do tej pory zdążyłaś już przyjść do siebie?

- Tak - odparła kobieta. Mówiła trochę chrapliwie, jakby zażyła zbyt wiele igiełek śmierci. -

Najważniejsze jednak, że się

udało. Miałaś więcej czasu na działanie, a ona nie mogła krzyżować twoich planów. Naprawdę uważa, że zamierzam się mścić za jakąś córkę...

- Czasami odnoszę wrażenie, że twoje wymyślone historyjki stają się zbyt skomplikowane - stwierdził Solo.

- A co powiesz na wymazanie wspomnień o Nelani z pamięci Bena? - zapytała nieznajoma.

Ben osłupiał. Mało brakowało, a wpadłby jak burza do gabinetu. Jacenie, więc to twoja sprawka? - pomyślał ze zgrozą.

- On by nie zrozumiał, dlaczego musiałem to zrobić - odparł starszy kuzyn.

- I właśnie dlatego nie może być twoim uczniem - stwierdziła kobieta-Sith. - Pozbądź się go, znajdź następnego i przestań tracić czas.

- Nie wiem, czy mi się to uda...

- Nie mogę ci pomóc. Kimkolwiek będzie ta osoba, Moc ci podpowie. Wkrótce się tego dowiesz.

- No cóż, dobrze chociaż, że rozwiązałem problem Omasa - westchnął Solo. - Mam teraz wolną drogę.

- Zamierzasz go tu trzymać?

- Na dłuższą metę rozsądniej będzie umieścić go w areszcie domowym - odparł Jacen. -

Gmachu Republiki nietrudno strzec, a dzięki temu będziemy wyglądali jak porządni goście.

Ludzie wciąż jeszcze go lubią.

- A zatem ty i Niathal jesteście przywódcami Galaktycznego Sojuszu... Nareszcie.

- Pani admirał przypuszcza, że dzięki temu zmusi mnie do milczenia.

- Albo że będzie mogła ci rozkazywać.

- Jest o wiele za sprytna.

- Bądź dla niej miły. Musisz utrzymać poparcie w armii.

- Jesteś bardzo dobrym strategiem, Lumiyo...

Lumiyo.

Lumiya? - zdumiał się chłopak.

W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. Może jest już tak oszołomiony, że słyszy to, co chce usłyszeć, jak przedtem głos Lekaufa? Tym razem jednak był pewny, że słuch go nie zawiódł. Nie przestraszył się, ale poczuł zażenowanie.

Zaufał Jacenowi, a starszy kuzyn go okłamał.

Wymazał mu część pamięci.

Oboje rozmawiali o nim, jakby... jakby im w czymś przeszkadzał.

A z tej rozmowy wynikało, że Jacen i kobieta-Sith są bliskimi przyjaciółmi. Chociaż tak stanowczo temu zaprzeczał, dobrze znał Lumię, a kobieta mogła się dostawać do kwatery głównej SGS choćby po to, żeby z nim porozmawiać. Nie okłamała Jacena, ale dyktowała mu, co powinien zrobić.

Ben rozpaczliwie szukał logicznego wytłumaczenia tego, co się działo. Jak mógł nadal mieć zaufanie do Jacena, który spotyka się z Lumią jak z przyjaciółką? Dlaczego jego kuzyn to robi?

Jacen jest Jedi, przypomniał sobie. Nie wierzę, żeby spiskował z Lumią. Ona na pewno coś mu zrobiła. Wpłynęła na jego umysł albo coś w tym rodzaju.

Ta kobieta poraniła twarz jego matki. Była osobą, której Ben powinien się obawiać i wystrzegać. Mimo to Jacen rozmawiał z nią w swoim gabinecie, równie swobodnie jak z każdym innym Jedi.

Ben musiał komuś o tym powiedzieć, ale nie miał nikogo, komu mógłby zaufać bez reszty.

Jeżeli Jacen się tak łatwo poddał wpływowi Lumii, to jeszcze łatwiej mógłby mu ulec każdy...

każdy oprócz mamy. Mama nie była niewolnicą Lumii, bo w przeciwnym razie nie stoczyłaby z nią zaciętego pojedynku.

Ben postanowił poszukać matki, żeby ją ostrzec.

Dopiero co wydawało mu się, że nie może być gorzej. Teraz już wiedział, że może.

ROZDZIAŁ 14

Jeżeli ci się wydaje, robalu, że nas wystraszyacie, podlizując się Mandalorianom, przygotuj się na niespodziankę.

Hebanh Del Dalhe z Murkhańskiego Wydziału Handlu i Przemysłu do ambasadora planety Roche, podczas wymiany zdań na temat praw do własności intelektualnej

Mandalora, Keldabe, farma Beviina-Vasura

- Takie długie oglądanie holowiadomości nie wyjdzie ci na zdrowie - powiedział mężczyzna, który pojawił się na progu zajmowanego przez Fetta domu.

Fett widział, że nieznajomy się zbliża... trudno było go nie dostrzec. Mężczyzna miał

niezwykły pancerz. Fett nie widział powodu, aby zachowywać czujność na Mandalorze, ale Jaster Mere-el też kiedyś myślał, że pośród ziomków nie może go spotkać nic złego. Zawsze lepiej uważać, niż później żałować. Łowca nagród nie zdjął jednak nóg z krzesła ani nie przestał czyścić hełmu.

- To fascynujące - powiedział, kiwając głową w kierunku monitora na stole. Gospodarze publicystycznych magazynów i ho-loreporterzy prześcigali się w wygłaszaniu komentarzy na temat bezkrwawego przewrotu, do jakiego doszło na Coruscant. - Jacen Solo, który pragnie zostać Vaderem, kiedy dorośnie, w końcu się na to zdecydował.

- Prawdopodobnie kiedy patrzy w lustro przy goleniu, wmawia sobie, że to jego przeznaczenie.

- A ty jesteś...? - zapytał łowca nagród.

- Venku.

Nie mówił z akcentem z Keldabe. Można było raczej przypuszczać, że mężczyzna spędził

dużo czasu na Kuacie albo na Muunilincie. W przypadku Mandalorianina nie było w tym nic niezwykłego, zwłaszcza że ostatnio tyle osób wracało do miejsca, które Beviin nazywał Manda

'yaimem.

Tak brzmiała tradycyjna nazwa planety, nie Mandalora. Fett dotąd tego nie wiedział. Każdego dnia dowiadywał się czegoś, co uświadamiało mu, jak głęboka przepaść dzieli go od ziomków.

- Usiądź, Venku. - Fett wskazał gościowi jedyne wolne krzesło w pokoju. Musi się przyzwyczaić, że jest przywódcą, nie łowcą nagród. - Cokolwiek ci leży na wątrobie, wyrzuć to z siebie.

Venku nosił najdziwniejszy pancerz, jaki Fett kiedykolwiek widział. Mandalorianie mieli zwyczaj łączenia elementów zbroi zmarłych krewnych lub przyjaciół, ale pancerz Venku nie miał dwóch części tego samego koloru. Składał się z kawałków niebieskich, białych, czarnych i złotych, a także kremowych, szarych i czerwonych.

- Co się stało z twoim gustem? - zapytał Fett. - Czyżby ktoś go zastrzelił?

Venku stał nieruchomo, ignorując wskazane krzesło. Zerknął w dół, na swój pancerz, jakby pierwszy raz go widział.

- Płyta napierśnika, buy 'ce i naramienniki stanowiły kiedyś własność moich wujków -

wyjaśnił. - Płytki osłaniające przedramiona należały do ojca, a te na udach - do kuzyna. Pas był kiedyś własnością mojej ciotki. Jest także...

- Rozumiem - przerwał Fett. - Liczna rodzina.

- Niektórzy są tab'echaaj'la, ale inni nadaj żyją - przyznał Venku.

Fett już nie prosił rozmówcę o tłumaczenie. Mniej więcej rozumiał, o co chodzi.

- Za chwilę skończę czyścić kubel - powiedział.

- Uprzedzono mnie, że nie grzeszysz uprzejmością - odparł Venku. - Ale niech będzie.

Przybyłem, żeby ci coś powiedzieć. Z zadowoleniem stwierdzam, że postanowiłeś być przyzwoitym Mand'alorem. Mando 'ade wracają do domów. Zapewne nie zwracasz na to uwagi, ale na tym polega sens twojego życia.

Fett nie uważał siebie za osobę o miękkim sercu, ale na ogół nie zabijał nawet głupców, jeżeli ktoś mu za to nie płacił. Jego rozmówca nie wyglądał wprawdzie na głupca, ale działał mu na nerwy, zupełnie nie wiadomo dlaczego.

- Cieszę się, że mogę być bardziej użyteczny niż blokada drzwi - powiedział.

- A ja się cieszę, że mogę wręczyć ci ten drobiazg. - Venku otworzył saszetkę przy pasie z amunicją podobno należącym do jego ciotki, która musiała być typową Mandalorianką i położył na stole niewielki ciemnoniebieski prostopadłościan. - Niech ci się nie wydaje, że robię to po to, aby sobie zaskarbić twoją wdzięczność. Nie chodzi o moje uczucia, ale musisz jeszcze się przysłużyć swoim ziomkom. Wkrótce pojawi się ktoś, kto ci to zaaplikuje.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Dopiero po chwili do świadomości Fetta dotarło znaczenie słowa „zaaplikuje”.

- Hej, zaczekaj - powiedział łowca nagród.

Venku odwrócił głowę i spojrzał na niego nad różnobarwnym naramiennikiem.

- Nie próbuj tego robić sam - ostrzegł. - To trzeba wstrzyknąć bezpośrednio do szpiku kostnego. Nie uwierzysz, jakie to bolesne.

Pozwól, żeby to zrobił ktoś wykwalifikowany. Też będzie bolało, ale przynajmniej dotrze we właściwe miejsce.

A zatem Venku był jednym z podwładnych Jainga. Nie nosił się równie elegancko jak jego zwierzchnik, ale miał kosztowne ciemnozielone skórzane rękawice. Fett nawet nie potrafiłby zgadnąć, jakiego zwierzęcia to skóra.

- Powiedz mu, że jesteśmy kwita - powiedział. - 1... podziękuj mu ode mnie.

Venku chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymał, bo zaczął odbierać wiadomość z urządzeń hełmu. Fett obrócił swój hełm na kolanach, tak żeby widzieć projekcyjny wyświetlacz, odbierający sygnały z kamery zewnętrznego systemu bezpieczeństwa

„Niewolnika 1”. Zauważył, że obok statku przeszedł jakiś mężczyzna... sądząc po ciężkim chodzie, bardzo stary, ale ubrany w kompletny pancerz. Mijając statek, przystanął i obrzucił go spojrzeniem, po czym skierował się w stronę domu Fetta i zniknął z pola widzenia obiektywu kamery.

Fett zawsze uważał, że nawet bardzo starzy Mandalorianie mogą stanowić zagrożenie. Jeżeli mężczyzna dożył tak sędziwego wieku, musiał mieć albo niezwykle szczęście, albo być bardzo niebezpiecznym wojownikiem. Mimo to łowca nagród nie zdjął nóg z krzesła i nadal przecierał

błyszczającą czerwona podszewkę hełmu szmatką nasączoną środkiem dezynfekującym.

Był zaintrygowany, ale doskonale to ukrywał. Po jakiejś minucie starzec pojawił się w drzwiach, precyzyjnie się obok Venku i spojrzął na łowcę nagród.

- W końcu dożyłem tej chwili - powiedział. - Su'cuy, Mand'alor, gar shabuir.

To było wyjątkowo uprzejme pozdrowienie... a w dodatku pasujące do śmiertelnie chorego mężczyzny. W ten sposób wojownicy i najemnicy witali się nawzajem, a znaczyło to: „A zatem nadal żyjesz”. Fett chciał w pierwszej chwili zapytać, co oznacza słowo shabuir, ale pomyślał, że to chyba szorstki dowód szacunku, nie zniewaga.

Stary Mando ruszył do wyjścia z godnością w której okazywaniu nie przeszkadzał mu nawet artretyzm, ale w drzwiach odwrócił się, jeszcze raz spojrzął na Fetta i wyszedł.

- Uszczęśliwiłeś go - stwierdził Venku.

- Nie powinienem pytać, kim był ten mężczyzna - domyślił się łowca nagród.

- A zatem nie pytaj. - Venku westchnął i rozszczelnił hełm. Kiedy zdejmował buy 'ce, szmer tkaniny stłumił trochę jego głos.

- Och, zresztą wszystko jedno.

Boba Fett patrzył w twarz mężczyzny dziesięć, a może piętnaście lat młodszego niż on. Venku miał przetykane siwymi pasemkami ciemne włosy, wystające kości policzkowe i bardzo ciemne brązowe oczy. Był niezwykle podobny do młodszego o dwadzieścia lat Fetta. Miał wprawdzie trochę bardziej spiczasty nos i inną linię ust, ale cała reszta wyglądała jak twarz Fetta. Łowca nagród patrzył w swoje oczy i w oczy od dawna nieżyjącego ojca.

- Jestem Venku - przypomniał Mando w pstrokatym pancerzu.

- Tobie jednak mówiono z pewnością, że nazywam się Kad'ika. Cieszę się, że cię w końcu poznałem... wujku Boba.

Coruscant, osariańska kawiarenka

- Nie miałem pojęcia, komu o tym opowiedzieć - zaczął Ben.

- Nie wiedziałem, kto by mi uwierzył... oprócz ciebie.

Mara zastanowiła się, czy jej syn rozpacza po śmierci Lekaufa, czy z powodu wstrząsającej zdrady starszego kuzyna. Obojętne jaki był powód, całkiem nieźle to ukrywał.

- Wierzę ci, Benie - powiedziała.

- Może to wszystko tylko mi się wydawało - zastanowił się chłopak.

- Na pewno nie - zapewniła go Mara. Jej syn nie mógłby zmyślić czegoś podobnego. Musiał

widzieć, że Lumiya przyjaźnie gawędzi z Jacenem, analizuje ich kolejne triumfy i decyduje, kiedy Niathal przestanie być użyteczna.

I układa plany na przyszłość, dodała w myśli. Nie istnieje żadna córka, którą chciałaby pomścić... a w dodatku Jacen wymazał z pamięci Bena wspomnienia tego, co przydarzyło się Nelani.

Mistrzynie Jedi wiedziała, że Ben doskonale zapamiętuje wszystko, co widzi albo słyszy.

Przeszedł ją dreszcz, kiedy jej jedyny syn powtarzał dokładnie słowa kobiety-Sitha i jej współnika... Złowrogie słowa.

Jacen to współnik, uświadomiła sobie Mara.

Jej opinia o nim zmieniła się diametralnie. Jacen już nie był próżną zarozumiałą, ale naiwną ofiarą przewrotnej Lumii, ale z nią współdziałał. Nie był człowiekiem słabego charakteru, który poddałby się bez reszty jej wpływowi, a zatem musiał to zrobić z własnej woli.

- Nie powiedziałem o tym nikomu innemu i wolę tego nie robić - szepnął chłopak. - Nie chcę, żeby dowiedział się o tym tata. Mamo, jeżeli naprawdę uważasz, że powinnaś, to mu powiedz, ale nie chcę widzieć wyrazu jego twarzy, kiedy się zorientuje, jakim byłem idiotą.

A przecież to ja stawałam w obronie Jacena, przypomniała sobie Mara. Dlaczego byłam taka głupia?

- Nie byłeś większym idiotą niż my wszyscy, kochanie - uspokoiła syna.

- I co teraz zrobimy?

- Ty nie musisz nic robić - odparła mistrzyni Jedi. Zauważyła, że jej kafeina wystygła. I tak zresztą nie mogłaby jej przełknąć, nawet gdyby nie smakowała jak zużyty płyn hydrauliczny

„Sokoła Millenium”, bo miała gardło zaciśnięte z wściekłości. - Benie, masz jeszcze wybór.

Kiedy powiedziałam Jacenowi, że Lumiya próbowała cię zabić, on udawał przede mną niewiniątko.

- Czyli wiedziałas o tym, co wydarzyło się na Zioście...

- Nie, nic o tym nie wiem - przerwała matka. - Ale na pewno wszystko mi opowiesz.

Ben sposepniał. Jego matka potrzebowała informacji, ale chłopak wiedział, jak łatwo jest przypadkiem zdradzić, co się wie. Samo słowo „Ziost” wystarczyło, żeby wszystkie kawałki układanki zaczęły wskakiwać we właściwe miejsca.

- Jacen wysłał mnie na Almanię, żebym odzyskał amulet, który zawierał porcję energii ciemnej strony - powiedział. - Żeby wykonać zadanie, musiałem polecieć na Ziosta, gdzie zaatakował mnie jakiś statek. Na szczęście znalazłem inny, bardzo dziwny, którym stamtąd odleciałem.

- Tak po prostu? - zdziwiła się Mara.

- To nie Lumiya mnie zaatakowała. To był jakiś Bothanin.

- A jak się natknąłeś na ten dziwny statek? - Mara starała się zrozumieć, na czym polegała tamta zasadzka. Pamiętała o trans-ponderze, który zainstalowała w statku Lumii, i wiedziała, że w tej chwili dziwna sfera spoczywa nieruchomo gdzieś na Coruscant. Gdyby w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin nie wydarzyło się tak dużo, do tej pory złożyłaby jej właścicielce następną wizytę. - Stał zaparkowany, z otwartym włazem i z kluczykiem w gnieździe zapłonu jednostki napędowej?

- On... posłuchaj, nie jestem wariatem, ale tamten statek do mnie przemówił - wyznał chłopak.

- Ach, tak... - Mara miała już dość kawałków układanki, żeby dostrzec zarysy obrazu. - Był

kulisty, pomarańczowy i wyglądał jak ogromne oko?

Ben zbladł jak ściana.

- Tak-szepnął.

- Opowiedz mi o nim.

Zauważyła, że syn walczy ze sobą i domyśliła się, że przysiągł zachować to w tajemnicy.

Uznała jednak, że jest za późno na okazywanie lojalności.

- Widziałam ten statek, Benie - oznajmiła. - Do mnie też przemówił. Powiedział, że w pierwszej chwili wziął mnie za „kogoś innego”. Do tej pory przypuszczałam, że pomylił mnie z Lumiya ale chodziło mu o ciebie, prawda? W jakiś sposób się zorientował, że jesteśmy do siebie podobni.

Ben zachłysnął się powietrzem, jakby przed utonięciem ocaliła go ulga z powodu tego, że jednak może się podzielić okropnym doświadczeniem.

- Sam doszedłem, jak go pilotować i jak nim sterować - wyrzucił z siebie. - Porozumiewał się ze mną dzięki Mocy.

- I jest przesiąknięty energią ciemnej strony - dodała Mara. - Wiem. Mów dalej.

- Nie mam pojęcia, jak działa, ale wystarczyło tylko sobie wyobrazić, czego chcę, a statek już to robił - podjął chłopak. - Wysuwa z siebie elementy kadłuba, żeby stworzyć z nich działka i inne systemy uzbrojenia.

Doskonale. Doskonale. Z każdą sekundą Mara dostrzegała więcej szczegółów obrazu. Lumiya musiała wysłać myśli do statku, a on posłusznie spełnił jej polecenie. Może nawet sam wysnuł

kabel, owinał go wokół szyi Mary, odciągnął ją od przeciwniczki i o mało nie udusił.

To nie był android, stwierdziła mistrzyni Jedi. Zostałam zaatakowana zniemacka przez żyjący statek... statek Sithów.

Nie opuści bezradnie rąk, jak inna matka, dowiadująca się, co przeżył jej syn. Uświadomiła sobie z bezlitosną klarownością, co ma zrobić. Poczwała, że ogarniają spokój i podobny do transcendencji błogostan. Stała się znów Ręką Imperatora. Zaczęła układać plany.

- Powiedz, co się działo z tym statkiem, odkąd się na niego natknąłeś, do chwili, kiedy ja zobaczyłam go kilka dni temu - zażądała.

- Gdzie go widziałas? - zainteresował się Ben.

- Na Hesperidium - odparła matka. - To właśnie tam dopadłam Lumię.

Jej syn się zgarbił, oparł łokcie na stole, zaplótł ręce i położył na nich głowę. Mara pogładziła go po włosach, pewna, że jej syn się rozplakał.

Zaraz jednak Ben się wyprostował. Wyglądał na przerażonego, ale miał suche oczy.

- Poleciałem nim na pokład „Anakina Solo” i przekazałem go Jacenowi - powiedział.

Układanka była już niemal kompletna. Mara nie wiedziała tylko, jak się teraz zachować.

Rozwiązywała w życiu wiele problemów, ale z tym musiała poczekać, aż się upewni, że Ben jest bezpieczny.

- Teraz już wiesz, jaka to poważna sprawa - powiedziała. Ich głowy prawie się stykały nad blatem stołu. Dla osariańskich gości kawiarenki, którzy znali najwyżej kilka słów w basicu, wyglądali pewnie jak matka i syn, prowadzący poważną rozmowę na temat konsekwencji nieodrobienia pracy domowej albo kiepskich ocen. Nikt by się nie domyślił, że ich rozmowa dotyczy losu galaktyki.

Do licha z galaktyką pomyślała mistrzyni Jedi. Jakiś czas może się sama zajmować swoimi problemami. Tu chodzi o moje jedyne dziecko i o tę szumowinę Sithów, która usiłuje go zabić.

Najgorsze jednak, że pomaga jej w tym jego kuzyn i mój siostrzeniec, który powinien się nim opiekować.

Od tej pory wszystko miało być bardzo jasne i proste.

- Benie, czy mogę ci coś zaproponować? - zagadnęła Mara.

- Cokolwiek zechcesz, mamó - odparł chłopak. - Przepraszam. Tak bardzo mi przykro...

- Hej, to mnie powinno być przykro - przerwała matka. Uwierzyłam potworowi, uświadomiła sobie. Nakrzyczałam na męża i zignorowałam wszystkie oznaki dowodzące, że Jacen schodzi na złą drogę. - Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo - podjęła po chwili. - Sam sobie z nim nie poradzisz, więc musisz być bardzo ostrożny. Chciałabym, żebyś dla odmiany zachowywał się jak tchórz. Nie podejmuj żadnego ryzyka. Najlepiej poinformuj wszystkich, że jesteś chory. I trzymaj się jak najdalej od Jacena, przynajmniej dopóki wszystkiemu nie zaradzę.

Ben pokiwał głową. Miał ponurą minę, a jego oczy wydawały się bardzo stare w dziecinnej twarzy. W rzeczywistości był jeszcze dzieckiem, chociaż obecnie zachowywał się jak mężczyzna. Mara była z niego dumna, ale za wszelką cenę starała się go chronić... do tego stopnia, że jedyną emocją, jaką ostatnio odczuwała, była instynktowna chęć znalezienia i zabicia każdego, kto mógłby stanowić dla niego zagrożenie.

Potrafiłaby to zrobić. Takie było jej powołanie.

- Będę uważał - obiecał chłopak. - Jacen nie powinien się dowiedzieć, że odgadłem jego tajemnicę... Teraz wiem, że to Lumiya nakłoniła go do robienia tego wszystkiego.

Jasne, że to ona, pomyślała Mara.

- Właśnie o to mi chodzi, kochanie - powiedziała.

- Obiecuję, że nie będę się ukrywał przed tobą w Mocy, ale... może będę musiał to robić, żeby ukrywać się przed nią. Przed nią albo przed Jacenem, skoro opanowała go do tego stopnia, że zmusiła do przejęcia władzy.

Czasami trzeba było to usłyszeć od kogoś, żeby w to uwierzyć.

- A może byś mi pokazał, jak to się robi? - zaproponowała z lekkim uśmiechem mistrzyni Jedi. - Dzięki temu będę mogła lepiej wyczuć, kiedy się tylko ukrywasz, a kiedy powinnam się martwić.

Wyraźnie speszony Ben pokiwał głową.

Od tej pory wszystkie chwytaki miały być dozwolone. Mara postanowiła wykorzystać każdy środek i broń, jakie miała do dyspozycji. Zamierzała położyć temu kres... raz na zawsze.

Spędzili resztę dnia jak za dawnych dobrych czasów - przechadzając się wokół Ogrodów Botanicznych Gwiazdnej Kopuły, rozmawiając i ciesząc się swoim towarzystwem... i było naprawdę miło, chociaż trwała wojna, a Galaktycznym Sojuszem rządziła wojskowa junta.

Jedynym dowodem niezwykłości sytuacji było to, że patrolującemu plac funkcjonariuszowi CSB towarzyszył sierżant sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu.

Oprócz Mary i Bena jakoś nikt nie wyglądał na zaniepokojonego. Mistrzynie Jedi zastanowiła się, dlaczego mało kto zwraca uwagę na naprawdę przełomowe wydarzenia. Zaledwie kilka dni wcześniej podczas lunchu jej syn powiedział - jakże proroczo

- że może tak samo się działo za rządów Imperium. Może zwykli obywatele wiedli podobne życie w czasach Palpatine'a jak w czasach Republiki. Mara nie chciała uwierzyć, że to prawda.

Luke na pewno tak nie uważał.

- Daj spokój, mamó - odezwał się w pewnej chwili Ben.

- Znajdźmy jakieś spokojne miejsce, żebym mógł cię nauczyć, jak zniknąć z Mocy.

Podobno jedną z nieomylnych oznak nadciągającej starości jest sytuacja, w której dzieci zaczynają uczyć rodziców. Ukrywanie się w Mocy nie było trudne, ale łatwe było także przestrzeganie diety, a wiele osób nie mogło albo nie chciało się tego nauczyć. Okazało się, że Ben jest niezwykle ciepłym nauczycielem. Po kilku godzinach Mara stwierdziła, że potrafi spędzać w ukryciu minutę albo dwie.

- Przykro mi z powodu Lekaufa - powiedziała i objęła syna, kiedy ruszyli w dalszą drogę. -

Żałuję, że nie byłam dla niego bardzo uprzejma. Wygląda na to, że był jednym z najlepszych.

- Zrobił to, aby się upewnić, że będę mógł odlecieć - wyjaśnił chłopak. - Jak mam dalej żyć ze świadomością, że poświęcił własne życie, aby uratować moje?

- Myślę, że powinieneś zrobić wszystko co w twojej mocy, aby twoje życie coś znaczyło -

odparła Mara. - Wtedy jego ofiara nie pójdzie na marne.

Chyba jeszcze nigdy dotąd nie byli sobie tak bliscy. Pierwszy raz połączyła ich prawdziwa więź, jak dwoje dorosłych. Mara czuła się bezgranicznie szczęśliwa, choć wiedziała, że to ironia losu - wokół panował zamęt, a im groziło największe niebezpieczeństwo, jakiemu kiedykolwiek musieli stawić czoło. Ciężkie czasy uświadamiały jej, co naprawdę ma znaczenie.

- Benie, prawdopodobnie niedługo zobaczysz we mnie kogoś innego niż do tej pory... już niekoniecznie swoją dobrą, starą matkę - zaczęła. Stała tak blisko, że czuła jego zapach, taki sam, jak kiedy był jeszcze dzieckiem. Zapach ten nie zniknął mimo woni wojskowego mydła i smaru do konserwacji broni. - Chcę jednak, abyś wiedział, że bez względu na to, co zrobię i jak mogę ci się wydać obca, kocham cię. Zawsze będziesz częścią mojego serca. Nic nie ma dla mnie większego znaczenia niż ty.

Przystanąła, żeby go objąć, a Ben odwzajemnił uścisk, zamiast, jak zazwyczaj, tylko go z pokorą znosić. Stali w milczeniu, obejmując się mocno.

- Wiesz, mamó, dlaczego ci wierzę? - zapytał w końcu chłopak. - Bo nigdy mi nie powiedziałaś, żebym ci zaufał. Inni każą sobie ufać, a to powinno być wskazówką żeby tego nie robić.

Mara usłyszała w jego głosie zapowiedź, jakim mężczyzną stanie się jej syn, a to pozwoliło jej uświadomić sobie, jaką matką była do tej pory. Mimo wszystko nie radziła sobie najgorzej.

Wiedziała aż za dobrze, jak wysoka jest stawka w tej grze. Wiedziała także, co musi zrobić.

Coruscant, Apartament Jacena Solo

- Benie?

Jacen rozejrzał się po apartamencie, ale nigdzie nie dostrzegł młodszego kuzyna. Na pewno chłopak wrócił do domu, żeby zobaczyć się z rodzicami. Wciąż jeszcze potrzebował pomocy w mrocznych, ale nieuniknionych sytuacjach życiowych. Najwidoczniej miał już za sobą okres, w którym - jak każde beztrosko okrutne dziecko - nie liczył się z konsekwencjami. Teraz zaczynało do niego docierać, że przyszłość niekoniecznie musi być dla wszystkich jednakowo wspaniała. Na razie Ben był zbyt wrażliwy i miał za mało życiowego doświadczenia, żeby uporać się z bólem egzystencji.

Jacen zapoznał się z zawartością przechowalnika żywności i doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zamówić posiłek z restauracji. Zaczynało mu to wchodzić w nawyk, chociaż za każdym razem mniej się tym przejmował. Ułożył sobie elementy łamigłówki, Moc mu odpowiedziała, a on musiał dokonać zaproponowanych przez nią wyborów. Prowadził z nią coś w rodzaju dialogu.

Lekauf także stanowił element tej łamigłówki, chociaż Jacen cały czas się zastanawiał, dlaczego to nie Ben zginął na Vulpterze. Był niemal pewny, że właśnie tak się zakończy wyprawa młodszego kuzyna.

Myślałem, że kiedy go tam wyślę, moje przeznaczenie pozwoli mi zachować czyste ręce, pomyślał. Nie pozwoliło.

Posłużył się komunikatorem i zamówił trzydaniowy, nisko- tłuszczowy toydariański posiłek, a później udał się do łazienki i nalał pełną wannę gorącej, spienionej wody. Para skropiła się na zajmującym całą ścianę lustrze. Jacen napisał na nim czubkiem palca:

„Unieśmiertelni swoją miłość”.

To w dalszym ciągu nie miało sensu. Jeżeli, jak powiedziała Lumiya, miał zabić osobę, którą najbardziej kocha, nie wahałby się ani chwili i oddał życie za Allanę. Za każdym razem jednak uświadamiał sobie, że ochroni ją za wszelką cenę. „Będiesz wiedział, kiedy to się stanie”...

Lumiya była tego pewna, więc i Jacen w to wierzył.

Unieśmiertelnić, pomyślał. Uczynić nieśmiertelnym. Zapisać w historii. Utrwalić. Dlaczego po prostu nie „zabić”? Może jednak niewłaściwie zrozumiałem znaczenie tamtej plecionki?

Wielu ludzi czytało podczas kąpieli holoziny, żeby się odprężyć, ale Jacen, leżąc w wannie jak rozkapryszona panienka, zjadł kolację. Był wyczerpany, jak po zmaganiu się z prądem i walce z falami. Wydawało mu się, że kiedy już pokona ostatnią przeszkodę na drodze do osiągnięcia swojego przeznaczenia Sithów - wszystko nabierze sensu i stanie się łatwiejsze.

Położył widelec na krawędzi wanny i jeszcze raz napisał na zaparowanej powierzchni lustra te same słowa:

„Unieśmiertelni swoją miłość”.

Zabicie ukochanej osoby miało być ostatecznym aktem posłuszeństwa i uległości względem nadrzędnego celu. Jacen oglądał kiedyś w HoloNecie reportaż o zwyczajach jakiegoś plemienia

- nie przypominał sobie, jakiego, gdzie i kiedy - które szkoliło doborowych żołnierzy, dając każdemu na początku ćwiczeń szczenię nusito. Kadetów zachęcano, żeby związywali się uczuciowo ze szczeniakiem, pozwalali mu brać udział w wyścigach razem ze szczeniętami innych kadetów i nauczyli się go kochać. Dopiero przed ukończeniem szkolenia każdy kadet dostawał rozkaz uduszenia swojego szczeniaka. Jeżeli nie chciał albo nie mógł tego zrobić, przestawał być kadetem. Przyszli żołnierze musieli umieć przedkładać obowiązek ponad emocje.

Tak jak ja, pomyślał Solo. Właśnie to muszę zrobić.

Ociężały z przejedzenia, a także zmęczony i rozleniwiony przez gorącą wodę, pozwolił

błądzić bez celu myślom. W pewnej chwili uwolnił je i posługując się Mocą dotknął nimi umysłów Tenel Ka i Allany. Ostatnio coraz rzadziej pozwalał sobie na podobne ryzyko. Nieco wcześniejsza próba zamachu na ich życie uświadomiła mu dobitnie, jak krucha jest pozycja jego rodziny.

Dotąd nie słyszał, żeby Allana nazwała go tatą, i prawdopodobnie już nigdy nie miał tego usłyszeć.

Moja rodzina, pomyślał. Tak, to właśnie one są moją rodziną. Nie Jaina, nie mama czy ojciec, ale ta mała dziewczynka i jej matka. Zakochałem się w kobiecie, której miejscowe zwyczaje nie pozwolą nigdy wymówić imienia ojca jej dziecka.

Mógłby przysiąc, że w odpowiedzi Allana także go dotknęła swoimi myślami. Był tak wstrząśnięty, że aż otworzył oczy, ale przyszło mu do głowy, że przy takich okazjach ktoś może się wszystkiego domyślić i ją skrzywdzić. Tym kimś mogła być Lumiya, bo właśnie tak postępowali Sithowie. Zmuszanie kogoś, żeby cierpiał i nienawidził, wzmacniało potęgę każdego Sitha.

Jacen postanowił odwiedzić Tenel Ka, kiedy tylko on i Niathal umocnią swoją władzę. Losy wojny się zmieniają i nikt już nie będzie musiał się przejmować władcami nic nieznaczących planet.

W następnej kolejności Jacen będzie musiał się uporać z problemem Bothan. Lumiya będzie miała znów okazję zarobić na swoje utrzymanie.

Oczy same mu się zamykały. Nie drzemał, ale męczyły go wizje Mocy. Czuł się, jakby coś szarpało go za ramiona i mówiło mu, żeby czuwał i zabierał się do działania, bo już czas. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, przypominał sobie zaufanie, jakim go darzy młodszy kuzyn, wszystkie kłamstwa, jakimi go częstował, i niebezpieczeństwa, na jakie go wystawiał. A mimo to chłopak się nie zrażał. Rozpaczliwie starał się robić to, co słuszne. Jacen miał przed oczami Bena, jak kryjąc twarz w dłoniach, powtarza z płaczem: „To zbyt wysoka cena. Zbyt wysoka”.

O co mu chodzi z tą ceną? Myśli o śmierci Lekaufa? Chyba nie. W przyszłości miało być jeszcze wielu, bardzo wielu Lekaufów. Tak zawsze było na wojnach. I dlatego Jacen musiał położyć im kres.

A może... może tu nie chodzi o Bena, ale o coś z nim związanego?

Dlaczego bez przerwy się nad tym zastanawiam? - zadał sobie pytanie Solo. Dlaczego to nie daje mi spokoju? Bo się tego wypieram, odpowiedział sobie. Bo nie mogę się pogodzić z tym, że to ma być on. Tymczasem to nie może być nikt inny.

Łatwo jest zabić kogoś, kto darzy cię zaufaniem... tak jak Ben. Jacen wiedział jednak, jak paskudnie się później poczuje... jak kadet, zmuszony do uduszenia swojego szczeniaka nusito.

Nie chcesz widzieć tego, co nieuniknione, prawda? - uświadomił sobie.

Wytań się do sucha i resztę popołudnia spędził, porządkując swoją prywatną zbrojownię.

Sprawdził stan świetlnego miecza i blastera, chociaż wiedział, że jedno i drugie nie wystarczy, kiedy Luke i Mara zaczną go ścigać za zabicie ich jedyne syna. Wyjął pudełko z różnymi truciznami i patogenami, które można było aplikować w strzałkach, i przejrzał inne rodzaje broni, które mogłyby pokonać jego najbardziej nieprzejednanych wrogów. Miał do dyspozycji istny arsenał: broń chemiczną, biologiczną i mechaniczną.

Chciał to już mieć za sobą.

Ale... kiedy pozbędzie się Bena, kto zostanie jego uczniem? Zanim w końcu zasnął, przyszło mu do głowy, że może dobrą kandydatką byłaby admirał Cha Niathal. Właśnie udowodniła, że doskonale rozumie zasadę rządzenia we dwoje.

Może to i lepiej, że nie umiała władać Mocą?

ROZDZIAŁ 15

Tu musi chodzić o coś więcej niż tylko o wojnę z chaosem i bezprawiem. Trzeba wypowiedzieć wojnę przyczynom chaosu i bezprawia... zachłanności, korupcji i ambicjom.

Jacen Solo, jeden z dwojga przywódców Galaktycznego Sojuszu, w przemówieniu wygłoszonym podczas lunchu do najważniejszych przedstawicieli coruskańskiego przemysłu

Mandalora, farma Beviina-Vasura

Mirta przyłożyła palec do ust i wszyscy czworo obstąpili drzwi, jakby zamierzali się wedrzeć do fortecy Fetta.

Mirta odwróciła się do Orade'a.

- Sprawdź - zaproponowała. Beviin mrugnął do niej, a Medrit spojrział jeszcze raz na wyświetlacz chronometru, jakby czas mu się kończył. - Jeżeli chcesz, możesz ukryć się za moimi plecami.

Orade przesunął nerwowo językiem po wargach.

- Cyar 'ika, kiedy Fett mówi, że połamię mi nogi, to tylko szuka pretekstu - powiedział.

- Jest umierający, Ghes, ale jeżeli komuś o tym piśniesz, sama połamię ci nogi - ostrzegła młoda kobieta.

Ghes Orade mógłby stawić czoło całej flocie okrętów Chissów, uzbrojony tylko we włócznię, a gdyby ktoś mu powiedział, że nie ma szans na przeżycie, tylko by się roześmiał. Tymczasem przerażało go to, co się działo z Fettem. Mirta zastanowiła się, czy wszystkie jej przyszłe znajomości nie są z góry skazane na klęskę tylko dlatego, że jest wnuczką Boby Fetta. Kiedy otworzyła drzwi stodoły - mieściła się w niej suszarnia - spojrzały na nią dwie pary oburzonych oczu.

- Co z nim wyprawiacie? - wybuchnęła. - Ma nawrót choroby czy coś gorszego?

Jej dziadek oddychał z wysiłkiem, jakby bardzo cierpiał. Zaciśnął pięści i przycisnął je do piersi. Miał twarz bladą jak ściana, a jego skóra wyglądała jak nawoskowana. Stała nad nim kobieta, której Mirta nigdy nie widziała. Nieznajoma unosiła pod światło dużą strzykawkę z grubą igłą i sprawdzała zawartość zbiorniczka. W szopie był także mężczyzna w różnobarwnym pancerzu. Stał zwrócony plecami do drzwi. Nie odwrócił się i nie spojrział na Mirtę.

- Jaing... dotrzymał obietnicy - powiedział z trudem Fett. - A może śmieje się w tej chwili, bo kazał mnie otruć. Zaraz się przekonamy.

- Istnieje mniej bolesny sposób wprowadzenia tego środka do organizmu, tyle że trwa to dłużej — odezwała się kobieta, pstrykając palcem w strzykawkę, żeby uwolnić uwięzione w niej bąbelki powietrza. - A w pańskim stanie, Mand'alor, nie ma czasu na zabawy. To powinno jak najszybciej trafić do pańskiego szpiku. Jeszcze dwa zastrzyki.

- No to do roboty. - Fett rozpiął koszulę. Mirta ze zdumieniem zauważyła, jak bardzo jej dziadek jest wychudzony. W kompletnym pancerzu wyglądał na zdrowego i silnego mężczyznę. Nic dziwnego, że nie chciał się pokazywać bez pancerza. - Czy to najlepsze, co Mandalora może mi zaoferować? Panią weterynarz, która spędza czas w pracy, umazana po łokcie w...

- Może mi pan wierzyć, że wolę leczyć nerfy - przerwała kobieta. - Proszę się nie ruszać, bo nie trafię i przebiję pana płuco... albo coś gorszego.

- Ile czasu to potrwa? - zapytał łowca nagród.

- Mand'alor, czy pan wie, gdzie jeszcze oprócz mostka można wstrzyknąć to lekarstwo?

- Proszę mnie poinformować.

- W kości miednicy.

Jak można było się spodziewać, Fett niczego po sobie nie pokazał. Spojrzał w bok i nie powiedział ani słowa. Wszyscy inni mogliby pomyśleć, że jest zirytowany niepożądaną przerwą w zajęciach, ale Mirta poznała go do tej pory na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jej dziadek cierpi straszliwy ból. Zdecydowała się na ryzyko, podeszła do niego i ścisnęła lekko za rękę. Fett odwzajemnił uścisk, tak mocno, że o mało nie połamał jej kości. Pani weterynarz wymierzyła igłę - tak grubą że Mirta zobaczyła otwór na jej końcu - i wbiła ją z całej siły w kość mostka, jakby przygotowywała nunę do opiekania.

Dało się słyszeć przyprawiające o mdłości chrupnięcie. Orade głośno przełknął ślinę.

- Jeżeli zamierzasz zasłabnąć albo zwymiotować, synu, lepiej zrób to na zewnątrz - poradziła mu z irytacją pani weterynarz.

- A jeżeli nic ci nie jest, poszukaj środków uśmierzających ból.

- Przeniosła spojrzenie na pacjenta. - Gdzie pan je trzyma? - zapytała.

- Niech pani da sobie z nimi spokój - burknął łowca nagród.

- Muszę tylko wiedzieć, czy nie robi mi pani krzywdy.

- Wszystko w porządku, Ba 'buir - szepnęła Mirta. - Wyzdrowiejesz.

- Jeżeli nie zabił mnie Sarlacc, jej na pewno się to nie uda. Pani weterynarz, złowieszczo się uśmiechając, umieściła igłę

w szklanej fiolce i zaczęła napełniać strzykawkę na nowo.

- To ostatni - zapowiedziała. - Proszę zamknąć oczy i pomyśleć o Mandalorze.

Mirta obejrzała się przez ramię na mężczyznę w pstrokatym pancerzu. Nieznajomy zdjął hełm.

- Chcemy mieć pewność, że nie umrze, zanim nie zrobi czegoś pożytecznego dla Manda 'yaima

- odezwał się mężczyzna. -

Jeżeli się uda, a powinno, za kilka dni pojawią się pierwsze oznaki powrotu do zdrowia.

Mirta doszła do wniosku, że nieznajomy jest bardzo podobny do Fetta i Jainga... uderzająco podobny. Kiffarska część jej umysłu, zwracająca uwagę na więzy krwi, podpowiedziała jej, że mężczyzna musi być jej krewniakiem. Klony rozproszyły się podczas wojny, więc Mirta miała prawdopodobnie znacznie więcej genetycznych krewnych, niż mogła przypuszczać.

Fett zmiażdżył jeszcze raz kości jej palców, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Pani weterynarz wyprostowała się i otworzyła butelkę z płynem o intensywnej woni, żeby odkazić dłoń.

- Zazwyczaj po zabiegu klepię moich pacjentów w zadek, żeby wybiegli na pastwisko -

oznajmiła. - W pana przypadku jednak pomnę tę procedurę, ale zasugeruję, żeby pan dzień czy dwa odpoczął. Proszę spodziewać się dużych sińców.

Fett podziękował jej kiwnięciem głowy, a kiedy kobieta wyszła, zapiął koszulę i spojrzał na Mirtę.

- Przywitaj się ze swoim wujkiem Venku - powiedział, wskazał zakutego w różnobarwny pancerz mężczyznę, który dotąd się nie przedstawił. - Jest znany także jako Kad'ika.

Wszystko zaczynało nabierać sensu. Kad'ika musiał być synem sklonowanego żołnierza. W

galaktyce żyło ich na pewno wielu i Mirta była ciekawa, ilu z nich umie się zachować w towarzystwie, a ilu jest obdarzonych poczuciem humoru. A może wszyscy byli podobni do Ba'buidl

- Robię dla jedności Mandalory tyle, ile mogę - odezwał się Venku, wkładając hełm, jakby pod spojrzeniem Mirty poczuł się nieswojo. - Niedobrze by się stało, gdyby Mand'alor odszedł, kiedy zaczynamy na nowo budować naszą potęgę.

Podszedł do Fetta, pochylił się nad nim i lekko przycisnął czubki dwóch palców do tyłki na jego szyi. Mirta już myślała, że dziadek rozplaszczy go na ścianie za ten gest, ale łowca nagród tylko spojrzał ciekawie na różnobarwne płytki beskar 'gama i bez słowa protestu poddał się badaniu.

- Tempo bicia twojego serca się zwiększa - odezwał się w końcu Venku. - Postaraj się odpocząć.

- Też mi lekarz polowy - prychnął Fett.

- Ta-a, niektórzy twierdzą, że umiem leczyć dotykiem. - Mirta uznała to za przechwałki.

Venku się wyprostował. - Jeżeli będziesz miał jakiegokolwiek problemy, daj znać ziomkom w barze Cikartana w mieście. Wiedzą, jak się ze mną skontaktować.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Kiedy przechodził obok Mirty, przystanął i dotknął

zawieszzonego na jej szyi kawałka ognistego serca. Widocznie nie przyszło mu do głowy, że może za to oberwać cios pięścią w szczękę.

- Ciekawe - zauważył.

Był ryzykantem i oportunistą... i zawsze dostawał to, czego potrzebował, nie wyłączając informacji. Mirta doszła do wniosku, że warto spróbować.

- To ogniste serce - oznajmiła. - Należało do mojej babci. Szukam stuprocentowego Kiffara, żeby pomógł mi odczytać wspomnienia zarejestrowane w tym klejnocie.

Venku znieruchomiał na chwilę.

- Mando 'ade przybywają ze wszystkich miejsc galaktyki - odezwał się w końcu. - Dam ci znać, jeżeli znajdę kogoś, kto da radę odczytać ten kamień.

Wyszedł z szopy.

Orade szturchnął Beviina.

- Na co czekasz? - zapytał. - Powiedz mu. Ta wiadomość go ucieszy... no dobrze, może nawet uszczęśliwi. A szczęśliwi ludzie szybciej powracają do zdrowia.

Fett zaczął zakładać pancerz.

- Co takiego ma mnie uszczęśliwić? - zapytał.

Beviin uśmiechnął się pogodnie, jakby właśnie skończył gromadzić zapasy na zimę i zjadł porządny posiłek.

- Yomaget ma coś, co chciałby ci pokazać - powiedział.

Łowca nagród mruknął z niezadowoleniem. Mirta nie знаła nikogo, kto okazywałby mniej emocji, ale jej dziadek był wyraźnie rozczarowany.

- Jego Bes 'uliik nadaje się do lotów w przestworzach, prawda? - zapytał.

- Diabli wzięli niespodziankę - zmartwił się Beviin.

- Liczą się dobre chęci. - Fett wstał i w jednej chwili zmienił się z umierającego Ba buira w nieprzejednanego i bezlitosnego łowcę nagród. Mimo to nie od razu ruszył do drzwi. Mirta się domyślała, że jej dziadek odczuwa skutki kuracji, ale nie zamierza się do tego przyznawać nawet w obecności ludzi, którzy dobrze wiedzą co mu dolega. - Gdzie on jest?

Mirta wskazała mu dach szopy i podsunęła ramię, żeby dziadek mógł się na nim oprzeć. Cały czas szukała powodu, żeby przestać go nienawidzić, i była gotowa szukać naprawdę głęboko.

Zdecydował, że mogłaby go nawet pokochać... za odwagę. Nic nie było go w stanie zaskoczyć ani powstrzymać i nic nie mogło go zmusić do uzalania się nad sobą.

Wyszli przed stodołę i czekali w milczeniu. Budynek wyglądał jak obskurna szopa, wzniesiona obok „Niewolnika 1”, który spoczywał poziomo w pobliżu.

Nagle sielską ciszę zakłócił basowy pomruk.

Fett uniósł głowę i zobaczył przelatujący po niebie matowy czarny klin, który zniknął za porośniętym lasem grzbieciem wzgórza. Mirta także straciła go z oczu, ale klin zawrócił, znieruchomiał pionowo w powietrzu mniej więcej dwieście metrów nad nimi i opadł powoli dzięki jednostkom zapewniającym siłę ciągu. Kiedy wylądował na tępo zakończonej sekcji ogonowej, z kadłuba wysunęły się podpory,

dzięki którym klin spoczął poziomo jak konwencjonalny myśliwiec. Owiewka kabiny się otworzyła i ze środka wygramolił się Yomaget. Ześlizgnął się po kadłubie na ziemię, a później odwrócił się, pochylił i złożył

pocałunek na matowym kadłubie.

- Cyar 'ika - przemówił do maszyny, czule gładząc dłonią matową powierzchnię. - Chyba jestem w nim zakochany.

- To miłe - stwierdził łowca nagród.

- Zasłużył na końcówkę uliik.

- Ta-a, widzę, że to bestia - przyznał Fett. - Czym się różni od tego, który mi pokazywałeś?

- Zastosowaliśmy mikronizowaną powłokę z beskara, Mand'alore - wyjaśnił Yomaget. -

Teraz to wytrzymały shabuir. Masz ochotę pokazać go Verpinom?

- Na pewno by się im spodobał.

- Jeżeli podzielę się z nami wiedzą na temat ultrasieci, może zmniejszymy ciężar kadłuba i udoskonalimy kształt rufy, żeby zachowywał się lepiej podczas lotów w atmosferze - stwierdził

Yomaget. - Gdybyśmy pokryli całość litym beskarem, myśliwiec stałby się niezniszczalny, ale ciężki.

- Zachowamy te ciężkie dla siebie - zdecydował Fett. - Może Verpinowie wymyślą jak poprawić spalanie.

- No cóż, jeżeli nie zamierzasz polecieć nim na spacer, ja to zrobię - odezwał się Medrit.

Wdrapał się na skrzydło i wślizgnął do kabiny. Wypełnił niemal całą wolną przestrzeń. - Shab, mandaloriańsko-verpiński myśliwiec szturmowy - powiedział. - Na pewno spędzi sen z powiek tym na Coruscant.

- Pod warunkiem że damy radę wystarczająco szybko wydobywać i przetwarzać rudę - dodał

łowca nagród.

Yomaget wyraźnie tryskał optymizmem.

- Możemy zwrócić się z prośbą do uczynnych insektoidów, żeby wypożyczyli nam orbitalną stocznnię albo dwie - powiedział.

- Porozmawiam z nimi - obiecał Fett. - W tej sprawie musimy planować długofalowo. Na tak wczesnym etapie naszej współpracy nie ma sensu przekazywać zbyt wiele gościom z Roche.

Medrit spędził następną godzinę, latając prototypowym Bes 'uliikiem nad okolicami Keldabe, zachwycony, że wszyscy mogą go obserwować. Yomaget rejestrował holokamerą jego akrobacje. Wyglądał na zadowolonego.

- Mogę przesłać te hologramy kilku osobom, które utrzymują z nami kontakty -

zapropomował. - Nie jesteśmy przesadnie skromni, prawda?

- A przy okazji wszyscy sobie przypomną że większość dorosłych Mandalorian umie pilotować gwiazdne myśliwce - zauważył łowca nagród. - To na początek.

Wrócił do stodoły z poważną miną ale Beviin odwrócił się do Mirty i przekrzywił głowę.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale twój dziadek jest zachwycony - powiedział.

Pewnie lepiej niż ona umiał oceniać jego nastroje. Mirta poczuła ulgę, kiedy usłyszała, jak Fett wypowiada słowa „na dłuższą metę”.

Czasy się zmieniały. Reszta galaktyki może i chciała się ro- zedrzeć na kawałki, ale po kilkunastu latach ponurej egzystencji sektor Mandalory - do którego zgodnie z nieco wcześniej zawartym traktatem należały, chociaż nieformalnie, okolice planety Roche - był oazą optymizmu. Tej nocy Mirta zobaczyła w pubie Oyu 'baat nowe twarze, a wszyscy goście aż ochrypli od śpiewania.

Mogłaby się do nich przyłączyć, gdyby na rożnie nad paleniskiem Oyu 'baata zamiast kawałka nerfiny piekł się morderca jej matki, Jacen Solo.

Coruscant, gmach Senatu

Jacen podleciał służbowym śmigaczem powietrznym do głównego wejścia gmachu Senatu.

Mógł się dostać do budynku jedną z wielu prywatnych platform, ale nie zamierzał wchodzić tylnym wejściem. Chętnie pokazywał się publicznie, dbając o swój wizerunek bohatera.

Przed drzwiami, przez które wpuszczano publiczność na galerie widokowe, zebrał się tłum obywateli. Przeważnie chcieli tylko obserwować codzienną pracę polityków, ale pomiędzy nich wmieszała się także niewielka grupa demonstrantów. Troje trzymało transparent z napisem

„Uwolnić Omasa”. Jacen wyczuwał w Mocy ich gniew, płonący jasno, chociaż podszyty niepewnością i strachem.

- Wyląduj tu - rozkazał pilotowi. - Resztę drogi pokonam pieszo.

- Będą panu dokuczali - ostrzegł Gran. - Mam obowiązek wylądować dopiero na pańskim piętrze.

- Mają prawo oglądać kogoś, kto nimi rządzi - odparł Solo. Nie wyczuwał, żeby ktoś z tłumu chciał mu wyrządzić krzywdę. - Rozmawianie z ludźmi na ogół sprzyja wyjaśnianiu nieporozumień.

Spodziewał się, że po przewrocie wybuchnie przynajmniej jeden masowy protest albo chociaż zamieszki, które trzeba będzie tłumić przy użyciu armatek wodnych czy gazu łzawiącego. Z

informacji zebranych przez funkcjonariuszy Wywiadu SGS wynikało, że działający wciąż jeszcze na Coruscant koreliańscy agenci starają się, jak mogą, aby do tego doprowadzić. Jacen nie mógł się nadziwić, że obywatele bez protestu pogodzili się ze zmianą władzy. Giełda zawiesiła wprawdzie działalność na kilka godzin, a akcje niektórych firm straciły albo zyskały na wartości, ale nikomu nie zabroniono przemieszczać się z miejsca na miejsce, sklepy były nadal pełne artykułów żywnościowych, programy HoloNetu nie zostały przerwane i cały czas wszyscy otrzymywali wynagrodzenie za swoją pracę.

Dla wszystkich - może z wyjątkiem Cala Omasa i prawników broniących swobód obywatelskich - rządząca junta wojskowa okazała się łaskawa i obiecywała, że okres jej rządów nie potrwa długo. W końcu trwała wojna, więc można się było tego spodziewać.

Powiniennem napisać książkę... poradnik, jak sięgać po władzę, pomyślał Jacen. Najlepiej uśmiechać się, udawać zakłopotanego i nie zabraniać nikomu podróžowania.

Tak wyglądała sytuacja na Coruscant. Obywatele pozostałych planet Galaktycznego Sojuszu zajmowali się nadal swoimi sprawami. Nikt im w tym nie przeszkadzał, więc też nikt nie spodziewał się z ich strony żadnych niespodzianek. Nie było potrzeby używania sił zbrojnych do utrzymywania porządku na tysiącach innych planet... nawet ich własnych okrętów i żołnierzy. Jacen i Niathal musieli się martwić wyłącznie o sytuację na Coruscant, bo pod względem politycznym i strategicznym to Coruscant była Galaktycznym Sojuszem... i odwrotnie.

Reszta Sojuszu się nie liczy, uświadomił sobie Solo. Jesteśmy jego sercem i umysłem.

- Dzień dobry - powiedział, podchodząc do demonstrantów. Popatrzyli na niego zdziwieni, jakby nie mogli uwierzyć, że to naprawdę on. Codziennie oglądali jego twarz w biuletynach informacyjnych HoloNetu, ale rozpoznanie go w tak niezwykłych okolicznościach nie było takie łatwe. Jacen wyciągnął do nich rękę, a jeden z mężczyzn nią potrząsnął. Istoty większości ras reagowały dobrze na takie dowody uprzejmości. - Chciałem tylko was zapewnić, że z uwagą i zrozumieniem wysłuchamy wyjaśnień pana Omasa, a później pozwolimy mu wrócić do domu.

Widocznie wykrzykujący hasła demonstranci bardziej się spodziewali usunięcia siłą przez osiłków CSB niż tego, że obiekt ich ataków zechce ich wysłuchać. Wyrozumiały uśmiech na twarzy Jacena zdezorientował ich i zaskoczył. Do grupy demonstrantów zbliżyło się kilku funkcjonariuszy CSB, prawdopodobnie spodziewając się kłopotów, ale Jacen wyperswadował

im interwencję, pomagając sobie Mocą. Policjanci przystanęli w odległości kilku metrów, żeby obserwować rozwój sytuacji.

Trzeba trafu, że po placu przed Senatem toczył się akurat reporterski android HoloNetu.

Zawsze przynajmniej jeden pełnił tu służbę, czekając na okazję do przekazania ciekawego materiału. Tym razem chodziło jednak o prawdziwą sensację. Jacen obserwował kątem oka, jak automat zbliża

się do nich.

- Nieważne, w jak piękne słówka pan to ubierze - odezwała się młoda kobieta trzymająca jeden koniec transparentu z napisem „Uwolnić Omasa”. - Galaktycznym Sojuszem rządzą w tej chwili naczelny dowódca sił zbrojnych i szef tajnej policji, a obywatele nie wybrali was na to stanowisko.

Jacen postarał się nadać rysom twarzy wyraz urażonej niewinności.

- Ma pani rację - powiedział. - Nie ubiegałem się o to stanowisko i właśnie dlatego nie zostanę jednym z przywódców Galaktycznego Sojuszu ani chwili dłużej, niż będę musiał. Chciałbym wam coś pokazać w gmachu Senatu.

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

- Szykuje pan dla nas jakąś niespodziankę? - zapytała.

Reporterski android znalazł się za plecami grupki demonstrantów. Jacen pomyślał, że czasami Moc podaje mu wszystko jak na tacy. Uświadomił sobie, że Lumiya mówiła prawdę. Musiał

tylko reagować, zamiast poddawać wszystko analizie.

- Jak pani chce - powiedział. - Chcę wam tylko pokazać, jak wygląda gabinet przywódcy Galaktycznego Sojuszu. A może ktoś inny zechce mi towarzyszyć?

Strażnicy senackiej służby bezpieczeństwa nie byli zachwyceni, ale Jacen zawsze dostawał to, czego chciał. Powiódł ociągających się demonstrantów, zwykłych obywateli i reporterskiego androida przez roziskrzony hol do kabiny turbowindy. Wjechali nią na poziom gabinetów najwyższych dostojników rządu, dokąd niemal nigdy nie wpuszczano publiczności.

Na widok nieoczekiwanych gości kilku urzędników w korytarzu zawróciło, żeby się zająć własnymi sprawami. Niathal prawdopodobnie zobaczyła nadchodzącego Jacena na ekranach monitorów kamer systemów bezpieczeństwa, bo wyszła na korytarz, przyciskając do piersi kilka komputerowych notesów. Solo powitał ją uśmiechem i podszedł do rzeźbionych dwuskrzydłowych drzwi gabinetu przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

Drzwi były zamknięte i opieczętowane jaskrawożółtą taśmą z symbolem CSB i napisem

„Wstęp surowo wzbroniony”. Napis odgrywał czysto dekoracyjną rolę, ale wywierał większe wrażenie niż niemożliwy do pokonania, ale niewidoczny zamek elektroniczny.

- Oto gabinet przywódcy Omasa - oznajmił Jacen nad głową reporterskiego androida HoloNetu. Cofnął się o krok, żeby kamera automatu mogła go lepiej objąć i pokazać, jak udziela szczerych wyjaśnień przypadkowej garstce wyborców. - To miejsce tylko dla wybranych mężów stanu. Do czasu wyboru następnego przywódcy ten gabinet pozostanie zapieczętowany. Jak widzicie, nie wprowadziliśmy się tam ani ja, ani pani admirał Niathal. Dla nas to sprawa dużej wagi.

W przypadku Kalamarian nigdy nie można było mieć pewności, czy patrzą na kogoś, czy przewracają

oczami ze zdumieniem. Prawdopodobnie jednak Niathal zdecydowała się na to drugie. Jacen wyczuwał, że bawi się jego kosztem.

Demonstranci mruczeili coś między sobą. Grzechem byłoby stracić taką okazję dla kamer środków masowego przekazu. Demonstranci chyba oniemieli, ale Jacen musiał się postarać, żeby nie wyglądali na poniżonych.

- Mam nadzieję, że was uspokoiiliśmy - powiedział. Ty także siedzisz w tym po samą szyję, pani admirał, pomyślał. - Teraz już wiecie, że zawsze możecie się do nas zwracać ze swoimi wątpliwościami. Musimy przestrzegać zasad demokracji nawet w trudnych sytuacjach.

Zdenerwowani strażnicy senackiej służby bezpieczeństwa, którzy cały czas im towarzyszyli, wyprowadzili demonstrantów na dwór. Protestujący wyglądali na dość zadowolonych, za to Niathal przewiercała Jacena spojrzeniem na wylot.

- Ostatnio widziałam coś równie oślizgłego, kiedy pękł zbiornik ze smarem na pokładzie

„Oceanu” - oznajmiła. - Cała zawartość rozprysnęła się po rufowych stanowiskach artylerii.

- Miałaś absolutną rację, kiedy wydałaś polecenie zapieczętowania tego gabinetu - przyznał

Solo. - Żadne z nas nie powinno go zajmować.

- Musimy dzielić się wszystkim, nawet odpowiedzialnością

- odparła Niathal.

- Ja też tak uważam - przyznał Solo.

- Może wygłosimy wspólnie przemówienie do przedstawicieli środków masowego przekazu, dobrze? - zaproponowała Ka-lamarianka. - Nie ma sensu stwarzać wrażenia, że popularność przewróciła ci w głowie, Jacenie. Obywatele mogą niewłaściwie zrozumieć motywy twojego postępowania.

- Jestem tu, żeby służyć galaktyce - odparł Jacen, święcie w to wierząc. - Nie wolno nie doceniać znaczenia uprzejmości.

- Może to się sprawdza na Coruscant, ale twój urok nie sięga daleko. - Niathal zachęciła go gestem, żeby podążył za nią

- Mam w gabinecie senatora G'Sila i Nav Ekhat, panią senator z Murkhany. Nasza nowa polityka natrafia na przeszkody.

Ekhat wyglądała na niewyspaną i zestresowaną. Nie czekając, aż Jacen usiądzie, zaczęła wygłaszać tyradę, którą przygotowała

o wiele wcześniej, zanim on i Niathal weszli do gabinetu.

- Wiem, że koncentrujecie swoje siły zbrojne w sektorze Ko- relii i Bothawui - oznajmiła, celując palcem w holomapę pośrodku konferencyjnego stołu. - Co to może dla nas oznaczać?

- Proszę powiedzieć, co panią tak bardzo niepokoi - odezwał się Jacen.

- Najnowszy traktat, jaki zawarli władcy planet Roche i Man- dalory.

- A pani uważa, że ten traktat stanowi dla was zagrożenie.

- Zważywszy na stan naszych stosunków, jak najbardziej - odparła pani senator. - Czy pan wie, że nie możemy dojść do porozumienia w sprawie rynków naszego eksportu?

G'Sil pochylił się nad stołem.

- Verpinowie oskarżają Murkhanę o kopiowanie niektórych najbardziej dochodowych systemów kierowania stanowiskami ognia, naruszanie ich patentów i sprzedawanie tanich podróbek, żeby zdestabilizować ich rynki zbytu - powiedział.

- Innymi słowy, Verpinowie nie lubią zdrowej konkurencji - stwierdziła Ekhat. - A teraz podpisali z Mandalorą pakt o wzajemnej pomocy i technicznej współpracy. Powstaje spółka robali

1 zbirów.

Niathal poruszyła się niespokojnie w fotelu i Jacen wyczuł jej irytację. Ktoś, kto określał

Verpinów pogardliwym mianem robali, z pewnością nazywał Kalamarian rybami.

- Czy obawia się pani, że ten sojusz bezpośrednio zagrozi waszemu bezpieczeństwu? - zapytał

Solo. - Jeżeli Verpinowie się naprawdę zdenerwują, mają dość wojskowego żelastwa, żeby dać temu wyraz bez potrzeby wzywania na pomoc kumpli z Keldabe.

- Verpinowie może i produkują to żelastwo, ale rzadko je wykorzystują - przypomniała Murkhanka. - W przeciwieństwie do nich Mandalorianie uważają wojny za coś w rodzaju narodowego sportu.

- A więc chodzi wam o mandaloriańskie żelazo, tak? - Niathal zamierzała wytłumaczyć Ekhat, że Murkhana jest zdana na własne siły. Po uwadze na temat „robali” zrobiłaby to z satysfakcją.

- I o to, że Verpinowie chcą wytwarzać na licencji udoskonalone systemy uzbrojenia i okręty.

- Nie, im zależy także na mandaloriańskiej ochronie - sprzeciwiła się Ekhat.

- Dlaczego? - Jacen nie mógł sobie wyobrazić, żeby Murkhana mogła zaatakować planetę Roche.

- Obawiają się, że walki na planecie Kem Stor Ai mogą się przenieść na ich terytorium, a oni są łakomym kąskiem, który może się okazać kuszący dla walczących stron.

- Nie rozumiem, jaki to może mieć związek - powiedział Solo.

- Mandaloriańskiej ochronie towarzyszy zazwyczaj ekspansja, panie pułkowniku - wyjaśniła Murkhanka. - Musimy się liczyć z tym, że kiedy pokonają Kemów, złożą nam... dyscyplinującą wizytę.

Niathal wstała i obchodząc stół, przyglądała się holomapie pod różnymi kątami.

- Czy naruszacie verpińskie patenty? - zapytała nagle prosto z mostu.

- My tak nie uważamy - obruszyła się pani senator. - Przyznaję jednak, że nasze produkty są...
bardzo podobne do siebie.

- Widzi pani, nie jestem pewna, czy dobrze jest kierować wojsko do rozwiązywania sporów natury handlowej - zaczęła Kalamarianka. - Ta wojna ma uświadomić planetom członkowskim, że powinny używać swoich sił i środków do obrony całego Sojuszu. Przywódca Galaktycznego Sojuszu zamierzał zrezygnować z tej zasady... i już nie jest przywódcą.

- Jesteśmy częścią Sojuszu i spodziewamy się wsparcia, kiedy zostaniemy zaatakowani.

- Roche to neutralna planeta - przypomniał Jacen. - Gdyby was napadnięto, będziemy musieli dokonać oceny sytuacji, ale moim zdaniem sprawa powinna trafić najpierw do ponadplanetarnych trybunałów cywilnych.

- Rozumiem. Chcecie powiedzieć, że jesteśmy zdani na własne siły.

Jacen postanowił tego dnia odgrywać rolę dobrego policjanta, bo Niathal świetnie wypadła jako ten zły.

- Moim zdaniem powinniście spróbować rozwiązać ten spór w jakiś inny sposób.

Pobrzękiwanie szabelką nic nie da - powiedział. - Ale... - Urwał, bo pomyślał o rozmowach na temat nowego mandaloriańskiego myśliwca szturmowego. Sprawa była ciekawa sama w sobie.

Gdyby taka maszyna powstała we współpracy z Verpinami, Galaktyczny Sojusz musiałby wiedzieć, do czego jest zdolna. Postanowił zrobić Niathal na złość. - Ale może dzięki obecności eskadry albo chociaż fregaty Galaktycznego Sojuszu władze planety Roche stałyby się bardziej skłonne do negocjacji.

Niathal bardzo powoli odwróciła głowę i wbiła spojrzenie w Jacena. Solo wiedział, na jakie ryzyko się decyduje.

- Jeżeli będziemy mieli wolne siły i środki, rozważymy taką możliwość - powiedziała powoli.

- Władze planety Roche ostrzegły nas, że podejmą bezpośrednie kroki, jeżeli nie zaprzestaniemy wytwarzania spornych produktów. - Ekhat obrzuciła całą trójkę wyzywającym spojrzeniem, jakby

provokowała ich do zaprzeczenia. Wstała i sięgnęła po teczkę z dokumentami. - Zdecydujcie się więc, i to jak najszybciej, bo inaczej stracie kolejną planetę Rubieży... i nie mam tu na myśli rezygnacji.

G'Sil odprowadził Ekhat spojrzeniem i wzruszył ramionami.

- Słyszałem, że w obawie przed Mandalorianami małe planety miały się chronić pod nasze skrzydła, Cha - powiedział.

- Chroniły się - przypomniała Niathal. - I właśnie na tym polega cały problem. Gdybyśmy wysyłali gwiazdny niszczyciel za każdym razem, kiedy któraś z planet ma lokalny zatarg z sąsiadem, uruchomilibyśmy lawinę, która zresztą już zaczęła się toczyć. Nasza polityka powinna polegać na dyscyplinowaniu planet, których władcy nie chcą postępować zgodnie z regułami Galaktycznego Sojuszu. Inaczej przez kilka następnych dziesięcioleci będziemy musieli gasić pożary wybuchające w różnych miejscach galaktyki. - Jacen był przygotowany na taką reakcję. - A pan, pułkowniku Solo, nie ma prawa dysponować siłami i środkami samowolnie, bez wcześniejszego omówienia tego ze mną.

- Niczym nie dysponowałem - przypomniał Jacen. - Po prostu wyjaśniłem sytuację.

- Na wydanie takiego oświadczenia także nie wyraziłam zgody - stwierdziła pani admirał.

- Czy nie byłoby dobrze pod byle pretekstem polecieć na Rubieże i obejrzeć sobie te nowe mandaloriańskie myśliwce? - zapytał Jacen.

- Jeżeli do tej pory jakiegokolwiek skonstruowali - mruknęła Niathal.

- Moim zdaniem powinniśmy wysłać tam chociaż klucz, jeżeli nie stać nas na skierowanie całej eskadry - oznajmił Solo.

- Gdybyśmy wycofali jedną z fregat z przestworzy Bothawui, jej dowódca mógłby bez kłopotu dotrzeć w okolice Murkhany.

- Na pewno chcesz provokować Mandalorę? - zapytał G'Sil.

- Miałoby to dodatkowy wymiar osobisty, a nie chcemy, żeby zemsta Fetta rozciągnęła się na pozostałe planety Galaktycznego Sojuszu. Prawdę mówiąc, jego neutralność jest nam bardzo na rękę.

- Wiem doskonale, że Fett nie zniknął ani nie zapomniał o swojej córce - odparł Jacen. - Jest jednak o wiele za mądry, żeby tracić żołnierzy na wyrównywanie osobistych porachunków.

Mandalora zawsze stanowiła problem i miało tak być nadal. Nie była na tyle duża, aby stać się galaktycznym zagrożeniem, ale zarazem nie aż tak mała, żeby ją lekceważyć... albo wyeliminować.

Mam wypowiedzieć wojnę chaosowi i przyczynom chaosu, przypomniał sobie Solo.

Mandalora wywierała niszczycielski wpływ także dlatego, że była pojedynczym elementem we wszechświecie. Cały świat był binarny, dwubiegunowy, rządony dzięki równowadze między

skrajnościami, takimi jak ciemność i jasność czy akcja i reakcja. Mandalorianie destabilizowali ten uporządkowany układ.

- Jesteś jeszcze z nami, Jacenie? - zapytał G'Sil. - Wyglądasz na roztargnionego.

- Tylko marzyłem, jak dobrze by było, żeby Mandalorianie zniknęli - odparł Solo.

- Możesz im zapłacić, żeby pozostali w domu - zaproponowała Niathal, zbierając komputerowe notesy i szykując się do wyjścia. - To jedyne trwałe rozwiązanie. Mogą sobie od czasu do czasu powalczyć między sobą w celach terapeutycznych. - Ruszyła do drzwi. - Mam teraz odprawę z dowódcami floty. Szkoda, że nie możemy po prostu zapytać Fetta, czy może nie zmienił zdania i czy w dalszym ciągu zamierza trzymać się z daleka od tego konfliktu.

- Myślisz, że przyjęliby zapłatę? To byłaby ujma dla ich honoru - powiedział Jacen.

- Moim zdaniem nie - stwierdziła pani admirał. - Mandalorianie uznają że to zapłata za ochronę. To pragmatycy.

- Jaka szkoda, że każdej wojny nie można zakończyć takim prostym, ekonomicznym sposobem - westchnął Solo.

G'Sil uśmiechnął się ponuro.

- Większość wojen wybucha z powodów ekonomicznych - powiedział.

- Ale nie ta - zaproponował Jacen. - W tej wojnie chodzi o porządek i odpowiedzialność.

Niathal i G'Sil spojrzeli po sobie, ale nie skomentowali jego słów. Mimo to Jacen wiedział, że uważają go za dziwaka, który nie opanował reguł gry politycznej na najwyższym szczeblu. Tak czy owak, z ich reakcji wynikało, że Jacen nie gra w ich drużynie. No cóż, mieli rację.

Wszystko toczyło się zbyt gładko. Nikt nie wszczął zamieszek, nikt nawet nie zaprotestował, może z wyjątkiem niektórych przedstawicieli zarządzanych przez mniejszości środków przekazu, osób ze środowisk prawniczych i organizacji walczących o prawa indywidualnych obywateli. Jeżeli jednak nie liczyć powszechnego analizowania sposobu sprawowania władzy przez Omasa - zupełnie jakby Alderaanin już nie żył - znakomita większość Coruscan zareagowała na wojskowy przewrót, jakby Omas po prostu odszedł.

Wszystko wskazywało na to, że opinia publiczna pogodziła się ze zmianą władzy tylko dlatego, że w przewrocie brał udział Jedi.

- Spodziewałem się, że w tym tygodniu będą walki na barykadach - stwierdził Jacen. - Jak nam się udało z tego wybrnąć?

- Nie przeszkadziliśmy obywatelom w prowadzeniu normalnego życia - odpowiedział G'Sil, nie wiedząc czemu używając liczby mnogiej. - Nie usunęliśmy ze stanowiska żadnego innego polityka. Zmienili się tylko ci, którzy stali na samym szczycie władzy.

Porządek. W tym wszystkim chodzi o porządek, uświadomił sobie Jacen. To fundament całej galaktyki. To generalna próba dla mojej przyszłej władzy. Spokój i normalizacja dla większości.

Obawiał się tylko, że obecna sytuacja może okazać się ciszą przed burzą. Pomyślał o Tenel Ka i o Allanie. Pod wpływem impulsu postanowił je odwiedzić, dopóki jeszcze może. Lumiya mu radziła, żeby wsłuchiwał się w takie podszepty, zamiast się zastanawiać albo zamartwiać, jak każdy zwykły człowiek.

- Chciałbym się oderwać od obowiązków na czterdzieści osiem godzin - powiedział. - Nadrobić różne zaległości. Czy mogę wam zaufać, że nie wygryziecie mnie podczas mojej nieobecności?

Niathal nie wydawała się rozbawiona.

- Kiedy wrócisz, za twoim biurkiem będzie siedział Boba Fett. No, ale jeżeli musisz lecieć... nie ma rady.

- Ufam ci bez zastrzeżeń - stwierdził Jacen. Wierzył, że Niathal nie zrobi głupstwa. Liczył też na to, że kiedy wyprawi się na Hapes, nad rozwojem sytuacji będzie czuwała Lumiya.

Boba Fett... Był jak topór, który może opaść w każdej chwili. Myśl ta wprawdzie nie spędzała mu snu z powiek, ale zaczynała go niepokoić świadomość, że łowca nagród tak długo zwleka z zemstą. Jacen postanowił umieścić Mandalorian na liście problemów, dla których poszuka rozwiązania, kiedy zostanie Lordem Sithów. Już Vader miał z nimi kłopoty, więc Jacen nie wątpił, że też będzie się musiał z tym uporać.

To także było jego przeznaczeniem.

Dralia, system koreliański, Uzdrowisko Świetliste Ogrody

- Czy to znaczy, że nadal nie macie nowego premiera? - zapytała Mara.

- Przylatując tu, zdecydowałaś się na duże ryzyko - zauważyła Leia. - A co do Korelii... rządzi nią triumwirat złożony z przywódców trzech głównych partii. Sytuacja taka potrwa, dopóki nie znajdą innego celu... przepraszam, chciałam powiedzieć kandydata. Dwóch zabitych szefów rządu w ciągu zaledwie kilku miesięcy... coś takiego odstrasza wielu chętnych.

- No cóż, słyniemy ze skuteczności - stwierdziła Mara. - Galaktycznym Sojuszem rządzą tylko dwie osoby.

- To bardzo w stylu Sithów — zauważyła księżniczka.

Mara o mało się nie zakrztusiła. Odpowiedź jej rozmówczynie wcale nie miała być dowcipna.

Czyżby Leia coś wiedziała?

- Maro, nic ci nie jest?

- Chyba po spotkaniu z Lumią nabawiłam się alergii na słowo „Sith”. - Mara przewiązała wstążką długie włosy i wyglądała jak każda inna kobieta w średnim wieku, zachwycona, że może odpoczywać w kurorcie z przyjaciółką. Obie panie spacerowały pod kolumnadą otaczającą luksusowe sklepy i salony piękności.

Mara nie mogła uwierzyć, że inni mogą żyć normalnie, podczas gdy ona sama - i wiele bliskich jej osób - uwikłała się w wojenny zamęt. Zaczynała uważać normalność za coś nieprzyzwoitego. - Musiałam się z tobą zobaczyć, żeby porozmawiać w cztery oczy. Jacen mógłby cię aresztować, gdybyś postawiła stopę na Coruscant. Wiesz, że by się przed tym nie zawahał. Gdzie jest Han?

- Poleciał z Landem załatwić jakąś sprawę - odparła Leia. - A gdzie Luke? Rozmawiamy jak dwie dziewczyny, więc nie krępuj się.

Mara doszła do wniosku, że stać ją na szczerość. Miała wszystkie dowody, jakich potrzebowała, ale przecież tu chodziło o syna Leii. Księżniczka już wcześniej straciła Anakina, więc Mara musiała być absolutnie, całkowicie pewna swoich racji.

- Chodzi o Jacena - powiedziała.

- Jak zawsze - mruknęła Leia.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

- Najlepiej prosto z mostu.

- Wymknął się spod kontroli. Całkowicie.

- Uhm. To dla nas duże wyzwanie. Trudno śledzić poczynania jedyne go syna, oglądając w holowiadomościach, jak sięga po władzę.

- Jak przyjmuje to Han?

- Mówiąc delikatnie, nie najlepiej - odparła Leia. - Zastanawia się, czy się go znów nie wyprzeć, czy też lepiej będzie się z nim spotkać i przemówić mu do rozumu. Wiesz, czasami wydaje mi się, że to go zabije.

Mara stwierdziła, że nie zależy jej, by potwierdzić winę Jacena. Chciała znaleźć jakikolwiek dowód, że to sprawka Lumii i że kiedy usunie ją z drogi, Jacen stanie się znów sobą.

Nikt nie wiedział, co mu się przydarzyło w ciągu tamtego pięcioletniego „urlopu”. A przecież to był powód, że nie pozostało w nim z dawnego Jacena chyba nic, co nadawałoby się do odzyskania.

Czy gdyby to nie chodziło o mojego siostrzeńca i syna Leii, też bym się starała znaleźć pretekst, żeby go oszczędzić? - zadała sobie pytanie Mara.

Doszła do wniosku, że nie o to chodzi.

- Dobrze się czujesz, Maro?

Leia była jedną z kilku osób, które Mara szczerze podziwiała. Oprócz niej i Luke'a nie znała nikogo, kto - bez względu na

okoliczności - nigdy by się nie załamał. Mimo to nie mogła się przemóc, żeby przedstawić Leii pełną listę zbrodni jej syna.

Bo to były zbrodnie. Nie można tego określić innym słowem.

- Zamierzam cię o coś zapytać, Leio, ale zrozumieć, jeżeli później nie zechcesz się do mnie odzywać - zaczęła w końcu.

- To nie jest żart, prawda? - chciała wiedzieć księżniczka. - Mówisz poważnie?

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

- No to przejdź do rzeczy.

- Dobrze. Czy według ciebie Jacen jest wystarczająco podatny, aby poddać się władzy Lumii?

Powinłam była najpierw przedstawić jej całą listę, zreflektowała się mistrzyni Jedi. Trzeba było jej powiedzieć o Nelani,

o tym, jak zmusił Bena do zabicia Gejjena i o pogawędce Jacena z kobietą-Sithem. Powinłam także uświadomić Leię, że zdaniem Jacena mój syn może zostać spisany na straty.

A uczeń... O jakim uczniu wspomniała Lumiya? Mara mogła dojść tylko do jednego wniosku.

Była wściekła na siebie za to, że nie chciała dostrzec tego wcześniej.

- Uważam, że nie - odezwała się w końcu Leia. - Jacen jest uparty i nie słucha nikogo oprócz siebie. Lumiya mogła go namówić do zrobienia czegoś, przed czym się wzdragał, ale nie mogłaby go zmusić do postąpienia wbrew jego własnej woli. Pogodziłam się z tym. W końcu Jacen jest moim synem, a ja go nadal kocham.

To była ostatnia rzecz, jaką Mara chciała usłyszeć. Wolałaby się dowiedzieć, że Jacen po prostu wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, chociaż w głębi serca pozostaje dobrym chłopcem. Chciałaby znaleźć powód, żeby dogonić złą Lumię i ocalić zwiedzionego Jacena, bo wówczas wszystko byłoby proste. Czarne

i białe. Lekkostrawne.

Rzeczywistość wyglądała jednak zupełnie inaczej.

Nie wahałaby się, gdyby to nie dotyczyło jej rodziny. Zastanowiła się, czy potrafi „w tym”

zachować bezstronność. „To” nie miało jeszcze nazwy ani definicji, ale dzięki „temu”

największe niebezpieczeństwo groziło jej synowi. Mam wybór: mój syn albo twój, doszła do wniosku mistrzyni Jedi. Jako matka wiedziała, kto jest dla niej ważniejszy. Zamierzała ocalić swojego syna, wykorzystując postępowanie Jacena jako usprawiedliwienie do podjęcia przeciwko niemu niezbędnych kroków.

Usiłowała sobie wyobrazić, jak by się poczuła, gdyby Ben zginął. Mogła niegdyś powstrzymać Palpatine'a, ale tego nie zrobiła. Historia dała jej nauczkę i nie zamierzała jej dawać drugiej okazji. To, co się działo z Benem, mogło się zdarzyć także synom innych matek.

- Maro, moim zdaniem powinnaś spędzić kilka dni w łóżku po walce z Lumią - odezwała się Leia, ujmując ją pod rękę. - Nie jesteś sobą. Poszukajmy wściekle drogiej restauracji i zapomnijmy o kaloriach. Odprężmy się na kilka godzin, bo ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie umiem żyć cały czas z podwyższonym poziomem adrenaliny i w ciągłym lęku.

Leio, strasznie mi przykro, pomyślała Mara. Zamierzam powstrzymać Jacena. A żeby to zrobić, muszę go zabić. To jedyny sposób.

- Dobrze, ale to ja cię zapraszam.

- Zgoda.

Mara była w głębi ducha przerażona, że w ogóle mogła o tym pomyśleć. Z drugiej strony...

wiedziała, że właśnie tak bywa, kiedy się zapomina, że wszelkie czyny osób władających Mocą nie są ich prywatną sprawą, że mogą wstrząsnąć całą galaktyką. Nie mogło tu być mowy o małych stawkach.

- Lubię „Fontannę” - zaproponowała księżniczka. - Podają tam deser zwany owocową górą.

Potrzeba dwóch głodnych kobiet, żeby się z nim zmierzyć.

- Brzmi zachęcająco.

Znalazły się w baśniowym świecie. Usiadły po przeciwnych stronach stolika z niebiesko-białego drewna diya, przy opalizujących przezroczystych nakryciach. Na stoliku między nimi stała piramida różnobarwnych owoców, zlepionych złocistą watą cukrową i posypanych prawdziwym śniegiem o zapachu owoców cytrusowych. Kiedy obie zaatakowały deser, Mara pochwyciła spojrzenie Leii i przeżyła chwilę prawdziwej grozy, która miała pozostać na zawsze w jej podświadomości. Leia się uśmiechnęła z bezgranicznym współczuciem i Mara zrozumiała, że księżniczka nigdy nie zrozumie innej prawdy oprócz swojej. Poczuli się jak szmata. Znienawidziła siebie.

Musisz wiedzieć, Leio, że nie możesz zrobić nic, absolutnie nic dla ocalenia Jacena, pomyślała.

Musiała jednak spróbować jeszcze jeden, ostami raz. Jeżeli ktokolwiek mógł powstrzymać młodego Solo przed przekroczeniem tej granicy - a przynajmniej ostatecznej granicy - tym kimś była ona, bo

kiedyś przekroczyła ją z przeciwnej strony. Nie sądziła wprawdzie, żeby mogło jej się udać, ale była to winna Leii... i Hanowi.

Zamierzała im zabrać Jacena, chociaż już stracili Anakina. Wiedziała przy tym, że istnieje granica bólu, który mogliby znieść jako rodzina.

ROZDZIAŁ 16

Rząd Bothawui jest gotów płacić dwadzieścia milionów kredytów miesięcznie za wyłączne usługi mandaloriańskiej floty szturmowej i piechoty. Jesteśmy także bardzo zainteresowani zakupem eskadry szturmowych myśliwców Bes'uliik i zgadzamy się zapłacić podwójnie, żeby uzyskać wyłączne prawa do zakupu tych maszyn.

oficjalna oferta złożona władzom Mandalory

Coruscant, kuluary Senatu

- Jesteś - odezwała się Mara, zastępując drogę Jacenowi, który właśnie wyszedł z kabiny turbowindy. - Cieszę się, że cię złapałam.

Młody mężczyzna był kompletnie zaskoczony, co sprawiło jej ogromną satysfakcję.

Najwyraźniej nie wyczuł jej obecności, kiedy mogło to dla niego mieć znaczenie. Dzięki, Benie, pomyślała Mara. Sprytna sztuczka.

- Cześć, ciociu Maro - powiedział w końcu Jacen. - Co mogę dla ciebie zrobić? - Zawahał się leciutko, ale zachowywał się tak, jakby naprawdę chciał poświęcić kilka chwil na rozmowę z nią, lecz wzywają go obowiązki. Co za aktor, pomyślała mistrzyni Jedi. Ona także umiała grać, ale to nie była odpowiednia pora. - Chętnie zaprosiłbym cię na drinka, ale jest późno, a ja jutro z samego rana mam umówione spotkanie. Czy nie moglibyśmy się spotkać kiedyś, kiedy nie będę tak zajęty? Powiedzmy, za kilka dni?

- To nie potrwa długo, Jacenie - zapewniła go Mara. - A sprawa jest pilna.

Tym razem ona postawiła na swoim - zastąpiła mu drogę. Gdyby Jacen chciał ruszyć dalej, musiałby ją ominąć. Mara wiedziała, że siostrzeniec wstydziłby się zachować tak ostentacyjnie nieuprzejmie, a przynajmniej wobec niej, bo nie chciał wzbudzać jej podejrzeń.

Za późno, pomyślała Mara. Już to zrobiłeś, Jacenie. Tylko przez wzgląd na Leię i na Hana chcę podjąć jeszcze jedną próbę.

- Dobrze - odezwał się w końcu Solo. Było bardzo niepokojące, kiedy rycerz Jedi - prawdę mówiąc, ktokolwiek - nie manifestował swojej obecności w Mocy. To tak, jakby się stało obok kogoś, kto nie oddycha ani nie ma pulsu... kto po prostu nie żyje. To się Marze nie mogło podobać i budziło w niej silny odruch sprzeciwu, jak każde inne niestosowne zachowanie.

Osoba ukrywająca się w Mocy sprawiała wrażenie, jakby była winna i chciała zachować coś w

tajemnicy. Mara uważała, że gdyby Yuuzhan Vongowie byli najmilszymi istotami we wszechświecie, nie ufałaby im tylko dlatego, że nie pojawiali się w Mocy, zupełnie jakby nie żyli.

Zaprowadziła Jacena do pobliskiej niszy. Nie zamierzała robić mu wymówek na środku holu, gdzie wszyscy mogli ich widzieć i słyszeć. Byłby to błąd psychologiczny. Z drugiej strony, zapędzony w głąb niszy tyłem do ściany, Jacen mógłby się poczuć osaczony. Tak czy owak, Mara zamierzała go zmusić do jakiejś reakcji. Była od niego gorsza we władaniu Mocą ale jako kobieta знаła inne sztuczki, które chociaż trochę wyrównywały jej szanse.

- Nie będziesz mnie już dłużej oszukiwał - zaczęła.

Jacen uśmiechnął się jak skruszony chłopczyk.

- Co takiego przeszkrobałem? - zapytał.

- Pamiętasz jeszcze, kim jestem?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ciociu Maro...

- O Lumię - przerwała mistrzyni Jedi. - To musi się skończyć, i to zaraz. Stałeś się przewrotnym człowiekiem, a jesteś o wiele za mądry, żeby dać się wodzić za nos nawet komuś takiemu jak ona. Przeszedłeś na ciemną stronę. Byłam po obu stronach, więc widzę, na co się zanosisz.

- No cóż, nadal nie wiem, o co ci chodzi. Naprawdę nie wiem.

- Zła odpowiedź. Wcześniej czy później rozprawię się z Lumią, ale wiem, co zrobiłeś, i nie dam się przekonać, że za każdym razem to wina twoich biednych rodziców. Zamierzam wystawić cię na próbę.

- Maro, na pewno nic ci nie jest? - zapytał Jacen. - Dobrze się czujesz?

- Nawet nie myśl, żeby próbować ze mną swoich sztuczek - warknęła mistrzyni Jedi. - Jeżeli się przyznasz do wszystkich okropnych czynów, jakie popełniłeś, i jeśli pozostało w tobie jeszcze coś z syna Leii, natychmiast pójdziesz ze mną do Świątyni. Zbierzemy całą Radę i zastanowimy się, jak cię zawrócić ze złej drogi.

Jacen wsadził ręce do kieszeni i wbił spojrzenie w posadzkę. Cały czas miał na twarzy zakłopotany uśmiech, ale jego oczy zaczynały poważnieć.

- Maro - zaczął tak protekcyjnym tonem, że mistrzyni Jedi miała ochotę go spoliczkować. -

Maro, chyba zapominasz, że jestem w tej chwili jednym z dwojga przywódców Galaktycznego Sojuszu. Nie mam czasu na emocjonalne zwierzenia, ale bez względu na to, co powiedział ci Ben...

Z każdą chwilą osuwał się coraz głębiej w przepaść, którą sam wykopał. Mara miała cień nadziei, że siostrzeniec się zreflektuje, ale widocznie była głupia. I to od początku, kiedy nie chciała uwierzyć, że Solo ześlizguje się w objęcia ciemnej strony.

- Nie mówmy o moim synku, Jacenie - powiedziała i wymierzyła wskazujący palec w jego pierś. - Zostaw go w spokoju. Jeżeli tylko zbliżysz się do Bena, obedrę cię żywcem ze skóry.

Dosłownie. Masz ostatnią okazję. Daj sobie spokój z Sithami albo przygotuj się na to, co cię czeka.

Naprawdę mówiła o Sithah. Jacen przestał się uśmiechać i zaczął wyglądać jak ktoś obcy.

Mara przypomniała sobie, że Imperatorowi z czasem zżółkły oczy. Podobno za młodu miał

ujmującą twarz i normalne, niebieskie oczy. Gdyby w obecnej chwili oczy Jacena przybrały żółtą barwę, młody mężczyzna nie wyglądałby bardziej obco. W jego twarzy była wybujała ambicja, nieczułość i arogancja.

- Dobranoc, ciociu Maro - powiedział, wyminął ją i odszedł.

Mara nie odprowadziła go spojrzeniem. Nie musiała.

To wszystko twoja wina, dziewczyno, pomyślała. Powinnaś była słuchać, co mówił Luke.

Powstrzymałaś go od działania, chociaż to on nie dał się zwieść słodkim słówkom siostrzeńca.

Nie potrafiłaś sobie poradzić z kilkunastoletnim chłopcem, co powinna umieć każda matka.

Teraz sama posprzątaj to bagno.

- W porządku, kolego - powiedziała, nie przejmując się tym, że patrzy na nią para senatorów rasy Bith. - W porządku.

Musiała zrobić kilka rzeczy, przed którymi nie mogła się cofnąć, nawet gdyby miały rozedrzeć jej rodzinę. To i tak mniejsze zło, pomyślała. Rozdarcia z czasem się goją śmiertelne ciosy nigdy.

Jacen miał umrzeć.

Coruscant, apartamentowiec Jacena Solo

Lumiya nigdy nie miała problemów z czekaniem na odpowiednią chwilę, ale jej zdaniem Jacen poświęcał zbyt wiele czasu swojej nudnej nowej zabawce - rządzeniu Galaktycznym Sojuszem. Instynkt podpowiadał jej, że niespokojna Moc spodziewa się zmiany.

Minęła północ, a jej podopieczny wciąż jeszcze nie wrócił do domu.

Jacen jest człowiekiem z krwi i kości, pomyślała Lady Sithów. A ciało i krew zawsze odwracają uwagę od rzeczy zasadniczych. Im więcej ciała się poświęci, tym łatwiej się wydostać z jego ograniczeń. Więc dlaczego nie mogę osiągnąć tego, co Jacen? - zastanowiła się. - Idealna równowaga: siła zrodzona z pasji, ale nieograniczona przez sentymenty.

Lumiya czekała przed apartamentowcem Jacena. Świadoma późnej pory, czuła bliskość przewrotu,

podobną do naelektryzowanego powietrza przed gwałtowną burzą.

Była pewna, że Jacen już wkrótce zostanie Lordem Sithów. Tempo wydarzeń i łatwość, z jaką jedne następowały po drugich, dowodziły przyspieszenia w wypełnianiu się proroctw plecionek kitki.

„Unieśmiertelni swoją miłość”, przypomniała sobie.

Nie spędzała już długich, pełnych frustracji godzin, zastanawiając się nad znaczeniem przepowiedni. Proroctwo miało się spełnić, a wówczas wszystko stanie się oczywiste.

Jacen chyba nie był taki, jak się spodziewała. Miał nawyk ukrywania się w Mocy, tak że Lumiya nie potrafiła go odnaleźć. Wjechała na górę do jego apartamentu, pokonała system bezpieczeństwa i postanowiła na niego zaczekać. Jej zdaniem Jacen powinien się skupić na duchowej stronie swoich postępów i pozostawić Niathal aspekty materialne. Dopiero kiedy osiągnie swoje przeznaczenie, będzie mógł się znów zająć sprawami wojskowymi. Będzie wtedy o tyle mądrzejszy niż Niathal, że potrafi zmienić koleje tej wojny.

Najpierw jednak sprawy najważniejsze, powiedziała sobie.

Niemal się spodziewała, że przez drzwi wejdzie Ben Skywalker. W apartamencie Jacena zostały jego ubrania i rzeczy osobiste, ale chłopak zniknął. Potwierdziła się opinia Lumii, że jest zbyt miękki, żeby wytrwać w dążeniu do celu. Skoro po wykonaniu każdego koniecznego, chociaż nieprzyjemnego zadania musiał się wypłakać, zasługiwał na to, aby Jacen go poświęcił.

Ben był za słaby na ucznia Jacena. Lord Sithów mógł skutecznie działać tylko wówczas, kiedy miał silnego ucznia. Podobnie jak dobra władza, Sith potrzebował silnego przeciwnika, który pozwoliłby mu zachowywać czujność.

W końcu drzwi się otworzyły i na progu stanął Jacen. Najwyraźniej nie ucieszył się na jej widok. Przyciskał ręką do boku jakieś zawiniątko. Lumiya wyczuła wokół swojego podopiecznego jakieś zakłócenia Mocy, jakby stoczył walkę albo uległ wypadkowi.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nic takiego... mała sprzeczka z Marą na temat Bena - wyjaśnił Solo. - Niech mnie Moc chroni przed nadopiekuńczymi matkami.

- No cóż, może miała rację - odparła Lumiya. - Nadchodzi pora.

- Cały czas mi to powtarzasz. - Jacen przeszedł obok niej i zniknął w sypialni. Lumiya usłyszała odgłos otwieranych drzwi szafki, jakby Jacen dokądś się spieszył. - Przewiduję różne wydarzenia i szukam wszędzie wskazówek, a nic się nie dzieje, jeżeli nie liczyć tego, że pozbyliśmy się Gejjena i Omasa. Moim zdaniem to dość jak na tydzień, nie uważasz?

- Nudna polityka - prychnęła Lady Sithów.

- Może i nudna - przyznał Solo. - Posłuchaj, w ciągu kilku ostatnich tygodni wiele przeżyłem i

wykorzystałem każdą możliwość, jaka się nadarzyła, żeby skierować sprawy w pożądanym kierunku.
- Lumiya usłyszała szelest tkaniny. Jacen wyszedł z sypialni, niosąc niewielki worek.

- Chcę spędzić jakiś czas w samotności, żeby zebrać myśli. Miej oko na Niathal, kiedy mnie nie będzie.

Jacen nie potrzebował samotności. Ilekroć chciał, doskonale umiał odseparować się od świata.

Mógłby oddawać się medytacjom nawet w oku cyklonu. Od niczego nie uciekał, a to oznaczało, że kogoś ścigał.

- Jak długo cię nie będzie? - zagadnęła Lumiya, gotowa do obliczenia największej odległości, jaką w tym czasie mógłby przebyć.

- Dwadzieścia cztery godziny, może czterdzieści osiem — odparł Solo. - Gdybym zniknął na dłużej, zapewne Niathal zachowałaby się przyzwoicie, ale senator G'Sil mógłby wpaść na jakiś pomysł. To ten trzeci element tam, gdzie mogą istnieć tylko dwa, pamiętasz?

- Rozumiem - odparła Lumiya.

Jacen już kiedyś tak postępował. Znikał na krótko, nie zwierając się nikomu, i wracał, pogrążony w melancholii, która umniejszała zasoby jego ciemnej energii. Lumiya składała to na karb zrozumiałych obaw przed ogromem czekającej go pracy i zawsze to tolerowała, ale Jacen nie mógł sobie pozwolić na zniknięcie, kiedy zbliżała się krytyczna chwila.

Wiedziała, że jeżeli jej podopieczny ma kłopoty, nie zwróci się do niej z prośbą o pomoc.

Powinna zrobić coś dla jego dobra i dla dobra galaktyki. Tym razem musiała się przekonać, co nie daje mu spokoju, kiedy osiągnięcie celu jest tak blisko. Postanowiła go śledzić.

Musiała oczyścić mu drogę i usunąć wszystko, co mogłoby odwracać jego uwagę.

- Czy tam, dokąd lecisz, będziesz miał dostęp do HoloNetu? - zapytała. - Czy też mam opowiedzieć ci o wszystkim, kiedy wrócisz?

- Nie chcę, żebyś się ze mną kontaktowała - odparł Solo. - Jeżeli wydarzy się coś ważnego, będę o tym wiedział. Wystarczy, żebyś miała na wszystko oko.

Drzwi zamknęły się za nim. Lumiya poszła do sypialni, żeby sprawdzić, czy zostawił

zawiniątko, z którym przyszedł. Na łóżku nic nie leżało. Skupiła się i zaczęła szukać lekkich zawirowań, które by jej ujawniły miejsce ukrycia zawiniątka, ale nie zidentyfikowała niczego oprócz śladów przedmiotów, które zniknęły: ubrań na zmianę i kilku rzeczy osobistego użytku.

Jacen chyba lubił zwykłe odkażające mydło, co było dość charakterystyczne: coraz więcej wyrzeczeń. Nie musiał wcale hołdować temu paskudnemu zwyczajowi Jedi. Lumiya doszła do wniosku, że kiedy w końcu jej uczeń przekroczy granicę, będzie musiała go pouczyć, żeby traktował

siebie bardziej pobłażliwie.

Cały apartament wyglądał bardziej ascetycznie niż jeszcze przed kilkoma miesiącami. Za każdym razem, kiedy Lumiya tu przychodziła, widziała mniej udogodnień i mniej rzeczy osobistych niż podczas poprzedniej wizyty. Obecnie nie zauważyła ani jednego holowizerunku jego członków rodziny czy przyjaciół. Jacen całkiem usunął ich podobizny, zamiast po prostu schować je do szuflady. Pewnie nie chciał widzieć ich oskarżycielskich spojrzeń zawierających nieme pytanie, co się stało z dawnym dobrym Jacenem.

Można to jednak zinterpretować inaczej: że podopieczny Lumii zaciera ślady dawnego Jacena i przygotowuje się na przemianę. Lumiya nie miałaby mu za złe, gdyby w tym celu chodził w parcianym worku czy mył zęby solą. Wyłączyła źródło światła, zabezpieczyła apartament i ruszyła do tylnego wyjścia.

Przemykając bocznymi ulicami, doszła do nieużywanego magazynu, w którym ukryła sferę medytacyjną Sithów. Ben Skywalker mógł się jeszcze przydać, bo w każdym ekosystemie nawet owady odgrywały ważną rolę. Statek miał się jej też przydać.

Możliwe, że nie radziła sobie najlepiej z odnajdywaniem Jacena, ilekroć znikał w Mocy, ale w jakiś sposób umiała to robić prastara czerwona sfera. Lumiya wyczuwała jej ciekawość, a nawet coś w rodzaju lekkiego podniecenia. Sfera chciała być znów potrzebna, chciała służyć.

Bez pytania wysunęła jęzor rampy łą- downiczej.

Leć za Jacenem Solo, nakazała w myśli kobieta-Sith i na wszelki wypadek wyobraziła go sobie, żeby sfera nie pomyliła go z Benem. Wyglądało na to, że czternastolatek ją fascynuje.

Podążaj za przyszłym Lordem Sithów, pomyślała.

Starania Jacena już wkrótce miały zostać uwieńczone powodzeniem.

Mandalora, farma Beviina-Vasura

Twarda czerwona gleba była spieczona na kamień, jak garncarska glina, ale pękła już po pierwszym uderzeniu szpadla. Fett spojrzął na leżące w rozpadlinie białe kości, oświetlone jaskrawymi promieniami słońca.

- Dlaczego mnie tu zostawiłeś, synu? - zapytał Jango. Gdzie się ukrywa jego ojciec? Boba nie widział jego twarzy, ale słyszał jego głos. - Czekałem.

- Gdzie jesteś, tato? - zapytał syn. - Nie mogę cię znaleźć.

- Czekałem...

- Gdzie jesteś?! - krzyknął Fett. Jego głos był głosem dziecka, chociaż trzymające trzonek szpadla ręce były rękami starego mężczyzny, z nabrzmiałymi żyłami i plamkami na skórze.

Ogarnęło go takie przerażenie, że o mało się nie udusił. - Tato, nie widzę cię! - Odrzucił

szpadel, pochylił się i zaczął palcami rozgarniać na boki spieczoną glebę, aż jej drobiny wbiły mu się pod paznokcie. Mimo to grzebał dalej, szlochając i powtarzając: - Gdzie jesteś?

Wzdrygnął się i obudził. Czuł, że jego serce wali jak młotem, a na karku zebrały się kropelki potu. Spojrzał na chronometr na przeciwległej ścianie. Odkąd sprowadził na Mandalorę szczątki ojca, ten sam koszmar śnił mu się o wiele za często. Przełożył nogi przez krawędź

łóżka, wstał z wysiłkiem i upewnił się, że mięśnie utrzymają ciężar jego ciała. Czekał na ból, który przeszyje stawy.

Nie było tak źle. Poczul tylko ból w lędźwiowej części kręgosłupa, jakby rzeczywiście kopał spieczoną glebę. Pomyślał, że może to wcale nie był senny koszmar.

Podskoczył kilka razy, żeby sprawdzić, co się stanie, ale nie poczuł bólu. Nie pojawiły się nawet mdłości, które ostatnio męczyły go każdego ranka. Zdążył zapomnieć, że można się bez nich budzić.

Jeżeli nie liczyć podwyższonej temperatury, czuł się lepiej niż od wielu... prawdę mówiąc, miesięcy. Cieszyło go to, ale nie zamierzał uwierzyć, że najgorsze ma za sobą, dopóki nie złoży pani weterynarz jeszcze jednej wizyty i nie zapozna się z wynikami badań. Rozumiał jednak, że poprawa następuje.

A zatem nie otrułeś mnie, Jaing, pomyślał.

Udał się do łazienki, żeby wziąć prysznic, jeżeli takim mianem można było określić strużkę lodowatej wody ze zbiornika pod sufitem, a później ogolił się stareńką brzytwą kalecząc się przy okazji w podbródek. W miejscach niespalonych przez kwasy trawienne Sarlacca penił się zarost, który ostatnio wyglądał jak siwa, trudna do zauważenia szczecina. Mimo to Fett nadal golił się dwa razy dziennie. Kiedy patrzył w lustro, czasami stawał się roztargniony. Rozmyślał

wówczas o Ailyn i o innych bolesnych sprawach, bo musiał spojrzeć sobie w oczy, ale nie był

kłamcą. Okłamywanie nie tylko było czymś niewłaściwym, było zwykłą głupotą a najgłupszą rzeczą pod słońcem było okłamywanie samego siebie.

A obecnie, kiedy nie musiał patrzeć w oczy bliskiej śmierci, mógł pomyśleć o tych, którzy już nie żyją. Wciąż jeszcze musiał załatwić wiele spraw. Postanowił zacząć od Ailyn.

Kiedy otworzyłem worek z jej ciałem, wyglądała jak obca osoba, przypomniał sobie. Była już kobietą w średnim wieku, nie tak pięłoiąjak jej matka. Przedwcześnie postarzała, wyczerpaną nieżywą a mimo to nadal pozostała moją małą dziewczynką pomyślał. Nie obchodzi mnie, że próbowałaś mnie zabić. Naprawdę nie mam ci tego za złe.

Zabijanie stało się zawodem Fetta. Nie sprawiało mu przyjemności, ale też nie napawało go przerażeniem. Mimo to wiedział, że naprawdę dobrze poczuje się dopiero po zlikwidowaniu Jace-

na. To nie miało być tylko sprawdzianem kompetencji łowcy nagród.

Mogę zaczekać, pomyślał. Dziękuję ci za to, że moje życie nabrało nowego sensu.

Wróciłem.

Spojrzał w lustro, sprawdzając, czy dobrze się ogolił. Na wszelki wypadek przeciągnął dłonią po twarzy. Sięgnął po hełm i włożył go. Dzięki wbudowanym w pancerz wzmacniaczom zmysłów świat nabrał ostrości i stał się znów całkowicie zrozumiały. W wieku, kiedy inni mężczyźni narzekali na słabnący wzrok i słuch, Fett mógł widzieć nawet przez grube ściany i podsłuchiwać rozmowy z odległości wielu kilometrów. Naprawdę dużo zawdzięczał

zdobyciom inteligentnej techniki. Rozprostował i zgiął palce w rękawicach. Poczul się jak dawniej, kiedy mógł stawić czoło wszechświatowi.

Naprawdę wróciłem, uświadomił sobie.

Poleciał raketowym skuterem do Keldabe i załomotał w drzwi pani weterynarz. Na durastalowej tabliczce zobaczył wygrawerowane jej imię i nazwisko: „Hayca Mekket”.

Z okna na pierwszym piętrze wychylił się jakiś mężczyzna. Spojrzał w dół na Fetta i zniknął.

- Kochanie! - zawołał w głąb domu. - To twój szczególny pacjent!

W oknie pojawiła się głowa pani weterynarz.

- Specjalnie dla pana będę musiała otworzyć gabinet wcześniej, niż zamierzałam - powiedziała.

- Dlaczego nie ma pani żadnych literek po nazwisku? - zainteresował się łowca nagród.

- Nerfy nie umieją czytać - odparła Mekket. - Dlaczego miałabym się fatygować?

- Ma pani wyniki moich badań?

- Tak.

- No i?

- Degeneracja komórek ustąpiła, ale technik z laboratorium na Dawn powiedział, że nie powinien pan mieć więcej dzieci. - Fett stwierdził, że rozmawia mu się z panią weterynarz łatwiej niż z Beluinem. - Wie pan chyba, że tamta igła służyła do robienia zastrzyków banthom?

- Właśnie tak się wówczas czułem - odparł Boba.

- Jest pan twardym mężczyzną Fett - stwierdziła kobieta.

- Cieszę się, że jeszcze jakiś czas pan pożyje.

- Co jestem pani winien?

- Kołdrę - odparła Mekket. - Ładną grubą i czerwoną.

Fett wrócił na pokład „Niewolnika 1” i zapoznał się z najnowszymi wiadomościami. Znosiło się na konflikt między Murkha- ną a Roche, więc gdyby Verpinowie chcieli się powołać na nieco wcześniej zawarły traktat, nadarzała się doskonała okazja pokazania, do czego może być zdolny samotny Bes 'uliik.

Fierfek, znów mi się upiekło, uświadomił sobie łowca nagród. Jeszcze jakiś czas pożyję.

Gdyby nie wydarzyło się nic niespodziewanego, miał przed sobą trzydzieści, a może nawet czterdzieści lat. Większość ludzi byłaby zachwycona takim odroczeniem. Fett też był

zachwycony

- ale tym, że znalazł się tak blisko śmierci. To dzięki temu wziął się w garść i przemyślał to i owo. Uwielbiał ryzyko, lubił stawiać czoło wyzwaniom.

Chyba powinienem powiedzieć o tym Mircie, pomyślał.

Dopiero obecnie mógłby ją zapytać, co takiego powiedziała jej Ailyn, że wzbudziła w córce tak płomienną nienawiść do dziadka. Przede wszystkim jednak chciałby się dowiedzieć, gdzie sama Ailyn nauczyła się takiej nienawiści. Na ogół dzieci rozwiedzionych rodziców nie ścigały ich z żądzą zemsty w oczach przez pół galaktyki.

Mógł jednak z tym poczekać godzinę czy dwie, żeby zjeść porządne śniadanie.

Tego dnia naprawdę miał ochotę się nim nacieszyć. Zamierzał jeszcze trochę pożyć.

ROZDZIAŁ 17

Ciekawe, że Taun We nie miała za złe Fettowi zaatakowania Kamino. Albo jest jej ulubionym, chociaż niedokończonym projektem badawczym, albo w grę wchodzi coś innego, o czym nie mamy pojęcia.

Jaing Skirata, zastanawiając się nad motywami postępowania Kaminoan **Coruscant, dzielnica portowa, apartament Łona Shevu**

- To naprawdę miło z pana strony, panie kapitanie, że pozwolił mi pan u siebie przenocować. -

Ben usiłował zająć jak najmniej miejsca na kanapie kapitana Shevu. Nie chodziło tylko o to, że czuł się zakłopotany, korzystając z czyjejś gościnności. Po prostu zauważył, że teraz stara się ukryć nie w Moccy, lecz przed Mocą. Najchętniej wróciłby z mamą do domu, ale tam musiałyby się spotkać z ojcem, a na razie nie mógłby tego znieść.

- Niemożliwe, żebyś się bał swojego taty? - powiedział oficer. Podał mu talerz z chlebowymi

pałeczkami nadziewanymi konfiturą. Było to dość dziwne połączenie, ale Shevu przygotowywanie bardziej treściwych posiłków powierzał swojej dziewczynie. - Wygląda na miłego gościa.

- Jest miły - potwierdził Ben. - Ale... czy miał pan takie uczucie, że pańscy rodzice tylko spojrzą i od razu wiedzą co pan przeskrobał?

- Cały czas mi się tak wydaje - przyznał Shevu.

- Rodzice Jedi naprawdę to potrafią... no cóż, prawie.

Obecnie, kiedy kapitan był po służbie, mógł wygłaszać nieoficjalne opinie.

- Moim zdaniem mistrz Skywalker będzie zły nie na ciebie, ale na tego, kto kazał ci to zrobić - powiedział.

- Och, jest i tak wystarczająco zły na Jacena - odparł chłodno chłopak.

- Przepraszam, nie powinienem pozwalać sobie na uwagi o członkach twojej rodziny - zreflektował się oficer. - To niedopuszczalne. Zapomnij, że to powiedziałem.

- Cały czas mam wrażenie, że zrobiłem coś dobrego z niewłaściwych powodów - zamyślił się Ben.

- No cóż, to chyba lepsze niż gdybyś zrobił coś niewłaściwego ze słusznych powodów...

klasyczna wymówka - odparł Shevu.

- Byłem policjantem, więc wiem...

- Czy zamierza pan zostać w SGS? - podchwycił Ben.

- Prawdę mówiąc, tęsknię za służbą w CSB - przyznał kapitan.

- Brakuje mi łapania prawdziwych przestępców i wskazywania turystom drogi do Rotundy. -

Przeszedł do kuchni, skąd dobiegł brzęk naczyń. Po chwili wrócił ze szklanką soku i wypił go dwoma wielkimi łykami. - Na pewno nic ci nie jest? - zapytał.

- Na pewno - zapewnił go chłopak. - Wyniosę się stąd tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Po co ten pośpiech? - odparł oficer. - Shula się ucieszyła, że pozmywałeś naczynia.

Dziewczyna Shevu oceniła, że ich gość jest „miłym, grzecznym chłopcem”. Ben doszedł do wniosku, że pozmywanie naczyń to najmniejsze, co może zrobić, żeby odwdziżyć się gospodarzom za schronienie.

- Jak chcesz, to mogę je także osuszyć dzięki Mocy - zaproponował.

Shevu roześmiał się i wręczył mu zdalny sterownik źródeł światła. Ben odnosił wrażenie, że kapitan jest zadowolony, mogąc się nim opiekować po zabójstwie Gejjena. Oficer nie pochwalał zwyczaju Jedi pozwalania „dzieciom” na noszenie broni i na branie udziału w walkach. Jego zdaniem do czasu ukończenia przynajmniej osiemnastu lat Ben nie powinien brać udziału w żadnych walkach. Shevu był jednak zbyt delikatny, aby przyznać otwarcie, że w jego opinii Jedi są złymi rodzicami.

Biedna mama, pomyślał chłopak.

Zasnął. Kilka razy się budził po koszmarach, w których śnił mu się Lekauf. Kiedy obudził się na dobre i przypomniał sobie, że jego przyjaciel nie żyje, ogarnął go smutek. Leżąc, zastanawiał się nad reakcją rodziców Lekaufa i nad tym, jak się czują po jego śmierci. W końcu chyba się znów zdrzemnął, bo usłyszał... nie, wyczuł w głowie czyjś głos. Ktoś go pytał, gdzie się podziewa.

Usiadł na posłaniu. Był pewny, że to nie sen, bo widział na ścianie włącznik systemu oświetlenia z zapalającą się co dziesięć sekund czerwoną lampką. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że skądś zna ten głos, ale w żaden sposób nie mógł go dopasować do konkretnej osoby.

Aż w końcu zrozumiał: przywoływał go statek Sithów. Ben nie miał pojęcia, gdzie sfera się znajduje, ale go wzywała. Chciała znać miejsce jego pobytu.

Sfera Sithów, kolor pomarańczowy, brak numeru identyfikacyjnego, ostatnio zarejestrowana jako własność Lumii, odnotował w myśli. Postanowił potraktować statek jak skradziony śmigacz, jak na pewno zrobiłby Shevu. Jestem to winien Jacenowi, pomyślał chłopak. Mój starszy kuzyn nigdy by się tak nie zachował, gdyby nie złowieszczy wpływ Lumii. To z kolei oznaczało, że Jacen nie jest ani w połowie taki mądry, jak mu się wydaje.

Mara prawdopodobnie starałaby się go od tego odwieść, ale do tej pory jej syn rozumiał, że musi robić pewne rzeczy na swój sposób. Tak wychowała go matka, więc nie mogła się spodziewać po nim niczego innego.

Ubrał się, nagryzmolił na kawałku flimsiplastu wiadomość dla Shevu i poszedł do kwatery głównej SGS, żeby dyskretnie wyprowadzić z hangaru nieoznakowany śmigacz dalekiego zasięgu.

Służba w tajnej policji miała swoje zalety: jeżeli jeden z jej funkcjonariuszy kwitował

wypożyczenie jakiegokolwiek sprzętu, nikt go nie pytał, co zamierza z nim zrobić. A zresztą policjanci powinni się zajmować chwytem złoczyńców.

Kiedy Ben zaczął szperać w kieszeni, żeby wyciągnąć dokument identyfikacyjny, uświadomił

sobie, że pozostawił swoje wibroostrze w mieszkaniu Shevu. Miał nadzieję, że tej nocy nie będzie potrzebował przedmiotu, który przynosił szczęście jego mamie.

Coruscant, apartament Skywalkerów

Kiedy Mara wróciła do domu, Luke spał. Mistrzynie Jedi poczuła ulgę, że nie musi odpowiadać na niewygodne pytania. Zajrzała przez uchylone drzwi do sypialni, posłuchała chrapania i doszła do

wniosku, że mąż śpi jak zabity.

Doskonale, pomyślała.

Prześlizgnęła się obok łóżka i wyjęła z szafy ulubiony strój roboczy: ciemnoszary kombinezon polowy z mnóstwem kieszeni, w których mogła ukryć niewielkie sztuki broni oraz amunicję.

Nie miała pojęcia, ile czasu jej zajmie odszukanie Jacena, więc powinna być przygotowana na długą wyprawę, czyli musiała wziąć wszystko, co da radę wepchnąć do plecaka.

Będę siedziała mu na ogonie, pomyślała. Zadam cios, kiedy nadarzy się pierwsza okazja.

Mogła śledzić ruchy Lumii, cały czas ją namierzała. Jeśli będzie się trzymać jak najbliżej niej, wcześniej czy później powinna się natknąć na Jacena w odpowiednim miejscu, czyli daleko od Coruscant, gdzie Jacen był traktowany niczym wielki mąż stanu. Powiedział jej, że ma umówione spotkanie, i chociaż możliwe, że znów skłamał, to na pewno zwierzy się Lumii, że Mara wie o ich zмовie.

Oszczędzę ci kłopotu, pomyślała.

Postanowiła nie przywoływać w pamięci wyrazu twarzy Leii i usunęła z głowy wszelkie myśli o biednym Hanie. Dlatego, żeby nie liczyła się z ojcowskimi uczuciami, ale lepiej mogła zrozumieć ból Leii. Sama wiedziała, że każda matka pamięta swoje dziecko takim, jak wyglądało zaraz po urodzeniu.

Nie wiedziała, jak to jest z ojcami.

Zerknęła na ekran komputerowego notesu, żeby odnaleźć sygnały transponderów. Nadajnik Bena dowodził, że syn przebywa cały czas w apartamencie Shevu, więc nie musiała się martwić o bezpieczeństwo chłopca. Drugi transponder wskazywał, że ko-bieta-Sith kieruje się do jednego z węzłów Perlemiańskiego Szlaku Handlowego, usytuowanego nieopodal Coruscant.

Mara doszła do wniosku, że nawet jeżeli Lumii nie towarzyszy Jacen, kobieta może ją doprowadzić do jednej ze swoich kryjówek. W zawodzie skrytobójcy cenny był każdy strzęp informacji o zwyczajach i ruchach śledzonego celu. Zdobycie takiej informacji było warte odbycia tej podróży, a technik w bazie nie widział nic dziwnego w tym, że Jedi rezerwują czas lotu myśliwcami typu StealthX. Mara nie musiała wypełniać żadnych formularzy, z których by wynikało, że tym razem celem jej wyprawy jest zabicie jednego z dwojga przywódców Galaktycznego Sojuszu.

Zamknęła wewnętrzne drzwi, żeby światło z korytarza nie zbudziło męża, ale zamarła przed frontowymi drzwiami. Dobrze, zaryzykuję, pomyślała. A jeżeli się obudzi... no cóż, dojdzie do kolejnej kłótni.

Postawiła plecak na podłodze, wróciła na palcach do sypialni i pochyliła się nad Lukiem, który wciąż chrapał jak turbopila. Musnęła wargami jego czoło tak delikatnie, jak umiała. Mąż coś zamruczał.

- Przykro mi, że ci nie wierzyłam - szepnęła najciszej, jak mogła. - Lepiej późno niż wcale.

Luke znów mruknął i przewrócił zamkniętymi oczami. Mara miała ochotę musnąć jego umysł

Mocą, w nadziei, że mąż przez sen się uśmiechnie, ale doszła do wniosku, że to zbyt duże ryzyko. Jacen prawdopodobnie miał nad nią kilkugodzinną przewagę. Na pewno zaś miała ją Lumiya.

Wyszła z sypialni, zamknęła drzwi i napisała na kawałku flimsiplastu:

„Wybrałam się na polowanie. Za kilka dni wrócę. Nie złość się na mnie, chłopcze z farmy...”

Nie musiała pisać, na kogo zamierza zapolować. Wiedziała, że i tak będzie miała wystarczająco dużo kłopotów z wyjaśnianiem wszystkiego po powrocie. Przytwierdziła arkusik do drzwi i opuściła apartament.

Perlemański Szlak Handlowy, sfera medytacyjna Sithów

- Cicho - odezwała się Lumiya. - Boję się, że cię usłyszysz.

Medytacyjna sfera miała irytujący zwyczaj wypytywania jej o różne rzeczy. Chciała wiedzieć, dlaczego jest ich tak niewielu. Lumiya nie miała pojęcia, co odpowiedzieć na tak ogólnikowo sformułowane pytanie. Statek wyjawiał jej, że spoczywał pod powierzchnią Ziosta dłużej, niż chciałby to pamiętać, a obecnie był ciekaw, co się stało ze wszystkimi „ciemnymi”.

- To długa historia - odparła Lumiya. - Od bardzo dawna przestaliśmy się liczyć. A to wszystko powinien zmienić Jacen Solo.

A co z innymi? - zapytał statek.

- Masz na myśli Alemę?

Przychodzi i odchodzi, uszkodzona, ale czasami bardzo zadowolona.

To było bardzo dobre określenie na opisanie skrajnych nastrojów Alemy... morderczej, gorzkiej obsesji, przerywanej dziwną euforią. Wyglądało na to, że sfera umie doskonale rozróżniać nastroje. Niczym odbiornik sygnału namiarowego potrafiła wykrywać ciemność wszędzie, żeby spieszyć na pomoc Sithom w potrzebie.

- Kazałam jej śledzić Jacena, ale powinnam była wiedzieć, że nie mogę polegać na osobie niezrównoważonej psychicznie - powiedziała Lumiya. - Nie miałam jednak nikogo innego.

Mnóstwo małej ciemności, odparła sfera. Dwie osoby z moim płomieniem.

Lumiya musiała powtórzyć w myślach słowo „płomień”, żeby zrozumieć, co sfera chce jej powiedzieć.

- Aha, masz na myśli rude włosy? - domyśliła się w końcu. - To prawda. Mara Jade Skywalker tak

jak ja była Ręką Imperatora i agentką ciemnej strony, a tamten chłopiec to jej syn.

Wy, ciemności, nie powinniście nigdy ze sobą walczyć, odparł statek. Jest was tak mało.

Powstrzymałam ją przed walką.

- Dobrze zrobiłaś - przyznała Lumiya. Było coś fascynującego w tym, że statek nadal wyczuwał w Marze resztki ciemności, choć przecież mistrzyni Jedi porzuciła swoje korzenie.

Dziwne jednak, że sfera wyczuwała ciemność także w Benie... może chodziło o jego geny, a może statek reagował na jego nowe zajęcie rządowego zabójcy. Jaka matka, taki syn. Lumii przemknęło przez myśl, że za wcześnie spisała Bena na straty. - Czy w pobliżu wyczuwasz kogoś mrocznego?

Uszkodzona szuka przyszłego Lorda, odpowiedziała sfera.

- Jeżeli szuka po to, żeby mu przeszkodzić, usuń ją... i to bez względu na to, czy jest ciemna, czy też nie. - Lumiya poleciła Alemie, żeby śledziła Jacena, ale nie była to odpowiednia pora, żeby Twi'lekanka się wtrącała. - Jacen Solo jest w tej chwili najważniejszy.

Statek umilkł. Nie miał żadnych przyrządów, więc Lumiya nie mogła liczyć na określenie dokładnej prędkości podczas lotu w nadprzestrzeni, mierzyła jednak czas podróży na osobistym chronometrze, a statek jej mówił, gdzie się znajduje najbliższa planeta w realnych przestworzach:

Minęliśmy Arkanią. Przelecieliśmy obok Chazwy.

Dokąd leciał Jacen? Nie na Ziosta, chyba że obrał okrężną trasę. Gdyby wyskoczył z nadprzestrzeni, mógłby się niemal otrzeć

o skraj sektora Roche. Lumiya zastanowiła się, czy nie spanikował, słysząc o traktacie planet Roche i Mandalory, co mogłoby przechylić szalę zwycięstwa na stronę Konfederacji. Może zamierzał odwiedzić Verpinów, aby nakłonić ich do wypowiedzenia tego traktatu. Takie negocjacje powinny być jednak prowadzone przez jego admirałów i agentów. Lumiya byłaby zirytowana, gdyby Jacen marnował swoją energię na podobne głupstwa.

Wyskoczył z nadprzestrzeni, odezwała się w końcu sfera.

- W którym miejscu? - zapytała Lumiya.

Gromada Hapes.

- Leć za nim.

Może Jacenowi chodziło o to, żeby poprosić o pomoc królową- -matkę? Sprawa Verpinów naprawdę nie dawała mu spokoju, a to mogło oznaczać, że Lumiya nie zna wszystkich szczegółów tego traktatu.

To niegodne ciebie, Jacenie, westchnęła w duchu Lumiya. Zapominasz o priorytetach.

Dlaczego nie wykorzystujesz talentów swoich podwładnych? Twój dziadek to potrafił.

Wkrótce się zorientowała, że Jacen jednak leci na Hapes. Wyobrażając sobie sznur rozciągnięty do grubości włosa, zachęciła sferę Sithów, żeby utrzymywał między nimi większą odległość. W

końcu Jacen dotarł do granicy strefy bezpieczeństwa Hapes 1 przeleciał przez nią

Łąduje, oznajmiła sfera. Dysponuje kodem dostępu.

Lumiya zastanowiła się, czy nie posłużyć się tym kodem i nie podążyć za nim, ale zrezygnowała, bo to mogłoby zwrócić czyjąś uwagę.

- Pozostań na pozycji, dopóki nie odleci - rozkazała.

Postanowiła cierpliwie czekać. Liczyła na to, że dobrze oceniła sytuację i że podczas nieobecności Jacena Niathal ani G'Sil nie proklamują Chwalebnej Trzeciej Republiki czy czegoś w tym rodzaju. Często nie wyczuwała z dużej odległości wpływu, jaki wywierali na Moc przeciętni ludzie. Obywatele Coruscant byli tak bierni i ulegli, że Lumiya nie wyczułaby silnych zakłóceń, nawet gdyby Niathal ogłosiła stan wyjątkowy. Kalamarianka nie mogła wprawdzie zrobić nic, czego nie dałoby się uwzględnić po powrocie, ale Lumiya musiałaby wyjaśniać Jacenowi, dlaczego

„zrobiła sobie wolne”, jak określiliby to Ben. Po czymś takim Solo mógłby się stać drażliwy i nieskłonny do współpracy.

W tej chwili zachowuje się jak rozkapryszony nastolatek, pomyślała Ciemna Jedi. Ale kiedy zostanie Lordem Sithów, szybko się usatkuje.

Kiedy jednak Jacen znajdzie kogoś, kto mu zastąpi Bena Sky-walkera, ona przestanie być potrzebna. Lumiya pogodziła się z tym, że jej dni są policzone.

Pogrążona w medytacjach, zastanawiała się, kto może zostać przyszłym uczniem Jacena, gdy nagle wstrząsnęła nią silna eksplozja emocji w Mocy. Lady Sithów poczuła się, jakby obca osoba chwyciła ją w ramiona i pocałowała. Sfera także zareagowała, jakby fala podniecenia zaczęła się odbijać od ścianek jej wnętrza.

- Co się dzieje, statku? - zapytała Lumiya. - Co to było?

W następnej chwili sama się tego domyśliła. To Jacen wyslizgnął się ze swojej stałej kryjówki w Mocy i pierwszy raz od bardzo dawna pozwolił sobie na okazanie intensywnych, obezwładniających emocji. Statek przesłał do jej umysłu obraz osoby, która wypila szklankę lodowatej wody po spędzeniu tygodni na spalonej słońcem pustyni. Wrażenie było tak intensywne, że Lumiya o mało się nie zachłysnęła.

On ma miłość, powiedział statek. Ma tam swoje ukochane.

A zatem Jacen Solo miał kochankę.

Głupi chłopak, pomyślała Ciemna Jedi.

Rozumiała, że jej uczeń będzie miał wiele kochanek - ale dopiero kiedy osiągnie swoje przeznaczenie. Namiętność nie była niczym złym, bo czyjeś oddanie mogło wzmocnić siłę Sitha, ale latanie po galaktyce na ukradkowe randki to wyczyn godny smarkacza, który nie potrafi się uporać z burzą hormonów.

Jacenie, masz trzydzieści jeden albo nawet trzydzieści dwa lata, westchnęła w duchu kobieta-Sith. Dorosły człowiek nie powinien pokonywać wielu lat świetnych na potajemne schadzki, zwłaszcza jeżeli jest równie ważną osobistością jak ty.

Chyba że...

Lumiya nauczyła się rozumować jak Jacen, chociaż czasami przeszkadzała jej w tym bardziej wrażliwa, ludzka strona młodego Solo.

To jest planeta Hapes, powiedziała sobie. I chodzi o coś, co Jacen postanowił zachować w tajemnicy nawet przede mną.

A zatem jego ukochana musiała być członkiem królewskiego dworu. Mogła popsuć każdy sojusz, bo niedyskrecja często oznaczała sztylet wbity pod żebro albo kroplę trucizny w kielichu z winem. To mogło tłumaczyć, dlaczego Jacen odbywa od czasu do czasu ukradkowe podróże przez nadprzestrzeń.

W dodatku królowa-matka Tenel Ka była Jedi, a Solo znał ją dobrze od wielu lat. Mając takie kontakty, Jacen nie związałby się z pałacową pokojówką. Do kogoś tak wybitnego pasowała tylko królowa-Jedi.

Lumiya zdecydowała się na ryzyko poszukania Jacena w Mocy, żeby sprawdzić, gdzie jej uczeń się znajduje. Sfera powiedziała jej, że Jacen przebywa w samym pałacu, i chociaż fala emocji, jaką kilka chwil wcześniej poczuła, do tej pory zdążyła osłabnąć, wciąż jeszcze była na tyle silna, żeby skupić na niej uwagę. Lumiya usunęła z umysłu wszystko inne - nawet nieustanną obsesję na temat przeznaczenia Jacena - i otworzyła umysł na najbardziej podstawowe wrażenia. Obecność Jacena w Mocy była na tyle silna, że zniknęło wszystko, co go otaczało. Kiedy Solo uważał, że jest niewidzialny i niewykrywalny, jego obecność manifestowała się głośno niczym krzyk.

Lumiya odsunęła od siebie nawet obecność statku Sithów i doznała zaskakującego uczucia.

Nie był to smak, widok ani dźwięk, ale... dotyk. Miała wrażenie, że dotyka czegoś miękkiego, jedwabistego i kosmatego, to znaczy dotyka tego Jacen. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, co to takiego... ale nagle zrozumiała.

- Statku, powiedziałaś: „ukochane”? - upewniła się.

Dwie, potwierdziła sfera. Tak, dwie.

A więc na Hapes były dwie osoby, z którymi związek Jacen Solo musiał utrzymywać za wszelką cenę w tajemnicy. Osoby te wywierały na niego obezwładniający wpływ, kiedy trzymał coś miękkiego,

pokrytego jedwabistą sierścią.

Zabawkę. Miękką zabawkę. Jacen wrócił do apartamentu na Coruscant, przyciskając do boku jakieś zawiniątko, a kiedy wychodził, zabrał je ze sobą. Kupił przytulankę dla dziecka, które kochał z całego serca.

Lumiya przerwała połączenie i opanowała się z trudem. Miała ochotę wyrznąć pięścią w twardą czerwoną, wewnętrzną ściankę sfery, ale się powstrzymała. Statek mógłby to niewłaściwie zinterpretować.

Jacenie, masz dziecko z Tenel Ka! - pomyślała wstrząśnięta. Dopiero obecnie zrozumiała obawy i desperację swojego ucznia. Przypomniała sobie wszystkie rozmowy, które z nim prowadziła na temat nieśmiertelnienia jego miłości. Nagle dotarło do niej, o kim myślał, zrozpaczony i udręczony, kiedy mu wyjaśniała, że musi zniszczyć coś, co najbardziej kocha.

Wszystko stało się jasne. Lumiya nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby współczuć komuś aż tak bardzo, ale w jej oczach pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach.

Zamknęła umysł i przygotowała się na długie czekanie. Nie chciała zawracać sobie głowy poznawaniem niezwykłego statku. Przede wszystkim musiała pomóc Jacenowi. Miała sobie za złe, że zajmowała się byle czym, podczas gdy Jacen musiał się zdecydować na poświęcenie, którego nie mogłaby zrozumieć ani wybaczyć żadna zwykła istota... a nawet Jedi.

Tak, rzeczywiście miał zapłacić bardzo wysoką cenę.

ROZDZIAŁ 18

Rząd planety Roche dał Murkhanie dwadzieścia cztery godziny na wstrzymanie produkcji systemów kierowania ogniem, które jego zdaniem stanowią naruszenie verpińskich patentów, albo na stawienie czoła czemuś, co określił mianem

„ natychmiastowego wyegzekwowania naszych praw ”. Dziś wieczorem szefowa sztabu Galaktycznego Sojuszu Niathal przestrzegła rząd Roche przed wojskową interwencją i zapowiedziała, że myśliwce Galaktycznego Sojuszu rozpoczną patrolowanie systemu w ramach misji pokojowej,

z najnowszego biuletynu informacyjnego HoloNetu

Hapes

Mara wyskoczyła z nadprzestrzeni i zaczęła się zastanawiać, dlaczego Lumiya poleciała w takim pośpiechu Perlemiańskim Szlakiem Handlowym do Gromady Hapes tuż po tym, kiedy pułkownik Jacen Solo pokwitował wypożyczenie myśliwca StealthX z hangaru Floty Galaktycznego Sojuszu.

Nigdzie w przestworzach wokół siebie nie widziała maszyny StealthX. Jeżeli Jacen nie opuści swojej kryjówki w Mocy, nie miała większej szansy wykrycia jego myśliwca niż nieprzyjaciel.

Mara miała jednak parę pomysłów, o co tu chodzi.

Albo Lumiya zamierzała przysporzyć Sojuszowi kłopotów i w takim razie wyprawa Mary do Gromady Hapes była stratą czasu, albo zamierzała tu spotkać się z kimś... na przykład z Alemą. Przykro mi, Jaino, pomyślała. Postaram się złapać ją żywą żebyś się mogła z nią sama rozprawić, ale niczego nie obiecuję, nie w tym nastroju. A może... może Lumiya ściga Jacena?

Chyba że znalazła transponder Mary i postanowiła pobawić się w berka.

Mistrzynie Jedi dziwiła się trochę, że statek nie wypuł jej niewielkiego urządzenia. A przecież był wystarczająco sprytny, żeby owinąć linę wokół jej szyi i tym sposobem ocalić metalowy tyłek wiedzmy Sithów.

Mógłby mnie wtedy łatwo zabić, pomyślała. Jednak się na to nie zdecydował.

Mara nie lubiła snuć jałowych domysłów. Nie dowierzała także różnym szalonym myślom, jakie ostatnio rodziły się w jej głowie. Może jednak statek naprawdę uważa ją za władczynię ciemnej strony? Pewnie miało się okazać, że ten problem nie ma znaczenia, ale Mara nie była zbyt zachwycona świadomością że cały czas otaczają ją resztki ciemności.

Nic dziwnego, skoro zamierzam zabić syna mojej szwagierki, uświadomiła sobie. Na mrocznej skali od jednego do dziesięciu coś oznaczało dwunastkę.

Obecnie, kiedy jej gniew minął, zaczęła się zastanawiać, co właściwie tu robi. Hapanie też mogli się nad tym zastanowić, kiedy na obrzeżach swojego systemu zauważą niezapowiedziany myśliwiec typu StealthX. Transponder w statku Lumii sygnalizował, że Ciemna Jedi kryje się gdzieś w gromadzie asteroid, ale jej kuli nie było widać na ekranach skanerów.

Na co czekała?

Mara sprawdziła wskazania pokładowych przyrządów. Gdyby włączyła aktywne sensory, zdradziłaby swoją pozycję, więc mogła korzystać tylko z biernych systemów wykrywania obiektów w przestworzach.

Obserwowała, czekała i dziwiła się, dlaczego do tej pory Hapanie nie okazali zainteresowania niezwykle statkiem. Cóż, Lumiya miała talent do ukrywania swojej obecności.

Podążaj śladem kredytów, mawiano. Na razie jednak lepiej podążać śladem kobiety-Sitha.

Wyłączyła wszystkie pokładowe systemy, bez których mogła się obejść, i uzbroiła się w cierpliwość. Z trudem oparła się pokusie wystrzelenia salwy protonowych torped, ale dopóki nie wiedziała, na co czeka jej przeciwniczka, musiała się wstrzymać z wykonaniem wyroku.

Doszła do wniosku, że Lumiya śledzi Jacena, chociaż nie miała pojęcia, jak się jej to udawało.

Może Tenel Ka wezwała Jacena, żeby się wstawić za jego rodzicami, nad którymi ciągle wisiał

bezsensowny nakaz aresztowania. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego Lumiya od osiemnastu godzin podążała za nim.

Zdezorientowana Mara pomyślała, że znów umknął jej uwagi jakiś element układanki. Cóż, to nieważne. Ona musi tylko odnaleźć Jacena. Nie obchodzi jej, co Solo zamierza robić po przejściu na emeryturę.

Mogłabym po prostu się skontaktować z Tenel Ka i zapytać, pomyślała.

Chociaż Hapanie skrupulatnie strzegli dostępu do swoich przestworzy, unoszący się nieruchomo między planetami trzynastometrowy wytwór najnowocześniejszej techniki był dla nich najwyraźniej jak drobina kurzu. Mara była skutecznie ukryta, podobnie zresztą jak Jacen.

Jeżeli przebywał na powierzchni planety, mistrzyni Jedi mogłaby go wykryć w chwili odlotu, ale w tym celu musiałaby włączyć aktywne sensory i zwrócić na siebie uwagę gospodarzy.

Myśl. Myśl, nakazała sobie.

Mogłaby też zaczekać, aż w drodze powrotnej Jacen wleci na Perlemiański Szlak Handlowy, ale Solo wcale nie musiał wracać na Coruscant tą samą drogą. A Mara nie miała nieograniczonych zasobów tlenu. Najprostsze rozwiązanie oznaczałoby konieczność ujawnienia swojej obecności.

Godzinę później była gotowa się na to zdecydować. Wybrała bezpieczny kanał komunikatora i przygotowała się na grzecznościową pogawędkę.

- Kontrolo Hapańskiej Floty, zgłasza się myśliwiec Pięć-Alfa typu StealthX Galaktycznego Sojuszu - zaczęła. - Pilot prosi o pomoc. - Wiedziała, że po takim wezwaniu Hapanie mogą wpaść w panikę, ale nie miała innego wyjścia.

- Pięć-Alfa, tu Kontrola Hapańskiej Floty - usłyszała w odpowiedzi. - Nie lubimy niespodzianek, nawet ze strony przyjaciół.

Coś podobnego, pomyślała Mara. Co za paranoiczna reakcja.

- Przepraszam, Kontrolo - powiedziała. - Nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale czy możecie potwierdzić, że przywódca Solo jest cały i zdrowy, a jego myśliwiec nie został uszkodzony?

Zapadła krótka cisza. Prawdopodobnie operatorzy systemu Kontroli Hapańskiej Floty sprawdzali ją żeby się upewnić, czy naprawdę jest pilotką Galaktycznego Sojuszu i czy jej transponder - który musiała posłusznie włączyć - rzeczywiście wysyła kod zgodny z kodem na ich tajnej liście.

- Potwierdzamy, Pięć-Alfa - usłyszała w końcu. - Jego myśliwiec wylądował bez żadnego problemu na terenie Pałacu Fontann. Czy powinniśmy się spodziewać zagrożenia dla bezpieczeństwa pilota?

To by oznaczało, że Jacen rzeczywiście odwiedza Tenel Ka. Pewnie właśnie się przed nią tłumaczy: „Uwierz mi, Wasza Królewska Mość, nie miałem innego wyjścia. Musiałem obalić Omasa...”

- Kontrolo Floty, Jacen Solo nic nie wie, że obawiamy się o jego bezpieczeństwo i że w drodze powrotnej zamierzamy otoczyć go dyskretną opieką - odezwała się Mara. - Na pewno uważa, że sam da sobie radę. Jeżeli zachowacie to w tajemnicy, to może nie będzie się starał

mnie zgubić. Wykryłam, że podczas lotu na Hapes leciał za nim jakiś statek, ale zgubiłam go w waszych przestworzach. Ten obiekt nieznanego pochodzenia wygląda jak dziesięciometrowej średnicy czerwona kula z charakterystycznym okrągłym iluminatorem z przodu, z masztami w kształcie krzyża i z lotkami.

Zauważyła, że na jej pulpicie zapaliły się ostrzegawcze światełka. Hapanie, którzy w końcu ją namierzyli, korzystali z okazji i sprawdzali jej myśliwiec StealthX promieniami swoich sensorów. Mogłaby wprowadzić im to uniemożliwić, ale postanowiła poddać się badaniu, żeby nie wpadli w jeszcze większą panikę.

- Zrozumieliśmy, Pięć-Alfa - usłyszała. - Uprzedzimy cię, kiedy pułkownik Solo stąd odleci.

A jeżeli zauważymy tę kulę, mamy ją powstrzymać czy zneutralizować?

- To wasze przestworza - odparła mistrzyni Jedi. Wszystkiego najlepszego, Lumiyo, pomyślała. - Nikt nie wydał mi rozkazu, by ją powstrzymać. Możecie ją zneutralizować.

- Zrozumieliśmy, Pięć-Alfa - odparła operatorka Kontroli Hapańskiej Floty. - Jeżeli sama się do nas nie odezwiesz, nie nawiążemy z tobą łączności do chwili startu przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

Hapanie to bardzo mili, uczynni ludzie, chociaż rzeczywiście czasami zachowują się jak paranoicy. Najważniejsze jednak, że znają się na intrygach, spiskach i zabójstwach i umieją dochowywać tajemnicy. Mara znów wyłączyła wszystkie niepotrzebne urządzenia, a kiedy zapadła ciemność, pogrążyła się w medytacji. Zachwycała się widokiem przestworzy usianych punkcikami gwiazd, doskonale widocznych bez przesłaniającej je mgiełki atmosfery.

Rzuciła okiem na ekran komputerowego notesu, aby upewnić się, że nie przybyło jej kłopotów.

Transponder Bena dowodził, że jej syn przebywa cały czas bezpiecznie na Coruscant.

Przestworza Taanaba, wahadłowiec SGS

Ben nauczył się dużo od swoich towarzyszy z SGS na temat metod dyskretnej śledzenia.

Jedną z najczęściej stosowanych sztuczek było wyprzedzenie podejrzanych i zawracanie.

Wyskoczył z nadprzestrzeni i poleciał z powrotem w kierunku Jądra. Kierował się jednak do Taanaba, nie do Hapes, chociaż był pewny, że właśnie tam znajduje się sfera Sithów.

Wyczuwał ją, ale nie mógł jej wykryć konwencjonalnymi metodami. Mógłby wprawdzie wysłać do niej myśli, ale musiał ukrywać się w Mocy, aby nie zwracać na siebie uwagi Lumii.

Starał się zorientować, dlaczego kobieta-Sith tak bardzo się interesuje planetą Hapes, ale bezskutecznie. Nie wykrywał obecności Jacena, ale wyczuwał ślady swojej matki. Im bardziej się zbliżał do granic przestworzy Hapes, tym silniejsza stawała się jej obecność.

Będzie numer, jeśli się okaże, że oboje ścigamy Lumię, pomyślał.

Trzeba będzie to mamie wyjaśnić, ale w obecnej chwili to nie miało żadnego znaczenia.

Zgodziłby się cały rok słuchać jej poleceń, a nawet polecieć na Ossusa, byleby tylko móc czuwać nad jej bezpieczeństwem. Obrął kurs na wlot towarowego korytarza i ponownie wskoczył do normalnych przestworzy, żeby się wmieszać w konwój transportowców, a później holowników rudy. Zatoczenie pętli miało mu ułatwić zadanie. Cały czas układał sobie w głowie mapę niesłyszalnego głosu sfery Sithów, żeby wiedzieć, gdzie kula się znajduje. Unosiła się w pobliżu Hapes.

Wyczuwał także, że równie blisko przebywa jego matka. A zatem odnalazła Lumię wcześniej niż on. Pokonała go w drodze do celu.

Na krótko wyobraził sobie, że opróżnia w dziwną sferę cały zasobnik energii działka wahadłowca, ale zmartwiło go, że musiałby zniszczyć statek, żeby zabić Lumię. Zastanowił

się, czy wszyscy chłopcy w jego wieku czują potrzebę, żeby choćby siłą bronić swojej matki.

Może to wina okresu dorastania, kiedy to nastolatki mają kłopoty ze znalezieniem wspólnego języka z ojcami.

Daj sobie z tym spokój, pomyślał. Ilu chłopców w twoim wieku musi się martwić, że ich rodzinę może zaatakować kobieta-Sith i szalona Ciemna Jedi? To nie jest normalne życie. W

twoim świecie obowiązują inne reguły.

Zbliżył się do sfery Sithów na tyle, na ile mógł. Okrągły statek unosił się zupełnie nieruchomo, ale gdyby się zaczął przemieszczać, Ben zamierzał go zniszczyć. Jego mama dowiedziałaby się wówczas, że przyleciał, nawet gdyby nadal ukrywał się w Mocy. Trudno było nie zauważyć wahadłowca SGS.

Jeżeli zdoła uniknąć zniszczenia statku Sithów, to dobrze. Z jakiegoś powodu możliwość unicestwienia kuli niepokoiła Bena bardziej niż zabicie inteligentnej istoty, których do tej pory miał

już trochę na sumieniu.

Hapes, Pałac Fontann

Jacen pożegnał się z Allaną czując ukłucie bólu, że nie mógł jej nazwać swoją małą dziewczynką.

- Jakie ma miłe futerko - powiedziała córeczka. Obiema rękami obejmowała wypchanego tauntauna, jakby nie zamierzała się z nim nigdy rozstawać. - Jak się nazywa?

Jacen przykucnął, żeby móc jej spojrzeć prosto w oczy. Dziewczynka była wrażliwa na Moc i sprytna, ale jeżeli nawet domyślała się, kim jest jej rozmówca, była zbyt dobrze wychowana, żeby to powiedzieć. Jacen miał nadzieję, że jego córka rozumie, dlaczego nie może go nazwać swoim tatą... przynajmniej na razie. Dla tak małej dziewczynki to była trudna sytuacja.

- A jak chcesz go nazwać? - zapytał.

- Jacen.

- Jak miło. A dlaczego Jacen, kochanie?

- Żebym mogła z nim rozmawiać, kiedy ciebie nie będzie.

Czy każdy ojciec musiał tak cierpieć? Za każdym razem, kiedy się żegnał z córką i z Tenel Ka, Jacen miał ochotę po prostu odwrócić się i uciec. Kiedy się oglądał za siebie, odchodząc, zawsze myślał: „A może widzę je ostatni raz w życiu”? Naprawdę tak myślał. Jego obawy graniczyły z paranoją ale dowodziły, ile obie dla niego znaczą. Gdyby ich zabrakło, chybaby tego nie przeżył. Na szczęście teraz, gdy był przywódcą Galaktycznego Sojuszu, miał więcej powodów do odwiedzania zaprzyjaźnionej monarchini.

Najważniejsze jednak, że przez cały czas trwania wizyty jego przeznaczenie nie powiedziało mu ani razu, że to właśnie te kobiety będzie musiał zabić. Nasłuchiwał szeptu przeznaczenia, ale za każdym razem odpowiadała mu tylko cisza.

Sprawiłoby mu to ból, ale na tym koniec. Sithowie kierowali się logiką w swoich poczynaniach. Nie pozwalali sobie na bezsensowne okrucieństwa. Każde poświęcenie, nawet najtrudniejsze, miało mu przynieść jakąś korzyść.

Jacen czuł jednak ból na samą myśl o tauntaunie, nazwanym jego imiennikiem, z którym podezas jego nieobecności miała rozmawiać Allana.

Tenel Ka odprowadziła go w milczeniu do zaparkowanej na placu przed Pałacem Fontann maszyny StealthX.

- Nie jesteś zachwycona tym, co się stało z Omasem, prawda?

- zapytał w końcu Jacen.

Tenel Ka z wdziękiem przechyliła głowę na bok. Tak samo robiła, kiedy nudzili ją goście podczas dyplomatycznych uroczystości.

- Kiedy byłeś tylko zastępcą, miałeś dużo swobody - powiedziała. - Teraz, kiedy zostałeś głową rządu, musi być inaczej. Mam nadzieję, że nie popełniłeś błędu.

- Zawsze mogę zwalić winę na Niathal - stwierdził Jacen.

- Upewnij się, że macie różne ambicje - doradziła młoda Hapanka. - Niebezpiecznie byłoby, gdybyście pragnęli tego samego.

- Powinienem chyba o tym myśleć, ilekroć się budzę, spocony, krótko przed świtem.

- O takich jak ty mawiają „samotny na szczycie”, Jacenie.

- Tenel Ka pokazała na blaster, świetlny miecz, wibroostrze i zatrute strzałki w jego pasie. -

Zaczynasz się przyzwyczajać do ha- pańskiego braku zaufania...

- Jak powiedziałaś, odtąd będę samotny.

Tym razem się nie obejrzał. Obecnie, kiedy chwila wytchnienia dobiegła końca, przypomniawszy

sobie o nieprzyjemnej rozmowie z Marą. Zastanowił się, czy zachował się właściwie. A może Mara tak go znenawidziła, że zechce zniszczyć wszystko, co tak bardzo starał się osiągnąć? W

jego umyśle pojawiła się twarz Bena.

Chcę, żeby to się wreszcie skończyło, pomyślał. Dam sobie radę. Po prostu nie mogę znieść tego, że nie wiem, co się zdarzy, gdzie, kiedy i w jaki sposób.

Wystartował myśliwcem StealthX bez problemu i wkrótce powierzchnia Hapes zamieniła się ponownie w mozaikę ogrodów i kanałów. Obecnie o wiele lepiej rozumiał, czego może się spodziewać, zabijając Bena: Mara, niczym samica po śmierci szczenięcia, zaatakuje go z całą wściekłością zranionego drapieżnika. Mógł się także spodziewać, że Luke... nie miał pojęcia, jak zareaguje wielki mistrz Jedi. Pamiętał jednak, że Luke obalił kiedyś Imperium. W żyłach Skywalkera krążyło więcej krwi Vadera niż w jego żyłach. Luke na pewno nie pozwoli, żeby sparaliżował go smutek.

Jacen obawiał się bardziej tego, że prawdę o Allanie odkryją Skywalkerowie, niż gdyby ją mieli poznać szlachetnie urodzeni Hapanie. Gdyby musiał, dałby radę ochronić córeczkę przed Hapanami, ale o wiele trudniej byłoby mu ją ustrzec przed zemstą Luke'a albo Mary. Allana była jego słabym punktem.

Na razie jednak nikt nie odkrył jego tajemnicy. Jacen zamierzał zrobić wszystko, żeby tak pozostało, dopóki nie wyeliminuje wszelkiego niebezpieczeństwa, jakie mogłoby jej zagrozić.

Nie chciał ryzykować. Musiał się liczyć z tym, że już niedługo będzie miał na karku dwoje nieprzejednanych wrogów.

- Kontrola Hapańskiej Floty do myśliwca StealthX Jeden- Jeden, bezpiecznej drogi - odezwała się operatorka przez komunikator. Jacen przypomniał sobie, że nigdy wcześniej tego nie mówiła. Widocznie wzmożono czujność, odkąd został przywódcą Galaktycznego Sojuszu.

Wiedział jednak, że w przestworzach Hapes może się czuć całkowicie bezpieczny. Pełen gorzkosłodkich wspomnień, pozostawał cały czas widoczny w Mocy, więc jeszcze jakiś czas mógł się zupełnie niczym nie przejmować.

Przyspieszył i doleciał do punktu, skąd mógłby wskoczyć do nadprzestrzeni, a wtedy wydało mu się, że tuż za nim podąża jakiś statek. Na krótko poczuł w Mocy coś, co chwilę później zniknęło. Sprawdził wskazania pokładowych przyrządów, nie było jednak żadnego powodu do niepokoju. Gdyby Gromada Hapes nie była takim niebezpiecznym labiryntem, wskoczyłby do nadprzestrzeni już w chwili, kiedy skończył przelatywać przez najwyższe warstwy planetarnej atmosfery.

To musi być kwestia hapańskiej wody, pomyślał. Nigdy przedtem nie byłem taki nerwowy.

Wyczuwał, że coś mu towarzyszy, i chociaż nie lubił określenia „coś mrocznego”, nie umiałby tego nazwać inaczej. Leciał za nim jakiś wróg, który bardzo się starał nie wywierać takiego wrażenia. Jacen doszedł do wniosku, że to może być Hapanin, który nie wiadomo dlaczego chciałby się dowiedzieć, dokąd niespodziewany gość odleci z jego przestworzy. Solo jednak na pewno by wyczuł, gdyby leciał za nim zwykły statek, pilotowany przez ludzi.

Tym razem było to coś innego. Jacen przygotował się na najgorsze.

Gdyby skręcił myśliwcem StealthX w prawo i wyłączył projekcyjny wyświetlacz w polu widzenia, mógłby zobaczyć w iluminatorze odbicie panoramicznego obrazu przestworzy za rufą. Czasami trzeba było coś ujrzeć na własne oczy, żeby zyskać pewność. Wyłączył

wyświetlacz i wyteżył wzrok, ale zobaczył tylko aksamitną pustkę.

W następnej chwili gwiazdy zamrugały i zgasły.

- Lumiya? - zapytał.

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Lady Sithów także umiała się kryć w Mocy. Pewnie liczyła na to, że Jacen na chwilę stracił czujność, i chciała się zorientować w jego zamiarach.

Jeżeli jednak dotarła za nim aż do tego miejsca, na pewno się dowiedziała o Tenel Ka. I teraz zechce to wykorzystać.

- W porządku, Lumiyo, wiem, że to ty - odezwał się Solo.

Tym razem także nie usłyszał odpowiedzi. Pomyślał, że to niepodobne do Lady Sithów.

- Lumiyo, chyba wiesz, że po czymś takim nie mogę ci pozwolić dłużej żyć? - zapytał.

Na chwilę przyszło mu do głowy, że może jego proroctwo wspominało właśnie o jej śmierci.

Może to właśnie ją powinien poświęcić? Z drugiej strony jednak, mowa była o konieczności zabicia kogoś, kogo Jacen bardzo kocha...

- Lumiyo, masz ostatnią szansę... - zaczął.

W tej samej chwili w kabinie jego myśliwca zaświecił jaskrawy błysk, który na sekundę go oślepił. Jacen zmienił odruchowo kurs i wtedy do niego dotarło, że to światło pozycyjne.

Przemknęło tak blisko ogona jego maszyny, że ścigająca go jednostka o mało go nie staranowała. Co się stało, że sensory ostrzegające o zbliżaniu się innego statku nie wykryły jej obecności? Jakim cudem on sam tego nie zauważył?

Jego wrażliwe na Moc zmysły wyczuły nagle czyjś zimny jak lód gniew, a z głośnika komunikatora wydobył się donośny trzask.

- Zabawa skończona, Lumiyo - warknął Jacen, kierując ku przeciwniczce lufę rufowego działka.

- Możesz się o to założyć - usłyszał głos Mary.

ROZDZIAŁ 19

Odleciała o godzinie 00.36 myśliwcem o kryptonimie Pięć-Alfa, proszą pana, ale nie podała celu podróży.

technik obsługujący myśliwce StealthX SGS, Coruscant, w odpowiedzi na pytanie Luke'a Skywalkerera
Gromada Hapes

Jacen nie mógł otworzyć ognia.

Nie chodziło o to, że nie mógł zabić Mary, bo w pierwszym odruchu chciał ją namierzyć i przycisnąć spust, ale jego ciotka znajdowała się tak blisko, że siła eksplozji jej maszyny zniszczyłaby także jego myśliwiec. Jednostki typu StealthX nie miały potężnych generatorów pól ochronnych, bo zastąpiono je urządzeniami pochłaniającymi energię promieni sensorów.

Nie stanowiło to na ogół problemu, chyba że w sytuacji takiej jak ta, jaka nie powinna się być nigdy wydarzyć.

Jacen skręcił w lewo, a Mara powtórzyła jego manewr. Nie zrezygnowała z pościgu, nawet kiedy jej siostrzeniec wykonał dwa kolejne skręty - w prawo i zaraz potem w lewo. Leciała cały czas tak blisko za ogonem jego maszyny, że Jacen odruchowo kulił się w kabinie. Spodziewał

się kolizji, ale nie odrywał dłoni od rękojęści drążka sterowniczego.

Nie miał nad Marą żadnej przewagi, bo oboje pilotowali maszyny tego samego typu, a ona robiła to równie dobrze jak on. Jacen nie miał się gdzie ukryć, bo znajdowali się w otwartych przestworzach. Wszystko sprowadzało się do tego, kto kogo bardziej nienawidzi i kto jest bardziej gotów na śmierć, żeby wykończyć przeciwnika.

Jacen mógł myśleć tylko o tym, że Mara dotarła za nim aż do przestworzy Hapes. Na pewno dowiedziała się o Tenel Ka. Jej pogroźki spowodowane sprawą Bena nie miały w tej sytuacji absolutnie żadnego znaczenia. Jacen miał teraz na głowie inny problem.

Usłyszał kolejny trzask z głośnika komunikatora i przygotował się na jadowite uwagi ciotki, ale usłyszał inny głos:

- Mam ją, Jacenie.

Lumiya. Może się okazać, że jest jego wybawicielką ale jej także nie powinno być w tej okolicy. A zatem prawdopodobnie obie wiedziały o Tenel Ka i o Allanie. Lumiya musiała rozumieć, że Jacen nie może pozwolić żyć z tą wiedzą ani jej, ani Marze. Na razie Solo miał za ogonem swojego myśliwca dwie zabójczynie i nie mógł ufać żadnej, że go nie zabije czy nie zdradzi.

Po stronie bakburty jego maszyny StealthX przeleciały błyskawice blasterowych strzałów i Jacen poczuł wstrząs kadłuba, ale wciąż jeszcze leciał dalej... w jednym kawałku. Zauważył

wydobywający się skądś dym. Po chwiliabinę rozjaśnił następny jaskrawy błysk. Lumiya -

jeżeli oczywiście nie poddawała go dziwnemu testowi Sithów, ale brała na cel Marę - miała ten sam problem co on. Mara leciała tak blisko jego myśliwca, że objąłby go zasięg eksplozji jej maszyny, więc odłamki przebiłyby się przez ochronne pola i przedziurawiły kadłub. Jacen postanowił zrobić to, co robił wiele razy: śmignął w górę, żeby wykonać pętlę. Musiał zyskać nad Marą chociaż sekundę przewagi i zająć pozycję za ogonem jej myśliwca.

Nie mógł wykluczyć, że Mara o wszystkim zdążyła zawiadomić Luke'a. Jeśli chciała pograć Jacena, jego tajemnica nadawała się do tego celu równie dobrze jak protonowa torpeda.

Zatoczył pętlę i zaczął gorączkowo wypatrywać jakiegokolwiek błysku czy sugestii ruchu.

Myśliwców StealthX nie zaprojektowano z myślą o walce z innymi jednostkami tego typu.

Maszyny były niewrażliwe na promienie sensorów, więc odnalezienie myśliwca Mary było praktycznie niemożliwe. To właśnie dlatego udało się jej zbliżyć do niego na tak małą odległość. Każde z nich mogło wykryć przeciwnika tylko dzięki Mocy albo zauważając mroczny cień drugiego myśliwca, przemieszczający się na tle usianej iskierkami gwiazd czerni przestworzy.

A Mara najwyraźniej potrafiła znikać i pojawiać się w Mocy, podobnie jak on. Podobnie jak Ben.

Jacen pomyślał, że nie powinien był uczyć młodszego kuzyna tej sztuki.

Najbardziej niepokoiło go jednak to, że do tej pory Mara wypowiedziała do niego tylko pięć krótkich słów. Nie mógł z nią wygrać walki w przestworzach, a zatem powinien jąmusić do lądowania w miejscu, które sam wybierze. Wyczuwał, że Lumiya leci bardzo szybko gdzieś po stronie sterburty, ale nie miał pojęcia, do czego może być zdolna w jej rękach sfera Sithów.

Wiedział tylko, że jest przestarzała... ale archaiczna technika i brutalna siła mogły czasami znaczyć więcej niż skomplikowane systemy.

- Owiewka! - wrzasnął. Z raportu Bena wynikało, że chłopak, pilotując sferę Sithów, wykorzystywał magnetyzm do zwiększania prędkości. - Lumiyo, strzaskaj owiewkę jej myśliwca! Słabe pola ochronne!

Nie musiał nic więcej wyjaśniać. Sekundę później zobaczył pomarańczową kulę lecącą ku niemu coraz szybciej kursem na zderzenie. Szybko obrócił myśliwiec StealthX o dziewięćdziesiąt stopni wzdłuż podłużnej osi, żeby kula mogła przemknąć pod jego maszyną.

W następnej sekundzie usłyszał głos Lumii:

- Pęknięcie kadłuba! Z kabiny ucieka atmosfera!

Zatoczył kolejną pętlę i jeszcze raz postarał się wyczuć Marę w Mocy. Kiedy wyrównał pułap lotu, zobaczył cienką białą smuzkę gazu, płynącą szybko w sam środek gromady. Myśliwiec Mary został więc uszkodzony. Skoro ciotka ma pęknięty kadłub albo owiewkę kabiny, postara się wylądować, zanim szczelina się rozszerzy i wywołana przez dekompresję eksplozja rozerwie jej myśliwiec na kawałki. Była wprawdzie ubrana w próżniowy skafander, ale nawet w nim nie miała dużej szansy przeżycia.

Kierowała się w stronę Kavana. Jacen nie miał nic przeciwko temu. Nawet gdyby Mara wysłała sygnał z prośbą o pomoc, kto pospieszy na ratunek przeciwniczce samego Jacena Solo?

Na pewno nie Hapanie. A zresztą kto by jej uwierzył? Może ktoś z bardzo daleka. Jacen nie czuł gniewu ani żądy zemsty, ale nigdy nie przeżywał takich emocji podczas walki. Za wszelką cenę chciał wygrać i przeżyć, i to wszystko.

Uwolnił myśli i wysłał je do Lumii.

- O nic się nie martw, Jacenie - uspokoiła go Ciemna Jedi. - Teraz wiem, co utrzymywałeś w tajemnicy. Dopilnuję, żeby nikt inny jej nie odkrył...

- Jasne, że dopilnujesz - odparł Solo, naprowadzając na sferę Sithów wszystkie osiem protonowych torped. - Sama mnie uczyłaś, żebym tak postępował.

Nie odczuwał ani uniesienia, ani zakłopotania, lecz chwilową ulgę. Dał ognia.

Ale nie zobaczył błysku eksplozji. Nie miał przed sobą rozżarzonej do białości kuli ani powoli rozprzestrzeniającej się chmury świecących odłamków. Pokładowe sensory jego myśliwca nie zarejestrowały absolutnie niczego.

Co się stało z Lumią? Zabiłem ją czy nie? - zadał sobie pytanie.

Postanowił później poszukać szczątków w przestworzach. Na razie musiał załatwić Marę Skywalker.

Przestworza Hapes

Ben nie wyczuwał matki w Mocy, ale wiedział, że Mara żyje. Po prostu się ukrywała, tak jak ją nauczył. Po stronie sterburty jego wahadłowca leciała Lumiya w statku Sithów, a chłopak nie mógł zrobić nic, żeby zniechęcić ją do pościgu. Lumiya odgrywała w tym wszystkim kluczową rolę i miało tak być dalej, obojętne, czy będzie martwa, czy żywa. Ben wiedział, że jest do tego zdolna.

Podobnie jak poprzednio, statek Sithów wysyłał myśli bezpośrednio do jego głowy. Nie wiadomo, czy mówił do siebie, czy zwracał się i do niego, i do Lumii, w każdym razie był

ogromnie niezadowolony.

Usiłował nas zniszczyć albo chociaż uszkodzić, skarżyła się sfera w myślach Bena.

- Statku, zamknij się - poleciła Lumiya. Ben słyszał tak wyraźnie, jakby proces myślowy sfery przebiegał w otwartym kanale komunikatora. - On musi przeżyć. My nie.

Odwieczna zasada stanowi, że nie wolno brać mnie na cel, przekazała sfera Sithów.

Widocznie doszła do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo, bo zawróciła w kierunku, skąd przyleciała. Pojawiła się na ekranach dziobowych kamer i sensorów, ale Ben widział ją także w głowie. Wyglądało to, jakby statek postanowił się odegrać na tym, kto otworzył do niego ogień.

- Statku, przestań! - rozkazała Lady Sithów.

Robię tylko to, co muszę, usłyszała w odpowiedzi.

- Statku!

Ben słyszał skowyt jednostek napędowych swojego wahadłowca, które usiłowały nadążyć za odlatującą sferą. W otwartych przestworzach nie istniało wprawdzie pojęcie góry ani dołu, ale chłopak czuł się tak, jakby leciał w strumieniu powietrza za ogonem drapieżnego ptaka.

- Statku... tam, w dole, jest moja mama - odezwał się błagalnym tonem. - To nie ona otworzyła do ciebie ogień.

Mistrzowie mogą wykorzystywać swoje statki do walki, ale nie wolno im wplątywać w to uczniów.

- Statku, Jacen popełnił błąd - odparł chłopak. - Zrób to dla mnie, bo chciałbym odnaleźć mamę. Proszę... nie otwieraj ognia.

Sfera wyraźnie zwolniła.

Kim jest nieprzyjaciel? - zapytała. Jeżeli się tego nie dowiem, nie będę mogła zrobić nic oprócz wykonywania uników i zapewnienia ochrony.

- Słuszna uwaga - pochwalił ją Ben. Shevu powiedział mu, że jedną z najważniejszych umiejętności

policjanta jest postępowanie z „czubkami”, jak ich nazywał. Chodziło o to, żeby pozwolić im się wygadać... a gdyby Ben dał radę zapanować nad statkiem, zapanowałby także nad Lumiya - Statku, na czym polega twoje zadanie? - zapytał.

Kiedyś walczyłem, usłyszał w odpowiedzi. Teraz szkolę i chronię uczniów.

- A jak ci się wydaje, kim jestem?

Uczniem.

- A kim jest osoba wewnątrz ciebie?

Także uczniem.

Ben zaczynał się orientować w sposobie rozumowania kuli. Spoczywała, zagrzebana pod powierzchnią Ziosta, wiele wieków, a może nawet tysiącleci. Zareagowała na jego obecność, kiedy po ostrzale z orbity musiał uciekać, żeby ratować życie - swoje i przerażonej małej dziewczynki.

- Statku, co to znaczy: szkolić? - zapytał.

Tłumaczyć uczniom, jak mają walczyć, odparł statek.

Ben orientował się, że statek porozumiewa się także z Lumiya Słyszał w głowie wyraźnie myśli sfery, ale odbierał również drugi strumień bezgłośnych słów. Brzmiało to jak przesłuch z kanału komunikatora o częstotliwości zanadto zbliżonej do jego kanału. Lumiya właśnie zachęcała statek, żeby otworzył ogień do Bena, staranował jego wahadłowiec i zabił pilota.

Służę uczniom, żeby nabrali wprawy i nie wyrządzili sobie krzywdy, kontynuowała kula.

Służyłam kiedyś mistrzom podczas wojny.

Ben nagle zrozumiał.

- Jesteś ćwiczebnym statkiem Sithów - powiedział. Statek widział w nim ucznia, którym w pewnym sensie był, ale Lumiya mąciła mu w głowie. - Dlaczego uważasz, że lecąca w tobie kobieta jest uczniem? - zapytał.

Bo tak mało o mnie wie, odparł statek. Podobnie jak ty.

Ben pogodził się z tym, że jest mniej bystry niż Jacen, ale umiał analizować możliwości i, podobnie jak matka, eliminować przeszkody. Mógł znaleźć wyjście z każdej sytuacji, zadając kolejne pytania.

- Kobieta-uczeń kazała otworzyć do nas ogień, kiedy odlatywaliśmy z Ziosta - powiedział.

Odpowiedzieliśmy jej ogniem, przekazał statek.

Rozpoznał go i doszedł do wniosku, że Ben i Lumiya to nowicjusze, którzy potrzebują jego rady i

ochrony. Na księżycu He-speridium powstrzymał Marę przed zabiciem Lumii, bo właśnie na tym polegało jego zadanie: miał szkolić uczniów do walki. Ben zastanowił się, ile razy statek daje szansę uczniowi Sithów, zanim dochodzi do wniosku, że jest za słaby i że zasługuje na swój los.

Nie mógł nakłonić statku do zabicia Lumii - ciekawe zresztą jak kula by to zrobiła - ale także Lumiya nie zdoła namówić go do zaatakowania Bena. A zatem na razie mógł się czuć bezpieczny, czego nie mogła powiedzieć o sobie jego matka. Niebezpieczeństwo jnie zagrażało jej zresztą ze strony statku, ale ze strony kogoś innego, kto usiłował ją zabić.

Ben musiał ją odnaleźć. Skierował wahadłowiec w kierunku Reboama, a sfera Sithów z bezsilną Lumiya w środku popłynęła za nim.

Schwycił kobietę-Sitha, pomyślał Ben, ale nie mam pojęcia, jak wykorzystać ją do swoich planów.

Gromada Hapes, Kavan

Mara wylądowała myśliwcem StealthX na kompletnym odludziu. Wiedziała doskonale, że tylko od stanu jej umysłu zależy, czy stanie się celem, czy też zabójczynią.

Jacen pewnie uważa, że zmusił ją do lądowania, i zamierza z nią skończyć raz na zawsze.

Mistrzynie Jedi doszła do wniosku, że powinna go wciągnąć w pułapkę, żeby najlepiej wykorzystać swoje umiejętności.

Wszystko sprowadzało się do tego, kto kogo pierwszy znajdzie.

Mogę z tego zrezygnować, jeśli tylko zechcę, pomyślała Mara.

Chociaż tyle widziała i tyle słyszała, wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że jej siostrzeniec naprawdę stał się człowiekiem niebezpiecznym i nieodwracalnie zdeprawowanym.

Ale kto się tym zajmie, jeżeli nie ty? - zadała sobie pytanie. I kto będzie cię winił za to, że nic nie zrobiłaś, kiedy mogłaś go powstrzymać? Palpatine, Palpatine, Palpatine... Wykorzystaj to, czego się wtedy nauczyłaś.

Wiedziała, że po zlikwidowaniu Jacena przeżyje paskudne chwile, ale musiała to zrobić. Jej siostrzeniec pewnie doszedł do takiego samego wniosku. Byli do siebie podobni. Żadne nie miało moralnej przewagi nad przeciwnikiem, ale Mara wołała, żeby zginął Jacen niż Ben... albo ona. Nie było nic złego w tym, że chce przeżyć.

Usiłując ją znaleźć, Luke wysyłał do niej myśli dzięki Mocy, ale Mara wołała mu nie odpowiadać. Nie знаła możliwości Jacena i nie wiedziała, jak dobrze jej siostrzeniec umie wykrywać czyjeś myśli. Chciała, żeby ją odnalazł dopiero wówczas, kiedy sama wybierze czas i miejsce.

Zabrała z kabiny plecak i wszystko, co mogło jej posłużyć za broń, a później znalazła zaciszne miejsce, wyjęła komputerowy notes i wyświetliła mapę okolicy Kavana. Pod powierzchnią planety

krył się istny labirynt nieużywanych tuneli, pełnych zrujnowanych posągów.

Doskonale, pomyślała. Jeżeli dam radę go tam zwabić, w tak ograniczonej przestrzeni nie będzie mógł wykorzystać wszystkich umiejętności władania Mocą, za to ja zrobię użytek ze wszystkiego, czego się nauczyłam. Postanowiła zapuścić się w głąb labiryntu i nakłonić Jacena, żeby jej tam poszukał. Na tym pustkowiu nie mogła liczyć na czyjąś pomoc, ale i tak nie zamierzała nikogo wzywać na ratunek, przynajmniej do czasu, aż trzeba będzie wynieść zwłoki.

Upchnęła całą broń w kieszeniach bluzy, saszetkach u pasa i w butach, po czym pobiegła do pierwszego wylotu tunelu, jaki zobaczyła. Z każdą chwilą radziła sobie lepiej z ukrywaniem swojej obecności w Mocy i z pozostawaniem w takim stanie tak długo, jak musi. Obecnie jednak chciała być widoczna niczym nadajnik sygnału namiarowego, żeby zwabić Jacena mię-

diy skały.

Przyleć i zmierz się ze mną, pułkowniku Solo, pomyślała.

ROZDZIAŁ 20

Nadawca: negocjator z planety Roche, Sass Sikili. Adresat: Mand'alor Boba Fett Murkhana nie udzieliła odpowiedzi. Zignorowała nasze żądania, więc obawiamy się, że to zachęci innych do ignorowania naszych patentów. Zwracamy się z prośbą o pomoc, aby udowodnić, że traktujemy poważnie nasz dorobek umysłowy. Bardzo chcielibyśmy zobaczyć w akcji Bes

'uliika. Nasi metalurgowie poszukują sposobów wytwarzania lżejszych konstrukcji z beskara, więc jeśli zrównacie z ziemią murkhańskie fabryki, nakłoni to naszych wynalazców do bardziej wytężonej pracy. To świetna okazja do robienia interesów.

Coruscant, Świątynia Jedi

Luke natknął się na Jainę na stopniach Świątyni Jedi. On po nich zbiegał, a ona wbiegała.

Chwycił siostrzenicę za rękę i zawrócił.

- Dokąd poleciała Mara? - zapytał.

- Wujku Luke, przysięgam, że jej nie kryję - zapewniła Jaina. - Naprawdę nie mam pojęcia, a Mara nie odpowiada na żadnym ze swoich kanałów. Dlaczego cię to niepokoi?

Luke pokazał jej zgnieciony arkusik flimsiplastu ze słowami: „Wybrałam się na polowanie. Za kilka dni wrócę”. Dodał, że żona wypożyczyła myśliwiec typu StealthX dwa dni wcześniej krótko po północy. Wsunął arkusik do kieszeni, a minę miał przerażoną.

- Pomóż mi - powiedział. - Muszę ją odnaleźć. Stało się coś złego. Ben także zniknął. Mam paskudne przeczucie, że moja żona pakuje się w pułapkę.

Ben nie tylko zniknął... Luke nie wyczuwał już go w Mocy. Nie wyczuwał także Mary.

Kontaktował się już ze wszystkimi, nie wyłączając Hana i Leii. Nie przejmował się zupełnie możliwością aresztowania przez funkcjonariuszy SGS za utrzymywanie kontaktów z

„koreliańskimi agentami”.

Spodziewał się natknąć na Jacena, który na pewno by go ostrzegł, ale Niathal oznajmiła, że Jacen „załatwia sprawę”. W hangarze brakowało jeszcze jednego myśliwca typu StealthX SGS.

Wyglądało na to, że siostrzeniec może odlatywać i przylatywać, kiedy zechce.

Mogę to sobie wyobrazić, pomyślał wielki mistrz Jedi. Jacen już cały czas ukrywał się w Mocy. Luke wezwał powietrzną taksówkę i razem z Jainą polecili do Dowództwa Gwiezdných Myśliwców.

- Odkąd zrezygnowałam ze służby, spędziłam tam więcej czasu niż kiedy latałam w siłach powietrznych - odezwała się siostrzenica.

- Wyczuwasz ją Jaino? - zagadnął Luke. - Wyczuwasz Marę?

Młoda kobieta spojrzała w przestrzeń obok głowy wuja, po czym powoli pokręciła głową

- Cały czas nic - oznajmiła.

- Ja nie wyczuwam jej od kilku godzin - poskarżył się mistrz Jedi.

Dotarli do Dowództwa Gwiezdných Myśliwców i od razu skierowali się do sali z mapami.

Luke twierdził, że wpatrując się w mapę, potrafi wykrywać silne korelacje w Mocy.

Przypomniał sobie, że Ben także wykazuje do tego duży talent. Stał przed rzędami holomap i postarał się odprężyć na tyle, żeby Moc kierowała jego uwagę. Z wysiłkiem usunął z umysłu wszystko, co mogłoby mu sugerować, dokąd wybrała się jego żona.

Po chwili, kiedy rozjarzone linie i gromady kropek zaczęły się rozmazywać i straciły perspektywę, jego uwagę przyciągnął jakiś sektor.

- Jestem pewny, że Mara poleciała do Gromady Hapes - odezwał się w końcu. Kiedy pierwszy raz poczuł, że żona nagle zniknęła z Mocy, wpadł w panikę i pomyślał, że nie żyje. Trzy sekundy później Mara się pojawiła i jeszcze raz zniknęła. Dopiero wówczas Luke się domyślił, że żona robi to celowo.

- Byłoby dla nas lepiej, gdyby poleciała zwykłym X-wingiem

- stwierdziła Jaina. - Technicy obsługujący gwiazdne maszyny twierdzą że wykrycie myśliwca typu StealthX za pomocą zwykłych metod jest praktycznie niemożliwe.

Miała rację. Myśliwiec Mary po prostu nie istniał, chyba że ktoś natknął się na niego przypadkiem

albo pilotka zostawiłaby włączony transponder.

Luke doszedł do wniosku, że może liczyć tylko na swój bystry wzrok... albo na reakcję samej Mary. Ruszył do hangaru, a Jaina podążyła jego śladem.

- Jak można odzyskać uszkodzone maszyny StealthX, których piloci musieli awaryjnie lądować? - zapytał Luke, starając się nie wyładowywać własnych frustracji na zapracowanych technikach personelu naziemnego.

Jeden z mężczyzn cofnął się od gwiazdnego myśliwca.

- Działający nadajnik sygnału namiarowego albo słup ognia i dymu, proszę pana - powiedział.

- Galaktyczny Sojusz zażądał od Incomu, aby myśliwce były możliwie trudne do wykrycia, a tamci się zastosowali.

- Już nie zawracam wam głowy... sam tam polecę. - Skoro Mara polowała na Lumię, mógł się spodziewać, że żona zastosuje każdą sztuczkę, jakiej się wyuczyła... ale i tak się zamartwiał.

- W końcu to ja uściśnałem dłoń Lumii, chociaż powinienem był ją ścisnąć za gardło...

I nagle Mara znów się pojawiła w Mocy. W dodatku nawet powiększyła w niej swoją obecność, jakby pragnęła, żeby ktoś ją znalazł. Była nieustraszona, buntownicza i gotowa do walki. To mogło oznaczać tylko jedno: odnalazła Lumię.

- Dlaczego ona tak się zachowuje? - zaniepokoiła się Jaina. Miała przeczucie, że chodzi o Alemę, więc także miała ochotę znaleźć Marę. - Zupełnie jakby z niej drwiła.

- Może wpadła w tarapaty i chce, żebym ją odnalazł - mruknął mistrz Jedi.

- Nie o to chodzi. - Jaina zamknęła na chwilę oczy, żeby się skoncentrować. - To nie wygląda jak prośba o pomoc. Czuję, że Mara przygotowuje się... do walki.

Na wszelki wypadek Luke postanowił ostrzec Tenel Ka, że wybiera się do przestworzy Hapes.

Zajmie mi to osiemnaście standardowych godzin, pomyślał. Zważywszy na liczbę planet w Gromadzie Hapes, odnalezienie myśliwca typu StealthX powinno zająć Hapanom sporo czasu, ale Luke doszedł do wniosku, że im więcej osób będzie uczestniczyło w poszukiwaniach Mary, tym lepiej.

Wdrapał się do kabiny myśliwca, robiąc dobrą minę do złej gry. Stojąca na płycie lądowiska Jaina uniosła głowę i spojrzała na wuja.

- Wiem, że formalnie jestem cywilem - powiedziała - ale jeżeli ktoś wyrazi na to zgodę, z radością się przyłączę.

Luke dał znak gestem technikowi personelu naziemnego.

- Dziękuję - powiedział.

- Powinniśmy się martwić nie o Marę, ale o Lumię - odezwała się siostrzenica, żeby go uspokoić. - Już widzę, jak ciocia Mara poluje niczym Fett, ma zaplecione włosy. Rude. Jak myślisz, czy Lumiya farbuje włosy?

Luke wiedział, że siostrzenica usiłuje go rozbawić, i nie chciał sprawić jej zawodu. Dźwięk słowa „Fett” przypomniał mu, że chyba wszyscy członkowie rodzin Skywalkerów i Solo znajdują się na samej górze czyjejś listy osób do likwidacji.

Nie marzył o tym, że wszyscy go pokochają. Pragnął tylko obudzić się pewnego ranka i stwierdzić, że jego bliscy mogą już normalnie żyć.

Kiedy Mara wróci do domu - ze skalpami czy bez - zamierzał zabrać ją na wakacje gdzieś, gdzie panuje błogi spokój. Zmiał arkusik flimsiplastu z jej notatką i wcisnął go w szczelinę kabiny. Usłyszał, że jednostki napędowe jego myśliwca StealthX ze skowytaniem budzą się do życia.

Tym razem to nie miał być Hesperidium.

Kavan

Jacen spodziewał się konfrontacji z rozwścieczoną Marą dopiero po zabiciu Bena, nie wcześniej. Cały czas szukał znaczeń i prawidłowości w wydarzeniach, w jakich uczestniczył.

Usiłując znaleźć na swojej drodze coś, co by potwierdzało jego status Sitha, zaczynał wpadać w desperację.

Czy to zauważę? - zadawał sobie pytanie. Jak się wówczas poczuję?

Skąd mam wiedzieć?

To musiało być coś, co zmieni materię galaktyki... punkt przełomu. Kryjąc się w tunelach głęboko pod powierzchnią pustkowi Kavana, Mara rzuciła mu wyzwanie. Uważała widocznie, że wciąż jeszcze jest najlepszą zabójczynią i że da radę stawić czoło komuś obdarzonemu bezgraniczną władzą nad Mocą.

Była znakomita, to prawda, ale nie umiała władać Mocą równie sprawnie jak on. Jacen wiedział, że kiedy zabije Marę, będzie mu łatwiej pokonać Bena. A Luke... no cóż, upora się i z tą przeszkodą, jeśli będzie musiał.

Sprawdził pas, kieszenie i kaburę, po czym postanowił odpowiedzieć na wyzwanie Mary.

Lumiya i Ben byli chyba gdzie indziej, w miejscu, gdzie stoczą walkę. Na razie wszystko dobrze się układało. Lumiya musiała zginąć, bo za dużo wiedziała, i to zginąć z ręki Bena.

Sytuacja rozwijała się po myśli Jacena. Silniejsi pokonają słabych.

Solo wsunął do komory przerobionego blastera cztery zatrute strzałki, a pozostałe umieścił w saszetkach przy pasie. Był tak spokojny, że aż go to dziwiło. Ruszył w stronę tunelu powoli i na pozór beztrosko. Szedł ostrożnie głównym tunelem, mając jakiś metr wolnej przestrzeni nad głową. Po drodze mijał wyloty odchodzących dość nisko bocznych chodników. Główny tunel wykuto, żeby podczas surowych zim odprowadzał burzową wodę. W tym labiryncie mieszkali kiedyś Kawanie, kiedy w trudnych czasach chronili się pod powierzchnią.

W pewnej chwili Solo stanął i zaczął nasłuchiwać.

- Wiem, że mnie słyszysz, Maro - powiedział. - Jeszcze masz okazję się wycofać.

Jak się spodziewał, usłyszał tylko echo swojego głosu. Mara nie odpowiedziała. Chwycił

prawą dłońią świetlny miecz, a lewą blaster, i zaczął się zapuszczać w głąb labiryntu odpływów. Widoczność zapewniała mu tylko zielonkawa poświata energetycznej klingi broni Jedi.

- Mógłbym wrócić, zablokować wyjście z labiryntu łatwopalnym materiałem i go podpalić -

powiedział cicho, ale Mara na pewno go słyszała, bo i on słyszał dobiegający z głębi plusk kropli

ściekającej wody. Nie mógłby określić dokładnie, skąd te dźwięki napływają. - Te tunele mają szyby wentylacyjne, więc jeżeli ciąg powietrza cię nie wykurzy, udusisz się albo upieczesz.

Odpowiedziała mu cisza.

Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać.

Chrup.

Nagle poczuł w prawym kolanie eksplozję bólu. To Mara, pomagając sobie Mocą wyleciała poziomo nogami naprzód z otworu bocznego tunelu, kopnęła go butami w staw kolanowy i rozerwała ścięgna. Jęknął i stracił równowagę. Na sekundę się zaklinował w wąskim przejściu i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się chwycić. Machnął na oślep klingą świetlnego miecza, ale tylko odciął kawałek skały. Mara padła na błotniste dno i uniknęła ciosu klingą jego broni, ale zaraz się poderwała i zniknęła w głębi tunelu.

Walka nie rozpoczęła się po jego myśli. Jacen zaklął i utykając, puścił się w pościg za przeciwniczką. Czekał, aż endorfiny uśmierzą ból w jego nodze, ale powtarzał sobie, że Mara zastawia na niego kolejną pułapkę. Chciała, żeby się znalazł w ograniczonej przestrzeni, unieruchomiony, osaczony.

Jeżeli się spodziewała, że tunele wyrównają ich szanse w tej walce, była w błędzie. Jacen miał zamiar ją tu pogrzebać.

Mistrzynie Jedi znalazła doskonałe miejsce na pułapkę na końcu jednego z przepustów.

Słyszała dobiegający z tyłu tupot butów biegnącego za nią przeciwnika. Wyprzedzała go co najmniej o piętnaście metrów.

W tamtym miejscu sklepiony kolebkowo sufit się obniżał

I nawet ona musiała biec nisko pochylona. Nikt w takim miejscu nie dałby rady wymachiwać długą klingą standardowego miecza świetlnego. Tunele były w kiepskim stanie. W wielu miejscach zbudowane z cegieł łuki sklepień opadły niżej, a tu i ówdzie nawet się zawaliły.

Jacen nie zamierzał jej sprawić satysfakcji i wyjawic dzięki Mocy miejsca, gdzie się znajduje.

Doskonale, pomyślała mistrzyni Jedi. Zauważyła pod ścianą zardzewiałą metalową płytę mniej więcej półmetrowej średnicy i położyła ją ostrożnie na dnie tunelu. Wsunęła pod nią kamienie, licząc na to, że płyta zabrzęczy pod ciężarem ciała przeciwnika i ostrzeże ją że Jacen się zbliża.

Posłużyła się Mocą żeby nadwątlić ceglane sklepienie tunelu przed płytą i za nią ale powstrzymała je przed zawaleniem.

Trzymaj tak jakiś czas, przykazała sobie. Zaczekaj, aż usłyszysz brzęk płyty...

Puszczenie się w pościg za Jacenem nie pozwoliłoby jej na osiągnięcie zamierzonego celu.

Nie mogła dopuścić, żeby to on decydował o miejscu walki, bo nie wiadomo, jaki obrót przybrałyby sprawy.

Zwabić w pułapkę, unieruchomić, zabić, pomyślała.

Śmierć Jacena nie będzie piękna i nie poruszy wyobraźni publiczności jak pokazowa walka na świetlne miecze w Akademii, ale w końcu Marę szkolono do zabijania. Tymczasem jej przeciwnika szkolono w sztuce wywodzenia w pole.

Mara słyszała jego sapanie i dobiegające w nieregularnych odstępach czasu buczenie klingi świetlnego miecza. Domyśliła się, że jej przeciwnik odwraca się co chwila, w obawie, że mogłaby go zaskoczyć od tyłu. W pewnej chwili usłyszała, że Jacen przestał wymachiwać bronią Jedi. Powtarzające się coraz częściej krótkie pomruki wyjawiały jej, że Solo wybiega z tunelu.

Naturalnie Mara także tkwiła w tej pułapce. Nie mogłaby się z niej wydostać, chyba że jednym z rozmieszczonych co piętnaście metrów wentylacyjnych szybów. Jednak obiecała sobie, że opuści labirynt tuneli dopiero po trupie Jacena... i naprawdę tak myślała.

Uświadomiła sobie, że zaczyna współczuć Leii, ale szybko stłumiła to uczucie, bo mogłoby ją osłabić.

Słyszała chrzęst cegieł pod butami przeciwnika. Jacen się niecierpliwił. Zachowywał się, jakby Mara mu przeszkadzała, jakby powstrzymywała go przed czymś, co chciałby mieć za sobą.

Chrup... chrup... chrup.

Jeżeli właściwie oceniła tempo jego biegu, wkrótce powinien wejść na zardzewiałą płytę.

Brzęk...

Rozległ się basowy grzmot. To Mara zawałiła oba fragmenty sklepienia tunelu, przed Jacenem i za nim, dzięki tak potężnemu pchnięciu Mocy, że wyparł z jej płuc powietrze. Nie usłyszała krzyku przeciwnika. Przesycone wilgocią powietrze w tunelu wypełniło się ceglanym pyłem, którym Mara o mało się nie udusiła.

Czekała, zasłaniając dłonią nos i usta. Drugą ręką wyciągnęła shoto i zaczęła się wsłuchiwać w podszepty Mocy.

Usłyszała grzechot ostatnich spadających cegieł. Nie spodziewała się, żeby mogły spowodować duże obrażenia, bo w tamtym miejscu sklepienie było dość nisko, ale liczyła na to, że stopy cegieł uniemożliwiły Jacenowi swobodę ruchów. Wiedziała, że jej przeciwnik nie zginął... na razie.

Czekała w milczeniu, kryjąc swoją obecność w Mocy, dopóki nie ucichły ostatnie odgłosy.

No dobrze, pomyślała. Przekonajmy się, co trzeba zrobić, żeby to zakończyć.

Przez wąską szczelinę Mara zobaczyła mrugające oko i fragment usmarowanej krwią twarzy.

W jej stronę wyciągała się zakrwawiona, drżąca ręka z rozczapierzonymi palcami. Ktoś inny mógłby poczuć impuls chwycenia tej dłoni, co byłoby zrozumiałym, ludzkim odruchem, ale to była stara, wyświechtana sztuczka Sithów, do której Mara sama się uciekała zbyt wiele razy.

Wyjęła blaster. Trzymając go jedną ręką wymierzyła lufę w oko i położyła palec na spuście. W drugiej dłoni trzymała cały czas gotowe do użycia shoto, na wypadek, gdyby musiała z litości dobić przeciwnika.

Nie odczuwała żadnych emocji, ale była gotowa, jak zawsze, kiedy jeszcze działała jako Ręka Imperatora.

- Powiedz mojej mamie, jak mi przykro, że ją zawiodłem - szepnął Jacen.

- Ona to wie - odezwała się Mara, pewnie pociągając za spust blastera.

ROZDZIAŁ 21

Nu kyr 'adyc, shi taab 'echaaj 'la.

Nie odeszli, po prostu daleko odmaszerowali.

mandaloriańskie określenie zmarłych

Kavan

Powiadają że w ekstremalnych sytuacjach ludzkie ciało jest zdolne do wykrzesania z siebie nadludzkiej siły. W przypadku Jedi chodziło jednak o coś zupełnie innego.

Jacen Solo nie był gotów umrzeć... nie w obecnej chwili. Nie zamierzał umierać na krótko przed swoim wywyższeniem, a już na pewno nie jak robak w cuchnącym ścieku.

Odbił na bok energetyczną błyskawicę pchnięciem Mocy i odepchnął rumowisko cegieł od swojego pokaleczonego, zakrwawionego ciała. Wyglądało to, jakby się znalazł w epicentrum eksplozji. Cegły zderzyły się ze ścianami tunelu i rozprysnęły na kawałki, które niczym energia wybuchu potężnej bomby posłały Marę na ścianę. Mistrzynie Jedi zawyła jak zwierzę, bardziej z gniewu niż z bólu, i wymachując rękami odzyskała równowagę.

Oszołomiony wysiłkiem Jacen musiał poświęcić dwie sekundy, żeby przyjść do siebie.

Wiedział, że jeżeli nie wstanie i nie zakończy tej walki, Mara będzie chciała go znów zabić, i jeszcze raz, i jeszcze, dopóki się nie zmęczy i nie osłabnie.

Z wysiłkiem wstał, ale się zachwiał, zanim odzyskał równowagę. I wtedy zrozumiał wszystko.

To Marę musiał zabić, żeby wypełnić swoje przeznaczenie.

Unicestwienie jej było jego testem. Słowa proroctwa nie miały żadnego znaczenia. W głębi duszy Jacen wiedział, że śmierć Mary stanie się przełomem. Nie miał pojęcia, jak ją zabije, ale to nie była odpowiednia pora, żeby się nad tym zastanawiać. Pierwszy raz od wielu lat poddał

się bez reszty instynktowi. Temu samemu instynktowi, który kierował dłonią Sitha przed wiekami.

Był jednak ranny, i to poważnie.

Ben... Nie miał pojęcia, co z tym wszystkim wspólnego ma młodszy kuzyn, ale wiedział, że coś ma. Niczego nie mógł być równie pewny jak tego. Nie przejmował się tym jednak, bo miał

świadomość, że musi zabić jego matkę, i że dopóki tego nie zrobi, nic innego nie będzie miało znaczenia.

Pochylił się, namacał świetlny miecz i kciukiem przycisnął guzik wysuwający energetyczną klingę broni. Do tej pory Mara zdążyła wstać i szła ku niemu, uzbrojona w shoto i w wibroostrze. Z rozcięcia na jej głowie spływała po czole krew zmieszana z ceglanym pyłem.

Trzymając shoto lewą ręką niczym wytrawna fecz- mistrzyni, skoczyła ku niemu i musnęła jego twarz nad kością policzkową a kiedy Jacen odskoczył, rozcięła wibroostrzem jego podbródek.

Nie powinien był pozwolić, żeby podeszła tak blisko. Miał przecież bezgraniczną władzę nad Mocą był silnie umięśniony i szybki. Posługując się Mocą odepchnął przeciwniczkę, aż głośno stęknęła

zderzając się plecami ze ścianą. Odbiła się i znów skoczyła ku niemu, wymachując na zmianę to klingą shota, to wibroostrzem. Jacen musiał się cofnąć i poczuł, że zaczynają go opuszczać siły. Musiał mieć więcej miejsca, żeby dalej walczyć.

Wyciągnął blaster z zatrutymi strzałkami i wystrzelił je, jedną po drugiej, ale Mara przecięła wszystkie igły rozmazanymi błyskami niebieskiego światła i śmiertelne pociski spadły nieszkodliwie na dno tunelu. Jacen odwrócił się i zaczął brnąć przez ceglane rumowisko.

Wykorzystywał Moc, żeby podrywać z dna tunelu odłamki cegieł i rzucać nimi w przeciwniczkę. Ścigając go, mistrzyni Jedi przeskakiwała z cegły na cegłę lub na większy fragment sklepienia, aż w końcu, pomagając sobie Mocą skoczyła mu na plecy.

Potoczyli się, szepieni w jeden kłęb. To nie był pojedynek, to była bijatyka. Mara wsunęła wibroostrze pod brodę Jacena i szarpnęła jego głowę w bok. Poczula, jak czubek broni prześlizguje się po jego szczęce aż do włosów, ale nie wbił się w tętnicę szyjną jak zamierzała.

Solo uświadomił sobie, że nie może wyciągnąć broni, której potrzebował. Tracił krew i siły, ale wymachiwał na oślep klingą świetlnego miecza, żeby powstrzymać przeciwniczkę przed zadaniem decydującego ciosu. W tak ograniczonej przestrzeni jego broń była jednak niemal bezużyteczna. Mara ciężko dyszała, ale niczym opętana żądzą zemsty maniaczka odpierała wszystkie jego pchnięcia klingą shota.

- Jacen... zabiję cię... zanim... zdążysz... zrobić mu... krzywdę - wydyszała.

Jacen uświadomił sobie, że granica między jego śmiercią a zabiciem Mary jest cienka jak włos. Oboje szamotali się, popychali i miażdżyli nawzajem Mocą. W pewnej chwili Jacen cisnął przeciwniczkę na ścianę, żeby przynajmniej na chwilę sparaliżować jej kręgosłup błyskawicą Mocy, ale Mara jakimś cudem odbiła ją na bok. Ze ściany tunelu posypały się cegły, jakby ktoś wypchnął je z drugiej strony. Pomagając sobie Mocą Mara o mało nie wyszarpnęła rękojeści świetlnego miecza z jego dłoni, ale mimo ciężkich obrażeń Jacen zdołał

ją utrzymać. Ani myślał zginąć. Nie mógł... nie w takiej chwili.

- Nie dasz rady mnie pokonać - wychrypiął. - Śmierć nie jest mi przeznaczona.

- Ach, tak? - zadrwiła mistrzyni Jedi. - Moim zdaniem jest.

Skoczyła ku niemu z włosami rozwichrzonymi niczym dzika bestia, ale Jacen posłużył się Mocą i odepchnął ją od siebie, aż przeleciała w powietrzu kilka metrów i zderzyła się plecami z kolumną. Zapalczywość jej ataku i własna słabość nie pozwoliły mu dostrzec niebezpieczeństwa, które groziło z innej strony. Kiedy odskoczył do tyłu, żeby uniknąć następnego ataku, jego stopa wpadła w szczelinę w dnie tunelu. Stracił równowagę i runął na wznak, a przejmujący ból przeniknął jego nogę od kostki do kolana. Wypuścił rękojeść świetlnego miecza. Mógł zignorować ból, ale zanim się zerwał na nogi, Mara odepchnęła się plecami od kolumny, doskoczyła do niego i wbiła szpic klingi shota w miękką tkankę pod obojczykiem.

Rany zadane klingą świetlnego miecza bolały o wiele bardziej, niż można było sobie wyobrazić. Jacen wrzasnął. Wsparł się na jednej ręce i przywołał miecz do drugiej dłoni, ale Mara znów obaliła go na plecy i przygniotła do dna tunelu ciężarem ciała. Zbliżyła wibroostrze do jego gardła, ale Jacen chwycił ją za włosy i pociągnął w kierunku klingi swojego miecza świetlnego. Mistrzynie Jedi szarpnęła się kilka razy, żeby uwolnić głowę. Cięła na oślep ostrzem shota, ale za każdym razem Jacen odpierał jej ciosy dzięki słabnącej władzy nad Mocą.

W pewnej chwili poczuł, że wibroostrze Mary otarło się o jego szyję. Wyciągnął rękę i namacał strzałkę w kieszonce u pasa. W końcu mistrzyni Jedi mocnym szarpnięciem uwolniła głowę, zostawiając w jego garści kosmyk rudych włosów. Odchyliła się do tyłu i uniosła rękę wysoko, żeby z całej siły wbić w jego pierś klingę shota i wibroostrze. W ułamku sekundy, jaka mu jeszcze pozostała, Jacen uświadomił sobie, że jego przeciwniczka nigdy, przenigdy nie skrzywdziłaby swojego syna.

Spojrzał w jej oczy i na mgnienie oka stworzył w przestrzeni między nimi iluzję twarzy Bena.

Mara zamrugnęła.

To wystarczyło, żeby Jacen zyskał nad nią przewagę. Miał tylko tyle czasu, żeby wbić zatrutą strzałkę w jej nogę, chociaż nie zdążył usunąć ochronnego plastoidealnego stożka.

Niewielka igła miała zaledwie dziesięć centymetrów długości, ale Jacen wbił ją z taką siłą, że szpic przedziurawił stożek i tkaninę spodni Mary.

Mistrzynie Jedi zachłysnęła się i spojrzała na nogę. Wyglądała na zdziwioną, ale chyba nie poczuła bólu. Kiedy poruszyła nogą, strzałka zakołysała się i spadła na dno tunelu.

- No to... no to koniec... - wydyszał Solo. Mara wypuściła shoto z dłoni i wykonała wibroostrzem lekki, nieskoordynowany ruch, jakby mimo wszystko chciała jeszcze zadać cios.

Wbiła je w ramię Jacena, ale cios nie miał siły i broń wysunęła się z jej palców. - Przykro mi, Maro. To musiałaś być ty, chociaż początkowo myślałem, że chodzi o Bena. Ale teraz to już nie ma znaczenia. To koniec...

- Co mi zrobiłeś? - zapytała mistrzyni Jedi. - Co, na wszystkie czarne dziury, mi zrobiłeś? -

Trucizna ją paraliżowała i Mara zaczynała tracić koordynację ruchów. Kiedy osunęła się na bok, Jacen wstał. Mara spojrzała na niego, bardziej zdziwiona niż rozgniewana czy przerażona.

- Proroctwo - wyjaśnił Solo. W obecnej chwili nic więcej się nie liczyło. Trucizna -

skomplikowana, chociaż względnie bezbolesna - już krążyła w żyłach Mary. - Nie walcz z tym. Nie pomoże ci nawet leczniczy trans. Po prostu się odpręż...

Mara usiłowała wstać, ale udało się jej tylko uklęknąć i oprzeć pośladki na piętach. Miała minę, jakby o czymś zapomniała i usiłowała to sobie przypomnieć. Po chwili osunęła się na ścianę. Jacen jeszcze nigdy nie czuł takiej ulgi. To nie musiała być Allana, Tenel Ka ani nawet Ben. To był koniec,

ostateczny koniec.

- O co tu chodzi? - zapytała Mara. Starła się przyłożyć do ust czubki drżących palców, ale jej ręce opadły na kolana. Spojrzała na dłonie, jakby się spodziewała zobaczyć na nich krew.

Jacen zwalczył chęć pospieszenia jej z pomocą.

- To moje przeznaczenie, Maro - powiedział. - Muszę zostać Lordem Sithów, żeby w galaktyce zapanowały porządek i sprawiedliwość. Musiałem cię zabić, żeby to osiągnąć. Twoja śmierć ocali wiele osób, Maro. Ocaliłaś Bena. Ocaliłaś także moją All- nę. Uwierz mi, twoja śmierć nie będzie daremna.

- Jesteś... równie zdeprawowany... jak on - wyjąkała mistrzyni Jedi.

Jacen nie miał pojęcia, o kim ciotka mówi.

- Kto? - zapytał.

- Palpatine.

- To nie tak - powiedział. Musiał jej wytłumaczyć, co się stało. To było naprawdę ważne. Był

jej to winien, skoro ciotka miała swój udział w jego poświęceniu. Zaczął się jednak zastanawiać, co jej śmierć oznacza dla osób, które ją kochają. - Tu nie chodzi o ambicję.

Chodzi o galaktykę, o pokój... o stworzenie zupełnie innego świata.

Mara wbiła w niego spojrzenie, a on uświadomił sobie i poczuł jej odrazę. Do niego? A może do siebie?

Bolały go wszystkie świeże rany i skaleczenia. Powinien się pogрузić w leczniczym transie, ale przedtem musi się wydostać z labiryntu tuneli.

Mara oddychała z wysiłkiem. Trzymała jedną bezwładną dłoń na udzie, ale nadal kurczyła i rozginała palce drugiej, jakby starała się je zacisnąć w pięść, żeby wymierzyć mu ostatni cios. Z

jej zielonych oczu, wciąż jeszcze płonących żywym blaskiem, wyzierała nieugięta stanowczość. Jacen wiedział, że do końca życia będzie usiłował zapomnieć wyraz tych oczu.

- Wydaje ci się... że zwyciężyłeś - odezwała się w końcu mistrzyni Jedi. Wypowiadała słowa bełkotliwie, ale cały czas była nieugięta i przytomną jakby rzucała wyzwanie śmierci. - Ale Luke... cię zmiążdży... a ja... nie pozwolę ci... zniszczyć przyszłości... mojego Bena.

Jacen usiadł i czekał cierpliwie. Niemal się spodziewał, że usłyszy z jej ust jakieś proroctwo, które pomogłoby mu zrozumieć sens tego, co właśnie zrobił. Po kilku minutach poczuł jednak ostateczny wpływ żywiołowej energii, którą wykryłby i zrozumiał każdy władca Mocy.

Uświadomił sobie, że ostatnim wypowiedzianym przez Marę słowem było imię jej syna.

Kavan

Lumiya wyczuła w Mocy subtelny ruch, podobny do przemieszczania się płyt tektonicznych.

Do tej pory nie przypuszczała, że decydująca chwila zmanifestuje się w taki właśnie sposób.

- Statku - powiedziała. - Jestem potrzebna nowemu Czarnemu Lordowi. Leć za nim.

Później przygotowała się na śmierć. Zamierzała zginąć z godnością.

Kavan

Ben nagle przestał słyszeć głos sfery Sithów. Wszystkie inne dźwięki zagłuszyło jego imię: Ben, Ben, Ben...

Rozległo się w głębi jego głowy, a brzmiało ciszej niż szept. Mimo to chłopak usłyszał w nim wezwanie, a zarazem przeznaczone tylko dla niego pożegnanie. Zapomniał o Lumii i z oczami pełnymi łez skierował się w stronę źródła tego głosu.

- Mamo! - zawołał. - Mamo!

Perlemiański Szlak Handlowy

Luke Skywalker, lecący ku planecie Hapes myśliwcem StealthX, poczuł nagle, że jego włosy musnęła czyjaś dłoń. Pragnąc jej dotknąć, odruchowo wyciągnął rękę... i nagle zrozumiał, że jego świat dobiegł końca.

ROZDZIAŁ 22

Nie wiem, co się dzieje, Mand'alore, ale trzeba samemu usłyszeć i zobaczyć, ilu pilotów statków Galaktycznego Sojuszu krążących wokół Gromady Hapes prowadzi rozmowy w bezpiecznych kanałach, żeby w to uwierzyć. Wygląda na to, że nagle wszystkich ogarnęła panika. Czekaj w pogotowiu.

Goran Beviin, ekspert od inwigilacji, w meldunku z pola asteroid w sąsiedztwie planety Roche, krótko przed startem Bes 'uliika **Myśliwiec typu StealthX SGS na powierzchni Ziosta**

Jacen naprawdę nie miał pojęcia, dokąd indziej polecieć. Wpatrywał się w panel kontrolny, chociaż wiedział, że przynajmniej dwadzieścia cztery godziny wcześniej powinien był wrócić na Coruscant. Niathal na pewno go przeklinała.

Był sam, miał na sobie wymięty czarny polowy mundur, skręcał się z bólu i... konał z głodu.

Nie tak wyobrażał sobie dostąpienie zaszczytu zostania Lordem Sithów. Zastanowił się, co zdaniem innych ludzi powinno się dzieć, kiedy historia dokonuje raptownego zwrotu. Nikt dotąd nie wiedział, że od tej pory przyszłość wszystkich spoczywa w rękach zmęczonego, spoconego mężczyzny, który myśli tylko o tym, że powinien się ogolić, i wciąż jeszcze nie może uwierzyć, że...

...zabił Marę Jade Skywalker.

Zabijanie nie przychodziło mu ani trochę łatwiej. Po prostu stawał się w tym coraz lepszy.

To wszystko nie miało jednak sensu. Jacen potarł policzek i usłyszał głośny chrzęst szczeciny.

Mara nie była dla niego najdroższą osobą. Wręcz przeciwnie, w ciągu ostatnich kilku tygodni przestała być jego jedyną przyjaciółką, a stała się kimś, kto mu nie ufa i przeszkadza.

Mimo to pozostała jego ciotką członkiem jego rodziny. Kiedy wszyscy poznają rolę, jaką odegrał w jej śmierci - a kiedyś się tego dowiedzą, chociaż na pewno nieprędko - wstrząs i nienawiść rozerwą na strzępy rodziny Skywalkerów i Solo. Nawet Niathal może być oburzona jego postępkami, a już na pewno wszyscy pozostali, nawet ci, którzy rozumieli, że troska o pokój to niełatwe zadanie.

Właśnie zabiłem własną ciotkę, powtórzył w duchu. Była przy mnie przez cały okres dorastania. Zawsze mi pomagała. Razem braliśmy udział w wojnie.

Muszę teraz stawić czoło jej synowi. Muszę stanąć przed Benem i spojrzeć mu w oczy.

Co ja najlepszego zrobiłem?

Usłyszał burczenie w żołądku. Jak to możliwe, że w takiej chwili czuł głód?

Unieśmiertelni swoją miłość... dobre sobie.

Głupie plecionki kitki... prastare proroctwa Sithów, które miały się spełnić, kiedy nowy Czarny Lord będzie gotów do przejęcia swoich obowiązków, żeby w galaktyce mógł

zapanować złoty okres sprawiedliwości, ładu i pokoju. Klucz miał zostać przekreślony - i podobno właśnie to głosiło proroctwo - kiedy Jacen zabije kogoś, kogo najbardziej kocha.

Zabił Marę, Nelani i córkę Fetta. Zniszczył także chaotyczną, niesprawiedliwą demokrację, ale żadnej z tych osób ani rzeczy nie kochał. Kilkakrotnie starał się także zabić Lumię. Jego mentorka chyba wiedziała, że właśnie tak powinni się zachowywać uczniowie Sithów.

Jacen w to nie wierzył. A gdyby Mara nie starała się go zabić, uznałby jej śmierć za jeszcze jedno życie, odebrane nadaremnie.

Tkanka istnienia chyba nie bardzo się zmieniła. Jacen wyobrażał sobie, że taka zmiana będzie wyglądać jak kataklizm. Był wprawdzie zbyt wielkim pragmatykiem, aby przypuszczać, że może unieść pięść ku niebu i ściągnąć stamtąd błyskawicę, która przydałaby energii potężnemu duchowi, ale naprawdę uważał, że ulegnie duchowej i egzystencjalnej transformacji.

Uświadomił sobie, że się boi. Kilka godzin temu, był absolutnie pewny, że Mara musi zginąć, jednak według proroctwa jej śmierć nie miała sensu. Sam także nie czuł się po zabiciu Mary ani trochę inaczej. Czyżby to miało oznaczać, że musi zabić kogoś jeszcze? Był pewny, że wraz ze śmiercią Mary jego udręka się zakończy. Przeżył tak wielki zawód, że o mało się nie rozpląkał.

I nagle poczuł czyjąś obecność. Oparł czoło o boczną szybę owiewki kabiny i wpatrując się w powierzchnię koszarnej planety, zobaczył Lumię.

Zwolnił uszczelkę kabiny.

- Jestem zaskoczony, że po wszystkim, co się wydarzyło, zadałaś sobie trud odszukania mnie na tej planecie - powiedział.

- Musisz teraz dbać o to, żeby cię widywano. - Kobieta-Sith wydawała się dziwnie zadowolona. Jak zawsze, chyba nie miała do niego żalu o to, że znów usiłował ją zabić. -

Zaczął się nowy okres twojego istnienia, Czarny Lordzie.

- Naprawdę? - zapytał powątpiewającym tonem Solo. Ból w zranionym ramieniu kąsał go niczym dzikie zwierzę. - Nie bardzo się czuję jak jego lordowska mość;

- Zapewniam cię, że to koniec - oznajmiła Lumiya. - Naprawdę to poczułam.

Może tylko chciała mu sprawić przyjemność? Jacen zmienił pozycję w fotelu pilota, żeby zmniejszyć ból obrażeń.

- Zamierzam poszukać innych dowodów - powiedział.

- Przestań sprzeciwiać się Mocy i zwróć uwagę na to, co musisz teraz zrobić - powiedziała kobieta. - Kilka godzin temu Luke Skywalker wylądował na Hapes, gdzie wszyscy poszukują dowodów. A Niathal okropnie narzeka, że wymigujesz się od pełnienia obowiązków.

- Nie znajdą mnie - zapewnił Solo.

- Nie to miałam na myśli - odparła Lumiya. - Twoja wyprawa na Hapes, której powód zabiorę ze sobą do grobu, musi zostać przedstawiona w wiarygodnym świetle. Wcześniej czy później wyjdzie na jaw, że poleciałeś do Gromady Hapes i że Mara się o tym dowiedziała.

- Skąd? - zainteresował się Jacen.

- Czy mogę cię zdenerwować?

- A dasz radę zdenerwować mnie jeszcze bardziej? - odciął się Solo. - Czy to w ogóle możliwe?

- Kiedy Mara tam przyleciała, odbyła rozmowę z operatorką Kontroli Hapańskiej Floty o powodach twojej obecności na powierzchni planety - zaczęła Lumiya. - Przechwyciłam tę rozmowę i dlatego mogłam pospieszyć ci na ratunek.

- Wspaniale - mruknął Jacen.

- Mara opisała Hapanom wygląd sfery i powiedziała, że to prawdopodobnie wrogi statek - ciągnęła Lady Sithów. - Moim zdaniem trzeba wymyślić wiarygodne wyjaśnienie tego, co zrobiła.

Lumiya miała rację. Jacen musiał mieć dobrą wymówkę, choćby tylko na użytek Tenel Ka.

- Trudno będzie, nawet przy mojej pomysłowości - zauważył.

- Kto jeszcze o tym wie?

- W galaktyce nie ma sekretów, Jacenie, są tylko różnej długości listy poinformowanych osób - uświadomiła mu mentorka.

- Dowiedzą się o tym Bothanie, Mandalorianie... dowiedzą się także agenci Wywiadu Galaktycznego Sojuszu, a oni ostatnio nie bardzo za tobą przepadają.

- No cóż, gdybym nie był świeżo upieczonym Lordem Sithów, byłbym tym wkurzony - stwierdził Solo.

- Nie żartuj - skarciła go Lumiya. - Nigdy z tego nie żartuj.

- Mam pełne prawo oświadczyć, że składałem oficjalną wizytę Tenel Ka jako przywódca Galaktycznego Sojuszu. I że chodziło o nierozwiązany dotąd problem moich rodziców.

- A jak wyjaśnisz, dlaczego zostałeś tak ciężko ranny?

- No cóż... - mruknął Jacen. - Przyspieszam proces gojenia ran tak szybko jak potrafię.

- A co z ciałem Mary? - Nie dawała za wygraną kobieta-Sith.

- Zostawiłem je tam, gdzie jest.

- Nie zniknęło? - zdziwiła się Lumiya. - Mara pozostawiła tam swoje doczesne szczątki?

- Na to wygląda - odparł Solo. - Dlaczego cię to dziwi?

Lumiya wyraźnie się nad czymś zastanawiała, bo jej spojrzenie straciło przenikliwość.

- Zawsze sądziłam, że w jakiś sposób się zjednoczy z Mocą - odezwała się w końcu.

- No cóż, nigdy nie wiadomo - stwierdził Jacen. - Na pewno nikt nie powiąże tej trucizny ze mną, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Któregoś dnia, już niedługo, i tak wszyscy będą musieli się dowiedzieć.

- A wtedy będzie za późno, żeby ktokolwiek mógł na to coś poradzić. - Lumiya odwróciła się, jakby chciała odejść, ale się rozmyśliła. - Mój statek został zauważony, ale Ben nie widział

ciebie na Kavanie. To oznacza, że zostanę główną podejrzaną o zabicie Mary, dzięki czemu będę mogła ci wyświadczyć ostatnią przysługę.

- A mianowicie? - zagadnął Solo.

Doszedł do wniosku, że Lumiya irytuje go najbardziej, kiedy jest uprzejma. To zwykle oznaczało, że jego mentorka wie coś, o czym on nie ma pojęcia.

- Dam ci więcej czasu, żebyś mógł umocnić swoją władzę nad galaktyką - odparła kobieta. -

Zasugeruję Luke'owi, że to moja sprawka.

- Nie wydaje ci się, że powinnaś się przed nim ukrywać?

- Nie. Możesz powiedzieć, że to moje przeznaczenie.

- To brzmi jak życzenie śmierci.

- Moje zadanie i moje życie dobiegają końca, Jacenie - oznajmiła Lady Sithów. - Naprawdę tęsknię za odpoczynkiem.

Ostatnio śmierć stała się towarem dziwnie pospolitym. Jacen nie był tym zachwycony, bo nagle nabral ochoty, by cieszyć się życiem. W głębi duszy wciąż jeszcze był chłopcem, który oczekuje, że kiedy osiągnie pełnię wiedzy Sithów, pojawi się oślepiająca błyskawica. Patrzył z optymizmem w przyszłość, ale zarazem czuł się oszołomiony.

- Nie możesz zapominać, że Alema nadal poluje - odezwała się Lumiya. - Jeżeli ją zauważysz, prawdopodobnie będzie chciała ci odebrać statek Sithów, żeby się zemścić na twoich rodzicach.

Jestem pewna, że niedługo się zobaczycie.

Jacen zastanowił się, czy Sithowie zostawiają testamenty, bo Lumiya na pewno dokładnie wszystko przemyślała. Patrzyła na niego z przechyloną głową. Podobnie jak Mara, miała niepokojąco zielone oczy. W końcu się odwróciła, odeszła i zniknęła w lodowatej mgle.

Jacen medytował jeszcze jakąś godzinę, żeby przyspieszyć proces gojenia ran, a później wystartował i obrał kurs na Coruscant. Po drodze zamierzał jednak wpaść na Hapes.

Hapes, Pałac Fontann

- Luke... Luke? Luke!

Tenel Ka musiała trzykrotnie wypowiedzieć jego imię, żeby mistrz Jedi uniósł głowę i spojrzał na nią. Na obitej brokatem eleganckiej sofie wyglądał, jakby mebel go pochłoniął, i może właśnie tak byłoby najlepiej.

Wszystko wskazywało na to, że trwa otoczony izolującą mgiełką odrętwienia. Kiedy usłyszał

swoje imię pierwszy raz, przestał się zamartwiać, że nawet się z Marą nie pożegnał, bo spał, kiedy żona opuszczała ich apartament. Kiedy usłyszał je drugi raz, przerwał wędrówkę po zakamarkach umysłu w poszukiwaniu ostatnich słów, które do niej wypowiedział. Za trzecim razem przestał widzieć oczami wyobraźni wiadomość nagryzmołoną na arkusiku flimsiplastu, który zmiął i beztrąsko wcisnął w szczelinę konsoli w kabinie, a później, już po śmieci Mary, pieczołowicie wygładził, żeby zachować na resztę życia.

„Wybrałam się na polowanie. Za kilka dni wrócę. Nie złość się na mnie, chłopcze z farmy”...

- Luke, jest tu Jaina.

- Dziękuję ci, Tenel Ka. - Mistrzowi Jedi wydawało się, że utrzymując się w tym odrętwieniu, będzie mógł nadal trzeźwo myśleć. Zamierzał się upewnić, że pozostali członkowie rodziny radzą sobie w nowej sytuacji, a później przystąpić do działania... pod warunkiem, że będzie wiedział, co robić. - Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

- Luke, kazałam wszystkim moim strażnikom przeszukiwać Gromadę - oznajmiła Tenel Ka.

Do pokoju weszła szybko Jaina. Miała ponurą minę i lekko napuchnięte powieki. Uklękła obok sofy i w milczeniu przytuliła się do kolan wuja. Luke nie musiał jej wzywać, bo wszyscy z rodziny poczuli to samo.

- Nadal żadnej wiadomości od Bena - powiedział mistrz Jedi, gładząc włosy siostrzenicy. - Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie ten chłopak się podziewa.

Jaina wyprostowała się i przysiadła na piętach.

- Ja także go nie wyczuwam, wujku Luke - oznajmiła.

- Nic mu nie będzie, kochanie... Wiedziałbym, gdyby...

Nie dokończył zdania. Dobrze wiedział, jak Moc poinformowałaby go o śmierci Bena. Mógł być absolutnie pewny, że jego syn wciąż żyje.

Czekał na wiadomość od Leii i Hana. Na pewno jego siostra już się dowiedziała o śmierci Mary. Kiedy poczuł tamto muśnięcie i odwrócił głowę, odniósł wrażenie, że patrzy w oczy żony.

Leia z pewnością by się odezwała, ale Luke wolał się z nią sam skontaktować.

Tenel Ka, o dziwo, wyglądała na zdenerwowaną.

- Niedawno odwiedził mnie Jacen - oznajmiła.

- Co takiego? - zainteresowała się nagle Jaina. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Złożył mi wczoraj wizytę - wyjaśniła królowa-matka. - Nie mam pojęcia, gdzie w tej chwili się podziewa, ale...

- Czy Kontrola Hapańskiej Floty rejestruje ruchy jego statku? - chciała wiedzieć Jaina. - Może się nam przydać każda, choćby najbliższa informacja.

Jacen musiał wyczuć śmierć Mary, jak wszyscy inni Jedi. Mógł znajdować się w pobliżu, kiedy Mara przyleciała w ślad za Lu-mią do tego systemu. Niathal stwierdziła jednak, że pułkownik Solo „załatwia sprawy SGS”. Luke nie odezwał się, ale w środku aż się gotował.

Tenel Ka kiwnęła głową jakby w końcu odzyskała panowanie nad nerwami.

- Wydam kapitanowi polecenie, żeby przekazał wam wszystkie dostępne informacje - powiedziała.

Kiedy wyszła, na twarzy Jaina pojawiła się żądza mordy.

- Nic nie mów - ostrzegł Luke.

- Jacen stał się dla mnie kimś zupełnie obcym - nie posłuchała go siostrzenica. - Musiałam to powiedzieć. I pamiętajcie, że mam zamiar go pobić, kiedy w końcu ośmieli się tu pokazać.

Luke objął ją i uściskał. W ogromnej sali audiencyjnej poczuł się nagle bardzo mały. W tej samej chwili usłyszał brzęczyk komunikatora. To Leia chciała z nim rozmawiać.

- Cześć - zaczęła. Nie tylko dotknęła go w Mocy, ale całego nią otoczyła. - Przylecimy tak szybko, jak się da. Bardzo mi przykro. Nawet nie masz pojęcia, jak ci współczuję.

W następnej chwili Han chyba wyszarpnął komunikator z jej dłoni.

- Mały, trzymaj się jeszcze jakiś czas - powiedział. - Nie kiwnij nawet palcem. Pozostaw wszystko nam. Czy Ben jest cały i zdrowy?

- Nie mam od niego żadnej wiadomości - stwierdził mistrz Jedi.

- Nic mu nie będzie. Przestań się zamartwiać. Niedługo się spotkamy.

Nie musiał mówić nic więcej. Najciekawsze, że ani razu nie wymówił imienia Jacena. Luke wyłączył komunikator i wsunął go z powrotem do kieszeni.

Cisza działała niczym nacisk na bębenki jego uszu, a odgłos oddychania chyba wypełniał całą salę. Bezszykownie usiłował sobie przypomnieć, jak brzmiały ostatnie słowa, które wypowiedział do żony.

- Chyba wiesz, o czym ja i Mara ostatnio rozmawialiśmy, prawda? - zapytała niespodziewanie Jaina. Robiła dokładnie to samo co on... przypominała sobie ostatnią rozmowę z ciotką. W jej oczach znów się zakręciły łzy. - To nie było nic ważnego. Powiedziałam jej, jak bardzo ją kocham i ile dla mnie zrobiła, a ona mi wypomniała, że zachowuję się jak głupia smarkula, tracąc energię na bezsensowne gierki z Zekkiem i Jagiem.

- Przestań się tym zadręczać - poprosił mistrz Jedi.

- Potrzeba było... aż tego, żebym mogła dorosnąć. - Jaina nadal nie mogła się przemóc, żeby powiedzieć otwarcie o śmierci Mary. - Teraz wszystko się zmieniło.

- Wiem. Wiem.

- To sprawka Lumi.

- Nie możemy być tego pewni.

- Rozsądny do ostatka, prawda, wujku Luke?

- W tej chwili żadne z nas nie myśli rozsądnie. - Luke nie chciał, żeby pod wpływem impulsu Jaina puściła się w pościg, pałając żądzą zemsty. Musiał nadać nowy kierunek jej myślom... w jakikolwiek sposób. - Dlaczego nie miałybyś porozmawiać o tym.. z Zekkiem albo z Jagiem? -

Nie miał pojęcia, do którego z tych dwóch mężczyzn jego siostrzenica chciałaby się zwrócić z prośbą o radę. - Oni muszą także się o tym dowiedzieć.

Jaina dyskretnie potarła czubek nosa i zaczęła okazywać dziwne zainteresowanie kunsztownie rzeźbioną nogą pobliskiego krzesła.

- Poinformuję ich o tym, ale skończyłam z tymi osobistymi głupstwami - oznajmiła. -

Zamierzam się skoncentrować tylko na jednym: Lumiya musi zapłacić za to, co zrobiła.

Podobno jestem Mieczem Jedi, a zatem najwyższa pora, żebym potraktowała to poważnie. Nic innego nie zasługuje bardziej na mój czas i moją uwagę.

Pełniący służbę kapitan wszedł do sali z komputerowym notesem i wyciągnął go do mistrza Jedi. Kiedy Luke się zawahał, Jaina sięgnęła po notes i zapoznała się z informacjami na ekranie. Wyraz jej twarzy powiedział Luke'owi, że to nie jest pomyślna wiadomość.

- Wolisz usłyszeć skróconą wersję, wujku Luke? - zapytała siostrzenica.

- Jak chcesz - mruknął mistrz Jedi.

- Mara przyleciała do przestworzy Hapes myśliwcem o kryptonimie Pięć-Alfa krótko po lądowaniu Jacena i poprosiła tych z Kontroli, żeby mieli oko na pomarańczowy kulisty statek ze skrzyżowanymi masztami, bo jej zdaniem naszemu nowemu przywódcy Galaktycznego Sojuszu może coś zagrażać - wyrecytowała Jaina.

Luke nigdy nie pozwalał się zwieść przypadkowym dowodom, bo wiedział, że dwa i dwa nie zawsze daje cztery, ale nie miał pojęcia, czy będzie miał okazję, żeby dowiedzieć się jeszcze czegoś. Nie wiedział, czy kiedykolwiek odnajdzie ciało Mary... nawet nie miał pewności, czy żona zostawiła gdzieś swoje doczesne szczątki. Nie mógł zignorować tej informacji.

- Jaino, chyba powinnaś zostawić to mnie - powiedział.

- Przed chwilą powiedziałeś, że żadne z nas nie myśli rozsądnie - przypomniała siostrzenica.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek zaczął działać, dysponując tylko połową faktów.

- A skąd weźmiesz pozostałą połowę?

- Mara... była moją żoną - odparł Luke. - Chcę się sam tym zająć.

- Nie powinieneś tego robić.

- Zależy mi na tym - oznajmił mistrz Jedi. - Nie odmawiaj mi tego prawa.

Jaina cofnęła się, jakby ją spoliczkował. Luke zdziwił się, bo przecież na nią nie krzyknął.

Może to nagły wybuch jego bólu dotarł do jej świadomości za pośrednictwem Mocy.

- Dobrze, wujku - odezwała się cicho młoda kobieta. - Ale wystarczy, że powiesz jedno słowo, a pospieszę ci z pomocą.

Luke spędził następne sześć godzin, nadaremnie usiłując się zdrzemnąć. Nadal nie miał żadnej wiadomości od Jacena. Jak określała to Jaina, jej brat „zniknął z ekranu”. Nie pojawiła się także żadna wiadomość od Bena, ale chłopak miał przynajmniej dobry powód.

Poszukiwania myśliwca Pięć-Alfa podjęto na nowo bardzo wcześnie następnego ranka.

Mandalora, Keldabe

Z linii produkcyjnej w hangarze zjechał czwarty Bes 'uliik i od razu przyciągnął badawcze spojrzenia grupy zakutych w pancerze milczących mężczyzn. Stali w typowo mandaloriańskiej, sceptycznej pozie z zaplecionymi na piersi rękami, ale kiedy myśliwiec nagle ożył, a strumień kierowanego w dół powietrza wzbudził chmurę pyłu, wszyscy zaczęli bić brawo.

- Oya! - krzyknęli.

Tak, naprawdę uznali, że wszystko w porządku. Fett przyglądał się maszynie z pewną dumą.

Wysokie częstotliwości w dźwięku silników przyprawiły go o ból zatok.

- Kto mówi, że wydział dostaw sił zbrojnych się ociąga? - zapytał Medrit. Nie miał hełmu, ale hałas mu nie przeszkadzał. Był kowalem, a kowale miewali osłabiony słuch z powodu wykonywanej pracy.
- Rekordowo krótki czas.

- Jeszcze tylko pół miliona takich jak ten i znów zaczniemy się liczyć - stwierdził Fett.

- Tu nie chodzi o liczby, Mand'alor - usłyszał w odpowiedzi. - Nigdy zresztą nie chodziło.

Myśliwiec wyglądał wyjątkowo elegancko... może dlatego, że bez wysiłku unosił się w powietrzu i wykonywał wszelkie manewry, a może dzięki charakterystycznemu basowemu dźwiękowi jednostek napędowych. Łowca nagród wątpił jednak, czy maszyna wyglądałaby równie pięknie, gdyby ostrzeliwała z orbity jakieś miasto. Zamierzał zgłosić się na ochotnika do odbycia próbnego lotu.

Mandalora „wracała do życia”, jak lubił to określać Beviin. I wracała coraz szybciej, bo z diaspory przylatywało coraz więcej Mandalorian. Kilka tysięcy repatriantów tygodniowo mogło nic nie znaczyć dla trylionowej ludności miasta-planety w rodzaju Coruscant, ale Mandalora z powodu napływu tylu osób zaczynała „trzeszczeć w szwach”.

- Można by pomyśleć, że tak duża planeta jak ta poradzi sobie z garstką imigrantów -
stwierdził Fett.

- Kiepska infrastruktura. - Medrit wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć start następnego Bes
'uliika. - Musimy to zmienić. Cztery miliony osób było zawsze miłą stabilną liczbą ludności, dopóki
wszystkiego nie pokręcili krabopodobni chłopcy.

- Ilu jeszcze może przylecieć w najczarniejszym scenariuszu?

- Nikt tego nie wie - odparł Medrit. - Prosiłeś, żeby wróciły dwa miliony, a ja ośmielę się twierdzić,
że twoje życzenie się spełni.

Fett cały czas się zdumiewał zdolnością ziomków do przenoszenia się z miejsca na miejsce, ale
Mando'ade zawsze byli nomadami... w końcu nawet on czuł się szczęśliwszy na pokładzie

„Niewolnika 1”, niż gdyby miał dach nad głową.

- Zawsze jestem zachwycony, kiedy ludzie robią cokolwiek bez potrzeby wywieszania ich za okno -
powiedział.

- Czasami wystarczy poprosić - uśmiechnął się Medrit. - Przeczytaj Resol'nare. Znajdziesz tam sześć
podstawowych zasad Mando. Jedną z nich jest spieszenie na pomoc Mandalorze w potrzebie.

- Pożyteczne - stwierdził Fett. - Ale niestety nie zawsze tak się dzieje.

Zaczynał dostrzegać podobieństwa między planetą Mandalorą a jej przywódcą Mandalorem.

Rozumiał także, dlaczego mieszkańcy innych planet nie widzą różnicy między tymi dwoma
określeniami. Zawsze uważał się za figuranta, bo Mandalorianie przywykli do tego, że traktuje się ich
jak wyrzutki społeczeństwa i obwinia o wszystko. A teraz Fett powracał do zdrowia, a planeta
odzyskiwała dawną świetność. Pod tym względem radziła sobie lepiej niż reszta galaktyki, która
kolejny raz rozdarła się na kawałki. Z drugiej strony jednak handel bronią i wojskowymi talentami
zawsze się opłacał, więc można było się spodziewać takiej korelacji.

- Pora na świętowanie - odezwał się Medrit. - Co prawda skromne. Zapraszam wszystkich do baru. -
Spojrzał na Fetta.

- Stawiasz pierwszą kolejkę.

Po drodze łowca nagród uświadomił sobie, że od dawna nie czuł się tak zadowolony z życia.

Nie brakowałoby mu niczego, gdyby nie kilka niezakończonych spraw. Ciężko mu to, kiedy miał umrzeć, a teraz też nie dawało spokoju.

Jedną z tych spraw był Jacen Solo.

W końcu wszystko sprowadzało się zawsze do Jedi i do rozłamów w łonie ich Zakonu.

- To prawda, mówię ci. Została zamordowana - perorował Beviin w pubie Oyu 'baat, w którym podawano słodkie, lepkie netra 'gal i gdzie nigdy nie brakowało narkolety. - W Gromadzie Hapes trwają zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Znosi się na poważne kłopoty.

Fett odwiedzał pub raz w tygodniu, po części dlatego, że zdaniem Mirty to było dobre dla morale, ale głównie dlatego, że prosił go o to Beviin. Łowca nagród chciał, żeby po jego śmierci przyjaciel został następnym Mandalorem, chociaż na ogół spodziewano się, że Fett przygotowuje Mirtę do pełnienia tego obowiązku.

- Czyżbym trafił na posiedzenie gabinetu? - zapytał.

Ministrami rządu Fetta zostali przywódcy klanów i sąsiedzi, z którymi zazwyczaj sączył piwo w pubie. Gdyby jednak ktoś naprawdę chciał zwołać takie posiedzenie - Mando 'ade uznałoby taką sytuację za bardzo niezdrową, w stylu aruetiise. -

„Ministrowie” godzili się obradować tylko siedząc w pubie przy buy 'ce gal, szklanicy piwa.

- Witaj na spotkaniu członków komisji spraw zagranicznych

- powiedział Beviin. - Zaginęła Mara Skywalker. Prawdopodobnie nie żyje.

- Skąd wiedzą, że nie żyje, skoro ciało znika w kłębach dymu?

- mruknął Carid. Razem z Medritem, Dinuą i Mirtą grał w jakąś grę planszową. Mirta posługiwała się przy tym sztyletami o krótkiej rękojeści. Fett przyglądał się grze z boku, bo nie potrafił zapamiętać jej reguł. - Bo znika, nie mam racji?

Łowca nagród pomyślał o swojej kolekcji świetlnych mieczy.

- Czasami tak się dzieje - przyznał niechętnie.

Wykorzystując hełm jako podnózek, Carid mrugnął porozumiewawczo.

- A zatem co mówią specjaliści od medycyny sądowej? - zapytał. - Jakie mają dowody na to, że Mara Skywalker nie żyje?

Dinua dźgnęła planszę ostrzem sztyletu, a uczestnicy gry mruknęli:

- Kandosii, świetnie.

- Wyczuwają to dzięki Mocy - oznajmiła.

- Podobno ich syn także zaginął. - Carid głośnym parsknięciem dał wyraz dezaprobacie. - Co za rodzice z tych Jedi?

Fett nie zamieniłby się na miejsca z żadnym członkiem rodziny Skywalkerów ani Solo. Obie dynastie były tragicznie nieszczęśliwe i chociaż nikt mu nie płacił za okazywanie współczucia, łowca nagród dobrze rozumiał, czym jest strata jednego z rodziców albo dziecka.

- Jakież wieści o Jacenie Solo? - zapytał.

- Jego imię rzeczywiście wypłynęło przy tej okazji.

- A to ci niespodzianka - mruknął łowca nagród.

- Wypłynęło także imię Lumii... inaczej zwanej ShirąBrie.

Fett pamiętał z przeszłości to imię i nazwisko. Niektóre wspomnienia jakoś nie chciały go opuścić.

- Za czasów Vadera wszystko przebiegało jakoś sprawniej - zauważył.

- Cały czas czekam na wymierzenie sprawiedliwości mordercy mojej matki - odezwała się cicho Mirta. - Jeżeli nikt inny nie poderżnie gardła Jacenowi Solo, ja to zrobię.

Od dłuższego czasu o tym nie wspominała. Wszyscy, dosłownie wszyscy, w napięciu czekali, jaką zemstę wymyślił Fett dla szczenięcia rodu Solo. Im dłużej czekali, tym bardziej się spodziewali, że zemsta będzie okrutna, ale sprawiedliwa. Fett dostrzegł jednak w oczach wnuczki, żal. Jeżeli jej dziadek był najskuteczniejszym i najbardziej brutalnym łowcą nagród w galaktyce, dlaczego do tej pory nie zrobił jej prezentu ze ściągniętej skóry Jacena Solo?

Pod jednym względem Jedi mieli rację. Niepohamowany gniew stanowił kiepski motyw działania. Fett pomyślał, że musi nauczyć wnuczkę cierpliwości... to najlepsze dziedzictwo, jakie mógł jej pozostawić w spadku.

- Medrit, chcę wysłać podarunek Hanowi Solo - powiedział.

- Ładny karbonitowy stół? - zażartował drugi Mandalorianin.

- Opancerzone beskarem rękawice, żeby mógł sam zadusić swoje robaczywe nasienie - odparł

łowca nagród. - A także kilka płytek pancerza i niewielki sztylet.

- Opakowane jak urodzinowy prezent i zadedykowane: „Proszę, zabij swojego syna, zanim my to zrobimy”? - domyślił się Medrit.

- Wystarczy: „Z wyrazami najgłębszego współczucia”.

A Fett naprawdę współczuł Hanowi. Poczulby się paskudnie, gdyby to jego syn tak bardzo go rozczarował.

Gromada Hapes

Luke poszedł po rozum do głowy i postanowił na czas swojej nieobecności powierzyć Corranowi Hornowi kierowanie pracami Rady Jedi. Nie był pewny, czy sobie mógłby zaufać.

Nawet w normalnych okolicznościach nie wahałby się ani chwili, a obecna sytuacja odbiegała od normalnej tak daleko, jak tylko to było możliwe.

Jeżeli nie liczyć Bena, stracił w życiu wszystko, co radowało jego serce, ale pierwszy raz od wielu lat czuł się znów sobą. Myślał jaśniej niż kiedykolwiek. Wiedział, co musi zrobić, i pozbył się wszelkich wątpliwości, co jest dobre, a co złe. Odczuwał ból po stracie żony, ale tym wyraźniej widział przed sobą szlak, którym musi kroczyć.

Tym bardziej że wzywały go od dawna niesłyszane głosy.

Siedząc w kabinie myśliwca StealthX, krążył po Ulotnych Mgłach. Zastanawiał się, czy do tego rejonu galaktyki nie przywiodły go zjawy wytwarzane przez silną jonizację, która zakłócała sygnały sensorów. Kolejny raz powiększył swoją obecność w Mocy.

Nagle z zamyślenia wyrwał go alarmowy sygnał komunikatora. Mistrz Jedi usłyszał głos Corrana.

- Luke, nie możemy tego zignorować - odezwał się Horn. - Wszyscy się rwą, żeby lecieć ci na pomoc.

- Czekam tylko na reakcję jednej osoby, przyjacielu - odparł Luke. - A ona właśnie nadlatuje.

Niemniej dziękuję.

- Co to znaczy: nadlatuje? - zaniepokoił się Corran.

- Lumiya - wyjaśnił mistrz Jedi. - Coraz wyraźniej wyczuwam jej obecność.

- To pułapka, Luke.

- Nie tylko dla mnie. Dla niej też.

- Za bardzo ci to ułatwia.

- Corranie, nie martw się o mnie...

- Wiesz, że wszyscy z radością by cię w tym wyręczyli.

- Wiem - przyznał Luke. - I właśnie dlatego muszę zrobić to sam.

Wyczuwał Lumię tylko dlatego, że Ciemnej Jedi właśnie na tym zależało. Zastanowił się, ile razy Lumiya mijała go, niezauważona i niewykryta, i gratulowała sobie, że tak dobrze potrafi ukrywać swoją obecność w Mocy. Pomyślał o ręce, którą mu podała po poprzedniej walce, i przypomniał

sobie, że wówczas nie wykrył u niej złych zamiarów. Jej umiejętność wywodzenia przeciwników w pole robiłaby wrażenie, gdyby się nie czuł tak bardzo zdradzony... przez własną łatwowierność.

Mara miała zwyczaj twierdzić, że jej mąż zrobiłby wszystko, a nawet jeszcze więcej, byleby tylko dostrzec w każdym coś dobrego.

- Dzisiaj nie będę się o to starał - szepnął do siebie. - Mowy nie ma.

Nawet niespecjalnie tęsknił za Marą. Aby odczuwać tęsknotę za kimś, trzeba się pogodzić z tym, że ten ktoś nie żyje. Tymczasem Luke czuł się tak, jakby Mara wciąż mu towarzyszyła, chociaż denerwująco milcząca i niewidoczna. Wzdrażał się na myśl o chwili, kiedy w końcu sobie powie: „Tak, odeszła, naprawdę odeszła. Już nigdy nie wejdzie przez drzwi i nie zacznie narzekać, jak bardzo zatłoczone są ostatnio napowietrzne szlaki”.

W rejonie Ulotnych Mgieł roiło się od piratów i bandytów, ale Luke się tym nie przejmował.

Cały czas krążył spokojnie niedaleko Tephrona i w końcu wrażenie, że kątem oka widzi kogoś lecącego do niego, zmieniło się w świadomość, że znajduje się z tą osobą w jednym pomieszczeniu. Mistrz Jedi obrócił swój myśliwiec o trzysta sześćdziesiąt stopni we wszystkich trzech płaszczyznach, ale na jakiś czas zignorował wskazania sensorów i podszepty zmysłów Mocy, bo chciał zobaczyć nadlatujący obiekt na własne oczy. Wolałby się czuć jak pogrążony w żałobie mąż, nie jak mistrz Jedi. Włączył komunikator.

- Wiedziałem, że znajdziesz dla mnie czas - powiedział.

Zastanowił się, czy Lumiya go usłyszała.

W następnej chwili usłyszał trzask z głośnika komunikatora. Zauważył, że głos Lumii jest ciągle młody. Nigdy dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nie widziałam już sensu w ucieczce, Luke - odezwała się kobieta-Sith. - Zakończmy to, dobrze?

Luke dokładnie tak wyobrażał sobie jej statek. Nadlatująca sfera miała chropowatą czerwono-pomarańczową powierzchnię i tak bardzo przypominała twór organiczny, że mogłaby znaleźć uznanie nawet w oczach Yuuzhan Vongów. Skrzyżowane maszty i płetwopodobne lotki nadawały jej wygląd drapieżnika.

- Musiałam się upewnić, że zginęła - dodała Lumiya. - Wcześniej czy później i tak byś to zrozumiał.

Nie otworzyła ognia, a sfera zastopowała i zawisła w przestworzach zupełnie nieruchomo.

Luke zastanowił się, czy jej nie zestrzelić. Już kiedyś się na coś podobnego zdecydował, ale pilotka - Shira Brie - jakimś cudem przeżyła, chociaż odniosła potworne obrażenia. Została potem cyborgiem, z którym obecnie miał do czynienia. Nie, tym razem musiał skończyć z przeciwniczką raz na zawsze.

Sfera obróciła się w kierunku Tephrona i zaczęła coraz szybciej lecieć w stronę planety. Luke puścił się za nią w pościg. Obie jednostki, sfera Sithów i myśliwiec StealthX, cały czas

przyspieszały, aż mistrz Jedi zaczął się obawiać, że Lumiya zamierza roztrzaskać sferę o powierzchnię.

O nie, nie uda ci się popełnić samobójstwa, pomyślał. Jesteś moja.

Zachował jednak tę myśl dla siebie, bo właściwie nie miał Lumii nic do powiedzenia.

Zauważył, że lecąca przed nim sfera zaczyna się oddalać. Przyspieszył i zmniejszył dzielącą ich odległość. Powinien ją chyba przechwycić, żeby nie wleciała z tak dużą szybkością w górne warstwy atmosfery. Gdyby Lumiya rozbiła się o powierzchnię, pozbawiłaby go okazji stoczenia z nią ostatecznej walki.

I wymierzenia jej sprawiedliwości, pomyślał. Nie zapominaj o tym. Musi zapłacić za śmierć Mary.

Jego myśliwiec StealthX osiągnął maksymalną prędkość, zalecaną w instrukcji obsługi. Luke zbliżył się do sfery jeszcze trochę i ostrzegawczo zmienił położenie jednej pary skrzydeł, aby Lumiya nie miała wątpliwości, że zamierza ją przechwycić. Kobieta-Sith chyba nie wiedziała, że Luke dysponuje generatorem promienia ściągającego, ale powinna się już tego domyślić.

Luke zajął pozycję za kulą i wysłał wiązkę ściągającą o niewielkim natężeniu, żeby spowolnić sferę i zwrócić uwagę jej pilotki. Mógłby przysiąc, że wyczuł czyjś protest, i odgadł, że to sfera skarży się na bezceremonialne traktowanie.

Lumiya chyba zrozumiała jego zamiary, bo zwolniła. Luke wyłączył generator promienia ściągającego, zanim oboje wpadli w górne warstwy atmosfery. Od czasu do czasu zbliżał się do niej na niebezpieczną odległość. Chciał ją zmusić do lądowania na płaskowyżu, który górował

nad zbudowanym w typowo hapańskim stylu miastem, pełnym drzew i przestronnych ogrodów.

Wyskoczył z kabiny, chwycił oburącz rękojeść świetlnego miecza i zaczekał, aż kobieta-Sith opuści bezpieczną kryjówkę we wnętrzu niezwykłego statku. Zauważył, że z boku kuli pojawiła się szczelina, z której rzeczywiście wyszła Lumiya. Zastanowił się, czy statek go zaatakuje, podobnie jak kiedyś powstrzymał jego żonę. Sfera spoczywała zupełnie nieruchomo i mistrz Jedi nawet jej nie wyczuwał.

- Daj spokój, Luke, zakończmy to wreszcie - odezwała się Lumiya. - Mara na pewno by tego chciała, prawda? - Uniosła rękę do twarzy i zdarła woalkę zasłaniającą wszystko z wyjątkiem oczu. Potem sięgnęła za plecy i powoli wyciągnęła świetlny bicz. - Nie zamierzam ci przypominać, że to przez ciebie odniosłam te wszystkie obrażenia. Po prostu chcę, żebyś widział, z kim stoczysz walkę.

- Widzę. - Luke wysunął klingę świetlnego miecza i poczuł się zdecydowanie lepiej. - Możesz być pewna, że wszystko zakończy się tu i teraz.

Do tej pory zdążył się dowiedzieć, czym jest świetlny bicz. Dawniej wykorzystywał shoto jako dodatkową broń pomagającą stawiać czoło groźnym żywiołom świetlnego bicia - materii i energii, ale obecnie doszedł do przekonania, że da radę pokonać Lumiye, walcząc tylko świetlnym mieczem, który zawsze odgradzał go od ciemności. Trzymając rękojeść oburącz nad głową powoli zatoczył nią

krąg i zaczął obchodzić przeciwniczkę.

Lumiya uniosła rękę, żeby wykorzystać okazję do zadania ciosu. Kiedy strzeliła z bicz, błyskawice mrocznej energii wbiły się ze skwierczeniem w grunt przed stopami mistrza Jedi.

Luke odskoczył do tyłu, ale zaraz dał susa do przodu. Ciął klingą świetlnego miecza z prawej ku lewej, ale Lumiya sparowała jego cios rękojęścią bicz. Luke odskakiwał kilka razy poza zasięg śmiertelnych sznurów jej broni i dopiero kiedy kobieta-Sith przestała nią wymachiwać, zbliżył się do jej właścicielki.

- Aż tak bardzo mnie nienawidzisz? - zapytał.

- Wcale nie żywię do ciebie nienawiści.

- Zabiłaś ją. Zabiłaś moją Marę.

- To nie było nic osobistego. - Lady Sithów uśmiechnęła się, ale tylko oczami. - Robię tylko to, co przysięgałam Imperatorowi. Służę ciemnej stronie. Przysięgi są ważne, Luke. W końcu tylko one ci zostają.

Odchyliła rękę za głowę i strzeliła w powietrzu z bicz, ale chybiła przeciwnika, chociaż zaledwie o kilka centymetrów. Luke doskakiwał do niej kilkakrotnie, ale za każdym razem musiał się cofać. Liczył na to, że wcześniej czy później Lumiya zmęczy się i opadnie z sił.

On zresztą także.

Kiedy jego przeciwniczka zaczęła unosić rękę do kolejnego uderzenia, podbiegł do niej tak blisko, żeby nie mogła nadać końcówkom bicz maksymalnej, śmiertelnej prędkości.

Musiała się cofać, krok po kroku, jeżeli chciała odzyskać swobodę ruchów.

Jeden... dwa... trzy... cztery. Za każdym razem blokowała jego ciosy, nadstawiając rękojęść w tę lub w inną stronę. Wykorzystywała bicz jak krótki świetlny miecz, żeby odpierać jego ciosy, ale Luke nie przerywał ataku ani nie zmieniał kierunku. Kierował ją nieuchronnie niczym taran w stronę skraju płaskowyżu. Miała do niego najpierw kilka metrów, później krok, aż wreszcie stanęła na krawędzi.

Chwyciła oburącz rękojęść świetlnego bicz jak pałkę i zablokowała cios świetlnego miecza, zadany z góry w dół. Kilka sekund oboje stali nieruchomo, napierając na siebie i tylko stękając z wysiłku, bo naprawdę nie mieli sobie nic do powiedzenia.

W pewnej chwili wysunięta do tyłu noga Lumii ześlizgnęła się z nierównej i "popękanej krawędzi płaskowyżu. Gładkie błyszczące kamienie pod jej stopą zaczęły się kruszyć.

Luke wyciągnął drugą rękę i podtrzymał przeciwniczkę, zanim zdążyła runąć w przepaść. Z

ręki Lumii wyleciała rękojęść świetlnego bicz, odbiła się kilka razy od skalnej ściany i zniknęła. Luke odchylił się do tyłu i powierzył piętom ciężar ciała. Z wysiłku zbieleły kostki jego palców.

Zastanawiał się ułamek sekundy, czy nie lepiej byłoby pozwolić jej spaść, żeby zapamiętać widok jej znikającej twarzy, ale nie chciał widzieć otwartych ust Lumii ani słyszeć jej cichnącego krzyku. Nie zamierzał kończyć tej walki w taki sposób.

- Nie pozwoliłbym ci spaść - powiedział, odciągając ją w bezpieczne miejsce. Kiedy Lumiya się wyprostowała, spojrzął w jej oczy - niezwykle spokojne oczy - po czym machnął poziomo klingą świetlnego miecza i odciął jej głowę.

Dopiero wtedy mógł znów zacząć oddychać.

Kavan: Tunele odprowadzające burzową wodę

Ben siedział bardzo długo w tunelu obok matki i sam ten fakt stał się początkiem jego śledztwa.

W pierwszej chwili jeszcze się łudził, że mama tylko pogrążyła się w głębokim leczniczym transie, ale Moc nigdy nie kłamała, a pustkę, która się w niej wytworzyła, wyczuliby i zrozumieli wszyscy Jedi.

Nigdy w tamtym miejscu nie był, ale pobiegł prosto do niej i w końcu ją odnalazł. Chciał

wierzyć, że mama wciąż żyje, bo jej ciało nie zniknęło. Jeżeli nie liczyć kilku krwawych śladów i zadrapań po ostatniej walce, Mara wyglądała tak jak wówczas, kiedy ją ostatnio widział.

Usiadł obok niej i postanowił cierpliwie czekać.

Miał ochotę obmyć jej twarz, aby mama stała się znów piękna, ale podczas szkolenia w SGS

dowiedział się, że nie wolno niszczyć dowodów ani zmieniać czegokolwiek na miejscu zbrodni.

Ben - czternastoletni dzieciak, zagubiony i zrozpaczony - bardzo chciał, żeby mama była tylko pogrążona w głębokim transie. Ben - porucznik znał prawdę, ale nie zdradził jej czternastolatce. Postarał się jednak dokładnie zapamiętać wszystko, co zobaczył na miejscu walki. Zarejestrował holowizerunki, zapisał w pamięci zapachy, dźwięki i wszystkie inne ulotne dane, a później zaczął układać logiczną sekwencję, która miała mu wyjaśnić, w jaki sposób zginęła jego matka.

Nadal siedział obok niej, starając się zapamiętać wygląd każdego centymetra jej skóry i każdej drobiny ceglanego pyłu na jej kurtce. Wreszcie usłyszał, że ktoś przedziera się ku niemu przez ceglane rumowisko.

Uświadomił sobie, że nie wyczuwa tej osoby w Mocy.

- Cześć, Jacenie - powiedział, odwracając się w jego stronę.

Starszy kuzyn spojrzął na Marę i otworzył lekko usta, jakby ze zdumienia. Patrzył długo na ciotkę, zanim przeniósł spojrzenie na jej syna. Wyciągnął do niego rękę.

- Wszystko w porządku, Benie - powiedział. - Wszystko w porządku. Dopadniemy tego, kto to zrobił.

Przysięgam ci, że kimkolwiek jest ta osoba, nie ujdzie jej to na sucho.

Ben ukrywał swoją obecność w Mocy, a jednak Jacen go odnalazł. Chłopak uświadomił sobie, że czas wrócić do ojca. Bardzo chciał się z nim znów zobaczyć.

Pomyślał, że może śmierć jego matki pozostawiła w Mocy ślad, którym kierował się Jacen, zapuszczając się w głąb tego tunelu, a on prawdopodobnie był zbyt zdenerwowany, aby zwrócić na to uwagę.

Mimo to postanowił zapisać i ten fakt w pamięci.

ROZDZIAŁ 23

Prawnicy byłego przywódcy Galaktycznego Sojuszu, Cala Omasa, ostro skrytykowali Wydział

Sprawiedliwości za opóźnienie w przedstawieniu zarzutów ich klientowi. Omas, który przebywa obecnie w areszcie domowym, podobno nalega na publiczny proces. Rzecznik prasowy SGS

oznajmił dzisiaj, że śledztwo nie zostało jeszcze zakończone.

z biuletynu informacyjnego HoloNetu

Mandalora, Keldabe, pub Oyu'baat

Venku - Kad'ika - wszedł do pubu i od razu skierował się do stolika, przy którym siedzieli Fett i Mirta. Ruchem głowy wskazał na kogoś, kto został przy drzwiach.

- Twierdzi, że może to zrobić - powiedział. - Wcześniej nie chciał obiecywać, że odczyta informacje zawartą tym klejnocie, bo się obawiał, że może nie dać rady. Nie lubi sprawiać zawodu.

Starzec, który kilka dni wcześniej wszedł do domu, żeby rzucić okiem na Fetta i na Kad'ikę, podszedł powoli do stolika. Zdjął rękawicę i wyciągnął poznaczoną starczymi plamkami, drżącą rękę.

- Mogę to zrobić - powiedział. - Pozwólcie mi potrzymać ten kamień.

Mirta chwilę się zawahała, ale zdjęła naszyjnik i wręczyła go Fettowi.

- A zatem jesteś Kiffarem - domyślił się łowca nagród. Mandalorianie byli istotami różnych ras i pochodzili z wielu planet, ale jeśli ktoś uważał się za Mandalorianina, nie zmieniało to jego profilu genetycznego. - Nie będę już musiał wyruszać w daleką drogę.

- Ja... znam tę planetę - przyznał starzec.

- Jaka jest twoja cena? - zapytał Fett.

- Twój spokój ducha, Mand'alorze - odparł jego rozmówca. - Nikt nie powinien szukać nadaremnie miejsca spoczynku swoich ukochanych.

Fett się tego nie spodziewał. Zauważył, że wyciągnięta ku niemu ręka jakby mniej drży.

Chwycił klejnot za skórzany rzemyk i położył go na dłoni starca, a sam usiadł obok z pozornie obojętną miną.

Starzec zamknął klejnot w dłoni i zaczął się wpatrywać w swoją rękę, powoli i z wysiłkiem oddychając.

- Była bardzo nieszczęśliwa, prawda? - zapytał w końcu.

Każdy mógłby się tego domyślić. Prawdopodobnie starzec mówił to samo wszystkim zranionym i samotnym osobom, którym zdarzało mu się udzielać rad. Szarlatani i oszuści umieli obserwować reakcje swoich rozmówców. Fett nie powiedział starcowi niczego, co mogłoby mu pomóc w dalszym zgadywaniu, nie zmienił też obojętnego wyrazu twarzy, bo to mogłoby zdradzić jego myśli.

- A po tobie nie obdarzyła zaufaniem żadnego innego mężczyzny.

Fett siedział nadal w milczeniu, z nogą na sąsiednim krześle. Sintas nigdy nikomu nie ufała.

Łowcy nagród byli nieufni z natury, więc starzec mógł się i tego łatwo domyślić.

- Przeżyła najgorszy okres, kiedy twoja córka uczyła się mówić i zapytała: „A gdzie jest tata?”.

Fett zaczynał powoli mieć tego dość. Poruszył się niespokojnie na krześle i postanowił zignorować głos, który mu szeptał, że to może być prawda. A zresztą skąd miał to wiedzieć?

Nie mógł zweryfikować słów starca. Do tamtej pory zdążył się rozstać z Sintas i nigdy więcej nie zobaczył Ailyn, swojej córki.

Zobaczyłem dopiero jej zwłoki, przypomniał sobie.

- Pomyślała jednak, że nadal ci na nich zależy, kiedy odzyskałeś dla niej tamten hologram.

Tego starzec nie mógł się domyślić. To była bardzo... dyskretna informacja. Najważniejsze jednak, że prawdziwa. Fett nie ośmielił się spojrzeć na Mirtę. W pubie zrobiło się tak cicho, że trzask bierwion płonących w kominku brzmiał niczym eksplozje ładunków wybuchowych na polu bitwy.

- Jej zdaniem byłeś o wiele za młody, żeby wiedzieć, na co się decydujesz - podjął starzec. - A ty powiedziałaś: „Muszę wiedzieć tylko tyle, że jesteś piękna, że jesteś dla mnie najważniejsza i że mogę ci ufać na tyle, na ile odważę się zaufać jakiegokolwiek kobiecie”.

Fett poczuł świerzbienie skóry głowy. To były jego własne słowa. Tak nieprzemyślanej i głupiej odpowiedzi nikt nie mógł wymyślić na poczekaniu. Starzec musiał się tego skądś dowiedzieć, a obecnie daje przedstawienie, pomyślał. Ale kto mógł mu to powiedzieć?

Sędziwy Mandalorianin zaczerpnął powietrza i zawahał się przed następnymi słowami:

- Zapewniałeś ją że zmusisz Lenovara, aby zapłacił za to, co jej zrobił, a ona próbowała cię od tego odwieść...

Fett nie mógł dłużej tego znieść.

- Wystarczy - powiedział. Wyciągnął do starca rękę wnętrzem dłoni do góry. - Już wiem, że umiesz czytać informacje zapisane w takich kamieniach.

Venku spuścił głowę. Fett nie widział jego twarzy, ale był pewny, że na twarzy młodszego mężczyzny malują się gniew i duma.

Stary Mando zareagował łagodniej niż jego ochroniarz.

- Po prostu mi powiedz, co chcesz wiedzieć - odezwał się cicho. - Rozumiem, że to może być bolesne.

Mirta nie dała dziadkowi czasu na udzielenie odpowiedzi. Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia, bo łowca nagród i tak nie mógł się przemóc, żeby coś powiedzieć. Wszyscy pewnie myśleli, że jest, jak zawsze, milczący i gburowaty.

- Chcę wiedzieć, jak babcia spędziła ostatnie godziny życia

- odezwała się Mirta. - Chcę odnaleźć jej ciało.

Starzec położył ogniste serce na stoliku i zdjął hełm. Miał drob- nokościstą, szczupłą twarz, ozdobioną rzadką brodą, bielszą niż jego siwe włosy, w których wciąż jeszcze było widać jasnoblonde pasma. Na jego skórze perliły się krople potu, jakby przywoływanie wspomnień i śladów z przeszłości, zapisanych w strukturze kamienia, wymagało od niego dużego wysiłku.

Nie miał na twarzy kiffarskiego tatuażu. Mirta także go nie miała, chociaż Ailyn uważała się za stuprocentową Kiffarkę. W niektórych zawodach taki niezmywalny identyfikator miał swoje wady.

- Klejnot nie przekazuje mi wspomnień w porządku chronologicznym - oznajmił weteran. -

Widzę je w przypadkowej kolejności, niczym retrospekcje. Dostrzegam wizerunki, słyszę dźwięki, wyczuwam aromaty i tak dalej. Wykrycie w tym sensu wcale nie jest proste.

Położył hełm na stoliku i sięgnął po klejnot. Tym razem ścisnął go obiema dłońmi. Venku położył rękę na jego ramieniu, a Fett poczuł się dziwnie zaniepokojony.

- Czy chcecie, żebym... wykrył akty przemocy? - zapytał starzec.

Łowca nagród spojrział na wnuczkę, ale nie po to, żeby uzyskać jej zgodę. Chciał dać jej do zrozumienia, że nie może tu nic pomóc. Na jej czole zauważył zmarszczki, ale w oczach nie dostrzegł łez. Młoda kobieta nie była specjalnie urodziwa, ale miała silną strukturę kostną.

- Znajdziesz ich tam co niemiara - oznajmiła. - Była łowczy- nią nagród.

- Nie ma tu ciebie, Mirto... - zaczął stary Mando, z całej siły zaciskając powieki.

- Zginęła przed moim urodzeniem - wyjaśniła młoda kobieta.

- Chcę wiedzieć, kto ją zabił.

W pubie było teraz trochę więcej osób. Fett powiódł spojrzeniem po sali i odchylnym kciukiem wskazał drzwi.

- Wyjdźcie - rozkazał. - Dam wam znać, kiedy będziecie mogli dopić trunki.

Ja też chcę wiedzieć, kto ją zabił, uświadomił sobie. To wydarzyło się bardzo dawno, ale chcę to wiedzieć.

- Nosiła to cały czas. - Starzec skrzywił się jakby z bólu, więc Venku uściśnął jego ramię. -

Prawie zawsze była zagniewana i przerażona. Tyle osób przechodzi przez to miejsce... ale ja cały czas wracam do mapy Phaedy. Czerwone niebo i ktoś, za kim podążała. Resada? Rezoda?

Mirta patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Nawet nie zamrużyła.

- Babcia nie powiedziała nikomu, dokąd się udaje ani kogo zamierza upolować - oznajmiła.

Starzec otworzył oczy i chrapliwie odetchnął.

- Phaeda - powiedział. - To, co ją spotkało, wydarzyło się na Phaedzie. - Odchylił się do tyłu i spojrzał na klejnot. - Walczyła, żeby tego nie zgubić. Stoczyła zaciętą walkę.

Fett nie odważył się nawet przełknąć śliny. Był pewny, że wszyscy słyszeli słowa starca.

- Przegrała - mruknął.

- Chcę wiedzieć - odezwała się Mirta.

Venku podszedł do stolika.

- Ma dosyć. Może później - zdecydował. Sięgnął po hełm starca i spróbował pociągnąć go do wyjścia. - Chodźmy - powiedział.

- Nie mam pojęcia, kiedy to się stało - mówił dalej weteran, uwalniając się z rąk ochroniarza. -

Wiem jednak, że to wydarzyło się na Phaedzie. Bardzo mi przykro. Naprawdę przykro.

Podał klejnot Mircie. Podał go jej oburącz, jakby trzymał żywe pisklę. Fett nigdy nie czuł się swobodnie w obecności ludzi, którzy umieją czytać w myślach.

- Wszystko w porządku - zapewniła Mirta. - Dużo mi pan powiedział i jestem za to bardzo wdzięczna. Proszę pozwolić, że postawię panu piwo.

- Może kiedy indziej, ner ad'ika, moja córko - odparł Venku. - W każdym razie dziękuję.

Mirta odprowadziła ich spojrzeniem i zaczęła, aż drzwi się zamkną. Kiedy się znów odwróciła do dziadka, do pubu zaczęli wracać wyproszeni przedtem goście. Wyraźnie niezadowoleni, omijali ich stolik szerokim łukiem.

- I co? - zapytała Mirta. - Miał rację, Ba 'buir

Fett wzruszył ramionami. Słowa starca nim wstrząsnęły, podobnie jak wszystkie bolesne wspomnienia, które nieproszone napłynęły do jego umysłu.

- Co do joty - powiedział.

- No cóż, możemy podążyć tym tropem - zaproponowała wnuczka.

Łowca nagród poczuł przerażenie na myśl o tym, co starzec zobaczył w klejnocie. Starzec, pomyślał, dobre sobie. Mężczyzna był może dziesięć, najwyżej piętnaście lat starszy niż on.

- Jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie byłem na Phaedzie - powiedział.

Właściciel pubu postawił na kontuarze kilka kufli z piwem.

- A zatem znasz Kad'ikę, Mand'alarze - zauważył.

- Ta-a - mruknął Fett. - Jasne, że znam.

- A towarzyszący mu starzec... nieczęsto się go tu widuje - ciągnął właściciel. - Podobno nazywa się Gotab. Myślałem kiedyś, że to ojciec Kad'iki, ale chyba nim nie jest.

Fett nigdy wcześniej nie słyszał tego imienia, ale postanowił je zapamiętać. Phaeda, pomyślał.

Zamierzał przeszukać bazy danych „Niewolnika 1”, a może nawet włamać się do archiwów tej planety. Zauważył, że Mirta cały czas przygląda się uważnie klejnotowi.

- Musiał kosztować cię wszystkie kredyty, jakie wówczas miałeś, Ba 'buir - odezwała się w końcu.

Podąła ogniste serce Fettowi, który obrócił je w dłoniach i przesunął opuszką palca po rzeźbionej krawędzi. Tylko najzdolniejsi artyści umieli szlifować nieobrobione kamienie bez obawy, że pękną, a co dopiero rzeźbić ich krawędzie.

- Rzadko trafiają się takie, które mienią się wszystkimi kolorami - powiedział łowca nagród. -

Zazwyczaj są czerwone albo pomarańczowe, ale takie świetliste jak ten, z pełną paletą barw...

są naprawdę kosztowne.

- Widziałam kiedyś niebieski - oznajmiła wnuczka.

- Miałem wówczas szesnaście lat. Nie było mnie stać na niebieski - stwierdził Fett.

Obecnie było go stać, i to na wiele, nawet na najrzadsze, ciemnoniebieskie klejnoty, które ujawniały niewiarygodnie bogatą gamę barw tylko w jaskrawym blasku słońca. Fett nie kochał

jednak nikogo tak mocno, żeby ofiarować tej osobie tak cenny kamień.

- Powiedz mi coś o Ailyn - powiedział. - Czy była kiedyś szczęśliwa?

Mirta zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Raczej nie - powiedziała.

Jeżeli nie liczyć nazwisk ludzi, których zabiła, i spisu rzeczy, które ukradła, Fett wiedział o własnej córce tylko tyle, że nigdy nie była szczęśliwa, nigdy nie nazwała go tatą i nauczyła Mirtę go nienawidzić. Ani razu nie zapytał o to swojej wnuczki, bo nigdy nie było po temu dobrej okazji.

- A ty? - zagadnęła Mirta. - Czy byłeś kiedyś szczęśliwy?

Fett nie sądził, żeby kogokolwiek obchodziło, czy jest szczęśliwy, czy też nie. Wszyscy chyba z góry zakładali, że jest osobą pozbawioną wszelkich emocji. Nigdy nie było widać, żeby się złościł, był radosny albo zasmucony.

- Byłem szczęśliwy jako dziecko - przyznał w końcu. - Skończyło się to na Geonosis, a później nigdy mi nie zależało na szczęściu.

Bywał jednak rozgniewany, smutny, przerażony, samotny i napastliwy. Po śmierci ojca dawał

upust wszystkim możliwym negatywnym emocjom. Zachowywał się tak, żeby przeżyć, kiedy potrzebny był mu zdrowy rozsądek. Czuł się jak dźwigienka przełącznika, którą ktoś wyłącza i włącza, wyłącza i włącza. Wiedział, że któregoś dnia nikt go nie włączy i ból zniknie. Podobnie działo się z radością i miłością.

Gdyby zrobił to, co chciał ojciec, ból mógłby wrócić. Gdyby się zajął uczciwą pracą i postarał

przynajmniej zrozumieć pozostałe przy życiu osoby z własnej rodziny, miałby okazję odzyskania chociaż części tego, z czego odarto go na tamtej arenie planety Geonosis.

- Dopijmy drinki, Ba 'buir - zaproponowała Mirta. - Chcę stąd wyjść, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Phaedzie.

Okręt Galaktycznego Sojuszu „Ocean” na pozycji tuż poza granicą koreliańskich przestworzy

- Jak miło, że do nas dołączyłeś - powiedziała cierpko pani admirał Niathal. Jacen wszedł na mostek i od razu wyczuł mieszaninę emocji otaczających go osób, począwszy od lekkiego zainteresowania, a skończywszy na nerwowości. - Przykro mi z powodu twojej straty.

Jacen pokiwał uprzejmie głową. Wydawało się, że Kalamarianka szczerze składa mu kondolencje, ale z drugiej strony... umiała bardzo dobrze udawać. Ta oficjalna wizyta na pokładzie „Oceanu” przywódcy Galaktycznego Sojuszu była po to, żeby wy badać nastawienie zgromadzonych tu przedstawicieli niektórych sprzymierzonych planet. Zawsze opłacało się pokazać potężny okręt kilku zebranych dostojnikom, żeby im uświadomić stawkę w tej rozgrywce. Wywiad sugerował, że Konfederacja zamierza przeprowadzić ofensywę przeciwko planetom Jądra galaktyki, więc Jacen miał nadzieję, że wszyscy władcy zachowają należyłą czujność.

Życie toczyło się jak poprzednio. Ostatnio Jacenowi wydawało się już, że jego wysiłki poszły na marne. Jeżeli chciał uzyskać odpowiedzi na kolejne filozoficzne pytania na temat doktryny Sithów, był zdany obecnie tylko na własne siły. Wyglądało na to, że Lumiya popełniła samobójstwo, chociaż na pozór zginęła z ręki Luke'a Skywalkera. Jacen nie brał udziału w posiedzeniach Rady Jedi, ale funkcjonariusze SGS bardzo skutecznie zbierali wszelkie informacje.

Wujek Luke naprawdę to zrobił, pomyślał Solo. Podobnie jak mój ojciec... nigdy nie można przewidzieć, jak daleko się posuną, prawda?

Spojrzał na Niathal.

- Zdaje się, że podczas mojej nieobecności Korelianie zachowywali się bardzo spokojnie - powiedział.

- Czekali na twój powrót - zadrwiła pani admirał. - Niedługo powinna się rozpocząć ich ofensywa w kierunku Jądra. Nie mogliby sobie darować, gdybyś stracił takie widowisko. - Nie wiadomo, czy Niathal była rzeczywiście zła na niego przez ten dodatkowy dzień nieobecności, w każdym razie wyglądała na bardzo zadowoloną z odgrywania nowej roli. Prawdopodobnie wykorzystała krótki okres jego nieobecności do zawarcia nowych sojuszy i umocnienia swojej władzy. Jacen wyczuwał to w powietrzu... doskonale znał aurę żądzy władzy. - Rządzący Korelią triumwirat na pozór nadal zajmuje się codziennymi sprawami, ale funkcjonariusze naszego Wywiadu i analitycy polityczni dostrzegają oznaki, że ktoś ma ochotę zastąpić naszego drogiego zmarłego pre... - Niespodziewanie urwała i tym razem była naprawdę wstrząśnięta.

Jacen wyraźnie to wyczuł. - Przepraszam, naprawdę. W tych okolicznościach to było bardzo nietaktowne.

- Nic nie szkodzi - odparł Solo. Możliwe, że Niathal miała jednak jakąś słabą stronę. Jeżeli tak, zamierzał to bezlitośnie wykorzystać. - Nie jestem przesadnie wrażliwy i mogę normalnie rozmawiać na temat śmierci. Najlepsze, co możemy zrobić dla uczczenia pamięci mojej ciotki, to zwyciężyć.

- Rzeczywiście - przyznała z ulgą Kalamarianka.

- Sytuacja na Murkhanie staje się coraz bardziej napięta - podjął Solo. - Wyznaczony termin upłynął, prawda?

- Trzymamy rękę na pulsie - zapewniła Niathal. - Możliwe, że to tylko psychologiczna zagrywka

Mandalorian. Uzyskaliśmy spokój za cenę ośmiu X-wingów Galaktycznego Sojuszu, których piloci pozostają cały czas w pogotowiu w tamtej okolicy. Z drugiej strony, jeżeli Mandalorianie naprawdę zdecydują się pomóc swoim nowym sojusznikom Verpinom, uniemożliwiając produkcję w murkhańskich fabrykach, będziemy mieli przynajmniej doskonałą okazję zapoznania się z możliwościami ich nowego myśliwca szturmowego.

- Niektórzy mogą pomyśleć, że wolelibyśmy, aby zaatakowali Murkhanę - powiedział cicho Jacen.

- Nigdy nie rezygnuję ze sposobu zdobywania pożytecznych informacji, pułkowniku Solo - odparła Kalamarianka.

- Bardzo rozsądnie, pani admirał. - Jacen podszedł do holo- mapy ukazującej rejon działań zbrojnych wokół Korelii. Doszedł do wniosku, że Galaktyczny Sojusz wciąż jeszcze ma dość okrętów. Zauważył, że kilka jednostek między Korelią a Jądrem bierze udział w jakiejś lokalnej akcji. Zawsze uważał przedstawianie śmiertelnych zmagania w postaci estetycznych i niemych symboli graficznych za nieco bezduszne. - Czy to bieżąca sytuacja? - zapytał.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł oficer wachtowy. - Uaktualniana co minutę.

- Moim zdaniem o czymś zapomnieliśmy, panie poruczniku - powiedział Solo, zanurzając czubek palca w labiryncie świetlnych symboli. - Niech pan sam zobaczy. W rzeczywistości mamy w tym miejscu flotyllę korwet, a ten gwiazdny niszczyciel zaraz przeleci w tamto miejsce, bo w tej chwili wykonuje...

Urwał i umilkł, świadom uniesionych brwi i zdumionych spojrzeń personelu mostka, ale poczuł wyraźnie, że zalewa go ciepła fala olśnienia.

Ja to wszystko widzę, uświadomił sobie.

- Czy możemy to sprawdzić? - zapytał oficer wachtowy podwładnego. - Pułkownik Solo rzadko się myli.

Pułkownik Solo właśnie doznał najważniejszego objawienia w swoim życiu, pomyślał Jacen.

To prawda. Lumiya miała rację. Co za niesamowite uczucie! Przedtem byłem ślepy. Jak mogłem kiedykolwiek przypuszczać, że bez tej umiejętności zostanę władcą?

Lumiya obiecała mu wyostrzoną świadomość na polu bitwy oraz umiejętność oceny bieżącej sytuacji, w porównaniu z którymi zwykle medytacje podczas walki wyglądały jak namazany palcem obraz. Jacen mógł wyczuwać i koordynować posunięcia potęgą samego umysłu...

potęgą którą mógł dysponować tylko mistrz Sithów.

To ja, uświadomił sobie Solo. To naprawdę ja. A zatem rzeczywiście chodziło o poświęcenie Mary. Obecnie mogę być tego pewny.

Mimo to nadal nie rozumiem tego proroctwa. A bardzo nie lubię czegoś nie rozumieć.

Był Lordem Sithów. I mógł wreszcie coś zrobić.

Osiągnął to, do czego zmierzał.

A to było piękne.

Gromada Hapes, wahadłowiec Rady Jedi

Luke był komuś wdzięczny... choć nie rozumiał za co.

Zanim przestąpił próg pomieszczenia, przystanął i kilka razy głęboko odetchnął. Cilghal uniosła głowę, spojrzała na niego i zrobiła ruch, jakby chciała wyjść.

Mara - nie, ciało Mary - leżała na stole inspekcyjnym, okryta od szyi do stóp zwykłym białym prześcieradłem. Luke napiął mięśnie. Spodziewał się, że zobaczy okropny widok. Wyobrażał

sobie straszliwie oszpecone ciało Mary, rysy wykrzywione z bólu, ale żona wyglądała, jakby po prostu spała. Leżała nieruchoma i blada, a rude włosy miała gładko zaczesane i związane w nietypowy sposób.

- Nie szkodzi, Cilghal - odezwał się mistrz Jedi. - Nie muszę zostawać z nią sam na sam.

- Moim zdaniem powinienes, Luke - sprzeciwiła się Kalama- rianka. - Mogę wrócić później.

- Nie rozumiem tego - szepnął Luke. - Tak chciałem ostatni raz uścisnąć... i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę. Nie wyobrażasz sobie, jak ci jestem wdzięczny.

Nie mógł dostrzec twarzy Cilghal, bo miał załzawione i na- puchnięte oczy, ale poczuł, że uzdrowicielka poklepała go po ramieniu.

- Przypuszczałeś, że ciało Mary zniknie - domyśliła się Cilghal.

- Rozmawialiśmy o tym raz czy dwa - przyznał mistrz Jedi. - Spodziewałem się, że może właśnie tak się stanie, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Bardzo się cieszę, że Mara zmieniła zdanie.

- Dopilnowała, żebyśmy mogli zebrać dowody. - Cilghal umilkła i odetchnęła głęboko. -

Jeszcze nigdy nie widziałam takiej trucizny - podjęła po chwili. - A Mara... została, tylko dlatego żebyś się mógł z nią pożegnać.

Kalamarianka odwróciła się i szybko wyszła z pomieszczenia.

Luke nie był w stanie nic powiedzieć ani oderwać oczu od żony. Długo stał, po prostu wpatrując się w jej twarz. Nie byłby zdziwiony, gdyby żona nagle otworzyła oczy i zapytała go, dlaczego zasnęła. Uniósł prześcieradło, żeby ująć jej lewą dłoń, ale wzdrygnął się, kiedy poczuł

chłód palców. Dopiero po jakimś czasie skóra Mary ogrzała się od ciepła jego ciała.

Cilghal musiała zebrać dowody dla specjalistów od medycyny sądowej, ale Luke i tak był

pewny, że Marę zabiła Lumiya, która zapłaciła za to najwyższą cenę. Dochodzenie w sprawie śmierci żony było niepotrzebne.

A to oznaczało, że Mara nie musiała pozostawiać swojego ciała. Luke wahał się. Powinien chyba oderwać oczy od żony i odtworzyć w pamięci, w jaki sposób zjednoczył się z Mocą mistrz Yoda. Gdyby to sobie przypomniał, może naprawdę by ją znów zobaczył. Wiedział

jednak niewiele na temat mistycznych żywiołów, więc nadal wpatrywał się w zwłoki żony.

- Naprawdę chciałaś się ze mną zobaczyć, prawda? - zapytał i pochylił się, żeby ją pocałować.

Bał się, że jej ciało może zniknąć. Nie odważył się oderwać od niej wzroku, chociaż im dłużej patrzył na Marę, tym trudniej było mu się pogodzić z jej śmiercią.

Nie odwrócił głowy, nawet kiedy wyczuł Bena idącego w stronę kabiny i zaraz potem usłyszał

odgłos jego cichych kroków na płytach pokładu. Wyciągnął do syna lewą rękę, żeby podszedł i go uściskał, ale nie odrywał spojrzenia od zwłok żony.

- Cześć, kochanie - powiedział do Mary. - Przyszedł Ben.

- Przykro mi, że nie mogłeś mnie znaleźć, tato - powiedział syn. - Musiałem do niej polecieć i zostać tam jakiś czas.

Luke uświadomił sobie, że właśnie pierwszy raz odezwał się do syna od czasu odlotu Mary.

Czuł się, jakby od tamtej chwili upłynęły wieki. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak czuł się jego syn, samotny i przerażony, stojąc na straży ciała matki, ale wciąż jeszcze był zbyt przygnębiony i oszołomiony po przeżytych wstrząsach.

- Tato... wiem, że mama chce nam coś przekazać - odezwał się Ben. - Myślałem o tym całą drogę powrotną.

Biedne dziecko, pomyślał mistrz Jedi. Niezupełnie rozumiał, co syn usiłuje mu powiedzieć, ale mogli o tym porozmawiać później. Był dumny z jego godności i hartu ducha. Doszedł do wniosku, że Ben powinien także usłyszeć inne nowiny. Zachował się jak prawdziwy mężczyzna.

- W każdym razie dopadłem Lumię - oznajmił synowi.

- Tak? - zapytał zdumiony chłopak. - Co to oznacza: dopadłeś?

- Zabiłem ją. Nie będę owijał w bawełnę - odparł mistrz Jedi. - Byłem to winny Marze.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Ben nie odpowiedział. Luke wyczuł otaczające go lekkie zakłócenie w Mocy i napiął mięśnie.

- Posłuchaj, tato... - zaczął w końcu chłopak.

- Wiem, postępowanie sądowe i tak dalej, ale takie postępowanie... Lumiya powiedziała, że musiała... no cóż, życie za życie. To wszystko.

- Tato.... tato, tego nie zrobiła Lumiya - wykrztusił w końcu Ben.

- Zrobiła - sprzeciwił się Luke. - Sama mi powiedziała.

Co takiego właściwie powiedziała Lumiya? - zadał sobie pytanie.

- Kiedy to niemożliwe... w chwili śmierci mamy byłem blisko Lumii, bardzo daleko od miejsca zbrodni - oznajmił Ben. - Oboje wylądowaliśmy na Kavanie, ale Lumiya cały czas przebywała w sferze Sithów.

Luke słyszał głos syna, jakby napływał z bardzo daleka. Nagle wszystko znów wywinęło kozła.

A więc to nie ona. Nie Lumiya.

- Tato, uspokój się, dobrze? - zaniepokoił się syn. - Dowiemy się, kto to zrobił. - Chwycił ojca za ramiona. - Tato, to właśnie dlatego ciało mamy nie zniknęło. Zostało, żebyśmy mogli zebrać dowody. Nie wiemy jeszcze, kto to zrobił. Zapomnij o Lumii. Po prostu pierwszy ją dopadłeś...

ale ja ścigałem ją jeszcze przed śmiercią mamy. Wyrzuciłeś galaktyce przysługę.

To nieprawda, uświadomił sobie nagle mistrz Jedi. Postąpił niewłaściwie. Lumiya była wprawdzie przewrotna i zła, ale zabił ją za coś, czego nie zrobiła. To nie żadna sprawiedliwość.

Luke osunął się na kolana.

- Zabiłem niewłaściwego... - zaczął i urwał.

Sitha, pomyślał.

- Zabiłem niewłaściwą osobę - podjął po chwili. - Ale Lumiya powiedziała...

Ben ujął twarz ojca w dłonie. Wyglądał, jakby był od niego o wiele starszy.

- Popatrz na mnie, tato - powiedział. - Nie musimy tutaj o tym rozmawiać. Pogadajmy gdzie indziej.

- Benie...

- Pomyśl o wszystkich osobach, które Lumiya zabiła i które miała jeszcze zabić - przerwał Ben.

- Nie zasługuje na wyrzuty sumienia, tato. Zachowaj łzy dla mamy, boja zamierzam tak postąpić.

Luke jeszcze kilka minut się nie załamywał. Kiedy nie mógł dłużej tego znieść, wstał i wrócił do kabiny. Zatrzasnął zamek

I w samotności robił sobie wymówki i szlochał, dopóki zupełnie nie opadł z sił. Do tej pory wydawało mu się, że znosi śmierć żony całkiem nieźle. Powstrzymywał łzy, dopóki Lumiya nie przechyliła szali wagi na niewłaściwą stronę i nie zmusiła go do płaczu. Luke znienawidził ją za to. Pragnął rozpaczać tylko po stracie żony. Nie chciał, żeby jego ból plugawiło to zło, które przyczyniło się do jej śmierci. W takiej chwili Lumiya tylko mu przeszkadzała.

A więc ktoś, kto zabił Marę, wciąż jeszcze przebywał na wolności. Luke musiał zebrać się w sobie, skoro ma temu komuś wymierzyć sprawiedliwość. Dopóki się nie upora z bólem, powinien skupić uwagę na czymś innym.

A Lumiya wywiodła go w pole jeszcze raz... ostatni raz go oszukała. Ostami raz skierowała go na niewłaściwy trop. W sercu Luke'a coś pękło.

ROZDZIAŁ 24

Wiadomość dla: Kontroli Hapańskiej Floty Miejsce nadania: Terephon Niezarejestrowany i niezidentyfikowany statek, o którego istnieniu poinformowała nas mistrzyni Jedi Skywalker, został usunięty z Tu 'ana City bez naszej wiedzy i zgody. Prosimy o poinformowanie mistrza Skywalkera, że ubolewamy z powodu tego porwania. Statek znajdował się na obszarze obowiązywania naszego prawa, więc jesteśmy gotowi wypłacić każde żądane odszkodowanie.

Mandalora, Keldabe, lądowisko firmy MandalMotors

Boba Fett splótł palce, żeby obciągnąć rękawice, i spojrzał na otwartąabinę Bes 'uliika.

Świadom tego, że za przesłoną hełmu nikt nie widzi jego twarzy, pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

Beviin zaczął klaskać i się roześmiał.

- Chłopcy Mando przed wycieczką! - zawołał. - Daj spokój, Bob'ika. Przed wejściem do kabiny zdejmij plecak raketowy, bo inaczej poszybujesz niechcący na bardzo dużej wysokości w przestworza...

Wszyscy byli dobrej myśli. Jeśli Fett dobrze pamiętał, od czasu wojny z vongese nie stał na czele żadnej mandaloriańskiej wyprawy wojennej. W dodatku tym razem chodziło o coś poważnego... o coś, co miało duże znaczenie.

Kiedy prototypowe myśliwce Bes'uliik zaczęły wyjeżdżać z hangaru, dały się słyszeć radosne okrzyki:

- Oyamanda!

Widzowie rejestrowali holokamerami paradę maszyn i wskazywali palcami dzieciom najciekawsze miejsca konstrukcji. Fett odnosił wrażenie, że wszyscy wokół niego odczuwają mieszaninę nostalgii i optymizmu. Niezupełnie mieli rację, skoro mandaloriańscy piloci zamierzali pogwałcić terytorium niepodległej Murkhany - naturalnie tylko tymczasowo - żeby zamienić w żużel kilka kompleksów murkhańskich fabryk.

Wszystko dokładnie przemyślano. Fett zamierzał wysłać ostrzeżenie pracownikom fabryk i mieszkańcom bombardowanego obszaru na tyle wcześniej, żeby zdążyli się ewakuować. Ani myślał bombardować ośrodków przemysłowych w tajemnicy. Mimo wszystko Mando 'ade nie byli dzikusami. No cóż, przynajmniej nie ostatnio... a jeżeli nawet byli, to tylko wobec vongese.

A poza tym Fett chciał, żeby reporterzy HoloNetu zarejestrowali widok nowego myśliwca w akcji. Pod względem zdolności odstraszać takie obrazy miały siłę dywizji pancernej. Nie było sensu kończyć bombardowania, zanim przedstawiciele środków masowego przekazu zdążą przybyć na miejsce akcji, żeby zarejestrować jej przebieg.

Mój tata byłby tym zachwycony, pomyślał łowca nagród.

Sam miał pilotować ostatnią maszynę, więc zaczął obserwować, jak pozostali piloci wdrapują się do kabin swoich myśliwców. Beviin cieszył się na tę okazję jak dziecko przed urodzinowym przyjęciem. Medrit uniósł ich wnuki, Shalka i Briile, żeby dzieci mogły przyłożyć do kadłuba unurzane w wiadrze z farbą dłonie. Myśliwce miały jasnoszary pancerz, chociaż zdaniem Shalka o wiele lepszy byłby dobry, verdyc krwistoczerwony odcień.

- Ba 'buir! - zawołała Mirta. - Hej, zaczekaj! Pare sol!

Fett się odwrócił. Wnuczka biegła po lądowisku z komputerowym notesem w dłoni, a tuż za nią podążał Orade. Prawdopodobnie uważała, że Ba'buir jest zbyt stary, aby wrócić w jednym kawałku, chociaż leciał najlepszym, najbardziej wytrzymałym w galaktyce myśliwcem na wyprawę, której celem miało być zwykłe bombardowanie. A może zamierzała zrobić coś niewybaczalnie sentymentalnego? Łowca nagród przygotował się na umiarkowane zakłopotanie.

Mirta nie wyglądała jednak na osobę skłoną do okazywania sentymentów, nie w takiej chwili. Wyglądała na... zdenerwowaną.

Fett odruchowo powiódł spojrzeniem po zebranych tłumie. Chciał się upewnić, że są tam cali i zdrowi wszyscy, na których mu zależało. Domyślił się, że Mirta przynosi niepomyślnie wieści, które nie mogą czekać.

No cóż, pomyślał z rezygnacją. Czasami tak się zdarza.

- Ba 'buir — wydyszała wnuczka. - Musisz to przyjąć ze spokojem.

Fett nie odpowiedział i tylko wskazał przesłone hełmu.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć. - Mirta trzymała notes, jakby chciała mu pokazać dowód na to, że nie żartuje. - To... sama nie wiem...

- Wykrztuś w końcu - burknął łowca nagród.

- Wiesz, że zaczęłam przeszukiwać bazy danych, żeby znaleźć coś więcej o Phaedzie?

- Ta-a.

- Szukałam w materiałach archiwalnych imion podobnych do „Resada” i „Rezoda”.

Fett już wiedział, że będzie musiał wyciągać z niej tę informację kawałek po kawałku.

- Ta-a - powtórzył.

- Rezodar, gangster - wypaliła w końcu wnuczka. - A ściślej nieżywy gangster. Zmarł mniej więcej trzydzieści osiem lat temu. Właśnie to imię było zapisane w ognistym sercu.

Fett zauważył, że Orade spogląda na Mirtę, jakby bardziej się martwił o nią niż o to, że jej dziadek może się rozgniewać.

- Zakładam, że ta data coś oznacza - powiedział.

- Owszem - przyznała wnuczka. - Dowiedziałam się, że Rezodar pozostawił znaczny spadek, bo w ten sposób urzędnicy z Phaedy określają wartościowe rzeczy, pozostawione bez podania nazwiska spadkobiercy. Władze nie mają do nich prawa, więc oddały je na przechowanie.

Państwowy depozytariusz był wściekły, że musi przechowywać tyle rzeczy. Powinien być szczęśliwy, jeżeli się o nie upomnimy. To jednak zajmie trochę czasu.

Fett nie był pewny, czy informacja o majątku dawno zmarłej osoby zasługuje na to, żeby przeszkadzać mu w tak podniosłej chwili. Mirta nie miała jednak skłonności do dramatyzowania. To musiało być w jakiś sposób związane ze śmiercią Sintas, czyli powinno go zainteresować. Łowca nagród doszedł do wniosku, że chodzi o jedną z wielu krzywd, jakie jej wyrządził, zanim ją w końcu opuścił.

- Mirto - odezwał się stanowczym tonem. Rzadko wypowiadał jej imię. - Po prostu mi powiedz, o co chodzi, choćby to miało być coś najgorszego.

Młoda kobieta wręczyła mu komputerowy notes. Na ekranie zaczęło się ukazywać po kolei wszystko, co Rezodar pozostawił w swojej posiadłości. Obok każdego przedmiotu widniał

numer nadany przez Wydział Spadków phaedańskiego trybunału. Fett zaczął się temu przyglądać.

- Zwróć uwagę na ten blok karbonitu, Ba'buir - doradziła wnuczka.

Fett pomyślał, że nie podoba mu się brzmienie tego słowa.

Nie rozpoznał zarysów szukanego przedmiotu, który w końcu pojawił się na ekranie, więc postanowił powiększyć wizerunek.

Och, fiefek... - pomyślał.

Chciał coś powiedzieć, ale słowa chyba uwięzły w jego gardle. Zapomniał, że i tak nikt nie może zobaczyć jego twarzy za przesłoną hełmu. O mało nie ugięły się pod nim kolana. Zwrócił

komputerowy notes w nuchę i zaczął powoli, głęboko oddychać, żeby zapanować nad bólem, który poczuł w sercu.

- Czego ode mnie potrzebujesz, żeby ci to wydali? - zapytał. Był pewny, że jego głos drży. -

Kredytów? Podpisu?

- Czy to jest to, co myślę? - zapytała Mirta.

- Odpowiedz na moje pytanie. - To nie może być prawda, pomyślał. To niemożliwe.

- Sama się tym zajmę. - Młoda kobieta wyglądała na urażoną i Fett to zauważył, chociaż wnuczka zazwyczaj nie okazywała podobnych uczuć. - Tysiąc kredytów.

- Zapłacę. - Łowca nagród nie mógł uwierzyć, że w końcu to powiedział, ale i tak własny spokojny głos zabrzmiał w jego uszach dziwnie obco. - Była... mimo wszystko była moją żoną.

Sintas żyła.

Sintas Vel, jego pierwsza i jedyna żona, nadal żyła... jeżeli oczywiście podczas zamrażania w karbonicie nie wydarzyło się nic złego.

Będzie musiała poświęcić sporo czasu, żeby się dowiedzieć, co od tamtej pory wydarzyło się w galaktyce... i w jej rozbitej rodzinie.

Ailyn, co mogę powiedzieć? - zadał sobie pytanie.

- Dobrze. - Mirta była znów dzielną, chociaż zgorzkniałą młodą kobietą. - Możesz nadal udawać twardziela przed swoimi buro 'yase, ale ja do tej pory lepiej cię poznałam.

Fett już wcześniej zaplanował, że przed startem musi wstąpić do toalety. Doszedł do wniosku, że to bardzo dobra okazja.

- Wcale w to nie wątpię - powiedział.

Odwrócił się i odszedł, taki sam jak zawsze, bo właśnie tego się wszyscy po nim spodziewali.

Kiedy jednak zamknął za sobą drzwi kabiny, oparł się plecami o ścianę, przykucnął, objął głowę obiema dłońmi i uświadomił sobie, że drży.

Sintas żyła.

Odczekał kilka minut, zanim wstał i wyszedł z toalety. Wrócił na lądowisko i jakby nic ważnego się nie wydarzyło, wdrapał się do kabiny ostatniego Bes 'uliika.

Dzienna kabina kapitańska na pokładzie gwiazdowego superniszczyciela „Anakin Solo”

Teraz już to wiem, pomyślał Jacen.

Wiem, co kochałem najbardziej i co musiałem zabić.

Leżał na pryczy od wielu godzin, starając się dopasować ostatni kawałek łamigłówki, który nie dawał mu spokoju. Chodziło o proroctwo. Coś się nie zgadzało.

„Unieśmiertelni swoją miłość”.

Kiedy jednak doszedł do wniosku, że może wcale nie chodzi o niego, jego myśli podążyły zawiłym labiryntem i ukazały mu proroctwo w całej złożoności. Przepowiednia nie miała tylko jednego znaczenia... miała ich wiele.

I właśnie dlatego jestem obecnie Lordem Sithów, uświadomił sobie.

Nie było żadnych fajerwerków ani gwałtownego przesunięcia w Mocy, a mimo to, kiedy spojrzął wstecz, zobaczył całkowicie zmieniony krajobraz. Zmiany zachodziły w nim krok po kroku, akt po akcie, śmierć po śmierci... tak stopniowo i powoli, że ich nie zauważył, aż...

Aż do obecnej chwili.

Nie był tym samym Jacenem Solo, który zareagował przerażeniem, kiedy Lumiya mu powiedziała, że jego przeznaczeniem jest zostać Lordem Sithów.

Jeżeli zajrzał wystarczająco daleko w przeszłość, widział początki w dziwnie skupionych, ptasich oczach Vergere, kiedy cierpiał fizyczne męki, które na zawsze go odmieniły.

Udowadniały, że da radę wytrzymać wszystko, a nawet jeszcze więcej, jeżeli tuku będzie jego wola.

Zabił jednak nie osobę, którą kochał najbardziej, ale coś cennego, czego brak miał odczuwać bardzo boleśnie. Już teraz to czuł. Miało to dla niego ogromne znaczenie, chociaż nie było żywą istotą

Zabił podziw i oddanie swojego młodszego kuzyna, Bena Sky-walkera. A tak się cieszył z powodu tej miłości... jak również dlatego, że Ben przestał traktować Luke'a jak ukochanego ojca i mentora.

„Unieśmiertelni swoją miłość”... Unieśmiertelni oznaczało „zabije”.

A Ben... znał Bena na tyle dobrze, aby wiedzieć, że chłopak nie spocznie, dopóki nie zostanie schwytany zabójca jego ukochanej matki. Mara na zawsze miała pozostać dla syna Uosobieniem doskonałości, piękna i odwagi.

A miłość Bena została unieśmiertelniona. Miała istnieć w niezmiennym stanie do końca jego życia,

podobnie jak jego wyobrażenie o Marze. Równie długo miała się tlić jego nienawiść i żądza zemsty, zwłaszcza kiedy się dowie, co zrobił Jacen. Ta nienawiść też będzie trwać do końca jego życia.

Jacen wstał i spojrzął w lustro na ścianie kabiny. Przyglądał się sobie godzina po godzinie, jakby szukał jakiejś zmiany. Chciał się przekonać, czy jego status Sitha wywarł jakikolwiek wpływ na ciało, ale doszedł do wniosku, że wygląda dokładnie tak samo.

Mimo to nie potrafił zapomnieć twarzy Bena, kiedy podszedł do niego w tamtym tunelu, gdzie kuzyn czuwał obok ciała zabitej matki. Jego oczy... chłopak wiedział, że odkrycie prawdy go zniszczy.

Mara zmusiła syna, aby się zastanawiał, dlaczego się nie zjednoczyła z Mocą pomyślał Jacen.

Wcześniej czy później Ben miał się tego dowiedzieć. Odegrałaś swoją rolę w moim przeznaczeniu, Maro, westchnął w duchu.

A kiedy Ben w końcu się dowie, że to on ją zabił, znenawidzi go bardziej niż Jacen mógłby to sobie wyobrazić. Starszy kuzyn zaprawił miłość Bena do niego porcją trucizny, która miała zabić tę miłość równie pewnie jak on zabił trucizną jego matkę. Zasiał

ziarno straszliwej, ale zarazem wspaniałej nienawiści. Każdy Sith, jeżeli chciał się stać wielki, musiał mieć do dyspozycji źródło takiej nienawiści. W ostatecznym rozrachunku Ben miał się stać większy, niż kiedykolwiek mógłby się stać ojciec Jedi.

A tymczasem trwała nadal wojna Jacena, i to nie tylko na szerokiej politycznej scenie, ale także wewnątrz Straży Galaktycznego Sojuszu.

Sięgnął po czarny hełm funkcjonariusza SGS. Rzadko go zakładał. Obrócił go w rękach i poczuł mdłości. Hełm rozszerzał się w dolnej części, gdzie mieścił się filtr niwelujący działanie gazu łzawiącego. Miał także przesłonę z pojedynczym wąskim paskiem z utwardzonego duraplastu w kształcie litery V i stanowił standardowe wyposażenie żołnierza SGS. Właściwie niczym się nie różnił od funkcjonalnych hełmów, które wszyscy żołnierze nosili od dziesięcioleci.

Ale czyja go jeszcze potrzebuję? - zadał sobie pytanie Solo.

Stał przed wypolerowaną durastalową ścianą. Odbicie jego czarnej sylwetki było rozmazane i niewyraźne. Wyglądało jak impresjonistyczna wizja tego, czym się stał. Nie mógł na to dłużej patrzeć. Był wszystkim, o co oskarżali go wrogowie. Czuł się wprawdzie zakłopotany, ale zapomniał o wyrzutach sumienia.

Zabijał nie raz i nie dwa, aż w końcu zabił Marę Jade Skywalker, która była dla niego członkiem rodziny i przyjaciółką. Przyjaciele... obecnie nie pozostał mu żaden oprócz Tenel Ka i Allany, ale i one miały go znenawidzić, kiedy dowiedzą się prawdy.

W oczach zwykłych śmiertelników upadłem tak nisko, jak to tylko możliwe, uświadomił sobie. Od tej pory jednak będę się piął coraz wyżej i wyżej.

Przypomniął sobie krótką rozmowę z żołnierzem SGS, byłym funkcjonariuszem policji z Coruscańskiej Służby Bezpieczeństwa. Policjant powiedział mu, że większość morderstw popełniają członkowie rodziny i bliscy przyjaciele. Zabójstwa przypadkowych nieznanymi zdarzały się rzadko, nawet w najbardziej obskurnych rejonach najniższych poziomów, gdzie królowała brutalna przemoc.

A zatem nie popełniłem niczego niezwykłego, pomyślał Solo.

Głęboko odetchnął i zrobił dwa kroki w bok. Spojrzał w lustro na ścianie dziennej kabiny.

Obraz był czysty jak kryształ, wyraźny, bezlitosny. Zobaczył odbicie człowieka ubranego od stóp do głów na czarno. Wiedział, co zwykli ludzie mówią za jego plecami - że stara się naśladować Vadera.

I co z tego? - pomyślał. Jestem dumny z dziadka, choć zarazem świadom słabości, które doprowadziły go do upadku.

To była jednak tylko jego urażona duma. Nie mogę się tym przejmować, powiedział sobie.

Musiał odsunąć od siebie wyrzuty sumienia, a nawet nienawiść, dzięki której Ben Skywalker miał się stać silnym, szlachetnym i budzącym grozę dziedzicem tytułu Czarnego Lorda.

Od tej chwili w przyszłości dzieliło go jednak jeszcze wiele lat. Nadeszła pora, żeby mężczyzna, który kiedyś nazywał się Jacen Solo, wziął na swoje barki odpowiedzialność za los galaktyki.

Zdjął hełm i spojrzał w oczy swojego odbicia w lustrze.

- Caedus - powiedział. - Nazywam się Darth Caedus.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)